

**Daphne Du Maurier**

**GENERAL W  
SŁUŻBIE KRÓLA**

**(tłum. Anna Bańkowska)**

**2000**

Mojemu mężowi,  
Który także jest generałem.  
Ale mam nadzieję,  
Że bardziej roztroprnym.

## PODZIĘKOWANIA

Pragnę wyrazić serdeczne podziękowanie Johnowi Cosmo Stuartowi Rashleighowi z Throwleigh oraz Williamowi Stuartowi Rashleighowi ze Stoketon za pozwolenie na publikację tej mieszanki faktów i fikcji. Ufam, że im obu, a także Oenonie Johnson, której praca przy przepisywaniu rodzinnych papierów okazała się tak pomocna, spodoba się ten wycinek z życia ich przodków, mieszkańców Menabilly w zamierzchłych i dawno zapomnianych czasach.

Dziękuję także pani Mary Coate, panu A. L. Rowse'owi i panu Tregonningowi Hooperowi za uprzejme wypożyczenie książek i manuskryptów.

D. du M.

Wrzesień roku 1653, schyłek lata. Czuje się już pierwsze zimne podmuchy jesieni. Słońce już nie atakuje wschodniego okna w chwili mego przebudzenia, ale podąża opieszale w stronę wzgórza, nie docierając na szczyt wcześniej niż o ósmej. Biała mgła okrywa zatokę nieraz i do południa, snuje się nad mokradłami, a kiedy wreszcie ustąpi, zostawia po sobie powiew chłodu. Dlatego wysoka trawa na łące nigdy nie wysycha. Chociaż dawno minęło południe, każde źdźbło błyszczy i srebrzy się w słońcu wielkimi, nieruchomymi kroplami. Leżąc tutaj samotnic, znacznie więcej uwagi poświęcam przyptywom i odpływowom, które wpisane są jakby do stałego rozkładu dnia. Kiedy woda spływa z bagien, odsłaniając stopniowo pomarszczone i zbite piaski, zaczyna mi się roić, że ja także wraz z falą sunę ku morzu, a wszystkie moje skrywane i niby to dawno pogrzebane marzenia wychodzą na światło dzienne niczym muszelki i kamyczki na plaży.

Dziwne, a zarazem radosne uczucia towarzyszą takiemu osuwaniu się w przeszłość. Niczego nie żałuję, jestem szczęśliwa i dumna z mego życia. Mgła i chmury zniknęły, słońce stoi wysoko na niebie i rozkosznie grzeje, przyklaskując mojemu odpłynięciu w dawne dzieje. Jakże błękitne i nieujarzmione jest morze, kiedy podfryzowane fale pędzą, jedna za drugą, na zachód, a ciemnopurpurowy cypel Blackhead wyciąga łagodnie pochylone ramię ku głębokiej wodzie. Raz jeszcze - choć wiem, że to tylko wyobraźnia - wydaje mi się, że ów odpływ dokonuje się zawsze w samo południe, kiedy nadzieje sięgają szczytu, a w sercu panuje błogi spokój. Nagle jednak na mój

pogodny nastrój zaczyna nasuwać się dzień. Za cyplem Dodman zbierają się z wolna pierwsze wieczorne chmury i długimi palcami sięgają ku wodzie. Morze przybiera; z początku oddalone i nieszkodliwe, przemawia coraz głośniejszym, pełną chylkiem w stronę plaży. Fala powraca. Znika ją białe kamienie i muszelki, woda kryje piasek, moje marzenia schodzą do grobu. Kiedy zapadnie ciemność, a fala przyływu ogarnie mokradła, wejdzie Matty. Zapali świece, szturchnie pogrzebaczem drwa w kominku i samą swą obecnością wniesie nieco ruchu. Jeśli odpowiadam jej lakonicznie albo w ogóle milczę, kręci głową z naganą i przypomina, że koniec roku zawsze źle na mnie wpływał. Ach, ta moja jesienna melancholia... Nawet w odległych czasach, gdy byłam młoda, nadciągała z regularnością zegarka, a wtedy Matty niczym rozgładkana kwoka przeganiała każdego gościa: „Panna Honor nikogo dziś nie przyjmuje”. Rodzina szybko do tego przywykła i zostawiała mnie w spokoju, chociaż słowo „spokój” kiepsko oddaje nastrój czarnej rozpacz, jaka mnie wówczas opadała. Dobrze już, dobrze... to minęło, a przynajmniej skończyły się owe okresy złego humoru - bunt ducha przeciw pokiereszowanemu ciału i chwilom wielkiego bólu, który nie dawał wytchnienia... To były batalie młodości, które odeszły już w przeszłość. Teraz tkwię w jarzmie wieku średniego i o tym także dałoby się wiele powiedzieć. A jednak rezygnacja ma swe dobre strony. Martwi mnie tylko, że nie mogę już tyle czytać. Kiedy miałam lat dwadzieścia pięć czy trzydzieści, książki dawały mi wiele pociechy. Niczym prawdziwy akademik pracowałam ciężko nad łaciną i greką, a nauka stanowiła część mej egzystencji. Teraz okazuje się, że nic mi to nie dało. Cynizm, jaki przejawiałam za młodu, z wiekiem niebezpiecznie się pogłębia, tak twierdzi Robin. Biedny

Robin. Bóg jeden wie, że czasem mama ze mnie towarzyszka. Zresztą jego także lata nie oszczędziły. Ostatnio mocno się postarzał, może, dlatego, że się o mnie martwi? Często myśląc, że już śpię, rozprawia z Matty o swoich obawach, co do przyszłości. Słyszę szmer ich głosów z salonu. Natomiast w mojej obecności zawsze przybiera tę swoją pogodną minę, a wtedy serce ściska mi się z żalu. Brat! Kiedy siedzi obok, przyglądam mu się chłodnym, krytycznym okiem (zawsze tak patrzę na bliskie mi oso by) i dobrze widzę, że ma worki pod oczami, a przy zapalaniu fajki drżą mu ręce. Czy to naprawdę ten sam w gorącej wodzie kapany lekkoduch? Czy naprawdę gnat kiedyś do boju z sokołem na ręce? Czy zaledwie dziesięć lat temu wiódł swych ludzi na Braddock Down, ramię w ramię z Bevilem Grenville'em, [Grenville'owie występujący w tej książce są postaciami historycznymi, ale ich nazwisko pisze się przez dwa l - „Grenville”. Ze strony autorki nie jest to pomyłka - w książce „Yanishing Cornwall” podaje właściwą pisownię, tylko świadoma decyzja, podjęta z nieznanym nam powodów] wymachując przed nosem nieprzyjaciela szkarłatną chorągwią z trzema złotymi tulejami? [Tuleja - część zbroi rycerskiej, służąca do podtrzymywania kopii - wszystkie przypisy tłumaczki]. Czy wreszcie tego mężczyznę widziałam kiedyś w świetle księżyca, jak bił się z rywalem o wiarołomną kobietę?

Dziś taka myśl wydaje się czystą kpina. Mój biedny Robin z siwiejącymi kędziorami opadającymi w nieładzie na ramiona... O, tak, wojna nieźle dała się we znaki nam obojgu. Wojna i Grenvilleowie. Kto wie, czy Robin wciąż jeszcze nie czuje do Gartred tego, co ja do Richarda? Nigdy nie rozmawiamy o tamtych sprawach. Została nam tylko zwykła, szara codzienność. Oglądając się wstecz, nie widzę ani

jednego spośród naszych przyjaciół, którego ominęłoby cierpienie. Tak wielu odeszło, tylu zostało bez grosza przy duszy. Nie zapominam również, że i my z Robinem jesteśmy na cudzej łasce. Gdyby Jonathan Rashleigh nie użyczył nam tego domu, nie mielibyśmy gdzie mieszkać, jako że Lanrest już nie ma, a Radford wciąż zajmują obcy. Sam Jonathan wygląda na steranego starca. To przez ostatni ciężki rok spędzony w więzieniu St Mawes, no i jeszcze śmierć Johna. Natomiast Mary niewiele się zmieniła. Trzeba czegoś więcej niż wojna domowa, by odebrać jej pogodę ducha i wiarę w Boga. Alice z dziećmi wciąż z nimi mieszka, ale ten nicpoń Peter nigdy jej nie odwiedza. A przecież dawniej... Myślę o pewnym wieczorze, kiedy zebraliśmy się wszyscy w galerii. Alice i Peter śpiewali, a John i Joan siedzieli przy kominku, trzymając się za ręce - wszyscy tacy młodzi, takie jeszcze dzieci. Nawet Gartred ze swą wyrachowaną złośliwością nie mogłaby zepsuć nastroju tamtych chwil. To Richard, mój Richard z rozmysłem zniszczył cały czar jedną ze swych okrutnych uwag, a potem patrzył z uśmiechem, jak pryska nasza wesołość i swoboda. Nienawidziłam go wtedy, chociaż rozumiałam, co go podkusiło.

Oby Bóg skarał przeklętych Grenvile'ów, myślałam wtedy. Dlaczego krzywdzą wszystkich wokoło, dlaczego samym tonem głosu obracają szczęście w rozpacz! Co sprawiło, że okrucieństwo stało się dla nich czymś w rodzaju nałogu, dającego niemal zmysłową rozkosz? Jakież zły duch stał nad ich kołyską? Myślę o tamtych dwojgu, bo Bevil był zupełnie inny. Powaga, uprzejmość, troskliwość, niezłomne zasady moralne, czułość wobec dzieci zarówno własnych, jak i cudzych czyniły zeń ozdobę rodu. I obaj synowie przejęli po nim owe cechy. Nie zauważyłam nigdy w Jacku ani Bunnym najmniejszej skazy. Za to Gartred... Te oczy żmii pod burzą

złotorudych włosów, te harde, zmysłowe usta... Nawet za dawnych czasów jej małżeństwa z moim bratem Kitem wydawało mi się absolutnie nie do wiary, że mogłaby kogoś zwieść. A jednak potęga uroku Gartred była wręcz zniewalająca. Moi rodzice miękli wobec niej jak wosk, co się zaś tyczy nieszczęsnego Kita, to wpadł od samego początku, podobnie jak później Robin. Ale mnie nigdy nie zmyliła, nigdy, ani przez chwilę. Cóż, teraz już po jej urodzie. Będzie nosić swą bliznę aż do grobu. Cienka czerwona kreska sięga od oka do ust, tam gdzie trafiło ostrze. Plotka głosi, że mimo to Gartred nadal miewa kochanków, a jej ostatnią zdobyczą stał się ponoć jeden z Careyów, który przypadkiem zamieszkał nieopodal niej w Bideford. Chętnie w to wierzę. Nie przepuściłaby żadnemu sąsiadowi, choć trochę ładniejszemu od diabła, a Careyowie zawsze byli przystojni. Kto wie, teraz, kiedy już wszystko minęło, może potrafiłabym zdobyć się na przebaczenie. Pomyśl igraszek z George'em Careyem - Gartred musi być od niego ze dwadzieścia lat starsza - przy daje nieco koloru naszej szarej rzeczywistości. Bo też i jest szara: smętne miny, znoszone ubrania, kiepskie zbiory i podupadły handel, wszędzie jak okiem sięgnąć zubożała szlachta i wynędzniały lud - oto szczęśliwe skutki wojny. Szpiedzy lorda protektora (Boże, cóż za ironia kryje się w tym tytule!) siedzą w każdym miasteczku i każdej wiosce, więc w razie najcichszego nawet protestu przeciw władzy buntownik natychmiast ląduje pod kluczem. Prezbiterianie mocno dzierżą wodze w chciwych łapskach, a zyskują na tym tylko parweniusze, tacy jak Frank Buller, Robert Bennett czy nasz stary wróg John Robartes, słowem ludzie, którzy chwytają, co się da, i w nosie mają zwykłego człowieka. Obyczaje dziczej, kurtuazja to wartość zapomniana, nikt już nie ufa żadnemu z sąsiadów. Oto nowy,



wspaniały świat! Potulni Anglicy może wytrzymają z tym przez jakiś czas, ale nie my, rdzenni mieszkańcy Konwalii. Nikt nam nie odbierze naszych swobód. Minie rok, dwa i gdy tylko wyliżemy się z ran, wybuchnie następne powstanie, znów poleje się krew i jeszcze więcej serc zostanie złamanych. Ale wciąż będzie nam brakowało prawdziwego wodza. Ach, Richardzie, mój Richardzie... co za diabeł kazał ci się skłócić ze wszystkimi, toć nawet król uważa cię teraz za wroga! Serce mi się ściska na myśl, że popadłeś w niełaskę. Widzę, jak siedzisz przy oknie, samotny i pełen goryczy, patrzysz na monotonne równiny Holandii i dopisujesz ostatnie słowa do swej „Obrony”, której szkic Bunny przyniósł mi ostatnio do przeczytania.

„O, nie pokładaj wiary w książkach ani w żadnym z człowieczych synów, bo nie masz od nich pomocy”. Gorzkie, bezradne słowa, które nie wnoszą niczego dobrego, najwyżej mogą wyrządzić kolejną szkodę.

*Sir Richard Grenville, mimo swej nieugiętej wierności, został publicznie napiętnowany jako złoczyńca, a rzeczoną wierność uznano za zbrodnię. Widać tak być musiało, módlmy się, zatem do Boga, aby pobłogosławił Króla oddanymi doradcami, z których niechaj żaden nie waży się działać na szkodę ani samego monarchy, ani nikogo z jego krewnych. Co zaś do sir Richarda Grenville'a, to niech odejdzie razem ze swymi zasługami, jako stary żołnierz w służbie Króla. Obecnie nie jest potrzebny, ale jeśli sytuacja się zmieni, Rada o nim pomyśli, byle nie za późno. Vale.*

Zawzięty, dumny, rozgoryczony do końca. Bo to już koniec, wiemy o tym oboje. Nic się już nie da zrobić, Richardzie, spaliłeś za sobą wszystkie mosty. Postrach i

obiekt nienawiści zarówno przyjaciół, jak wrogów. Generał Jego Królewskiej Mości na Zachodzie. [Zachód, pisany z dużej litery, oznacza Zachodni Kraj (Western Country), zwany też u nas Zachodnią Anglią. Składa się z hrabstw Avon, Somerset, Devon i Konwalia.] Człowiek, którego kocham...

Kiedy wyspy Scilly poddały się parlamentowi, Jack z Bunnym, którzy dopiero co wrócili z Holandii i Francji, przyjechali na jakiś czas do swego domu w Stowe. Przy okazji wybrali się z wizytą do Rashleighów w Menabilly, zahaczyli też o Tywardreath, aby i mnie złożyć wyrazy uszanowania. Rozmawialiśmy o Richardzie i Jack od razu wypalił:

- Stryj zmienił się nie do poznania. Godzinami siedzi przy oknie swego ponurego pokoju i obserwuje spływające po szybach krople deszczu. Boże, jak w tej Holandii leje! Nie życzy sobie żadnego towarzystwa. Pamiętasz, jak zwykł żartować i przekomarzać się z młodymi? Teraz, jeśli w ogóle się odezwie, to po to, żeby wytykać komuś biedy. Zrządzi niczym złośliwy starzec i wciąż dokucza swym gościom.

- Król już nigdy go do siebie nie wezwie i stryj o tym wie - dodał Bunny. - Kłótnia z Radą skwasiała mu humor na dobre. A już rozdmuchiwanie płomienia starej zwady z Hyde'em to istne szaleństwo.

Wtedy Jack, bardziej spostrzegawczy, widząc wyraz moich oczu, rzekł pośpiesznie:

- Stryj zawsze był swoim najgorszym wrogiem, dla Honor to nic nowego. Tak naprawdę okropnie dokucza mu samotność. I brak widoków na przyszłość.

Na chwilę umilkliśmy wszyscy. Serce rwało mi się do Richarda i nie potrafiłam tego ukryć. Bunny odezwał się cicho:

- Stryj w ogóle nie wspomina o Dicku. Pewnie nigdy się nie dowiemy, jaki los go spotkał.

Poczułam, że robi mi się zimno. Powrócił stary koszmar. Opuściłam głowę, aby nie widzieli mojej twarzy.

- Nie - powiedziałam wolno.- Tego nigdy się nie dowiemy. Bunny bębnił palcami po stole, Jack leniwie przewracał karty książki. Patrzyłam na spokojne wody zatoki i rybackie łódki sunące wokół Blackhead w drodze z Goran Haven. W zachodzącym słońcu ich żagle miały kolor bursztynu.

- Jeżeli - ciągnął Bunny, jakby dyskutując z samym sobą - wpadł w ręce wroga, czemu ten fakt ukryto? To właśnie zawsze mnie intrygowało. Syn Richarda Grenville'a to nie lada kąsek.

Nie odpowiedziałam. Jack poruszył się niespokojnie. Może to małżeństwo wyostrzyło mu zmysł obserwacji - ożenił się zaledwie parę miesięcy przedtem - a może zawsze przejawiał więcej intuicji niż Bunny, w każdym razie doskonale wyczuwał stan mego ducha.

- Nie ma sensu - rzekł - zagłębiać się w przeszłość. Tylko męczymy tym naszą Honor.

Niebawem, ucałowawszy mi ręce, odjechali, ale przyrzekli odwiedzić mnie ponownie przed powrotem do Francji. Obserwowałam, jak galopują, młodzi i wolni, nietknięci przez lata, które minęły. Przyszłość do nich należała, tylko ją chwycić. Pewnego dnia król wróci do stęsknionego kraju, a Jack i Bunny, którzy tak dzielnie sprawiali się w jego służbie, doczekają się nagrody. Oczyma wyobraźni widziałam ich już w Londynie, w Whitehall, opływających w zaszczyty i dostatki. Przed nimi całe lata świetności.

Wojna domowa odejdzie w niepamięć, wraz z

poprzednim pokoleniem, które poświęciło życie dla sprawy czy też raczej ją zaprzepaściło. To właśnie moje pokolenie. Nie zostanie po nas żadne dziedzictwo.

Siedziałam w fotelu, obserwując pogłębiające się cienie, gdy przyszedł Robin. Usiadł przy mnie i na swój burkliwy, lecz jednocześnie czuły sposób wypytywał, czy nie jestem zmęczona. Żałował, że bracia Grenville'owie go nie zastali, ale zaraz zaczął opowiadać o jakiejś drobnej awanturze w sądzie w Tywardreath. Udawałam, że słucham, uświadamiając sobie zarazem nie bez pewnego współczucia, jak bardzo pochłaniają go teraz owe drobne, codzienne sprawy. Tak naprawdę jednak wspominałam, jak niegdyś Robin z towarzyszami zyskali nieśmiertelną sławę brawurową, acz bezskuteczną obroną zamku w Pendennis podczas owych tragicznych letnich miesięcy roku 1646. Jakże byliśmy z nich dumni, jak mocno biły dla nich nasze serca, a teraz? Rozwodzi się szeroko o pięciu kurach, ukradzionych pewnej wdowie z St Blazey. Może mimo wszystko nie jestem cyniczna, może po prostu zżerają mnie sentymentalne wspomnienia? I wtedy właśnie wpadł mi do głowy pomysł, by opisać wypadki tamtych lat. Przynajmniej pozbędę się brzemienia, które wciąż leży mi na sercu. Jak wojna odmieniła nasze życie, jak wszyscy zostaliśmy w nią wciągnięci, jak nas złamała, jak beznadziejnie splotły się ze sobą nasze losy. Gartred i Robin, Richard i ja, cała rodzina Rashleighów zamknięta w tym domu pełnym sekretów... Nic dziwnego, że w końcu ponieśliśmy klęskę. Nawet teraz Robin jeździ co niedziela na obiad do Menabilly, ale ja - nie. Usprawiedliwia mnie choćby stan zdrowia. Wiedząc to, co wiem, nie mogłabym tam wrócić. Menabilly, gdzie rozegrał się nasz dramat, nadal stoi mi przed oczami, choć leży trzy mile od Tywardreath. Dom jest tak samo ogołocony i pu sty,

jak w 1648 roku, gdy stamtąd wyjeżdżałam, Jonathan nie ma serca ani pieniędzy, aby doprowadzić go do poprzedniego stanu. Razem z Mary i wnukami zamieszkuje tylko jedno skrzydło. Modłę się, by na zawsze pozostali nieświadomi owej ostatniej tragedii. Dwoje ludzi za bierze sekret do grobu - Richard i ja. On przebywa w Holandii, setki mil stąd, ja zaś leżę na sofie w Tywardreath, ale cień przypory pada na nas oboje. Kiedy w niedzielę Robin wyrusza do Menabilly, towarzyszę mu myślą. Podążam przez park ku wysokim murom otaczającym dom.

Brama stoi otworem, a zachodnia fasada patrzy na mnie z góry. Ostatnie promienie słońca padają prosto na mą dawną komnatkę nad bramą, gdyż okiennice są otwarte, choć same okna zamknięto na głucho. Pnie się po nich bluszcz, wypuszczając coraz to nowe pędy. Gładki kamień przypory pokrywa inkrustacja porostów. Kiedy znika słońce, zachodnia ściana pograża się w cieniu. Wewnątrz, w jadalni Rashleighowie siedzą przy posiłku, potem zaś ze świecami w ręku rozchodzą się do swych pokoi, coś im się śni, ale ja, w odległym Tywardreath budzę się w nocy na dźwięk dziecinnego głosu, wykrzykującego w przerażeniu moje imię. Chłopięce piąstki tłuką w ścianę i oto wśród nieprzeniknionych ciemności widzę przed sobą upiornego ducha Richardowego syna, który patrzy na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Siadam w łóżku, spocona ze strachu, a wierna Matty, słysząc, że się wiercę, przychodzi i zapala świecę.

Przyrządza mi ciepły napój, rozciera obolałe plecy i otula szalem ramiona. W przyległym pokoju śpi nieświadomy niczego Robin. Próbuję czytać, lecz natłok myśli nie pozwala mi się skupić. Wreszcie Matty przynosi papier i pióro i zabieram się do pisania. Tak wiele mam do powiedzenia, a tak mało czasu... Bo nie luję się, co do przyszłości.

Niezależnie od wyrazu twarzy Robina, mój własny instykt podpowiada mi, że to już ostatnia jesień. Kiedy więc „Obrona” Richarda stanie się tematem rozmów całego świata, by potem spocząć na wieczne czasy w archiwach siedemnastego wieku, moje wynurzenia zejną wraz ze mną do grobu, gdzie - nieprzeczytane przez nikogo - zgniją wraz z moim ciałem, tak jak to sobie postanowiłam.

Wyznam w imieniu Richarda wszystko, co nigdy nie przeszło mu przez usta. Opowiem, jak mimo swych licznych wad i przewinień spotkał na swej drodze kobietę, którą pokochała go z całego serca, duszy i ciała. Owa kobieta to ja. Piszę, więc w środku nocy, przy świeczce, a zegar na wieży kościelnej w Tywardreath wydzwania godzinę za godziną. Ciszę zakłócają jedynie westchnienia wiatru pod oknem i pomruk morza, gdy fala przyływu sunie przez piasek ku mokradłom.

Grtred ujrzałam po raz pierwszy, kiedy mój starszy brat Kit przywiózł ją tuż po ślubie do naszego domu w Lanrest. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, a ja dziesięć i byłam najmłodszym po Percym dzieckiem dużej, bardzo szczęśliwej i wolnej od trosk rodziny. Mój ojciec, John Harris, nie dbał ani trochę o sprawy tego świata. Pochłonięty swymi końmi i psami, żył w spokoju, doglądając niewielkiej rodzinnej posiadłości, Lanrest. Ukryta w samym środku pierścienia wysokich drzew wysoko nad Looe Valley, należała ona do tych cichych, przytulnych siedzib, które zdają się drzemać przez lata, pławiąc się w miłości swych mieszkańców.

Nawet teraz, po trzydziestu latach, wystarczy, że zamknę oczy i pomyślę o domu, a zaraz uderza mnie w nozdrza znajomy zapach siana, rozgrzanego na słońcu i przewianego leniwym po dmuchem wiatru. Widzę wielkie koło, młóćące wodę przy młynach w Lametton, wciągam w płuca duszną woń złotego ziarna. Niebo zawsze było tam aż białe od gołębi - krążyły z łopotem nad naszymi głowami, tak oswojone, że bez obawy dziobały ziarenka wprost z dłoni. Dreptały i gruchały, napuszone i dumne, przyczyniając się do pełnej spokoju, sielskiej atmosfery. Ich ciche pogawarki w długie letnie popołudnia dawały mi wiele pociechy w późniejszych latach, kiedy bracia wśród śmiechów i wesołych okrzyków wyruszali na polowanie z sokołami, a ja nie mogłam im towarzyszyć. Ale to już inny rozdział, wróćmy więc do tego, jak poznałam Gartred. Ślub odbył się w jej rodzinnym domu w Stowe, lecz Percy'ego i mnie z powodu jakichś dziecięcych dolegliwości nie zabrano na ową uroczystość. Od samego początku

wzbudziło to we mnie jakąś głupią niechęć do przyszłej bratowej. Niewątpliwie jako najmłodsza byłam bardzo rozpieszczona, bracia i siostry, a także rodzice psuli mnie na potęgę, toteż dobrze zakarbowalam sobie w pamięci, że panna młoda nie chciała na weselu dzieci i bała się zarazić naszą chorobą.

Pamiętam, jak siedziałam w łóżku z oczami błyszczącymi od gorączki, naprzykrzając się matce:

- Kiedy Cecylia wychodziła za mąż - Cecylia to moja starsza siostra - Percy i ja nieśliśmy tren, a potem pojechaliśmy do Mothercombe i Pollexefenowie byli dla nas bardzo mili, chociaż pochorowaliśmy się z przejedzenia...

Matka odpowiedziała krótko, że tym razem jest inaczej. Stowe to nie Mothercombe, a i Grenville'owie mocno różnią się od Pollexefenów (wydało mi się to najślabszym z argumentów), ona zaś nigdy by sobie nie darowała, gdyby Gartred zaraziła się gorączką. Gartred, w kółko ta Gartred, nikt inny się nie liczył! Potem zaś rozpełtała się nerwowa krzątanka, bo trzeba było przygotować komnatę na wizytę młodej pary. Sprowadzono nowe zasłony, dywany i obicia, a wszystko, dlatego, żeby Gartred nie pomyślała, że Lanrest jest zaniedbane i w kiepskiej kondycji. Służbę zagoniono do sprzątania i czyszczenia, a cały dom przewrócono do góry nogami, tak, że w końcu wszyscy mieli tego dość.

Gdyby chodziło tylko o Kita, mojego kochanego braciszka o gołębim sercu, nigdy w życiu nie ośmieliłabym się uskarżać. Ale Kit jako taki w ogóle dla nich nie istniał. Wszystko to było dla Gartred. Jak każde dziecko, podsłuchiwałam plotkującą służbę.

- Poślubiła naszego panicza tylko, dlatego, że jest dziedzicem sir Christophera z Radford. - To zdanie ciągle się powtarzało wśród brzęku naczyń w kuchni.



Uczepiłam się tego strzępu informacji i obracałam go w myślach razem z opinią rządu:

- To nie w stylu Grenville'ów, żeby łączyć się z jakimś tam pospolicym Harrisem z Lanrest.

Poczułam gniew, a zarazem wstyd. Określenie „pospolicity” odnosiło się, moim zdaniem, do wyglądu mego brata, którego uważałam za przystojnego, i dlatego Harris z Lanrest ma być kiepskim nabytkiem dla panny Grenville? Owszem, Kit rzeczywiście był dziedzicem stryja Christophera z Radford - wielkiego warownego dworu po drugiej stronie Plymouth - ale nigdy dotąd nie przywiązywałam do tego wagi. Teraz po raz pierwszy dotarło do mnie, że małżeństwo nie jest tylko romansiem z bajki, jak sobie wyobrażałam, ale poważnym przedsięwzięciem, układem między wysokimi rodami, połączeniem dwóch majątków. Kiedy Cecylia wychodziła za Johna Pollexefena, którego znała od dziecka, nawet mi to nie przyszło do głowy, teraz jednak ojciec ciągle kursował między Lanrest a Stowe, odbywał długie narady z prawnikami, a na jego czole często gościła pionowa zmarszczka. Małżeństwo Kita urastało do rozmiarów jakiejś wielkiej sprawy wagi państwowej, która w razie niepowodzenia mogła pogrążyć kraj w chaosie.

Kiedy indziej podслуchiwałam prawnika.

- To wcale nie sir Bernard Grenville wynajduje przeszkody, tylko sama panna. Owinęła sobie ojca wokół palca.

Przetrawiałam ową wiadomość przez jakiś czas, a potem powtórzyłam mojej siostrze Mary.

- Czy to normalne - zapytałam z niewątpliwie irytującą powagą - żeby narzeczona wyklócała się o posag?

Mary nie odpowiedziała od razu. Mimo ukończonych dwudziestu lat niewiele wiedziała o życiu, może nawet mniej

niż ja. Widziałam jednak, że była zgorzozona.

- Gartred jest jedyną córką - odrzekła po chwili. - Pewnie uznała, że musi dbać o własne sprawy.

- Ciekawe, czy Kit o tym wie. Coś mi się zdaje, że nie byłby zachwycony.

Wtedy Mary kazała mi trzymać język za zębami i zauważyła, że robi się ze mnie jędrza, co w nikim nie wzbudzi entuzjazmu. Nie dałam się jednak zniechęcić i chociaż nie wspomniałam braciom o owych targach, poszłam naprzykrzać się Robinowi - już wtedy mojemu ulubieńcowi żeby opowiedział mi coś o Grenville'ach. Dopiero, co wrócił z polowania i stał na podwórzu przy stajni, zarumieniony i szczęśliwy, z sokołem na nadgarstku. Pamiętam, że się cofnęłam, bo jak zawsze bałam się złych, głęboko osadzonych oczu ptaka i krwi na jego dziobie. Nie pozwalał się tknąć nikomu poza Robinem, który właśnie gładził mu pióra. Na podwórzu panował harmider, stajenni wycierali konie po biegu, a w kącie przy studni karmiono psy.

- Cieszę się, że to Kit szuka sobie żony, a nie ty - oświadczyłam, czując, że sokół łypie na mnie spod przymkniętych powiek. Robin uśmiechnął się i dotknął wolną ręką moich loków, na co ptak nastroszył się ze złości.

- Gdybym ja był najstarszym synem, pewnie mnie przypadłaby na tym weselu rola pana młodego.

Zerknęłam nań z ukosa i zauważyłam, że uśmiech zniknął mu z twarzy, zastąpiony przez wyraz smutku.

- Dlaczego? Czy ona woli ciebie?

Robin odwrócił się raptownie i nasunawszy kaptur ptakowi, oddał go w ręce sokolnika. Kiedy podnosił mnie do góry, już znowu się uśmiechał.

- Chodźmy zrywać wiśnie. Daj sobie spokój z narzeczoną Kita.

- Ale ci Grenvile'owie? - nastawałam, gdy unosił mnie w ramionach do sadu. - Czemu mamy być tak strasznie dumni z ich powodu?

- Bevil Grenvile to najwspanialszy chłop na świecie. Kit, Jo i ja studiowaliśmy z nim w Oksfordzie. A jego siostra jest bardzo piękna.

Więcej nie udało mi się zeń wyciągnąć. Ale drugi brat, sarkastyczny i dociekliwy Jo, któremu później zadałam to samo pytanie, wyraził zdumienie z powodu mej tępoty.

- Droga Honor, czyżbyś dożyła poważnego wieku dziesięciu lat, nie wiedząc, że w Kornwalii liczą się tylko dwa rody: Grenvile'ów i Arundellów? To jasne, że skromny dom Harrisów ugina się pod zaszczytem, jakiego ma dostąpić nasz drogi brat Kit wraz z boską rączką olśniewającej Gartred.

Po czym wetknął nos w książkę i taki był koniec rozmowy. W następnym tygodniu wszyscy wyjechali do Stowe na wesele. Musiałam zdobyć się na cierpliwość aż do ich powrotu, a wtedy, jak się zresztą obawiałam, matka wymówiła się zmęczeniem, podobnie jak reszta rodzeństwa. Wydawali się apatyczni i wytrąceni z równowagi po tak długim ucztowaniu i zabawie. Tylko trzecia z mych sióstr, Bridget, dała upust wrażeniom. Rozpływała się nad przepychem Stowe i gościnnością Grenvile'ów.

- Nasza siedziba to domek rządcy w porównaniu ze Stowe. Całe Lanrest z przylegającymi gruntami zmieściłoby się w jednej ich kieszeni. Przy kolacji za mym krzesłem stało dwóch służących, a na galerii cały czas grali muzykanci.

- Ale Gartred, co z Gartred? - pytałam gorączkowo.

- Czekaj, zaraz ci powiem. Zaproszono ze dwie setki gości i spałyśmy z Mary w pokoju większym niż którykolwiek z naszych. Miałyśmy do dyspozycji oddzielną

służącą, która nawet nas czesała. A pościel codziennie zmieniano i skraplano perfumami.

- I co, i co jeszcze? - drażylałam, trawiona zazdrością.

- Ojciec chyba czuł się trochę zagubiony. Widywałam go od czasu do czasu, pogrążonego w rozmowie, ale wyglądał sztywno, jakby coś go dusiło. Wszyscy panowie byli tak postrojeni, że prezentował się przy nich dość mizernie. Sir Bernard to bardzo przystojny mężczyzna. W dniu ślubu miał na sobie błękitny kaftan szamerowany srebrem, a ojczulek nosił ten swój ciasnawy, zielony. Sir Bernard jest od niego znacznie wyższy i razem wyglądali trochę śmiesznie.

- Mniejsza o ojca. Chcę słuchać o Gartred.

Bridget uśmiechnęła się z wyższością.

- Najbardziej lubię Bevila - wyznała - jak wszyscy zresztą. Wszędzie go było pełno, doglądał, czy goście mają wszystko, co potrzeba. Lady Grenvile jest żdziebko sztywna, ale Bevil to sama uprzejmość i wdzięk. - Zamilkła na chwilę. - Wiesz? Oni wszyscy mają rude włosy - dodała ni w pięć, ni w dziewięć. - Jak zobaczysz kogoś z taką czupryną, to ani chybi Grenvile. Jeden mi się nie podobał - skrzywiła się. - Wołają go Richard.

- Dlaczego? Taki z niego brzydka?

- Nieee... Jest nawet przystojniejszy niż Bevil. Ale spoglądał na nas w taki szydery, pogardliwy sposób, a kiedy nadepnął mi na suknię, nie raczył nawet przeprosić. „Samaś sobie winna, panienko”, miał czelność powiedzieć. „Czemu nie zbierzesz spódnicy w tym kurzu”. Podobno służy w wojsku.

- Ale Gartred, co z Gartred? Nawet jej nie opisałaś.

Wtedy, ku mej udręce, Bridget ziewnęła i wstała.

- Ooch, taka jestem zmęczona! Na dziś koniec, musisz

zaczekać do rana. Ale Mary, Cecylia i ja zgadzamy się co do jednego: każda z nas chciałaby być do niej podobna.

Teraz wreszcie miałam wyrobić sobie własne zdanie. Staliśmy wszyscy w hallu, by ich powitać - jechali z Radford, posiadłości stryja, dokąd udali się w pierwszej kolejności. Na odgłos końskich kopyt psy wypadły na dziedziniec.

Zebrała się spora gromada witających, bo gościli u nas Pollexefenowie. Cecylia trzymała w ramionach malutką Joan (moją pierwszą chrześniaczkę, co napawało mnie wielką dumą). Wszyscy roześmiani i rozgadani, szczęśliwi - jedna wielka rodzina, która zna się na wylot. Rozpromieniony Kit zeskoczył z siodła... i wtedy ujrzałam Gartred. Mruknęła coś do męża, który zaśmiał się, poczerwieniał i wyciągnął ręce by jej pomóc. W przebłysku intuicji odgadłam, że to, co powiedziała, miało związek z ich intymnym pożyciem i nie dotyczyło nas, jego bliskich. Kit nie był już nasz, należał do Gartred.

Trzymałam się z tyłu, bo nie cierpiałam prezentacji, ale nagle Gartred znalazła się przy mnie, a jej chłodna dłoń uniosła mi podbródek.

- Ty pewnie jesteś Honor?

Ton sugerował, że jestem mała jak na mój wiek albo brzydka, a w każdym razie nie spełniam jej oczekiwań. Z aroganckim uśmiechem przeszła do salonu przed moją matką, a reszta rodziny podążyła za nimi niczym zafascynowane światłem ćmy. Percy, jak to chłopak, wpatrzony w piękną bratową, od razu do niej podszedł, ona zaś włożyła mu do ust kandyzowany owoc. Przygotowała wcześniej łakocie, aby przekupić nas, dzieci, tak jak się obłaskawia psy.

- Czy i Honor ma ochotę? - spytała z lekkim szyderstwem w głosie, jakby instynktownie wyczuła, że najbardziej nie znoszę, kiedy traktuje się mnie jak dziecko.

Nie mogłam oderwać od niej oczu. Coś mi przypominała... i nagle już wiedziałam. Znów byłam małym dzieckiem w Radford, u stryja, który oprowadzał mnie po swych szklarniach. Jeden kwiat - orchidea - rósł zupełnie sam. Miał kolor kości słoniowej z żyłkami ciemnej czerwieni na płatkach, a swym intensywnym, miodowym zapachem doprowadzał mnie do mdłości. Był to najpiękniejszy kwiat, jaki w życiu widziałam. Wyciągnęłam rękę, by pogłodzić aksamitne płatki, ale wtedy wuj złapał mnie za ramię.

- Nie dotykaj go, dziecko. Łodyga jest trująca.

Cofnęłam się, wystraszona.

Tak, teraz zauważyłam, że łodyga jeży się ostrymi i lepкими włoskami. Wyglądały jak tysiące miniaturowych mieczy.

Gartred była taka sama. Kiedy podała mi smaczny kąsek, odwróciłam się i potrząsnęłam głową, a wówczas ojciec, który nigdy w życiu me odezwał się do mnie szorstko, zwrócił mi ostro uwagę:

- Honor, jak ty się zachowujesz?

Gartred roześmiała się i wzruszyła ramionami. Wszyscy zwrócili na mnie potępiający wzrok i nawet Robin zmarszczył brwi. Matka kazała mi iść na górę, do mojego pokoju. Oto, jak Gartred zaprezentowała się w Lanrest.

Małżeństwo Kita trwało trzy lata i nie zamierzam rozwodzić się na ten temat. Od tego czasu tyle się wydarzyło, że późniejsze życie Gartred widzę bardziej jaskrawo, a batalie, jakie toczyłyśmy z sobą w owych wczesnych latach, zbladły w mej pamięci i stały się nieistotne. Jedno jest pewne: toczyłyśmy z sobą nieustanną wojnę. Gartred - młoda, pewna siebie, dumna - i ja - naburmuszone dziecko, ciągle podglądające ją zza drzwi czy parawanów - zdawałyśmy

sobie świetnie sprawę z naszej wzajemnej wrogości. Młoda para częściej przebywała w Radford i Stowe niż w Lanrest, ale kiedy przyjeżdżali, przysięgam, że na cały dom padał cień. Wciąż jeszcze będąc dzieckiem, nie potrafiłam tego wytłumaczyć, ale dzieci, podobnie jak zwierzęta, ma ją nieomylny instynkt. Małżeństwo okazało się bezdzietne, to pierwszy cios. Wiem, że rodzice czuli się zawiedzeni, bo słyszałam, jak o tym rozmawiali. Cecylia zjeżdżała regularnie na kolejne porody, ale nigdy nie słyszałam najmniejszych plotek o Gartred. Jeździła konno i polowała z sokołem jak my, i nie przesiadywała też w swoim pokoju, uskarżając się na zmęczenie, co często zdarzało się Cecylii. Raz matka zdobyła się na uwagę:

- Kiedy ja wyszłam za męża, moja Gartred, nigdy nie jeździłam konno ani nie polowałam, bo bałam się poronienia.

Na co moja bratowa, która właśnie przycinała paznokcie malutkimi nożyczkami ozdobionymi macicą perłową, podniosła na nią wzrok i od parła:

- Nie ma w mym brzuchu niczego, co mogłabym poronić, za który to stan rzeczy możecie winić tylko swego syna.

Mówiła cichym, pełnym jadu głosem. Matka wlepiła w nią zdumiony wzrok, a po chwili podniosła się i wyszła, zmieszana. Wówczas po raz pierwszy poczuła ów jad. Co do mnie, to z całej rozmowy zrozumiałam tylko tyle, że Gartred ma o coś żal do mego brata, gdyż niebawem Kit wpadł do pokoju i podchodząc do niej, spytał z wyrzutem:

- Czy oskarżyłaś mnie przed matką?

Spojrzeli na mnie znacząco i domyśliłam się, że powinnam ich zostawić samych. Wyszłam do ogrodu i zaczęłam karmić gołębie, ale spokój opuścił już nasz dom. Od tej pory wszystko się źle układało i między nimi, i między

nami wszystkimi. Kit wyraźnie się zmienił. Obnosił się z urażoną miną, zupełnie jak nie on, a jego stosunki z ojcem, dotychczas takie serdeczne, znacznie ochłodziły. Stał się też napastliwy, i to nie tylko wobec ojca, ale i w stosunku do reszty rodziny. Już nie podobał mu się nasz tryb życia, wciąż porównywał Lanrest do Radford, a jednocześnie dziwnie płaszczył się przed Gartred. Ta wstrętna uniżoność nie miała w sobie nic z czułości, a w moich bezkompromisowych oczach czyniła go wręcz podłym. W następnym roku wybrano go na posła z okręgu West Looe, więc oboje wiele czasu spędzali w Londynie, ale kiedy zjeżdżali do Lanrest, samą swą obecnością wywoływali atmosferę napięcia. Pewnej nocy, gdy rodzice gdzieś wyjechali, Kit i Robin okropnie się pokłócili. Był środek lata, w powietrzu wisiał duszny upał, więc wymknęłam się z dzieciennego pokoju i w nocnej koszuli przedostałam do ogrodu. Wszyscy domownicy spali, pamiętam, jak przekradałam się chyłkiem pod oknami niczym mały duszek. Przez otwarte na oścież okna gościnniej komnaty dobiegł mnie podniesiony głos Kita. Jakaś diabelska ciekawość zmusiła mnie do podsłuchiwania.

- Zawsze to samo, gdziekolwiek pojedziemy - krzyczał. - Robisz ze mnie durnia w oczach wszystkich ludzi, a dziś nawet wobec mego rodzonego brata. Powiadam ci, dłużej tego nie zniosę!

Usłyszałam śmiech Gartred. Cień Kita przesunął się po suficie w świetle drżącego płomienia świecy. Przez chwilę mówili cicho, lecz nagle mój brat wybuchnął:

- Myślisz, że jestem ślepy? Według ciebie upadłem tak nisko, że zamknę oczy na wszystko, bylebym czasem mógł cię dotknąć? Uważasz, że było mi miło patrzeć, jak spoglądasz na Anthonyego Denysa tamtej nocy w Stowe, kiedy niespodziewanie wróciłem z Londynu? Przecież on ma



dorastające dzieci, a jego żona jeszcze nie ostygła w grobie!  
Czy ty w ogóle nie masz litości?

Znów w jego głosie odezwała się ta płacziwa nuta, której tak nienawidziłam. I znów Gartred zaśmiała się w odpowiedzi.

- A dziś wieczorem przy stole - ciągnął Kit - szczyrzyłaś zęby do niego, do mego brata!

Zrobiło mi się niedobrze i trochę się wystraszyłam, czułam jednak zarazem dziwne podniecenie. Serce waliło mi jak młotem. Nagle usłyszałam szelest i obejrzałam się przez ramię. W ciemnościach, za moimi plecami stał Robin.

- Odejdź stąd szepnął. - Odejdź w tej chwili.

Pokazałam mu otwarte okno.

- To Kit i Gartred - wyjaśniłam. - Jest na nią wściekły, bo uśmiechała się do ciebie.

Robin gwałtownie wciągnął powietrze. Potem odwrócił się, jakby chciał odejść, kiedy nagle Kit wrzasnął strasznym głosem:

- Jeśli do tego dojdzie, to cię zabiję! Przysięgam na Boga, zabiję!

Wtedy Robin błyskawicznie chwycił kamień i rzucił nim w otwarte okno, tłukąc szybę na drobne kawałki.

- A wtedy Bóg cię przeklnie za tchórzostwo! Lepiej zejdź tutaj i zabij mnie zamiast niej!

Spojrzałam w górę i zobaczyłam Kita, z bladą i udreconą twarzą, a z tyłu Gartred z rozpuszczonymi włosami. Obraz ten wrył mi się w pamięć na zawsze: dwoje ludzi w oknie - na dole zaś Robin, nagle tak różny od brata, którego tak dobrze znałam i kochałam, ziejący pogardą, z wyzwaniem w oczach. Poczułam wstyd za niego, za Kita, za siebie, ale przede wszystkim wezbrała we mnie fala nienawiści do Gartred, która rozpętała całą tę burzę, a sama

pozostała nietknięta.

Odwrociłam się i uciekłam, zatykając palcami uszy. Wśliznęłam się do łóżka bez słowa i naciągnęłam kołdrę na głowę, drżąc ze strachu, że rano zobaczę na trawniku trzy rozsiekane ciała. Ale tego, co działo się później, nigdy się nie dowiedziałam. Nastął dzień i wszystko było jak przedtem, tylko Robin wyjechał zaraz po śniadaniu i nie wrócił, póki Kit z Gartred nie wyruszyli do Radford jakieś pięć dni później. Czy ktoś z rodziny domyślił się, co zaszło? Tego także nigdy nie odkryłam. Byłam zbyt wystraszona, by pytać, poza tym odkąd pojawiła się wśród nas Gartred, zanikł nasz stary zwyczaj dzielenia się z rodziną troskami. Staliśmy się wobec siebie uprzejmiejsi, ale i bardziej skryci.

W następnym, 1623 roku przetoczyła się przez Kornwalię epidemia ospy - istny bicz boży. Ledwie kilka rodzin zostało oszczędzonych. W Liskeard ludzie barykadowali się w domach, sklepikarze zamykali okiennice i ze strachu przed zarazą zamarł wszelki handel.

W czerwcu zachorował mój ojciec i po kilku dniach zmarł. Nie zdołaliśmy jeszcze otrząsnąć się z tego ciosu, kiedy nadeszła wiadomość od stryja z Radford, że i Kita dosięgła zaraza i nie ma nadziei na jego wyzdrowienie.

Tak, więc ojciec i syn odeszli w przeciągu kilku tygodni, a głową rodziny został nasz uczony Jo. Zbyt mocno cierpieliśmy po owej podwójnej stracie, by zaprządać sobie głowę Gartred, która na pierwszą wieść o zarazie uciekła do Stowe i dzięki temu uniknęła podobnego losu. Kiedy jednak przyszło do ogłoszenia dwóch testamentów, dowiedzieliśmy się, że chociaż Lanrest, a później Radford miało przejść w ręce Jo, żyzne łąki Lametton oraz młyn przypadły dożywotnio Gartred.

Zjechała wraz z bratem Bevilem na odczytanie

testamentu i nawet Cecylia, najłagodniejsza z mych sióstr, poczuła się zgorszona i urażona jej chłodnym zachowaniem i skąpstwem, z jakim doglądała odmierzenia każdego akra w Lametton. Bevil, teraz już żonaty i nasz bliski sąsiad z Killigarth, robił, co w jego mocy, żeby załagodzić nieprzyjemne wrażenie, i chociaż dopiero co wyrosłam wtedy z dziecięcego wieku, do dziś pamiętam, jak bardzo było mi za niego przykro. Nic dziwnego, że wszyscy go kochali. Zastanawiałam się w duchu, co naprawdę myślał o swej siostrze i czy jej uroda zmaćła mu umysł tak samo, jak każdemu mężczyźnie.

Kiedy wreszcie załatwiono sprawy spadkowe i Bevil z Gartred odjechali, wszyscy chyba odetchnęli z ulgą, że obeszło się bez żadnego zatargu, który niechybnie wywołałby waśń między naszymi rodzinami. Matka nic wprawdzie nie mówiła, ale na wieść, że Lanrest przypadło Joemu, na pewno kamień spadł jej z serca.

Przez cały czas tej wizyty Robin pozostawał poza domem i chyba nikt poza mną nie potrafiłby odgadnąć przyczyny.

Rankiem w dniu wyjazdu Gartred jakiś impuls kazał mi przystanąć na chwilę przed jej sypialnią i przez otwarte drzwi zajrzeć do środka. Ponieważ oświadczyła, że całe urządzenie pokoju należało do Kita, a tym samym do niej, służba przez cały poprzedni dzień zajmowała się ściąganiem zasłon i wynoszeniem wybranych mebli. Teraz, w tej ostatniej chwili przed wyjazdem, Gartred była sama i właśnie wyciągała z kąta małą sekretkę. Nie wiedziała, że ją obserwuję, i wreszcie mogłam zobaczyć tę śliczną twarz bez maski. Ze zmrużonymi oczami i wysuniętą wargą szarpała szufladkę z taką siłą, że w końcu część rozpadła jej się w rękę. Było tam kilka błyskotek, raczej niewielkiej wartości, ale Gartred o

nich nie zapomniała. Nagle zobaczyła mnie w lustrze.

- Nie krępuj się, wystarczą nam gołe ściany - powiedziałam, kiedy nasze oczy się spotkały. Ojciec, gdyby żył, wysmagałby mnie za to batem, bracia zresztą także, ale na szczęście żaden mnie nie słyszał.

- Od samego początku mnie szpiegowałaś - rzekła cicho, ale bez uśmiechu, bo w końcu nie byłam mężczyzną.

- Mam przecież oczy.

Nie śpiesząc się, wsunęła klejnoty do woreczka przy pasku.

- Bądź wdzięczna losowi, że się mnie pozbywasz. Nie sądzę, byśmy się jeszcze spotkały.

- I ja mam taką nadzieję.

Nagle się zaśmiała.

- Szkoda, że twój brat nie miał, choć trochę takiego temperamentu!

- O którym bracie mówisz?

Umilkła na chwilę, niepewna, ile wiem, a potem dotknęła mego policzka smukłym palcem.

- O wszystkich.

Odwróciła się tyłem i z sąsiedniego pokoju przywołała służącą. Schodziłam wolno na dół z głową pękającą od pytań. W hallu zobaczyłam Joego, który wodził palcem po wielkiej mapie na ścianie. Minęłam go bez słowa i wyszłam do ogrodu.

Gartred opuściła dom w lektyce, za którą ciągnął się długi rząd koni i sług ze Stowe, dźwigających jej dobytek. Z kryjówki wśród drzew obserwowałam, jak znikają w tumanie kurzu na drodze do Liskeard.

- No i po wszystkim - powiedziałam do siebie. - To już ostatnia z tej rodziniki. Nareszcie koniec z Grenville'ami!

Los jednak zdecydował inaczej.

Osiemnaste urodziny. Słoneczny grudniowy ranek. Mój duch buja w powietrzu niczym ptak, kiedy patrzę z Radford na oślepiające w słońcu morze. Właśnie do cieśniny Plymouth wpływa flota Jego Królewskiej Mości.

Nie obchodziło mnie, że ekspedycja, z której wracały okręty, okazała się chybionym przedsięwzięciem i że w dalekiej Francji pozostała niezdojta La Rochelle. Niech starsi się tym martwią. Tutaj, w Devonie, wśród licznie zgromadzonej młodzieży panowały radość i wesele. Cóż to był za widok! Ponad osiemdziesiąt jednostek stłoczonych między Wyspą Drakea a Mount Batten, wydęte zachodnim wiatrem białe żagle, kolorowe bandery łopoczące na złocistych masztach... Każdy z okrętów mijający fort Mount Batten witała salwa armatnia, w odpowiedzi zaś padał rozkaz pochylenia bandery, rzucenia kotwicy i zajęcia miejsca na przeciwko wejścia do Cattwater. Gawieź na klifach machała rękami i wrzeszczała, co sił w płucach, załogi okrętów wiwatowały na potęgę, bito w bębny, grzmiały trąbki. Burty oblepione były żołnierzami, którzy tłoczyli się też na wysokich parapetach i czepiali takielunku. Napierśniki lśniły w słońcu, podobnie jak szpady, którymi wywijali w odpowiedzi na pozdrowienia tłumów. Zebrani na rufach oficerowie, ilekroć wmieszali się między żołnierzy, połykiwali szkarłatem, błękitem i zielenią.

Z masztu każdej jednostki powiewała chorągiew dowódcy i gdy tylko tłum rozpoznał barwy i znaki devońskiej lub kornwalijskiej szlachty, powietrze wypełniał nowy wybuch wrzasków, na które natychmiast odpowiadali ziomkowie z okrętów. Sunęły, więc kolejno: dwugłowy orzeł

Godolphinów, rączy jeleń Trevannionów z Caerhayes, sześć jaskółek licznych członków klanu Arundellów i - chyba najpiękniejszy ze wszystkich - znak Champemowne'ów z Devonu: łabędź ze złotą podkową w dziobie.

Pomiędzy większymi jednostkami przemykały się i małe, połyskujące żywymi barwami, a na ich wąskich pokładach było aż czarno od żołnierzy. Niektóre z owych stateczków widywałam już wcześniej, zacumowane w Looe Harbour czy w Fowey. Wracały teraz nadwerężone w sztormami i pokiereszowane w bitwach, ale z dumnie powiewającymi proporcami tych, którzy je zbudowali, obsadzili ludźmi i wyposażyli na wojnę - był wśród nich wilczy łeb, znak naszego sąsiada Trelawneya, oraz kruk Rashleighów z Menabilly.

Na czele sunął wielki trójmasztowiec z dowódcą ekspedycji, diukiem Buckingham, na pokładzie. Po powitalnym salucie z Mount Batten z okrętu odpowiedziano salwą z sześciu dział. Na głównym maszcie powiewała chorągiew diuka. Niebawem, ustawivszy okręt pod wiatr, rzucono kotwicę, a że reszta floty uczyniła to samo, powietrze wypełnił potworny hurgot blisko setki wyrzucanych łańcuchów, nie sący się od klifów Radford, gdzie staliśmy, pewnie aż do Saltash i ujścia Tamar.

Flotylla obracała się z wolna dziobami w stronę Cawsand i wybrzeża Kornwalii, rufy ustawiły się w równym rzędzie, w iluminatorach załśniło słońce, oświetlając rzeźbione ozdoby - węże, lwie łapy i tym podobne.

Nad wodą ciągle niosły się dźwięki trąbek i huk bębnow, lecz nagle zapadła cisza. Umilkły wiwaty i radosna wrzawa, a na okręcie dowodzonym przez diuka Buckingham ktoś wydał rozkaz wysokim, donośnym głosem. Żołnierze, którzy dotąd tłoczyli się na parapetach, błyskawicznie je

opuścili i ustawili się długim szeregiem na śródokręciu. Poruszali się jak jeden mąż, bez poszturchiwań czy przepychanek. Padł następny rozkaz i po jednym uderzeniu w bęben momentalnie, jakby w jednym poruszeniu, szalupy wypełniły się ludźmi i zostały spuszczone na wodę. Barwne pióra wiosła wzniosły się jak do ataku, ludzie na ławkach siedzieli sztywno wyprostowani i nieruchomi niczym kukły.

Cały manewr od chwili wydania pierwszego rozkazu trwał około trzech minut. Szybkość, precyzja i idealna dyscyplina owej procedury wyrwały z gardeł zgromadzonych tłumów najpotężniejszy okrzyk zachwytu, jaki rozległ się w tym dniu, i sama nie wiem, dlaczego, poczułam na policzkach bezsensowne łzy.

- Tak właśnie myślałem powiedział stojący poniżej jegomość. - Tylko jeden człowiek na całym Zachodzie potrafi zmienić niesforny motłoch w straż przyboczną Jego Królewskiej Mości. O, proszę, tam, pod chorągwią diuka podnoszą drugą z herbem Grenville'ów!

Jeszcze zanim skończył mówić, zauważyłam szkarłatny proporzec pełznący w górę masztu. Gdy się rozwinął na wietrze, załśniły w słońcu trzy złote tuleje.

Szalupy z oficerami odbiły od burty i nagle znów rozległy się radosne okrzyki. To łodzie z Plymouth, szczerlnie wypełnione ludźmi, wypływały z Cattwater na powitanie floty. W mgnieniu oka pokryły całą cieśninę, a ludzie z klifów rzucili się ku Mount Batten, pchając się jeden przez drugiego, żeby jako pierwsi dotrzeć do cumujących szalup. Czar prysł i wróciliśmy do dworu.

- Szykuje ci się, siostrzyczko, piękne zakończenie dnia urodzin - oznajmił z uśmiechem Jo. - Jesteśmy zaproszeni na zamek. Diuk Buckingham wydaje ucztę.

Właśnie wrócił z twierdzy Mount Batten i czekał na

schodach, by nas powitać. Kilka lat temu, po śmierci wuja Christophera, Jo odziedziczył Radford i odtąd wiele czasu spędzaliśmy, kursując między jego nowymi włościami a Lanrest. Nasz brat stał się niebawem ważną osobistością, zwłaszcza w Devonie, gdyż poza tym, że sprawował urząd zastępcy szeryfa hrabstwa, wziął za żonę bogatą dziedziczkę Elizabeth Champernowne, która brak urody nadrabiała miłym i zgodnym charakterem. Bridget, idąc za przykładem Cecylii, poślubiła członka jednej z devońskich rodzin, teraz więc tylko Mary i ja pozostawałyśmy w panińskim stanie.

- Z dziesięć tysięcy chłopa będzie dziś hulać na ulicach Plymouth - straszyl nas żartem Robin. - Wystarczy spuścić nasze dziewczęta z oka, a raz-dwa znajdą mężów!

- Chyba, że przedtem przytniesz Honor język - odparł Jo - bo jak zaczniesz sobie na nich używać, zapomną i o pięknych lokach, i błękitnych oczkach!

- Dajcie mi spokój, sama sobie poradzę.

Wciąż jeszcze byłam enfant terrible, rozpuszczonym oczkiem w głowie całej rodziny. Cieszyłam się doskonałym zdrowiem, nie brakło mi animuszu, a i języka w gębie też raczej nie zapominałam. Co więcej - ach, jakże dawne to czasy - uważano mnie również za rodzinną piękność, chociaż rysy miałam bardziej zuchwałe niż klasyczne i wciąż musiałam wspinać się na palce, żeby dosięgnąć Robinowego ramienia. Pamiętam, jak tamtego wieczoru wsiedliśmy na łódź i popłynęliśmy przez Cattwater do zamku. Zdawałoby się, że całe Plymouth wyległo na wodę albo na wały. W oddali, na zachodzie migotały światła zakotwiczonych okrętów, błyszczały iluminatory, a na mętnej wodzie kładły się promienie rufowych latarni. Po przybiciu do brzegu okazało się, że tłum gawiedzi napiera na wejście do zamku i wszędzie kręcą się rozbawieni żołnierze w



otoczeniu dziewcząt, które obdarowywały ich kwiatami i wstążkami. Na bruku, przy ogniskach stały beczki z piwem, stopy placek i słodkich wypieków oraz serów. Pomyślałam, że dziewczki służebne ze swymi żołnierzami na pewno bawiły się znacznie lepiej od szlachealnych dam, które strzegły swej godności za zamkowymi murami.

Po chwili radosny zgiewk gawiedzi został za nami, a powietrze wypełniła duszna woń pachnideł, aksamitów, jedwabi i przyprawionego korzeniami jada. Znaleźliśmy się w wielkiej sali, gdzie pod przepastnym sklepieniem ludzkie głosy brzmiały głucho i obco. Od czasu do czasu rozlegał się donośny okrzyk gwardzisty: „Przejście dla jego wysokości diuka Buckingham!” i zaraz wszyscy rozsuwali się na boki, aby przepuścić wodza, który krążył wśród gości, czyniąc honory domu niczym sam król.

Z bijącym mocno sercem i pałającymi policzkami chłonełam barwne, ekscytujące widowisko. Jakże to wszystko odbiegało od leniwej, spokojnej atmosfery Lanrest! Na dodatek w młodzieńczej naiwności wyobraziłam sobie, że cała ta olśniewająca gala ma pewien niejasny związek z moimi urodzinami.

- Jak tu pięknie! Nie cieszysz się, że nas zaproszono? - zapytałam Mary.

Ta, zawsze powściągliwa przy obcych, dotknęła tylko mego ramienia i mruknęła:

- Ciszej, Honor! Ludzie na nas patrzą.

Wyraźnie zamierzała wycofać się pod ścianę, natomiast ja - wręcz przeciwnie. Przeciskałam się do przodu, pożerałam wzrokiem feerię barw, szczyrzyłam zęby w uśmiechu nawet do nieznanomych, nie przejmując się ani trochę, że mogę się wydać nazbyt śmiałą. Nagle ciżba się rozstała, utworzono szpaler i znalazłam się sama o krok od

diuka i jego świty. Mary zniknęła, byłam, więc zdana tylko na siebie. Pamiętam, że przez chwilę stałam jak porażona, a potem, zgubiwszy gdzieś całą pewność siebie, zgięłam się w niskim ukłonie, niczym przed samym królem Karolem. Powietrze nad moją głową zadrgało od tłumionego śmiechu. Kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam Joe'go. Miał dość dziwną minę - wydawał się jednocześnie ubawiony i zakłopotany. Wystąpił z orszaku diuka, pochylił się nade mną i pomógł mi wstać, gdyż wskutek zbyt głębokiego dygu zachwiałam się na nogach.

- Czy wolno mi przedstawić waszej wysokości moją siostrę Honor? - Usłyszałam jego głos. - Obchodzi dziś osiemnaste urodziny i to jej pierwszy występ w towarzystwie.

Diuk Buckingham skłonił się z powagą i uniósłszy mą dłoń do warg, życzył mi wiele szczęścia.

- Może i pierwszy to występ waszej siostry, drogi Harrisie - rzekł łaskawie - ale przy takiej urodzie powinniście dopilnować, aby nie był ostatnim.

I oddalił się, w chmurze perfum, szumiąc aksamitami. Mój brat podążył za nim wraz z resztą świty, rzuciwszy mi na odchodnym spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Zakląłam pod nosem (może zresztą nie tylko pod nosem i w dodatku użyłam brzydkiego, stajennego słowa, które podsłuchałam kiedyś u Robina) i wtedy ktoś za moimi plecami po wiedział:

- Jeśli zechcecie towarzyszyć mi na mury, pani, to wam pokażę, jak należy to robić.

Odwróciłam się błyskawicznie, spłoniona z oburzenia. Z wysokości ponad sześciu stóp patrzył na mnie z ironicznym uśmiechem oficer, wciąż jeszcze w srebrzystym napierśniku, nałożonym na błękitną tunikę i ze srebrzysto-błękitną szarfą w pasie. Miał złotobrazowe oczy i ciemnorude włosy, a w jego uszach zauważyłam złote kółeczka - wypisz, wymaluj

jak u tureckiego rozbójnika.

- To ma być lekcja dworskich dygów czy przekleństw?

- spytałam ze złością.

- Cóż... może jednego i drugiego, wedle życzenia.

Wasz ukłon był godny pożałowania, a to drugie... czysta amatorszczyzna.

Bezczelność nieznanego z początku odebrała mi mowę. Nie wierzyłam wprost własnym uszom. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Mary albo Elizabeth, miłej i łagodnej żony Joego, ale obie zniknęły mi z oczu i znalazłam się wśród samych obcych. Teraz najważniejsze to wycofać się z godnością. Obróciłam się na pięcie i wmieszałam w tłum, przepychając się rozpaczliwie do wyjścia, gdy nagle znów usłyszałam za sobą ten szydery, acz wyraźny i donośny głos:

- Przejście dla panny Honor Harris z Lanrest!

Ludzie spoglądali na mnie w zdumieniu, cofając się mimo woli, i oto miałam przed sobą wolną drogę.

Szłam dalej z płonącymi policzkami, ledwie zdając sobie sprawę z tego, co robię, i wkrótce znalazłam się wcale nie przy głównym wejściu, jak się spodziewałam, ale w chłodnym powietrzu na murach od strony cieśniny Plymouth. W dole rozbawiony tłum gawiedzi tańczył i śpiewał na bruku. Mój arogancki towarzysz by najmniej mnie nie opuszczał. Stał obok z ręką na szpadzie i zerkał na mnie z tym samym drwiącym uśmieszkiem.

- Więc to jest owa dziewczuszka, której tak bardzo nie cierpiała moja siostra!

- O co wam chodzi, do diabła?

- Na jej miejscu sprawiłbym ci lanie.

Znałam skądś ten głos i te dziwnie obwisłe powieki.

- Kim jesteście, panie?

- Sir Richard Grenvile, pułkownik w służbie Jego Królewskiej Mości, przed chwilą podniesiony do godności szlacheckiej za nadzwyczajne zasługi na polu bitwy.

Zanucił coś pod nosem, bawiąc się szarfą.

- Szkoda - odparłam - że wasze maniery nie dorównują męstwu.

- Szkoda, że wasza postura nie dorównuje urodzie.

Ten przytyk do mego wzrostu - zawsze byłam czuła na jego punkcie, bo po trzynastym roku życia nie urosłam ani o cal - ponownie doprowadził mnie do furii. Bluznęłam potokiem takich słów, na jakie Jo i Robin pozwalali sobie tylko w stanie największego wzburzenia i to najwyżej wobec koniuchów, nigdy zaś w mojej obecności. Przyswoiłam je sobie wyłącznie dzięki paskudnemu nawykowi podsłuchiwania. Jeśli jednak spodziewałam się, że Richard Grenvile choćby mrugnie okiem, to na próżno zdzierałam gardło. Z miną guwernera odpytującego uczennicę z lekcji czekał, aż skończę, po czym pokręcił głową.

- Język angielski ma zbyt szorstkie brzmienie do tego rodzaju popisów - stwierdził. - Wolę hiszpański, jest wdzięczniejszy i bardziej pasuje do gorącego temperamentu. Proszę posłuchać.

I zaczął wylewać z siebie hiszpańskie, miłe dla ucha przekleństwa, które z pewnością zyskałyby mój podziw, gdyby wyszły z ust Joego czy Robina. Słuchając, próbowałam odnaleźć w jego twarzy podobieństwo do Gartred, ale daremnie. Przypominał teraz Bevila, ale miał w sobie więcej wigoru i zadzierzystości. Czułam, że za grosz nie dba o cudzą opinię i liczy się tylko z własnym zdaniem.

Nagle urwał i rzekł:

- Przyznajcie, że was pobitem! - wtrącił nagle. Uśmiech, już nie ironiczny, ale rozbrajający, dokonał reszty i

moja złość minęła. - Chodźmy popatrzeć na flotę - zaproponował pojednawczo - okręty na kotwicy to piękny widok.

Podeszliśmy do murów obronnych i syciliśmy wzrok widokiem cieśniny. Noc była cicha i na bezchmurnym niebie świecił księżyc. Nieruchome sylwetki okrętów odcinały się wyraźnie na tle srebrzystego blasku. Marynarze śpiewali, ich odległe głosy płynęły ku nam po wodzie, jakże odmienne od rubasznej wesołości tłumów na ulicach.

- Wielkie straty ponieśliście pod La Rochelle? - zagadnęłam.

- Nie większe, niż się spodziewałem po ekspedycji z góry skazanej na niepowodzenie - odparł, wzruszając ramionami. - Okręty wypełnione są rannymi, którzy już nigdy nie wrócą do zdrowia. Bardziej po ludzku byłoby wyrzucić ich wszystkich za burtę.

Zerknęłam nań z powątpiewaniem, zastanawiając się, czy to nie kolejny przejaw jego szczególnego poczucia humoru.

- Jedyni żołnierze, którzy odznaczyli się w tej wyprawie, to ci pod moją komendą - ciągnął - ale nikt poza mną nie przywiązywał wagi do dyscypliny. Nic dziwnego, że atak się nie powiódł.

Jego zadufanie zdumiało mnie nie mniej niż poprzednia bezczelność.

- Czy i ze swymi przełożonymi rozmawiacie w ten sposób?

- Jeśli macie, pani, na myśli kogoś, kto lepiej ode mnie zna się na sprawach wojska, to wiedzcie, że takowy nie istnieje. A co do wyższych ranga, moja odpowiedź brzmi: tak, nieodmiennie. I dlatego właśnie, choć nie skończyłem nawet dwudziestu dziewięciu lat, jestem najbardziej

znieawidzonym oficerem w służbie Jego Królewskiej Mości.

Patrzył na mnie z góry, uśmiechając się, a mnie raz jeszcze zabrakło stów.

Przypomniało mi się, co mówiła moja siostra Bridget o tym, jak na ślubie Kita nadepnął jej na suknię. Ciekawe, czy na całym świecie jest ktoś, kto go lubi.

- A diuk Buckingham? - spytałam przekornie. - Czy i do niego mówicie tym samym tonem?

- Och, George to mój stary przyjaciel. Robi, co mu każą, ale mnie nie sprawia kłopotu. Spójrzcie na tę pijaną bandę, tam, na dziedzińcu. Mój Boże, gdyby byli pod moją komendą, kazałbym powywieszać bękartów, co do jednego!

Wskazał mi placyk w dole, gdzie gromada żołnierzy wszczęła burdę przy beczce piwa.

- Moglibyście darować im tym razem, tak długo byli na morzu!

- A niech sobie wyżłopiają całe piwo z beczek i pogwałcą wszystkie dziewczki w Plymouth, ale niech zachowują się przy tym jak ludzie, a nie jak bydło, i wypiorą najpierw te zaświnione kubraki! - Odwrócił się, pełen obrzydzenia. - No - rzekł innym tonem - zobaczmy teraz, czy przede mną dygniecie ładniej niż przed diukiem. Zbierzcie spódnice... ugnijcie prawe kolano, o tak. A teraz przerzućcie cały ciężar swej mikrej postaci na lewą nogę... dobrze!

Spełniałam te polecenia, trzęsąc się w duchu ze śmiechu, bo czyż to nie zabawne, że pułkownik Jego Królewskiej Mości uczy mnie dworskich dygów na murach zamku Plymouth?

- Zapewniam was, że nic w tym śmiesznego - oznajmił z powagą. - Niezdarna kobieta wygląda na diabelnie źle wychowaną. O, to było doskonałe. Jeszcze raz! Idealnie! No

proszę, potraficie, wystarczy się ździebko postarać! Ale prawda jest taka, że leniwe z was ladaco i widać, że bracia nigdy nie wygarbowali wam należycie skóry. - Z zadziwiającym spokojem poprawił mi suknię i rozprostował koronki wokół ramion. - Nie będę siedział przy stole z niechlujną niewiastą - mruknął.

- Nie zamierzam siadać z wami do stołu, mój panie - odciełam się natychmiast.

- Nikt inny nie poprosi was o towarzystwo, mógłbym przysiąc. No już, oto moje ramię. Jestem taki głodny, że starczy mi apetytu za nas oboje.

Poprowadził mnie z powrotem do zamku. Ku mej konsternacji okazało się, że w sali jadalnej goście siedzą już przy długich stołach, a służba roznosi półmiski. Od razu wszystkie oczy zwróciły się w naszą stronę i moja zwykła pewność siebie gdzieś się ulotniła. Cóż, w końcu był to mój pierwszy występ w świecie.

- Chodźmy stąd - szepnęłam, szarpiąc mego towarzysza za ramię. - Spójrzcie tylko, nie ma dla nas miejsca, wszystkie pozajmowane...

- Zawrócić? Nigdy w życiu. Jeść mi się chce!

Przepchnął się za kordon służby, niemal unosząc mnie w powietrzu.

Widziałam setki wlepionych w nas oczu, słyszałam szmer rozmów. W pewnej chwili mignęła mi Mary, siedząca obok Robina daleko, w samym środku sali. Patrzyła na mnie ze zgrozą i zdumieniem, a jej usta ułożyły się w moje imię, wypowiedziane szeptem do brata. Nie pozostało mi nic innego, jak iść naprzód, przydeptyjąc w pośpiechu suknię i wspierając się na ramieniu Richarda Grenville'a, aż do szczytu głównego, ustawionego wyżej od innych stołu, przy którym ucztował w całym majestacie diuk Buckingham u

boku hrabiny Mount Edgcumbe oraz sam kwiat devońskiej i kornwalijskiej szlachty.

- Ależ to honorowe miejsca - zaprotestowałam, opierając się z całej siły.

- Więc co z tego? - spytał, rzucając mi zdziwione spojrzenie. - Niech mnie diabli, jeśli usiądę gdzie indziej. Przejdźcie dla sir Richarda Grenvilea!

Na dźwięk jego głosu służący rozpląszczyli się przy ścianie, a diuk przerwał rozmowę z hrabiną. Przysunięto krzesła, goście się ścieśnili i oto siedzieliśmy przy głównym stole, na wyciągnięcie ręki od samego diuka. Hrabina przyglądała mi się z kamiennym wyrazem twarzy, ale Richard Grenvile pochylił się ku niej z uśmiechem.

- Wasza wielmożność zechce poznać moją szwagierkę, pannę Honor Harris. Skończyła dziś osiemnaście lat.

Hrabina skinęła głową i nadal pozostała niewzruszona.

- Możecie na nią nie zważać - powiedział do mnie Richard. - Jest głucha jak pień. Ale uśmiech, na miłość boską, uśmiech! I nie gąpcie się jak sroka w gnat.

Chciałam umrzeć, modliłam się o nagłą śmierć, ale daremnie. Musiałam więc zabrać się do pieczonego łabędzia, którego hojnie nałożono mi na talerz.

Diuk Buckingham zwrócił się do mnie z kielichem w rękę.

- Życzę wam, panienko, abyście jeszcze po wielokroć mogli obchodzić rocznicę owego szczęsnego dnia.

Wymamrotałam jakieś podziękowanie, usiłując lokami zasłonić spłonione policzki.

- Czcza formalność - szepnął mi w ucho Richard Grenvile. - Niech wam to nie uderzy do głowy. George ma z tuzin metres, a poza tym jest zakochany w królowej Francji.

Jadł z widocznym upodobaniem, mówił przy tym z



pełnymi ustami, wieszając psy na sąsiadach, a że nie zadawał sobie trudu, by ściszyć głos, mogłabym przysiąc, że słyszeli każde słowo. Co do mnie, to nie czułam smaku ani jada, ani napojów. Przez całą długą wieczność siedziałam półprzytomna jak ryba wyrzucona na brzeg. Wreszcie moja udreńka dobiegła końca. Poczulałam, że mój towarzysz ściąga mnie z krzesła i usiłuje postawić na nogi. Wino, które piłam bez umiaru, tak jakby to była woda, sprawiło, iż nogi trzęsły mi się jak galareta i musiałam się oprzeć, by nie upaść. Z tego, co wydarzyło się później, niewiele zapamiętałam. Była muzyka, śpiewy, sycylijscy tancerze, obwieszeni wstążkami, tańczyli tarantelę, ale gdy na koniec wpadli w szalony wir, poniosłam ostateczną klęskę. Ze wstydem wyznaję, że wyprowadzono mnie do jakiejś innej, stosownie zaciemnionej komnaty, gdzie spłaciłam dług naturze, łącznie z pieczonym łabędziem. Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, leżałam na sofie, a obok mnie siedział Richard Grenville. Trzymał mnie za rękę i zwilżał mi czoło swoją chustką.

- Musisz nauczyć się pić wino - rzekł surowo.

Czułam się bardzo chora, bardzo zawstydzona i lży cisnęły mi się do oczu.

- No nie! - Głos, dotąd tak uszczypliwy i szorstki, nabrał dziwnie tkliwego tonu. - Nie wolno płakać w dniu urodzin!

I ponownie zwilżył mi czoło.

- J-jeszcze nigdy nie jad-dłam p-pieczzonego łabędzia - wyjąkałam, zamykając w udreńce oczy na samo wspomnienie.

- To nie łabędź, tylko burgund - mruknął. - Leż spokojnie, niedługo ci przejdzie.

Po prawdzie wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie i byłam szczerze wdzięczna za tę silną dłoń, która kojarzyła mi się z matką. Nie widziałam niczego osobliwego w tym, że

leżę chora w ciemnym pokoju, a Richard Grenvile dogląda mnie niczym najtroskliwsza niańka.

- Nie cierpiałam was z początku - wyznałam - ale teraz zaczynam lubić.

- Szkoda, że aby to usłyszeć, musiałem cię doprowadzić do wymiotów.

Zaśmiałam się na to, ale zaraz znów zaczęłam jęczeć, bo chyba łabędź nie do końca mnie opuścił.

- Oprzyj się na mym ramieniu! Biedne małeństwo, co za fatalne za kończenie osiemnastych urodzin!

Wiedziałam, że trzęsie się z tłumionego śmiechu, ale te delikatne dłonie, tkliwy głos... Poczułam się dziwnie szczęśliwa.

- Mimo wszystko jesteś taki sam jak Bevil.

- Nieprawda. Bevil to dżentelmen, a ja jestem łajdakiem. Zawsze byłem czarną owcą w rodzinie.

- A co z Gartred?

- Gartred sama ustanawia dla siebie prawa. Chyba przekonałaś się o tym jeszcze w dzieciństwie, kiedy została żoną twojego brata.

- Nienawidziłam jej z całego serca.

- Wcale ci się nie dziwię.

- A teraz, kiedy wyszła drugi raz za mąż, czy wreszcie czuje się zadowolona?

- Gartred nic nie zadowolili. Od urodzenia była chciwa i to nie tylko na pieniądze, ale także na mężczyzn. Anthony'ego Denysa, swego obecnego męża, uwodziła jeszcze przed śmiercią twego brata.

- Nie jego jednego - mruknęłam.

- Miałaś długie uszy jak na małą dziewczynkę.

Usiadłam i poprawiłam loki. Richard pomógł mi doprowadzić suknię do porządku.

- Byliście bardzo uprzejmi - zmieniłam ton na bardziej oficjalny, nagle świadoma swej dorosłości.

- Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

- Ani ja.

- Może lepiej będzie, jeśli zaprowadzicie mnie do braci.

- Może rzeczywiście będzie lepiej.

Chwiejnym krokiem wyszłam z ciemnej komnaty na oświetlony korytarz.

- Gdzieśmy byli? - spytałam z ciekawością, oglądając się do tyłu. - Co to za izdebka?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł, wybuchając śmiechem.

- Ale idę o zakład, że hrabina Mount Edgcumbe zwykła się tu czesać. - Patrzył na mnie z uśmiechem i nagle musnął rękami moje loki. - Coś ci powiem, panienko. Nigdy w życiu nie siedziałem przy rzygającej kobiecie.

- Ja również nigdy nie zhańbiłam się tak przy żadnym mężczyźnie - odparłam z godnością.

Nagle pochylił się i uniósł mnie w ramionach jak dziecko.

- A jeśli kryłem się w ciemnych alkowach z taką ślicznotką jak ty, moja Honor, to tylko w niecnych zamiarach. - Na ułamek sekundy przytulił mnie do piersi, a potem opuścił z powrotem na podłogę. - Teraz, jeśli pozwolisz, odwiezę cię do domu.

Oto, jak sądzę, jasna i zgodna z prawdą relacja z mego pierwszego spotkania z Richardem Grenville'em.

Nim minął tydzień, zostałam odesłana pod opiekę matki do Lanrest, przypuszczalnie w dowód niełaski za me karygodne zachowanie. Gdy tylko znalazłam się w domu, zaczęły się niezliczone kazania na temat tego, jak powinna się prowadzić dobrze urodzona panna w moim wieku. Można by pomyśleć, że dosłownie wszyscy ucierpieli z mego powodu. Mój fatalny ukłon przed diukiem okrył wstydem Joego, jego żona Elizabeth obraziła się za to, że ośmieliłam się zająć miejsce przy honorowym stole, do którego jej nie zaproszono. Zrobiłam przykrość Mary, porzucając ją na cały wieczór, poza tym widziano mnie na murach, jak dokazywałam z jakimś oficerem, a wreszcie dobrze po północy wychyłam z nieprzeznaczonych dla gości apartamentów w stanie godnym pożałowania.

Takie zachowanie, jak surowo orzekła moja matka, skazuje mnie na potępienie w oczach całego świata, i to być może na zawsze. Gdyby żył mój ojciec, jak nic wylądowałabym na kilka lat w klasztorze, aby pokutą wymazać ów przykry incydent z ludzkiej pamięci. A na razie... tu matkę zawiodło natchnienie. Ponieważ zarówno Cecylia, jak Bridget miały niebawem zlegnąć i w związku z tym żadna nie mogła mnie zabrać, skończyło się na lamentach i zostałam w domu.

Lanrest po pobycie w Radford wydało mi się śmiertelnie nudne. Robin nie wrócił ze mną, a Percy wciąż przebywał w Oksfordzie, tak, więc niełaskę musiałam znosić w osamotnieniu. Pamiętam, że w parę tygodni później, wczesną wiosną, siedziałam w ponurym nastroju na jabłoni, w mojej ulubionej kryjówce jeszcze z lat dziecińczych, kiedy

nagle w dolinie ukazał się samotny jeździec. Przez pewien czas zasłaniały mi go drzewa, ale tętent konia stawał się coraz głośniejszy, co oznaczało, że człowiek ów zmierza do Lanrest. Spodziejając się Robina, zesłam z drzewa i pobiegłam do stajni. Tam zobaczyłam, że pacholek prowadzi do boksu pięknego myszatego konia, ku domowi zaś idzie jakiś wysoki mężczyzna. Zamierzałam pofolgować staremu nawykowi, podsłuchując pod drzwiami salonu, ale natknęłam się na schodzącą z góry matkę.

- Zechcesz udać się do swego pokoju, moja Honor, i pozostać tam, póki gość nie odjedzie.

W pierwszym impulsie chciałam spytać o nazwisko przybyłego, ale w porę uświadomiłam sobie, że to wysoce niewłaściwe, więc chociaż płonęłam z ciekawości, powlokłam się potulnie na górę. Tam natychmiast zadzwoniłam na Matty, pokojówkę, która usługując od kilku lat mnie i moim siostram, stała się mą wypróbowaną sojuszniczką. Miała uszy niemal tak długie jak ja, równie wścibiński nos, a teraz na jej poczciwej, okrągłej twarzy gościł psotny uśmiech.

- Zaczekam w hallu, póki nie wyjdzie, i dowiem się, kto zacz - obiecała. - Piękny pan, ani słowa, wysoki, potężnie zbudowany...

- Ale chyba nikt z Bodmin? - Spłoszyłam się nagle, przerażona, że jednak chcą mnie wysłać do klasztoru.

- Skądże znowu, na Boga! To jakiś młody pan, w błękitnym płaszczu przetykanym srebrem.

Błękit i srebro. Barwy Grenville'ów.

- Czy ma rude włosy? - spytałam, drżąc z podniecenia.

- Istny płomień, panienko! Można by ogrzać sobie rękę.

A to ci dopiero heca! Na dziś koniec z nudą. Wysłałam

Matty na dół, a sama krążyłam niecierpliwie po sypialni. Wizyta musiała być krótka, bo niebawem usłyszałam, że drzwi salonu się otwierają i tubalny, tak dobrze zapamiętany głos wypowiedział kilka słów pożegnania. Potem rozległy się kroki, które skierowały się w stronę dziedzińca. Moje okno wychodziło na ogród, więc nie mogłam wyrzucić i wydało mi się, że minęła cała wieczność, zanim wreszcie pojawiła się Matty. Oczy jej błyszczały, a pod fartuszkciem trzymała zwinięty kawałek papieru oraz sztukę srebra.

- Kazał wam to oddać i zatrzymać pieniądze.

Rozwinęłam kartkę, czując się jak przestępca.

*Droga Siostrze! Chociaż Gartred wymieniła Harrisa na Denysa, wciąż uważam się za Twego brata i rezerwuję sobie prawo widywania się z Tobą. Twoja dobra matka, niestety, jest innego zdania, bo definitywnie mnie odprawiła, oświadczywszy, że czujesz się niedysponowana. Ponieważ nie zwykłem thuc się przez dziesięć mil po próżnicy, przykaż swej służącej, by wskazała mi jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać z dala od ludzkich oczu. Idę bowiem o zakład, że nie jesteś bardziej niedysponowana niż Twój brat i sługa*

*Richard Grenville.*

W pierwszej chwili postanowiłam nie odpowiadać, bo zdenerwowała mnie jego pewność, że spełnię potulnie wszystkie polecenia, ale ciekawość i bijące serce szybko wzięły górę nad dumą. Kazałam Matty zaprowadzić Richarda do sadu, tylko okrężną drogą, żeby nikt z domu go nie dostrzegł. Potem nastawiłam uszu, by zorientować się, gdzie jest matka. Tak, to na pewno jej kroki słyszałam na schodach, zaraz też weszła do mego pokoju. Zastała mnie siedzącą przy oknie z książką do nabożeństwa na kolanach.

- Cieszę się, widząc cię tak pobożną, moja Honor -

pochwalała mnie,

Nic nie odpowiedziałam, ale z potulną miną dalej wpatrywałam się w książkę.

- To był sir Richard Grenville, ten sam, z którym tak nieprzystojnie zachowywałaś się w Plymouth. Opuścił już nasz dom. Zdaje się, że na jakiś czas wystąpił z wojska i zamierza osiedlić się niedaleko nas w Killigarth jako poseł z okręgu Fowey. To dość nagła decyzja.

Nadal się nie odzywałam.

- Nigdy nie słyszałam o nim niczego dobrego - ciągnęła matka. - zawsze sprawiał rodzinie mnóstwo kłopotów, a Bevil ma z nim prawdziwy krzyż pański, gdyż jego brat zawsze tkwił po uszy w długach. Nie sądzę, by okazał się miłym sąsiadem.

- Przynajmniej dzielny z niego żołnierz - nie wytrzymałam w końcu.

- O tym nic mi nie wiadomo, ale nie życzę sobie, aby tu przyjeżdżał i żądał widzenia się z tobą pod nieobecność twoich braci. To wielki brak delikatności z jego strony.

I na tym zakończyła rozmowę. Usłyszałam, że idzie do swego pokoju i zamyka drzwi. W mgnieniu oka zrzuciłam trzewiki i trzymając je w rękę, na palcach zbiegłam do ogrodu. Potem jak wiatr pomknęłam do sadu i po paru minutach siedziałam bezpiecznie w swej kryjówce na jabłoni. Wkrótce pod drzewami rozległy się mocne kroki. Rozsunąwszy kwitnące gałązki, ujrzałam Richarda Grenville'a, zgiętego wpool pod niskimi konarami. Ułamałam gałązkę i rzuciłam mu na głowę. Otrząsnął ją z siebie i rozejrzał się dookoła. Wtedy druga trafiła go ostrym końcem w nos.

- Do stu tysięcy dia... - zaczął, ale zaraz podniósł głowę i zobaczył na gałęzi moją roześmianą twarz. Błyskawicznie

wspiał się na drzewo, objął mnie mocno i przycisnął do pnia. Gałąź skrzyknęła złowieszczo.

- Złaż w tej chwili! - szepnęłam. - Gałąź nie utrzyma nas obojga!

- Utrzyma, jeśli nie będziesz się szarpać.

Jeden fałszywy ruch - i zwalimy się na ziemię, dziesięć stóp jak obszył. Ale „nie szarpać się” oznaczało pozwolić miażdżyć się w uścisku z twarzą± tuż przy jego twarzy.

- Przecież tak nie da się rozmawiać! - zaproponowałam.

- Dlaczego? Mnie jest bardzo wygodnie.

Ostrożnie rozprostował nogę i przyciągnął mnie jeszcze bliżej.

- No, więc, co masz mi do powiedzenia? - spytał takim tonem, jak bym to ja domagała się tej rozmowy.

Powiadomiłam go, zatem, że popadłam w niełaszkę, że bracia i siostry odesłali mnie z Plymouth do domu i że teraz jestem traktowana jak więzień.

- I nie masz, po co tu przyjeżdżać - dodałam - bo matka nigdy nie pozwoli ci mnie widywać. Zdaje się, że masz fatalną± reputację.

- Jak to?

- Ciągle tkwisz w długach... to jej słowa.

- Grenville'owie nigdy nie wychodzą z długów. To nasza wielka rodzinna wada. Nawet Bevil musi pożyczycić od Żydów.

- Ma z tobą krzyż pański, podobnie jak reszta rodziny.

- Wprost przeciwnie, to ja mam z nimi krzyż pański. Rzadko, kiedy udaje mi się wyciągnąć od nich, choć pensa. Co jeszcze mówiła twoja matka?

- Że to wielki brak delikatności przyjeżdżać tutaj pod nieobecność moich braci.



- I tu się myli. To dowód wielkiego sprytu, nabytego poprzez długą praktykę.

- A co do twego męstwa na polu walki, to nic jej o tym nie wiadomo.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jak wszystkie matki, interesuje ją teraz męstwo na zupełnie innych polach.

- Nie rozumiem.

- To znaczy, że jesteś mniej bystra, niż myślałem. - Rozluźnił uścisk i zerknął na mój kołnierz.

- Skorek ci łązi po piersi.

Odsunęłam się, wytracona z równowagi tym nagłym zwrotem od spraw romantycznych do prozy życia.

- Sądzę, że moja matka ma rację - powiedziałam sztywno. - A ponieważ nie spodziewam się wiele po dalszej z tobą znajomości, najlepiej będzie od razu położyć jej kres.

Moja pozycja nie sprzyjała zachowaniu godności, ale zrobiłam pewien wysiłek, by usiąść prosto i jakoś się pozbierać.

- Nie zejdiesz, póki ci nie pozwolę. - Rzeczywiście zagroził mi drogę wysuniętą nogą. - To świetna okazja do lekcji hiszpańskiego - mruknął.

- Nie chcę się uczyć hiszpańskiego!

Wówczas wybuchnął śmiechem i ująwszy w dłonie mą twarz, niespodziewanie mnie pocałował. Nowe, dziwnie przyjemne doznanie odebrało mi na chwilę mowę i zdolność do sprzeciwu. Odwróciłam głowę i zaczęłam bawić się kwiatami.

- Teraz możesz iść, jeśli sobie życzysz.

Wcale sobie nie życzyłam, ale duma nie pozwoliła mi się do tego przyznać. Mój towarzysz zsunął się na ziemię i postawił mnie obok siebie.

- Nielatwo wykazać się męstwem, siedząc na jabłoni.

Możesz prze kazać to matce.

Znów miał na twarzy ów ironiczny uśmieszek, który po raz pierwszy zauważyłam w Plymouth.

- Ani mi się śni - obruszyłam się, urażona tak obcesową odprawą.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, po czym rzekł:

- Każ ogrodnikowi przyciąć górną gałąź, to następnym razem będzie sam wygodniej.

- Nie jestem pewna, czy mam chęć na następny raz.

- Masz, masz! Ja zresztą także. Poza tym mój koń potrzebuje ruchu.

Skreślił między drzewa, kierując się ku bramie, gdzie zostawił wierzchowca. Szłam za nim, brnęłam w wysokiej trawie. Sięgnął po uzdę i wskoczył na siodło.

- Z Killigarth do Lanrest jest dziesięć mil. Jeśli będę tu przyjeżdżał dwa razy w tygodniu, mój Daniel przed końcem lata nabierze świetnej kondycji. Zjawię się we wtorek, pamiętaj o poleceniu dla ogrodnika.

Pomachał mi rękawicą i odjechał.

Patrzyłam za nim, jakis czas, wmawiając sobie, że jest tak samo odrażający jak Gartred i nie chcę go więcej widzieć. A jednak we wtorek znów siedziałam na jabłoni.

I tak zaczął się ów osobliwy, lecz najśladzszy w świecie romans. Ręczę, iż żadna panna z mego pokolenia nie przeżyła podobnego. Teraz, po dwudziestu pięciu latach, kiedy ciąg wydarzeń układa mi się w głowie z większą klarownością, wydaje mi się to czymś absolutnie nierealnym, jakimś sennym marzeniem. Raz, a czasem dwa razy na tydzień Richard przyjeżdżał do Lanrest i gdy tak siedzieliśmy na jabłoni niczym w gniazdku (gałąź kazałam przyciąć, zgodnie z jego poleceniem), uczył mnie miłości, a ja byłam mu

wzajemną. Miał wtedy raptem dwadzieścia osiem lat, a ja osiemnaście. Tamte marcowe i kwietniowe dni, kiedy pszczoły brzęczały nam nad głowami, gdy gwizdał kos, a trawa w sadzie z każdym dniem stawała się bujniejsza, zdawały się nie mieć końca ani początku. O czym rozmawialiśmy w przerwach między pocałunkami, kompletnie zapomniałam. Pewnie opowiadał mi dużo o sobie, bo jego myśli zawsze koncentrowały się przede wszystkim na własnej osobie, wówczas nawet bardziej niż w późniejszym okresie. Wyrobiłam, więc sobie obraz rudowłosego młodzieńca, który buntował się przeciw wszelkiej władzy, chełpił się swymi wyczynami wobec starszych i zwykł wpatrywać się w miotany sztormami Atlantyk z wysokich urwisk północnej Kornwalii, tak odmiennych od wybrzeża południowego, gdzie pełno jest spokojnych zatoczek i łagodnych dolin.

Myślę, że my, mieszkańcy południowo-wschodniej Kornwalii, mamy łatwiejsze charaktery, a to ze względu na umiarkowany klimat zarówno w deszczu, jak w słońcu oraz z uwagi na łagodną linię brzegu, stworzoną wprost do błogiego leniuchowania. Natomiast na ziemi Grenville'ów, nagiej, bez żywoplotów i drzew, wystawionej ze wszystkich czterech stron na porywiste, przesycone pyłem wodnym wichry - rodzą się ludzie bystrzejsi, bardziej zapalczywi, skorzy do gniewu. Zresztą± życie ich nie rozpieszcza i niesie z sobą wiele niebezpieczeństw. U nas rzadko zdarzają± się morskie tragedie, tam wybrzeże usłane jest szczątkami rozbitych statków, próżno pokładających nadzieję w niebiosach, a wśród poszarpanych ciał topielców igrają foki i krążą sokoły. Tych kilka mil kwadratowych ziemi, na której urodziliśmy się i wychowaliśmy, trzyma nas przy sobie bardziej, niż gotowiśmy przyznać, toteż dobrze rozumiem, jakie demony

niepokoję legły się w duszy Richarda Grenville'a.

Te przemyślenia pochodzą z późniejszego okresu. Wtedy, za naszych młodych lat nic mnie to wszystko nie obchodziło. Czy mówił mi o wojaczce, czy o Stowe, o walkach we Francji albo tych, które prowadził z własną rodziną, w moich uszach rozbrzmiewało to jednakową nutą szczęścia, a kiedy mnie tulił i całował, w jednej chwili w zapomnienie szły wszelkie złośliwe żarty. To dziwne, że nikt nas nie przyłapał na tej jabłoni. Może Richard na swój beztroski, wielkopański sposób sypał na prawo i lewo złotem, przekupując służbę? W każdym razie moja matka z pewnością żyła wtedy w błogiej nieświadomości.

Pewnego dnia na początku kwietnia przyjechali z Radford Jo z Robinem, a wraz z nimi młody Edward Champernowne, brat Elizabeth. Uszczęśliwiona obecnością braci, nie miałam jednak absolutnie ochoty na wymianę grzecznych słówek z obcym młodzieńcem. W dodatku wystawały mu górne zęby, co wydawało mi się nie do wybaczenia, no i bałam się, że wyjdą na jaw moje sekretne spotkania. Po obiedzie Jo, Robin i Edward Champernowne zamknęli się z matką w bibliotece, a mnie kazano bawić Elizabeth rozmową. Nie wspomniała ani słowem o incydencie w Plymouth, za co byłam jej wdzięczna, ale zaczęła wnosić pod niebiosa Edwarda. Ponoć był o rok starszy ode mnie i dopiero, co wrócił z Oksfordu. Słuchałam jednym uchem, bo głowę miałam nabitą Richardem, który znowu wpadł w długi i na ostatnim spotkaniu przebąkiwał coś o sprzedaży majątków Killigarth i Tywardreath, odziedziczonych po matce. Potem zamierzał uwięzić mnie do Hiszpanii albo Neapolu, gdzie mieliśmy zostać rozbójnikami i żyć jak książęta.

Późnym wieczorem wezwano mnie do pokoju matki,

gdzie oprócz niej zastałam Joego i Robina, ale bez Edwarda Champernowne'a. Cała trójka miała wielce zadowolone z siebie miny. Matka przyciągnęła mnie do siebie, ucałowała czule i oznajmiła, że spotkało mnie wielkie szczęście, bo Edward Champernowne poprosił o moją rękę. Bracia wyrazili już zgodę i wszystko, łącznie z moim posagiem, powiększonym o okrągłą sumkę od Joego, zostało ułożone. Nie pozostało, więc nic innego, jak tylko wyznaczyć datę. Chyba cały czas gapiłam się na nich ogłupiałym wzrokiem, aż wreszcie coś we mnie pękło. Wrzasnęłam dziko, że prędzej rzucę się z dachu, niż poślubię Edwarda, a wyjdę tylko za tego, kogo sama sobie wybiorę. Na próżno matka mnie przekonywała, na próżno Jo rozwodził się nad cnotami młodego Champernowne'a, jego statecznością i szlachetną postawą. To przecież zdumiewające, że po tym, jak zachowałam się kilka miesięcy temu, w ogóle ktoś chce się ze mną ożenić.

- Weszłaś, moja Honor w wiek, w którym tylko poprzez małżeństwo możesz ułożyć sobie życie. W tej sprawie matka i ja jesteśmy najlepszymi sędziami.

Potrząsnęłam głową, wbijając sobie paznokcie w zaciśnięte pięści.

- Powiedziałam, że za niego nie wyjdę!

Robin nie brał udziału w rozmowie. Siedział nieco na uboczu, ale teraz wstał i stanął u mego boku.

- Mówiłem ci, Jo, że na nic się zda zmuszać Honor, jeśli nie ma ku niemu skłonności. Dajcie jej trochę czasu, niech się oswoi z naszymi planami, a może zmieni zdanie.

- Edward Champernowne też może to zrobić - odparł Jo.

- Najlepiej załatwić wszystko teraz, kiedy jest na

miejscu - dodała matka.

Patrzyłam w ich zgnębione, niepewne twarze. Przecież mnie kochali i naprawdę martwił ich mój upór.

- Nie - powiedziałam stanowczo. - Prędzej umrę.

Nieprzytomna z gniewu, wypadłam z pokoju, pobiegłam do siebie i zaryglowałam drzwi. W mojej bujnej, przewrażliwionej wyobraźni matka i bracia jawili mi się jako źli opiekunowie z bajek, a ja sama byłam nieszczęśliwą księżniczką, której każą poślubić potwora, choć wiedziałam, że nieszkodliwy Edward Champernowne nie tknąłby mnie nawet palcem. Odczekałam, aż całe towarzystwo położy się spać, zmieniłam suknię, narzuciłam na siebie płaszcz i chyłkiem wymknęłam się z domu. W pustej głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: ni mniej ni więcej, pójść piechotą do Killigarth, do Richarda. Po niedawnej burzy noc była pogodna. Z bijącym sercem ruszyłam gościńcem ku rzece, przez którą przeprawiłam się o milę za Lanrest. Potem skierowałam się na zachód, w stronę Pelynt, ale droga okazała się kiepska i poprzecinana licznymi ścieżkami.

Wkrótce zrozumiałam, jakie głupstwo zrobiłam, bo nie znając się na gwiazdach, nie potrafiłam odnaleźć właściwego kierunku. Poza tym nie przywykłam do długich marszów i miałam za cienkie trzewiki. Noc zdawała się nie mieć końca, podobnie jak droga. Różne szelesty i pomruki napępiały mnie przerażeniem, chociaż sama przed sobą udawałam, że nic mnie to nie obchodzi. O świcie znalazłam się przy kolejnym strumieniu w głębi lasu. Dopiero, kiedy zmęczona i obszarpana wspierałam się na jeszcze jedno wzgórze, zobaczyłam wreszcie pierwszy przeblysł morza z garbem wyspy Looe rysującym się w oddali na wschodzie.

W tym momencie pojąłam, że to jakiś wewnętrzny instynkt zawiódł mnie na wybrzeże. Wcale nie zdążałam na

północ, jak się obawiałam, ale smuga dymu między drzewami i szczekanie psów ostrzegły mnie, że wtargnęłam na cudzy teren, a bynajmniej nie miałam ochoty, by mnie przyłapano.

Około godziny szóstej spotkałam na gościńcu wieśniaka, który musiał wziąć mnie za czarownicę, bo skrzyżował na mój widok palce i splunął, ale pokazał mi ścieżkę do Killigarth.

Słońce stało już wysoko nad morzem i w zatoce Talland ustawił się rząd kutrów rybackich. Zobaczyłam wysokie kominy dworu i raz jeszcze pożałowałam swej wyprawy, bo jakże ja się pokażę Richardowi w takim stanie? Gdyby był sam w domu, to jeszcze ujdzie, ale jeśli siedzi tam Bevil ze swą żoną Grace i dalsza rodzina, której nie znam? Podeszłam chyłkiem jak złodziej i stanęłam pod oknem, nie wiedząc, co dalej. W rześkim powietrzu poranka służba uwijała się zwawo, słyszałam brzęk naczyń w kuchni, szmer głosów, wdychałam zapach bekonu i wędzonej szynki. Z otwartych okien po słonecznej stronie buchał śmiech i męskie głosy.

O, jakże pragnęłam znaleźć się znowu w mej panińskiej komnatce w Lanrest, ale nie było powrotu. Pociągnęłam sznur dzwonka i usłyszałam, jak jego dźwięk roznosi się echem po domu. W drzwiach pojawił się lokaj w liberii Grenville'ów z surową, nieprzystępną miną. Cofnęłam się odruchowo.

- Czego tu? - warknął.

- Chcę się widzieć z sir Richardem.

- Sir Richard je śniadanie ze swymi gośćmi i nie będzie sobie przerywał. Wynocha!

Przez otwarte drzwi jadalni słyszałam śmiech i rozmowy. Głos Richarda wybijał się wśród innych.

- Muszę się z nim widzieć - nalegałam, bliska łez.

Lokaj już wyciągał rękę, by złapać mnie za kołnierz, kiedy do hallu wszedł sam Richard. Trzymał jeszcze w ręku serwetkę i pełnymi ustami mówił coś ze śmiechem, spoglądając przez ramię na kogoś w pokoju.

- Richardzie! - zawołałam. - Richardzie, to ja, Honor!

Ruszył w moją stronę, wyraźnie zdumiony.

- Co do dia...

Urwał i skławszy sługę, kazał mu się wynosić, a mnie wprowadził do małej garderoby.

- Co to znaczy? O co chodzi? - pytał gorączkowo, a ja, kompletnie skonana, padłam mu w ramiona i wybuchnęłam płaczem.

- Cicho, moje maleństwo, uspokój się już - szeptał, tuląc mnie do piersi i głaszcząc po włosach, póki nie ochłonełam na tyle, żeby mu wszystko powiedzieć.

- Chcą mnie wydać za Edwarda Champernowne'a - wyjąkałam (ależ to głupio zabrzmiało) - a ja odpowiedziałam, że to wykluczone i całą noc szłam tu piechotą...

Poczułam, że trzęsie się ze śmiechu, tak jak tamtego pierwszego wieczoru, kiedy zwymiotowałam łabędzia.

- To wszystko? Zrobiłaś dwanaście mil z okładem, tylko dlatego, żeby mnie o tym zawiadomić?

Podniosłam na niego oczy, zdziwiona, że można się śmiać z tak poważnych spraw.

- Więc co ja teraz pocznę?

- Cóż, pošlesz ich do wszystkich diabłów, oczywiście, a jeśli zabraknie ci odwagi, ja to zrobię. Teraz chodź na śniadanie.

W popłochu uczepiłam się jego ramienia. Skoro tamten wieśniak wziął mnie za czarownicę czy żebraczkę, to Bóg jeden wie, co powiedzą na mój widok przyjaciele Richarda. Ten nie słuchał jednak moich protestów, tylko



pociągnął mnie do jadalni tak, jak stałam, w tej uszarganej sukni i płaszczu, w podartych pantofelkach. Ujrzałam Ranalda Mohuna, młodego Trelawneya, Toma Treffry'ego, Jonathana Rashleigha i z pół tuzina innych, których nie znałam.

- Oto panna Honor Harris z Lanrest - przedstawił mnie Richard. - Sądzę, że niektórzy z panów już ją znają.

Powstali jak jeden mąż i zaczęli się kłaniać. Na ich twarzach wyraźnie odbijało się zdumienie i zakłopotanie.

- Uciekła z domu - ciągnął mój ukochany bez śladu skrepowania. - Chcieli ją wydać za Edwarda Champernowne'a, dasz wiarę. Tomie?

- Doprawdy? - bąknął Tom Treffry i kryjąc zmieszanie, pochylał się, żeby pogłaskać psa po uchu.

- Pozwolisz trochę bekonu. Honor?

Richard podsunął mi talerz z tłustym mięsiwem, ale byłam zbyt osłabiona, żeby mieć ochotę na coś więcej poza wygodnym łóżkiem.

Wówczas odezwał się Jonathan Rashleigh, poważny ojciec rodziny, starszy od pozostałych gości:

- Myślę, że panna Honor wołałaby nas teraz opuścić. Na twoim miejscu, Richardzie, przywołałbym którąś ze służących.

- Tam do licha, toż to kawalerski dom! Tu nie ma ani jednej baby! Usłyszałam, jak Ranald Mohun prycha w chustkę, ale nie umknęło mojej uwagi mordercze spojrzenie, jakie posłał mu Richard. Potem jeden po drugim wszyscy wynieśli się z pokoju, bąkając pod nosem kilka przepaszających słów.

- Głupio postąpiłam, przychodząc tutaj. Skompromitowałam cię tylko wobec przyjaciół.

- Sam się skompromitowałem i to dawno temu - odparł

Richard, przysuwając sobie kufel piwa - ale dobrze, że dotarłaś tu dopiero po śniadaniu.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się i wyciągnął zza pazuchy jakiś dokument.

- Właśnie sprzedałem Killigarth oraz moją część Tywardreath. Rashleigh zaoferował mi dobrą cenę, ale gdybyś pojawiła się przed śniadaniem, może nie zdecydowałby się na transakcję.

- Czy tych pieniędzy wystarczy na spłatę długów?

Roześmiał się drwiąco.

- To kropla w morzu, ale starczy na jakiś tydzień, a potem pożyczymy od kogoś innego.

- My? My pożyczymy?

- Bo przecież odtąd będziemy razem. Chyba nie sądzisz, że dopuszczę do tego śmiesznego małżeństwa z Edwardem Champernowne'em? - Otarł usta i odsunął talerz, jakby nic więcej go nie obchodziło. Potem wyciągnął do mnie rękę, a ja nie dałam na siebie czekać.

- Mój miły - powiedziałam, czując się nagle bardzo stara i bardzo mądra - zawsze mi powtarzałeś, że albo poślubisz dziedziczkę wielkiej fortuny, albo zginiesz marnie.

- A na co mam żyć, skoro ty wyszłabyś za innego?

Kilka następnych minut poświęcił na przekonywanie mnie o słuszności swego wyводу.

- Ależ Richardzie, mój brat może nie zgodzić się na nasz ślub!

- Więc będę się z nim bił.

- Zostaniemy bez grosza przy duszy.

- Ha! Jakbym o tym nie wiedział! Ale mam jeszcze kilku krewnych, których nie zdołałem oskubać. Moja stara ciotka, Katherine Abbot z Hartland, ma tysiące zbytecznych

funtów.

- Ale przecież tak się nie da żyć!

- Nigdy nie żyłem inaczej.

Pomyślałam o formalnościach, zapisach, które wiązały się z małżeństwem, o prawnikach, dokumentach...

- Jestem najmłodszą córką, Richardzie - powiedziałam niepewnie. - Musisz się liczyć z bardzo niewielkim posagiem.

Na to wybuchnął śmiechem, porwał mnie w ramiona i wyniósł z pokoju.

- To ciebie pragnę, a nie jakiegoś sakramenckiego posagu, do kroćset!

O szalone, niespodziewane zaręczyny, postanowione bez sensu w ułamku sekundy! Przeszkody jedna po drugiej padały niczym drzewa, gdy w lesie wybuchnie pożar. Matka szybko dała za wygraną wobec naszego szturm, bracia także nie mieli siły się sprzeciwić. Obrażeni Champernowne'owie wyjechali do Radford razem z Jo, który umył ręce od całej sprawy. Po odrzuceniu Edwarda Elizabeth nie chciała mnie przyjmować i wkrótce dano mi do zrozumienia, że wieść o moim skandalicznym zachowaniu rozniosła się po całym Devonie. Mąż Bridget zjechał rozstawnymi kołmi aż z Holberion, John Pullexefen z Mothercombe, a chyba cały Zachód uznał, że uciekłam z Richardem Grenville'em i teraz muszę go poślubić, bo sytuacja tego wymaga. Toć zhańbił mnie jeszcze w Plymouth, a potem uwiózł siłą do Killigarth, gdzie przez trzy miesiące byłam jego kochanicą... Te i inne bajki rozpowiadano szeroko, gdy tymczasem Richard i ja, bardzo z siebie zadowoleni, śmialiśmy się w kułak.

Mój narzeczony chciał, byśmy pojechali konno do Londynu, gdzie oddałby mnie pod opiekę diuka Buckingham, który ponoć jadł mu z ręki i jeszcze dołożyłby się do mojego wiana, ale w tym momencie ogólnego szaleństwa przyjechał do Lanrest Bevil. Z właściwym sobie taktem i kurtuazją namówił mnie, bym przyjęła gościnę w Stowe i zgodziła się na ślub w domu Grenville'ów. Uporządkował wszystkie sprawy, a dzięki jego zgodzie całe przedsięwzięcie nabrało pewnej przyzwoitości, której to cechy dotąd mu brakowało. Po kilku zaledwie dniach siedziałam bezpiecznie razem z matką w Stowe, tym samym Stowe, do którego osiem lat temu zawitał w charakterze pana młodego Kit. Byłam za

bardzo zakochana, by się kimkolwiek przejmować, toteż niczym osoba, której ustawiczne świętowanie uderzyło do głowy, krążyłam po wielkich komnatach, szczęśliwa, pewna siebie, uśmiechając się do starego sir Bernarda i rozdając na prawo i lewo ukłony. Wspaniałości Stowe bynajmniej mnie nie onieśmiały, czułam się tak samo jak w starych, zakurzonych kątach rodzinnego domu. Niewiele pamiętam, co wtedy robiłam, kogo widywałam, z wyjątkiem tego, że na każdym kroku spotykałam jakiegoś Grenville'a i że wszyscy, zgodnie z opowieściami Bridget, mieli rude włosy. Wiem tyle, że spacerowałam po wielkich ogrodach w towarzystwie sir Bernarda, który rozwodził się z powagą nad niesnaskami między królem a parlamentem, pamiętam też, jak wystawałam godzinami w komnacie żony Bevila, lady Grace, podczas gdy jej służące mierzyły mi bez końca suknię ślubną. To ją upinały, to zbierały fałdy, to znów miętosiły, aby zaraz upiąć na nowo. Matka wygłaszała różne uwagi, a na podłodze kłębiła się gromada dzieciaków.

Richard spędzał ze mną raczej mało czasu. Mawiał, że teraz, w te ostatnie dni moje miejsce jest wśród kobiet. Niebawem będziemy mieli siebie pod dostatkiem. Ostatnie dni... cóż za prorocze słowa!

Nic, zatem nie wyłania mi się teraz z mgły wspomnień poza owym ostatnim majowym dniem. Słońce to wychodziło, to znów chowało się za chmury, dał porywisty wiatr. Widzę, jak na trawnikach zbierają się goście... za chwilę wszyscy przejdziemy do ptaszarni, ponieważ wieczorną ucztę ma poprzedzić polowanie z sokołami.

Jastrzębie gołębiarze siedziały na grzędach. Przeczesały sobie ze spokojem pióra i rozprostowywały skrzydła, nic sobie nie robiąc z naszej obecności. Większe od nich i bardziej dzikie sokoły wędrownie wyniesiono z

ptaszarni i umieszczono na oddzielnych, wbitych w ziemię słupkach.

Nadeszli sokolnicy, żeby spętać jastrzębie i nałożyć im kaptury. Stajenni podprowadzili nam konie, wokół ich nóg kręciły się z ujadaniem podniecone psy. Richard pomógł mi wsiąść na małą kasztankę, która odtąd miała stać się moją własnością. Kiedy odwrócił się na chwilę do sokolnika, zajętego jego ptakiem, obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam przy bramie grupę jeźdźców. Witali kogoś, kto właśnie nadjechał.

- Co tam? - spytał Richard.

Sokolnik osłonił oczy od słońca i zaraz odwrócił się z uśmiechem do swego pana.

- To pani Denys z Orley Court. Teraz się pokaże, który sokół lepszy: wasz rudy czyjej szary.

Richard spojrzał na mnie i także się uśmiechnął.

- A więc jednak postanowiła nas odwiedzić. To Gartred!

Tamci jechali już ścieżką w naszą stronę, ja zaś zastanawiałam się, jaka też wyda mi się teraz dawna nieprzyjaciółka, z którą dziwnym zrządzeniem losu mam się znowu skoligacić.

Nie przysłała dotąd nawet krótkiego listu, nie złożyła nam gratulacji, lecz w końcu zmogła ją wrodzona ciekawość.

- Witaj, sestro! - zawołał Richard, a w jego głosie znów zadźwięczała stara drwiąca nutka. - Więc mimo wszystko przyjechałaś zatańczyć na moim weselu!

- Możliwe - odrzekła. - Jeszcze się nie zdecydowałam. Dwoje z moich dzieci choruje.

- Podjechała blisko mnie z owym leniwym uśmiechem, który tak dobrze pamiętałam. - Jak się masz, Honor?

- Nieźle, dziękuję.

- Nigdy nie sądziłam, że będziesz kiedyś nosić nazwisko Grenvile.

- Ja także.

- Dziwne są zaiste drogi Opatrzności. Nie znasz jeszcze mojego męża.

Ukloniłam się dżentelmenowi u jej boku - zwałistemu, jowialnemu mężczyźnie, znacznie starszemu od żony. Więc to jest ów Antony Denys, który swego czasu przyczynił Kitowi tyle zmartwienia! Może to jego potężna postura skusiła Gartred.

- Dokąd jedziemy? - spytała Gartred, odwracając się ode mnie do Richarda.

- Na otwartą przestrzeń, w stronę morza.

Zerknęła na ptaka na jego przegubie.

- Rudy - mruknęła. - Jeszcze nie całkiem opierzony. Myślisz, że coś z niego wyciśniesz?

- Załatwił już kanię i dropia. Może dziś wypuszczę go na czapłę, jeśli się jakaś nawinie.

- Takiego mizeraka na czapłę! - roześmiała się drwiąco Gartred. - Ciesz się, jeśli ci złapie srokę!

- Puścimy go z twoim sokołem?

- Mój rozszarpie i jego, i czapłę.

- Zobaczymy.

Mierzyli się wzrokiem niczym przeciwnicy przed pojedynkiem. Przypomniałam sobie, jak Richard opowiadał, że rywalizowali z sobą od kołyski. Po raz pierwszy tego dnia ogarnęło mnie przecucie nieszczęścia. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie udać zmęczenia i nie zostać w domu. Wybierałam się na przyjemną przejażdżkę, nie na krwawe jatki, a polowanie z sokołami nigdy nie należało do moich ulubionych rozrywek.

Gartred musiała zauważyć moje wahanie, bo odezwała

się ze śmiechem:

- Twoja narzeczona traci kontenans. Chyba nie da rady dotrzymać nam kroku.

- Co? - wściekł się z miejsca Richard. - Jedziesz z nami, prawda, Honor?

- Ależ tak - zgodziłam się, czym prędzej. - Muszę zobaczyć, jak dopadniesz tej czapli.

Ruszyliśmy, więc przed siebie. Wiatr dał nam prosto w twarz, w dole szumiał Atlantyk, długie, pienne fale rozbijały się z hukiem o skały. Polowanie z początku zapowiadało się marnie, bo udało się wypłoszyć ledwie jedną słonkę. Puszczono na nią jastrzębie, które dusiły ją powoli w szponach, zamiast zabić od razu, jak czynią to wielkie sokoły wędrownie. Ptaki Richarda i Gartred wciąż miały na głowach kaptury i czekały, aż znajdziemy się na żerowisku czapli. Moja klacz trzymała się dzielnie, bo jak dotąd nie puściliśmy się jeszcze galopem. Z małego zagajnika sokolnicy wypłoszyli niebawem trzy sroki, które próbowały nadrobić brak siły w skrzydłach chytrą, bo kluczyły od jednego krzaka do drugiego i chociaż jastrzębie nic dawały za wygraną, a sokolnicy wrzeszczeli, po dwudziestu minutach tylko jedną udało się złapać.

- Dajcie spokój, to żalosne - niecierpliwiła się Gartred.  
- Czyż nie ma tu nic godnego naszych zuchów?

Richard osłonił oczy od słońca i spojrzał ku zachodowi. Przed nami ciągnął się długi pas najeżonego skałkami i nierównego wrzosowiska, dalej zaczynały się bagna. Podczas sztormu żerowały tam kaczkę, a o każdej porze roku - tak mi mówił Richard - zlatywały się różne wodne ptaki - kuliki, rybitwy i czaple.

Jak dotąd na niebie nie było widać żadnego ptaka poza jednym skowronkiem, a od trzęsawisk dzieliły nas jeszcze



dobrze dwie mile.

- Wypróbujmy i konie, i ptaki - zaproponował nagle Richard i zerwał kaptur rudemu sokołowi, spinając jednocześnie ostrogami wierzchowca.

W parę sekund później Gartred poszła w jego ślady i jej szaroskrzydły sokół wędrowny wzniósł się ku słońcu. Brat i siostra galopowali przez wrzosowiska ku bagnom, podczas gdy oba ptaki - teraz tylko dwie czarne plamki na niebie - bujały nad ich głowami w powietrzu. Moja klacz, spłoszona tętentem podków, popędziła jak szalona za nimi, niemal wyrrywając mi ręce ze stawów. Szczekanie psów i krzyki sokolników dawały jej dodatkową podniecie. Moja ostatnia jazda... Słońce oczy, wiatr na twarzy, gra mięśni konia pod mną, tętent kopyt, zapach złościstego żarnowca, szum morza... Niezapomniany, nigdy nie zatarty w pamięci cwał. Widziałam Richarda i Gartred mknących łeb w łeb, obrzucających się obelgami, a wysoko na niebie dwa sokoły. Nagle z bliskich już bagien podniosła się czapla. Rozprostowywała z wolna wielkie skrzydła, ciągnąc w górę nogi. Usłyszałam okrzyk Richarda, a potem głos Gartred. Wydawało się, że oba ptaki także dostrzegły zdobycz, bo krążyły już nad czapłą, wznosząc się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie stały się tylko dwoma punkcikami na tle słońca. Czujna czapla też nabierała wysokości, ale z wiatrem i węższym kręgiem. Duże, zdawałoby się odporne ciało nabrało dziwnej lekkości i giętkości, gdy wtem jak błyskawica spadł na nią jeden z sokołów. Czy był to pstry ptak Gartred, czy też rudy Richarda, nie mogłam odróżnić, w każdym razie o włos minął się z celem. Spostrzegłszy swój błąd, zaczął się wznosić do następnego ataku, lecz wtedy uprzedził go rywal, który zresztą tak samo chybił.

Próbowałam odzyskać władzę nad klaczą, ale nie

mogłam jej zatrzymać. Gartred i Richard także skęcili na wschód, śladem czapli i tak galopowaliśmy obok siebie, nie bacząc; w grunt zaczyna się lekko wznosić, a konie niosą nas w stronę kamiennego kręgu pośrodku wrzosowiska.

- Uważaj na przepaść! - krzyknął mi w ucho Richard, wskazując szpicrutą kierunek, ale że przemknął koło mnie jak wichur, nie zdążyłam odpowiedzieć.

Czapla leciała teraz tuż nad moją głową, natomiast straciłam z oczu oba sokoły. Nagle usłyszałam triumfalny wrzask Gartred:

- Mają ją, mają... to mój sokół jej dopadł!

Zobaczyłam pod słońce sylwetkę jednego z ptaków na grzbiecie czapli. Napastnik wraz z ofiarą opadali nierównym lotem, zataczając kręgi ku ziemi, do której zostało im nie więcej jak dwadzieścia jardów.

Chciałam skęcić, ale klacz nic sobie ze mnie nie robiła. Właśnie mijała mnie Gartred, więc spytałam, gdzie ta przepaść, ale mi nie odpowiedziała. Pędziliśmy ku kamiennemu kręgowi, słońce mnie oślepiało, gdy nagle śmiertelnie ranna czapla z zakrwawionym sokółem spadły wprost z ciemniejszego nieba w ziejącą otchłań, która nagle się przede mną rozwarła. W uszach rozdzwoniły mi się tysiące głosów, lecz nad wszystkie wybijał się krzyk Richarda.

Tak oto ja, Honor Harris z Lanrest, zostałam kaleką. Tamtego dnia utraciłam całkowicie władzę w nogach i nie odzyskałam jej do dziś, czyli że od mniej więcej dwudziestu pięciu lat muszę leżeć na plecach albo siedzieć prosto w fotelu. Nigdy nie zrobię ani jednego kroku, nigdy nie poczuję pod nogami ziemi, przeto jeśli ktoś uważa, że kaleka nie może być bohaterką powieści, niechaj zamknie tę książkę i powstrzyma się od dalszego czytania. Nie zobaczy mnie

bowiem na ślubnym kobiercu, wspartej na ramieniu ukochanego, ani otoczonej wianuszkami jego dzieci. Ten jednak, kto wytrwa do końca lektury, przekona się, że owa miłość nigdy nie wygasła, a jej zmienne koleje sprawiły, iż z biegiem lat stała się głębsza i czulsza, niż gdybyśmy sobie ślubowali. Dowie się tak że, jak doszło do tego, że mimo swego kalectwa objęłam główną rolę w dramacie, jaki rozegrał się na moich oczach. Bezruch bowiem wyostrzył moje zmysły i spostrzegawczość, a przypadek narzucił mi aż dwie role: sędziego i świadka. A więc kurtyna w górę - to, co dotychczas przeczytałeś, drogi czytelniku, jest zaledwie prologiem.

Nie zamierzam rozwodzić się po tylu latach nad cielesnymi i duchowymi cierpieniami, jakie stały się mym udziałem w owych pierwszych miesiącach, kiedy życie wydawało mi się skończone. Marna byłaby to lektura. Sama zresztą też nie mam skłonności do wywlekania z głębi serca dawno zapomnianej goryczy. Dość powiedzieć, że z początku obawiano się o stan mego umysłu i wiele tygodni spędziłam w kompletnym zamroczeniu. Kiedy krok po kroku zaczęła mi wracać świadomość i w pełni pojęłam skutki wypadku, zapytałam o Richarda. Dowiedziałam się, że po daremnym wyczekiwaniu na jakiś znak ode mnie i na nikły choćby promyczek nadziei od medyków, uległ prośbom Bevila i przystał do jego regimentu. Nie mógł zrobić nic lepszego. Richard nie umie żyć beczynn timer, a los nie oszczędził mu dodatkowego nieszczęścia: oto z rąk zabójcy zginął w Portsmouth jego przyjaciel, diuk Buckingham. Mój ukochany odpłynął zatem do Francji, aby bez szczególnej wiary w zwycięstwo wziąć udział w ostatecznym szturmie na La Rochelle. Kiedy wrócił, byłam już ponownie w Lanrest i miałam dostatecznie dużo siły woli, by podjąć decyzję na przyszłość. Oto ona: nigdy już nie zobaczę Richarda Grenville'a. Napisałam doń list, ale całkowicie go zlekceważył i natychmiast przyjechał z Londynu, żądając widzenia się ze mną. Odmówiłam. Próbował, więc siłą wdrzeć się do mego pokoju, co zapewne by się powiodło, gdyby moi bracia nie zagroziłi mu drogi. Jednak dopiero kiedy w sprawę wdali się medycy, perswadując, że swym uporem naraża na szwank moje zdrowie, zrozumiał ostatecznie, iż wszelkie więzi między nami muszą zostać

zerwane. Dostałam wtedy od niego ostatni już list - szalony, gorzki, pełen wyrzutów - a potem zapadła cisza.

W listopadzie tegoż roku poślubił lady Howard z Fitzford, bogatą wdowę po trzech mężach, o cztery lata od niego starszą. Wieść o tym dotarta do mnie określną drogą - po prostu Matty wymknęło się nie ostrożne słówko. Nie pomogło zagadywanie, zapytałam matkę o prawdę, którą z początku starała się ukryć, obawiając się nawrotu mej choroby. Myślę, że spokój, z jakim zniosłam nieprzyjemną nowinę, przekraczał jej zdolność pojmowania.

Z trudem docierało i do niej, i do reszty rodziny, że stałam się teraz zupełnie inną istotą. Dawna Honor nie żyła, była tak samo martwa, jak czapla pochwycona przez sokoła tamtego majowego popołudnia.

Oczywiście mogła żyć wiecznie w sercu swego ukochanego jako cudowna fantazja, ale Richard, którego znałam, należał do ludzi z krwi i kości. Musiał znieść ten cios, jak i ja go zniosłam.

Pamiętam, że leżąc w łóżku, uśmiechałam się do myśli, iż mimo wszystko znalazł bogatą dziedziczkę z możnego rodu. Mogłam tylko ufać, iż tak doświadczona kobieta da mu szczęście, a jej majątek zapewni życie bez trosk.

Tymczasem ja musiałam nauczyć się żyć na nowo. Dzień za dniem upływał mi w całkowitym bezruchu. Cieleśną niemoc zamierzałam nad robić wzmożoną pracą umysłu. Mniej więcej wtedy wrócił z Oksfordu Psrcey, przywożąc swe książki do nauki, i z jego pomocą zabrałam się do studiowania greki i łaciny. Okazał się dość roztargnionym, choć łagodnym nauczycielem, zresztą nie miałam serca odrywać go od ulubionych psów i koni. Udzielił mi dostatecznych wskazówek, bym mogła samo dzielnie czytać,

a potem szło mi już coraz lepiej. Rodzina traktowała mnie z największą dobrocią i czułością. Moje siostry i ich dzieci, z początku pełne łzawej litości, wkrótce zaczęły zachowywać się przy mnie swobodniej, widząc, że lubię się pośmiać i pogadać. I tak - krok po kroku - ja, dotychczas wychuchana pupilka, stałam się rodzinnym autorytetem i mediatorką, a domownicy często zwracali się do mnie z prośbą o pomoc i radę w przeróżnych sprawach. Oczywiście opowiadam tu o tym, co dokonało się w ciągu wielu lat, gdyż takie przemiany wymagają czasu. Od pierwszej chwili po wypadku moją niestrudzoną niewolnicą i opiekunką była Matty. Nauczyła się rozpoznawać w mych oczach objawy zmęczenia, a wtedy natychmiast przepędzała gości. Spełniała wszystkie moje zachcianki, karmiła mnie i myła, chociaż po pewnym czasie nauczyłam się robić to sama, a po trzech latach plecy wzmocniły mi się na tyle, że mogłam siedzieć i poruszać tułowiem. W nogach jednak już nigdy nie odzyskałam władzy. Podczas jesiennych i zimowych miesięcy, kiedy wilgoć osiada na ścianach, czuję ją także w kościach. Niekiedy sprawia mi to dotkliwy ból. Jakże trudno mi wówczas trzymać się zasad, które sama sobie narzuciłam! Litość nad sobą, ta najbardziej podstępna trucizna, wsącza mi się w żyły, a czarne demony opanowują umysł. Wtedy Matty obejmuje wartość przy drzwiach, zagrządzając drogę intruzom. Biedna Matty, w przyływach złego humoru często jej wymyślałam, ale znosiła to bez słowa skargi. Robin zaś, drogi, poczciwy Robin, najcierpliwszy z kompanów, wymyślił dla mnie specjalny fotel na kółkach, dzięki któremu mogłabym się przemieszczać z pokoju do pokoju. Ten fotel to jego wypieszczony wynalazek.

Mój brat przez kilka miesięcy ślęczał nad projektem, a kiedy wreszcie przyniesiono gotowy mebel i zobaczył, jak bez

niczyjej pomocy poruszam kółkami, jego radość była jeszcze większa od mojej.

Od tej pory me życie zupełnie się odmieniło. W lecie mogłam nawet zapuszczać się do ogrodu i pokonywać niewielkie odległości, zyskując w ten sposób pewną niezależność. W roku 1632 znów mieliśmy wesele w rodzinie. Mary, z której pobożności i trzeźwego, choć łagodnego charakteru tak długo żartowaliśmy, przyjęła oświadczyny Jonathana Rashleigha z Menabilly. Jego pierwsza żona umarła w połogu rok przedtem i został sam z powiększoną rodziną. Z moją siostrą tworzyli pod każ dym względem najbardziej dobraną parę. On miał koło czterdziestki, -Mary liczyła sobie trzydzieści dwa lata. Ślub odbył się w Lanrest, a razem z panem młodym zjechały na uroczystość również jego dzieci: Alice, Elizabeth i John. Później miałam je dobrze poznać, ale nawet teraz nieśmiała, powściągliwa trójka zdobyła moją sympatię. Przybył też Bevil Grenville, bliski przyjaciel Jonathana i nas wszystkich. Po zaślubinach, kiedy Mary przeniosła się do nowego domu na drugim końcu Fowey, nadarzyła mi się okazja pomówienia z nim na osobności. Przez kilka minut rozmawialiśmy o jego dzieciach i o tym, co słyhać w Stowe, a potem, mimo całego opanowania, z pewnym drzeniem w głosie odważyłam się zapytać o Richarda.

Przez chwilę nie odpowiadał i dobrze widziałam, że się zachmurzył.

- Nie chciałem o nim mówić - rzekł w końcu - ale skoro mnie pytasz... Honor, od zawarcia tego małżeństwa fatalnie mu się wiedzie.

Poczułam, że budzi się we mnie demon złośliwej satysfakcji. Nic na to nie mogłam poradzić.

- Jak to? - spytałam. - Czyż nie ma syna?

Wiedziałam, że mniej więcej przed rokiem urodził im się syn, ściśle rzecz biorąc, nastąpiło to 16 maja, ironicznym zrządzeniem losu w rocznicę mego wypadku. Nowe życie w zamian za drugie, zmarnowane. Kiedy mi o tym powiedziano, przeplakałam w poduszkę całą noc, jak zepsute dziecko, które niczego się nie nauczyło. Nie opuszczała mnie myśl o tym małym chłopczyku; toż gdyby nie wola Opatrzności, mógłby być moim synkiem. Tego dnia, jeśli dobrze pamiętam, Matty trzymała straż u mych drzwi, a mnie przelatywały przez głowę różne sceny. Oto oparta o poduszki szczęśliwa matka z noworodkiem w ramionach, 1 przy łóżku siedzi rozpromieniony Richard... Ileż szkody wyrządziły mi owe wizje mimo całej obojętności, jaką sobie narzuciłam! Ale wróćmy do Bevila.

- Owszem - rzekł. - Ma syna, a także córkę, ale czy w ogóle ich widuje, nie umiem powiedzieć. Prawda jest taka, że wiecznie kłócił się z żoną. Traktował ją isticie po barbarzyńsku, dopuszczając się ponoć nawet rękoczynów, toteż wystąpiła o rozwód. W dodatku oczernił hrabiego Suffolk, krewnego swej żony, ten zaś wniósł przeciw niemu sprawę do Gwiazdzistej Izby [Gwiazdzista Izba - sąd powołany za czasów Henryka VII do rozpatrywania skarg poddanych, mający siedzibę w tzw. Gwiazdzistej Komnacie Pałacu Westminsterskiego.] i wygrał. Richard odmówił wypłacenia zasądzonej sumy, zresztą nie miał, z czego, więc lada moment mogą go wtrącić do więzienia za długi.

Boże, pomyślałam, jakże inaczej wyglądałoby nasze małżeństwo! A może się mylę? Może to symbol przyszłości, która nas czekała?

- Zawsze był gwałtowny - ciągnął Bevil - nawet jako chłopak. Mało go znałaś, Honor. Niestety trzy miesiące zalotów 10 zbyt krótki okres, by wyrobić sobie zdanie o



człowieku.

Na to nie mogłam nic powiedzieć, gdyż racja była po jego stronie. Ale pomyślałam o wiosennych dniach, straconych dla mnie na zawsze, o kwitnącej jabłoni... Żadna dziewczyna nie miała czulszego i delikatniejszego kochanka.

- Jaki tam z niego gwałtownik! - obruszyłam się. - Może jest nieobliczalny i szalony, ale nic więcej. Na pewno go sprowokowała.

- O tym nic mi nie wiadomo, ale to całkiem prawdopodobne. Jest dość złośliwa, a jej obyczajom też można by to i owo zarzucić. Przyjaźniła się z Gartred, może o tym nie wiedziałaś, ale owo małżeństwo zostało postanowione właśnie w Orley Court, kiedy oboje tam bawili. Richard, sama wiesz najlepiej, był wówczas w dość kiepskiej formie.

Nie odezwałam się, bo wyczułam w jego słowach cień łagodnego, choć może nieświadomego wyrzutu.

- Prawdę rzekłszy, Richard poślubił Mary Howard dla pieniędzy, ale zaraz po weselu okazało się, że nie ma żadnej władzy nad jej sakiewką ani posiadłością. Wszystko jest w rękę zarządu powierniczego, który twardo stoi na straży jej interesów.

- Więc nie poprawiło to ani trochę jego sytuacji?

- Nawet pogorszyło. Bo Gwiazdzista Izba nie daruje mu odszkodowania za zniesławienie, a ja mam zbyt wiele zobowiązań, by przyjąć mu z pomocą.

Zaiste żaloszny był to obraz, a chociaż odpowiadał bardziej mej zazdrosnej wyobraźni niż ewentualna idylla, jaką wyczarowałam sobie przed oczami, wiadomość o przykrym położeniu ukochanego wcale mnie nie pocieszyła. Richard źle traktował żonę, bo nie mógł się dostać do jej pieniędzy; przykre to, ale prawdziwe, jak mogłam się

domyślić, wiedząc coś niecoś o gorszej stronie jego natury. Ożenił się bez miłości i w wielkim rozgoryczeniu, żona zaś, podejrzewając prawdę, dopilnowała, by się obył smakiem. Oto opoka wzajemnego zaufania, godna, by na niej zbudować trwały związek! Mimo to trzymałam się mego postanowienia i nie przesłałam Richardowi ani słowa współczucia czy pociechy. Nie z powodu dumy czy też litości nad sobą, tylko z przekonania, że tak właśnie powinnam postąpić. Richard musiał iść własną drogą, dla mnie w jego życiu nie było miejsca.

Jak dowiedzieliśmy się później, wiele miesięcy spędził w więzieniu; a jesienią następnego roku opuścił Anglię i ofiarował swe usługi królowi Szwecji.

Dla dalszej opowieści nie liczy się, jak wiele czasu spędziłam na rozmyślaniach o Richardzie Grenville'u i jak bardzo za nim tęskniłam. Najgorzej bywało podczas długich, bezsennych nocy, kiedy dokuczały mi bóle. W ciągu dnia zmuszałam moje uczucia do posłuchu, poza tym robiłam ciągłe postępy w naukach, nawiasem mówiąc byłam na najlepszej drodze do prawdziwie akademickiej wiedzy w zakresie greki. Żywo interesowały mnie też sprawy rodziny i tak mijały dni i miesiące, pozostawiając po sobie nawet sporą dozę satysfakcji.

Czas leczy rany, mówią optymiści, ale w moim przypadku uczynił to nie tyle czas, ile siła ducha. A jednak w ciemnościach, pod osłoną nocy duch często zwraca się do Złego.

Pięć, dziesięć, piętnaście lat. Spory to wycinek w życiu kobiety, zresztą także i mężczyzny. Zmieniamy się od samych narodzin. Ciekawe życia istoty, trawione wątpliwościami, jak również szukające odpowiedzi na liczne pytania, po latach same wydają opinie i stają się autorytetami,

mając ukształtowane charaktery i nawyki.

Jako młodziutka dziewczyna, prawda, że zbuntowana i niesforna, i zostałam kaleką. W roku 1642, kiedy w nasze życie wdarta się wojna, byłam kobietą po trzydziestce z dobrze ugruntowaną pozycją w dość licznej rodzinie, a dla rzeszy siostrzeńców i siostrzenic "dobrą ciocią Honor".

Kiedy się jest na zawsze przykutą do łóżka czy fotela na kółkach, łatwo stać się domowym tyranem. Chociaż nigdy nie miałam despotycznych zapędów, po śmierci matki tak wyszło, że to ja podejmowałam najważniejsze decyzje, mnie proszono o radę w różnych sprawach, jak gdyby jakimś dziwnym sposobem moja osoba obrosła w legendę, jakby fizyczna niemoc dodała mi mądrości.

Przyjmowałam owe hołdy z przymrużeniem oka, ale uważałam, by nie rozwiać miłego złudzenia. Młodzi mnie lubili, jak sądzę, dlatego, że wciąż jeszcze nie wyzbyłam się wojowniczego ducha, a w razie rodzinnych sporów zawsze trzymałam ich stronę. Pod powłoką cynizmu ukrywałam nieuleczalną skłonność do romantycznych wzlotów, więc jeśli należało przekazać komuś sekretną wiadomość, zaaranżować spotkanie czy choćby wysłuchać zwierzeń - moja komnata w Lanrest zawsze stała otworem, zmieniając się wedle potrzeby w miejsce schadzek lub konfesjonał. Stałymi gośćmi byli u mnie pasierbowie Mary, młodzi Rashleighowie. Szybko dałam się wciągnąć w ich ciągłe utarczki, ze swadą broniłam ich w razie wpadek, a później pośredniczyłam w sprawach sercowych. Mój szwagier Jonathan był człowiekiem dobrym i uczciwym, ale surowym. Należał do zwolenników małżeństw uzgodnionych przez rodziny i sprzeciwiał się impulsywnym porywom serca. Niewątpliwie miał rację, ale według mnie było coś obrzydliwego w tych targach między rodzicami i liczeniu

każdego grosza, toteż kiedy Alice, jego najstarsza córka, zaczęła blednąć w oczach z powodu tego nicponia Petera Courtney'a (rodzice spierali się miesiącami, czy pozwolić na ów związek), wezwałam oboje młodych do Lanrest i kazałam łapać szczęście za nogi póki czas, bo też nikt nie wymyślił mądrzejszego rozwiązania.

Pobrali się, zatem i chociaż małżeństwo zakończyło się później separacją (moim zdaniem zawiniła tu wojna), zaznali przynajmniej trochę szczęścia, do którego sama się przyczyniłam.

Do swych ofiar zaliczam też Joan, córkę Cecylii a moją chrześniaczkę, młodszą ode mnie o dziesięć lat. Kiedy pasierb Mary, John Rashleigh, przyjechał z wizytą z Oksfordu, zastał Joan przy moim łóżku i wkrótce zrozumiałam, co się święci. W pierwszej chwili chciałam wysłać ich na jabłoń, ale nie pozwolił mi na to skrywany sentymentalizm, więc zaproponowałam wyprawę na leśne dzwonki. Zaręczyli się w ciągu tygodnia, a nim dzwonki zdążyły przekwitnąć, było już po ślubie i nawet Jonathan nie znalazł w kontrakcie małżeńskim żadnego błędu.

Wojenne lata nadeszły, ledwie zdążyliśmy sobie uświadomić grozę sytuacji. Jonathan - podobnie jak inni panowie z hrabstwa, z moimi braćmi włącznie - musiał teraz stawić czoło znacznie bardziej palącym problemom. Już od dawna zanosilo się na kłopoty i mieszkańcy Kornwalii wyraźnie podzielili się w opiniach. Jedni uznali, że król może ustanawiać takie prawa, jakie zechce (choć wszyscy szemrali z powodu podatków), inni trzymali z parlamentem i popierali jego sprzeciwy wobec wszelkich przejawów despotyzmu. Jakże często moi bracia kłócili się o to z Jackiem Trelawney'em, Randaldem Mohunem, Dickiem Bullerem i innymi sąsiadami, stając twardo po stronie króla!

Jo do pewnego stopnia reprezentował władzę, gdyż do jego zadań należało nadzorowanie umocnień obronnych na wybrzeżu. Mijały miesiące, ludzie coraz bardziej tracili cierpliwość, w dawne przyjacielskie stosunki wkraśl się chłód. Nieprzyjemna atmosfera zniechęcała do sąsiedzkich wizyt i każdy zamykał się w obrębie swojej posiadłości. O wojnie domowej mówiono już otwarcie, panowie z całego hrabstwa szykowali broń, zbierali służbę i konie, żeby w odpowiednim momencie móc przyczynić się do sprawy. Płeć piękna także nie próżnowała. Wiele pań - jak Cecylia w swoim Mothercombe - darło prześcieradła na bandażę i gromadziło w spiżarniach zapasy na wypadek oblężenia. Wciąż wybuchały kłótnie, jak mi się wydaje, nawet bardziej zażarte niż później, kiedy zaczęły się walki.

Przyjaciele, którzy jeszcze przed tygodniem wieszczali przy naszym stole, stawali się nagle podejrzani, wywlekano na światło dzienne dawno zapomniane skandale, a wszystko po to, żeby okryć niesławą obecnych przeciwników z opozycji.

Od tego wszystkiego bolało mnie serce, a już za robotę samego szatana uznałam zaostrenie stosunków między sąsiadami, którzy od pokoleń żyli w zgodzie i pokoju. Gotowałam się ze złości, słuchając, jak mój drogi Robin, taki czuły dla psów i koni, oskarża Dicka Bullera o rzekome popieranie parlamentu, przekupstwo i wysyłanie służby na przespiegi. A ledwie pół roku wcześniej jeździli razem na polowania z sokołami! W odwecie inny nasz sąsiad i przyjaciel Bullera, Rob Bennett, zaczął rozpuszczać plotki o Jonathanie Rashleighu, twierdząc, że ojciec i starszy brat Jonathana, którzy dawno temu zmarli w ciągu tygodnia podczas epidemii ospy, wcale nie padli ofiarą zarazy, tylko zostali otruci. Z tych bajek jasno widać, że wystarczyło kilka miesięcy, by życzliwych sąsiadów zmienić w rozjuszone

wilki.

W pierwszym otwartym starciu króla z parlamentem, co nastąpiło w roku 1642, zarówno moi bracia, jak większość najbliższych przyjaciół (w tym szwagier Jonathan Rashleigh z pasierbem, Peter Courtney, Trelawney'owie, Arundellowie i oczywiście Bevil Grenvile) opowiedzieli się po stronie monarchy. Oznaczało to koniec normalnego, rodzinnego życia. Robin z Peterem Courtney'em wyjechali do Yorku, by wstąpić do królewskiej armii, i niemal natychmiast obydwóm powierzono dowództwo kompanii. Peter, który wykazał się wielkim męstwem, od razu na polu bitwy otrzymał tytuł szlachecki.

Jo i Jonathan jeździli po całym hrabstwie, gromadząc pieniądze, ludzi i amunicję dla królewskiej sprawy. To pierwsze przychodziło im z niejakim trudem, gdyż nawet w najlepszych czasach Kornwalia była dość biedną krainą, a później dodatkowo zubożyły ją wysokie podatki. Mimo to wiele rodzin nieposiadających gotowych pieniędzy oddawało do przetopienia stołowe srebra. Przed takim dowodem lojalności, ale i rozrzutności początkowo się wzdragałam, ale w końcu musiałam ulec, gdyż w naszej okolicy funkcję kwestarza pełnił Jonathan. Moja postawa wobec wojny była nieco cyniczna, ponieważ nie wierząc w żadne "wielkie sprawy" i żyjąc w Lanrest samotnie, tylko z Matty, czułam się jakoś dziwnie od tego wszystkiego oderwana. Sukcesy pierwszego roku nie uderzyły mi do głowy jak pozostałym członkom rodziny, bo nie wierzyłam, by parlamentarzyści poddali się tak łatwo. Mieli po swojej stronie wielu wpływowych ludzi, dysponowali też wielkimi sumami - popierali ich bardzo wszyscy bogaci londyńscy kupcy - poza tym nie opuszczało mnie przykre, głęboko skrywane podejrzenie, że ich armia znacznie przewyższa królewską.

Wprawdzie - Bóg świadkiem - naszym nie zbywało na odwadze, ale brakowało im doświadczenia, wyposażenie mieli marne, a dyscyplina w szeregach niemal nie istniała. Jesienią wojna przybliżyła się do nas na tyle, że zaczęliśmy odczuwać niepokój. Dwie armie rozłożyły się po obu stronach Tamar. Spędziłam smutne święta Bożego Narodzenia, a w trzecim tygodniu stycznia stało się najgorsze: nieprzyjaciel przeprowił się przez rzekę i wkroczył do Konwalii. Kiedy nadeszła ta hiobowa wieść, siedziałam właśnie przy śniadaniu, i to nie z kim innym, jak z samym Peterem Courtney'em. Przyjechał na spienionym koniu z Bodmin, żeby mnie ostrzec: wrogie oddziały są już w drodze do Liskeard. On ze swym regimentem, dowodzonym przez sir Ralpa Hoptona, ma ruszyć im naprzeciw, ale sam Hopton jest w tej chwili na radzie wojennej w Boconnoc, zaledwie kilka mil stąd.

- Przy odrobinie szczęścia - przekonywał mnie - walki nie dosięgną Lanrest i wszystko rozegra się między Liskeard a Lostwithiel. Jeśli uda nam się ich pokonać i przepędzić z Konwalii, wojna właściwie będzie wygrana.

Taki wydał mi się przystojny! Tak było mu do twarzy z płonącymi podnieceniem policzkami i ciemnymi kędziorami opadającymi na twarz...

- Nie mam czasu jechać do Menabilly - ciągnął. - Jeśli polegnę, czy powiesz Alice, jak bardzo ją kochałem?

I tyle go widziałam. Zostaliśmy - ja, Matty, dwóch starszych służących i trzech pacholków - samotni, nieprzygotowani, bez broni. Mogliśmy tylko sprowadzić zwierzęta z pastwiska i zabarykadować się w domu, a potem zasiąść w moim pokoju przy kominku i czekać.

Kilka razy uchylaliśmy okno i wtedy wydawało nam się, że słyszymy odgłosy dział, dziwnie głucho i odległe w

mroźnym, styczniowym powietrzu. Gdzieś koło trzeciej po południu załomotał do drzwi parobek.

- Nieprzyjaciel pobity! - krzyczał. - Cała banda w rozsypce, zmiatają drogą jak psy z podwiniętymi ogonami! Na Braddock Down była wielka bitwa!

Pojawiło się więcej maruderów, którzy wcześniej pouciekali w krzaki. Wszyscy opowiadali to samo: wojska królewskie odniosły walne zwycięstwo, żołnierze walczyli jak lwy, do niewoli wzięto prawie tysiąc jeńców.

Wiedząc, że na plotkach nie można polegać, zabroniłam służbie otwierać drzwi, zanim wiadomość się nie potwierdzi. Stało się to jeszcze przed zapadnięciem nocy, gdy przyjechał Robin - cały pokryty kurzem, z ręką zawiniętą w zakrwawiony bandaż. Towarzyszili mu bracia Trelawney'owie i Randal Mohun - wszyscy roześmiani i triumfujący, bo dwie dywizje parlamentarzystów pierzchły w rozsypce do Saltash i - jak to ujął Jack Trelawney - już nigdy noga ich nie postanie po tej stronie Tamar.

- A ten oto chłop - ciągnął, klepiąc Robina po ramieniu - ruszył w sam środek bitwy z sokołem na nadgarstku! Wypuścił go na muszkieterów Ruthina. Tak się wystraszyli, że wielu zaczęło strzelać na oślep, niektórzy zaś wzięli nogi za pas, jeszcze zanim skończył im się proch!

- Bo się założyłem z Peterem - zaśmiał się Robin. - W razie przegranej miałem mu oddać ostrogi i zostać chrzestnym jego następnego dzieciaka.

Ryknęli śmiechem, nie przejmując się ani trochę przelaną krwią i po szarpanych ciałach, po których dopiero, co deptali. Rozsiadłszy się wygodnie, żłopali piwo całymi dzbanami, ocierali pot z czoła i omawiali każdy szczegół wygranej bitwy, niczym gracze po walce kogutów.

Bohaterem dnia był Bevil Grenvile, który podobno



przeszedł chrzest bojowy. Opowiadali, jak gnał kornwalijską piechotę przez wzgórza w tak zaciekłym ataku, że nieprzyjaciel nie miał najmniejszych szans.

- Szkoda, żeś go nie widziała. Honor - mówił Robin. - Służba i dzierzawcy ciągną pod górę z modlitwą na ustach, a za nimi on sam z mieczem w rękę i tą swoją pocziwą, szczerą twarzą wzniesioną ku niebu, a wszyscy w błękicie i srebrze jak, na jakie święto... I nagle jak nie runą za Bevilem w dół, wrzeszcząc: "Grenvile! Grenvile!". Tony Paine, jego służący, wywija szkarłatnym sztandarem z trzema złotymi tulejami... Powiadam ci, w takiej chwili człowiek pęka z dumy, że jest Kornwalijszczykiem!

- On ma to we krwi - dodał Jack Trelawney. - Przez całe życie był wiejskim dziedzicem, takiemu dość włożył kopię do ręki, a zaraz zmieni się w tygrysa.. A wszyscy Grenvile'owie są w gruncie rzeczy podobni.

- Dałby Bóg - odezwał się Randal Mohun - żeby i Richard przestał siekać dzikusów w Irlandii i przybył bratu na pomoc.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, bo ci, co pamiętali dawne wydarzenia, uświadomili sobie nagle swoją obecność w pokoju. Potem Robin wstał i oznajmił, że muszą wracać do Liskeard.

I tak wojna roku 1643, zawadziwszy ledwie o południowo-zachodnią część Kornwalii, oddaliła się znowu. Wielu z tych, którzy nie powąchali nawet prochu, rozwodziło się potem szeroko o tym, cośmy widzieli i słyszeli, natomiast sami uczestnicy walk - jak Robin - twierdzili chętnie, że do lata parlamentarzyści złożą broń na dobre.

Niestety, ów optymizm wynikał z głupoty i złej oceny sytuacji. Prawda, że odnieśliśmy w owym roku szereg zwycięstw na całym zachodzie aż po Bristol i rzeczywiście

Kornwalijscy okryli się sławą, ale już w ciągu tego pierwszego lata utraciliśmy sam kwiat naszych mężczyzn.

Sydney Godolphin, Jack Trevannion, Nick Slanning, Nick Kendal... ich twarze jedna po drugiej stają mi przed oczami, kiedy wracam myślą do tamtych lat. Pamiętam, z jakim bólem w sercu odczytywałam listę poległych przyniesioną z Liskeard. Wszyscy byli szlachetnymi ludźmi o szczytnych zasadach. Wraz z ich śmiercią nasze hrabstwo poniosło stratę nie do zastąpienia, a i na stanie naszej armii poważnie się to odbiło. Największą tragedią tego roku - tak nam się przynajmniej wydawało - okazała się śmierć Bevila w bitwie pod Lansdowne. Matty przybiegła wtedy do mnie cała we łzach:

- Zabili sir Bevila!

Bevil, zawsze taki uroczy, taktowny i dobry, wart był tyle, co wszyscy kornwalijscy wodzowie razem wzięci. Poczulałam się tak, jakbym utraciła rodzzonego brata, ale nagła wiadomość zbyt mnie poraziła, bym miała się rozplakać.

- Powiadają- mówiła Matty - że padł od topora, kiedy już było po wszystkim i nieprzyjaciel się rozproszył. A wówczas ten olbrzym Tony Paine wsadził panicza Jacka na ojcowego konia i wszyscy ludzie sir Bevila ruszyli za chłopakiem, rąbiąc wściekle na prawo i lewo, by pomścić śmierć swego pana.

Tak, mogłam to sobie wyobrazić. Bevil zginął na miejscu, rozłupano mu głowę na pół przez jakąś psu na budę potrzebną rebelię, a jego zaledwie czternastoletni syn Jack dosiadł tak dobrze mi znanego siwka i z oczami piekącymi od łez popędził naprzód, wywijając za dużym dla siebie mieczem. [Fakt historyczny.] I ci wszyscy ludzie w błękitach i srebrze pomknęli za nim ze wzgórze z sercami czarnymi od nienawiści do wroga. Ach. ci Grenville'owie! Było coś

takiego w tym rodzie, jakiś czysty, nieustraszony duch, który tkwił w ich kościach i przenikał do krwi... To dzięki niemu stali znacznie wyżej niż inni Kornwalijczycy i ich wodzowie. I tak na pozór triumfując, a w głębi serca bolejąc, my, rojaliści, czekaliśmy, aż wreszcie skończy się ów rok i zacznie nowy - 1644, tak fatalny dla Kornwalii. Król miał teraz u stóp cały Zachód, ale potężne wojska parlamentu, wciąż nierozgromione, zebrały się w wielkiej sile w innej stronie kraju.

Wiosną tegoż roku wrócił z Irlandii do Londynu pewien rycerz, który pragnął odebrać zapłatę za swoje usługi. Dał do zrozumienia panom z parlamentu, że w zamian za zaległy żołd gotów jest się do nich przyłączyć, oni zaś, zadowoleni z pozyskania tak walecznego żołnierza, dali mu sześćset funtów i wtajemniczyli w plany kampanii wiosennej. Wojak skłonił się z uśmiechem - gdyby znali go bliżej, wiedzieliby, jak niebezpieczny to objaw - i odjechał kareta zaprzęzoną w szóstkę koni na czele zbrojnego oddziału. Karetę poprzedzała chorągiew, na której w szkarłatnym polu widniała wielka mapa Anglii i Walii, w poprzek zaś złotymi literami wypisano słowa: "Anglia we krwi". Kiedy ekwipaż przybył do Bagshot Heath, rycerz wysiadł i zwoławszy swoich ludzi, oświadczył ze spokojem, że teraz udadzą się do Oksfordu, by walczyć po stronie Jego Królewskiej Mości. Żołnierze nie mieli nic przeciw temu i cały orszak wyruszył niezwłocznie, uwożąc znaczną ilość pieniędzy, broni i srebra ze skarbcza parlamentu, a na dodatek wszystkie szczegóły tajnego planu, dopiero co ułożonego w Londynie.

Rycerzem, który w tak zuchwały sposób wystrychnął na dudka angielski parlament, był Richard Grenville.

Pewnego dnia w końcu kwietnia przyjechał z Radford Robin i zaczął mnie usilnie namawiać, bym opuściła Lanrest i zamieszkała na jakiś czas u Mary w Menabilly. Sam po awansie na pułkownika objął dowództwo regimentu piechoty i pod rozkazami sir Johna Digbye'go brał udział w długotrwałym oblężeniu Plymouth, ostatniego miasta na Zachodzie, które nadal trzymało stronę parlamentu.

- Obaj z Jo uważamy, że póki trwa wojna, nie powinnaś tu mieszkać sama. Nie jest to wskazane dla żadnej kobiety, a cóż dopiero tak bezbronnej jak ty. W okolicy kręci się pełno dezertersów i maruderów, którzy rabują ludzi na gościach. Okropnie się niepokoiimy, że zostałaś tu, tylko z Matty i paroma starszycami.

- Tu nie ma nic do zrabowania, całe srebro poszło do mennicy w Truro, a co do mojej osoby... cóż, niewiele pożytku z kaleki.

- Nie o to chodzi - upierał się Robin. - Po prostu Jo, Percy i ja nie możemy dobrze wypełniać swych powinności, bo cały czas się o ciebie martwimy.

Nalegał tak przez pół dnia, zanim wreszcie niechętnie ustąpiłam, ale przyznam, że porządnie mnie zdenerwował.

Od piętnastu lat - czyli od czasu wypadku - nie wyjeżdżałam z Lanrest, więc przeprowadzka do cudzego domu, nawet, jeśli był to dom własnej siostry, napełniała mnie przerażeniem.

Menabilly było zapchane krewnymi Rashleighów, którzy schronili się pod dach Jonathana pod pretekstem wojny, i nie miałam najmniejszej ochoty powiększać ich liczby. Czułam wielką awersję do obcych ludzi i rozmów

prowadzonych wyłącznie z uprzejmości, poza tym miałam swoje nawyki i lubiłam sama dysponować własnym czasem.

- Możesz żyć w Menabilly zupełnie tak samo jak tutaj - tłumaczył Robin - tylko w większej wygodzie. Będziesz miała swoją Matty, własny apartament, a gdybyś nie miała ochoty na towarzystwo, będą ci przynosić posiłki do pokoju. Doprawdy trudno o przyjemniejsze miejsce. Dom stoi na wzgórzu, od morza wieje orzeźwiająca bryza, są też piękne ogrody, po których będziesz mogła jeździć w swoim fotelu.

Wcale się z tym nie zgadzałam, ale widząc, jak mu zależy, nie ode zwałam się więcej. W ciągu tygodnia spakowano moje manatki - nie wiele tego było - zamknięto dom, a mnie przewieziono w lektyce do Menabilly.

Jakie to dziwne i niepokojące znaleźć się znów na gościńcu! Przejechać przez Lostwithiel, zobaczyć ludzi kręcących się po rynku, obserwować normalne życie, od którego tak długo byłam odcięta... Zerkałam nerwowo zza zasłonek lektyki, czując się tak, jakbym trafiła nagle do obcego kraju, gdzie ludzie mówią obcym językiem i mają inne zwyczaje. Dopiero kiedy wspięliśmy się na długie wzgórze za miastem i znaleźliśmy się przed starą redutą Castledore, gdy otworzył się przede mną widok na błękitną zatokę Tywardreath, pomyślałam, że może mimo wszystko zniosę jakoś tę przeprowadzkę. John Rashleigh wyjechał nam konno naprzeciw i już z daleka wymachiwał kapeluszem. Na bladej, wychudłej twarzy miał szeroki uśmiech.

Przeżywał prawdziwą tragedię, bo choć skończył dwadzieścia trzy lata, zdrowie nie pozwalało mu wstąpić do wojska, wobec czego musiał siedzieć w domu i robić, co mu ojciec każe. Niemal od urodzenia ciążyło na nim przekleństwo wyjątkowo złośliwej febry, która trzymała go w łóżku nieraz przez długie dni, rozdygotanego i słabego. Był z niego dobry,

kochany chłopak o dużym poczuciu obowiązku, ale zawsze bardzo bał się ojca. Joan, jego żona, a moja chrześniaczka, urocza szcziebiotka o figlarnych oczach, stanowiła dlań świetne tło. Teraz Johnowi towarzyszył Frank Penrose, jego rówieśnik, zatrudniony jako sekretarz mego szwagra i młodszy zarządca posiadłości.

- Wszystko gotowe na twe przybycie. Honor - mówił z uśmiechem John, jadąc obok mojej lektyki. - W domu mamy teraz ponad dwadzieścia osób i większość czeka na dziedzińcu, aby cię powitać. Wydajemy dziś uroczysty obiad na twoją cześć.

- No pięknie - burknęłam. - Możesz powiedzieć moim ludziom, że wracamy.

Wtedy wyznał, że to Joan go namówiła, by trochę się ze mną podrażnił. Tak naprawdę całe towarzystwo siedzi we wschodnim skrzydle domu i nikt nie zamierza mnie niepokoić.

- Moja macocha przeznaczyła dla ciebie pokoje nad bramą. Podobno dużo tam światła i powietrza, a okna wychodzą na oba dziedzińce: zewnętrzny zachodni i wewnętrzny. Będziesz miała swój własny punkt obserwacyjny, bo stamtąd widać jak na dłoni całą okolicę.

- Ależ to cały garnizon! Dwadzieścia osób pod jednym dachem?

- Ze służbą będzie z pięćdziesiąt - roześmiał się John - ale oni sypiają na strychu, upchnięci jak śledzie w beczce.

Znowu straciłam humor, a już, kiedy zjechaliśmy z gościńca do parku i zobaczyłam na końcu wielki kamienny dwór otoczony wysokim murem i licznymi przybudówkami, wręcz skłęłam się w duchu za głupotę. Jak mogłam się zgodzić na wyjazd z Lanrest? Potem skęciliśmy w lewo, na zewnętrzny dziedziniec, wokół którego stały budynki

gospodarcze - piekarnie, spiżarnie i mleczarnie. Przejechaliśmy pod niskim łukiem bramy i moim przyszłym mieszkaniem, po czym zatrzymaliśmy się na wewnętrznym podwórzu. Dom tworzył wokół niego czworobok z wieżą zegarową czy też dzwonnica na krańcu północnym i głównym wejściem od południa. Na schodach stała Mary z Alice Courtney i Joan - obie młode mężatki z dziećmi uczepionymi spódnic.

- Witaj w Menabilly, kochana Honor - przywitała mnie Mary: na jej pocziwej twarzy dostrzegłam cień niepokoju, że może mi się tu nie spodobać.

- Tu wszędzie jest pełno dzieciaków, nie zwracaj na nie uwagi - dodała Alice, która po ślubie hołdowała zasadzie "co rok to prorok".

- Planujemy przeciągnąć sznur z twego pokoju do dzwonu na wieży - rzekła Joan. - Jeśli hałas dokuczy ci za bardzo, wystarczy, że raz szarpniesz i wszystko zaraz się uspokoi.

- Widzę, że mam tu opinię jakiegoś smoka - odparłam. - No i bardzo dobrze, bo zamierzam robić, co mi się podoba, jak może ostrzegł was Robin.

Wniesiono mnie do wyłożonego ciemną boazerią hallu i minawszy długą galerię, która biegła przez całą szerokość budynku i skąd słyszałam niezapowiadające niczego dobrego ludzkie głosy, udaliśmy się przez szerokie schody i korytarz do zachodniego skrzydła. Muszę przyznać, że od pierwszej chwili zachwyciłam się swym apartamentem. Mimo nisko sklepionego sufitu był obszerny i bardzo jasny, a okna - jak obiecywał John - wychodziły na dwie strony: zachodnie na park i dziedziniec zewnętrzny, wschodnie na wewnętrzny. Na prawo znajdował się mały pokójek dla Matty i w ogóle nie zaniebano niczego, co mogłoby służyć mojej wygodzie.

- Nikt ci tu nie będzie przeszkadzał - mówiła Mary. - Apartamenty za twoją gotownią należą do Sawle'ów, kuzynów Jonathana. To bardzo rozsądni i spokojni ludzie, na pewno nie sprawią ci kłopotu. A pokój na lewo stoi pusty.

Potem mnie zostawiły, ja zaś z pomocą Matty rozebrałam się i położyłam, gdyż podróż mocno mnie wyczerpała. Cieszyłam się, że wreszcie jestem sama. Przez kilka pierwszych dni przyzwyczajałam się do nowego otoczenia i mościłam w swoim pokoju jak pies myśliwski, który trafił do nowej psiarni.

Moja komnatka była taka przyjemna, że wcale nie miałam chęci jej opuszczać. Polubiłam też bicie zegara na wieży, a kiedy raz powiedziałam sobie stanowczo, że muszę zapomnieć o spokojnym Lanrest, zaczęłam przyglądać się nieustannym przyjazdom i wyjazdom różnych osób, ruchowi na podwórzu, a także wsłuchiwać w odgłosy kroków pod łukiem bramy oraz - choć za nic bym się do tego nie przyznała - zerkać zza kotary w przeciwnie okna. Od czasu do czasu ktoś się tam pokazywał, wychylał, rozmawiał z innymi osobami w środku. Niekiedy młodzi wpadali do mnie na pogawędkę i stopniowo poznawałam z ich opowiadań innych mieszkańców domu: dwie rodziny Sawle'ów i Sparke'ów, którzy wiecznie się z sobą wadzili. Pod nieobecność Jonathana obowiązek utrzymywania spokoju spoczywał na Johnie - ciężkie to było brzemię dla jego niezbyt krzepkich ramion, gdyż nic tak nie denerwuje młodego człowieka jak zręczące stare panny i kłótlivi starszankowie. Mary, wiecznie zaaferowana prowadzeniem gospodarstwa, od świtu do nocy krążyła między mleczarnią, magazynem a spiżarnią, żeby wykarmić domowników. Były i wnuki do przypilnowania - trzy małe córeczki Alice i parka Joan, która na jesieni spodziewała się kolejnego dziecka - tak,



więc Menabilly okazało się kolonią samą w sobie, a w każdym skrzydle mieszkała inna rodzina. Piątego dnia czułam się już całkiem zadomowiona i na tyle opanowałam nerwy, że mogłam udać się na przejażdżkę. John popychał mój fotel, Joan i Alice szły po bokach, przed nami biegly dzieci i tak zrobiliśmy razem rundkę po posiadłości. Rozległe, otoczone murami ogrody lekko wznosiły się ku wschodowi łagodnym zboczem, z którego szczytu widać było porośnięte gęstym lasem wzgórze i gościniec prowadzący do odległego o trzy mile Fowey. Od strony południowej ciągnęły się pastwiska, zabudowania gospodarcze i jeszcze jeden otoczony murem ogród kwiatowy. Wyżej położona grobla prowadziła do letniego pawilonu - wieżyczki z wysokimi oknami o szybkach oprawnych w ołów. Musiał się stamtąd roztaczać piękny widok na morze i Gribben Head.

- Ojciec uwielbia przesiadywać w tym domku - wyjaśniła Alice. - Pisze tu sobie i robi rachunki, a jednocześnie ma oko na każdy statek zmierzający do Fowey. - Szarpnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte na zamek. - Musimy poprosić go o klucz, kiedy wróci. To idealne miejsce dla Honor przy zimnym wietrze na grobli.

John nic nie odrzekł, bo pewnie przyszło mu do głowy tak samo jak mnie, że Jonathan może sobie wcale nie życzyć mojego towarzystwa. Objechawszy całą posiadłość, wróciliśmy koło domku rządcy i trawnika do gry w kule na tyły zewnętrznego dziedzińca. Przed bramą zerknęłam w swoje dobrze już znajome okno, gdzie stał wazon z kwiatami, i po raz pierwszy dostrzegłam zabite sztabami okno sąsiedniego pomieszczenia. Tuż obok sterczała z muru potężna przypora.

- Czemu nie używacie tego pokoju? - spytałam

obojętnie.

John odpowiedział dopiero po chwili:

- Ojciec czasem tam zachodzi. Trzyma pod kluczem cenne przedmioty i meble.

-- To dawna sypialnia mego stryja - dodała Alice, patrząc na niego z wahaniem. - On zmarł nagle, rozumiesz, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi.

Zachowywali się jakoś dziwnie, więc dałam temu spokój. Od razu przypomniał mi się starszy brat Jonathana, który zmarł - przypuszczalnie na ospę - osiem dni po swym ojcu. To o tym wydarzeniu Rob Bennet, zwolennik parlamentu, rozpuszczał złośliwe plotki.

Potem minęliśmy bramę i przygotowałam się w duchu do spotkania z kuzynami Rashleighów. Zebrali się wszyscy w długiej, wyłożonej ciemną boazerią galerii z oknami wychodzącymi na dziedziniec, a od wschodu na ogród. Na obu jej końcach znajdowały się kominki - przy jednym siedzieli Sawle'owie, przy drugim Sparke'owie, łypiąc na siebie jak dzikie zwierzęta w klatkach. W środku sali Mary starała się panować nad sytuacją przy pomocy swej pasierbicy Elizabeth, która po ślubie ze stryjecznym bratem z pobliskiego Combe po raz drugi otrzymała nazwisko Rashleigh. John obwoził mnie po całej galerii i z namaszczoną miną przedstawiał mi kolejno członków zwaśnionych rodzin.

Było troje Sparke'ów i dwoje Sawle'ów. Joan, czyniąc aluzje do ich nazwisk, żartowała, że pierwszych cechuje ognisty temperament, drudzy zaś dbają o sprawy duszy. [Gra stów: Sparke wymawia się tak jak stówo spark - iskra, a Sawle jak soul- dusza.] rzeczywiście, Sawle'owie robili wrażenie surowych i nieprzystępnych. Nick Sawle, zgięty w pół od reumatyzmu, był niemal takim samym kaleką jak ja,

a jego żona Temperance - z purytańskiej, jak samo imię wskazywało, [Temperance - wstrzemięźliwość, abstynencja.] rodziny - nie rozstawiała się z książką do nabożeństwa. Na mój widok zaraz zaczęła się modlić - Bóg świadkiem, nigdy jeszcze z czymś takim się nie spotkałam - a kiedy skończyła, zapytała, czy wiem, że wszystkich, jak tu jesteśmy (oprócz niej samej), czeka wieczne potępienie. Na owo cokolwiek zaskakujące powitanie odpowiedziałam żartem, że zawsze coś takiego podejrzewałam. Wówczas zaszepotała szybko, rzucając jadowite spojrzenia w stronę drugiego kominka, iż Antychryst jest już na świecie. Zerknąwszy przez ramię, zobaczyłam zgarbione plecy Willa Sparke'a, pogrążonego w nieszkodliwej grze w warcaby ze swymi siostrami.

- Opatrzność was tu zesłała, żebyście czuwali - syczała dalej Temperance Sawle.

Potem zajęła się szczegółowo charakterem swych krewnych, nie pozostawiając na nikim suchej nitki, podczas gdy jej małżonek sęczył mi n drugie ucho dokładną historię swej choroby, poczynawszy od pierwszego strzyknięcia w palcu lewej nogi aż po dzisiejszą niezdolność podniesienia łokcia do pionu. Oszołomiona tym wszystkim, dałam znak Johnowi, który zabrał mnie stamtąd i przetoczył do Sparke'ów - dwóch sióstr i brata. Will należał do owych niefortunnych osobników o kobiecym, afektowanym sposobie bycia i piskliwym głosie. Instynktownie wyczułam, że pod ubraniem musi ukrywać jakiś defekt. Język miał równie cięty jak jego kuzynka Temperance i z miejsca zaczął szydzić z obyczajów Sawle'ów, traktując mnie jak sprzymierzeńca. U Debory natomiast przeważały cechy męskie, których brak wyraźnie doskwierał jej bratu. Miała obfity wąsik, a głos wydobywał się jej gdzieś z okolic kolan. Młodsza siostra, Gillian, mimo czterdziestki na karku, była chłodną piękną o

uróżowanych policzkach, obwieszoną wstążeczkami. Jej wysoki, ostry śmiech przewiercał mi uszy na wylot.

- Ta obrzydliwa wojna sprawiła, że jesteśmy tu wszyscy razem - mówiła basem Debora.

Wydało mi się to czczym frazesem, bo przecież nawet nie rozmawiali z resztą rodziny. Gillian pochwaliła mój wygląd i suknię, a Will, wykorzystując chwilę nieuwagi sióstr, przesunął chyłkiem własny pionek na lepszą pozycję.

Atmosfera w mieszkanku nad bramą wydawała się znacznie świeższa, toteż po wizycie w apartamentach Alice, Joan i Elizabeth, gdzie przyglądałam się harcom dzieci i wierzgającym niemowlakom, z rozkoszą powitałam powrót do błogiej samotności. Matty przyniosła mi obiad - z tego przywileju za nic bym nie zrezygnowała - a wraz z nim, jak zwykle, całą masę plotek na temat służby i tego, co rozpowiadała o swych chlebodawcach. Jonathana szanowano i bano się go, ale nie darzono zbyt wielką sympatią. Wszyscy oddychali z ulgą, kiedy wyjeżdżał. Podobno zapisywał każdego wydanego pensa, a służący, którego przyłapano na marnowaniu jedzenia, natychmiast tracił posadę. Już bardziej lubiano Mary, chociaż w destylarni uważano ją za tyrana. Za to młodsze pokolenie było wręcz uwielbiane, szczególnie Alice, której słodka twarzyczka i przemiłe obejście oczarowałyby samego diabła. Nie dotyczyło to jednak jej przystojnego męża Petera. Ten amator zgrabnych nóżek, obściskujący przy lada okazji dziewczynki kuchenne (wedle stów Matty), bywał powodem niechętnych spojrzeń i pełnego nagany kręcenia głową. Nawet wierzyłam owym pogłoskom, bo sama nieraz musiałam rzucać w niego poduszką, kiedy za dużo sobie pozwalał.

- Panicza Johna i panią Joan też bardzo lubią - mówiła Matty - ale uważają, że panicz powinien bardziej stawiać się

ojcu.

Te słowa przypomniały mi rozmowę na temat przyległego pokoju i spytałam, czy Matty nie wie czegoś na ten temat.

- Powiadają, że to rodzaj lamusa - odrzekła.- Pan Rashleigh trzyma tam jakieś cenne przedmioty.

Zaostrzyło to tylko moją ciekawość, wobec czego kazałam jej poszukać szpary pod drzwiami. Przyłożyła tam oko, ale nic nie zobaczyła. Dałam jej nożyczki (a chichotałyśmy przy tym jak małe dziewczynki) i wreszcie po dziesięciu minutach wydlubała między deskami odpowiednio dużą szczelinę. Uklękła przed nią, ale szybko odwróciła się do mnie, bardzo zawiedziona.

- Nic tam nie ma, to zwykły pokój, bardzo podobny do tego. W rogu stoi łóżko, a na ścianie wiszą obicia.

Poczułam wielkie rozczarowanie, gdyż - jako naiwna romantyczka spodziewałam się stosu skarbów. Poleciałam Matty zasłonić szczelinę obrazem i zabrałam się do obiadu. Później przyszła Joan i kiedy siedziałyśmy o zachodzie słońca, obserwując długie cienie, wzdrygnęła się nagle i powiedziała:

- Wiesz, Honor? Spałam raz w tym pokoju, kiedy John miał atak febry, i wcale mi się nie podobało.

- Czemu? - spytałam, upijając łyk wina.

- Zdawało mi się, że obok słyszę kroki.

Zerknęłam w stronę szczeliny, ale była zakryta.

- Jakie kroki?

Namyślała się przez chwilę.

- Ciche. Jakby ktoś chodził w miękkich pantoflach, bo nie chciał, aby go usłyszano,

- Może jakiś służący, który nie miał tam nic do roboty.

- Nie... nikt ze służby nie mógłby zdobyć klucza. W

ogóle nikt go nie ma poza moim teściem, a jego wtedy nie było w domu. - Odczekała chwilę, a potem dodała, zerkając przez ramię. - Myślę, że to duch.

- Po cóż jakiś duch miałby łązić po Menabilly? Toż ten dom nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat!

- Ale ludzie w nim już umierali. Dziadek Hojna i jego stryj, też John.

Patrzyła na mnie roziskrzonymi oczami i znając Joan, wiedziałam, że to jeszcze nie koniec. Postanowiłam wypuścić próbną strzałę.

- Więc i ty słyszałaś tę plotkę o truciznie?

- Ale w nią nie wierzę. To zbyt straszne, on jest przecież taki dobry. Mógłby to być jednak duch jego brata, tego, którego nazywają stryjem Johnem.

- A czemu chodził w miękkich pantoflach?

Na to zabrakło jej odpowiedzi, lecz w końcu wyznała niechętnie:

- Tu nigdy się o tym nie mówi. John kazał mi przyrzec, że nie puszczę pary z ust, ale ów stryj był podobno obłąkany, kompletny wariat i dlatego trzymali go tam pod kluczem.

Nigdy o tym nie słyszałam. Przecież to coś straszego!

- Jesteś pewna?

- O tak, jest coś na ten temat w testamencie starszego pana Rashleigha, John mi mówił. Podobno stary dziedzic przed śmiercią kazał mojemu teściowi przyrzec, że będzie się opiekował bratem i zapewni mu wikt i schronienie w swym domu. Mówią, że ów pokój został specjalnie w tym celu dobudowany, w jakiś specjalny sposób, dokładnie nie wiem. A potem nagle ów brat zmarł na ospę. John, Alice i Elizabeth w ogóle go nie pamiętają, byli za mali.

- Co za nieprzyjemna historia! Nalej mi jeszcze wina i zapomnijmy o tym.

Po pewnym czasie Joan mnie opuściła, przyszła natomiast Matty, żeby zaciągnąć story. Tego wieczoru nikt mnie już nie odwiedzał, ale gdy mrok się pogłębił, a w królikarni zaczęły hukać sowy, niespodziewanie dla siebie samej wróciłam myślą do obłąkanego "stryja Johna", tkwiącego w zamknięciu rok po roku, odkąd tylko zbudowano dom. Był takim samym więźniem umysłu, jak ja ciała.

Rano usłyszałam nowinę, dzięki której zapomniałam na jakiś czas o tajemniczych krokach.

Ponieważ pogoda dopisała, wybrałam się na przejażdżkę po grobli. Kiedy około południa wróciłam do domu, dowiedziałam się, że pod moją nieobecność do Menabilly zawitał posłaniec z listami z Plymouth oraz z innych miejsc i zebrana w galerii rodzina omawiała najnowsze wieści z wojny. W wysokim oknie od strony ogrodu siedziała Alice, czytając głośno sążnistą epistołę od swego Petera.

- "Sir John Digby został ranny i oblężeniem kieruje nowy dowódca". Biedny Peter! To oznacza koniec wypraw z sokołem i kolacyjek w gronie przyjaciół. Będą musieli poważnie wziąć się do wojaczki.

Odwróciła pokrytą gryzmołami stronę i pokręciła głową.

- A co to za jeden, ten nowy? - dopytywał się John, który znów przejął pieczę nad moim fotelem.

- Sir Richard Grenvile!

Nie było z nami Mary, a tylko ona w tym domu wiedziała o dawno zakończonym i zapomnianym romansie. Potrafiłam jednak znieść brzmienie owego nazwiska z podniesionym czołem - znałam już bowiem osobliwą prawdę, że tylko wtedy wpadamy w popłoch, gdy innym jest za nas przykro.

Wiedziałam już - bo Robinowi się to wypsnęło - że Richard przyjechał na Zachód i w imieniu króla prowadzi zaciąg. Objęcie dowództwa nad oblężeniem Plymouth oznaczało awans, zresztą i tak zdążył już okryć się sławą po tym, jak wyprowadził w pole parlamentarzystów.

- A co Peter o nim sądzi? - usłyszałam własny głos.



Alice złożyła list.

- Podziwia go jako żołnierza, ale poza tym nie ma o nim zbyt dobrego zdania.

Słyszałem, że to człowiek bez skrupułów - odezwał się John. - I nigdy nie zapomina nawet najmniejszej zniewagi.

- Może w Irlandii rzeczywiście dopuścił się wielu okrucieństw - rzekła Alice - chociaż ci ludzie do pewnego stopnia zasłużyli na swój los. Ale obawiam się, że sir Richard mocno się różni od brata.

Dziwnie się czułam, słuchając tych chłodnych, wyważonych opinii o człowieku, który kiedyś tulił mnie do piersi.

W tym momencie podszedł do nas Will Sparke, także z listem w ręku.

- A więc to Richard Grenville dowodzi teraz oblężeniem! Mam tu wieści od krewnego, który jest w Tavistock przy księciu Maurycym. Zdaje się, że ksiązę ma bardzo wysokie mniemanie o zdolnościach Grenville'a, ale mój Boże, cóż to za łajdak!

Aż się zagotowałam w duchu od tych słów. Dawna miłość i lojalność znów doszły do głosu.

- Właśnie o nim mówiliśmy - odezwała się Joan.

- Słyszeliście chyba, co zrobił zaraz po przyjeździe? - Will sączył swój jad z wyraźnym upodobaniem. - Mój krewniak wszystko mi kiedyś opowiedział. Otóż ten łotr udał się prosto do Fitzford, majątku swej byłej żony, przepędził dozorców, zabrał, co tylko chciał, plenipotentą wtrącił do więzienia i przejął od dzierżawców wszystkie opłaty należne prawowitej właścicielce.

- Myślałam, że się rozwiódł? - zdziwiła się Alice.

- To prawda, jest rozwiedziony i nie ma prawa do ani jednego pensa z posiadłości. Ale to cały Grenville.

- Ciekawe - wtrąciłam spokojnie - co się stało z jego dziećmi?

- To akurat też wiem - odrzekł Will.- Córka jest z matką w Londynie... może mają przyjaciół w parlamencie. Ale chłopak z guwernerem przebywali w Fitzford, kiedy Grenville tam zjechał, a teraz z całą pewnością jest przy ojcu. Podobno biedaczek strasznie się go boi i trudno mu się dziwić.

- Niewątpliwie to matka wychowała chłopca w nienawiści do ojca - zauważyłam.

- Żadna kobieta, tak podle wykorzystana jak owa nieszczęśliwa dama, nie zdobyłaby się na odmalowanie męża w korzystnych barwach.

Logika była po jego stronie, bo też ci, którzy opluwali Richarda, zawsze się nią kierowali.

Ale ja miałam już tego dość i powiedziałam Johnowi, że chcę wrócić do siebie. Dzień, który zaczął się od przyjemnej przejażdżki po grobli, przyniósł mi potem tylko gorzkie rozczarowanie, toteż położyłam się do łóżka i zapowiedziałam Matty, iż nie życzę sobie żadnych gości.

Przez piętnaście lat dawna Honor leżała martwa i pogrzebana, a znów zaczęła się wyrwać na ten świat. Wystarczyło, że ktoś wymienił pewne od lat zapomniane imię... Richard w Niemczech czy też Rich w Irlandii wydawał się zbyt daleki, by wkładać się w me codzienne myśli. Owszem, często o nim marzyłam, ale jak o kimś, kto należy do przeszłości, a teraz nagle musiał wtargnąć w moją terażniejszość! Jest blisko, zaledwie o trzydzieści mil stąd, na pewno będą ciągle o nim gadać krytykować go, roztrzasać jego postęпки. Będę musiała wysłuchiwać jak obrzucają go błotem osoby pokroju Willa Sparke'a.

- Wiecie? - powiedział dziś, zanim mnie odwieziono -

Okragłe Łby [Okragłe Łby - stronnicy parlamentu. Nazywano ich tak, ponieważ golili sobie głowy.] przezwały go „Skellum Grenville” i wyznaczyły cenę za jego głowę. To całkiem do Richarda pasuje i nawet jego ludzie tak go nazywają za plecami.

- A co to właściwie znaczy?

- Och... Myślałem, że jesteście równie biegli w języku niemieckim jak w grece i łacinie - prychnął i po chwili wyjaśnił łaskawie: - Skellum oznacza złośliwą bestię.

O tak, miałam mnóstwo powodów, żeby leżeć w łóżku i oddawać się ponurym myślom o człowieku, który kiedyś uśmiechał się do mnie wśród kwiatów jabłoni przy cichym pobrzękiwaniu pszczoł.

Piętnaście lat... Jest ode mnie o dziesięć lat starszy, więc teraz ma czterdzieści cztery.

- Matty, przynieś mi zwierciadło - zażądałam, kiedy przyszła zapalić świece.

- Po co wam zwierciadło, panienko?

- Tam do licha, nie twoja sprawa.

Wciąż warczałyśmy na siebie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Kiedy spełniła polecenie, zaczęłam badać z uwagą mój wygląd, jak ktoś obcy, patrzący z boku.

Zobaczyłam dwoje oczu, nos, usta - prawie takie same jak zawsze, ale twarz była teraz nieco pełniejsza niż za młodych lat i bardziej apatyczna (pewnie od ciągłego leżenia na plecach).

Pod oczami miałam drobne zmarszczki - skutek dokuczliwych bólów nóg. Straciłam też dawne kolory, natomiast moją mocną stroną nadal były włosy, przedmiot wielkiej dumy Matty, która godzinami je szcotokowała, żeby nabrały połysku. Oddałam jej lustro z westchnieniem.

- I co? - spytała.

Za dziesięć lat będzie ze mnie stara baba.

Prychnęła tylko i zaczęła składać moje rzeczy.

- Coś wam powiem - odezwała się, wciągając dolną wargę.

- No?

- Jesteście teraz znacznie piękniejsza niż tamta wymuskana panienka z rumieńcami na twarzy.

Niby nic, a cieszy. Oczyma duszy ujrzałam korowód wielbicieli, sunących schodami, żeby oddać mi hołd. Piękna wizja, ale u diabła, gdzież oni są?

- Jesteś jak stara kwoka - powiedziałam do Matty. - Taka, co najmniejsze kurczę uważa za ósmy cud świata. Idź spać.

Leżałam jakiś czas, rozmyślając o Richardzie, a także o jego synu, który powinien mieć teraz ze czternaście lat. Czy to możliwe, żeby, jak twierdzi Will Sparke, chłopak bał się własnego ojca? A gdybyśmy się pobrali - Richard i ja - i gdyby to był nasz syn? Czy bawilibyśmy się z nim? Czy huśtałibyśmy go na kolanach, łazili za nim na czworakach i udawali tygrysy? Czy malec przybiegałby do mnie z brudnymi rączkami i potarganymi włoskami, zaśmiewając się do teź? Czy byłby rudy, jak jego ojciec? Czy jeździlibyśmy razem na polowania i Richard uczyłby go trzymać prosto się w siodle?

Próżne, bezsensowne rozważania, ociekające sentymentalizmem niczym jaskry rosą w wilgotny poranek... Już prawie zasypiałam, oszołomiona marzeniami, kiedy nagle w przyległym pokoju usłyszałam jakiś szelest. Podniosłam głowę z poduszki, myśląc, że to Matty krząta się w gotowalni, ale dźwięk dobiegał z przeciwnej strony. Wstrzymałam oddech i czekałam. Tak, to znów ten sam odgłos skradających się kroków. Jak błyskawica przeleciała

mi przez głowę opowieść Joan o obłąkanym stryju. Czy naprawdę jego duch zakrada się tu nocami? Było ciemno choć oko wykol, bo cienki sierp księżycy nie dawał ani odrobiny światła i przez żadne z okien nie wpadał nawet jeden promień. Zegar na wieży wybił pierwszą. Kroki ucichły, a potem znów rozpoczęły wędrówkę... Nagle wyraźnie powiało chłodem.

Moje okna były pozamykane, z wyjątkiem jednego, wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec, które Matty zostawiła lekko uchylone. Zresztą to nie z tego kierunku czułam przeciąg. Wtedy przypomniałam sobie, że drzwi do przyległego pokoju zamocowano nie przy samej podłodze, tylko o parę cali wyżej. Dlatego właśnie Matty nie mogła nic zobaczyć przez szparę nad progiem i musiała użyć nożyczek.

Teraz jednak właśnie spod tamtych drzwi wpadało zimne powietrze, a przecież nic takiego dotąd się nie zdarzało. Skoro tak, to musiało się tam wydarzyć coś, co ów przeciąg spowodowało. Wciąż słychać było ciche, ostrożne kroki. Pot spływał mi po twarzy, bo przypomniałam sobie wszystkie historie, jakimi bracia straszili mnie w dzieciństwie - że duchy często nie mogą oderwać się od miejsca, którego za życia nienawidziły, że z zaświatów towarzyszy im prąd lodowatego powietrza... Wtem w stajni zaszczekał pies i ten swojski odgłos sprawił, iż wreszcie oprzytomniałam. Cóż bardziej prawdopodobnego niż to, że przeciąg powstał za przyczyną żywego człowieka, który jakimś cudem otworzył zabite sztabami okno, wychodzące - jak jedno z moich - na zewnętrzny dziedziniec? Duch biednego, zwariowanego stryja Johna z pewnością nie wyciągnąłby mnie z łóżka, ale żywa istota spacerująca nocą po zamkniętym pokoju rozpalila do białości ciekawość osoby, która - jak pamiętacie - od dzieciństwa lubiła

podśluchiwać.

Cicho, jak najciszej, sięgnęłam po krzesiwo, które Matty zawsze kładła przy moim łóżku, i zapaliłam świecę. Przyciągnęłam bliżej fotel i z wielkim wysiłkiem, nie umniejszonym mimo wielu lat ćwiczeń, opuściłam się na siedzenie. Kroki natychmiast ucichły. A więc miałam rację, pomyślałam z triumfem. Żaden duch nie zatrzymałby się na dźwięki skrzypnięcia fotela. Odczekałam dobrych kilka minut i intruz widać znów poczuł się bezpiecznie, bo usłyszałam szmer jakby wysuwanej szuflady. Bezszelestnie przetoczyłam się pod drzwi. Ktokolwiek tam jest, nie przejdzie mu przez myśl, że kaleka, dzięki swemu uzdolnionemu i pełnemu inwencji bratu, potrafi się poruszać. Obraz, którym Matty przysłoniła szczelinę, znajdował się na poziomie mych oczu. Zdmuchnęłam świecę, ufając losowi, że kiedy zaspokoję już ciekawość, trafię jakoś do łóżka. Następnie, wstrzymując oddech, zdjęłam obraz z gwoździami osłoniłam twarz ręką i przytknęłam oko do szpary. W pokoju panowali półmrok, rozświetlony tylko jedną świecą ustawioną na pustym stole. Nie mogłam objąć wzrokiem całego pomieszczenia - szpara była na to za mała - ale stół znajdował się dokładnie na linii mojego wzroku. Odwrócony do mnie plecami, siedział tam mężczyzna. Miał na sobie płaszcz do konnej jazdy i buty z ostrogami. W rękę trzymał pióro i pisał coś na długim pasku papieru, od czasu do czasu zerkając na drugą kartkę. Człowiek z krwi i kości, a nie żaden duch! Pisał z takim samym spokojem jak kopista przy swym pulpicie. Kiedy skończył stronę, złożył papier, podszedł do szafki w ścianie i wysunął szufladę z tym samymi szurnięciem, które słyszałam poprzednio. Światło, jak już wspomniałam, było nikłe, a nieznajomy stał tyłem, na głowie miał kapelusz, więc niewiele mogłam dostrzec, poza głębokim szkarłatem

płaszcz. Potem, zabierając świecę, odszedł cicho w dalszy kąt i już go nie widziałam. Zapadła cisza, nie słyszałam żadnych pośpiesznych kroków, ale gdy tak siedziałam, zaintrygowana, z okiem przy szparze, zorientowałam się nagle, że ustał także chłodny strumień powietrza spod drzwi. A przecież nie słyszałam trzasku zamykanego okna... Pochyliłam się mocno i przy tknęłam rękę do progu. Żadnego ciągu. To znaczy, że intruz w jakiś niezauważony przeze mnie sposób odciął dopływ świeżego powietrza i jednocześnie sam się ulotnił. Opuścił pokój tą samą drogą, jaką do niego wszedł, ale raczej nie przez drzwi na korytarz. Zawróciłam w stronę łóżka, zawiesiwszy uprzednio obraz na miejscu, ale w ciemnościach uderzyłam w stół i obudziłam Matty, która i tak miała zawsze lekki sen.

- Postradaliście zmysły, panienko? - ofuknęła mnie z miejsca. - Musicie się rozbijać po ciemku?

Podniosła mnie jak dziecko i zapakowała do łóżka.

- Przyśnił mi się jakiś koszmar - skłamałam - i wydało mi się, że słyszę kroki. Czy ktoś chodził po podwórzu?

Odsunęła story.

- Ani żywej duszy! - sarknęła - Nawet kot się nie skrada. Wszyscy śpią.

- Pewnie pomyślisz, że zbzikowałam do reszty, ale wyjdź na chwilę ze świecą na korytarz i sprawdź, czy drzwi do tamtego pokoju nadal są zamknięte.

- Ani chybi musieliście zbzikować, panienko. Oto skutki zaglądnienia do zwierciadła w piątkowy wieczór. - Poszła jednak, ale zaraz wróciła. - Zamknięte jak zawsze, a sądząc z kurzu na klamce, nikt tam nie wchodził od miesięcy.

- No tak. Tak właśnie przypuszczałam - szepnęłam w zadumie.

Pokręciła głową z naganą.

- Chyba wam uwarzę gorący kordiał.
- Nie chcę żadnego kordiału - burknęłam.
- To najlepszy sposób na złe sny.

Otuliła mnie pledami, pogderiała jeszcze trochę i wreszcie poszła do siebie. Ja byłam wszakże zanadto wzburzona, by zasnąć w ciągu najniższych godzin. Próbowałam odtworzyć sobie w myśli układ domu od zewnątrz. Kiedy John obwoził mnie po posiadłości, zauważyłam coś, wydało mi się dziwne, ale co? Odpowiedź nasunęła mi się dopiero nad ranem. Otóż dwór zbudowano w kształcie czworoboku, w środku, którego zostawiono miejsce na wewnętrzny dziedziniec. Czworobok o wyraźnych prostych liniach, bez żadnych wystających skrzydeł. A w północno-zachodnim rogu, na zewnątrz nieużywanego pokoju, była przypora, ciągnąca się od dachu aż do ziemi. Czemu, na Boga, sir John Rasleigh zbudował sobie w roku 1600 dom z przyporą? I czy miało to jakiś związek z tym, że apartament, do którego przylegała, został zaprojektowany specjalnie dla obłąkanego syna Johna?

Niektórzy wariaci są nieszkodliwi, a niektórzy wręcz przeciwnie, i nawet w najgorszym wypadku, kiedy człowiek zmienia się w dziką bestię, zapewnia mu się trochę świeżego powietrza i ruchu o określonych porach dnia. Trudno prowadzić takiego nieszczęśnika po długich korytarzach. Uśmiechnęłam się do siebie w ciemności, bo wreszcie, po całych godzinach bezsennego wiercenia się na łóżku, odgadłam, jak intruz wśliznął się do sąsiedniego pokoju bez forsowania zamkniętych drzwi. Otóż wchodził i wychodził tą samą drogą, co nieszczęśny stryj John bez mała pół wieku temu: po schodach ukrytych w skarpie. Ale dlaczego tam przychodził i o co w tym wszystkim chodziło, miałam dopiero odkryć.



Rano padał deszcz i nie mogłam wyruszyć na swą codzienną przejażdżkę. Później jednak kapryśne słońce wyjrzało zza nisko zawieszonych chmur, więc owinąwszy się w płaszcz, oznajmiłam Matty, że wybieram się do ogrodu.

John Rashleigh objeżdżał właśnie farmy położone w swych dobrach. Towarzyszył mu rządcą, którego domek zauważyłam za trawnikiem do gry w kule. Ponieważ utraciłam na razie swego wiernego pomocnika, pieczę nad moim fotelem przejęła Joan. Z łatwością dała się namówić do przewiezienia mnie najpierw na zewnętrzny dziedziniec, gdzie udałam, że chcę się przyjrzeć, jak pięknie od tej strony wygląda moje mieszkanie.

W rzeczywistości przypatrywałam się konstrukcji przypory. Tak jak pamiętałam, ciągnęła się od ziemi aż po dach w północno-zachodnim rogu, a tuż za nią znajdowało się zabite sztabami okno tajemniczego pokoju.

Przypora miała, moim zdaniem, nieco ponad cztery stopy szerokości, więc jeśli za pozornie grubą kamienną fasadą znajdowała się pusta przestrzeń, mogła z łatwością pomieścić schody. Nigdzie jednak nie było widać wyjścia na dziedziniec. Poprosiłam Joan, żeby podwiozła mnie bliżej, pod pretekstem, że chcę się przyjrzeć porostom, które po niecałych pięćdziesięciu latach pokryły kamień. Tak, przynajmniej od ze wnątrzscharpa wyglądała solidnie, więc jeśli rozumowałam prawidłowo, schody musiały biec pod ziemią, poniżej fundamentów, skąd zapewne tunelem można się było przedostać na teren posiadłości. Biedyny stryj John. Jakie to znamienne, że w galerii portretów rodzinnych brakowało jego podobizny. Skoro jego ojciec zadał sobie tyle

trudu, by nikt nie widywał obłąkanego syna, ten ostatni musiał budzić strach albo odrazę...

Potem Joan wywiozła mnie dalej i przez królikarnię wydostałyśmy się na ścieżkę do domku rządcy. Drzwi do saloniku były otwarte, a na progu stała pani Langdon, miła kobiecina, która po wzajemnej prezentacji uparta się, by poczęstować nas szklanką mleka. Kiedy zostawiła nas na chwilę, rozejrzałyśmy się po porządnie wysprzątanym pokoju i Joan ze śmiechem pokazała mi pęk kluczy na gwoździu przy drzwiach.

- Stary Langdon mógłby uchodzić za jakiegoś rabusia. Z zasady nie rozstaje się z tymi kluczami i zawsze nosi je u pasa. John mówi, że Langdon ma duplikaty wszystkich kluczy mojego teścia.

- Od dawna jest tu rządcą?

- O, tak! Nastął tu zaraz po wybudowaniu domu, jeszcze jako całkiem młody człowiek. Zna w Menabilly dosłownie każdy kąt.

Więc może zna także sekret przypory, jeśli oczywiście takowy istnieje? Joan, obdarzona nie mniejszą ciekawością niż ja, zaczęła przyglądać się karteczkom przy poszczególnych kluczach.

- Letni pawilon... - przeczytała, zerkając na mnie z figlarnym, uśmiechem. Potem w mgnieniu oka ściągnęła klucz z kółka i pomachała mi nim przed oczami. - Chciałaś przecież zajrzeć do wieżyczki na grobli, prawda?

W tym momencie do pokoju wróciła pani Langdon z mlekiem. Joan poczerwieniała jak dziecko przyłapanie na jakimś przewinieniu i szybko schowała klucz w fałdach sukni. Pogawędziłyśmy trochę, ja pośpiesznie piłam mleko, a Joan z niewinną miną patrzyła w sufit. Potem pożegnałyśmy poczciwą gospodynię i przez furtkę w murze skręciłyśmy do

ogrodu.

- Widzisz, coś narobiła? - powiedziałam. - Ciekawe, jak teraz zwrócisz ten klucz. - Joan zaśmiała się cichutko.

- Po prostu oddam go Johnowi. Będzie musiał wymyślić jakąś bajeczkę dla starego Langdona. Ale skoro już mamy ten klucz, moja Honor, szkoda byłoby go nie wykorzystać.

O niczym bardziej nie marzyłam i Joan, jak na chrześniaczkę przystało, dobrze o tym wiedziała.

- Niczego nie obiecuję - mruknęłam. - Zawieź mnie na groble, zobaczymy, z której strony powieje wiatr.

Przecięłyśmy ogrody, a przejeżdżając koło domu, pomachałyśmy do Alice stojącej w oknie swego apartamentu nad galerią. Kątem oka dostrzegłam także Temperance Sawle, która niczym stara wiedźma zerknęła przez uchylone boczne drzwi z wypisanym na twarzy zamiarem przyłączenia się do nas nawet za cenę przemoczenia nóg.

- Nie ma to jak mój fotel na taki mokry dzień! - zawołałam w jej stronę. - Na ścieżkach jest pełno wody, a znad Gribben nadciągają no we chmury.

Czmychnęła spod drzwi niczym spłoszony królik, a potem widziałam, jak wchodzi do galerii. Joan, tłumiąc śmiech, powiozła mnie dalej, na groble.

Dopiero z wysokości około dziesięciu stóp można było podziwiać piękny widok na morze, ponieważ niżej zasłaniała je pochyłość wału. Menabilly, chociaż zbudowane na wzgórzu, leżało jakby na dnie dużego spodka. Zwróciłam na to uwagę Joan, kiedy pchała fotel do pawilonu.

- Owszem - przyznała - John tłumaczył mi, że dom umyślnie zbudowano w ten sposób. Chodziło o to, żeby był absolutnie niewidoczny od strony morza. Stary pan Rashleigh żył w ciągłym strachu przed piratami, ale prawdę rzekłszy,

sam także nie stronił od ich procederu. Trzymał w domu całe bele jedwabiu i sztaby srebra, zrabowane we Francji i przywiezione na jego własnych statkach do Pridmouth.

W takim przypadku, pomyślałam, podziemne przejście, znane tylko panu domu i ewentualnie rządcy, mogło się okazać nadzwyczaj pożyteczne.

Ale właśnie dotarliśmy do pawilonu. Joan, sprawdzwszy najpierw, czy nikt nie nadchodzi, wyciągnęła klucz i włożyła go do zamka.

- Muszę cię uprzedzić - powiedziała - że nie ma w nim nic szczególnego. Byłam tu kilka razy z moim teściem i widziałam tylko zatechłą izbę, półki pełne książek i papierów, no i ten piękny widok na morze.

Wtoczyła mnie do środka. Rozglądałam się dookoła z dziecinną nadzieją, że wykryję jakieś ślady piractwa. Ale wszystko było w porządku. Ściany zastawione książkami, z okna - tak jak mówiła Joan - rozległy widok na całą zatokę aż po cypel Gribben, a od wschodu na gościniec, który wzdłuż stromego wybrzeża biegł do Fowey. Każdy, kto pieszo lub konno zbliżał się od tej strony do Menabilly, musiał być z tego okna widziany, tak samo zresztą jak zmierzający do brzegu statek. Stary pan Rashleigh wykazał się isticie lisią chytrnością.

Na kamiennej posadzce leżał dywan, który tylko w miejscu, gdzie stało biurko, nie sięgał ściany. Zapewne dla ochrony stóp od zimna położono tam grubą matę. Zgodnie z charakterem mego szwagra, wszystkie papiery na biurku były starannie posegregowane i pochowane do teczek Joan zostawiła mnie w fotelu, żebym mogła przejrzeć książki, sama zaś na zewnątrz objęła straż przy wyjściu na groblę. Nie znalazłam niczego ciekawego: księgi prawnicze, zasuszone i pokryte kurzem, księgi rachunkowe oraz wiele tomów

podpisanych „Sprawy hrabstwa”, zapewne z czasów, kiedy Jonathan sprawował urząd szeryfa Kornwalii. Na niższej półce, bliżej biurka, stały tomy z napisami: „Dom w mieście” i „Menabilly”, dalej „Umowy małżeńskie” i „Testamenty”. W sprawach interesów Jonathan był samą skrupulatnością. Tom zatytułowany „Testamenty” znajdował się najbliżej i nagle poczułam nieodpartą pokusę, żeby wziąć go do ręki. Obejrzałam się przez ramię - Joan, nucąc jakąś melodyjkę, zbierała pilnie kwiatki dla swych dzieci. Wyjęłam tom z półki. Kartę po karcie pokrywało staranne pismo mego szwagra. Zwróciłam uwagę na stronę z nagłówkiem: „Mój ojciec, John Rashleigh, urodzony w roku 1554, zmarł 6 maja 1624”. Obok, na oddzielnej kartce - być może dostała się tam przypadkiem - znajdował się opis procesu, który niejaki Charles Bennett wytoczył Johnowi Rashleighowi przed Gwiazdźszą Izbą w roku 1616. Ów Charles Bennett, jak sobie przypomniałam, był ojcem Roberta, naszego sąsiada z Looe, tego samego, który rozpuszczał plotki o truciznie. Sama sprawa miała posmak skandalu i gdyby czas mnie nie naglił, pewnie bym się nieźle ubawiła. Otóż Charles Bennett oskarżył Johna Rashleigha o to, że ów „prowadzi wyjątkowo rozwiązły tryb życia, oddaje się rozpuszcie z różnymi kobietami, w liczbie ponad czterdziestu pięciu, miota oszczerstwami i tak dalej, przez co jego małżonka, cnotliwa i zacna niewiasta, wpadła w taką załość, że wyzionęła ducha”. Przeczytawszy to, zerknęłam na koniec i z niejakim zdziwieniem odkryłam, iż John Rashleigh został uznany za winnego. Swoją drogą, co za cudowna broń na mego zarozumiałego szwagra, który lubił czasem przechwalać się nieposzlakowaną moralnością swej rodzinki! Teraz jednak przewróciłam stronę i na następnej znalazłam testament, którego szukałam. A więc jednak stary John Rashleigh nie

był taki zły dla swoich krewnych. Nick Sawle dostał pięćdziesiąt funtów (pewnie Temperance natychmiast mu je zabrała), Sparke'owie również zostali obdarowani taką sumą. Dla ubogich z Fowey przeznaczono około dwudziestu funtów. „Ależ ty jesteś niegodziwa! Jak można tak wtykać nos w cudze sprawy! „ - upomniałam się w duchu i mimo wszystko czytałam dalej. Wszystkie dobra w Kornwalii, domy w Fowey i Menabilly oraz reszta majątności przechodziła w ręce młodszego syna Jonathana, jednocześnie wykonawcy testamentu. Na końcu kodycył: „Trzydzieści funtów rocznej renty z dochodów z Fowey przeznaczam dla mego starszego syna Johna. Będzie mu ona wypłacana po śmierci jego brata Jonathana, który przez całe życie winien mi zapewniać mieszkanie i wikt (w tym posiłki z mięsem)”. Za oknem przesunął się cień Joan. Szybko zatrzasnęłam księgę i odłożyłam ją na półkę.

A więc nie było cienia wątpliwości, co do stanu umysłu biednego stryja Johna. Chciałam się obrócić tyłem do biurka, ale podczas przetaczania fotela prawe koło utknęło na jakimś zgrubieniu pod matą. Pochyliłam się, by je uwolnić, ale najpierw musiałam podnieść brzeg maty.

Okazało się, że do kamiennej płyty przymocowano grube żelazne kółko. Chociaż przylegało tak płasko, że pewnie nie wyczułoby się go przy chodzeniu, dla fotela na kółkach stanowiło dostateczną przeszkodę.

Wychyliłam się najdalej, jak mogłam, i ujawszy kółko oburącz, z wielkim wysiłkiem podniosłam płytę o kilka cali nad posadzkę. Była dla mnie stanowczo za ciężka i musiałam położyć ją z powrotem, ale przedtem zdażyłam zauważyć strome schodki prowadzące w ciemność. Ułożyłam matę na miejscu i w tym momencie wróciła Joan.

- No, Honor, zobaczyłaś wszystko, co chciałaś?

- Chyba tak - odrzekłam.

Po chwili Joan znowu zamknęła drzwi na klucz i potoczyła mój fotel po grobli w stronę domu. Paplała wesoło o tym i owym, ale prawie jej nie słuchałam, bo głowę miałam nabitą swym odkryciem. Wydawało się dość oczywiste, że pod posadzką pawilonu znajdowało się jakieś pomieszczenie bądź tunel, a ustawienie biurka sugerowało, że wejście specjalnie zamaskowano. Na kółku nie było rdzy, co świadczyło, że nadal jest używane, i to często, skoro nawet kalece udało się podnieść płytę. Zerknęłam w dół na ścieżkę prowadzącą do plaży czy zatoczki Pridmouth, jak nazywała ją Joan. Była wąska i stroma, po obu stronach rosły gęste drzewa. Jakże łatwo z zakotwiczonego na głębokiej wodzie statku wysłać na brzeg łódkę z kilkoma ludźmi, którzy następnie wspięliby się na górę aż pod sam pawilon i tam złożyli przydzwigane na plecach ciężary. Czy o to właśnie chodziło staremu Johnowi Rashleighowi, kiedy budował swą wieżę? Czy czterdzieści lat temu rzeczywiście pod posadzką leżały bele jedwabiu i sztaby srebra? Bardzo to prawdopodobne, ale czy schodki pod posadzką miały jakiś związek z moimi podejrzeniami, co do przypory - trudno powiedzieć. Jedno było pewne: w pokoju przylegającym do mojego istniało sekretne wejście do domu i jeszcze ubiegłej nocy ktoś z niego korzystał, bo go widziałam na własne oczy.

- Taka jesteś milcząca. Honor - odezwała się Joan. - O czym myślisz?

- Właśnie doszłam do wniosku, że trochę zbyt pochopnie zdecydowałam się na wyjazd z Lanrest. Tam wszystkie dni były do siebie podobne, a tu codziennie nowa sensacja.

- Szkoda, że nie podzielałam twego zdania. Bo mnie dni i tygodnie wydają się zupełnie jednakowe. Sawle'owie

gryzą się ze Sparke'ami, dzieci to istne utrapienie, a mój drogi mąż cały czas narzeka, że nie może wyruszyć na wojnę razem z Peterem i innymi.

Dotarliśmy do końca grobli i właśnie miałyśmy przejechać przez furtkę do ogrodu, kiedy wybiegł nam na spotkanie mały Jonathan, trzyletni synek Joan.

- Wujcio Peter przyjechał! I jeszcze jeden pan, i mnóstwo żołnierzy! I głaskaliśmy konie!

! Uśmiechnęłam się do jego matki.

- A nie mówiłam? W Menabilly nie ma dnia bez jakiegoś zamieszania.

Nie życzyłam sobie paradować przed wysokimi oknami galerii pod obstrzałem oczu całego towarzystwa. Poprosiłam Joan, żeby podwiozła mnie do głównego wejścia, gdzie o tej porze zwykle nie było żywego ducha, bo nikt nie siedział w jadalni. Gdy tylko znajdę się za drzwiami, ktoś ze służby zanieś mnie do mej komnatki. Potem ewentualnie posłę po Petera, zawsze chętnego do odwiedzin, i posłucham wieści o Robinie. Wjechałyśmy, więc do domu, poprzedzane przez małego Jonathana, i zaraz usłyszałyśmy z galerii śmiechy i gwar wielu głosów. Przez drzwi otwarte na wewnątrz dziedziniec zobaczyłyśmy konie, które właśnie pojono przy studni pod wieżą z dzwonem. Stukały kopyta, żołnierze uwijali się żwawo, obrządzając wierzchowce. Jeden z jeźdźców pomachał ręką spłonionej dziewczce kuchennej, która ukazała się w okienku poddasza. Był to mężczyzna potężnej postury, o szerokim uśmiechu. Kiedy się odwrócił i kiwnął na towarzyszy, natychmiast za nim ruszyli, wyprowadzając napojone konie przez bramę pod moim mieszkaniem na zewnętrzny dziedziniec, ku stajniom.

Dopiero wtedy zauważyłam, że każdy z przybyłych ma na ramieniu szkarłatną tarczę z trzema złotymi tulejami.



Na chwilę straciłam oddech. Czułam, że ogarnia mnie panika.

- Poszukaj szybko kogoś ze służby - poprosiłam Joan.

- Chcę natychmiast udać się do siebie.

Ale już było za późno. Ledwie mały Jonathan ruszył w podskokach do kwater kuchennych, w hallu ukazał się Peter Courtney w towarzystwie kilku oficerów i swojej Alice, którą czule obejmował w pól.

- Ależ to Honor! - zawołał. - Co za radość! Znając twe zwyczaje, obawiałem się, że tkwisz w swoich apartamentach, a Matty jak ten smok trzyma straż przy drzwiach. Panowie, przedstawiam wam pannę Honor Harris, która nie ma najmniejszej ochoty was poznać.

Mogłabym go wychłostać za taki brak dyskrecji, ale był przecież tylko wesołym szalawilą, uwielbiał żarty i figle, a spostrzegawczości miał tyle, co brzęczący trzmiel. Jeden po drugim oficerowie składali przede mną ukłony, wymieniając kolejno nazwiska, a Peter, nie przestając śmiać się i pokrzykiwać wysokim, przenikliwym głosem, pchał mój pojazd do galerii. Alice, której intuicji starczyłoby dla nich obojga, zatrzymałaby go pewnie, gdybym tylko uchwyciła jej wzrok, ale teraz promieniała wprost szczęściem i nie widziała nikogo poza mężem.

Patrzyła w Petera jak w obraz, ani na chwilę nie puszczając jego ramienia. W galerii było gwarno i rojno - Sawle'owie, Sparke'owie i Rashleighowie rozprawiali jeden przez drugiego, przekrzykując się nawzajem. W końcu sali dostrzegłam Mary, pogrążoną w rozmowie z kimś bardzo wysokim, o szerokich barach, które wydały mi się boleśnie, niemal przerażająco znajome. Moja siostra raz po raz rzucała trwożne, ukradkowe spojrzenia w stronę ogrodu, a po roztargnionym i zaaferowanym wyrazie jej oczu poznałam, iż myśli tylko o tym, czy aby wróciłam już z przejażdżki. Nagle

mnie zobaczyła; uniosła brwi w dobrze znany mi sposób i zaczęła trzepać jak najęta. Widok jej zmieszania pomógł mi zachować zimną krew. Co mnie to, do diabła, obchodzi po piętnastu latach? Nie ma powodu mdleć przy byle spotkaniu. Bóg świadkiem, że mam w sobie dość siły woli, by zapanować nad sytuacją, zwłaszcza w domu Mary i w obecności tylu osób.

Peter, nie wyczuwając zupełnie, co się dzieje, wiozł mnie powoli w stronę okna. Kątem oka zauważyłam, że Mary, którą nagle tchórz obleciał, zrobiła coś, co i ja - przysięgam - zrobiłabym na jej miejscu: wyjąkała coś na temat obowiązków gospodyni i uciekła z galerii, nie spojrzawszy nawet w moją stronę. Richard obrócił się i dopiero teraz mnie zauważył. Pod wpływem jego spojrzenia serce skoczyło mi do gardła i nie należało już do mnie.

- Generale - odezwał się Peter - mam przyjemność zaprezentować panu moją kochaną krewniaczkę, pannę Honor Harris z Lanrest.

- Jest ona i moją powinowatą - odrzekł Richard i pochylił się, by ucałować mi dłoń.

- Och, doprawdy? - stropił się Peter, spoglądając to na jedno, to na drugie z nas. - Przypuszczam, że wszyscy Kornwalijszczyki są do pewnego stopnia ze sobą spokrewnieni. Pozwólcie, panie generale, że napełnię wam kielich. Honor, czy napijesz się z nami?

- Owszem.

Prawdę rzekłszy, pełny kielich wydawał mi się w tej chwili ostatnią deską ratunku. Kiedy Peter nalewał trunek, po raz pierwszy przyjrzałam się dobrze Richardowi. Bardzo się zmienił, co do tego nie miałam wątpliwości. Po pierwsze, mocno się rozrósł, także w barach i karku. Twarz miał teraz szerszą niż dawniej, bardziej ogorzałą, wysmaganą wiatrem.

Pod oczami dostrzegłam zmarszczki - no cóż, minęło wszak piętnaście lat. Nagle odwrócił się do mnie, by podać mi wino, i wówczas wysoko nad skronią zauważyłam w rudej czuprynie siwe pasemko. Oczy jednak pozostały te same.

- Za twoje zdrowie i pomyślność! - powiedział cicho i wychyliwszy kielich do dna, wyciągnął go wraz z moim do powtórnego napełnienia. Żyłka w prawej skroni pulsowała mu gwałtownie - widomy znak, że i jego mocno poruszyło to spotkanie. - Nie wiedziałem, że jesteś w Menabilly.

Peter zerkał nań ciekawie, a ja zastanawiałam się, czy nigdy przedtem nie widział u swego dowódcy oznak zdenerwowania. Zaciśnięta na kielichu dłoń Richarda drżała lekko, lecz ton głosu był niemal burkliwy.

- Ledwie kilka dni temu przyjechałam tu z Lanrest - wyjaśniłam także dziwnie nieswoim głosem. - Bracia uznali, że podczas wojny nie powinnam mieszkać sama.

- Bardzo to mądrze z ich strony. Essex wciąż posuwa się na zachód. Wcale niewykluczone, że znów wybuchną walki po tej stronie Tamar.

W tym momencie małe córeczki Petera z radosnym piskiem przypadły do kolan ojca. Ten uśmiechnął się przepraszająco i dał się porwać w wir życia rodzinnego. Posadził sobie dziewczynki na ramionach i triumfalnie wyruszył na obchód galerii. Richard i ja zostaliśmy sami przy oknie. Patrzyłam na ogród, na wystrzyżone cisowe żywopłoty i gładkie trawniki, czyniąc przy okazji mnóstwo innych błahych obserwacji, które w błyskawicznym tempie przelatywały mi przez głowę. Okrągłe zdania w rodzaju: „Jak pięknie zieleni się trawa po porannym deszczu”, „Jest dość chłodno jak na tę porę roku” nie padły z moich ust chyba nigdy, nawet do kogoś obcego, ale w tym momencie wydały mi się najbardziej właściwe. A jednak, chociaż oklepane

frazesy same pchały mi się na język, nie wypowiadałam ich, tylko uparcie, w milczeniu wpatrywałam się w ogród. Richard także jakby oniemiał. Dopiero po dłuższej chwili odezwał się ściszym, chrapliwym głosem:

- Musisz mi wybaczyć moje milczenie. Skąd mogłem wiedzieć, że po piętnastu latach ujrzę cię tak diabelnie niezmienną?

Takie przejście od obecnych oficjalnych stosunków do dawnej intymności wywołało u mnie nowy szok, który należało znieść z zaciśniętymi zębami. A jednak poczułam też dziwne podniecenie.

- Czemu zaraz „diabelnie”? - zapytałam, obserwując go znad krawędzi kielicha.

- Bo przez tak długi czas zdażyłem sobie wytworzyć zupełnie inny wizerunek twojej osoby. Myślałem o tobie jak o bladym, wymizerowanym biedactwie, otoczonym medykami i służbą, jakimś cieniem bez cielesnej powłoki, a tymczasem widzę... to!

I najbezcelniej spojrział mi prosto w twarz w dobrze znany sposób.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Nic nie rozumiesz. Nie powiedziałem, że jestem rozczarowany. Po prostu mnie zamurowało. - Wychylił kielich do dna i odstawił go na stół. - Ale zaraz ochłonę. Gdzie możemy porozmawiać?

- Porozmawiać? Ależ tutaj, skoro sobie życzysz.

- W tym tłumie tokujących durniów i wrzeszczących bachorów? Wykluczone. Nie masz własnych apartamentów?

- Mam - odrzekłam, starając się zachować resztki godności - ale wyglądałoby dość dziwnie, gdybyśmy teraz tam się udali.

- Przedtem jakoś nie kręciłaś nosem na takie

propozycje.

To już był cios poniżej pasa, więc zabrakło mi odpowiedzi.

- Muszę ci chyba przypomnieć - odezwałam się niepewnie - że przez piętnaście lat byliśmy sobie obcy.

- Myślisz, że zapomniałem o tym, choć na chwilę?

W tym momencie do akcji wkroczyła Temperance Sawle, która od pewnego czasu śledziła nas jadowitym wzrokiem.

- Sir Richard Grenville, jak mniemam.

- Uniżony sługa - odparł Richard, spoglądając na nią tak, że nawet ktoś mniej uduchowiony dawno padłby trupem.

- Zły na was czyha, panie - oświadczyła. - Nawet w tej chwili widzę, jak zaciska szpony na waszym gardle i rozdziawia paszczę, by was pożreć. Żałujcie za grzechy, okażcie skruchę, póki nie jest za późno...

- Czego ona chce, do stu diabłów?

Pokręciłam głową i pokazałam palcem na niebo, ale Temperance ciągnęła, niezrażona:

- Piętno Bestii widzę na waszym czole! Wasi żołnierze staną się jako rozwścieczone wilki. Wszyscy zginiecie, wszyscy co do jednego wpadniecie w czelusć bez dna!

- Powiedz tej wariatce, żeby poszła do diabła! - zwrócił się do mnie Richard.

Zaproponowałam pani Sawle trochę wina, ale się wzdrygnęła, jakby chodziło o wrzący olej.

- Będzie tam płacz i zgrzytanie zębów - recytowała swoje.

- Mój Boże, chyba macie rację!

Złapał ją za ramiona, zakręcił wkoło jak frygą i odprowadził do siedzącego przy kominku męża.

- A pilnujcież lepiej swej baby - przykazał mu

stanowczo.

Momentalnie zrobiło się cicho, po czym rozległy się spłoszone szepty. Peter Courtney poczerwieniał na karku i ruszył na odsiecz z karafką.

- Jeszcze trochę wina, generale?

- Dziękuję, dość już wypilem.

Młodzi oficerowie, odwrócenii tyłem do sali, pilnie przyglądali się rodzinnym portretom, tłumiąc śmiech. Will Sparke stał z rozdziawioną gębą w nielicznym gronie przy kominku.

- Dobry dzień na łapanie much, prawda? - zagadnął go Richard jowialnie.

Joan zachichotała w kułak, ale czując spojrzenie gościa, szybko się opanowała.

Will Sparke wysunął się do przodu.

- Macie, panie, pod komendą mojego krewniaka. To młody chłopak, jest chorążym w dwudziestym trzecim regimencie.

- Bardzo możliwe - odparł Richard. - Nigdy nie rozmawiam z chorążymi.

Kiwnął na Johna Rashleigha, który dopiero, co wrócił ze swej codziennej przejażdżki i kręcił się przy drzwiach galerii. Był zachlapany błotem i niespodziewana wizyta nieco go stropiła.

- Hej, ty! - krzyknął do niego Richard. - Zawołaj tu jeszcze jednego pacholka. Trzeba zanieść pannę Honor do jej apartamentów, bo ma już dość towarzystwa na dole.

- To jest John Rashleigh, generale - szepnął pośpiesznie Peter - syn pana domu, a pod nieobecność ojca nasz gospodarz.

- Ha! Skoro tak, to przepraszam. - Richard podszedł do Johna z uśmiechem. - Wasz ubiór jest cokolwiek w nieładzie,

stąd moja pomyłka. Gdyby któryś z moich podwładnych zjawił się przede mną w takim stanie, zostałyby natychmiast zdegradowany. Jak się miewa wasz ojciec?

- Dobrze, jak sędzę - wyjął bardzo zmieszany John.

- Miło mi to słyszeć. Pozdrówcież go ode mnie, a przy okazji zawiadomcie, że teraz, kiedy stacjonuję na Zachodzie, zamierzam bywać tu częściej, do czego uprawniają mnie działania wojenne.

- Tak jest, panie generale.

- Przypuszczam, że znajdują się jakieś kwatery dla moich oficerów, a w parku miejsce dla pewnej liczby żołnierzy, gdyby wypadło nam tu biwakować?

- Oczywiście, generale.

- Świetnie. A teraz zamierzam zjeść obiad z panną Honor w jej apartamencie. Jest moją bliską krewną, choć pewnie o tym nie wiecie. Co się robi z tym fotelem?

- Przenosimy go, panie generale. To bardzo proste.

John dał znak Peterowi, który z zadziwiającą uległością podszedł do nas natychmiast. Ustawivszy się po obu stronach fotela, podnieśli go za poręcze.

- Byłoby jeszcze prościej, gdyby fotel i jego właścicielkę przenosić oddzielnie - zauważył Richard i nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, porwał mnie w ramiona. - Prowadźcie, panowie!

- zakomenderował.

I tak, na oczach całego towarzystwa z galerii, ruszyliśmy osobliwą procesją na schody. Kilku mijanych po drodze służących podpuszczało oczy i przycisnęło się plecami do ściany, żeby nas przepuścić. Na czele kroczyli John i Peter z fotelem - widziałam, jak poczerwieniały im karki. Złożyłam głowę na ramieniu Richarda i objęłam go mocno ze strachu przed upadkiem. Droga wydała mi się

dziwnie długa.

- A jednak się pomyliłem - szepnął mi do ucha. -  
Zmieniłaś się!

- Pod jakim względem?

- Przytyłaś o dobrych trzydzieści funtów.

W tym momencie stanęliśmy przed drzwiami mojej  
komnatki.



Pamiętam ten obiad, jakby odbywał się wczoraj. Ja - wsparta na stercie poduszek, Richard w nogach łózka, przed nami niski stolik.

Można by pomyśleć, że zamiast piętnastu lat minął zaledwie jeden dzień! Kiedy Matty weszła z talerzami, miała surowo zaciśnięte usta. Nigdy nie rozumiała powodów naszego rozstania, uważała po prostu, że Richard mnie porzucił, bo zostałam kaleką. Teraz na widok „starej rajfury” (jak ją nazywał za dawnych dni) mój miły parsknął śmiechem! i zapytał, ileż to serc złamała od ich ostatniego spotkania. Burknęła coś pod nosem, ale on nie dał się zbyć. Jak gdyby nigdy nic zabrał od niej naczynia i poustawiał na stoliku, czym szybko ją udobruchał. Raz po raz oblewała się rumieńcem, kiedy żartował z jej przysadzistej figury i zalotnego loczka na czole.

- Na dziedzińcu znajdzie się z pół tuzina żołnierzy, którzy tylko czekają, żeby cię poznać. Idź i przekonaj ich, że Kornwalijki są lepsze niż te flądry z Devonu.

Matty wyszła, zamykając za sobą drzwi. Z pewnością odgadła, że po raz pierwszy od piętnastu lat nie potrzebuję jej usług. Richard zaraz zabrał się do jedzenia - zawsze cieszył się dobrym apetytem - i szybko sprzątnął wszystko, co nam przysłano. Ja natomiast skubnęłam tylko kawałek kurczęcia, bo wciąż nie mogłam ochłonąć. Jeszcze przed końcem obiadu Richard zaczął krążyć po pokoju - zawsze miał ten zwyczaj - z dużą kością w jednej ręce i plackiem w drugiej. Rozwodził się przy tym szeroko na temat fortyfikacji Plymouth. Uważał, że jego poprzednik niepotrzebnie dopuścił do ich umocnienia, zamiast przy pierwszym szturmie zmieść całość murów z

powierzchni ziemi.

- Nie uwierzyłybyś, Honor, że ten spasiony kretyn Digby siedział przez dziewięć miesięcy na tyłku przed murami miasta! Załoga z Plymouth urządzała sobie wycieczki, zaopatrywała się w żarcie i opał, wznosiła barykady, a on tymczasem rznął w karty z podwładnymi. Dzięki Bogu, że w końcu dostał kulkę i teraz przez dwa miesiące musi leżeć w łóżku, a ja go zastępuję przy obłożeniu.

- A jak je zamierzasz poprowadzić?

- Dwa pierwsze zadania były proste i powinno się je wykonać jeszcze w październiku. Kazałem usypać nowe szańce przy Mount Batten i umieścić tam działa. Sieją takie spustoszenie wśród statków, które próbują przemknąć się przez cieśninę, że garnizon nie ma szans na żadne dostawy. Po drugie, odciąłem dopływ wody i miejskie młyny musiały wstrzymać mielenie ziarna na mąkę dla mieszkańców. Jeszcze miesiąc, dwa takiej zabawy, a zgłodzę ich na śmierć.

Ugryźł wielki kęs placaka i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- A blokada od strony lądu przynosi jakieś efekty? - spytałam.

- Zacznie, gdy tylko będę miał czas ją zorganizować. Niestety przekonałem się, że większość moich oficerów jest funta kłaków niewarta. Już ponad połowę wsadziłem do paki. Ale mam w Saltash takiego jednego zucha. Ten dopiero popędził kota rebeliantom! Wiali do Plymouth, aż się kurzyło, razem ze swymi pchłami. Rozumiesz, że dwa tygodnie temu zrobili sobie wycieczkę i była ostra potyczka, w której zresztą bardzo dzielnie stawał mój bratanek Jack, starszy syn Bevila, pamiętasz go? W zeszłym tygodniu sprawiliśmy małą niespodziankę pewnej placówce koło

Maudlyn. Wyparliśmy nieprzyjaciół i wzięliśmy setkę jeńców. Myślę, że panowie z Plymouth będą teraz mieli cokolwiek niespokojne sny.

- Z jeńcami zawsze jest kłopot - westchnęłam. - Trudno teraz wyżywić nawet własnych ludzi, a co dopiero jeńców. Bo przecież musisz ich karmić, prawda?

- Jeszcze nie zwariowałem! Żywić tych bękartów? Wysłałem całą bandę do zamku Lydford, gdzie powieszono ich bez sądu za zdradę stanu.

- Ale to chyba niezbyt sprawiedliwie, prawda? To znaczy... Oni przecież walczyli za to, co uważali za słuszne.

- Wiesz, gdzie mam sprawiedliwość? Ważne, że metoda jest skuteczna, nic więcej się nie liczy.

- Podobno parlament wyznaczył cenę za twoją głowę. Słyszałam, że rebelianci nikogo tak się nie boją jak ciebie. Ależ muszą cię nienawidzić!

- A co, może mają mnie całować w tyłek?

Uśmiechnął się i usiadł koło mnie, na łóżku.

- Za wiele tej wojny. Pomówmy lepiej o nas.

Wcale sobie tego nie życzyłam. Spodziewałam się, że sprawa oblężenia Plymouth dostatecznie zajmie Richarda.

- Gdzie teraz mieszkasz? - spytałam, zmieniając temat.

- W namiocie na polu walki?

- A cóż bym tam robił, skoro mam do dyspozycji najlepsze rezydencje Devonu? Moja główna kwatery znajduje się w samym Buckland Abbey. Pół wieku temu mój dziadek sprzedał tę posiadłość Francisowi Drake'owi. Nie powiem, całkiem nieźle mi się tam żyje. Zarekwirowałem nawet wszystkie owce i bydło, a dzierżawcy płacą mi czynsz, bo inaczej każą ich wieszać. Nazywają mnie Rudym Lisem, a baby po wsiach straszą mną niegrzeczne dzieci: „Uważaj, idzie Grenvile. Rudy Lis cię złapie”.

Roześmiał się jak z przedniego dowcipu, ale patrzyłam na zarys jego szczęki. Wydała mi się jakby bardziej obwisła, a usta w kącikach] węższe.

- Nie taką sławą cieszył się na Zachodzie twój brat.

- Nie. Ale też nie mam ani takiej żony jak Bevil, ani domu, ani gromadki szczęśliwych dzieci.

Powiedział to dziwnie ochryplym głosem, w którym wyczułam gorycz i żal. Odwróciłam twarz i osunęłam się na poduszki.

- Czy syn mieszka z tobą w Buckland? - spytałam cicho

- Mój pomiot? Tak, gdzieś się tam płacze ze swoim guwernerem.

-Jaki on jest?

- Dick? Wymoczek o smętnym spojrzeniu. Nazywam go „szczeniakiem” i każę mu śpiewać przy wieczerzy. Nie ma w nim ani śladu Grenville’a, to wiemy obraz jego przeklętej matki.

Chłopiec, z którym bawilibyśmy się wspólnie, którego uczylibyśmy] i kochali... Nagle zrobiło mi się smutno. To przygnębiające, że ojciec kwituje istnienie dziecka niedbałym wzruszeniem ramion.

- A więc od początku nie układało się wam dobrze? - spytałam.

- Od początku.

Zapadła długa cisza. Wstąpiliśmy na niebezpieczny grunt.

- Czy nigdy nie próbowałeś wlać odrobiny szczęścia w wasze życie?

- O żadnym szczęściu nie mogło być mowy. Szczęście odeszło razem z tobą, chociaż nie chcesz tego zauważyć.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też.

Po podłodze pełzły już cienie. Zaraz przyjdzie Matty ze światłem.

- Kiedy ostatnim razem nie chciałaś ze mną się widzieć, życie stało się dla mnie zwykłą rośliną. Znasz historię mojego małżeństwa, pewnie dotarła do twoich uszu z licznymi upiększeniami, ale zasadniczo jest prawdziwa.

- Nie miałaś dla niej ani odrobiny uczucia?

- Nie. Zależało mi wyłącznie na pieniądzach.

- Których nie dostałaś.

- Wtedy nie, ale mam je teraz. Wraz z całym jej majątkiem i synem, którego spłodziłem w stanie kompletnego zamroczenia. Dziewczyna jest z matką w Londynie, pewnego dnia jednak i ją zabiorę, kiedy będzie mogła mi się przydać.

- Bardzo się różnisz, Richardzie, od człowieka, którego kochałam.

- Jeśli nawet tak jest, znasz przyczynę.

Słońce zniknęło z okien i pokój wydał mi się nagle ponury, odarty z wszelkiego uroku. Od Richarda dzieliła mnie teraz cała wieczność owych piętnastu lat. Nagle wziął moją dłoń i przycisnął ją do ust. Jakże ciężko było mi znieść dotknięcie, które tak dobrze pamiętałam...

- Czemu, na miłość boską - zawołał, zrywając się na nogi - zostaliśmy skazani na taką tragedię?

- Gniew nic tu nie pomoże, już dawno dałam sobie z tym spokój. Z początku owszem, często mnie ponosiło, ale od wielu lat już nie. Leżenie plackiem nauczyło mnie rygoru, choć nie takiego; jaki zaprowadziłeś w swych szeregach.

Podszedł do łóżka i patrzył na mnie z góry.

- Czy nikt ci nie mówił, że teraz jesteś znacznie ładniejsza niż wówczas?

Uśmiechnęłam się, myśląc o Matty i lustrze.

- Chyba mi pochlebiasz. Albo po prostu mam teraz więcej czasu na zabawę z pudrem i barwiczką.

Niewątpliwie uważał mnie za spokojną i zrównoważoną. Nie miał pojęcia, że tonem swego głosu rozgarnął kurz minionych lat i obrócił je wniwecz.

- Pamiętam każdy skrawek twego ciała! Masz na plecach myszkę, która swego czasu mocno cię irytowała. Uważałaś, że jest brzydka, ale ja bardzo ją lubiłem.

- Czy nie powinieneś już wracać do swych oficerów? Słyszałam, jak jeden z nich mówił, że macie dziś spać w Grampound.

- Albo siniak na lewym udzie - ciągnął, nie zważając na moje uniki. - To przez tę przeklętą gałąź, która sterczała w połowie jabłoni. Porównałem go do dojrzałej śliwki, a ty się obraziłaś.

- Słyszę konie na dziedzińcu. Twoi żołnierze zbierają się do odjazdu. Nie dotrzecie na miejsce przed świtem.

- Leżysz tu sobie, taka zadowolona z siebie i pogodna. Po trzydzieście nabrałaś pewności siebie. Powiadam ci, Honor, mam gdzieś tv oglądać!

Ukląkł przy łóżku, wziął mnie w ramiona i zaraz piętnaście lat uleciało z wiatrem.

- Czy ciągle jeszcze masz mdłości po pieczonym łabędziu? - sapnął mi do ucha.

Ocierał mi z twarzy głupie, dziecinne łzy, śmiejąc się i głaszcząc po włosach.

- Mój ty kochany głuptasie! Nie rozumiesz, że swą idiotyczną dumą zrujnowałaś życie nam obojgu?

- Już wtedy to rozumiałam.

- Więc dlaczego, na Boga, to zrobiłaś?

- Bo inaczej znieawidziłbyś mnie tak samo, jak znieawidziłaś Mary Howard.

- To nieprawda. Honor.

- Możliwe. Czy to ważne? Nie ma powodu wracać do przeszłości.

- I tu się z tobą zgadzam. Przeszłość w zamknięta karta, ale mamy przed sobą przyszłość. Moje małżeństwo zostało unieważnione, chyba o tym słyszałaś? Mogę się ożenić, jestem do wzięcia.

- Więc znajdź sobie inną dziewczynkę.

- Nie jest mi już potrzebna. Wszystkie majątki Devonu stoją przede mną otworem, mogę je grabić do woli. Obrosłem w piórka i teraz wszystkie stare panny z Zachodu zaczną patrzeć na mnie łaskawym okiem.

- Jest, w czym wybierać, każda aż się trzęsie, żeby wyjść za męża.

- Tak sądzę. Ale ja pragnę tylko jednej i jesteś nią ty.

Położyłam mu ręce na ramionach i spojrzałam prosto w twarz. Ruda czupryna, orzechowe oczy i ta mała żyłka pulsująca na prawej skroni... Nie tylko on miał dobrą pamięć. Ja też mogłabym - wbrew temu, co mi podpowiadały rozum i skromność - wskazać pewne piegowate miejsce, o którym swego czasu mówiło się co najmniej tyle samo, co o mojej myszce.

- Nie, Richardzie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę, żebyś się żenił z kaleką.

- I nie zmienisz zdania?

- Nigdy.

A gdybym cię porwał do Buckland?

- Zrób to, jeśli wola, nie mogę ci się przeciwstawić. Ale od tego nie przestanę być kaleką.

Opadłam na poduszki, bo nagle poczułam się słaba i wyczerpana. Niełatwa to rzecz takie spotkanie po latach.

Bardzo ostrożnie wypuścił mnie z ramion i otulił kocami, a gdy poprosiłam o szklanę wody, podał mi ją bez słowa. Było już prawie ciemno, zegar na wieży dawno wybił ósmą. Na dziedzińcu pobrzękiwała uprząż i parskały konie.

- Muszę jechać do Grampound - powiedział w końcu.

- Tak, musisz.

Stał przez chwilę przy oknie. W całym domu zapalano już świece. Z zachodniego okna galerii wpadała do mej komnatki smuga światła i dobiegały dźwięki muzyki. Alice grała na lutni, a Peter wtórował jej śpiewem.

Raz jeszcze Richard ukląkł przy moim łóżku.

- Rozumiem, co z takim wysiłkiem próbowałaś mi powiedzieć. Że już nigdy nie będzie między nami tego co dawniej, tak?

- Tak.

- Wiedziałem przez cały czas, ale nie robi mi to różnicy.

- Ale po pewnym czasie zmienilibyś zdanie.

Peter miał młody, wesoły głos, a w pieśni, którą śpiewał, dźwięczało szczęście. Myślałam o spojrzeniach, jakie Alice posyła mu znad lutni.

- Zawsze będę cię kochał. A ty będziesz kochała mnie. Nie możemy znowu się utracić teraz, kiedy wreszcie cię odnalazłem. Czy mogę odwiedzać cię częściej?

- Ilekroć zechcesz.

W galerii rozległy się huczne oklaski, a potem głosy oficerów proszących o nowe pieśni.

Alice żywiej uderzyła w struny i popłynęła żołnierska, biesiadna śpiewka, popularna wśród naszych mężczyzn, którzy często ją gwizdali. Melodię podchwycił cały chór, nawet żołnierze na dziedzińcu nucili do wtóru.

- Czy boli cię teraz tak samo, jak zaraz po wypadku? -



spytał Richard.

- Czasami, kiedy w powietrzu jest wilgoć. Matty mówi, że mogłabym przepowiadać pogodę.

- I nic się nie da zrobić?

- Matty naciera mi nogi i plecy jakimś płynem, który dali jej medycy, ale niewiele to pomaga. Cóż, zmiążdżone albo powykrzywiane kości po prostu nie mogą już się pozrastać.

- Pokażesz mi?

- Niepiękny to widok.

- Na polu bitwy widywało się gorsze.

Odrzuciłam, więc koc. Niech się napatrzy na to, co zostało z moich zwinnych, gładkich nóg. Poza Matty i medykami był jedynym człowiekiem, któremu na to pozwoliłam. Pochylił się i ucałował te biedne wykręcane członki, a po chwili przykrył mnie starannie kocem.

- Przrzeknij, że już nigdy nie odeślesz mnie od swych drzwi!

- Przrzekam.

- A więc do zobaczenia, najdroższa. Śpij dobrze tej nocy.

Stał jeszcze przez chwilę, odcinając się wyraźnie na tle smugi światła a potem odwrócił się i odszedł korytarzem. Niebawem usłyszałam, ja żołnierze wychodzą na dziedziniec i wsiadają na konie. Padały pożegnalne słowa, dźwięczał śmiech, ale ponad wszystkie inne dźwięki wybijał się głos Richarda, zapowiadającego Johnowi Rashleighowi swój rychły powrót. Potem rzucił rozkaz i ruszyli przez bramę, nad którą leżałam, wsłuchując się w echo tętentu koni z parku.

I tak w ciągu zaledwie paru godzin Richard Grenville wdarł się na nowo w moje życie. Był to dla mnie tak wielki wstrząs, że przez ładnych kilka dni zupełnie nie mogłam się pozbierać. Potem, kiedy minęło pierwsze podniecenie, a wszystkie wypadki owego wieczora przybladły nieco w mej pamięci, ogarnęła mnie czarna rozpacz. Przecież nic z tego nie będzie, już za późno. Wspomnienia z przeszłości, tęsknota za dawno minionymi dniami, silne wzruszenie - wszystko to razem wzięwszy, rozpało w nas na chwilę iskry namiętności, ale wraz ze światłem dnia przyszło opamiętanie. Nie, nie ma już dla nas wspólnego życia, została tylko wątpliwa przyjemność dorywczych spotkań, które lada chwila mogą się skończyć wskutek działań wojennych. Co wtedy? Dla mnie - do końca życia tylko łóżko oraz wyczekiwanie na przypadkowe spotkania, jakąś wiadomość, słówko pozdrowienia. Dla Richarda po pewnym czasie narastająca złość, że egzystuję gdzieś na obrzeżach jego życia, że na przykład nie widział mnie od trzech miesięcy i powinien się zmusić do odwiedzin, że czekam na list, którego on nie ma okazji wysłać. Krótko mówiąc, przyjaźń męcząca dla niego, bolesna dla mnie.

To prawda, sama jego obecność, zachowanie, czułość - choćby ulotna - wystarczyły, by rozpało we mnie na nowo starą miłość i porywy serca, a jednak chłodny krytycyzm podszeptował, że mój Richard zmienił się na niekorzyść.

Wady, których zapowiedź dostrzegałam jeszcze w młodości, rozwinęły się do zastraszających rozmiarów. Pycha, arogancja i pogarda dla innych opinii z wyjątkiem tych, które sam uważał za słuszne, wprost biły teraz w oczy.

Prawda, świetnie znał się na sprawach wojskowych, ale nie potrafiłby harmonijnie współdziałać z innymi przywódcami rojalistów, a przy swej krewkości gotów był każdemu z nich skoczyć do gardła i na dodatek obrazić samego króla.

Bezwzględność wobec jeńców, których odesłał do zamku Łyd i kazał powiesić bez sądu, jasno ukazała mi ową skłonność do okrucieństwa, której zawsze się u niego domyślałam. A pogardliwe odrzucenie własnego syna zdradzało rozmyślny brak współczucia - jakież to podłe! Biedny dzieciak, na pewno był przerażony i oszołomiony tą nagłą zmianą w swym życiu.

Przyznaję, że Richard wiele wycierpiał i dlatego stał się tak twardy dla innych. Moja to wina i być może mnie należałoby oskarżyć. Nieczułość przeżarła go na wskroś i już za późno, żeby coś zmienić. W czterdziestym piątym roku życia był takim człowiekiem, jakim uczyniły go los, okoliczności oraz własna wola.

Widać stąd, jak bezlitośnie osądzałam go w tych pierwszych dniach po naszym powtórnym spotkaniu. Wahałam się nawet, czy nie napisać do niego i nie ukrećić raz na zawsze głowy całej sprawie. A potem przypominałam sobie, jak klęczał przy mym łóżku, jak pokazałam mu swoje zniekształcone ciało, on zaś, czulszy niż ojciec, bardziej wyrozumiały niż brat, całował mnie i życzył dobrej nocy.

Skoro potrafił okazać tyle delikatności i zrozumienia kobiecie, czemu dla innych, w tym dla własnego syna, miał tylko pychę, okrucieństwo i bezmiar pogardy?

Leżąc w swym mieszkanku z oknami na dwie strony, czułam, że mam przed sobą dwie drogi. Jedna - to nigdy więcej z nim się nie spotkać. Niech sam sobie buduje przyszłość, jak kiedyś i ja to uczyniłam. Druga to nie zważać na ewentualną własną udrękę i słabość ciała, dla którego

ciągła obecność Richarda będzie istną torturą, i ofiarować mu z całego serca, bez żadnych zastrzeżeń, mą nabytą przez lata mądrość, pełnię miłości i zrozumienia, a wraz z nimi, choć trochę spokoju i pociechy.

To drugie wyjście wydawało mi się lepsze. Bo jeśli teraz powtórnie odrzucę Richarda, uczynię to z tchórzostwa, z obawy przed cierpieniem, które mogłoby się okazać o wiele trudniejsze do zniesienia niż przed laty.

Dziwne, jak wszystkie argumenty, roztrząsane, przesiewane i zbijane samotnie w zaciszu własnego pokoju, obracają się wniwecz, kiedy obiekt owych rozważań znajduje się tuż obok, a nie gdzieś daleko. Tak właśnie stało się, gdy Richard zajechał do Menabilly w drodze z Grampound do Plymouth. Wyszedł zaraz na groblę i znalazł mnie w fotelu, zapatrzoną na Gribben. Całując moje ręce z dawnym żarem i miłością, z miejsca zaczął pomstować na Kornwalijszczyków. Ponoć nie spotkał dotąd żadnego, który by się do czegoś nadawał, z wyjątkiem ludzi pod jego osobistą komendą. Wtedy zrozumiałam, że jesteśmy ze sobą związani na wieczność i że nie potrafię go już odepchnąć. Jego wady były moimi, jego arogancja moim brzemieniem. Stał przede mną Richard Grenvile, człowiek ukształtowany przez moją tragedię.

- Nie mogę zostać na dłużej - wyjaśnił. - Doniesiono mi z Saltash, że pod moją nieobecność przekłęci rebelianci urządzili wycieczkę. Wyładowali w Cawsand i zajęli fort w Inceworth. Oczywiście straze spały gdyby nieprzyjaciel ich nie powystrzelał, zrobiłbym to własną ręką. Muszę zaprowadzić porządek w armii, zanim mnie wykończą.

- I nie będziesz miał, kim dowodzić.

- Prędzej wezmę najemników z Niemiec albo Francji niż tych tępych pasibrzuchów.

I tyle go widziałam. Odszedł, zostawiając mnie na poły szczęśliwą, na poły oszołomioną, z sercem ściśniętym bólem, który odtąd miał się stać trwałym elementem mej egzystencji.

Tegoż wieczora powrócił do Menabilly mój szwagier Jonathan. Bawił on krótko w Exeter w sprawach króla, a następnie zatrzymał się na kilka dni w swym domu w Fowey. Okazało się, że miał tam do załatwienia sporo spraw. Stronnicy parlamentu opanowali wybrzeże i rekwirowali każdy statek, jaki wpadł w ich łapy. Jonathan poniósł więc pewne straty, gdyż nieuzbrojonym jednostkom handlowym trudno było się wymknąć z zasadzki.

Po jego powrocie w domu zapanowało dziwne napięcie, które udzieliło się nawet mnie, wydawałoby się zupełnie bezpiecznej w mej samotni nad bramą.

Służba wywiązywała się z obowiązków sprawniej, ale mniej ochoczo. Dzieci, które pod nieobecność dziadka biegały swobodnie po korytarzach, siedziały teraz w swych komnatkach za zamkniętymi drzwiami. Głosy dobiegające z galerii były znacznie cichsze. Po prostu stało się oczywiste, że powrócił pan domu. Alice z Johnem i Joan częściej przemykali się teraz do mojego pokoju, jak gdyby w poszukiwaniu azylu. John miał smętną minę i wyglądał na przemęczonego. Podobno (jak w zaufaniu szepnęła mi Joan) Jonathan wytknął mu jakieś błędy w zarządzaniu majątkiem i orzekł, że syn nie ma głowy do cyfr.

Widziałam, że Joan plonie z ciekawości i koniecznie chce wybadać, co mnie łączy z Richardem Grenville'em. Zapewne wszystkim wokół nasza zażyłość wydała się dość nieoczekiwana. Alice taktownie milczała, ale w jej wzroku dostrzegłam jakąś nową serdeczność i zrozumienie.

- Kiedyś dobrze go znałam. To było dawno temu,

miałam wówczas osiemnaście lat - wyjaśniłam, nie zamierzając wgłębiać się w szczegóły całej historii.

Domyślałam się, że Mary zdradziła im w sekrecie to i owo. Mnie niewiele miała do powiedzenia, zauważyła tylko, że Richard mocno utył. Prawdziwie siostrzana uwaga! Potem pokazała mi list, który zostawił dla Jonathana, zakończony słowami:

*Kończę, zatem i raz jeszcze usilnie proszę o przekazanie wyrazów szacunku Waszej Małżonce. Prawdziwa to dla mnie radość, iż znaleźliście sobie tak szlachetną kobietę, jakich w tamtym czasie ze świecą by szukać. Pragnąłbym, aby i mnie los obdarzył podobnym szczęściem, ale cierpliwość zaiste jest cnotą, toteż pozostaję Waszym oddanym sługą i krewniakiem.*

*Richard Grenville*

„Cierpliwość jest cnotą”. Widziałam, jak Mary spojrzała na mnie, kiedy czytałam to zdanie.

- Moja Honor - zapytała ściszym głosem - chyba nie zamierzasz znowu się z nim związać?

- O jaki związek ci chodzi?

- No, szczerze mówiąc, o małżeństwo. Ten list jest dość szczególny.

- Uspokój się, siostrzyczko. Nigdy nie wyjdę ani za Richarda Grenville'a, ani za nikogo innego.

- Oboje z Jonathanem nie zaznamy spokoju, jeśli sir Richard zacznie tu przyjeżdżać i stwarzać pozory zażyłości. Może i dobry z niego żołnierz, ale reputację ma okropną.

- Wiem.

- Podobno w Devonie opowiadają o nim straszne rzeczy, Jo pisał mi o tym z Radfbrd.

- Wierzę.

- Oczywiście to nie moja sprawa, ale bardzo bym się zmartwiła, i ja, i my wszyscy, gdybyś... gdybyś związała się z nim w jakiś sposób.

- Będąc kaleką, moja Mary, człowiek czuje się dziwnie wolny od wszelkich więzów.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i nie odezwała się więcej, ale nie sądzę, by dotarła do niej gorycz tych słów.

Niebawem zjawił się u mnie sam Jonathan. Złożył mi swe uszanowanie i wyraził nadzieję, że niczego mi nie brakuje, a zgiełk Menabilly nie daje mi się we znaki po spokojnym Lanrest.

- Ufam, iż nic nie zakłóca ci nocnego spoczynku? Wyczułam w jego głosie skrywany niepokój, co wydało mi się osobliwe u tak opanowanego zwykle człowieka.

- Nie śpiam zbyt twardo - odrzekłam. - Wystarczy, że gdzieś skrzypnie deska albo zahuka sowa, a zaraz się budzę.

- Tego właśnie się obawiałem! To głupie ze strony Mary, że umieściła cię tutaj, gdzie okna wychodzą na oba dziedzińce. O wiele lepiej czułabyś się od południa, obok naszych apartamentów. Czy chciałabyś się tam przenieść?

- Prawdę rzekłszy, nie. Jest mi tu bardzo dobrze.

Zauważyłam, że wciąż zerka na obraz zasłaniający szczelinę w drzwiach. Raz czy dwa wydało mi się, że chce o coś zapytać, ale nie wie, jak zacząć. Wreszcie, po krótkiej pogawędce na błahe tematy, pożegnał się i wyszedł.

W nocy, między dwunastą a pierwszą, nie mogąc zasnąć, usiadłam, żeby napić się wody. Nie zapalałam świecy, gdyż szklanka stała w zasięgu mej ręki. Ale kiedy odkładałam ją na stolik, poczułam spod drzwi pustego pokoju zimny strumień powietrza. Ten sam, co przedtem. Zastygłam w oczekiwaniu na odgłos kroków, ale daremnie Nagle pod

obrazem rozległo się ciche, ostrożne skrobanie. A więc ktoś tam teraz stoi w samych pończochach i obmacuje drzwi.

Trwało to może pięć minut, na pewno nie dłużej, i ustało tak samo nagle, jak się zaczęło.

Zimne powietrze także przestało płynąć i wszystko wróciło do normy. Przyszło mi wtedy do głowy podejrzenie, które rankiem zmieniło się w pewność. Kiedy już ubrana zasiadłam na fotelu, a Matty krzątała się jeszcze w gotowni, podjechałam do tamtych drzwi i zdjęłam obraz z gwoździa. Było tak, jak myślałam: ktoś zalepił szparę. W tym momencie zrozumiałam, że Mary popełniła błąd, umieszczając mnie nad bramą, a moja obecność pomieszała szyki nieznanemu gościowi, który nocami zakradał się do przyległego pokoju.

Oczywiście był to sekret Jonathana Rashleigha, nie mój. Podejrzewając, że podglądam, mój szwagier kazał zakleić szparę. Zaczęłam wtedy rozważać możliwość, która przyszła mi do głowy już wcześniej: że brat Jonathana nie umarł na ospę dwadzieścia lat temu, ale nadal wiezie jakąś koszmarną egzystencję. Może jest ślepy, głuchy, może trzymają go jak zwierzę w norze pod przyporą, a wiedzą o tym tylko mój szwagier, rządcą Langdon i ewentualnie jakiś dozorca, który nosi szkarłatny płaszcz.

Jeśli tak właśnie to wyglądało, jeśli ani Mary, ani jej pasierbowie nie mieli o niczym pojęcia, zaś ja, obca w domu, wpadłam przypadkiem na trop tajemnicy, muszę pod pierwszym lepszym pretekstem wrócić do Lanrest. Nie mogłabym przecież żyć dzień po dniu w świadomości, że dzieje się tu coś niezgodnego z moim sumieniem. To zbyt przerażająca zbyt okropne.

Czy przy najbliższej okazji mam się zwierzyć ze swych obaw Richardowi? A jeśli postąpi w tak znamieny dla niego, bezwzględny sposób! Jeśli każe swym ludziom



wyłamać drzwi, zburzyć przyporę? Zrujnowałoby to życie pana domu, mojego szwagra...

Na szczęście problem rozwiązał się sam i to zupełnie inaczej, a jak - zaraz wyłuszczę. Czytelnik pamięta zapewne, że w dniu pierwszej wizyty Richarda Joan „wypożyczyła sobie” od rządcy klucz do letniego palwilonu i pozwoliła mi zbadać jego wnętrze. Potem zjawili się goście i z wielkiego podniecenia sprawa klucza zupełnie wyfrunęła jej z roztrzepanej głowy. Joan przypomniała sobie o nim dopiero dwa dni po powrocie mojego szwagra.

Przyniosła ów klucz do mnie, bardzo zmartwiona, bo John i tak popadł w niełaskę z powodu jakiegoś zaniedbania, a gdyby i to wyszło na jaw, mógłby mieć poważne kłopoty. Ona zaś nie ma odwagi oddać klucza Langdonowi i przyznać się do figla. I co ma teraz zrobić?

- Chciałaś zapytać, co ja zrobię - zauważyłam. - Bo ty najchętniej umyłabyś ręce od całej sprawy, czyż nie?

- Och, Honor, jesteś taka bystra, a ja taka głupia - mówiła błagalnie. - Pozwól mi zostawić u ciebie klucz i zapomnieć o wszystkim. Wiesz, malutka Mary ma kaszel, John kolejny atak febry, a ja już nie wiem, w co ręce włożyć!

- No dobrze - ustąpiłam. - Zobaczymy.

Pomyślałam, że mogłabym dopuścić do sekretu Matty. Poszłaby odwiedzić panią Langdon, mówiąc przy okazji, że znalazła klucz na ścieżce w królikarni. Wyglądało to dość prawdopodobnie. Zastanawiając się nad szczegółami, obracałam w palcach klucz - niezbyt duży, podobny do tego w moich drzwiach. Nagle coś mi przyszło do głowy. Wydostałam się na korytarz i nasłuchiwałam przez chwilę, by sprawdzić, czy ktoś się tam nie kręci. Dochodziła dziewiąta; służba pewnie jadła kolację, a co do reszty domowników, to albo gawędzili w galerii, albo udali się już do swych pokoi.

W sam raz właściwy moment na pewną ryzykowną wyprawę, która mogła skończyć się wielkim sukcesem albo sromotną porażką. Obróciłam fotel i podjechałam pod drzwi zamkniętego pomieszczenia. Znowu nasłuchiwałam przez chwilę, ale nic się nie działo. Potem bardzo ostrożnie włożyłam klucz do zardzewiałego zamka. Pasował!

Obróciłam go z wolna i skrzypiące drzwi się otworzyły. Oszołomiona sukcesem, przez chwilę nie wiedziałam, co robić dalej. Ale miałam już pewność, że między pustą izdebką a pawilonem istnieje tajemne przejście, ponieważ klucz pasował do obojga drzwi.

Okazja do obejrzenia pokoju mogła się już nigdy nie powtórzyć, to też mimo całego strachu ogarnęła mnie nieprzewartna ciekawość. Wjechałam do środka i zapaliwszy świecę - gdyż panowały tam straszne ciemności - rozejrzałam się dookoła. Nie zobaczyłam nic szczególnego. Dwa okna zabite żelaznymi sztabami - jedno na północ, drugie na zachód, w rogu łóżko, kilka masywnych mebli oraz stół z krzesłem, które widziałam przez szparę. Na ścianach wisiały ciężkie tapiserie, dość stare i poprzecierane. Krótko mówiąc, czułam się zawiedziona. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny, jak w każdym niezamieszkanym pomieszczeniu. Postawiłam świecę na stole i podjechałam do kąta przylegającego do przypory. Tam również z sufitu zwieszała się tapiseria. Podniosłam ją i zobaczyłam tylko kamienny mur. Przesunęłam po nim rękami, nie wyczułam jednak żadnych spoin, ściana wydawała się zupełnie gładka, ale po ciemku nie miałam pewności, więc wróciłam do stołu po świecę. Na chwilę zatrzymałam się jeszcze przy drzwiach, wyjrzałam na korytarz (służba mogła już skończyć kolację), który skręcał w prawo i biegł pod wieżą z dzwonem. W tym momencie poczułam na karku zimny prąd. Obejrzałam się

szybko. Tapiseria na ścianie przylegającej do przypory powiewała tam i z powrotem, jakby otwarła się za nią jakaś czeluść, a potem, ku memu przerażeniu, wysunęła się stamtąd ręka, która ściągnęła tkaninę na bok. Nie miałam czasu na ucieczkę ani nawet na zdmuchnięcie świecy. Do pokoju wszedł mężczyzna w szkarłatnym płaszczu i stał na tle czarnego otworu. Przyglądał mi się przez chwilę, po czym powiedział:

- Zamknij drzwi, Honor, tylko cicho, i zostaw świecę. Skoro już tu jesteś, wyjaśnimy sobie kilka spraw, żeby na przyszłość uniknąć przykrych niespodzianek.

Puścił tkaninę, pozwalając jej opaść na miejsce, a kiedy postąpił kilka kroków naprzód, zobaczyłam, że mam przed sobą swego szwagra, Jonathana Rashleigha.

Czułam się jak dziecko przyłapanie na zakazanej zabawie. Zrobiło mi się gorąco ze wstydu i wielkiego zakłopotania. Skoro to on był owym rzekomym intruzem w szkarłatnym płaszczu, który chodził nocami po domu, nie miałam prawa o nic pytać. Wątpię, by kiedykolwiek wybaczył mi wścibstwo i to, że zastał mnie z kluczem nie tylko do tego pokoju, ale także do pawilonu.

- Wybacz - odezwałam się skruszona. - Zachowałam się bardzo nieładnie.

Nie odpowiedział ud razu. Najpierw upewnił się, czy drzwi są dobrze zamknięte, potem zapalił więcej świec i odłożywszy płaszcz, przysunął sobie krzesło do stołu.

- Więc to ty wydłubałaś szparę w drzwiach? Nie było jej przed twym przyjazdem.

To obcesowe pytanie uświadomiło mi, jak chytre sidła zastawił na moją ogromną ciekawość. Nie pozostało mi nic innego, jak przyznać się do winy.

- Nie zamierzam się bronić. Wiem, że nie miałam prawa wścibiać nosa w twoje sprawy. Nasłuchiłam się różnych opowieści o duchach, inaczej nigdy bym tego nie zrobiła. Pewnej nocy w zeszłym tygodniu wyraźnie słyszałam kroki.

- Tak, to byłem ja. Nie spodziewałem się, że zastanę pokój obok zajęty. Słyszałem, jak ktoś się tam poruszał, i odgadłem, co się stało. Trochę tu u nas ciasno teraz, inaczej nie umieścilibyśmy cię nad bramą. - Odczekał chwilę, a potem patrząc mi prosto w oczy, dodał: - Więc domyśliłaś się, że jest tu sekretne przejście.

-Tak.

- A dziś w nocy postanowiłaś się przekonać, dokąd prowadzi?

- Wiedziałam, że w głąb skarpy.

- Jak zdobyłaś klucz?

Iście szatańskie pytanie, ale nie było rady; musiałam opowiedzieć mu całą historię, przyjmując winę na siebie i pomniejszając udział Joan. przyznałam, że obejrzałam sobie pawilon i podziwiałam widok, ale co do przeglądania ksiąg, testamentu, odkrycia ruchomego kamienia - nie, tego nie ujawniłabym za nic, chyba że na torturach.

Słuchał w milczeniu, świdrując mnie zimnym spojrzeniem. Domyśliłam się, że ma mnie za wścibską idiotkę.

- A teraz, skoro już wiesz, że ów nocny intruz to ja, co z tego rozumiesz?

Ba! W tym sęk, że nic. Nie odważyłabym się przecież wypowiedzieć mych najskrytszych obaw, które wciąż jeszcze kołatały mi się po głowie.

- Niewiele, Jonathanie - odrzekłam w końcu - poza tym, że używasz tego przejścia do jakichś sobie znanych celów, a twoja rodzina o niczym nie wie.

Przyjrzał mi się uważnie i dopiero po dłuższym namyśle powiedział:

- Coś niecoś wie John, a także mój rządca Langdon. Gdyby prawda wyszła na jaw, sukces sprawy królewskiej, która tak nam leży na sercu, stanąłby pod znakiem zapytania.

To mnie zaskoczyło. Skąd mogłam wiedzieć, że familijne sekrety mają jakiś związek z królem? Ale nie powiedziałam tego na gios.

- Ponieważ znasz już część prawdy, zdradzę ci i resztę, ale musisz przyrzec, iż zatrzymasz wszystko przy sobie.

Nie będąc pewną, o jakiego rodzaju tajemnicę chodzi,

zawahałam się nieco, ale w końcu przyrzekłam.

- Słyszałaś przecież - mówił Jonathan - że na początku rebelii Rada Królewska wyznaczyła mnie i kilku innych panów do przyjmowania i gromadzenia srebrnych przedmiotów, jakie oddawali dla sprawy wierni królowi Kornwalijczycy. Mieliśmy następnie odwozić je do mennicy w Truro.

- Wiedziałam, że jesteś kwestarzem, ale nic więcej.

- W zeszłym roku powstała nowa mennica w Exeter. Nadzoruje ją mój krewniak, sir Richard Vyvyan, stąd tak często podróżuję do tego miasta. Rozumiesz chyba, moja Honor, jak ciężkie brzemie dźwiga na swych barkach człowiek, który odpowiada za przewóz tak wielkich ilości cennego kruszcu.

- Tak, Jonathanie.

- Szpiedzy węszą na każdym kroku, jak wiesz. Sąsiedzi mają długie uszy i nawet najbliższy przyjaciel może okazać się donosicielem. Gdyby ktoś z nieprzyjacielskiej armii położył łapę na darach, które do mnie napływają, parlament byłby dziesięć razy bogatszy, a Jego Król Mość dziesięć razy biedniejszy. Dlatego przewozimy te skarby, kiedy na drogach jest pusto. Musimy też mieć w całym hrabstwie kryjówki, gdzie można bezpiecznie przechowywać srebro, zanim zostanie przetransportowane do mennicy. Czy, jak dotąd, wszystko jasne?

- Tak, Jonathanie, i bardzo ciekawe.

- Doskonale. Owe miejsca są oczywiście ściśle tajne. Im mniej o nich wie, tym lepiej. Dlatego domy, w których się znajdują, powinny koniecznie posiadać schowki znane tylko ich właścicielom. Domyślasz się już, że jedna z takich skrytek jest właśnie w Menabilly.

Poczułam, że cała płonę. Nie z powodu sarkazmu w

jego głosie tylko ze wstydu. Jakże te rewelacje odbiegały od tego, co podpowie mi wyobraźnia!

- W przyporze, do której przylega pokój, są wąskie schody. Prowadzą do małej izdebki wbudowanej w mur. Można tam stać i siedzieć, chociaż powierzchnia wynosi zaledwie pięć stóp kwadratowych. Izdebka łączy się z korytarzem, a właściwie tunelem, który biegnie pod domem i groblą aż do wyjścia w letnim pawilonie. Właśnie w tej małej wbudowanej w skarpę izdebce przez cały ubiegły rok przechowywałem zebrane dary. Teraz rozumiesz?

Kiwnęłam tylko głową, bo cała ta historia wywarła na mnie wieli wrażenie.

- Kiedy nocą przywożą albo wywożą srebro, rządcą Langdon i ja wykonujemy naszą pracę. Wozy czekają na dole, w Pridmouth, my przenosimy wszystko tunelem do pawilonu, a stamtąd ręcznym wózkiem zwozimy na przystań i ładujemy. Ludzie, którzy prowadzą konwój do Exeter, są absolutnie godni zaufania, ale oczywiście żaden z nich nie wie, gdzie w Menabilly znajduje się skrytka. To nie ich sprawa. O izdebce wie oprócz mnie tylko Langdon i teraz ty, chociaż - przykro mi to mówić - to absolutnie nie twoja sprawa.

Nic nie odpowiedziałam, bo też nie miałam nic na swoją obronę.

- John wie tylko tyle, że w domu ukryte jest srebro, ale nigdy nie pyta gdzie. Nie ma pojęcia nawet o istnieniu tej izdebki i tunelu.

Tu odważyłam się wtrącić.

- Jak to się szczęśliwie złożyło, że w Menabilly była taka skrytka!

- Bardzo szczęśliwie. Gdyby nie to, nigdy bym się nie wdał w tę sprawę. Pewnie się zastanawiasz, dlaczego ja

zbudowano?

Przyznałam się do pewnego zainteresowania tą kwestią.

- Mój ojciec prowadził jak by to określić... pewne transakcje związane ze statkami. Wymagało to dużej dyskrecji, a tunel okazał się bardzo przydatny pod wieloma względami.

Innymi słowy, rzekłam sobie w duchu, twój ojciec, drogi Jonatanie pomimo swej nieskazitelnej reputacji w Fowey i okolicach był piratem pierwszej klasy.

- Tak się przy tym złożyło - ciągnął - że mój nieszczęsny starszy brat był upośledzony na umyśle. Mieszkał w tym pokoju przez dwadzieścia cztery lata, czyli odkąd wybudowano dom, do samej śmierci. Biedaczysko bywał czasem dość gwałtowny i stąd ta celka, gdzie brak świeżego powietrza i ciasnota szybko doprowadzały go do utraty przytomności.

Mówił swobodnie, bez oporów, ale obraz, jaki wytworzyłam sobie pod wpływem tych słów, doprowadził mnie niemal do mdłości. Zobaczyłam, bowiem rozdygotany strzęp człowieka, miotający się w ciemnej izdebce, ograniczony przez cztery ściany. Teraz ta sama cela stała się sezamem z bajki, wyładowanym po sufit srebrem.

Jonathan musiał spostrzec zmianę na mojej twarzy, bo spojrzął na mnie ze współczuciem i wstał.

- Wiem, że to niepiękna historia. Przyznaję, poczułem ulgę, kiedy ospa zabrała mi po ojcu także brata. Zajmowanie się szaleńcem w domu pełnym dzieci było bardzo kłopotliwe. Na pewno nie ominęły cię złośliwe plotki, jakie rozpuszczał Robert Bennett?

Przyznałam, że istotnie słyszałam jakieś historie.

- Zachorował pięć dni po ojcu - tłumaczył Jonathan. -



Dlaczego właśnie on, a nie moja żona czyjaś, nigdy się nie dowiemy. Tak wypadło, a że akurat dostał także ataku szału, nie mógł tego przeżyć. Bardzo szybko odszedł.

Usłyszeliśmy, że służba wychodzi z kuchni.

- Wracaj do siebie. Honor, a ja wyjdę tą samą drogą, jaką przyszedłem. Możesz mi oddać klucz Langdona, a jeśli jeszcze kiedyś usłyszysz kroki w tym pokoju, będziesz wiedziała, że tu jestem. Trzymam tu kwity za srebro, które czasowo znalazło się w moim posiadaniu. Chyba nie muszę ci przypominać, że ani jedno zdanie z tych, jakie padły między nami, nie ma prawa wyjść na zewnątrz.

- Przecież dałam ci słowo.

- Zatem dobranoc.

Pomógł mi wytoczyć fotel na korytarz i cicho zamknął drzwi. Wróciłam do swego pokoju dosłownie na moment przed Matty, która przyszła zasunąć story.

Chociaż nigdy nie łączyły mnie więzy szczególnej sympatii z moim szwagrem, z pewnością po tamtym wieczorze zaczęłam go darzyć większym szacunkiem i uznaniem. Wiedziałam teraz, że „interesy króla”, które zmuszały go do nieustannych podróży, to sprawa wyjątkowej wagi, więc nic dziwnego, iż nieraz brakło mu cierpliwości do własnej rodziny. Mężczyźni o mniejszym poczuciu odpowiedzialności dawno zrzuciliby wszystko na cudze barki. Szanowałam Jonathana za to, iż powierzył mi swój sekret, mimo że tak zuchwale wtargnęłam do zamkniętego pokoju. Pozostał mi jednak cień żalu, że nie pokazał mi owych ukrytych schodów ani izdebki wmurowanej w skarpę. Cóż, nie powinnam oczekiwać zbyt wiele. I tak ciągle pamiętam przed oczami powiewającą tapiserię i czarną otchłań za nią. Tymczasem rozwój wypadków na wojnie przysparzał nam wszystkim i mato zmartwień. Na czele zachodniej armii stał bratanek króla, Książę Maurycy, który nie mógł zadać nieprzyjacielowi poważniejszych ciosów bez silnego wsparcia, zwłaszcza ze strony jazdy. Ale plan letniej kampanii wciąż jeszcze nie był ustalony. Chociaż brat wodza, ksiązę Rupert, usiłował namówić króla do wysłania na Zachód ze dwóch tysięcy konnych. Rada jak zwykle postawiła na swoim i z posiłków nic nie wyszło. Takie wieści przywoził nam, Richard, który kipiał wprost z bezsilnej złości. Nie otrzymał dotąd ani jednego działka z tych, które mu obiecano, toteż oświadczył nam z ponurym uśmiechem, że nasza armia na Zachodzie jest osłabiona chorobami i kompletnie bezużyteczna a ksiązę Maurycy potrafi tylko siedzieć z założonymi rękami przed

Lyme Regis i czekać, aż ktoś otworzy mu bramy,- Jeśli Essex z rebeliantami zdecyduje się pomaszerować na Zachód to nic go nie powstrzyma. Napotka na swej drodze wyłącznie bandę schorowanych niedołęgów, leżących brzuchami do góry, oraz kilku pijanych generałów. Ja z paroma marnymi żołnierzami i jednym chłopakiem przycupniętymi pod Plymouth nic na to nie poradzę - mówił Richard.

Rzeczywiście Essex ruszył na Zachód. Pod koniec czerwca dotarł już do Weymouth i Bridgport, natomiast książę Maurycy z wielką płamą na honorze wiał do Exeter, aż się za nim kurzyło.

Zastał tam królową. Jej Królewska Wysokość przybyła w lektyce, z Bristolu, obawiając się postępujących wojsk nieprzyjaciela, i właśnie w Exeter, wydała na świat swe najmłodsze dziecko. Nie umniejszało to odpowiedzialności księcia i jego ludzi, toteż wkrótce uznał, że najmądrzej będzie czym prędzej wysłać młodą matkę do Francji. W dwa dni po porodzie wyjechała do Falmouth, bardzo jeszcze słaba i zdenerwowana.

Mój szwagier Jonathan znalazł się wśród tych, którzy czekali na przejazd królowej przez Bodmin w drodze na południe. Po powrocie opowiadał nam, jak bardzo poruszył go jej wygląd i jak bardzo była znękana i wstrząśnięta.

Może rzeczywiście nieraz źle doradzała Jego Królewskiej Mości, ale przecież jest kobietą i ciarki mi chodzą po grzbiecie na myśl o jej losie, gdyby wpadła w łapy rebeliantów.

Wszystkim rojalistom w Kornwalii spadł kamień z serca, kiedy królowa bezpiecznie dotarła do Falmouth i odpłynęła do Francji.

Tymczasem Essex zgromadził ogromną armię i czuliśmy, że nie minie kilka tygodni, a wkroczy do Dorset,

stamtąd do Devonu, wtedy zaś od Kornwalii będzie go dzielić tylko skok przez Tamar. I tylko jeden Richard z radością wyczekiwał zbliżającej się bitwy.

- Ściągnijmy tylko tego łajdaka do Kornwalii, na ziemię, o której nie ma pojęcia, której wąskie zaułki i wysokie żywopłoty kompletnie go otumanią! Wówczas, jeśli armia króla i Ruperta zajdzie go od tyłu odetnie drogę ucieczki, otoczmy drania i wydusimy jego ludzi jak pluskwy!

Pamiętam, iż zacierał ręce z uciechy i śmiał się jak uczeń na myśl o wakacjach, ale sam pomysł niezbyt przemawiał do przekonania Joathanowi i innym panom, którzy owego dnia siedzieli w Menabilly przy obiedzie.

- Jeśli w Kornwalii wybuchną walki, kraj popadnie w ruinę - mówił Francis Bassett, który wraz z moim szwagrem zajmował się kiedyś werbowaniem ochotników do armii królewskiej, co przychodziło mu z wielkim trudem. - Ta ziemia jest za biedna, by wyżywić wojska, nie damy rady. Trzeba zatrzymać walki po tamtej stronie Tamar, a po was, Grenville, spodziewamy się, że powstrzymacie nieprzyjaciela w Devonie i nie wpuscicie go do Kornwalii.

- Mój poczciwy głuptasie - odparł z politowaniem Richard, na które to słowa Bassett gwałtownie poczerwieniał, a nam wszystkim zrobiło się nieswojo - jesteście wiejskim dziedzicem i głęboko szanuję waszą wiedzę w sprawach hodowli bydła i świń, ale na Boga, zostawcie sztukę wojenną zawodowym żołnierzom! W tej chwili naszym celem jest zniszczenie wroga, a nie możemy uczynić tego w Devonie, gdyż tam nie ma mowy o okrążeniu. Gdy jednak nieprzyjaciel przekroczy Tamar sam wsunie głowę w pętlę. Obawiam się tylko, że zamiast iść na Kornwalię, popędzi swą wspaniałą konnicę na otwarte wrzosowiska Devonu

przeciwko księciu Maurycemu i jego beznadziejnym półgłówkom. Wtedy możemy stracić jedną z największych szans tej wojny.

- Więc jesteście gotowi dopuścić raczej do spustoszenia Kornwalii, pozbawienia nas dachu nad głową i do całego bezmiaru nieszczęść? Niezbyt pocieszająca to perspektywa.

- Do diabła z waszymi perspektywami! Naszym ziomkom dobrze robi, gdy choć raz zobaczą trochę rozlanej krwi. Jeśli nie potraficie pocierpieć dla sprawy króla, to równie dobrze możemy natychmiast rozpocząć układy.

Po tych słowach w sali zapanowała napięta atmosfera i wkrótce mój szwagier jako gospodarz dał znak do wstania od stołu. Ciekawe, że odkąd Richard z powrotem wkroczył w me życie, lepiej niż przedtem znosiłam większe towarzystwo i nawet wyrobiłam sobie nawyk jadań przy wspólnym stole. Nie miałam już ochoty na samotność. Po obiedzie, ponieważ było jeszcze widno, Richard zawiózł mnie na groblę.

- Jeśli Essex podejdzie pod Tavistock i zmusi mnie do odwrotu spod Plymouth, czy będę mógł przysłać ci szczeniaka?

Zdumiało mnie to pytanie, źle je zrozumiałam.

- Jakiego szczeniaka? Nie wiedziałam, że masz psa.

- Pobyt na południowym Zachodzie rozmiękczył ci mózg. Szczeniak, mój pomiot, inaczej prawowity potomek. Czy weźmiesz go pod skrzydła i wlejesz trochę oleju do jego tchórzliwej pałki?

- Ależ oczywiście! Uważasz, że będzie mu u mnie dobrze?

- Na pewno lepiej niż u kogokolwiek innego. Moja ciotka Abbot z Hartland jest za stara, a znów żona Bevila ma dość kłopotów z własnym potomstwem, więc nawet jej nie

pytam, zresztą nigdy za mną nie przepadała.

- Rozmawiałeś o tym z Jonathanem?

- Tak, już się zgodził. Ciekawe, co też uda ci się wyrzesać z Dicka. To dość koleczasty dzieciak.

- Pokocham go, Richardzie, ponieważ jest twoim synem.

- Czasem w to wątpię, gdy mu się przyglądam. Jest taki zamknięty w sobie i wylękniony.

Jego guwerner mówił, że chłopak beczy przy byle zadrapaniu. Wymieniłbym go natychmiast na młodego Joego Grenville'a, który był moim adiutantem w Buckland. Ten jest zawsze gotów na wszystko, prawdziwie bratnia dusza, podobnie jak najstarszy syn Bevila.

- Dick ma zaledwie czternaście lat, nie możesz zbyt wiele po nim oczekiwać. Daj mu rok, dwa, niech nabierze trochę zaufania.

- Jeśli wdał się w matkę, to się go wyrzeknę i niech zdycha z głodu. Nie chcę mieć przy sobie żabiego skrzeku.

- Może twój przykład nie działa nań zbyt zachęcająco. Ja na jego miejscu nie chciałabym mieć za ojca Rudego Lisa.

- Jest teraz w głupim wieku. Za duży, by się z nim cackać, a za mały, żeby rozmawiać. Weź go sobie. Honor, obiecuję ci go dostarczyć dokładnie za tydzień.

Jonathan wyraził zgodę i ustaliliśmy wspólnie, że Dick Grenville z guwernerem powiększą grono domowników Menabilly. W wyznaczonym dniu czułam się dziwnie szczęśliwa i podniecona. Pojechałam nawet z Mary obejrzeć ich pokój pod wieżą zegarową.

Wiele wysiłku poświęciłam swej toalecie. Włożyłam ulubioną niebieską suknię i przez pół ranka trzymałam przy sobie Matty, każąc jej bez końca szcztokować moje włosy. Przez cały czas wymyślałam sobie w duchu od

sentymentalnych idiotek, bo po co tracić tyle czasu i sił dla chłopaka, który może nie zechce w ogóle na mnie spojrzeć. Około pierwszej usłyszałam od strony parku stukot końskich kopyt. Krzyknęłam do Matty, by sprowadziła pacholków i kazała nieść mnie na dół, bo chciałam powitać przybyłych w ogrodzie. Miałam silne przekonanie, że na świeżym powietrzu i w blasku słońca łatwiej zawiera się znajomości niż w czterech ścianach.

Siedziałam, więc w otoczonym murem ogrodzie poniżej grobli, kiedy furтка się otworzyła i zobaczyłam chłopca idącego ku mnie przez trawnik. Był wyższy, niż się spodziewałam, z płomiennymi kędziorami Grenvile'ów i zawiadacko zadartym nosem. Budową ciała i sposobem poruszania się bardzo przypominał Richarda. Dopiero gdy przemówił, zrozumiałam swą pomyłkę.

- Nazywam się Joe Grenvile. Przysłano mnie po was z domu, bo zdarzył się drobny wypadek. Kiedy ściągaliśmy wodze na dziedzińcu, koń pośliznął się na kamieniach. Biedny Dick spadł i rozciął sobie głowę. Zaprowadzono go do waszej komnaty, służąca obmywa mu ranę.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie scenę powitania, więc bardzo się zdenerwowałam, że wszystko poszło na opak.

- Czy i sir Richard przyjechał? - spytałam.

- Tak, jest strasznie zły, wymyśla biednemu Dickowi, krzyczy, że jest offermą, co tylko pogarsza stan chłopca. Najdalej za godzinę musimy wyjechać. Essex dotarł do Tiverton, a i zamek Taunton znalazł się w rękach rebeliantów. Książę Maurycy wycofał kilka jednostek spod naszej komendy i w Okehampton ma się odbyć narada, w której musi uczestniczyć sir Richard.

Pod Plymouth zostały już tylko nasze oddziały.

- A tobie pewnie w to graj, prawda, Joe?

- Tak, proszę pani. Już nie mogę się doczekać, kiedy sam skoczę na nieprzyjaciela.

Richard chodził tam i z powrotem po hallu.

- To wprost nie do uwierzenia! Że też ten szczeniak musiał spaść z konia akurat na waszym progu! Czasem myślę, że cierpi na rozmiękczenie mózgu, toż istny z niego niedojda! A co myślisz o Joem? - Klepnął młodzika w ramię, ten zaś spojrział nań z dumą i oddaniem.- Będzie z tego zucha żołnierz jak się patrzy! Przynieś mi piwa, Joe, a i o sobie nie zapomnij! Takim spragniony, że wypiłbym rzekę!

- Co z Dickiem? - spytałam. - Czy nie powinnam do niego pójść?

- Zostaw go kobietom i temu pasożytowi guwernerowi. Jeszcze zdąży ci się znudzić. Mogę tu zabawić najwyżej godzinę i chcę cię mieć dla siebie.

Zabrał mnie do małego alkierzyka przy galerii i tam, popijając piwo, powiedział mi, że Essex przed końcem tygodnia dotrze do Tavistock.

- Jeśli pomaszeruje potem na Kornwalię, to mamy go w saku, niech tylko król dostatecznie szybko zacznie mu deptać po piętach. A wtedy koniec gry! Prawda, że przez jakiś czas będzie dość nieprzyjemnie, i nie potrwa to długo, moje serce, tyle ci mogę obiecać.

- Czy i w naszych stronach będą walki? - spytałam z pewną obawą.

- Teraz niepodobna odpowiedzieć. Zależy od tego, czy Essex uderzy na północ czy na południe. Będzie przedzierał się do Liskeard i Bodmin, gdzie spróbujemy go zatrzymać. Módl się o deszczowy sierpień moja miła, to ugrzęzną w błocie po szyje. No, czas już na mnie. Jak dobrze pójdzie, zanocuję w Launceston. - Odstawił kufel i zamknąwszy



drzwi, ukląkł przy mym fotelu. - Opiekuj się szczeniakiem i naucz go dobrych manier. Gdyby przyszło do najgorszego i walki toczyłyby się w pobliżu, schowaj go choćby pod łóżkiem. Essex jak nic wzięłyby chłopaka na zakładnika. Kochasz mnie jeszcze?

- Zawsze będę cię kochać.

- Więc przestań nasłuchiwać, czy kto chodzi po galerii, i pocałuj mnie na dowód.

Pewnie, łatwo takiemu ścisnąć mnie przez całych pięć minut, doprowadzić do szaleństwa gwałtownymi pieszczotami, a potem odjechać do Launceston z głową nabitą innymi sprawami...

Tymczasem ja - z potarganymi włosami i suknią w nieładzie - musiałam zostać na miejscu bez żadnej drogi ucieczki, a potem rozmyślać godzinami o tym, co mi powiedział. Przykre to, lecz sama wybrałam taki los. Pozwoliłam Richardowi wrócić do mego życia i teraz muszę uporać się na nowo z żarem, który we mnie rozpalił i którego już nigdy nie da się ugasić. Tak, więc przywołał swego adiutanta, pomachał mi ręką na pożegnanie i odjechał do Launceston, gdzie - jak wmawiałam sobie z kłującą zazdrością - po nazbyt sutej wieczerzy znajdą sobie jakąś chwilową rozrywkę przed jutrzejszymi poważnymi sprawami. Znałam przecież mego Richarda na tyle dobrze, by wiedzieć, iż nie będzie żył jak mnich tylko, dlatego, że mnie kocha.

Doprowadziłam loki do porządku, wygładziłam koronkowy kołnierz, po czym zadzwoniłam na służbę. Dwóch pacholków zaniósło mnie w fotelu na górę. Dziś nie przejeżdżałam jak zwykle przed frontem domu, ale przez tylne pokoje poniżej wieży, i tam, w korytarzu natknęłam się na Franka Penros'ea, kuzyna i pomocnika mego szwagra. Rozmawiał on z bladym młodzieńcem o cofniętym

podbródka, swym rówieśnikiem, który chyba opowiadał mu historię własnego życia.

- Panno Honor, oto pan Ashley - rzekł Frank z osobliwym jak na niego przypoehlebnym uśmiechem. - Zostawił swego wychowanka w waszym apartamencie, by tam nieco wypoczął, a sam wybiera się ze mną na dół, aby się trochę pokrzepić.

Pan Ashley skłonił się, szurając obcasami.

- Sir Richard powiadomił mnie, że jesteście chrzestną matką chłopca i mam teraz słuchać waszych rozkazów. To oczywiście dość niezwykle, ale dostosuję się do okoliczności.

Jesteś nadętym głupcem, mój panie, i raczej cię nie polubię, pomyślałam, ale głośno rzekłam:

- Proszę postępować dalej tak jak w Buckland, panie Ashley, nie zamierzam do niczego się wtrącać, byle tylko chłopiec czuł się tu dobrze.

I pojechałam dalej, żegnana uniżonymi ukłonami, chociaż nie miałam wątpliwości, że gdy tylko zniknę za rogiem, nie zostawią na mnie suchej nitki. Tuż przed swą komnatką zobaczyłam Matty, która właśnie wychodziła z miską wody i bandażami.

- Mocno się zranił? - zapytałam.

Zacisnęła wargi w linię - był to znak, że nie podoba się jej cała ta historia.

- Raczej wystraszył. Gotów zapaść się pod ziemię od jednego spojrzenia.

Służący wnieśli mnie do środka i wyszli, zamykając drzwi. Chłopiec o wielkich, ciemnych oczach i gęstych czarnych lokach - kulił się w fotelu przy kominku. W bandażu na głowie robił wrażenie bledszego, niż był w istocie. Przyglądał mi się spod oka, obgryzając nerwowo paznokcie.

- Czy już ci lepiej? - odezwał się łagodnie.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym spytał z nagłym ruchem głowy:

- Pojechał?

- Kto?

- Mój ojciec.

- Tak, do Launceston razem z twoim kuzynem.

Namyślał się przez chwilę.

- Kiedy wróci?

- Nie wróci. Jutro albo pojutrze musi być w Okehampton na naradzie. Ty na razie zostaniesz tutaj. Czy ojciec nie powiedział ci, kim jestem?

- Myślę, że to wy jesteście Honor. Mówił, że jedziemy do jakiejś pięknej damy. Czemu siedzicie w tym fotelu?

- Bo nie mogę chodzić. Jestem kaleką.

- Czy to boli?

- Nie, nie bardzo. Przywykłam do tego. A ciebie głowa boli?

Dotknął ostrożnie bandaża.

- Krwawi. Pod bandażem jest krew.

- Nie szkodzi, szybko się zagoi.

- Muszę mieć ten bandaż, bo znów zaczniesz się łać.

Powiedzcie służącej, tej, co przemyła mi ranę, aby go nie ruszała.

- Dobrze, powiem.

Wzięłam robótkę i zajęłam się haftem, żeby nie pomyślał, iż go obserwuję. Niech przyzwyczai się do mojej obecności.

- Moja matka lubiła wyszywać - odezwał się po dłuższym milczeniu. - Robiła piękne rzeczy, na przykład las z jeleniami w biegu.

- To musiało być śliczne.

- Wyszła trzy pokrowce na fotele. W Fitzford bardzo je podziwiano. Nigdy nie byliście w Fitzford, prawda?

- Nie.

- Matka miała wiele przyjaciółek, ale o was nigdy nie słyszałem.

- Nie znam jej, Dicku. Znam tylko twego ojca.

- Lubicie go? - Padło natychmiast ostre, podejrzliwe pytanie.

- Czemu pytasz?

- Bo ja go nienawidzę. Życzę mu, żeby zginął na wojnie - odparł mściwie, ze złym błyskiem w oku.

Zerknęłam na niego ukradkiem. Znowu obgryzał paznokcie.

- Czemu go nienawidzisz? - spytałam cicho.

- Bo to diabeł! Próbował zabić moją matkę. Najpierw chciał ją ograbić z domu i pieniędzy, a potem zamordować!

- Dlaczego tak sądzisz?

- Matka mi powiedziała.

- Bardzo ją kochasz, prawda?

- Sam nie wiem. Chyba tak. Jest piękna, piękniejsza od was. Teraz przebywa w Londynie z moją siostrą, też chciałbym tam być.

- Może po zakończeniu wojny będziesz mógł do niej wrócić.

- Uciekłbym, ale Londyn jest tak daleko... I wszędzie naokoło trwają walki, jeszcze by mnie złapali. W Buckland mówi się tylko o bitwach. I wiecie, co?

- No co?

- W zeszłym tygodniu przyniesiono do domu rannego na noszach. Był cały we krwi.

Zastanowił mnie sposób, w jaki to powiedział - aż skurczył się ze strachu.

- Dlaczego tak bardzo boisz się krwi? - zapytałam.

- Nie mówiłem, że się boję - odrzekł szybko.

- Nie, ale widzę, że tak jest. Ja też nie lubię widoku krwi, to bardzo nieprzyjemne, a jednak się nie boję.

- W ogóle nie mogę patrzeć na krew, od dziecka taki byłem. To nie moja wina.

- Może jako bardzo małe dziecko doznałeś szoku.

- To właśnie matka wciąż mi powtarza, chociaż ja nic nie pamiętam. Podobno ojciec wpadł raz do pokoju, kiedy trzymała mnie na rękach, i uderzył ją w twarz. Zalała się krwią. I ta krew spłynęła na moje ręce.

Serce mi się ścisnęło, ale starałam się tego nie okazywać.

- Nie mówmy już o tym, Dicku, jeśli sobie nie życzysz. O czym wolisz rozmawiać?

- Opowiedzcie mi o sobie. Co robiliście w moim wieku? Mielicie rodzeństwo?

Zaczęłam, więc snuć opowieść o przeszłości, a chłopiec, nie spuszczać ze mnie wzroku, z wolna zapominał o własnych przeżyciach. Kiedy weszła Malty z tacą, był już na tyle ośmielony, że i z nią gawędził bez skrępowania. Mało mu oczy nie wyszły na widok pasztecików, które zresztą błyskawicznie zniknęły z półmiska. Ja tymczasem siedziałam, wpatrując się w drobną, jakby wyczelowaną twarzyczkę, tak niepodobną do grubo ciosanych rysów ojca, i gąszcz czarnych kędziorów. Później czytałam mu trochę, Dick zaś zszedł ze swego fotela i zwinął się przy mnie na podłodze jak piesek, który trafił do nowego domu. Kiedy zamknęłam książkę, chłopak spojrzał na mnie z uśmiechem. Dopiero wtedy mogłam się przekonać, że ma uśmiech Richarda, a nie swojej matki.

Odtąd Dick stał się moim cieniem. Zjawiał się u mnie wcześniej, w porze śniadania, co niezbyt mi odpowiadało, ale dla syna Richarda jakoś to znosiłam. Potem szedł na lekcje ze swym wymoczkowatym guwernerem, a ja robiłam toaletę. Przed południem towarzyszył mi na przejażdżce po grobli, nie odstępując mego fotela.

W jadalni zawsze siedział przy mnie, a kiedy po obiedzie jechałam do galerii, przynosił sobie stołeczek i tkwił obok, z rzadka się odzywając, ale wszystko bacznie obserwując. Snuł się za mną niczym uparte widmo.

- Czemu nie pójdziesz pobawić się w ogrodzie? - pytałam. - A może poprosisz pana Ashleya, żeby zabrał cię nad morze, do Pridmouth? Na plaży są śliczne muszelniki, mógłbyś nawet popływać, bo jest dostatecznie ciepło. W stajni stoi kucyk, w sam raz dla ciebie na przejażdżkę po parku!

- Wolę zostać z wami - odpowiadał niezmiennie.

Obstawał przy tym stanowczo i w żaden sposób nie chciał zmienić zdania. Nawet Alice, która miała cudowne podejście do dzieci, nie potrafiła sobie z nim poradzić. Na wszystkie namowy kręcił uparcie głową i nadal tkwił na stołku za mym fotelem.

- Wyraźnie się w was zakochał, łaskawa pani - zauważył guwerner, któremu zapewne ulżyło, że ma tak mało zachodu ze swym pupilem. - Ja nie potrafię go niczym zainteresować.

- Podbiłaś go i tyle - orzekła Joan. - Teraz już się go nie pozbędziesz. Biedna Honor! Dźwigać takie brzemię do końca swoich dni...

Ale mnie to wcale nie martwiło. Skoro Dickowi było przy mnie dobrze, nic więcej nie miało znaczenia. Jeśli tylko mogłam wlać trochę poczucia bezpieczeństwa w to biedne, samotne serduszko i niespokojną głowinę, to nie uważałam tego czasu za stracony.

Tymczasem napływały coraz gorsze wieści. W parę dni po przyjeździe Dicka zawiadomiono nas z Fowey, że Essex dotarł do Tavistock. Oblężenie Plymouth przerwano, gdyż Richard ze swymi oddziałami opuścił Saltash, Mount Stampford i Plympton, zamierzając bronić stów na Tamar.

Tegoż wieczora w Tywardreath odbyła się narada okolicznej szlachty pod przewodnictwem mego szwagra. Zapadła jednogłośnie decyzja, że każdy zbierze jak najwięcej ludzi i broni, po czym ruszy do Launc na pomoc obrońcom hrabstwa.

W domu od razu zrobiło się zamieszanie i ledwie wstał świt, rozpoczęto przygotowania do wymarszu. Wszyscy mężczyźni z posiadło zdrowi i zdolni do noszenia broni, łącznie z najmłodszymi służącymi i chłopcami stajennymi, przeprowadzali przed Jonathanem konie z przytroczonym do siodła ekwipunkiem. Przybyło do nas wielu panów z okolic Fowey i St Austell - między innymi zięć Jonathana John Rileigh z Coombe i Oliver Sawle z Penrice, brat Nicka. Biedna Mary dreptała od jednego do drugiego z wymuszonym uśmiechem na twarzy, rozdając ciastka, owoce i paszteciki. Na głowę Johna zwalono tyle sążnistych poleceń i instrukcji, że - mogłabym przysiąc - nigdy w życiu by tego nie spamiętał. Potem już tylko odprowadzaliśmy wzrokiem żalną gromadkę ludzi niczego nieświadomych, za to o śmiałych i mężnych sercach. Dzierżawcy trzymali muszkiety tak, jak trzyma się widły do siana, narażając na znacznie większe niebezpieczeństwo siebie niż ewentualnego

nieprzyjaciela. Była to dokładna powtórka roku 1643, kiedy to rebelianci znaleźli się nie dalej niż trzydzieści mil od domu, a chociaż Richard zarzekał się, że Essex ze swoją armią idzie prosto w pułapkę, życzyłam waszym wrogom (co za nielojalność!), by racz trzymali się od niej z daleka.

Ostatnie dni lipca były bardzo parne. Ciepły wiatr z południowego zachodu powinien przynieść deszcz, ale jakoś nie mógł się zdecydować. Za Gribben wzburzone morze miało białe i szare bałwany. W Menabilly życie pozornie toczyło się jak gdyby nigdy nic. Zdarzały się nawet chwile wesołości, kiedy na przykład musieliśmy sami obsługiwać przy stole, bo została tylko służba płci żeńskiej. Chcieliśmy w ten sposób podnieść się na duchu, ale i tak wszyscy byliśmy spięci i czujni. Każdy tylko wyciągał uszy, czy nie usłyszy huku dział czy tętentu koni. Pamiętam, jak zasiedliśmy kiedyś przy długim stole w jadalni. Jego Królewska Mość spoglądał na nas chłodno z portretu zawieszzonego na ciemnej boazerii nad kominkiem. Pod koniec posiłku, który upływał w nudzie i napięciu, Nick Sawle, najstarszy z nas, przewyciężywszy foj reumatyzm, wstał i z wielką powagą i namaszczeniem oświadczył:

- W tych smutnych i niespokojnych czasach powinniśmy wznieść toast za naszego ukochanego króla. Niech Bóg, ma w opiece jego i wszystkich naszych krewniaków, którzy zań walczą!

Wszyscy (oprócz mnie, oczywiście) podnieśli się z miejsc i spojrzeli na portret - na pełne melancholii oczy i małe, uparte usta monarchy. Wdziałam łzy spływające po policzkach Alice i smutną rezygnację na twarzy Mary - obie myślały o swych mężach. Ale żadnej z nich nie przyszło na myśl, żeby winą za ów stan rzeczy obciążyć mężczyznę z portretu. Bóg świadkiem, że nie żałuję rebeliantów. Każdy z



nich tylko patrzy, jak by tu sobie usłać miękkie gniazdko i zbić fortunę, wcale nie bacząc na zwykłych ludzi, którym obiecywano złote góry w razie zwycięstwa. Ale w głębi serca także i króla nie uważam za źródło wszelkiej prawdy, przeciwnie, zawsze widziałam w nim tylko sztywnego pyszałka o rozumie tak lichym, jak jego wzrost. A jednak poddani go uwielbiają. Uczucia te, płynące nie z głowy, tylko z serca, zawdzięczał urokowi osobistemu, godnemu obejściu i cnotliwemu życiu.

Tamtego wieczora, siedząc razem w galerii, byliśmy wszyscy bardzo cisi i potulni. Nawet ostry język Temperance Sawle nie znajdował dla siebie pożywki, a jej chuda twarz była ściągnięta ze zdenerwowania. Sparke'owie zaniechali gry w warcaby i rozmawiali ściszonymi głosami. Will, namiętny plotkarz, stracił wyraźnie zapał. Wszystkich nurtowała jedna myśl: czy rebelianci przekroczyli już Tamar. Mary, Alice i Joan wyszywały pilnie, ja czytałam coś Dickowi, ale mój mózg cały czas zajęty był, czym innym. Którą drogę nieprzyjacieli uzna za najkrótszą? Na Saltash czy na Gunnislake? John wyszedł z jadalni zaraz po to toaście za króla. Oświadczył, że nie zniesie tego czekania i jedzie do Fowey po wieści. Wrócił koło dziewiętej. Powiedział, że miasto jest niemal wyludnione, bo wielu mężczyzn ruszyło na północ, żeby przyłączyć się do armii, ci zaś, którzy zostali, stoją z ponurymi minami w drzwiach domostw. Podobno oddziały Grenville'a poniosły klęskę pod Nebridge koło Gunnislake, a Essex na czele dziesięcioletniej armii zmierza do Launceston. Pamiętam, że na te słowa Will Sparke skoczył na równe nogi i łamiącym się ze zdenerwowania, piskliwym głosem zaczął pomstować na Richarda:

- A co ja cały czas mówiłem? Jak przychodzi do

poważnej potyczki, to żaden z niego dowódca! Przeprawa w Gunnislake jest łatwa do obrony, bez względu na siły nieprzyjaciela, ale nie, generał Grenvile musi wiać, gdzie pieprz rośnie, bez jednego wystrzału w obronie Kornwalii! Boże, jakżeż on się różni od swego brata!

- To tylko plotka, kuzynie - mitygował go John, zerkając na mnie z niepokojem. - Nikt w Fowey nie dałby za to głowy.

- Powiadam wam: wszystko stracone - lamentował Will. - Nieprzyjaciel spustoszy Konwalię, tak jak przepowiadał niedawno sir Francis Bassett, a winny temu będzie Richard Grenvile.

Widziałam, że Dick chłonał te słowa z roziskrzonymi oczami. W pewnej chwili pociągnął mnie za rękaw i spytał szeptem:

- O czym on mówi? Co się stało?

- John Rashleigh usłyszał, że hrabia Essex wkroczył do Kornwalii i natrafił na bardzo słaby opór. Musimy zaczekać, aż wiadomości potwierdzi.

- Więc mój ojciec zginął w bitwie?

- Nie, Dicku, nic nam o tym nie wiadomo. Czy mam ci dalej czytać?

- Tak, bardzo proszę, jeśli łaska.

Podjęłam, więc przerwana opowieść, nie bacząc, że chłopak gryzie palce. Ze zdenerwowania omal sama nie poszłam w jego ślady. Przecież w ciągu dwóch ostatnich dni wszystko mogło się zdarzyć! Może żołnierze porzucili Richarda na pastwę wroga na stromej drodze z Gunnislake, a sami rozpierzchli się na wszystkie strony... Albo dostał się do niewoli i akurat teraz biorą go na tortury w zamczysku Launceston, by wydobyć odeń plan bitwy... Zawsze popełniałam ten sam błąd, pozwalając wyobraźni na dzikie

harce. I chociaż domyślałam się, że odwrót znad Tamar należał do strategii Richarda, który dążył do wciągnięcia Essexu w głąb Kornwalii, wolałabym usłyszeć raczej o wielkim zwycięstwie i o zepchnięciu wroga z powrotem do Devonu.

Źle spałam tej nocy, gdyż zawsze uważałam niepewność za najgorszą z psychicznych tortur. Słaba kobieta, która nie może zagłuszyć swych obaw, podejmując jakąś akcję, umie tylko cierpieć w milczeniu. Następnego dnia okazał się tak samo duszny i upalny jak poprzedni. Kiedy siadając na dole do śniadania, patrzyłam na wymizierowane i zgnębione twarze domowników, zastanawiałam się, czy i ja tak wyglądam w ich oczach. Nadal nie było żadnych wieści. Wszędzie panowała dziwna cisza, nawet kawki, które zwykle zbierały się na drzewach w królikarni, odleciały gdzie indziej.

: Tuż przed południem, kiedy w kilka osób siedzieliśmy w jadalni przy zimnym mięsie, z oszklonej werandy wypadła Mary z krzykiem;

- Ktoś jedzie przez park!

Podniosła się wielka wrzawa i wszyscy rzucili się do okien. John z pobladłymi ustami wyszedł na dziedziniec, by powitać przybysza.

Po paru minutach rozległ się stukot kopyt. Jeździec okryty był kurzem, a na bucie miał ślad po cięciu. Od razu rozpoznałam w nim młodego Joego Grenville'a.

- Pismo dla panny Harris! - zawołał, zeskakując z konia.

Zrobiło mi się sucho w gardle. Nie żyje, na pewno nie żyje, myślałam, kiedy posłańca zasypywano pytaniami:

- A bitwa? Co z bitwą?

- Gdzie są rebelianci?

- Co się wydarzyło?

Nick Sawle i Will Sparke opadli Joego z obu stron, tak że musiał się do mnie przepychać.

- Essex przed nocą dotrze do Bodmin - oznajmił krótko. - Właśnie stoczyliśmy drobną potyczkę z bandą lorda Robartesa, który zawrócił, by go powitać. Sami wycofujemy się, czym prędzej do Truro, gdzie sir Richard zamierza zwerbować więcej żołnierzy. Przyjechałem tylko po to, żeby doręczyć list pannie Harris.

- Essex w Bodmin? - rozległ się zbiorowy jęk.

Temperance Sawle padła na kolana i zaczęła wzywać na pomoc Stwórcę. Ja zaś pośpiesznie łamałam pieczęcie listu.

*Moje najmilsze Kochanie!*

*Przynęta już zastawiona i biedna, oszukana rybka ciągnie ku niej, co sił z rozdziawionym pyskiem. Wieczorem dotrze do Bodmin, a jutro do Fowey. Głównym doradcą Essexu jest ten patentowany osioł Jack Robartes, którego dwór w Lanhydrock miałem właśnie przyjemność splądrować. Polkną jak nic przynętę, haczyk, wędkę i samego rybaka na dodatek. My napadniemy na nich od strony Truro, a Jego Królewska Mość, Maurycy i Ralph Hopton od wschodu. Król już zdążył dotrzeć do Tavistock, więc zanosi się na polów w pięknym stylu. Ponieważ najbliższa przyszłość może okazać się niezbyt przyjemna dla mieszkańców Menabilly, najlepiej będzie, jeśli szczeniak z gubernierem wrócą pod moje skrzydła. Dałem już Joemu odpowiednie instrukcje. Ty zaś, moja najdroższa, siedź w swej komnatce i niczego się nie bój.*

*Ruszymy Wam na ratunek, gdy tylko będzie to możliwe. Wyrazy uszanowania dla Twej Siostry i reszty towarzystwa od oddanego sługi,*

Schowałam list do kieszeni i zwróciłam się do Joego.

- Jak się miewa generał? - spytałam,

- Nigdy nie miewał się lepiej - odrzekł z szerokim uśmiechem. - Zostawiłem go przy drodze do Grampound. Zajadał pieczone prosię a sługa czyścił mu buty. Uprawdziliśmy lordowi Robartesowi ze dwadzieścia świń, tyleż sztuk bydła i stado owiec, więc wojsko jest w świetnym nastroju. Gdyby doszły do was plotki o naszych stratach pod Newbridge, proszę nie słuchać. Im większą liczbę podaje nieprzyjaciel, tym bardziej cieszy się sir Richard.

Dałam znak, że chcę z nim pomówić na osobności, i wycofaliśmy się na oszkloną werandę.

- Co będzie z Dickiem?

- Sir Richard uważa, że najlepiej wsadzić chłopca wraz z guwernerem na rybacką łódź i przewieźć do St Mawes. Trzeba by się ułożyć z którymś z rybaków z Polkerris, mam dość pieniędzy, by sownie opłacić jego trud. Łódź powinna płynąć blisko brzegu, a gdy tylko znajdą się za Dodman, to dalej będzie już blisko.

- Kiedy mają wyruszyć?

- Jak najprędzej. Wszystkiego sam dopilnuję i odprowadzę ich m przystań. Potem wracam do sir Richarda i przy odrobinie szczęścia dogonię go na gościńcu do Truro. Niestety, drogi są zatłoczone, bo ludzie masowo uciekają przed Essexem. Wszyscy podążają na zachód, a rebelianckiej konnicy tylko tam patrzeć.

- Skoro tak, to nie ma czasu do stracenia - zawyrokowałam. - Poproszę Johna Rashleigha, żeby poszedł z tobą do Polkerris, on zna tamtejszych ludzi i wie, komu można zaufać.

Przywołałam Johna i pośpiesznie wyjaśniłam mu, w czym rzecz. Zaraz też obaj wyruszyli do Polkerris, a ja posłałam po Herberta Ashley'a. Przybył niezwłocznie, mocno blady, gdyż wszędzie krążyła już plotka o rzekomej ucieczce rozproszonych oddziałów Grenville'a i nieodwołalnie przegranej wojnie. Ulżyło mu też znacznie, kiedy oznajmiłam, że mają z Dickiem natychmiast wyjechać i to drogą morską, nie lądową. Obiecał, że będą gotowi w ciągu godziny, i poszedł pakować rzeczy. Te raz pozostało mi tylko przekazać nowinę memu cieniowi, który stał przy bocznych drzwiach, wyglądając na ogród. Poprosiłam chłopca, by do mnie podszedł.

- Dicku, musisz być bardzo dzielny i rozsądny. Nieprzyjaciel lada chwila dotrze w nasze okolice i Menabilly wpadnie w ręce rebeliantów. Twój ojciec uważa, że nie powinni cię tu zastać, więc razem z panem Rashleighem poczyniliśmy pewne przygotowania. Wraz z gubernierem popłyniecie zaraz łodzią do St Mawes, gdzie będziecie bezpieczni.

- Czy i ty z nami popłyniesz?

- Nie, Dicku. Plan ten powstał nagle i dotyczy tylko was dwóch. Ja z resztą domowników pozostanę w Menabilly.

- Więc i ja nigdzie nie jadę.

- Niestety, musisz się pogodzić z moją decyzją. Tak będzie dla ciebie najlepiej.

- Czy to znaczy, że wracam do ojca?

- Tego nie umiem ci powiedzieć. Wiem tylko tyle, że płyniecie łodzią do St Mawes.

Nic nie odpowiedział, posmutniał tylko i patrzył na mnie z dziwnie nadąsaną miną. Po chwili wstał i poszedł do swego pokoju, gdzie czekał nań gubernier.

Przez cały czas czułam bolesne ściskanie w dołku, bo

nie ma nic bardziej zaraźliwego od paniki, a atmosfera w domu była aż gęsta od strachu. Mieszkańcy zbierali się po kilkoro w galerii, wszyscy bardzo przygnębieni i strwożeni. Dzieci Alice, wyczuwając zagrożenie, ten właśnie moment wybrały, by dać się wszystkim we znaki. Biedactwa nie chciały odstąpić od matki i trzymały się kurczowo jej spódnicy, zanosząc się od płaczu.

- Jeszcze zdążylibyśmy uciec do Truro, gdybyśmy mieli konie - mówił Will z twarzą szarą ze strachu - ale Jonathan zabrał wszystkie, a te od farmerskich wozów są zbyt powolne. Dokąd poszedł John? Czy na prawdę nie potrafi nam pomóc?

Siostry nie spuszczały zeń wystraszonych oczu. Gillian szeptała nerwowo z Deborą, że przecież nic nie jest spakowane, a zanim wybiorą najpotrzebniejsze rzeczy, nadejdzie wieczór. Wtedy Nick Sawle wyprostował się dumnie i powiedział głośno:

- Ja z żoną proponujemy zostać w Menabilly. Jeśli jacyś tchórze wolą tłuc się po gościńcach jako uciekinierzy, to droga wolna, ale uważam, że nasz biedny kuzyn Jonathan nie zasłużył sobie na to, by wróciwszy do domu, zastać go opuszczonym. Tylko szczury uciekają, gdy zwietrzają niebezpieczeństwo.

Mary rzuciła mi trwożne spojrzenie.

- A co ty radzisz. Honor? Mamy uciekać czy zostać? Jonathan nie dał mi żadnych poleceń. Zapewniał mnie, że nieprzyjaciel nie przekroczy Tamar, a w najgorszym przypadku zostanie zmuszony do odwrotu Już po paru milach.

- Mój Boże - odrzekłam -jeśli chcecie chować się po rowach razem z pędzonym bydłem, to wyjeżdżajcie, ale gotowam przysiąc, że gorzej wam będzie w drodze niż tutaj.

Lepiej skonać z głodu pod własnym dachem niż gdzieś pod płotem.

- Mamy mnóstwo zapasów - ożywiła się Mary, czepiając się promyka nadziei. - Nie zabraknie nam jedzenia, chyba, że oblężenie) trwałoby bardzo długo.

I poszła poradzić się z pasierbicami, nadal zajętymi uspokajaniem dzieci. Doszłam do wniosku, że nie warto szerzyć jeszcze większej paniki, i powstrzymałam się od dalszych uwag. Przecież wiadomo, co stanie z zapasami, gdy rebelianci zajmą dwór.

Ledwie zegar na wieży wybił trzecią, Dick z gubernierem zeszli na dół, gotowi do drogi. Chłopiec nadal się dąsał i odwracał głowę, gdy chciałam go pożegnać. Uznawszy, że to lepsze niż jawny bunt i łzy życzyłam mu wesoło pomyślnych wiatrów i zapewniłam, że w ciągu tygodnia skończą się jego kłopoty. Nie odzywał się nadal, więc dałam znak Herbertowi Ashleyowi, by wziął go pod ramię i poprowadził przez park. Towarzyszył im Frank Penrose, który miał ich sprowadzić do Polkerris gdzie John Rashleigh i Joe Grenville na pewno czekali już z łodzią.

Ze zdenerwowania rozboleły mnie plecy i marzyłam tylko o tym by jak najprędzej się położyć. Posłałam po Matty, która z pomocą Alice i Joan zaniósła mnie na górę. Zachodzące słońce silnie świeciło w szyby, więc w pokoju było duszno i gorąco. Mokra od potu, leżałam na łóżku czując, że wszystko się na mnie lepi. W tej okropnej chwili z całego serca pragnęłam być mężczyzną, siedzieć w siodle i pędzić z Joem do Truro zamiast gnąć w pościeli i bezsilnie czekać na nieuchronny tupot nieprzyjacielskich butów. Leżałam tak dobrą godzinę, podczas której udało mi się zapaść na krótko w drzemkę, kiedy nagle znów usłyszałam, z parku tętent konia. Zawołałam Matty, żeby sprawdziła, kto przyjechał.



Podeszła posłusznie do okna.

- To pan John! Jest strasznie przygnębiony. Coś chyba źle poszło

Serce podeszło mi do gardła. Może żaden rybak z Polkerris nie dał się namówić na wyprawę? Na schodach rozległy się kroki i po chwili John wpadł do mnie jak burza, zapominając nawet zapukać do drzwi.

- Zgubiliśmy Dicka! - wołał. - Zniknął, po prostu zniknął i nigdzie nie można go znaleźć.

Stał przede mną z twarzą zlaną potem i widziałam, że cały dygocze.

- Co też ty mówisz? Jak to się stało? - spytałam, siadając na łóżku.

- Staliśmy wszyscy na brzegu - mówił, dysząc ciężko - i łódź spuszczone już na wodę. Pod pokładem miała małą kabinę i widziałem na własne oczy, jak Dick zszedł tam z tobołkiem pod pachą. Z wynajęciem łodzi nie było żadnych kłopotów, a rybacy - obaj krzepcy, dobrze mi znani - chętnie się zgodzili. Już mieli podnosić kotwicę, kiedy usłyszeliśmy tupot nóg na bruku koło chat. Jacyś chłopcy przybiegli w wielkiej trwodze, wołając, że pierwszy rebeliancki oddział przeciął już drogę z Castledore do Tywadreath i że wzgórze Polmear jest już zajęte przez nieprzyjaciela. Wówczas rybacy zaczęli stawiać żagle, a Joe Grenvile mrugnął do mnie i powiedział: „Wygląda, że i ja muszę się zdecydować na morską podróż”. I zanim zdążyłem mu odpowiedzieć, popędził konią do wody, zmierzając ku piaszczystym łachom o pół mili na zachód. Dotarł tam w niecałe pół godziny, chociaż woda zaczęła się już podnosić, a potem odwrócił się do mnie w siodle i pomachał kapeluszem. Pewnie teraz jest na Gosmoor, w połowie drogi do St Austell.

- Ale Dick? Co z Dickiem?

- Był na łodzi. Przysięgam, że był - upierał się John. - Ale odwróciliśmy się na chwilę, żeby posłuchać, co ci chłopcy mówią o nieprzyjacielu w Tywardreath, a potem ta historia z Joem! Powiadam ci, Honor, t życiu nie widziałś takiego śmiałka! Przecież lada chwila mogła go przykryć fala przyływu! Między Polkerris a łachami woda przybiera błyskawicznie. I nagle Ashley, ten gubernier, rozejrzał się i zawołał Dicka, ale już go nie znalazł Przeszukaliśmy cały kuter od rufy po dziób, ale na nic. Jak kamień w wodę! Na miłość boską, Honor, co my teraz pocniemy?

Poczułam się tak samo bezradna, jak on. Ze zdenerwowania zrobiło mi się niedobrze. Zawiodłam na całej linii, a od nieprzyjacielskich oddziałów dzieliły nas najwyżej dwie mile.

- Gdzie jest teraz łódź? - zapytałam.

- Niedaleko Gribben, czeka na mój sygnał z tym bezużytecznym gubernierem, który myśli tylko o tym, by się dostać do St Mawes. Nawet, jeśli odnajdziemy Dicka, może już być za późno.

- Przeszukajcie klify we wszystkich kierunkach, a także park, pastwiska, całą posiadłość. Czy po drodze ktoś rozmawiał z chłopcem?

- Nie pamiętam. Chyba nie. Tylko Frank Penrose go pocieszył, że jeszcze dziś będzie z ojcem.

A więc to tak. Coś się komuś wysnęło i to wystarczyło, by Dick zawrócił z drogi i uciekł jak uczeń ze szkoły. Nie mogłam brać udziału w poszukiwaniach, ale dopilnowałam, aby John z Frankiem natychmiast wyruszyli, i zabroniłam im wspominać komukolwiek, co się wydarzyło. Potem przywołałam Matty i kazałam wieźć się na groble.

Z wysokiego wału miałam, tak jak sobie życzyłam, doskonały widok na całą okolicę. Widziałam Franka Penrosea i Johna zmierzających przez park w stronę latarni morskiej, gdzie się rozdzielili. Cały czas dręczyła mnie myśl, że chłopak się utopił. Pewnie znajdą w kipieli pod klifami Polkerris jego ciało, kiedy fala przyływu wyrzuci je twarzą do dołu... Ponieważ nie dostrzegłam żadnej łodzi doszłam do wniosku, że musi być gdzieś na zachodzie, za Polkerris i Gribben.

Matty pchała mój fotel tam i z powrotem wzdłuż całej grobli. W koło nie było ani żywej duszy, tylko na dalekich wzgórzach pasły się jakieś krowy, a na horyzoncie lekka bryza kołysała łany zbóż.

Po pewnym czasie wysłałam Matty do domu po płaszcz, bo wiatr robił się coraz chłodniejszy. Wróciła z wiadomością, że pierwsi uciekinierzy napływają już do parku. Są wśród nich kobiety, dzieci i starcy, wszyscy z tobołkami na plecach, i błagają o schronienie, gdyż droga do Truro jest odcięta i wszędzie grasują rebelianci. Mary kompletnie straciła głowę, nie wie, co z nimi zrobić, a tymczasem przybysze rozpalili już w królikarni ogniska i budują sobie szałas.

- Kiedy wychodziłam z domu, zajechała czterokonna karetka i jakaś dama żądała gościny dla siebie i swych młodych córek. Słyszałam, jak jej służący mówił, że są w drodze od dziewięciu godzin.

Podziękowałam Bogu, że zostaliśmy w Menabilly i nie wpadliśmy w panikę, jak tamci nieszczęśnicy.

- Wracaj tam, Matty - powiedziałam - i postaraj się

jakoś pomóc mojej siostrze. Nikt ze służby nie ma ani odrobiny oleju w głowie.

Nie było jej już ponad dziesięć minut, kiedy zobaczyłam dwóch ludzi, zmierzających w moją stronę przez pola. Jeden z nich pomachał i ręką, drugą przytrzymując za ramię swego towarzysza.

Byli to John Rashleigh i Dick.

Kiedy podeszli bliżej, zobaczyłam, że Dick ocieka wodą, a na twarzy i rękach ma zadrapania od jeżyn, ale przynajmniej raz nie zważał na krew, tylko patrzył na mnie wyzywająco.

- Nie jadę - oświadczył. - Nie zmusicie mnie.

John spojrzał na mnie i wzruszył z rezygnacją ramionami.

- To na nic, Honor. Musimy go tu zatrzymać. Teraz plaże są pod wodą, więc dałem już sygnał rybakom do łodzi, żeby przerzucili gubernera na drugą stronę zatoki, do Mevagissey albo Gorrau, gdzie musi sam się zatroszczyć o siebie. A co do tego młodzieńca, to znalazłem go na klifie o milę od Polkerris. Przez trzy godziny tkwił po pas w wodzie. Pokpiiliśmy sprawę i Bóg jeden wie, co sir Richard powie na to wszystko.

- Mniejsza o sir Richarda, dam sobie z nim radę, gdy tylko... jeśli w ogóle go jeszcze zobaczę. Teraz chłopak wróci ze mną do domu i przede wszystkim przebierze się w suchą odzież.

Mówiłam już, że grobla jest dość wysoka i roztacza się z niej piękny widok na wschód i zachód. Sama nie wiem, dlaczego akurat w tej chwili spojrzałam na nadbrzeżną drogę z Coombe i Fowey, opadającą ku Pridmouth. Ponad doliną, na samym horyzoncie zauważyłam samotnego jeźdźca. Po chwili przyłączyli się do niego inni i po krótkim postoju

ruszyli za swym dowódcą wąską ścieżką ku zatoce. John także ich zobaczył; nasze oczy się spotkały i długo patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Dick szczękał zębami, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Za dawnych czasów Richard zwykł żartować na temat mojej południowej krwi, jakoby płynącej zbyt leniwie w porównaniu z północną, która ponoć tętniła w jego żyłach. Otóż przysięgam, że w ciągu następnych kilku sekund mój umysł pracował w takim tempie, o jakim memu ukochanemu nigdy się śniło.

- Masz klucze ojca? - spytałam Johna.

- Mam.

- Wszystkie?

- Wszystkie.

- Masz je przy sobie?

- Tak.

- To otwórz drzwi do pawilonu.

Posłuchał bez wahania - dzięki Bogu, surowy ojciec nauczył go rygoru - i po chwili staliśmy w progu przed otwartymi drzwiami.

- Przesuń matę spod biurka i podnieś kamień.

Rzucił mi zdumione spojrzenie, ale bez słowa zrobił, co mu kazałam. Pod kamieniem ukazały się wąskie schodki.

- O nic nie pytaj, John, teraz nie pora na wyjaśnienia. Te schody prowadzą do podziemnego korytarza, który ciągnie się do samego domu. Zabierz tam Dicka, tylko nie zapomnijcie ułożyć kamienia na poprzednim miejscu. Potem idźcie naprzód, aż dotrzecie do małej izdebki. Zobaczycie tam jeszcze jedne schodki, zakończone drzwiami. Nie aprobujcie ich otwierać, czekajcie na mój znak.

Widziałam, jak sens moich słów dociera stopniowo do jego mózgu. Wreszcie w oczach Johna pojawił się błysk

zrozumienia.

- Pokój przylegający do twojego? Stryj John?

- Tak, tak. Daj mi klucze. Idźcie już, szybko.

Tym razem Dick nie sprawiał kłopotów. Zrozumiał z mego zachowania, że niebezpieczeństwo naprawdę jest blisko i nie czas już na sztubackie figle. Wsunął się do otworu jak przerażony królik. John ułożył matę na kamieniu i zszedłszy śladem Dicka, nasunął wszystko na miejsce. Potem zniknął. Pawilon wyglądał jak przedtem - pusty i nietknięty. Wychyliłam się w fotelu, przekręciłam klucz w zamku i schowałam cały pęk pod suknię. Wyjrzawszy na wschód, zobaczyłam pusty horyzont. Rebelianci musieli już dotrzeć do zatoki. Na pewno napoili konie przy młynie i pieli się teraz pod górę. W Menabil będą najwyżej za dziesięć minut. Zimny pot spływał mi z czoła, kiedy czekałam na Matty - kto wie, jak długo przyjdzie mi tu tkwić. Pomyślałam sobie, że oddałabym teraz wszystko, co posiadam, za porządny łyk brandy.

Z daleka widziałam Franka Penrose'a, jak z latarnią w rękę wciąż przeszukuje wzgórze. Na zachodnich łąkach jakaś kobieta zwoływał krowy. Nikt nie miał pojęcia, że wąską dróżką nadciąga już nieprzyjacielski oddział.

W tym momencie na grobli ukazała się Joan. Jej śliczna twarzyczka była ściągnięta ze strachu, miękkie pukle ciemnych włosów rozwiewali wiatr.

- Nadchodzą! - krzyczała. - Widzieliśmy ich z okien. Całe oddziały konnych tratują park!

Nie mogła złapać tchu, gdyż wstrząsało nią łkanie. Chwyciła mój fotel i ruszyła biegiem ku domowi. Teraz i mnie ogarnęła nagle panika, myślałam już tylko o szerokich drzwiach domu, które wciąż jeszcze mogły odgrodzić nas od niebezpieczeństwa.

- Szukałam Johna - dyszała Joan - ale nigdzie go nie ma. Jedna ze służących widziała go podobno, jak szedł w stronę Gribben. Ach, moja Honor... dzieci... co się z nami stanie? Jaki los nas czeka?

Z parku słychać już było wrzaski, a zza bramy dobiegał uparty tętent idących truchtem koni. Nie lekki stukot jednej kompanii, ale nieubłagany rytm wielu szeregów całego regimentu. Brzęczała uprzęż, niekiedy odzywał się obcy, piskliwy głos trąbki.

Domownicy czekali na nas przy oknach galerii - Alice, Mary, Sawle'owie, Sparke'owie - grupka przerażonych ludzi, zjednoczonych nagle w obliczu niebezpieczeństwa. Były wśród nich dwie nieznane mi dziewczynki w koronkowych czepeczkach i kołnierzykach, znad których wyzierały zalęknione, chude twarzyczki. Przypomniałam sobie zaraz ową obcą damę, błagającą moją siostrę o litość. Kiedy skręciłyśmy do hallu, zobaczyłam, że konie wciąż jeszcze stoją na dziedzińcu, niewyprzęgnięte. Słudzy narzucili tylko na nie biało-czerwone derki z głową smoka w rogach. Głowa smoka... Moje myśli błyskawicznie poszybowały w przeszłość, ale jeszcze zanim uchyliła mi się odpowiednia klapka w pamięci, usłyszałam głos - zimny i wyraźny, wybijający się ponad inne:

- Jeśli tylko będzie to lord Robartes, to zapewniam, że nikomu tutaj włos z głowy nie spadnie. Znam go dobrze od wielu lat i gotowam przemówić także w waszym imieniu.

- Zapomniałam ci powiedzieć - szepnęła Joan. - Przyjechała z dwiema córkami niecałą godzinę temu. Droga jest zajęta i nie mogły przedostać się przez St Blazey. To pani Denys z Orley Court.

Oczy przybyłej zwróciły się ku mnie. Te same oczy - wąskie, o ciężkich powiekach, które tak często nawiedzały

mnie w złych snach... I te same włosy - jeszcze bardziej złote niż dawniej, gdyż kunszt fryzjerski nauczył się już sporo od natury, a nawet ją prześcignął. Zdumiała się na mój widok. W jej oczach mignęło coś w rodzaju zmieszania, ale zaraz przyoblekła twarz w leniwy, obłudny, tak dobrze mi znany uśmiezek.

- Honor! Jakże się cieszę, że cię widzę! Mary nie wspominała, że i ty trafiłaś do Menabilly!

Udałam, że nie widzę wyciągniętej ręki. W końcu kaleka przykuta do fotela ma prawo do kaprysów, nawet, jeśli są sprzeczne z dobrymi manierami. Odwzajemniłam jej spojrzenie, ale na swój sposób, gdyż serce miałam pełne najgorszych przeczuć. W tym momencie usłyszeliśmy na dziedzińcu stukot kopyt i dźwięki trąbki. Biedna Temperance Sawle padła na kolana, dzieci zaczęły popłakiwać, a moja siostra mocno pobladła i objąwszy ramionami Alice i Joan, zastygła w milczeniu. tylko Gartred obserwowała wszystko chłodnym wzrokiem, skubiąc od niechcenia pasek.

- Tak, tak, pani Sawle - powiedziała. - Proszę się modlić, byle szybko, a gorąco. Sępy już krążą.

Ponieważ w pobliżu nie było ani kropli brandy, nalałam sobie z dzbanka wody i uniosłam szklanekę, patrząc Gartred w oczy.



Pamiętam, że to Will Sparke poszedł zdjąć sztabę z drzwi, chociaż przedtem sam ją zakładał. Usprawiedliwiał się przed nami piskliwym, drżącym głosem:

- Na nic się nie zda, jeśli narazimy się im od samego początku. Trzeba ich ułagodzić, w tym cała nasza nadzieja.

Patrzyliśmy z okien, jak jeźdźcy zsiadają z koni w swych ciasno przylegających hełmach, jak wodzą dookoła butnym, hardym wzrokiem. Dla mnie wszyscy wyglądali jednakowo - krótko ostrzyżone głowy, spłowiałe skórzane kubraki - ich bezwzględne podobieństwo dziwiło, a zarazem przygnębiało. Większość żołnierzy zebrała się przy wschodnim skrzydle, w ogrodach. W pierwszym, symbolicznym akcie zniszczenia puścili konie na wypielegnowane trawniki, pozwalając im tratować młodziutkie cisy. Towarzyszył temu wysoki, przenikliwy dźwięk trąbki, zupełnie jakby myśliwy zwoływał sforę do pościgu za zwierzyną. Po chwili w domu rozległy się ciężkie kroki - najpierw w jadalni, potem na schodach. Do galerii powrócił Will Sparke z nerwowym uśmiechem, bez kropli krwi w twarzy. Za nim weszło trzech oficerów - pierwszy, olbrzym o długim nosie i masywnej szczęce, przepasany był zieloną szarfą. Rozpoznałam w nim od razu lorda Robartesa, właściciela Lanhydrock, wielkiej posiadłości przy drodze na Bodmin. Za dawnych czasów zwykł uganiać się konno i polować razem z moim bratem Kitem, ale reszta towarzystwa niezbyt dobrze go znała. Należał te raz do naszych wrogów i mógł z nami postąpić według swej woli.

- Kto jest właścicielem domu? - zapytał, patrząc w stronę starego Nicka Sawle'a, który odwrócił się do niego

plecami.

- Męża nie ma w domu - odrzekła Mary, wysuwając się do przodu - a pasierb jest w polu albo przy gospodarstwie.

- Czy znajdują się tu wszyscy mieszkańcy?

- Wszyscy, z wyjątkiem służby.

- Nie ukrywacie żadnych zdrajców?

- Nie.

Zwrócił się do towarzyszącego mu oficera:

- Przeszukać dom i resztę posiadłości. Wyłamać każde zamknięte na klucz drzwi i sprawdzić, czy w ścianach nie ma skrytek. Wieśniakom każcie przypędzić wszystkie owce, krowy i inne zwierzęta, wyznaczcie też ludzi do pilnowania inwentarza i spichlerzy. Tę galerię oraz wszystkie pokoje na parterze zajmujemy do naszego osobistego użytku. Żołnierze będą biwakować w parku.

- Tak jest, panie generale.

Oficer wyprężył się na baczność, po czym wyszedł wykonać rozkaz Lord Robartes przysunął sobie krzesło do stołu, a drugi z oficerów podał mu papier i pióro.

- A teraz, łaskawa pani - zwrócił się do Mary lord Robartes - proszę mi podać nazwiska, imiona i rodzaj zajęcia wszystkich mieszkańców dworu.

Spisywał wszystkich po kolei, świdrując każdą ofiarę oczami, jakby już samo nazwisko i wiek stanowiły dowód zdrady. Dopiero kiedy doszedł do Gartred, wyraz podejrzliwości na jego twarzy nieco zelżał.

- Niezbyt mądrze wybraliście, pani, czas na podróż. Lepiej było siedzieć w Oriey Court.

- Włóczy się tam pełno żołnierzy, którzy nie mają pojęcia o dyscyplinie - tłumaczyła się słabo Gartred. - Nie uszanują absolutnie nikog a tym bardziej samotnej wdowy z młodymi córkami. Wybierając się na południe, chciałam

uciec przed wojną.

- I popełniłście błąd. Teraz musicie ponieść skutki i pozostać pod strażą razem z panią Rashleigh i jej domownikami.

Gartred skłoniła się, ale nic nie odpowiedziała. Lord Robartes wstał.

- Kiedy żołnierze skończą przeszukiwać pokoje na piętrze, możecie tam pójść - oświadczył, zwracając się do Mary i reszty zebranych. - Jestem zmuszony nalegać, abyście tam pozostali, póki nie nadejdą dalsze rozkazy. Raz dziennie wolno wam wyjść na przechadzkę po ogrodzie, ale pod ścisłą eskortą. Jedzenie musicie przygotowywać sobie sami, na ile potraficie. Kuchnia przechodzi pod nasze rozkazy, ale część zapasów wam wydzielimy. Proszę was, pani, o klucze.

Mary zachwiała się, a potem niespiesznie sięgnęła do paska i odpięła pęk kluczy.

- Czy samej nie wolno mi chodzić do spiżarni?

- Nie, łaskawa pani. Zapasy nie należą już do was. Podobnie jak wszystko w tym domu przeszły na własność parlamentu.

Pomyślałam o słojach konfitur na półkach, o miodach, marmoladach, solonych sardelach, o wędzonych szynkach i solonej baraninie. I jeszcze o chlebie w piekarni, workach mąki, ziarnie w spichrzach, owocach dojrzewających w sadzie. Kiedy to wszystko przelatywało mi przez głowę, z góry dobiegał tupot żołnierskich butów, a z zewnątrz niósł się dźwięk trabki.

- Dziękuję łaskawej pani. Ostrzegam panią i jej domowników, że każda próba ucieczki lub niesubordynacja będą karane z największą surowością.

- A co z mlekiem dla dzieci? - spytała Joan. Miała silne rumieńce, ale głowę trzymała wysoko. - Musimy mieć

mleko, masło i jajka. Mój synek jest bardzo delikatny, ma skłonności do krupu.

- Mówiłem, że będziecie otrzymywać przydziały - odparł lord Robartes. - Jeśli dzieci potrzebują więcej, dorośli muszą się ograniczyć. Mam do zakwaterowania pięć setek żołnierzy, oni są ważniejsi od was i waszych dzieci. Możecie teraz odejść do swych pokoi.

Na ten moment czekałam. Pochwyciwszy wzrok Joan, skinęłam, by do mnie podeszła.

- Oddaj swą sypialnię pani Denys - szepnęłam - i zamieszkać u mnie, nad bramą. Każę przenieść moje łóżko do przyległego pomieszczenia.

Spojrzała na mnie pytająco, ale ruchem głowy nakazałam jej milczenie. Mimo silnego zdenerwowania zachowała tyle przytomności umysłu, żeby się z tym pogodzić. Od razu udała się z propozycją do Mary, która wciąż jeszcze nie mogła ochłonąć po utracie kluczy i zapomniała nawet o swej wrodzonej gościnności.

- Ależ nie rób sobie kłopotu - mówiła z uśmiechem Gartred, przygarniając do siebie córeczki. - May i Gertie prześpią się gdzie bądź, znam ten dom od dawna - to istna królikarnia, pełno tu różnych schowków.

Spojrzałam na nią uważnie i nagle sobie przypomniałam. Kiedy żył jeszcze stary pan Rashleigh, Kit uczył się w Oksfordzie razem z Jonathanem. Później, za czasów pierwszego małżeństwa Jonathana, często przyjeżdżał tu z Lanrest.

- Byłaś już tutaj?

- odezwałam się do Gartred po raz pierwszy, odkąd zobaczyłam ją w galerii.

- Pewnie, że byłam - odrzekła, ziewając. - Mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu Kit i ja przyjechaliśmy tu na

kolację z okazji święta plonów i zupełnie pogubiliśmy się w korytarzach.

;

W tym momencie lord Robartes, który naradzał się po cichu z oficerem, odwrócił się od drzwi.

- Proszę udać się do swoich pokoi.

Wyszliśmy przez tylne drzwi, za którymi natrafiliśmy na służbę, zbitą pod ścianą w gromadkę niczym spłoszone owce. Matty wraz z dwiema innymi kobietami chwyciły za poręcze mego fotela. W kuchni panoszyli się już żołnierze. Właśnie kroili i rozdzielali między siebie pieczeń wołową, przeznaczoną przedtem na nasz obiad. Trzech innych, w tym jeden podoficer, schodziło z góry, uginając się pod ciężarem zapasów ze spiżarni. Następny niósł stertę koców i bogato haftowaną kapę, które odłożono na zimę do schowka z bielizną.

- Och, przecież nie mogą tego zabierać - jęknęła Mary.

- Gdzie jest jakiś oficer? Muszę porozmawiać z kimś, kto ma nad nimi władzę.

- Ja tu jestem władzą - odparł sierżant. - Mam zarekwirować całą bieliznę, wszystkie koce i kapy, jakie są w domu. Radzę spokojniej, paniusiu, bo nic tu nie wskóracie.

Patrzyli zimno prosto w nasze twarze, ale jeden ośmielił się rzucić Alice poufały uśmiech, szepcząc coś do ucha swemu towarzyszowi.

O Boże, jakże ich w tej chwili nienawidziłam! Dotąd odnosiłam się, do wojny z ironią i cynizmem, wzruszając niefrasobliwie ramionami, ale kiedy dotknęła mnie osobiście, poczułam, że wprost płonę z gniewu. Ciężkimi, ubłoconymi buciorami zapaskudzili podłogi, na górze także szkody aż były w oczy: boazeria pokłuta pikami, pozdzierane ze ścian obicia. W pokojach Alice wszystko przewrócone do góry

nogami, rzeczy z szaf wyrzucone na podłogę, rama okienna z resztkami stłuczonej szyby ledwie trzymała się na jednym zawiasie. Na środku pokoju splakana piastunka załamywała ręce, bo żołnierze zabrali pościel dzieci, a jakiś gamoń zmiażdżył obcasem główkę ich ukochanej lalki. Na widok zniszczonej zabawki dziewczuszki wybuchnęły okropnym płaczem, a ja w tym momencie poznałam ową ślepą furie, która budzi się w człowieku podczas wojny i wyzwala w nim żądze mordy. W ogrodach żołdactwo deptało po rabatach, konie skubały kwiaty, wszędzie wałały się zmięte i ubłocone kopytami płatki.

Raz tylko spojrzałam na ten rozgardiasz, a potem kazałam się wieźć do siebie. Mój apartamencik ucierpiał nie mniej od innych: skłębiona pościel, na podłodze włosie z foteli. Zarazem oszczędzono mi też fatygi, bo drzwi do sąsiedniego pokoju stały otworem, a obok leżały kawałki desek. Tapiserie miejscami były rozdarte, ale na szczęście ta, która zakrywała przyporę, ocalała.

Podziękowałam tedy Bogu za chytryść starego Johna Rashleigha i poprosiłam Matty, by usadowiła mnie przy oknie. Na dziedzińcu żołnierze ustawili w rzędy spętane konie, w parku połyskiwały bielą rzędy namiotów. Palono ogniska, porykiwało zaganiane do zagród bydło i cały czas grała piskliwie, na jedną nutę ta przeklęta trąbka. Powiedziałam Matty, że zaraz zjawi się u nas Joan z dziećmi, a ja zostanę tutaj, w przyległym pokoju.

- Szybko rozprawili się z naszą tajemnicą - zauważyła Matty, patrząc na wyłamane drzwi.

- Więc jednak niczego tu nie chowano!

Nic jej nie odpowiedziałam, ale kiedy zajęła się przesuwaniem łóżka i przenoszeniem rzeczy, podjechałam do szafki i zobaczyłam, że Jonathan był na tyle ostrożny, iż

usunął przed wyjazdem wszystkie papiery.

Wreszcie oba pokoje doprowadzono do porządku, a Matty z pomocą innych naprawiła drzwi, dzięki czemu mogłam się oddzielić od Joan. Odesłałam potem całą służbę, żeby pomogła mojej chrześniaczce w przygotowaniu lokum dla Gartred w części wychodzącej na południe. Wokoło panowała cisza, zakłócana tylko ciężkimi krokami żołnierzy na dziedzińcu. Bardzo ostrożnie podjechałam do północno-wschodniego kąta mego nowego pokoju i podniosłam tapiserię. Przesunęłam rękami po kamiennej ścianie, tak samo jak owego wieczoru, kiedy to Jonathan mnie przyłapał. Tym razem także nie wyczułam żadnej szczeliny w murze, żadnego ukrytego otworu.

Nagle zrozumiałam, że sekretne wejście można otworzyć tylko od strony schodów. Wielka to niewygoda dla dzisiejszych użytkowników, ale niewątpliwie budowniczy bardzo chytrze wszystko zaplanował. Właścicielowi domu zależało pewnie, żeby upośledzony umysłowo syn nie mógł wchodzić i wychodzić ze swej izdebki, kiedy zechce. Waliłam pięściami w mur, nawoływałam ściszym głosem Johna, lecz nie doczekałam się żadnego odzewu.

Stałam tedy wobec nowej, straszliwej przeszkody. strzegłam przecież Johna, by nie próbował wchodzić do pokoju, póki nie usłyszy mojego sygnału. Byłam wówczas przekonana, że potrafię wpuścić ich od wewnątrz, ale nic z tego nie wyszło i teraz John z Dickiem siedzieli w celce na dole, daremnie wyczekując jakiegoś znaku. Przybliżywszy twarz do ściany, wołałam tak głośno, jak tylko się odważyłam: „John! John!”, szybko jednak odgadłam z rozpaczą w sercu, że mój głos przenigdy nie przebije się przez tak grube mury. Wtem na korytarzu rozległy się kroki, więc opuściłam tkaninę i przetoczyłam się pod okno,

stwarzając pozór, że wyglądam na dziedzinię. Z przyległego pokoju dobiegły mnie jakieś hałasy, a po chwili ktoś mocno zapukał do wewnętrznych drzwi.

- Proszę wejść! - zawołałam.

Naprawione naprędcie drzwi rozwarły się tak gwałtownie, że omal nie wypadły z zawiasów, i w progu stanął sam lord Robartes w towarzystwie oficera. Przytowardzili ze sobą Franka Penrose'a ze związanyimi z tyłu rękami.

- Przepraszam za to wtargnięcie - rzekł lord Robartes - ale przed chwilą znaleźliśmy na gruntach Menabilly tego oto człowieka. Przekazał nam ciekawe informacje, do których i wy, pani, dodacie zapewne parę słów.

Zerknęłam na półprzytomnego ze strachu Franka. Toczył wokoło rozbieganym wzrokiem niczym zaszczuty zając i co chwila oblizywał wargi. Sama nie odezwałam się ani słowem, czekając, co mają do powiedzenia nasi prześladowcy.

- Podobno aż do dzisiejszego dnia trzymaliście u siebie syna Skelluma Grenville'a oraz jego guwernera. Kilka godzin temu mieli popłynąć łodzią rybacką do St Mawes. Jak zrozumiałem, jesteście, pani, chrzestną matką chłopaka i jego opiekunką. Gdzie oni teraz są?

- Mam nadzieję, że już za Dodman.

- Powiedziano mi, że gdy łódź wypływała z Polkerris, chłopca w niej nie było i ten tu Penrose z Johnem Rashleighem udali się na poszukiwania. Moi ludzie odnaleźli jednak tylko Penrose'a. Czy wiecie, się stało z pozostałymi?

- Nie wiem - odrzekłam. - Myślę, że mimo wszystko są na pokładzie łodzi.

- Ale wiadomo wam, że na głowę Skelluma Grenville'a wyznaczono wysoką cenę. Pomoc w ucieczce jemu samemu



lub komuś z jego rodziny parlament traktuje jako zdradę stanu. Hrabia Essex wydał mi ścisłe rozkazy w tej sprawie.

- Skoro tak, powinniście pilniej strzec pani Denys. Na pewno wiecie, iż jest ona siostrą Richarda Grenville'a.

Tego sztychu się nie spodziewał i na chwilę zapomniał języka w gębie. Zaczął bębnić palcami po stole, wyraźnie zirytowany.

- Pani Denys, jak wiem, nie przyjaźni się specjalnie ze swym bratem - powiedział sztywno. - Natomiast jej nieboszczyk mąż, pan Antony Denys, był znanym zwolennikiem parlamentu i wrogiem Karola Stuarta. Czy nie powiecie mi nic więcej o swym chrześniaku?

- Zupełnie nic, poza tym, iż mocno wierzę, że przebywa w tej chwili na łodzi rybackiej, która przy pomyślnym wietrze powinna znajdować się teraz w połowie drogi do St Mawes.

Odwrócił się do mnie tyłem i wyszli obaj, ciągnąc za sobą nieszczęsnego Franka. Odetchnęłam z ulgą, bo ten ostatni, podobnie jak reszta domowników, nie miał pojęcia, co się stało z Dickiem. Moja bajeczka, że chłopak z Johnem są daleko na morzu, mogła mu się wydać zupełnie prawdopodobna. Teraz w całym Menabilly tylko ja jedna znałam sekret przypory, gdyż rządca Langdon wyjechał do Launceston z moim szwagrem. Niezmiernie pomyślna to okoliczność, dzięki której można było wykluczyć zdradę. Nadal jednak łamałam sobie głowę, jak nakarmić i napoić dwóch zbiegów, przeze mnie samą uwięzionych. Doszła do tego jeszcze inna obawa, bo wciąż dźwięczały mi w uszach słowa mego szwagra: „...brak świeżego powietrza i ciasnota szybko doprowadzały go do utraty przytomności”. Stryj John walczący o oddech w dusznej izdebce... Ile właściwie powietrza napływało tam z tunelu? Na ile godzin go

wystarczało?

Już drugi raz w ciągu tego dnia pot zaczął mi spływać po twarzy. Ocierałam go ręką, prawie nie wiedząc, co robię. Poczułam się pokonana. Nie widziałam przed sobą żadnej drogi wyjścia. Szmery za ścianą i płacz dziecka wskazywały, że Joan już się wprowadziła i rzeczywiście po chwili przyszła do mnie z popłakującą Mary na ręku i Jonathanem uczeptionym spódnicy.

- Czemu się przeniosłaś, droga Honor? - spytała. - To wcale nie było konieczne. - Podobnie jak Matty rozglądała się ciekawie po izdebce. - Bardzo tu pusto i zwyczajnie... Nie widzę niczego cennego. To dobrze, gdyż inaczej ci brutalnie wszystko by zabrali. Honor, wróć, proszę, do siebie, jeśli tylko wytrzymasz z dziećmi.

- Nie, nie. Tu mi dobrze.

- Wydajesz się taka zmęczona i smutna, ale przysięgłabym, że i ja nie wyglądam lepiej. Przez ostatnie dwie godziny przybyło mi chyba z dziesięć lat. Co oni z nami zrobią?

- Nic, jeśli nie będziemy wychodzić z pokoi.

- Ach, żeby tylko John wrócił! - westchnęła ze łzami w oczach. - Może wciągnięto go w jakąś potyczkę na drodze? Może jest ranny? Zupełnie nie rozumiem, co się z nim stało.

Dzieci wyczuły zdenerwowanie w jej głosie i zaczęły marudzić. Matty, która je uwielbiała, wzięła malutką, żeby ją rozebrać na noc, i próbowała ją zabawić. Ale z Jonathanem nie poszło tak łatwo. Niecierpliwy, jak to mały chłopczyk, dręczył nas uparcie pytaniami. Dlaczego mają mieszkać w pokoju cioci Honor? Co to za żołnierze? Jak długo zostaną?

Godziny wlokły się bez końca w straszliwej nudzie. Słońce zapadło już za drzewa w parku, powietrze było duszne i gęste od dymu licznych ognisk.

Z dołu wciąż dobiegał tupot nóg. Padały rozkazy, przeprowadza konie, od czasu do czasu odzywała się natrętna trąbka, której wtórowała druga, czasem tuż pod oknami. Dzieci nie mogły zasnąć, wierciły się niespokojnie w łóżeczkach i wołały to Matty, to mamę. Joan, jeśli ich akurat nie uciszała, tkwiła przy oknie i z płonącymi oburzeniem policzkami donosiła o coraz to nowych spustoszeniach.

- Spędzili całe bydło z pastwisk i obór do parku! Zaganiają woły do oddzielnej zagrody...

- Ach! - krzyknęła z niesmakiem. - Już trzy zarżnęli. Właśnie ćwiartują je przy ogniskach. A teraz pędzą owce.

Rzeczywiście słyszałyśmy trwożne beczenie owiec i upartych jagniątek, oraz porykiwanie bydła. Pomyślałam o pięciu setkach żołnierzy obozujących w parku i o tym, ile żywności pochłoną wraz z setkami swych towarzyszy stłoczonych między Menabilly a Lostwithiel, wolałam to jednak przemilczeć. Jnan zamknęła okno, bo w pokoju było już gęsto od dymu, a i wrzaski żołnierzy mocno nam dokuczyły. Po słońcu została na niebie tylko purpurowa smuga, cienie z wolna się wydłużały.

O wpół do dziewiątej Matty wniosła talerz z dwoma kawałkami placka i karafkę wody. Wargi miała ponuro zacisnięte.

- To porcja dla obu pań - oznajmiła. - Pani Rashleigh i lady Courtney dostały tyle samo. Lady Courtney warzy bulion dla dzieci, na wypadek gdyby na śniadanie nie dali nam jajek.

Obie porcje zjadła Joan, bo ja nie miałam ochoty. Mogłam myśleć tylko o jednym, że jej mąż i syn Richarda siedzą od pięciu godzin w zamknięciu. Matty przyniosła świece, a niebawem przyszły Alice i Mary, żeby życzyć nam dobrej nocy. Biedna Mary, z podkrążonymi oczami,

wyglądała po tych wszystkich przeżyciach jak staruszka.

- Wycinają drzewa w sadzie - oświadczyła ze smutkiem. - Widziałam na własne oczy, jak piłowali gałęzie i otrząsali ledwie zawiązane owoce. Napisałam do lorda Robartesa, ale nie odpowiedział. Żołnierze zawiadomili służbę, że jutro idą żąć zboże. Ogołocą osiemnaście akrów pola z jęczmienia i zbiorą pszenicę z Great Meadow. A przecież żniwa powinny się zacząć dopiero za trzy tygodnie!

Odwróciła się do Joan z twarzą zalaną łzami.

- Dlaczego nie ma Johna? - spytała z niedorzecznym wyrzutem w głosie. - Czemu go zabrakło akurat wtedy, gdy trzeba bronić rodzinnego gniazda?

- Gdyby nawet był, nic by to nie pomogło - odpowiedziałam szybko, nim Joan zdążyła się odciąć. - Mary, czy ty nie rozumiesz, że jest wojna? Takie rzeczy dzieją się w całym kraju, a my, w Kornwalii, mamy zaledwie przedsmak tego, co dopiero nas czeka.

Nie skończyłam jeszcze mówić, gdy na zewnątrz rozległ się potężny ryk śmiechu, a płomienie strzeliły aż do okien. Nasi goście piekli sobie wołu na polance nad królikarnią, a że nie chciało im się zbierać chrustu, wrzucili do ognia drzwi od mleczarni i piekarni.

- Chyba ze trzydziestu oficerów siedzi przy obiedzie w galerii - powiedziała cicho Alice. - Widziałyśmy z okien, jak spacerowali potem po tarasie. Było wśród nich kilku Kornwalijszyków - pamiętam ich jeszcze sprzed wojny.

- Podobno hrabia Essex jest w Fowey - dodała Joan - a główną kwaterę założył w Place. Ale nie wiemy, czy to prawda.

- Trefrysowie nie ucierpią - zauważyła Mary z goryczą. - Za dużo ich krewnych walczy po stronie rebeliantów. Nikt nie splądruje spiżarni i składów Bridget.

- Chodźmy spać, mamó - odezwała się łagodnie Alice.  
- Honor ma rację, narzekanie nic nie pomoże. Na szczęście dotąd los nas oszczędził, a jeśli ojciec i Peter są bezpieczni w wojsku króla, to nic więcej nie jest ważne.

Udały się do swych pokoi, a Joan poszła do dzieci. Matty, całkowicie świadoma moich obaw, pomogła mi się rozebrać.

- A jednak odkryłam dzisiaj coś ciekawego - oznajmiła ponuro, szcزتkując mi włosy.

- Co takiego, Matty?

- Ze pani Denys nadal gustuje w mężczyznach.

Milczałam, czekając na dalszy ciąg.

- Wszystkie panie dostały na kolację placek, jednak pani Denys zanesiono pieczeń i burgunda, a na tacy były nakrycia dla dwóch osób. Dziewczynki jadły kurczaka, ale osobno, w gotowalni.

Zrozumiałam, że wścibski nos Matty i jej nawyk podsłuchiwania mogą się nam dobrze przysłużyć w najbliższych dniach.

- A któż byt szczęśliwym towarzyszem przy stole pani Denys? - spytałam.

- Sam lord Robartes - oznajmiła z cierpką satysfakcją.

Moje pierwsze podejrzenie zamieniło się w pewność. To nie przypadek sprowadził Gartred do Menabilly po dwudziestu pięciu latach. Zjechała tutaj w jakimś celu.

- Lord Robartes to nieszeptny mężczyzna. Może i ja go zaproszę kiedyś na kawałek zimnego placka.

Matty prychnęła i przeniosła mnie na łóżko.

- Chciałabym wówczas widzieć minę sir Richarda!

- Sir Richard nie miałby nic przeciwko temu, jeśli tylko mógłby na tym coś zyskać.

Mówiłam lekkim tonem, ale daleko mi było do

beztroski. Matty zdmuchnęła świece i odeszła, leżałam na wznak z nerwami napiętymi jak postronki. Płomienie za oknem pogasły, wrzaski i śmiech stopniowo milkły, podobnie jak tupot nóg, odgłosy koni i nawet ta okropna trąbka. Zegar na wieży wybił dziesiątą, potem jedenastą, wreszcie północ. Mieszkańcy domu oraz ich wrogowie uspokoili się i ucichli. Kwadrans po północy w oddali zaskowyczał pies i nagle, jak na dany sygnał poczułam na twarzy zimny powiew. Usiadłam na łóżku i czekałam. Powiew nie ustawał, wydobywał się spod rozdartej tapiserii na ścianie.

- John! - szepnęłam. - John!

Za zasłoną coś się poruszyło. Usłyszałam jakby chrobot myszy Wolno, ostrożnie zza materii wysunęła się ręka, podniosła tkanunę i ktoś na czworakach podpełzł do mego łóżka.

- To ja, Honor - szepnęłam.

Poczułam lodowaty dotyk jakby żaby i nagle objęły mnie kurczowo czyjeś ramiona, a do łóżka wgramoliła się ciemna postać i legła obok mnie, drżąc na całym ciele.

Był to Dick - cały przemarznięty, w mokrym, oblepiającym ciało ubraniu. Ze strachu i wyczerpania zaczął cicho płakać i długo nie mógł się uspokoić. Tuliłam chłopca do siebie, starając się go rozgrzać, a kiedy wreszcie ucichł, zapytałam:

- Gdzie jest John?

- W tej izdebce na dole. Siedzieliśmy tam, czekając, godzina po godzinie, ale nie przyszłaś. Chciałem zawrócić, lecz pan Rashleigh mi nie pozwolił. - Znów zaczął łkać, więc narzuciłam mu kołdrę na głowę. - On zemdłał na tych schodkach - ciągnął syn Richarda. - Leży tam jeszcze, z głową opartą na rękach. Znalazłem sznur, który zwisał nad schodkami, i pociągnąłem. Wtedy kamień się odsunął i

odsłonił to wejście. Było mi wszystko jedno, nie usiedziałbym tam dłużej, w tej norze jest ciemno jak w grobie.

Nadal dygotał z twarzą ukrytą na mym ramieniu. Leżałam cicho, zastanawiając się, co robić. Czy mam obudzić Joan i zdradzić sekret, poczekać, aż Dick się uspokoi i wysłać go ze świecą na pomoc Johnowi. Kiedy tak czekałam z bijącym niespokojnie sercem, łowiąc uchem każdy szmer, usłyszałam na korytarzu ciche kroki. Ktoś poruszył klamką, ale zaraz ją puścił, przekonawszy się, że drzwi są zamknięta kluczem. Po chwili kroki się oddaliły, wraz z towarzyszącym im szelestem sukni. A więc osobą, która zakradała się nocą pod moje drzwi, była kobieta.

Leżałam nieruchomo, tuląc w ramionach śpiącego chłopca. Zegar na wieży wybił pierwszą, potem drugą, trzecią...

Gdy tylko przeniknęły do pokoju pierwsze smugi szarego światła, zbudziłam Dicka, który spał jak niemowlę z głową na moim ramieniu. Ledwie zamrugał powiekami i nieco oprzytomniał. kazałam mu wziąć świecę i wracać do celki. Okropnie się bałam, że John zemdłał z braku powietrza, a ponieważ i tak nie był zbyt tęgiego zdrowia, wszystko mogło się zdarzyć. Nigdy, przez całe piętnaście lat kalectwa, nie potrzebowałam nóg tak bardzo jak w owej chwili, ale nic na to nie mogłam poradzić. Dick szybko wrócił, a jego wymizerowana twarzyczka wydała mi się w szarym brzasku wręcz upiornie blada.

- Jest przytomny - rzekł - ale chyba bardzo chory. Cały dygocze i nie wie, co się stało. Czoło ma rozpalone, chociaż ręce zimne.

Ogarnęła mnie fala wdzięczności. Przynajmniej żyje! Z opisu Dicka szybko wywnioskowałam, co się stało. Febra, ta przeklęta choroba, która dręczyła Johna od urodzenia, przypuściła kolejny okrutny atak - i nic dziwnego, po tylu godzinach zamknięcia w zimnym lochu. Dęczyje podjęłam w mgnieniu oka. Poleciałam Dickowi, żeby przysunął mi fotel i pomógł się na nim usadowić. Potem podjechałam do wewnętrznych drzwi i bardzo cicho zawołałam Matty. Joan odpowiedziała c sennie, a jedno z dzieci się poruszyło.

- Nic, nic - uspokoiłam ją. - Chcę tylko Matty.

Po chwili z małej gotowalni wynurzyła się poczciwa, okrągła twarz pod nocnym czepkiem. Pewnie ofuknęłaby mnie za to, że wstałam, gdbym nie położyła palca na ustach. Sytuacja była tak nagląca, że musiałam do końca złamać słowo dane szwagrowi, chociaż i tak niewiele zostało z



tajemnicy. A bez Matty nie mogłabym sobie poradzić. Przyszła, więc i wytrzeszczyła oczy na widok Dicka.

- Kochasz mnie, Matty, prawda? - zaczęłam. - Więc najwyższy czas, abyś mi to udowodniła. Bezpieczeństwo i życie tego chłopca są naszych rękach.

Pokiwała milcząco głową.

- Dick z panem Johnem ukrywają się od wczoraj. W tym murze są schody, a na dole izdebka wbudowana w przyporę. Pan Jon jest chory. Chcę, żebyś go tutaj przyprowadziła. Dick wskaże ci drogę.

Chłopiec odsunął tapiserię i dopiero teraz zobaczyłam, jak wyglądało wejście. Kamienny blok, o powierzchni chyba czterech stóp kwadratowych, osadzono na zawiasach. Poruszało się go za pomocą dźwigni, jeśli na dole ktoś pociągnął za sznur. Powstawał w ten sposób otwór dostatecznie szeroki, by człowiek mógł się prześliznąć. Po zamknięciu kamień przylegał tak szczelnie, że od strony pokoju nie można było niczego zauważyć. Pchanie bloku nic nie dawało, bo z tyłu trzymała go dźwignia. Wąskie schodki schodziły spiralnie do celki, która miała tylko tyle wysokości, by dorosły człowiek mógł się wyprostować. Więcej nic z mego fotela nie widziałam, poza ciemnym kształtem skulonym na dolnym stopniu - zapewne Johnem.

Było coś upiornego w tej scenie: przez szyby sączyło się szare światło, Komiczna postać Matty w nocnej koszuli i czepku przeciska się przez otwór w murze... Ledwie zdążyła zniknąć razem z Dickiem, gdy w parku zabrzmiał pierwszy dźwięk trąbki i dla rebelianckiego wojska zaczął się dzień. Niebawem pobudzą się śpiący w domu oficerowie i zostanie nam niewiele czasu. Pewnie upłynął kwadrans, zanim cała trójka dotarła bezpiecznie na górę, chociaż mnie się to wydało godziną. W tym czasie rozwidniło się na dobre, a na

dziedzińcu zaczęli się kręcić żołnierze. John był całkiem przytomny, dzięki Bogu, odzyskał też jasność umysłu, chociaż trząsał się w wysokiej gorączce i nadawał się tylko do leżenia w łóżku pod czułą opieką żony. Odbyliśmy błyskawiczną naradę, podczas której upierałam się twardo przy jednym: nikt, nawet Joan i Mary, nie może się dowiedzieć, w jaki sposób przedostał się do domu i że nadal jest z nami Dick.

John miał mówić, że łódź rybacka zawinęła do jednej z zatoczek poniżej Gribben, gdzie osobiście wsadził Dicka na pokład. Wracając polami do domu, zauważył przybycie żołnierzy i aż do wieczora przesiedział w ukryciu. Kiedy poczuł, że zbliża się atak febry, postanowił jednak przedostać się do domu i wspiał się do dawnego pokoju ojca po ołowianej rurze i bluszczu, który porastał południową fasadę domu. Wobec tego należało przeprowadzić go do tegoż pokoju, obudzić śpiącą tam Mary i namówić ją do przyjęcia tej wersji. I to natychmiast, zanim pobudzą się domownicy. Iście szatański plan, zważywszy, że w sąsiednim pokoju, przez który John musiał przejść, spała jego żona. Gdyby wybrał drogę przez korytarz pod wieżą, ryzykowałby spotka ze służbą albo z żołnierzami. Matty poszła przodem, a że ani Joan, ani dzieci się nie poruszyły, uznaliśmy ich za śpiących. Za nią przemknął biedny, trawiony gorączką John. Przypomniało mi to zabawę w chowanego z moim rodzeństwem w Lanrest, teraz jednak nie czułam ani odrobiny dawnego, dziecięcego zapału, tylko mdłości i ściskanie w dołku. Zimny pot zalewał mi czoło. Wreszcie Matty wróciła, oznajmiając, że John bezpiecznie dotarł do sypialni swego ojca i w ten sposób dobiegł końca pierwszy etap. Następny krok polegał na oznajmieniu Dickowi z całą surowością, (której absolutnie nie czułam), że wprowadzie pozostanie przy mnie,

ale będzie musiał spędzać długie godziny w sekretnej celce, a nawet sypiać tam na specjalnie przygotowanym pościeliu, na wypadek gdyby u mnie przesiadywali goście.

Rozpłakał się od razu, jak przewidywałam, błagając mnie na wszystko, bym go nie skazywała na samotność w ciemnej skrytce. On tego nie wytrzyma, zwariuje albo umrze.

- No dobrze - odparłam. - Otwórz drzwi, Matty, i zawołaj żołnierzy. Powiedz im, że syn Richarda Grenville'a jest tutaj i życzy sobie zdać się na ich łaskę. Mają ostre miecze, nie będzie bolało.

Niech dobry Bóg mi wybaczy, że tak nastraszyłam biedaka, ale na prawdę nie miałam wyboru.

Wzmianka o mieczach musiała mu nasunąć myśl o krwi, bo pobladł silnie (wiedziałam, że tak będzie), a potem spojrzął na mnie z rozpaczą w ciemnych oczach i rzekł potulnie:

- Dobrze, zrobię to, czego żądasz.

Ciemne oczy... Te same, które prześladują mnie do dziś i nie przestaną, aż po kres moich dni.

Kazałam Matty zdjąć materac z mego łóżka, zabrać stółek spod okna i wraz z kilkoma kocami wsunąć to wszystko na schodki.

- Jeśli nie będzie żadnego niebezpieczeństwa, zaraz dam ci znać.

- Ale jak - spytał Dick - skoro otwór będzie zamknięty?

Znów stanął przede mną nierozwiązany problem z wczorajszej nocy. O mało nie rozpłakałam się z bezradności i zdenerwowania. Spojrzałam z rozpaczą na Matty.

- A gdyby tak nie do końca zasunąć kamień? - zaproponowała. - Gdyby zostawić małą szczelinę? Wówczas panicz Dick, przyłożywszy ucho do ściany, na pewno

panienkę usłyszy.

Zaraz przeprowadziliśmy próbę i chociaż niezbyt mi się ten plan podobał, wydawał się jedynym rozwiązaniem. Okazało się, że przy trzycalowej szparze Dick słyszy, jak uderzam laską w podłogę - raz, dwa albo i trzy stuknięcia. Ustaliliśmy, więc sygnały - trzy uderzenia oznaczały, że niebezpieczeństwo jest poważne i trzeba natychmiast dosunąć kamień.

Kiedy zegar wybił szóstą, Dick zszedł do swej samotni z materacem, kocami i połową chleba, który Matty dlań znalazła. Ledwie zdążył zniknąć, gdy do pokoju wpadł mały Jonathan z zabawkami pod pachą, głośno domagając się wspólnej zabawy. I tak zaczął się ten dzień. Kiedy dziś wspominam nieznośne napięcie i ból tamtych czasów, zastanawiam się, skąd, na Boga, znalazłam w sobie siłę, by to wszystko wytrzymać. Ciągle musiałam się pilnować - nie tylko wobec rebeliantów, ale wobec przyjaciół i tych, których kochałam. Mary, Alice i Joan nie miały prawa wiedzieć, co się dzieje, a ich wizyty w moim pokoju nie przynosiły pociechy, jak należało się spodziewać w tych trudnych czasach, tylko powiększały niepokój.

Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie Matty. To ona, pełniąc jak dawniej rolę strażnika, trzymała gości z daleka, kiedy był u mnie Dick, a trzeba przyznać, że biedaczek zajmował mi dużo czasu i to w najlepszej porze dnia. Na szczęście moje kalectwo stanowiło doskonały pretekst. Wszyscy wiedzieli, że w przeszłości miewałam „złe dni” i nikogo wtedy nie chciałam widzieć. Teraz to kłamstwo stało się moją ostatnią deską ratunku. Historyjkę Johna uznano za w pełni prawdziwą, a ponieważ rzeczywiście był chory i miał wysoką gorączkę, pozwolono mu pozostać w pokoju ojca pod opieką Joan i nie przeniesiono do

ściślejszego aresztu pod strażą. Surowe przesłuchanie przez dowódcę bynajmniej Johna nie załamało, a sam lord Robartes miał. Bogu dzięki, zbyt dużo kłopotów na głowie, by martwić się o losy syna Skelluma Grenville'a.

Pamiętam, że owego pierwszego dnia - w piątek, drugiego sierpnia - Matty zadała mi pytanie:

- Jak długo będą tu siedzieć, panienko Honor? Kiedy wojsko królewskie przyjdzie nas wyzwolić?

A ja, wiedząc, że Richard jest w Truro, a król wkracza właśnie - jak wieśćniosła - do Launceston, odrzekłam:

- Najwyżej cztery dni.

I byłam w błędzie, gdyż rebelianci panoszyli się u nas przez całe cztery tygodnie. Minęło niemal dziesięć lat od sierpnia 1644 roku, ale każdy dzień tego trwającego chyba wiek miesiąca mam do dziś wyryty w pamięci.

Pierwszy tydzień był upalny i duszny, bez jednej chmurki na błyszczącym błękitnym niebie. Jeszcze dziś czuję w nozdrzach odór końskiego i żołnierskiego potu, buchający w moje otwarte okno z cuchnącego dziedzińca.

Dzień po dniu towarzyszyło mi pobrzękiwanie upręży, tupot końskich kopyt i żołnierskich butów, skrzypienie kół od wozów. Ponad wrzaski komend i gwar męskich głosów ciągle wybijał się ów natrętny wszechobecny dźwięk trąbki, wygrywającej swą jedyną nutę.

Dzieci, nieprzyzwyczajone do stałego przebywania w domu w upalne, letnie dni, wychylały się to z jednego, to z drugiego okna, kaprysząc i powiększając ogólny harmider. Alice, która przejęła pieczę nad wszystkimi latoroślami (gdyż Joan pielęgnowała chorego męża w zaciszu południowej części budynku), zabierała je dla rozrywki do różnych pokoi. Uwięzienie sprawiło, że stosunki między domownikami stały się serdeczniejsze, toteż Alice z dziećmi wychodziła ode

mnie dopiero wtedy, gdy zjawiały się siostry Sparke, które dotąd wołały warcaby od n towarzystwa. Teraz chętnie znosiły mi różne plotki, zasłyszane od przerażonej służby. Dowiadywałam się, więc, że dwór ma być spalony z mieszkańcami, gdy tylko Essex wyda takowy rozkaz, ale najpierw rebelianci będą gwałcić kobiety. Sadze, że byłam w tym domu jedną kobietą, która nie przejęła się ową groźbą, gdyż Bóg świadkiem, iż nikt nie mógłby wyrządzić mi większej krzywdy niż ta, która już stała się mym udziałem. Ale Debora i Gillian to całkiem, co innego. Debora, chociaż uważałam ją za bezpieczniejszą nawet ode mnie, drżącymi rękami wyjęła z włosów długą srebrną szpilkę, którą zamierzała bronić swej cnoty. Will, ich brat, zajął wobec oficerów postawę oślizłego pochlebcy gdyż uroiło mu się w głowie, że jeśli będzie pozdrawiał okupantów i grzeczniutko się uśmiechał, zyska ich względy, a sobie zapewni bezpieczeństwo. Ale gdy tylko znikali mu z oczu, wygadywał o nich najgorsze rzeczy i powtarzał strzępki zasłyszanych rozmów, niestety zupełnie nieprzydatnych. Parę razy przyczłapał do mnie, wsparty na dwóch laskach, Nick Sawle, półprzytomny, z ponurym, urażonym spojrzeniem. Nie mógł pojąć, dlaczego rebelianci nie uciekli z Menabilly następnego dnia po przybyciu, musiałam też słuchać jego zawiłych tłumaczeń. Król, jego zdaniem, miał się znajdować już to w Liskeard, już to w Launceston, albo też z powrotem w Exeter, ale od owych supozycji kres naszej niewoli wcale nie wydawał się bliższy. Kiedy Nick dowodził swych racji, Temperance wpatrywała się weń tępym wzrokiem, jak w transie. Ostatnio strach i szok ograniczyły jej religijną elokwencję. Wprawdzie nadal zaciskała kurczowo palce na książce do nabożeństwa, przestała jednak zasypywać nas cytatami.

Raz dziennie pozwalano nam wychodzić na pół godziny do ogrodu. Pod pierwszym lepszym pretekstem zostawiałam Matty w pokoju, prosząc Alice o popychanie fotela, kiedy piastunka spacerowała z dziećmi. Nieszczęsne ogrody były mocno zdewastowane - żołnierze połamali cisy i zdeptali rabatki. Chodziliśmy tam i z powrotem po zabłoconych ścieżkach pod czujnym okiem straży przy bramie i oficerów stojących w oknach galerii. Od ich taksujących, wrogich spojrzeń paliły nas karki, musieliśmy wszakże je znosić, gdyż bardzo nam brakowało świeżego powietrza. Czasem słyszeliśmy śmiech i głosy żołdaków - twarde, o nieprzyjemnym brzmieniu. Pochodzili przeważnie z Londynu i wschodnich hrabstw, z wyjątkiem sztabowych oficerów lorda Robartesa. Londyńska mowa, której nie cierpiałam, wydała mi się teraz jeszcze wstrętniejsza i bardziej nienawistna. Podczas owych przechadzek nigdy nie widywaliśmy Gartred, chociaż jej córeczki bawiły się w końcu ogrodu. Zachowywały się bardzo powściągliwie i nieprzyjaźnie, obserwując spode łba nas i nasze dzieci. Żadna z dziewczynek nie odziedziczyła po matce urody, obie miały ciemne włosy i ciężkawe figurki jak ich nieboszczyk ojciec, Antony Denys.

Nie wiem, co o tym myśleć - szeptała mi w ucho Alice. - Wydaje się, że Gartred jest tak samo uwięziona jak my, a jednak traktują ją inaczej. Widziałam z okna, jak przechadzała się po tamtym ogrodzie otoczonym murem, poniżej pawilonu. Rozmawiała z lodem Robartesem, wesoła, uśmiechnięta... Służba mówi, że prawie codziennie jadają razem wieczerzę.

- Wiele kobiet zachowuje się podobnie w czasie wojny. Wykorzystują męskie słabości do własnych celów.

- Sądzisz, że ona popiera parlament?

- Nie popiera ani parlamentu, ani króla, tylko Gartred Denys. Znasz takie porzekadło: „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek”? Będzie się mizdrzyć do lorda Robartesa, a może czasem z nim legnie, ale tylko dopóki jej to odpowiada. Pozwoliłby jej odjechać choćby jutro, gdyby go poprosiła.

- Więc czemu tego nie zrobi i nie wróci bezpiecznie do Oriey Court?

- Ba! Dużo bym dała, żeby się tego dowiedzieć.

Kiedy tak spacerowałyśmy tam i z powrotem pod obstrzałem wrogich spojrzeń, przypomniały mi się kroki, które słyszałam nocą, ostrożne poruszenie klamką i szelest sukni. Po co Gartred przemykała się po omacku na drugi koniec domu, kiedy wszyscy dawno spali? Czemu próbowała otworzyć moje drzwi? Widać dobrze znała drogę, więc, o co jej chodziło?

Odpowiedź na to pytanie poznałam po dziesięciu dniach.

W niedzielę jedenastego sierpnia po raz pierwszy popsuła się pogoda. Słońce świeciło słabo przez zamglone niebo, a na południowym zachodzie zebrały się chmury. Przez cały dzień w domu panował ruch, w parku pojawiły się nowe regimenty, a wraz z nimi wozy pełne rannych, których przenoszono do budynków gospodarczych. Rozpaczliwe ich krzyki, tak bardzo prawdziwe i przejmujące, nawet nas, wrogo przecież nastawionych, napełniały przerażeniem. Nawoływania i rozkazy wydawane gromkim głosem nie milkły od świtu do zmierzchu, podobnie jak dźwięki trąbki.

Po raz pierwszy na obiad otrzymaliśmy tylko zupę z kawałki czerstwego chleba. Teraz, jak nam zapowiedziano, nie powinniśmy oczekiwać niczego więcej. Nie podano żadnego powodu, ale Matty, która miała dobre ucho, póty kręciła się z tacą koło kuchni, póki nie podsłuchiwała paru



plotek z dziedzińca.n

- Wczoraj na Braddock Down była bitwa. Ponoć stracili mnóstwo ludzi.

Mówiła niemal szeptem, oglądając się na drzwi. Wszyscy przywykliśmy do ściszenia głosu, bo w Menabilly nawet ściany miały uszy.

Wlałam część mojej zupy do miseczki Dicka i patrzyłam, jak łapczywie ją pije, wylizując brzegi do ostatniej kropli niczym wygłodzony piesek.

- Podobno król jest tylko o trzy mile od Lostwithiel - ciągnęła Matty. - Połączył się z księciem Maurycym i w Boconnoc założyli główną kwaterę. Sir Richard z prawie tysiącem ludzi ciągnie z Truro i podchodzi Bodmin od zachodu. Jakiś żołnierz w kuchni powiedział: „Wasi próbują wycisnąć z nas wszystkie soki niczym z jakiejś sakramenckiej pomarańczy, ale im się nie uda”.

- A co ty na to? - spytałam.

Uśmiechnęła się krzywo i ukroiła Dickowi wielką pajdę chleba.

- Że się za niego pomodłę, kiedy wpadnie w łapy sir Richarda.

Po posiłku siedziałam w fotelu, patrząc na park. Coraz gęściejsze chmury pędziły po niebie z zawrotną szybkością. W zagrodzie z pięknego stada byków został najwyżej tuzin, reszta poszła pod topór. Z owcami było nie lepiej. W ciągu następnych dwóch dni i te zwierzęta wyrżnięto. Na polach nie zostało się nawet jedno źdźbło zboża. Trawę w parku szczerlnie wyskubały konie, a czego nie zjadły, to stratowały. W sadzie za królikarnią żołnierze wycięli wszystkie drzewa. Jeśli w plotkach Matty było choć trochę prawdy i król z Richardem wzięli rebeliantów w dwa ognie, to lord Essex cisnął się teraz z dziesięcioma tysiącami ludzi na wąskim skrawku ziemi bez

możliwości odwrotu - chyba że przez morze.

Dziesięć tysięcy mężczyzn, a tu żywność się kończy, wokoło goła ziemia, od tyłu zaś następują trzy wrogie armie...

Tego wieczoru z dziedzińca nie dobiegał ani gwar, ani żołnierski rechot. Buzował tylko ogień podsycany drzewami z sadu, kuchennymi ławami, drzwiami od spiżarni i stołami z pokoju rządcy. W świetle strzelających w górę płomieni błyskały ponure twarze.

Niebo pociemniało i niebawem zaczął padać deszcz. Kiedy słuchałam szumu kropel, rozpamiętując słowa Richarda, pod drzwiami znów szeleściła suknia i ktoś zapukał.

Dick błyskawicznie zniknął w swej kryjówce, a Matty zabrała jego miseczkę i resztę nakrycia. Siedząc spokojnie w fotelu, plecami do tapiserii, poprosiłam gościa, by wszedł.

Była to Gartred. Nosiła, o ile dobrze pamiętam, szmaragdowozieloną suknię, na szyi i w uszach miała szmaragdy. Przystanąła na chwilę w progu z uśmiechem na twarzy.

- Poczciwa Matty! - rzekła na powitanie. - Zawsze taka oddana. Wierna służąca bardzo ułatwia życie, czyż nie?

Matty siąknęła nosem i zaciskając wargi w sposób niewróżący niczego dobrego, zaczęła z brzękiem zbierać naczyń.

- Czy nie przeszkadzam ci Honor? - spytała Gartred z tym samym przyklejonym uśmiechem. - Może to niezbyt stosowna pora, pewnie wcześniej się kładziesz?

Znaczenie wypowiedzianych słów tkwi w intonacji; to samo zdanie, kiedy przeleje się je na papier, wygląda zwyczajnie i nieszkodliwie. Przekazuję uwagi Gartred niemal dosłownie, ale nie sposób oddać zawołanej pogardy, drwiny, sugestii, że skoro jestem kaleką, muszę o dziewiątej leżeć pod kocami w ciemnym pokoju. To wszystko kryło się w jej głosie, kiedy wodziła po mnie uważnym spojrzeniem.

- Kładę się, kiedy zechcę, tak samo jak ty - odparłam. - Zależy to także od mego towarzystwa.

- Pewnie godziny okropnie ci się dłużą, ale chyba zdążyłaś się już przyzwycząić. Tak wiele lat żyjesz w zamknięciu, iż areszt domowy nie robi ci wielkiej różnicy. Muszę przyznać, że mnie ta sytuacja bynajmniej nie bawi.

Podeszła bliżej i rozejrzała się po pokoju, chociaż

wcale jej nie zapraszałam.

- Słyszałaś już nowinę, jak sędzę? - rzuciła lekko.

Że król jest w Boconnoc, a wczoraj rebelianci dostali w skórę? Tak, mówiono mi o tym.

Na oknie, na drewnianym talerzu leżała resztką owoców, zebranych jeszcze przed nadejściem wroga. Gartred wzięta figę i zabrała się do jedzenia, ciągle strzelając wokół siebie oczami.

Matty prychnęła gniewnie (na gościu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia), po czym zabrała tacę i wyszła z pokoju, obrzucając plecy przybyłej morderczym spojrzeniem.

- Jeśli to się przeciągnie - mówiła Gartred - wszyscy będziemy się mieli z pyszna. Ludzie już są w podłych nastrojach, a klęska może ich doprowadzić do furii.

- Bardzo możliwe.

Odrzuciła skórkę z figi i sięgnęła po następną.

- Richard jest w Lanhydrock, tak zeznał pewien jeńiec. Co za ironia losu, że właśnie dziedzic Lanhydrock nas tu przetrzymuje! Do końca kampanii mój brat oskubie go do cna, bez względu na to, kto zwycięży w bitwie. Jack Robartes wygląda jak chmura gradowa.

- Sam jest sobie winien. Po co radził hrabiemu Essexowi, żeby pchał się do Konrwalii i lał z dziesięcioma tysiącami ludzi prosto w pułapkę?

- Ach, więc to pułapka? A mój pozbawiony skrupułów braciszek wystąpił w roli przynęty? Wiedziałam, że coś w tym jest.

Nic nie odrzekłam, bo już i tak za dużo ode mnie wyciągnęła. Przecież po to właśnie tu przyszła.

- Cóż, zobaczymy - powiedziała, zajadając ze smakiem figę - ale jeśli ten stan się przeciągnie, rebelianci zaczną zjadać ludzi. Ogołocili już całą okolicę aż do Lostwithiel, a w

Fowey też brakuje żywności. Drzę na myśl, co Jack Robartes zrobi z Richardem, jeżeli go złapie.

- Zapewne to samo, co Richard z nim.

Zaśmiała się i wycisnęła sobie do ust ostatnią kroplę soku.

- Wszyscy mężczyźni są głupi - oświadczyła - a zwłaszcza podczas wojny. Tracą całą hierarchię wartości.

- To zależy od tego, co kto sobie ceni.

- Ja tam cenię tylko jedno: własne bezpieczeństwo.

- W takim razie mocno je zlekceważyłaś, puszczając się w podróż dziesięć dni temu.

Obserwowała mnie spod ciężkich powiek.

- Język ci jakoś nie stępał przez te lata - zauważyła z uśmiechem. - I mimo kalectwa wcale nie spuściłaś z tonu. Powiedz no, dalej zależy ci na Richardzie?

- To moja sprawa.

- Brać oficerska go nie znosi, na pewno o tym wiesz. Nienawidzą go tak w Kornwalii, jak i w Devonie. Właściwie do swych przyjaciół może zaliczać tylko wyrostków, którzy nie odważą mu się postawić. Ma świętę, która chodzi za nim jak cień.

Boże, Boże, że też nie ma kary na taką jędzę! Specjalnie wysuwa różne insynuacje, żeby mnie doprowadzić do szału.

- Biedna Mary Howard... - ciągnęła, bawiąc się pierścieniami, - Ileż musiała znieść! Oszczędziłaś sobie wielu zniewag, moja Honor, nie wychodząc za Richarda. Przypuszczam, że niedawno odegrał całe przedstawienie, wmawiając ci, jaki to jest stały w uczuciach. Pewnie zresztą naprawdę kocha cię na swój przewrotny sposób. To dość dziwny kaprys. Wybrać sobie kobietę, która nie może hm... odwzajemnić miłości... - Ziewnęła i podeszła do okna. - A

Dicka traktuje naprawdę okropnie. Biedny chłopiec uwielbia matkę, Richard zaś, jak rozumiem, trzyma go przy sobie po prostu na złość żonie. Co o nim sądzisz? Słyszałam, że był tu przez jakiś czas.

- Jest bardzo młody i wrażliwy, jak wiele dzieci w tym wieku.

- Dla mnie to cud, że w ogóle się urodził. Kiedy przypomnę sobie bulwersujące historie; które mi Mary opowiadała... Nie, nie, nie chcę ranić twych uczuć, skoro wciąż stawiasz Richarda na piedestale. Ciesz się ze względu na chłopca, że Jack Robartes go tu nie zastał. Poprzysiągł, iż powiesi każdego krewnego Richarda.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Ach, ja się nie liczę. Pani Denys z Orley Court to nie to samo, co Gartred Grenville. - Raz jeszcze przyjrzała się ścianie i zerknęła na dziedziniec. - Czy to w tym właśnie pokoju trzymano owego wariata? Pamiętam, jak stroił miny do Kita podczas naszej wizyty.

- Nie mam pojęcia. Nie rozmawiamy o tym w rodzinnym kółku.

- Wiem, że jest coś niezwykłego w budowie tego domu, ale nie pamiętam dokładnie, na czym to polega. Jakaś wbudowana szafa, gdzie go zamykano, kiedy miał atak szału... Kit mi coś wspominał, może] wiesz, gdzie to jest?

- Nie ma tu żadnej szafy, jest tylko tamta sekretera.

- Przykro mi, że przeze mnie musiałaś oddać swój pokój Joan Rashleigh. Mogłabym równie dobrze zamieszkać tutaj. Służąca mówiła, że ten pokój stał przedtem pusty.

- Ale chyba wygodniej ci w większym, gdzie możesz podejmować gości kolacyjkami.

- Zawsze lubiałaś kuchenne plotki, co? To ulubiona rozrywka wszystkich starych panien. Jak pomyślą, co się

dzieje za zamkniętymi drzwiami, zaraz mają lepszy apetyt.

- Nie wiem, czy bulion smakowałby mi lepiej, gdybym sobie wyobrażała ciebie z lordem Robartesem.

Zgarnęła suknię i zmierzyła mnie wzrokiem. Zastanawiałam się, w której z nas tkwi więcej nienawiści.

- Dzięki mnie uniknęliście przynajmniej poważniejszych przykrości. A Jacka Robartesa znam od wielu lat.

- To pilnuj, żeby się nie nudził. O nic więcej cię nie prosimy.

Wreszcie zaczęłam się dobrze bawić. Zauważywszy to, Gartred skierowała się ku drzwiom.

- Nie mogę obiecać, iż jego dobry humor potrwa dłużej. Dziś przy obiedzie był wściekły, bo dowiedział się, że Richard jest w Lanhydrock. Teraz wyjechał do Fowey na naradę sztabową z Essexem.

- Spodziewam się, że do jutra potrafisz go ułagodzić.

Stała z ręką na klamce, wodząc wzrokiem po obiciach ściennych.

- Jeśli poniosą klęskę, pewnie przestaną się patyczkować. Przegrany żołnierz to niebezpieczne zwierzę. Jack Robartes każe splądrować ; Menabilly i zrównać je z ziemią.

- Tak - szepnęłam. - Wiemy, że jest do tego zdolny.

- A wtedy zabiorą wszystko: ubrania, klejnoty, meble, żywność... Mieszkańców też pewnie nie oszczędzą. Ciekawy człowiek z tego twojego szwagra. Żeby tak opuścić dom, wiedząc, co może się stać...

Wzruszyłam ramionami. I wtedy, już na odchodnym, wreszcie się zdradziła.

- Czy nadal zajmuje się dostarczaniem srebra do mennicy?

Po raz pierwszy się uśmiechnęłam. Teraz pojęłam, co ją tu sprowadziło.

- Nie wiem. Ale jeśli doczekasz plądrowania domu, to może znajdziesz jakieś srebro, które, twoim zdaniem, trzymamy tu w ukryciu. Dobranoc, Gartred.

Przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, po czym wyszła. W końcu ją przejrzałam, chociaż pewnie zrobiłabym to wcześniej, gdyby tak bardzo nie pochłaniała mnie sprawa Dicka. Dla Gartred nie miało znaczenia, kto wygra kampanię zachodnią. Potrafiła dopilnować, żeby w porę znaleźć się po właściwej stronie. Mogła szpiegować tak dla jednych, jak i dla drugich. Teraz i ja, w ślad za Temperance Sawle, chętnie zacytowałabym Pismo: „Gdzie pada trup, tam krążą sępy”. Jeśli po bitwie zostaną do podziału jakieś resztki łupów, Gartred Denys nie będzie spokojnie czekać w Orley Court. Miałam jeszcze w pamięci jej pazerność przy podpisywaniu kontraktu małżeńskiego z Kitem. I gorączkowe poszukiwanie jakiejś zgubionej błyskotki w dniu wyjazdu z Lanrest. I plotki po śmierci jej drugiego męża, jakoby na Orley Court ciążył pokaźny dług, a cała majątność miała przejść na córki, gdy te dojdą do pełnoletności. Trzeciego męża Gartred dotąd nie znalazła, a przecież musiała z czegoś żyć. W tej sytuacji srebro Kornwalii to łakomy kąsek, gdyby tylko udało się je przechwycić.

I to właśnie stanowiło jej główny zamysł, a największe podejrzenie budził mój pokój. Nie знаła sekretu przypory, ale pamiętała, że w murach Menabilly znajduje się jakaś skrytka. Pomyślawszy trochę, szybko odgadła, jak mój szwagier wykorzystywał ją w czasie wojny, ale nie przyszło jej nawet do głowy, że moglibyśmy ukrywać tam Dicka. Nie spiskowała też - jak przypuszczałam - z lordem Robartesem. Prowadziła grę na własną rękę, a jeśli godząc się na romans,



mogła posunąć się dalej, to, czemu nie? Ostatecznie przyjemniej jest jadać pieczone i rozwodniony bulion, poza tym zawsze gustowała w mężczyznach potężnej postury. I gdyby uznała, że w pojedynkę nie dopnie upragnionego celu, wówczas wyłożyłaby karty na stół i niech się dzieje, co chce.

Tego właśnie należało się obawiać, lecz poza mną nikt w całym domu nie miał pojęcia, co się święci. Minęła niedziela jedenastego sierpnia, a rano rozpoczęliśmy nowy tydzień, podczas którego wszystko mogło się wydarzyć. Trzy armie rojalistów godzina po godzinie zacieśniały krąg wokół rebeliantów. Pozostał im tylko wąski pas ziemi, z każdym dniem coraz bardziej spustoszony, a nieustanne deszcze zmieniły wszystkie drogi w błoto.

Skończyły się upały, znikło błękitne niebo i słońce. Dzieci przestały wychylać się z okien, by słuchać dźwięków trąbki i przyglądać wchodzącym i wychodzącym oddziałom. Nie odbywaliśmy już naszych codziennych przechadzek pod oknami galerii. Po parku hulał porywisty wiatr. Przez szczelnie zamknięte okna patrzyłam na zasznurowane ociekające wodą namioty. Spętane konie, ustawione w rzędy pod drzewami, Pozwieszały smętnie łby, obok kulili się żołnierze pozbijani w grupki przy zamkniętych ogniskach. Wielu rannych, zakwaterowanych w budynkach gospodarczych, rozstało się już z tym światem. Mary widziała dużo takich milczących pogrzebów, na które wyruszano szarym świtem, kierując się ku dolinie Long Mead pod lasem w Pridmouth.

Nowych rannych już nie przywożono. Domyśliliśmy się, iż zła pogoda położyła kres walkom, ale doszły nas także słuchy, że królewska armia zajęła wschodni brzeg rzeki Fowey od St Veep do twierdzy w Polruan, zagradzającej wejście do portu. W ten sposób rebeliantów w Fowey odcięto

od ich floty na Kanale, a więc i posiłków od strony morza. Zostały im tylko małe łódki, które mogłyby przybić do Pridmouth czy Polkerris albo wylądować na płaskich plażach Tywardreath, co jednak uniemożliwiał teraz silny prąd od południowego zachodu. Z galerii nie obiegał już wesoły gwar ani śmiech, jak zauważyła Alice. Oficerowie z marszem na twarzach chodzili wciąż do jadalni, którą lord Robartes zagarnął na własny użytek. Często słyszeliśmy jego podniesiony, zirytowany głos, kiedy w ulewnym deszczu zjawiał się kolejny posłaniec z rozkazem od hrabiego Essea lub wieścią o kolejnej porażce. Czy Gartred chodziła swobodnie po domu, tego nie wiem. Alice uważała, że raczej siedzi w swoim pokoju. Rzadko widywałam teraz Joan, gdyż atak febry nadal męczył Johna, ale od czasu do czasu wpadała do mnie Mary z coraz posępniejszą miną, w miarę jak dowiadywała się o dalszych spustoszeniach w majątku. Zarżnięto już ponad trzy setki owiec, trzydzieści tucznych wołów i sześćdziesiąt byków hodowlanych. Zabrano wszystkie zwierzęta pociągowe, razem około czterdziestu sztuk. Z osiemdziesięciu wieprzy zostało około tuzina, a i te do końca tygodnia poszły pod nóż. Ziarno z ubiegłorocznych zbiorów zniknęło zaraz w pierwszym tygodniu okupacji, a teraz zbierano nowe, nie pozostawiając ani jednego kłosa. Oczywiście nic nie pozostało z gospodarskich wozów i narzędzi, a szopy, w których składano opał na zimę, były tak samo puste jak spichlerze. Właściwie - jak donosili przerażeni służący - w ciągu dwóch tygodni rebelianci przywłaszczyli sobie wszystko, co Jonathan powierzył opiece Mary przed wyjazdem. Ogrody w ruinie, sady wycięte, drewno spalone, inwentarz zjedzony. Bez względu na losy wojny, mój szwagier wyjdzie z niej jako nędzarz.

A przecież nie tknęli jeszcze samego domu ani jego

mieszkańców, chociaż brak żywności mocno dawał się nam we znaki. W południe wszyscy zbieraliśmy się na główny posiłek, podawany w apartamencie Alice we wschodnim skrzydle. John nadal leżał w pokoju swego ojca, my zaś - około dwudziestu osób - siedzieliśmy ściśnięci niczym śledzie w beczce razem z marudzącymi dziećmi. Maczaliśmy kawałki czerstwego chleba w wodnistej zupie, w której czasem trafiała się rozmiękła fasola czy trochę kapusty. Dzieci dostawały mleko, ale nie więcej niż dwa kubki dziennie, toteż już zauważyłam, że ich oczy w wymizerowanych buziach wydają się dziwnie wielkie, jakby wytrzeszczone. Bawiły się bez zwykłej werwy, raczej apatycznie, i często ziewały. Mały Jonatha chorował na krup - nowy kłopot dla Joan. Alice musiała pójść do kuchni i uprosić, by ugotowano kilka łydąg rabarbaru dla chłopca. Wyświadczonej jej tę łaskę tylko, dlatego, że miłym obejściem wzbudziła współczucie żołnierzy. Starzy ludzie cierpieli na równi z dziećmi i tak samo ciągle narzekali na niewygody wojenne. Nick Sawle długo patrzył w swą pustą miskę, mrużąc pod nosem: „To haniebne! Niewybaczalne!”, i toczył wokół urażonym wzrokiem, jakby ktoś z obecnych by winien tej sytuacji. Will Sparke z wrodzoną chytryością sadowił się między małymi dziećmi i gdy tylko Alice lub nianka odwracały się na chwilę, podkradał im kaski z talerzy, niby to dla zabawy. Kobiety nie były tak samolubne. Debora, którą uważałam za tak samo nieznośną, jak jej brat, stała się nagle niezwykle czuła dla wszystkich słabych i bezradnych, a jej basowy głos i bujny wąsik nie zrażały nawet najmłodszych dzieci.

To, że udawało mi się jakoś karmić Dicka, zawdzięczam wyłącznie Matty. Sobie znanymi, nie zawsze chyba uczciwymi sposobami, w które nie wnikałam,

skaptowała drugiego kuchcika. Opowiadała mu długie historie o swej cierpiącej, kalekiej pani i w rezultacie do mojego pokoju wędrowała dodatkowa miseczka zupy, przemycona pod fartuchem wiernej służącej. Ten sam kuchcik znosił nam też plotki - przeważnie o straszliwych klęskach własnych wojsk. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy za pewną sumę pieniędzy nie zechciałby zdezerterować. W połowie tygodnia dowiedzieliśmy się, że Richard zajął zamek Restormel koło Lostwithiel, a lord Goring, królewski koniuszy, okupuje most i drogę pod St Blazey. Tak, więc Essex został przyparty do muru na półwyspie o długości siedmiu mil i szerokości dwóch. Miał do wykarmienia dziesięcioletnią armię, a tymczasem działa z Polruan raziły wciąż ogniem port Fowey. To już nie mogło długo potrwać! Albo Essex i jego armia otrzymają dalsze posiłki ze wschodu, albo będzie zmuszony stoczyć bitwę. My zaś nadal mamy siedzieć beczynnie ze ściśniętym sercami i pustymi brzuchami, gapiąc się na osowiałych, moknących przed namiotami żołnierzy, podczas gdy ich dowódcy będą toczyć rozpaczliwe narady pod dachem. W kolejną niedzielę wśród rebeliantów rozeszła się szeptana wieść, że ludzie ze wsi wykradają się nocami z domów i dopuszczają się mordów. Odnajdywano na posterunkach poduszonych wartowników, żołnierze, budząc się rano, zastawali swych towarzyszy z poderżniętymi gardłami. Innych napadano na drogach - wlekli się potem do głównej kwatery z powyrywaniem ze stawów dłońmi wylupionymi oczami. Słowem - Kornwalijszczyki zaczęli podnosić głowy.

We wtorek dwudziestego siódmego nie dostaliśmy zupy, tylko sześć bochenków chleba do podziału na dwadzieścia osób. W środę - jeden dzbanek mleka (i to rozwodnionego) dla dzieci zamiast trzech. W czwartek Alice,

Joan, Mary, obie siostry Sparke i ja podzieliłyśmy nasz chleb między dzieci, a same zadowoliliśmy się naparem z ziół. Nie czułyśmy głodu. Apetyt opuścił nas, kiedy zobaczyłyśmy jak dzieci wydzierają sobie czerstwy chleb i pakują go łapczywie do ust, a potem daremnie proszą o następny kawałek. Cały czas szalał południowo-zachodni wiatr, tarosząc chmury na ołowianym niebie., a dźwięki żołnierskiej trąbki, które od tak dawna nas dręczyły, niosły się po parku niczym jęk rozpaczy.

W piątek trzydziestego sierpnia przeleżałam cały dzień w łóżku. Zebrania towarzyskie uznałam za farsę, zresztą i tak nie miałam na nie siły. Moja tchórzliwa dusza wzdragała się przed wysłuchiowaniem ustawicznych błagań i płaczu dzieci o choćby okruszek chleba. Matty zaparzyła mi filiżankę herbaty, ale i to wydało się czymś niewłaściwym i nie chciało przejść przez gardło. Głód odebrał też moją czujność. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, pozwoliłam Dickowi wejść na górę i rozłożyć materac przy moim łóżku. Leżał tam ogryzając kość, którą Matty mu gdzieś znalazła. Ciemne oczy w bladej twarzy chłopca zrobiły się teraz jeszcze większe, a czarne pukle zwisały w strąkach bez dawnego połysku. Wydało mi się, że w tym wygłodzeniu upodobił się jeszcze bardziej do swej matki. Patrząc z wysokości łóżka, widziałam na jego miejscu Mary Howard. To ją karmiłam i osłaniałam przed wrogiem, to ona ogryzała kości drobnymi, ostrymi ząbkami i rozdzierała mięso na kawałki łapczywymi palcami.

Matty miała zapadnięte oczy i ziemistą cerę. Zniknęły rozłożyste biodra i rumiane jak jabłka policzki. Wszystko, co udało się jej wyłudzić od zaprzyjaźnionego kuchcika (a brakowało już jedzenia nawet dla żołnierzy), przemycała dla Dicka i dzieci.

W ciągu dnia, kiedy leżałam, popadając w jeden męczący sen za drugim, z Dickiem zwiniętym jak piesek u moich stóp, Matty tkwił przy oknie. Próbowwała przeniknąć wzrokiem mgłę, która spadła na nas wraz z deszczem, zasłaniając namioty w parku i konie.

Krótko po drugiej zbudził mnie nagły tętent kopyt. Matty otworzyła okno od zewnętrznego dziedzińca i patrzyła,

jak jeźdźcy przesuwają się pod bramą. Naliczyła dwunastu oficerów w otoczeniu oddziału żołnierzy. Na czele, na karym koniu jechał mężczyzna w ciemnoszarej oponczy. Wymknęła się z pokoju, żeby przyjrzeć się, jak zsiadają z koni, a po powrocie oznajmiła, iż na stopniach witał ich sam lord Robartes. Następnie wszyscy zniknęli w jadalni, a przed drzwiami wystawiono strażę.

Nawet mój osłabiony mózg rozumiał, że odbywa się właśnie ostatnia narada wojenna, z udziałem samego lorda Essex. Przycisnęłam dłoń do oczu, by ukoić ból głowy.

- Idź, poszukaj swojego kuchcika - przykazałam Matty. - Rób, co chcesz, tylko zmuś go do gadania.

Zacisnęła usta i kiwnęła głową, lecz zanim wyszła, wygrzebała Dickowi w swej klitce jeszcze jedną kość i wabiąc go jak psiaka, namówiła do zejścia na dół.

Trzecia, czwarta, piąta... zaczęło się już zmierzchać. Z powodu deszczu i mgły wieczór zapadał szybciej niż zwykle. Wreszcie znowu usłyszałam odgłos końskich kopyt - najpierw pod bramą, potem w parku. t w pół do szóstej wróciła Matty. Nigdy, aż po dziś dzień, nie zapytałam jej, co robiła podczas tych godzin. Powiedziała mi, że kuchcik czeka pod drzwiami i chce ze mną rozmawiać. Zapaliła świece, a ja, uniósłszy się na łokciu, rzuciłam jej pytające spojrzenie. Wskazała mi głową korytarz.

- Za pieniądze zrobi wszystko, czego zażądacie.

Dałam jej znak, by przyniosła mi sakiewkę, co uczyniwszy, podeszła do drzwi i przywołała kuchcika.

Stał, mrugając oczami w słabym świetle, z głupkowatym uśmiechem na bladej, zapadniętej z głodu twarzy.

Skinęłam, by się zbliżył, więc podszedł do łóżka, rozglądając się trwożnie na boki. Podałam mu złotą monetę;

zaraz schował ją do kieszeni.

- Jakie masz wieści? - zapytałam.

Spojrzał na Matty, a kiedy zachęciła go ruchem głowy, oblizwał nerwowo wargi i zaczął mówić:

- To tylko plotka... Ale tak mówią na dziedzińcu... - urwał i znów obejrzał się na drzwi. - Dziś jeszcze zacznie się odwrót. Pięć tysięcy żołnierzy pomaszeruje pod osłoną nocy na wybrzeże. Będzie ich słyszać, tylko trzeba dobrze nadstawiać ucha. Przejdą tędy do Pridmouth i Polkerris, a stamtąd zabiorą ich łodzie, gdy tylko wiatr zelżeje.

- Ale koni na małe łodzie nie załadują - zauważyłam. - Co wasi generałowie zrobią z dwoma tysiącami koni?

Wzruszył ramionami i zerknął na Matty. Dałam mu następną sztukę złota.

- Rozmawiałem z koniuchem sir Williama Balfoura. Chodzą słuchy, że po odwrocie piechoty mają się przebijać przez linie rojalistów. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale może i tak się zdarzyć.

- Co się stanie z tobą i innymi kucharzami?

- Pójdziemy z innymi na morze.

- To wykluczone. Posłuchaj, co się dzieje za oknem. - W drzewach nad królikarnią wył i gwizdał wicher, o szyby bębniła ulewa. - Zaraz ci powiem, co was czeka. Nastanie dzień i żadna łódź nie zabierze was z brzegu. Będziecie się kulić w strugach deszczu, na wietrze, nad rozszalałym morzem, a wtedy z klifów ruszą na was wieśniacy z widłami. Lud Kornwalii, kiedy głodny, nie jest zbyt uprzejmy.

Kuchcik milczał, tylko znów oblizywał wargi.

- Czemu nie uciekniesz? Idź jeszcze dzisiaj, zanim spotka cię co gorszego. Dam ci pismo do dowódcy rojalistów.

- To właśnie mu mówiłam - wtrąciła się Matty. - Z listem od panienki do sir Richarda przepuszczą go wszystkie



straże.

Patrzył to na nią, to na mnie, z głupią miną i chciwością w oczach. Dałam mu trzecią sztukę złota.

- Jeśli dotrzesz w ciągu godziny do armii rojalistów - tłumaczyłam jak dziecku - i opowiesz im to, co nam przed chwilą, że konnica będzie się nocą przebijać przez ich pozycje, to dadzą ci znacznie więcej złotych krążków i kolację na dodatek.

Podrapał się w głowę i znów spojrzął na Matty.

- A gdyby doszło do najgorszego i trafiłbyś do niewoli - dodałam to chyba lepsze niż dać sobie wypruć flaki chłopskimi widłami.

To go wreszcie przekonało.

- Pójdę. Tylko muszę mieć pismo.

Skrobnęłam, więc kilka słów do Richarda, nie spodziewając się zresztą, aby do niego dotarli (jak się później okazało, istotnie nie dotarli) i przykazałam kuchcikowi, żeby próbował przejść lasem do Fowey a stamtąd przeprowił się łodzią do Bodinnick, opanowanego już przez rojalistów, i ostrzegł ich przed planami rebeliantów.

Wiedziałam, że jest za późno, ale gra warta była świeczki. Kiedy wyszedł, popędzany przez Matty do jak najszybszego wymarszu, położyłam się znów wygodnie i słuchałam deszczu, uparcie tłukącego o szyby. Nagle wśród szumu ulewy dobiegł mnie z dalekiego gościńca tupot wielu maszerujących nóg. Mijały godziny, a oni wciąż szli, bez wytchnienia z nieodłącznym dźwiękiem trąbek, cienkim i wyrazistym na tle wycia wichru. Wstał mglisty, mokry poranek, ale wojsko nadal ciągnęło, przemoczone, obszarpane i brudne. Oddział za oddziałem podążał nierównymi szeregami przez park, zmierzając ku morzu.

Porządek w szeregach skończył się w sobotę koło

południa. Resztki dyscypliny prysnęły, kiedy zamglone słońce przebiło się przez pędzące chmury, a jednocześnie od strony Lostwithiel odezwały się działa. To armia Richarda zaatakowała tyły wroga. Siedzieliśmy przy oknach, przynajmniej teraz nie pamiętając o głodzie, deszcz zaczął nam prosto w udręczone twarze, a tymczasem żołnierze ciągle wlekli się przez park bezładnymi gromadami, ciągnąc za sobą wozy i konie. Wydawano rozkazy, ale nikt ich nie słuchał. Ludzie padali na ziemię z wycieńczenia i odmawiali dalszego marszu. Konie, wozy i resztką bydła wpadały na siebie i grzęzły w błocie, które kiedyś było parkiem. Huk dział i grzechot muszkietów coraz bardziej się nasilały. Jeden z pachołków, wspiąwszy się na wieżę, doniósł, że wzniesienia koło Castledore są czarne od żołnierzy i dymu, a w dole, na polach widać uciekające ludzkie figurki - najpierw dwadzieścia, potem pięćdziesiąt, wreszcie sto i więcej. Biegli, starając się przyłączyć do swych towarzyszy, którzy tłoczyli się na okolicznych drogach i w parku.

Deszcz nie ustawał, odwrót wciąż trwał.

O piątej zawiadomiono nas, że wszyscy mamy się zebrać w galerii. Nawet John musiał wstać z łóżka i spełnić rozkaz. Reszta ledwie powłóczyła nogami, a mnie nawet siedzenie w fotelu sprawiało trudność. Od dwóch dni nie mieliśmy w ustach nic poza słabą ziołową herbatką. Alice wyglądała jak widmo, bo jak przypuszczałam, odejmowała sobie od ust niemal wszystko, byle ratować swe trzy córeczki. Jej siostra Elizabeth nie miała się lepiej, a roczne dzieciątko, które trzymała w ramionach, przypominało woskową laleczkę i nawet już nie płakało. Zanim opuściłam pokój, sprawdziłam, czy Dick siedzi bezpiecznie w swojej kryjówce, i tym razem, nie zważając na jego protesty, docisnęłam kamień do końca.

Dziwnie wyglądała ta nasza gromadka, zebrana na galerii. Wszyscy wymizerowani, dzieci wyjątkowo cichutkie, z ponurym wyrazem pustych oczu. Po raz pierwszy od miesiąca ujrzałam wtedy Johna. Był naprawdę bardzo chory, skórę miał żółtą i trząsł się na całym ciele. Rzucił mi z daleka pytające spojrzenie, a ja skinęłam leciutko głową, zmuszając się do uśmiechu.

Czekaliśmy w milczeniu, bo nikt nie miał siły ani ochoty na rozmowę. Trochę dalej, przy środkowym oknie, siedziała Gartred z córkami. One także były chudsze i bledsze niż przedtem. Myślę, że od wielu dni nie próbowały kurcząt, ale w porównaniu z dziećmi Rashleighów i Courtneyów nie robiły wrażenia niedożywionych.

Zauważyłam, że Gartred nie nosiła klejnotów i była dość skromnie ubrana. Na ten widok złe przecucie ścisnęło mi serce. Nie zwracała nas uwagi, tylko zaraz po wejściu zamieniła parę słów z Mary. Znalazła miejsce przy stoliku pod oknem i zajęła się stawianiem pasjansa. Odwracała karty figurami do góry, przyglądając się im z namaszczeni. Pomyślałam, że na tę właśnie chwilę czekała ponad miesiąc.

Nagle w hallu rozległy się ciężkie kroki i do galerii wkroczył sam lord Robartes. Buty miał zabłocone, z mokrego płaszcza kapąła woda. Przy nim ustawili się oficerowie sztabowi z hardymi, ponurymi minami.

- Czy są tu wszyscy mieszkańcy? - spytał szorstko Robartes.

Niewyraźne chrząknięcie z naszej strony uznał za potwierdzenie.

- No dobrze. - Podszedł do Mary i Johna i przez chwilę mierzył ich przenikliwym spojrzeniem. - Doszło do mojej wiadomości, że małżonek i ojciec ukrył podstępnie wielkie ilości srebra, które według prawa należy do parlamentu. Nie

czas już na mydlenie oczu i protesty Nacisk wojsk nieprzyjacielskich zmusza naszą armię do chwilowego odwrotu. Parlament pilnie potrzebuje każdej uncji srebra tego kraju, aby doprowadzić wojnę do końca. Dlatego proszę, byście mi wyjawili, gdzie jest ukryty skarb.

Mary, na szczęście w błogiej nieświadomości, podniosła na niego zdumione oczy.

- Nic nie wiem o żadnym skarbie, z wyjątkiem paru sztuk srebra stołowego, które już od dawna są w waszym posiadaniu, bo przecież zabraliście wszystkie klucze.

- Ja mówię o całych stosach, pani. O tych, które czekają w jakimś schowku, aż wasz mąż przewiezie je do mennicy.

- To prawda, milordzie, że mój mąż był kwestarzem Kornwalii. Ale nigdy nie wspominał, że trzyma srebro w Menabilly. Dowódca odwrócił się od niej do Johna.

- A wy, panie? Ojciec chyba wtajemniczył was w swoje sprawy?

- Nie - odparł stanowczo John. - Nie wiem nic o interesach ojca ani o żadnej skrytce. Mój ojciec ufał jedynie swemu rządcy, Langdonowi, który teraz jest z nim w wojsku. Nikt w całym Menabilly nie powie wam nic więcej.

Lord Robartes świdrował go przez chwilę oczami, po czym nagle się odwrócił i przywołał trzech oficerów.

- Splądrować ten dom! - rzucił. - Zedrzeć wszystkie obicia, porozbijać meble! Zniszczyć wszystko, co napotkacie. Zabrać klejnoty, ubrania i inne kosztowności, zostawić tylko gołe ściany!

Na te słowa biedny John podniósł się z wysiłkiem.

- Nie robi pan tego, milordzie! Czy parlament upoważnił was do tak strasznych zniszczeń? Protestuję, milordzie, w imię zwykłej uczciwości i człowieczeństwa!

Mary wystąpiła naprzód i rzuciła się przed Robartesem na kolana.

- Milordzie! - wykrzyknęła. - Przysięgam na wszystko, co święte, że niczego tu nie ukrywamy. Wiedziałabym, gdyby było inaczej. Błagam was o litość nad naszym domem!

Patrzył na nią z góry twardym wzrokiem.

- I czemuż to miałbym okazywać litość, której dla mnie zabrakło? W wojnie domowej wygrani i przegrani płacą te same koszta. Raczej powinniście być wdzięczni, że oszczędziłem wasze życie!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł razem z oficerami, zostawiając wartę przy drzwiach. Na dziedzińcu wsiadł na konia i ruszył w swoją drogę, by walczyć w bezsensownych potyczkach, jakie w nieustannym deszczu toczyły tylne strażę pod płotami i w rowach Castledore. Usłyszeliśmy, że major, który objął teraz dowództwo w Menabilly, wydaje rozkazy i zaraz zaczęło się zdzieranie boazerii w jadalni. Trzeszczały łamane deski, brzęczało szkło, rozgniatane żołnierskimi butami, bo nie oszczędzono nawet szyb w oknach. Po pierwszych złowieszczych odgłosach Mary zwróciła się do Johna z twarzą zalaną łzami:

- Na miłość boską, jeśli wiesz o jakiejś skrytce, to powiedz, bo inaczej nie ocalimy domu!

Wezmę na siebie całą winę, gdyby ojciec robił ci wyrzuty!

John nie odpowiedział, tylko zerknął na mnie. Nikt z obecnych nie zauważył tego spojrzenia, z wyjątkiem Gartred, która w tej chwili podniosła głowę. Nie poruszyłam wargami, ale w moim wzroku zobaczył tę samą hardą nieugiętość, co przed chwilą u lorda Robartesa. Odczekał chwilę i rzekł z wysiłkiem:

- Nic nie wiem o żadnej kryjówce.

Sądzę, że gdyby rebelianci zabrali się do dzieła z

wrzaskiem czy pijackim rechotem, łatwiej by nam było znieść ruinę domu. Ale ponieważ wiedzieli, iż klęska zagłada im w oczy, mieli w sercach tylko zimną żądzę mordu i czynili swą powinność w milczeniu.

Drzwi od galerii były otwarte, stało przy nich dwóch wartowników. Nikt nie podniósł głosu, nie padło w ogóle ani jedno słowo. Słyszeliśmy tylko trzask drewna, kiedy rąbano wielki stół w jadalni, i pomruki mężczyzn za każdym wzniesieniem topora. Pierwszą rzeczą, którą cisnęli nam z hallu pod nogi, był zniszczony portret króla. A jednak nawet odcisk zabłoconego obcasa na twarzy monarchy i wielkie pęknięcie przez środek ust nie naruszyły melancholijnych oczu, patrzących na nas bez skargi z pokrojonego płótna.

Niebawem przeszli na górę i zabrali się do południowych pokoi. Mary rozplakała się cicho, słysząc, jak wyłamują drzwi od jej sypialni. Nie mogła się uspokoić, aż w końcu Alice wzięła ją w ramiona i zaczęła kołysać jak dziecko. Pozostali siedzieli bez ruchu, niczym nieme widma. Nagle Gartred spojrzała na mnie spod swego okna.

- Ty i ja, moja Honor, jesteśmy tu jedynymi osobami, w których żyłach nie ma ani kropli krwi Rashleighów. Musimy to jakoś przetrzymać, Powiedz no, grasz w pikietę?

Szesnaście lat temu twój brat mnie nauczył, ale od tego czasu nie grałam

- Więc będę miała fory. Zaryzykujesz partyjkę?

Mówiąc to, tasowała karty z uśmiechem. Od razu domyśliłam, że nie chodzi tylko o pikietę.

- Być może stawką będzie coś więcej niż tylko parę sztuk srebra - odparłam.

Z góry dobiegały ciężkie kroki i stukot toporów. Na taras posypało się potłuczone szkło z okien.

- Chyba nie boisz się ze mną zmierzyć? - spytała

Gartred.

- Bynajmniej.

Podjechałam do niej i usiadłam naprzeciwko, przy stoliku. Wręczyła mi karty do przełożenia, potem zaś rozdała je - po dwanaście dla każdej. I tak zaczęła się owa najprzedziwniejsza w moim życiu partia pikiety. Gartred bowiem ryzykowała majątek, a ja życie Richardowego syna i nikt poza mną o tym nie wiedział. Reszta towarzystwa, milcząca i apatyczna, była zbyt słaba, by się czemuś dziwić, a jeśli ktoś się nam przyglądał, to raczej z oburzeniem i niesmakiem, że nie należąc do stałych domowników Menabilly, okazujemy taki brak serca.

- Pięć kart - zażądała Gartred.

- Co ci to da?

- Dziewiątkę.

- Twoje.

- Kolor z pięciu.

- Kwart major, dziewięć. [Kwart major - w pikiecie: sekvens z czterech kart od asa ]

- Trzy walety.

- Źle.

Wyszła w asa kier, dorzuciłam dziesiątkę. Kiedy wzięła lewą, usłyszeliśmy, że w sypialni na górze zdzierają ze ścian obicia. Potem rozszedł się mdły zapach spalenizny i za oknami galerii pokazała się smuga dymu.

- Podkładają ogień w stajniach i budynkach gospodarczych - rzekł cicho John.

- Deszcz na pewno ugasi płomienie - szepnęła Joan.

- Nie rozpalą porządnego ognia w tym deszczu.

Jedna z dziewczynek zaczęła popłakiwać. Debora, niby taka szorstka, wzięła ją na kolana i coś tam mruczała pocieszająco. Dym tłących się w deszczu budynków

wydziałał jakiś gorzki odór, hałasy nad naszymi głowami przypominały ścinanie grubych leśnych drzew, nie zaś łamanie kolumnienek przy łóżku, w którym Alice rodziła swe dzieci. Zwierciadło wyrzucone na taras pękło na tysiąc kawałków, w ślad za nim wyleciały połamane świeczniki, wysokie wazony i wyściełane krzesła.

- Piętnaście - orzekła Gartred, wyciągając króla karo.

- Osiemnaście - zareplikowałam, bijąc go asem.

Część rebeliantów schodziła na dół pod wodzą sierżanta. Nieśli całą odzież z sypialni Jonathana i Mary, klejnoty, grzebienie oraz piękny arras, który wisiał na ścianie. Zwinęli to wszystko w toboły i załadowali na juczne konie, czekające już na dziedzińcu. Kiedy ugiwały się już pod ciężarem, jakiś żołnierz wyprowadził je za bramę i zaraz podprowadzono następne. Przez powybijane okna spustoszonej jadalni widzieliśmy bezładne gromady rebeliantów, brnących wśród podpalonych budynków w stronę łąk i plaży. Od czasu do czasu zerkali na dom, śmiejąc się do towarzyszy w oknach. Ci - zagrzewając się z coraz większą werwą do pracy - odpowiadali im szyderczymi okrzykami. Wyrzucali na ziemię materace, krzesła, stoły, wszystko, co wpadło im w ręce i nadawało się do podsycenia ognia, który ani rusz nie chciał się palić na uporczywym, drobnym deszczyku.

Jeden z żołnierzy upychał właśnie w wielki toboł odzież i bieliznę. Była tam suknia ślubna Alice, sukieneczki, które sama wyhaftowała dla swych córeczek, i odświętne stroje Petera, z takim staraniem przechowywane w szafie na lepsze czasy... Kroki na górze ustały, słyszeliśmy je teraz pod wieżą. Ktoś dla zabawy uderzył w dzwon i do ogólnego zgłębku doszedł teraz i ten żalobny dźwięk, mieszając się z żołnierskimi wrzaskami, skrzypieniem kół wyjeżdżających z



parku wozów i coraz głośniejszą kanonadą dział, odległych teraz zaledwie o dwie mile.

- Chyba są już w pokojach nad bramą - rzekła Joan. - Nie sądzę, żeby oszczędzili twoje rzeczy i książki. Honor, pewnie spotka je ten sam los, co nasze.

Wyczuwałam w jej głosie wyrzut. Musiało jej być przykro, że ukochana ciotka i chrzestna matka nie zdradza ani śladu żalu.

- Kuzyn Jonathan nigdy by do tego nie dopuścił - odezwał się Will Sparke z nutką hysterii w głosie. - Gdyby miał tu ukryte srebro, na pewno by je chętnie wydał, zamiast patrzeć na splądrowany dom i krewnych, tracących cały dobytek.

Dzwon ciągle bił, a sufity drżały od ciężkich kroków. Na wewnętrzny dziedziniec wyrzucano teraz resztki z zachodniej części domu. Portrety, ławy, dywany, zasłony - wszystko zwalano na stos bez ładu i składu. Na dole inni żołnierze oddzielali cenniejsze rzeczy, a to, co zostało ciskali w płomienie.

Zaczęłyśmy trzecią rozgrywkę partii.

- Terc od króla - oznajmiła Gartred.

- Dobrze - odparłam i dorzuciłam do pika.

Przez cały czas wiedziałam, że rebelianci są już w ostatnim pokoju i pewnie zdzierają właśnie tapiserię sprzed przypory. Mary podniosła na nas zbolaną twarz.

- Gdybyś powiedziała choćby słowo temu oficerowi - zwróciła do Gartred - może powstrzymałby swych ludzi od dalszych zniszczeń. Przecież jesteś w przyjaźni z lordem Robartesem i masz na niego jakiś wpływ. Czy nic nie możesz zrobić?

- Mogłabym, i to wiele, gdyby mi na to pozwolono. Ale Honor uważa, że lepiej, aby ten dom zwałił się nam na

głowę. Piętnaście, szesnaście, siedemnaście, osiemnaście. To chyba moja lewa?

Zapisała punkty na tabliczce, którą miała u boku. Mary spojrzała na mnie błagalnie.

- Honor, przecież wiesz, że Jonathanowi pęknie serce, kiedy zobaczy swój dom w takim stanie. To całe jego życie, a przedtem jego ojca od pięćdziesięciu lat... Jeśli Gartred może nas ocalić, a ty próbujesz powstrzymać, to nigdy ci tego nie wybaczę i Jonathan także.

- Gartred nie może ocalić nikogo, najwyżej samą siebie - odrzekłam i rozdałam karty do czwartej rozgrywki.

- Kolor z pięciu - zapowiedziała moja przeciwniczka.

- Równe.

- Sekwens od króla.

- Sekwens od waleta.

Grałyśmy piątą i ostatnią rozgrywkę, przy czym każda miała na koncie dwie wygrane, kiedy usłyszałyśmy, że żołnierze z majorem schodzą na dół. Na tarasie i dziedzińcu leżały stosy tego, co zostało z ulubionych przedmiotów, gromadzonych pieczołowicie w domu przez blisko pięćdziesiąt lat. Czego nie załadowano na konie, pozostawiano płomieniom. Wsparci na toporach żołnierze patrzyli w ogień, sapiąc ciężko po zakończonej robocie. Kiedy stos zajął się na dobre, major wszedł do galerii, trzasnął obcasami przed Johnem i złożył mu szyderyczy ukłon.

- Rozkazy lorda Robartesa wypełniliśmy wiernie i do końca - zameldował. - W Menabilly nie zostało nic, oprócz gołych murów i was, panie i panowie.

- I nie znaleźliście ukrytego srebra? - zapytała Mary.

- Nie, pani, poza waszym własnym, które szczęśliwie jest już w naszych rękach.

- Więc ta cała ruina, te straszne spustoszenia, nie zdały

się na nic?

- Sprawiliśmy się dzielnie, wymierzając wam ten cios w imieniu parlamentu. Jesteśmy żołnierzami i nic poza służbą nas nie obchodzi.

Uklonił się i wyszedł, a po chwili usłyszeliśmy, jak wydaje dalsze rozkazy. Przyprawiono konie i nasz major odjechał w ślad za swym dowódcą. Płomienie lizały pozostawione na dziedzińcu rzeczy i nagle zapadła cisza, zakłócana tylko sykiem ognia i pluskiem deszczu. Nawet wartownicy zniknęli spod drzwi. Will Sparke ostrożnie wyjrzał do hallu.

- Poszli sobie! Odjechali, wszyscy! Dom jest zupełnie pusty - oznajmił.

Spojrzałam na Gartred i tym razem ja się uśmiechnęłam.

- Carte blanche - powiedziałam cicho i dodałam sobie dziesięć punktów.

Teraz ja byłam górą. W następnym rozdaniu dostałam trzy asy przeciwko jej jednemu i wygrałam partię.

Wstała bez słowa od stolika, złożyła mi drwiący ukłon, a potem zawołała córki i wszystkie poszły na górę. Siedziałam sama, tasując karty, jak ona przedtem, podczas gdy w hallu nieszczęśni, udręczeni domownicy wodzili wokół siebie wzrokiem, porażeni ogromem zniszczeń.

Widzieli zerwane boazerie, porąbane posadzki, wyrwane z ram okna. Deszcz nie napotykał już żadnych przeszkód, toteż zaciął nam prosto w twarze, niosąc z wiatrem płatki sadzy z ogniska. Ostatni rebelianci uciekli na brzeg i tylko garstka utrzymywała jeszcze placówkę w Castledore. W Menabilly nie było już śladu po żołnierzach, został tylko splądrowany dom oraz czarne grzęzawisko na miejscu dawnej drogi i parku. Kiedy siedziałam, nasłuchując

i wciąż jeszcze bawiąc się kartami, po raz pierwszy zauważyłam, że przez głuchą kanonadę i bębnienie deszczu przebija się nowa nuta. I nie był to natarczywy dźwięk znienawidzonej trąbki, tylko triumfalne, coraz bliższe bicie w bębny. Bębny rojalistów!

W niedzielę o świcie armia rebeliancka poddała się królowi. Stłoczeni na brzegu żołnierze nie mogli nawet marzyć o wydostaniu się z pułapki drogą morską. O szarym brzasku tylko jedna łódź rybacka wyruszyła z Fowey do Plymouth, uwożąc w kabinie lorda generała hrabiego Essexu oraz jego doradcę - lorda Robartesa. Ale o tym dowiedzieliśmy się później. Okazało się też, że kuchcik Malty spełnił swą obietnicę i w piątek wieczorem przekazał wiadomość sir Jacobowi Astleyowi w Bodinnick. Zanim jednak dotarła ona do króla i zanim ostrzeżono posterunki na drogach, rebeliancka konnica pomyślnie przebiła się przez linie rojalistów i uciekła do Saltash. Tak więc przez zwykłą zwłokę ponad dwa tysiące jazdy wyszło obronną ręką z opresji i mogło następnego dnia stanąć do walki. W radosnym ferworze po kapitulacji nieprzyjaciela nasze siły zbagatelizowały ów wielki błąd i myślę, że jedynym dowódcą, który niemal skakał ze złości, był Richard Grenvile.

Jakie to dla niego typowe, że kiedy w ów niedzielny poranek przysłał nam na odsiecz regiment piechoty z wozami pełnymi żywności, nie przybył osobiście do Menabilly! Wcale go nie interesowało, czy jeszcze żyję i czy nadal mam przy sobie jego syna. Otrzymałam tylko krótki list.

*Dowiesz się wkrótce - pisał - że moje plany powiodły się tylko częściowo. Konnica wymknęła się z saku, a wszystko przez tego patentowanego osła Goringa, który upiwszy się do nieprzytomności w głównej kwaterze, pozwolił - wprost nie do uwierzenia! - żeby rebelianci przemknęli przez nasze linie*

*i nikt nawet jednej kulki za nimi nie posiał! Boże, chroń nas od naszych wódzów! Zaraz wyruszam w pogoń do Saltash, ale nie spodziewam się wiele wskórać, skoro Goring ze swą kawalerią tak haniebnie nas zawiódł.*

Najpierw żołnierz, potem kochanek. To nie w stylu Richarda, żeby marnować czas na głodujących domowników i kaleką kobietę, która dopuściła do splądrowania całego domu przez wzgląd na jego niekochanego syna. I dlatego też nie ojciec przeniósł do mego pokoju zemdlonego chłopca i ułożył go troskliwie na łóżku. Uczynił to biedny, schorowany John Rashleigh, który po raz drugi przekradł się tunelem od strony pawilonu, odnalazł nieprzytomnego Dicka w celce i pociągnął za sznur, otworzył przejście.

Stało się to w sobotę około dziewiątej wieczorem, po opuszczeniu domu przez rebeliantów. Byliśmy wszyscy tak wycieńczeni, że tylko słabym uśmiechem powitaliśmy rojalistyczną piechotę, która rankiem zjawiała się pod naszymi wybitymi oknami, zapowiadana przez bębny.

Przede wszystkim potrzebowaliśmy mleka dla dzieci i chleba. W późniejszych godzinach, kiedy odzyskaliśmy nieco sił i grzaliśmy się przy ogniu, rozpalonym przez żołnierzy w galerii - jedynym pomieszczeniu zdającym do zamieszkania - znów usłyszeliśmy tętent koni, tym razem jednak szczerze upragniony i witany z wielką radością, gdyż oto wracali nasi mężczyźni! Myślę, że ostatnie cztery tygodnie dały mi się we znaki jeszcze bardziej niż innym, a to z powodu pilnie strzeżonego sekretu. Kiedy wszystko się skończyło, popadłam w jakąś dziwną apatię, spotęgowaną jeszcze przez zwykłą słabość, i przez kilka dni nie miałam siły nawet podnieść głowy. Sceny radosnego powitania rozegrały się, więc bez mego udziału. Alice miała swego Petera, Elizabeth

Johna z Coombe, Mary Jonathana. Wszyscy się całowali, lali łzy i znowu całowali, odmalowując grozę ostatnich dni i oglądając ogrom zniszczeń. I tylko dla mnie jednej zabrakło męskiego ramienia, na którym mogłabym złożyć głowę, i piersi, na której mogłabym się wypłakać. Za wsparciem służyło mi tylko składane łóżko, ocalałe jakimś cudem na strychu. Przypominam sobie, jak szwagier pochylił się nade mną, wynosząc pod niebiosa moją odwagę. Powiedział, że John zdał mu relację ze wszystkiego i że postąpiłam tak, jak on sam postąpiłby na moim miejscu. A i tak nie chciałam go widzieć. Chciałam tylko Richarda, ten zaś pogonił za rebeliantami do Saltash. Tak, więc cała radość z powrotu wojowników wprawiła mnie tylko w niepokój. W kościele w Fowey były dzwony, wtórowały im te z Tywardreath. Jego Królewska Mość wezwał kornwalijskich panów do swej kwatery w Boconnoc i gorąco dziękował im za wsparcie, obdarzył też Jonathana własną koronkową chustką i modlitewnikiem. Ów spontaniczny wybuch dziękczynienia za rzekomo już dokonane zwycięstwo wydał mi się mocno przedwczesny, toteż przyjął go dość kwaśno. Może winę za to należałoby złożyć na karb mych wad, pogłębionych dodatkowo przez kalectwo, ale tak czy inaczej ciągle odwracałam twarz do ściany, a serce ciążyło mi jak kamień. Pomimo wszystkich zwycięstw na Zachodzie wojna się nie skończyła. Owszem, Essex ze swym ośmiotysięcznym wojskiem poniósł klęskę, ale zostało jeszcze wiele tysięcy rebeliantów na północy i wschodzie Anglii. I po co to wszystko? Dlaczego nie zawierają pokoju? Czy póty nieprzyjaciół będzie pustoszył naszą ziemię i burzył nasze domy, póki wszyscy się nie zestarzejemy?

„Zwycięstwo” było dla mnie pustym słowem, skoro lord Robartes nadal dowodził w Plymouth, które ani rusz nie

chciało się poddać. A pogład, że wojna się skończyła, ponieważ Kornwalia jest wolna, świadczył o ciasnym, parafialnym podejściu do sprawy.

Na drugi dzień po naszym oswobodzeniu wszyscy mężczyźni z domu wyruszyli do Boconnoc na pożegnanie króla. Nagle na zewnętrznym dziedzińcu usłyszałam skrzywienie kół i wrzawę, towarzyszącą zwykle przygotowaniom do odjazdu. Potem koła zaturkotały po bruku oddaliły się w stronę parku. Czułam się zbyt słabo, by wniknąć w to bliżej, ale później, kiedy przyszła Matty, zapytałam, któż to wyjeżdżał z takim fasonem.

- A któż by, jeśli nie wielmożna pani Denys? - padła odpowiedź.

Więc Gartred, jak rasowy gracz, uznała, że trzeba opuścić miejsce, które przyniosło jej pecha.

- Jakim cudem zdobyła konie?

Matty prychnęła gniewnie, wykręcając z wody kawał płótna do mycia mych pleców.

- Razem z panem Rashleighem przybył pewien dżentelmen z partii rojalistów, znajomy pani Denys. Niejaki pan Ambrose Manaton. To on zapewnił jej eskortę.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

To prawda, że nie cierpiałam Gartred, ale musiałam pochylić czoło przed mistrzostwem, z jakim zawsze, w każdych okolicznościach spadała na cztery łapy.

- Czy przed wyjazdem widziała Dicka?

- O tak! Podszedł do niej przy śniadaniu, żeby się przywitać. Ależ wytrzeszczyła oczy! A potem zapytała, czy przyjechał razem z żołnierzami. Chłopak uśmiechnął się szelmowsko i odparł: „Nie, cały czas tu byłem”.

- Co za nieostrożność! A ona?

- Przez chwilę nic nie mówiła, chyba ją замуrowało, a



potem uśmiechnęła się, wiecie, panienko, jak, i rzekła: „Powinnam się domyślić. Powiedz swemu strażnikowi, że nie jesteś wart nawet jednej sztuki srebra”.

- I to wszystko?

- Wszystko. Zaraz potem odjechała. Nigdy już nie wróci do Menabilly.

I Matty zaczęła nacierać mi plecy swymi mocnymi, pewnymi rękami. A jednak się pomyliła. Niebawem się przekonacie, że Gartred wróciła do Menabilly, przywiózł ją zaś nie, kto inny, jak mój własny brat. Ale za bardzo wybiegam w przyszłość. Ciągle jeszcze mamy wrzesień 1644 roku.

W pierwszym tygodniu, kiedy odzyskiwaliśmy jeszcze siły, szwagier z rządcą zabrali się do obliczania kosztów usunięcia wyrządzonych szkód. Wyszła im horrendalna kwota, która przekraczała wszelkie możliwości. Mam jeszcze przed oczami Jonathana, siedzącego w kącie galerii z wielką księgą rachunkową na kolanach. Każdy utracony pens został tam starannie zapisany i dodany do reszty. Zdaniem Jonathana, trzeba wielu miesięcy, a nawet lat, żeby przywrócić posiadłości dawną świetność. Póki trwa ta wojna, nie można było się spodziewać żadnych odszkodowań, ale potem - jak mu obiecano, król dopilnuje, aby jego wiemy sługa nie poszedł z torbami. Myślę, że Jonathan znał wartość takich obietnic i podobnie jak ja uważał radość ze zwycięstwa na Zachodzie za przedwczesną. Pewnego dnia rebelianci znów się pojawiają, a wtedy karta się odwróci.

Na razie można było, co najwyżej zebrać resztkę plonów z jednego czternastoakrowego pola, które napastnicy wprawdzie zostawili w spokoju, ale dzieła zniszczenia dopełnił deszcz. Dom Jonathana w Fowey ucierpiał nie mniej niż Menabilly, rodzina została więc bez dachu nad głową i

dlatego postanowiliśmy się rozdzielić. Sawle'owie udali się do swego brata w Penrice, Sparke'owie do krewnych w Tavistock. Sami Rashleighowie z dziećmi do czasu wyremontowania jednego ze skrzydeł domu znaleźli gościnę u sąsiadów. Ja chciałam wrócić do Lanrest, toteż ze ściśniętym sercem przyjąłam wiadomość, że naszą siedzibę spotkał znacznie gorszy los niż Menabilly i nie ma nadziei, by dano się ją odbudować.

Nie było rady, musiałam schronić się w Radford u Joego. Bo cho ciąż w Plymouth nadal siedzieli rebelianci, okoliczne wioski znajdowały się we władzy rojalistów, a poddanie garnizonu i portu, jak twierdzili nasi optymiści, miało być kwestią najwyżej trzech miesięcy.

Gdyby pozwolono mi wybierać, wolałabym żyć samotnie w ogołoconym pokoju w Menabilly niż znosić w Radford sztywne towarzystwo rodziny brata, ale cóż! Kilka letnich miesięcy zamieniło mnie w jeszcze jedną pozbawioną dachu nad głową, bezdomną ofiarę wojennych peregrynacji. Takich jak ja była cała armia, więc należało schować dumę do kieszeni okazać wdzięczność za gościnę, bez względu na to, kto ją oferuje.

Mogłam pojechać albo do Cecylii, do Mothercombe, albo do Bridget, do Holberton. Obie byłyby miłszymi towarzyszkami niż, Jo, który, odkąd powierzono mu wysoki urząd w hrabstwie Devonu, zrobił się zimny i wyniosły. A jednak wybrałam Radford, jako położone bliżej Plymouth, gdzie Richard znów dowodził oblężeniem. Bóg raczy wiedzieć, jakie nadzieje wiązałam z widywaniem go, ale tak mocno uwikłałam się we własnoręcznie utknaną sieć, że nawet króciutki list czy godzinna wizyta stały się dla mnie jedyną racją bytu.

- Czemu nie pojedziesz ze mną do Buckland? -

naprzykrzał się Dick, po którego właśnie przysłano gubernera. - Byłbym taki szczęśliwy i nawet nie zważałbym na ojca, gdybyś tylko zgodziła się wziąć mnie pod swoje skrzydła!

- Twój ojciec ma pełne ręce roboty i nie może brać sobie na głowę kalekiej kobiety.

- Nie jesteś żadną kaleką! - wykrzyknął z pasją chłopiec. - Masz tylko słabe nogi i dlatego musisz siedzieć na tym fotelu. Ja bym się tobą opiekował i usługiwał ci po całych dniach tak samo jak Matty, tylko jedź z nami!

Uśmiechnęłam się i pogładziłam go po ciemnych lokach.

- Możesz odwiedzać mnie w Radford i opowiadać o swych postępach w fechtunku, tańcach, w nauce francuskiego...

- To nie to samo, co mieszkać pod jednym dachem. Bo wiesz, co? Lubię cię najbardziej ze wszystkich... zaraz po matce.

No, to już coś. Znow byłam druga po Mary Howard...

Następnego dnia Dick wyjechał razem z Herbertem Ashleyem. Aż do końca parku odwracał się do tyłu, machając mi zawzięcie ręką, ja zaś - zupełnie bez sensu - roniłam łzy.

Co by było, gdyby... Co mogło być... Oto najsmutniejsze zdania języka angielskiego. I znow zaczęły nawiedzać mnie marzenia: o dziecku, którego nie urodziłam, o mężu, którego nigdy nie będę miała. Mdłe postacie ze staropanińskich snów, jakby powiedziała Gartred.

Tak, skończyłam trzydzieści pięć lat. Byłam starą panną i kaleką, ale szesnaście lat temu przeżyłam chwilę, której żywa pamięć nigdy mnie nie opuszcza. I klnę się Bogiem, że zaznałam więcej szczęścia z moim jedynym kochankiem niż Gartred z całymi zastępami.

Znów, więc wyruszałam w drogę. Opuszczając Menabilly, nie miałam pojęcia, że ostateczny dramat tego domu ma się dopiero rozegrać i nie zabraknie w nim ani krwi, ani łez. Ucałowałam kolejno wszystkich drogich mi Rashleighów i złożyłam solenną obietnicę, że wrócę, gdy tylko będą mogli mnie przyjąć.

Jonathan eskortował moją lektykę aż do Saltash, gdzie spotkał mnie Robin. Byłam cała rozdygotana, nie tyle z powodu wyboistej drogi, ile przykrego widoku okolicy dotkniętej wojną.

Kraj został doszczętnie spustoszony. Zniszczono zboża, wycięte sady, spalono domy - wszystko to za sprawą nieprzyjaciela, ale i Kornwalijscy nie mało się przyczynili do własnej niedoli, biorąc srogi odwet na jeńcach. Mnóstwo trupów pokrytych pyłem i oblepionych muchami nadal leżało po rowach i zwisało z drzew. Byli wśród nich i maruderzy, nieraz bez rąk i nóg, którzy pomarli podczas ucieczki z braku sił, a obecnie, odarci z odzieży stali się łatwym łupem dla psów.

Spoglądając zza zasłony lektyki na świat, zrozumiałam, że wojna potrafi każdego przemienić w dziką bestię, a moi kornwalijscy ziomkowie mogą dopuszczać się nawet gorszych czynów niż mieszkańcy wschodnich hrabstw. Wojna domowa sprawiła, że wszyscy cofnęliśmy się o dobre dwa stulecia i postępowaliśmy jak owi półdzicy barbarzyńcy z okresu Wojny Dwóch Róż w piętnastym wieku, którzy bez zmużenia oka podrzynali sobie nawzajem gardła.

Na placu targowym w Saltash stały szubienice obwieszane ledwo wystygłymi ciałami rebelianckich żołnierzy. Kiedy odwróciłam oczy od tego koszmaru, usłyszałam, że Jonathan wypytuje napotkanego żołnierza, jaką ci nieszczęśnicy popełnili zbrodnię.

Chłop słusznego wzrostu, z tarczą Grenville'ów na ramieniu uśmiechnął się na to szeroko i odrzekł:

- Tylko taką, że należeli do tych psów rebeliantów, toteż powieszono ich jak psy.

- Kto wydał rozkaz?

- Nasz generał, rzecz jasna. Sir Richard Grenville.

Jonathan nic na to nie odrzekł, ale zauważyłam, że spochmurniał. Opadłam na poduszki, czując, że odpowiedzialność za ów czyn i mnie do pewnego stopnia obciąża. Przecież kochałam człowieka, który się go dopuścił. Stanęliśmy w Saltash na nocleg, a rano nadjechał Robin z eskortą, żeby przeprowadzić mnie przez Tamar i linie rojalistów wokół Plymouth aż do Radford.

Robin wyglądał dobrze, miał ogorzałą twarz, więc pomyślałam cynicznie, że mężczyźni, mimo ciągłego gadania o pokoju, są jednak stworzeni do wojny, która wyraźnie im służy. Mój brat nie podlegał Richardowi, był pułkownikiem piechoty pod sir Johnem Berkeleyem w armii księcia Maurycego. Powiedział nam, że król mimo wszystko nie nakazał natychmiastowego szturmu na Plymouth. Zostawia miasto Grenville'owi, żeby ten wziął je głodem, sam zaś rusza z księciem Maurycym do Somerset i Wiltshire, gdzie zamierza połączyć się z wojskiem księcia Ruperta i wspólnie uderzyć na tych rebeliantów, którzy jeszcze się nie poddali. Pomyślałam, że Richardowi nie spodobałoby się to posunięcie, gdyż Plymouth to nie byle, jaka dziura, lecz drugi po Portsmouth port angielski. Dla Jego Królewskiej Mości przejęcie tamtejszego garnizonu, a tym samym ustanowienie władzy na morzu, było sprawą wielkiej wagi. Powolne wyniszczanie miasta głodem dotąd nie przyniosło rezultatu, więc skąd pomysł, że powiedzie się teraz? Richard do szturmu potrzebował tylko dział i ludzi, ale kto by tam

słuchał kobiety! Obserwując Robina i Jonathana, usłyszałam cicho wypowiedziane słowo „Grenvile”, a potem Robin wspomniał coś o „okrutnym traktowaniu jeńców” i o „irlandzkich metodach”, które nie przystoją Devończykom.” Zrozumiałam wtedy, że Richard ma już przeciwko sobie całe hrabstwo. Więcej spodziewałam się usłyszeć w Radford.

Nikt bardziej ode mnie nie nienawidził okrucieństwa, toteż owa skaza na charakterze Richarda zawsze przejmowała mnie bólem. A jednak kiedy zdążaliśmy w stronę Radford, okrążając z daleka forty Plymouth, zauważyłam, nie bez pewnej dumy, że tylko ludzie z tarczą Grenvile’ów na ramieniu zachowali prawdziwie wojskową postawę. Koło St Budeaux kwaterowała część konnicy Goringa. Żołnierze włożyli się po całym miasteczku i pili na umór z tamtejszymi mieszkańcami, a wartownik siedział za stołem, ziewając, z muszkietem u nóg, i nawet nie drgnął, kiedy z pobliskiej karczmy wypadło z gromkim rechotem kilku mocno zaczerwienionych oficerów. Robin podszedł do nich na chwilę, żeby się przywitać, a potem powiedział mi, że ów najbardziej czerwony na gębie to sam lord Goring, swój chłop i świetny znawca koni.

- Czy to wystarczy, żeby być dobrym dowódcą? - spytałam.

- Jest bardzo odważny i zawsze gotów do ataku. Nic więcej się nie liczy.- I zaczął się rozwódzić na temat wyścigu, jaki rozegrano poprzedniego dnia pod samym nosem rebeliantów. Kasztanek lorda Goringa przyszedł o krótki łeb przed dereszem lorda Wentwortha.

- Czy wojsko księcia Maurycego zawsze tak się zachowuje na wojnie? - spytałam cierpko, ale Robin tylko się zaśmiał; on też uważał to za świetną zabawę.

Następny posterunek obsadzony był jednak przez ludzi

Grenville'a. Na drodze ustawiono barierę, której strzegli uzbrojeni wartownicy. Robin musiał pokazać papier podpisany przez sir Johna Berkeleya i dopiero wtedy oficer wydał rozkaz, by nas przepuszczono. Stało tam może ze dwudziestu żołnierzy, zajętych czyszczeniem ekwipunku. Chudzi, żyłaści, mieli w sobie jakąś trudną do określenia cechę, która zawsze wyróżniała ludzi spod znaku Grenville'a. Poznałabym ich w jednej chwili, nawet gdybym nie widziała przy drzwiach posterunku szkarłatnego proporca z trzema złotymi tulejami pośrodku i szczerzącym się gryfem u góry.

Wreszcie przez Plymstock dotarliśmy do domu mego brata w Radford. Zaniesiono mnie zaraz do moich pokoi. Wychodziły na północ, skąd miałam widok na rzekę i dalej na Cattwater i Plymouth. Przypomniałam sobie me osiemnaste urodziny, kiedy to Richard wpływał do cieśniny z diukiem Buckingham. Wydało mi się, że od tamtych czasów minął wiek, a ja stałam się zupełnie inną kobietą. Jo był teraz wdowcem, gdyż Elizabeth z Champernowne'ów zmarła w połogu kilka lat przed wojną. Sprowadził się wtedy do Radford nasz najmłodszy brat Percy z żoną Phillipą. Sami bezdzietni, otoczyli serdeczną opieką siedmioletniego synka Joego, Johna. Nigdy nie przepadałam za Radford nawet jako młoda dziewczyna, więc teraz, w surowej atmosferze murów przypominających koszary, poczułam ogromną tęsknotę za domem, i to nie tyle za Lanrest czy też dawnymi czasami, ile za ostatnimi miesiącami w Menabilly. Niebezpieczeństwo i ciężkie przeżycia, jakie los mi tam zgotował, dziwnym sposobem sprawiły, że miejsce owo stało mi się drogie. Pokoje nad bramą między dwoma dziedzińcami, długa galeria, grobla z widokiem na Gribben i morze - to wszystko wydawało mi się teraz mą własnością. Po wspólnie przetrwanej niedoli darzyłam serdecznym uczuciem nawet tę

dewotkę Temperance Sawle i Willa Sparke'a o piskliwym głosie. Pomimo bliskości Plymouth, Radford nie ucierpiało wskutek wojny, toteż jego mieszkańcy narzekali tylko na niewygody życia pod kontrolą wojska.

Mając za sobą prawdziwy głód w splądrowanym domu, dziwiłam się, że można narzekać na złe traktowanie, chociaż stoły uginają się od obfitości jedła. Zanim zasiedliśmy do obiadu (nie śmiałam już pierwszego wieczora prosić o posiłek do pokoju), Jo wygłosił namiętną przemowę przeciwko dyktatorskim zapędom wojska.

- Jego Królewska Mość uznał za słuszne mianować Richarda Grenvile'a generałem swej armii na Zachodzie. I bardzo dobrze. Nie mam nic przeciwko tej nominacji. Ale kiedy Grenvile usurpuje sobie prawo rekwirowania na potrzeby wojska całego bydła w promieniu trzydziestu mil, a wszelkie pretensje okolicznej szlachty kwituje jednym zdaniem: „Wojsko przede wszystkim”, to czas, abyśmy wystąpili z protestem

Jeśli nawet Jo pamiętał o moim dawnym romansie, to teraz zapomniał o nim z kretesem, pochłonięty własnymi sprawami. Nie wiedział przecież, że przez kilka ostatnich tygodni opiekowałam się Dickiem. Robin oddany całym sercem swemu dowódcy Berkeleyyowi, tylko przyklaskiwał bratu.

- Kłopot w tym, że Grenvile upiera się przy żołdzie dla swych ludzi. Żołnierze pod jego komendą są jak płatni najemnicy. Nie mogą kwaterować, gdzie chcą, nie mogą brać łupów ani żywić się na własną rękę. Takie postępowanie bardzo bije po kieszeni ludzi, którzy - jak ty - za to płacą.

- Czy wiesz - ciągnął Jo - że devońscy komisarze muszą łożyć tysiąc funtów tygodniowo na utrzymanie wojska Grenvile'a? Powiadam ci, bardzo nam teraz ciężko.



- Byłoby wam jeszcze ciężiej - wtrąciłam - gdyby parlamentarzysty splądrowali i spalili wam dom.

Wytrzeszczyli na mnie oczy i zauważyłam, że Phillipę zdumiała moja śmiałość. W Radford nie lubiano, gdy kobiety zabierały głos.

- To, moja droga Honor - rzekł zimno Jo - raczej nie wchodzi w rachubę..

I odwróciwszy się do mnie bokiem, dalej rozwodził się nad krzywdami devońskiej szlachty. Podobno nowo mianowany generał na Zachodzie oświadczył im z lodowatym spokojem, że do oblężenia Plymouth potrzebne mu są konie i muszkiety, więc jeśli nie wydadzą ich dobrowolnie, to przyśle kompanię żołnierzy, żeby wszystko zarekwirowali.

- To człowiek zupełnie bez skrupułów, nie ma, o czym mówić - oświadczył Percy - ale gwoli sprawiedliwości muszę zauważyć, że chłopci wolą mieć do czynienia z wojskiem Grenville'a niż Goringa. Grenville strzela do każdego żołnierza przyłapanego na grabieży, natomiast ludzie Goringa robią, co chcą, i od rana do wieczora chodzą pijani.

- Och, przestań - oburzył się Robin. - Teraz, kiedy najgorsze już za nami, kawaleria Goringa ma prawo trochę się zabawić. Nie ma sensu trzymać żołnierzy cały dzień na baczność.

- Robin ma rację - popart go Jo. - Trochę swobody trzeba ludziom zostawić, żeby nie tracili ducha. Inaczej nigdy nie wygramy tej wojny.

- Nie wygracie jej także - powiedziałam - jeśli pozwolicie im włóczyć się po okolicy w rozpiętych mundurach.

Moja replika wypadła tym gorzej, że w tej właśnie chwili służący zaanonsował sir Richarda Grenville'a. Sam

generał wkroczył tuż za nim, tak dobrze mi znanym sprężystym krokiem, dzwoniąc podkutymi butami o kamienną posadzkę. Oczywiście nie miał pojęcia o efekcie, jaki wywołał. Skinął chłodno głową Joemu, po czym podszedł do mnie i pocałował mnie w rękę.

- Czemu, u diabła, przyjechałaś tutaj, a nie do Buckland? - wybuchnął pretensją, nie przejmując się zgoła, że stawia mnie w trudnej sytuacji wobec rodziny.

Wymamrotałam coś o zaproszeniu brata i podjęłam próbę przedstawienia go pozostałemu towarzystwu. Owszem, złożył ukłon Phillipie, ale zaraz znów zwrócił się do mnie.

- Straciłaś, widzę, tę krągłość, która przedtem tak ci poprawiała figurę. Jesteś chuda jak kościotrup.

- I ty nie wyglądałbyś lepiej, gdyby rebelianci trzymali cię przez cztery tygodnie w niewoli.

- Szczeniak wciąż się o ciebie dopytuje. Wychwala cię pod niebiosa, aż mi się rzygać chce. Mam go tutaj, czeka za drzwiami z Josephem. Hej, mój pomociu! - zawołał, odwracając się na pięcie.

Nie znam ani jednego mężczyzny, który potrafiłby w mgnieniu oka wypełnić pokój swą obecnością tak jak Richard. To on był teraz panem domu, nie Jo. Ten ostatni stał przy swym własnym stole z serwetką w ręku i podobnie jak Robin i Percy robił wrażenie niemego sługi, czekającego rozkazów pana.

Dick wsunął się do sali nieśmiało jak zawsze i tylko jego czarne oczy rozbłysły na mój widok. Za nim wszedł młody Joseph Grenville, krewny i adiutant Richarda, tak podobny doń z twarzy, że nie po raz pierwszy wprawiło mnie to w zdumienie. Wybacz mi, Boże, mój wścibski charakter, ale coś mi się zdaje, że ten Joseph jest po prostu synem Richarda. Bo dlaczego na pytania o dokładny stopień

pokrewieństwa słyszę same wymijające odpowiedzi? A niechże cię wszyscy diabli! Płodziłeś w najlepsze synów po okolicznych wioskach, zanim nawet zostałam kaleką...

- Jesteście już po obiedzie? - spytał Richard, sięgając po śliwkę. - Chętnie zjemy jeszcze jeden.

Jo poczerwieniał mocno, czując się przywołanym do porządku, i czym prędzej kazał służbie na powrót wnieść baranią pieczeń. Dick skulił się przy mnie jak piesek, który odzyskał utraconą panią. Przy jedzeniu Richard wyrzekał na nieroztropność króla, który pomaszerował na wschód, zamiast doprowadzić do kapitulacji Plymouth.

- Ale głową muru nie przebijesz - mówił z pełnymi ustami. - Boże błogosław Jego Królewskiej Mości, jednak na sztuce wojennej zna się tyle, co ten barani łeb.

Moi bracia wymienili zgorzone spojrzenia. Jak generał śmie krytykować króla?

- Ja tam będę za niego walczył do utraty tchu - ciągnął Richard - ale byłoby znacznie lepiej dla kraju, gdyby czasem posłuchał dobrej rady. Wrzucić no coś do brzucha, pomocie. Czyżbyś nie chciał wyrosnąć tak wspaniale jak Joe?

Zauważyłam, że Dick łypie na Josepha z zazdrością. A więc to tamten jest faworytem, nie ma wątpliwości. Cały świat różnicy między tymi dwoma! Jeden barczysty, potężnie zbudowany, o rudej czuprynie, drugi drobny, o czarnych włosach i oczach. Ciekawe, myślałam z urazą, która to z wiejskich dziewczek jest matką Josepha. Czy jeszcze żyje? Co się z nią dzieje? Kiedy oddawałam się tym rozważaniom, zazdrosna nie mniej niż Dick, Richard kontynuował swą przemowę.

- Czy to czasem nie sprawka owego suczego syna, prawnika? Tego Hyde'a, który przybywszy z jakiejś zapchlonej dziury, wkradł się psim swędem w łaski króla i

został kanclerzem skarbu? Toć Jego Królewska Mość palcem nie kiwnie bez jego rady. Słyszałem, że Rupert umył od wszystkiego ręce i wrócił do Niemiec. Wspomnicie moje słowa, przez takich drani przegramy wojnę!

- Poznałem kiedyś sir Richarda Hyde'a - powiedział mój brat. - Wydał mi się bardzo zdolny.

- Zdolny jak mój zadek! Zaczniemy od tego, że każdy, kto trzęsie skarbem, musi mieć dwa oblicza. Nie znam kauzyperdy, który nie nabiłby własnej kabzy, zanim obedrze ze skóry klienta. - Klepnął Josepha w ramię. - Daj mi trochę tytoniu, chłopcze. - Młodzieniec wyciągnął z kieszeni fajkę i kapciuch. - O tak, nienawidzę ich jak zarazy i nic nie sprawia mi większej radości niż widok prawnika rozłożonego na obie łopatki. Był taki jeden, nazwiskiem Braband, który występował przeciwko mnie w imieniu mojej żony przed Gwiazdzistą Izbą w trzydziestym trzecim roku. To chyba wasz sąsiad, Harris, czyż nie?

- Owszem - odparł chłodno mój brat. - Sąsiad i do tego człowiek wielkiej uczciwości, oddany sprawie króla.

- Niestety już tego nie dowiedzie. Złapałem go któregoś dnia, jak kluczył w przebraniu po ścieżkach Devonu. Skorzystałem zaraz z okazji i zamknąłem go za szpiegostwo. Jedenaście lat czekałem, by ten podlec wpadł mi w ręce.

- I coście z nim uczynili, panie generale?

- Skończył w zwykły sposób. Na pewno świetnie się urządził na tamym świecie.

Zauważyłam, że Joseph kryje uśmiezek w kielichu, ale moi bracia utkwili wzrok w talerzach.

- Zdaje się, że okazałbym wielką nieroztropność - rzekł z wysiłkiem Jo - gdybym wyrzekł pod waszym adresem, choć słowo potępienia, ale...

- Istotnie, byłyby to wielka nieroztropność - przerwał mu Richard i położywszy na chwilę dłoń na ramieniu Josepha, wstał od stołu. - Do koni, chłopaki. Honor, odprowadzę cię do twojej komnatki. Dobranoc; panowie.

Jeśli w oczach rodziny zachowałam dotąd, choć krztynę godności; to teraz moja dobra reputacja rozwiąła się doszczętnie. Richard odesłał Matty do kuchni, ułożył mnie na łóżku i usiadł obok.

- Byłoby znacznie lepiej, gdybyś wróciła ze mną do Buckland. Twoi bracia to osły, a co do Champernowne'ów, to mam u siebie dwóch i są nic niewarci. Pamiętasz Edwarda, tego, który chciał się z tobą żenić? Kompletny półgłówek!

- Ciekawe, co miałabym do roboty w Buckland, pośród tych wszystkich żołnierzy? Co by o mnie pomyślano?

- Mogłabyś doglądać szczeniaka i zabawiać mnie wieczorami. Czasem mam serdecznie dość żołnierskiej kompanii.

- Jest mnóstwo kobiet, które chętnie cię zadowolą.

- Jeszcze takiej nie spotkałem.

- Sprowadzaj je sobie z opłotków, a rano odsyłaj. To znacznie wygodniej, niż trzymać mnie pod ręką od świtu do zmierzchu,

- Mój Boże! I ty myślisz, że po całodziennej harówce i wypruwaniu flaków pod Plymouth mógłbym jeszcze tarzać się z jakąś tłustą babą? Stanowczo mi pochlebiasz. No siedźże cicho, kiedy cię całuję!

Pod oknem, na podjeździe Joseph z Dickiem wprowadzali konie.

- Jeszcze, kto wejdzie! - próbowałam się bronić.

- A niech tam! Co mnie to, do diabła, obchodzi!

Ba! Żebym to ja potrafiła wykrzesać z siebie tyle samo pogardy dla domu mego brata... Zanim wyszedł, zrobiło się

całkiem ciemno, a mnie serce biło z taką samą trwogą, jak osiemnaście lat temu przy złączeniu z jabłoni.

- Nie przyjechałam do Radford, żeby się tak zachowywać - wykrztusiłam.

- Mam bardzo złe mniemanie o pozostałych powodach, dla których się tu znalazłaś.

Pomyślałam o braciach i bratowej, wciąż jeszcze siedzących przy stole, o dwóch chłopcach oprowadzających konie w świetle gwiazd...

- Stawiasz mnie w bardzo niezręcznym położeniu.

- Nic się nie martw, kochanie, przecież zrobiłem to już wcześniej!

Stał z ręką na klamce i śmiał się bezczelnie. Miałam ochotę rzucić w niego poduszką.

- Dwulicowi prawnicy, powiadasz? A ty sam ile masz twarzy? Ten chłopak... Joseph... Czy nie mówiłeś mi, że to twój krewniak?

- Bo tak jest!

- A jego matka?

- To mleczarka z Killigarth, najzaciejsza dusza pod słońcem. Jest teraz żoną farmera i matką tuzina krzepkich dzieciaków.

- Jak znalazłeś Josepha?

- Ze dwa lata temu, kiedy wróciłem z Niemiec, a jeszcze nie wyruszyłem do Irlandii, zaszedłem do jego matki, żeby kupić trochę sera i śmietany. Podobieństwo aż biło w oczy. Ona nie chowała żadnej urazy, uśmieśliśmy się w kuchni z całej sprawy, a że chłopak był na schwał, postanowiłem wziąć go do siebie. Teraz nie rozstałbym się z nim za żadne skarby świata.

- Takie historie zostawiają cierpki smak w ustach.

- Może w twoich, ja nic takiego nie czuję. Jesteś

przewrażliwiona, kochanie.

- Kiedy do mnie jeździłeś, mieszkałeś w Killigarth...

- Diabli nadali! Przecież nie jeździłem do ciebie codziennie!

Po chwili usłyszałam, jak śmieją się z czegoś pod oknem. Wsiedli na konie i pogalopowali aleją, a ja zostałam w łóżku i gapiłam się w sufit. Kwiat mej jabłoni, zawsze taki pachnący i biały, stracił jednak po latach część swego uroku i upodobił się do innych kwitnących drzew. Dawniej świadomość tego byłaby prawdziwą udręką, ale teraz, w wieku trzydziestu czterech lat, potrafiłam pogodzić się z losem.

Byłam święcie przekonana, że z samego rana odwiedzi mnie mój brat i oznajmi lodowatym tonem, iż nie pozwoli, by jego dom traktowano jak jakiś zamieszkanie dla żołnierzy. Doskonale znałam tego rodzaju wywody. Honor jego urzędu, dobro małoletniego syna, wzgląd na delikatne uczucia Phillipy... I jeszcze, że chociaż żyją w szczególnych czasach, a wojna często ujemnie wpływa na ludzkie zachowanie, to w naszej sferze nie wolno odstępować od pewnych zasad.

Właśnie zdecydowałam, że powinnam wyjechać do Mothercombe i zdać się na łaskę Cecylii (nawet wymyśliłam stosowne preteksty), gdy usłyszałam znajomy tupot żołnierskich nóg. Kazałam Matty wyjrzeć przez okno i po chwili wiedziałam: na podjazd wkracza kompania piechoty w barwach Grenville'ów. Mogło to tylko podsycić ogień, który i tak płonął w piersi mojego brata.

A jednak nie potrafiłam poskromić ciekawości i zamiast siedzieć w swoim pokoju jak dziecko spodziewające się kary, kazałam znieść się do hallu. Zastałam tam zaperzonego Joego, który wyklócał się z młodym, rumianolicym oficerkiem. Ten ostatni oświadczył chłodno i bez cienia skrepowania, że generał Grenville, uznawszy Radford za idealne miejsce do obserwacji nieprzyjacielskich baterii na Mount Batten, życzy sobie, by wydzielono mu część domu na tymczasowe kwatery. Czyj pan John Harris będzie uprzejmy wskazać jego wysłannikowi pokoje wychodzące na północny zachód?

Pan Harris, dodał oficer, nie będzie narażony na żadne niewygody, ponieważ generał sprowadzi własną służbę, kucharzy i zapasy żywności.



- Stanowczo protestuję! - usłyszałam głos mego brata.  
- Nie macie żadnego prawa! Ten dom nie nadaje się dla żołnierzy, a ja sam pracuję w pocie czoła na rzecz hrabstwa i...

Oficer przerwał mu w pół zdania:

- Pan generał ma nakaz Jego Królewskiej Mości, upoważniający go do zajęcia dowolnej rezydencji w Devonie i Kornwalii. Ma już zresztą swoje kwatery w Buckland, Werrington i Fitzford, przy czym tamtejsi mieszkańcy zostali zmuszeni do opuszczenia domów. Oczywiście w stosunku do was generał nie chce stosować tak drastycznych środków. Mogę zobaczyć te pokoje?

Mój brat patrzył na niego przez chwilę z zaciśniętymi ustami. Potem odwrócił się na pięcie i poprowadził oficera schodami, z których dopiero, co mnie zniesiono. Starłam się unikać jego wzroku.

Przez cały rano kompania piechoty rozlokowywała się w północnym skrzydle. Z wysokiego okna hallu widziałam kucharzy i chłopców kredensowych kręcących się przy kuchennym wejściu. Wnosili oskubane kury i kaczki, półcie bekonu oraz mnóstwo skrzyń z winem. Phillipa, która usiadła przy mnie z robótką, powiedziała oględnie:

- Generał Jego Królewskiej Mości lubi sobie dogodzić, takich zapasów nie widziałam od początku oblężenia Plymouth. Jak myślisz, skąd on to wszystko bierze?

Przyglądałam się akurat swym paznokciom, które pilnie potrzebowały przycięcia, więc nie musiałam patrzeć jej w oczy.

- Z wielu dworów... które ma pod swoimi rozkazami.

- Ale Percy mówił - upierała się, doprowadzając mnie do szału swym spokojem - że sir Richard nie pozwala ludziom plądrować domów.

- Może - rzuciłam obojętnie - sir Richard uważa, że kaczkę i burgund to tylko uboczna zdobycz wojenna.

Niebawem Phillipa odeszła do swego pokoju, więc kiedy na schodach pojawił się Jo, siedziałam sama.

- No? - rzekł tonem niewróżącym niczego dobrego. - To pewnie to bieżące zawdzięczamy tę inwazję.

- Nic o tym nie wiem.

- Nonsens! Uknuliście to dziś w nocy.

- Ależ nie!

- Cóż, więc z nim robiła za zamkniętymi drzwiami?

- Chyba... ożywiałyśmy dawne wspomnienia.

- Sądziłem, droga Honor - rzekł po krótkim milczeniu - że w twojej obecnej kondycji nawet rozmowa o dawnej zażyłości jest nie do przyjęcia, a coś dopiero „ożywianie wspomnień”!

- Też byłam tego zdania.

Patrzył na mnie z góry z zaciśniętymi ustami.

- Już jako młoda dziewczyna nie miałaś cienia wstydu. To nasza wina, bośmy cię rozpuścili jak dziadowski bicz. A teraz... Żeby kobieta w twoim wieku zachowywała się niczym dziewczka od krów!

- O, wypraszam sobie. Wcale nie jak dziewczka.

- Miło mi to słyszeć. Ale my w jadalni odnieśliśmy zupełnie i wrażenie. Reputacja sir Richarda jest powszechnie znana. Kiedy znika się na godzinę i trzy kwadransy z kobietą, to przychodzi mi do głowy tylko jeden powód.

- A mnie, co najmniej tuzin.

Po tej wymianie zdań wiedziałam, że jestem wyklęta po wsze czasy, toteż bynajmniej się nie zdziwiłam, kiedy zostawił mnie, nie szukając, dalszych argumentów. Na odchodnym wyraził tylko życzenie, żebym z większym szacunkiem odnosiła się do „tego dachu”, chociaż wedle

mnie bardziej pasowałoby słowo „sufit”.

Przez cały dzień byłam w cynicznym nastroju i bynajmniej nie czułam żadnej skruchy.

Wieczorem przyjechał Richard. Tryskał humorem i z miejsca kazał podkomendnym szykować obiad dla dwóch osób. Zajadając w apartamencie pana generała pieczoną kaczkę, myślałam ze złośliwą satysfakcją o moich krewnych, siedzących w ponurym milczeniu na dole.

- Nie chciałaś przyjechać do Buckland, więc musiałem sprowadzić się tutaj - oświadczył mi na wstępie.

- Niedobrze jest szukać zwady z braćmi swej kobiety.

- Robin wyjechał do Tavistock z konnicą Berkeleya, a Percy'ego wysyłam z delegacją do króla. Zostaje tylko Jo. Może uda się go spławić do królowej Francji?

Zawiązał dla pamięci supeł na chustce.

- A kiedy Plymouth wreszcie skapituluje? - spytałam.

Pokręcił wolno głową.

- Całe diabelstwo tkwi w tym, że od czasu naszej kornwalijskiej kampanii zdążyli dokonać umocnień. Gdyby Jego Królewska Mość posłuchał mojej rady i zabawił tu ze swą armią raptem dwa tygodnie dłużej, miasto byłoby już nasze. Ale nie. Wolał zaufać Hyde'owi i pomaszerować na Dorset, a ja znów stoję tam, gdzie stałem w zeszłoroczną Wielkanoc, tylko uboższy o tysiąc ludzi.

- Więc nigdy nie weźmiesz Plymouth?

- Nie, dopóki nie powiększę armii o następny tysiąc. Staram się, jak mogę, żeby pozyskać rekruta. Ścigam dezertersów, wcielam nowych ochotników. Ale żołnierzom trzeba płacić, inaczej nie staną do walki i trudno im się dziwić. Czemu, u diabła, mieliby się bić?

- Skąd masz tego burgunda?

- Z Lanhydrock. Nie posądzałem Jacka Robartesa o

taką dobrą piwniczkę. Wszystkie butelki zabrałem do Buckland. Co do jednej. - Wyciągnął kielich w stronę światła i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Wiesz, że lord Robartes kazał splądrować Menabilly tylko i wyłącznie w odwecie za to, co ty zrobiłeś z jego posiadłością?

- To wyjątkowy głupiec.

- Pod tym względem nie różnicie się od siebie. Rojalista wyrządza tyle samo szkód co rebeliant. Pewnie Dick ci powiedział, że była z nami Gartred?

- A czegoż tam szukała?

- Srebra Kornwalii.

- Ha! Bardzo sprytnie. Sam bym go chętnie poszukał, przynajmniej miałbym z czego płacić żołąd.

- Była w doskonałych stosunkach z lordem Robartesem.

- Jeszcze nie spotkałem mężczyzny, którego by nie lubiła.

- Myślę, że mogła szpiegować na rzecz parlamentu.

- I tu się mylisz. Gartred zrobi wszystko, żeby dopiąć celu, ale co to, to nie. Zapominasz o starej prawdzie: z trzech kornwalijskich rodów; Godolphinom nigdy nie brakowało rozumu, Trelawneyom odwagi, a Grenville'om wierności koronie. Gartred to krew z krwi i kość z kości Grenville'ów, choćby sypiała z połową hrabstwa.

Brat zawsze będzie trzymał stronę siostry, pomyślałam. Może Robin w tej chwili czyni to samo dla mnie?

Richard wstał i patrzył przez okno na majaczące w oddali Cattwater i Plymouth.

- Dziś - odezwał się cicho - postawiłem wszystko na jedną kartę. Może coś z tego wyjdzie, a może nie. Jeśli się

uda, o świcie Plymouth obędzie nasze.

- Jak to?

Nadal wpatrywał się w migocące światła Plymouth.

- Nawiązałem kontakt z zastępcą dowódcy garnizonu, niejakim pułkownikiem Searle. Jest możliwość, że za sumę trzech tysięcy funtów zgodzi się poddać miasto. Chyba warto spróbować nawet przekupstwa, zanim poślę na śmierć następnych żołnierzy.

Milczałam. Plan wydał mi się ryzykowny i niezbyt ładnie pachniał.

- Jakżeś tego dokonał?

- O zachodzie słońca pchnąłem Josepha na tamtą stronę. Chyba już jest w mieście. Dałem mu pismo do pułkownika z obietnicą wypłaty trzech tysięcy funtów.

- Nie podoba mi się taki układ. Nic dobrego z niego nie wyniknie.

- Może masz rację, ale warto spróbować. Niezbyt mi się uśmiecha, trykanie łbem o mury Plymouth przez całą zimę.

Pomyślałam o młodym Joem i jego zuchwałych, brązowych oczach.?

- A jeśli go złapią?

Richard uśmiechnął się z wyższością.

- To łebski chłopak, potrafi się pilnować.

Ale mnie stanął przed oczami lord Robartes - taki, jakim widziałam go ostatnio: w zabłoconych butach, zmoknięty, rozgoryczony i z pianą na ustach po porażce. Jakże on musiał nienawidzić Grenville'ów!

- Zamierzam wcześniej wstać, zanim się obudzisz. Jeśli koło południa usłyszysz salwy ze wszystkich dział w mieście, dowiesz się, że wkroczyłem do Plymouth po błyskawicznej i bardzo krwawej bitwie.

Ujął w dłoń moją twarz, ucałował mnie i życzył dobrej nocy. Ale ja nie mogłam zmrużyć oka. Podniecenie wywołane jego obecnością w domu zmieniło się w nerwowe napięcie. Intuicja wciąż mi podpowiadała, że Richard postawił na złą kartę.

Słyszałam, jak odjeżdżał ze swymi ludźmi około wpół do szóstej. Dopiero wtedy, śmiertelnie zmęczona, z nieznośnym wirowaniem w głowie, zapadłam w ciężki sen.

Obudziłam się dobrze po dziesiątej. Dzień był szary, w powietrzu pachniało jesienią. Nie chciało mi się jeść śniadania ani nawet wstać; zostałam w łóżku. Słyszałam domowe hałasy oraz kroki żołnierzy w ich skrzydle. Koło południa podniosłam się na łokciu i patrzyłam na rzekę. Pięć po dwunastej. Kwadrans. Wpół do pierwszej. Żadnych salw: nawet jednego wystrzału z muszkietu... O drugiej zaczął kropić deszcz, potem się przejaśniło i znowu rozpadało. Dzień włókł się w nieskończoność i cały czas nurtowało mnie przecucie nieszczęścia. O piątej Matty przyniosła mi obiad, który ledwie skubnęłam. Zapytałam, czy nie słyszała, jakich nowin, ale odpowiedziała, że nie. Dopiero później, kiedy odniosła tacę i wróciła, by zasunąć story, zobaczyłam, że ma ponurą minę.

- O co chodzi? - spytałam.

- Jeden z ludzi sir Richarda mówił strażnikom, że w Plymouth wynikły jakieś kłopoty. Ponoć lord Robartes pojmał najzdolniejszego z młodych oficerów i Rada Wojenna skazała go na śmierć. Sir Richard przez cały dzień próbował go wykupić, ale mu się nie udało.

- A kto to taki?

- Nie wiem.

Opadłam znów na łóżko, osłaniając oczy przed blaskiem świecy. Przeczucia nigdy jeszcze mnie nie

zawiodły, zwłaszcza, jeśli nie opuszczały mnie przez całą noc i dzień. Może ludzie ułomni mają szczególną intuicję? Później usłyszałam stukot kopyt na podjeździe i trzask obcasów przełazących się na baczność wartowników. Kroki na schodach po wolne, ciężkie... potem takie same na korytarzu. Trzasnęły jakieś drzwi i zapadła cisza. Długo leżałam na plecach, czekając i nasłuchując. Tuż przed północą usłyszałam, że do mnie idzie. Przez chwilę obmacywał drzwi w poszukiwaniu klamki, gdyż świece były już pogaszone i panowała ciemność. Domownicy spali. Podeszedł do mnie i ukląkł przy łóżku. Położyłam mu rękę na głowie i mocno go przytuliłam. Długo nie ruszał się z miejsca, nie mówiąc ani słowa.

- Opowiedz! - szepnęłam. - Może ci ulży.

- Powiesili go! Powiesili nad bramą miejską, tak żebyśmy widzieli.

Posłałem kompanię żołnierzy, aby go odcięli, ale skosił ich ogień z muszkietów. Powiesili go na moich oczach...

Teraz, kiedy koszmar już się dokonał, po całym dniu nerwowego wyczekiwania na najgorsze, popadłam w stan odrętwienia, które ogarnia nas zawsze w takich sytuacjach, szczególnie, gdy cierpienie nie dotyka nas osobiście.

To była bitwa Richarda. Nie mogłam jej wygrać z niego. Mogłam najwyżej trzymać go mocno w ramionach.

- Ten szur Searle... - mówił łamiącym się głosem, tak bardzo odmiennym od normalnego - zdradził cały plan, dlatego złapali chłopaka. Sam poszedłem pod mury, żeby paktować z Robartesem. Proponowałem mu okup albo wymianę, co tylko zechce, ale nawet mi nie odpowiedział. I właśnie, kiedy czekałem, powiesili Joego nad bramą...

Nie mógł dalej mówić. Złożył głowę na mej piersi, a ja

trzymałam go za ręce, które zaciskał z całej siły na kołdrze.

- Jutro mogło go spotkać to samo - powiedziałam. - Kulka w głowę. Pchnięcie piką. Niefortunny upadek z konia. Takie rzeczy zdarzają się każdego dnia. Jest wojna, postaraj się spojrzeć na to z tej strony. Joseph zginął w twojej służbie, tak jak tego pragnął.

- Nie - odrzekł stłumionym głosem. - To moja wina. Będę dźwigał ten ciężar przez całą wieczność. Błąd w ocenie, zła decyzja.

- On by ci wybaczył. Na pewno by zrozumiał.

- Co z tego? Ja sam nie potrafię sobie wybaczyć i to moja największa tortura.

Pomyślałam o wszystkich sprawach, które chciałam mu uświadomić. Że nie jest i nigdy nie był nieomylny, a ten cios to nic innego, jak okrutna kara za pychę, odwet za złe traktowanie jeńców. Oko za oko... Okrucieństwo rodzi okrucieństwo, zdrada prowadzi do zdrady - wszystkie wady, które rozwijał w sobie przez ostatnie lata, skrupiły się teraz na nim i wzięły srogi odwet.

Rebelianci nie zapomnieli o perfidii, z jaką na wiosnę wkradł się w łaski parlamentu, a potem uciekł do króla, wraz z wojskowymi sekretami. Nie zapomnieli też o egzekucjach bez sądu, o jeńcach skazanych na śmierć w zamku Lydford ani o długich rzędach szubienic na placu targowym w Saltash. Lord Robartes zaś, któremu Richard splądrował dom, w pozbawieniu życia posłańca, oferującego pieniądze za zdradę, widział tylko akt srogiej sprawiedliwości. Natomiast prawdziwa ironia Szatana czy też Boga polegała na tym, że ów posłaniec był nie tyle dalekim krewnym, ile synem generała Grenville'a.

To wszystko uświadomiłam sobie, kiedy trzymałam Richarda w ramionach. Teraz, myślałam, w jego życiu



nastąpił przełom. Richard stanął u rozstajnych dróg. I albo wyciągnie z tej tragedii wnioski, że okrucieństwem niczego nie dokona, każda zaś nieuczciwość rodzi akt odwetu, a nie licząc się ze zdaniem innych, przemieni z czasem każdego przyjaciela we wroga - albo też nie nauczy się niczego i nadal pozostanie przez długie miesiące i lata głuchym na wszelkie rady, pozbawionym skrupułów, zgorzkniałym Skellumem Grenville'em z ceną wyznaczoną na swą głowę. Rudym Lisem, którego po wieczne czasy będzie się podawać za przykład braku rycerskości, zniechęconym przeciwnictwem swego powszechnie kochanego brata.

- Richardzie... - szepnęłam. - Richardzie, moja jedyna miłości...

Ale on w tym momencie wstał, podszedł wolno do okna i odsunąwszy zasłony, stał w świetle księżycy z ręką na szpadzie i twarzą ukrytą w cieniu.

- Pomszczę go! - wybuchnął. - Pomszczę go życiem każdego, kto mi wpadnie w ręce! Żadnej łaski, żadnego pardonu, nikogo nie będę szczenił! Od tej chwili mam tylko jeden cel: wydusić rebeliantów. A by tego dokonać, muszę mieć dowództwo nad armią, inaczej mi się nie uda. Nie będę już dyskutował z równymi sobie ani słuchał rozkazał tych, którzy stoją wyżej. Jego Królewska Mość mianował mnie generałem na Zachodzie i klnę się na Boga, że cały świat się o tym dowie.

Zrozumiałam tedy, że ciałem i duszą Richarda zawładnęła ta gorsza część jego istoty. Teraz nic nie pomoże, cokolwiek powiem czy zrobię, nie ma już dla niego przyszłości. Gdybyśmy byli mężem i żoną albo, chociaż prawdziwymi kochankami, może nauczyłabym się łagodzić jego wady krok po kroku, poprzez codzienną zażyłość, ale tak? Los i okoliczności uczyniły mnie, co najwyżej cieniem

ukochanego, złudą tego, czym być powinnam. Dziś przyszedł, bo mnie potrzebował, ale żadne łzy, protesty czy zapewnienia o miłości aż po grób nie odwiodłyby go od podążania ku złej, ciemnej gwiazdce, która go wabiła.

Przez następne pół roku Richard mieszkał w Radford. Chociaż jego główna kwatery nadal mieściła się w Buckland, chociaż od czasu do czasu przemierzał Devon i Kornwalię, prowadząc zaciąg rekruta, kompania żołnierzy stacjonowała nadal w domu mego brata, a pokoje generała musiały być utrzymywane w gotowości.

Oficjalny pretekst stanowiła konieczność stałej obserwacji Mount Batten i Mount Stamford. Chociaż odpowiadało to prawdzie, nie mogłam nie widzieć zaciśniętych ust mego brata ani tego, że Percy i Phillipa zmieniali temat rozmowy, ilekroć padło imię generała. Dobrze wiedziałam, że mnie obarczają winą za ten dość osobliwy wybór kwatery. A kiedy Richard ze swym sztabem przyjeżdżał na jedną lub dwie noce i już od progu domagał się mego towarzystwa przy obiedzie tete-a-tete, na dole od razu zaczynało się rozdzieranie na strzępy tego, co zostało z mej reputacji. Naszą przyjaźń uważano za dziwaczną i niefortunną; kto wie, gdybym wtedy machnęła ręką na rodzinę i wyjechała z nim do Buckland, może byłoby to najlepsze rozwiązanie dla nas wszystkich. Tego jednak uparcie odmawiałam, choć nawet teraz nie potrafię podać powodu - w końcu nie wszystko można wyrazić słowami. Zawsze na dnie mej duszy czaiła się obawa, że decydując się na wspólne życie w zbyt wielkiej zażyłości, stanę się dla Richarda ciężarem, a miłość, jaką mamy ku sobie, przyniesie nam tylko zawód. W Radford to on szukał mego towarzystwa, znajdując przy mnie spokój i odprężenie, balsam i podniecie. Bez względu na to, w jakim był nastroju - apatycznym czy bojowym, potrafiłam się doń dostosować.

Ale gdyby miał mnie na każde zawołanie, gdybym zajmowała w jego domu jakiś stały kącik, stopniowo zaczęłyby odczuwać ciężar niewidzialnego łańcucha obowiązków, jakie żona nakłada na męża, i nasza cudowna swoboda rozpadła by się w drobny mak. Świadomość mego kalectwa, jak dotąd pomijanego milczeniem i w zasadzie zapomnianego, w Buckland stanowiłaby dla mnie nieustanny wyrzut sumienia. Poczucie bezradności i upośledzenia toczyłoby niczym robak mój mózg i nawet w chwilach największej czułości diabeł szeptałby mi do ucha: „Nie tego pragnie twój miły, nie tego...”

Oto moja największa wada: brak pokory. Chociaż szesnaście lat dyscypliny nauczyło mnie godzić się z kalectwem i przyjmować je z rezygnacją, duma nie pozwalała mi dzielić tego ciężaru z ukochanym. O Boże, co bym dała, żeby móc z nim spacerować, jeździć konno, poruszać się żwawo i z gracją...

Nawet Cyganka pod płotem czy żebraczka w rynsztoku mają więcej godności niż ja. Richard często powtarzał, uśmiechając się znad kielicha: „Za tydzień przyjedziesz do Buckland. Jest tam komnatka na wieży z widokiem na całą dolinę aż po wzgórze. Kiedy Drake [Sir Francis Drake (ok. 1540-1596) - admirał i odkrywca, pierwszy Anglik, który opłynął kulę ziemską, odegrał istotną rolę w rozgromieniu hiszpańskiej floty, tzw. Niezwyciężonej Armady. Trudnił się też piractwem, o czym ze względu na rację stanu wołała nie wiedzieć jego protektorka, królowa Elżbieta I.] kupił Buckland, mój dziad, który walczył na Zemście, [Sir Richard Grenville (1542-1591) - zastępca dowódcy na słynnym okręcie „Revenge”, zasłużonym w walkach z hiszpańską flotą.] zaanektował ją dla siebie i wszystkie ściany obwiesił mapami. Mogłabyś tam sobie

leżeć, snując marzenia o przeszłości i Wielkiej Armadzie. Wieczorami zaś klękałbym przy twym łóżku i moglibyśmy udawać, że jabłoń w Lanrest nadal okryta jest kwieciami, a ty masz osiemnaście lat”.

Niemal widziałam tę komnatkę - tak wyraziście ją opisywał. Okno z widokiem na wzgórze... w dole namioty żołnierzy, z wieży powiewa szkarłatno-złoty proporzec... Widziałam też tę drugą Honor (może nawet lady Honor? ), przechadzającą się u jego boku po tarasie.

Mimo to uśmiechałam się tylko i kręciłam przecząco głową.

- Nie, Richardzie. Nie pojedę do Buckland.

I tak minęła jesień, a niebawem zaczął się nowy rok. Cały Zachód dzielnie trzymał stronę króla i tylko Plymouth, Lyme i Taunton uparcie odpierały wszelkie próby ujarznienia, tym bardziej że dwa porty zajęte przez flotę rebeliantów nadal odsuwały od obleganych widmo głodu.

Wiadomo było, że póki załogi owych miast nie złożą broni, rojaliści nie poczują się na Zachodzie w pełni bezpieczni, a choć ich przywódcy nie tracili ducha, lecz wręcz przeciwnie - demonstrowali wielką pewność siebie, udręczona ludność w całym kraju miała już serdecznie dość wojny, która przynosiła same straty oraz wyższe podatki. Przypuszczam, że i rebelianci byli tego zdania, gdyż u nich także codziennie zdarzały się dezercje. Ludzie chcieli wrócić do domów i zająć się własnymi sprawami. Ten zatarg nic ich nie obchodził, nie mieli chęci walczyć ani za króla, ani za parlament. „Oby was wszystkich mór wydusił!” - takie okrzyki słyszało się po obu stronach.

W styczniu Richard został szeryfem Devonu. Wsparty autorytetem swego urzędu mógł powoływać nowego rekruta i czynić zaciągi, ale sposób, w jaki się do tego zabierał, wcale

się nie podobał komisarzom hrabstwa. Nie licząc się z ich uczuciami, domagał się ludzi i pieniędzy jako tego, co mu się słusznie należy, a pod pierwszym lepszym pretekstem aresztował dziedziców i trzymał ich w więzieniu, póki mu się nie j opłacili.

Nie były to pogłoski powtarzane przez mego brata, ale szczerze wyznania samego Richarda. Zawsze pozbawiony skrupułów tam, gdzie szło o pieniądze, teraz, kiedy musiał utrzymać armię, zatracił wszelkie poczucie przyzwoitości. Ciągłe powtarzał te same argumenty:

- Kraj jest w stanie wojny. Jako zawodowy żołnierz nie będę dowodził ludźmi, którym się nie płaci. Ponieważ Jego Królewska Mość mianował mnie generałem, muszę wykarmić, odziać i uzbroić powierzonych mi żołnierzy, aby zachowywali się, jak przystało na królewskie wojsko, a nie włóczyli w łachmanach po okolicy, napadając na cywilów niczym rozpasana banda pod tak zwanym dowództwem Berkeleyya, Goringa i innych. Żeby wywiązać się z mego zadania, potrzebuję pieniędzy i dlatego muszę dobrać się do kieszeni kupców i szlachty Devonu oraz Kornwalii.

Myślę, że ci ostatni z każdym dniem nienawidzili królewskiego generała coraz bardziej, za to zwykli ludzie darzyli go coraz większym szacunkiem. Zdobył poważanie dzięki wzorowej dyscyplinie, jaką zaprowadził w swych oddziałach. Sława ich szybko rozprzestrzeniła się na wschodnie hrabstwa i chyba to właśnie stało się solą w oku innych dowódców. Żaden z nich nie był, jak Richard, zawodowym żołnierzem. Kiedy wybuchła wojna, zostali mianowani generałami z racji swego urodzenia i majątku, w przekonaniu, że natychmiast poprowadzą swe armie do zwycięstwa. Niestety jako dżentelmeni, oddający się dotąd wyłącznie rozrywkom, nie mieli żadnego doświadczenia.

Choć wielu z nich odznaczało się prawdziwym męstwem, wojna jawiła im się jako dzika szarża na spienionych koniach, niebezpieczna i zuchwała, dająca więcej emocji niż polowanie z sokołem. Po walce wodzom należy się odpoczynek na kwaterach przy dobrym jedzeniu, napitkach i grze w karty. A żołnierze? Cóż, niech sami się o siebie zatroszczą. Mogą plądrować wioski, łupić biedaków, oszczędzając w ten sposób dowódcom mnóstwa kłopotów. Toteż wyobrażam sobie irytację owych panów, gdy wszędzie wychwalano pod niebiosa oddziały Grenville'a, który nie dość, że karmił i odziewał swych ludzi, ale jeszcze im płacił. Sir John Berkeley, dowódca oddziałów w Exeter, który wciąż musiał słuchać skarg na konnicę lorda Goringa i piechotę lorda Wentwortha, z zadowoleniem, jak sądzę, meldował głównemu wodzowi, księciu Maurycemu, że chociaż ludzie Grenville'a trzymani są w korbach, to o nim samym nie da się powiedzieć dobrego słowa, a mimo całego gadania o paleniu ogniem i wieszaniu rebelianckich jeńców, Plymouth nadal się trzyma.

Richard cytował mi czasem ze śmiechem listy, jakie otrzymywał od Johna Berkeleyya. Berkeley, który nie miał wiele do roboty w Exeter, w zawołanych aluzjach dawał mu do zrozumienia, że byłoby znacznie lepiej dla niego samego i sprawy króla, gdyby Richard zgodził się zamienić z nim na stanowiska.

- Oczekują, że rzucę moich chłopców na rebelianckie umocnienia, wytracę trzy czwarte armii w jednym szturmie, a za tydzień powołam pięciuset nowych rekrutów. Gdybym miał pod dostatkiem wojska i amunicji, w ciągu trzech dni obróciłbym Plymouth w perzynę, ale z tą garstką, jaką dysponuję, nie zredukuję ich sił do wiosny. Mogę tylko gnębić drani dniem i nocą, a Digby nawet tego nie potrafił.

Blokada Plymouth od strony lądu była szczelna, ale cieśnina nadal pozostawała we władzy rebeliantów, toteż zaopatrzenie i posiłki nadchodziły bez przeszkód drogą morską. Ot i prawdziwy powód ich sukcesu! Richard, jako dowodzący oblężeniem, mógł najwyżej nękać obrońców niespodziewanymi atakami na najbardziej wysunięte pozycje, w nadziei, że prędzej czy później osłabiona załoga będzie musiała się poddać.

Przy tak beznadziejnym, wyczerpującym zadaniu cały blask sławy opromieniał wyłącznie bohaterskich obrońców za murami miasta.

Zaraz po Bożym Narodzeniu Richard postanowił wysłać Dicka z guwernerem do Normandii.

- W Buckland nie ma dla niego życia - dowodził. - Od śmierci Josepha wartownik nie spuszcza ze szczeniaka oka dniem i nocą, a i tak nie mam chwili spokoju, gdyż nieprzyjaciel może w każdej chwili spróbować wycieczki. Niech, więc jadą obaj do Caen albo do Rouen, a gdy wojna się skończy, sprowadzę ich na powrót.

- A nie pomyślałeś, że mógłbyś wysłać go do Londynu, do matki

Spojrzał na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

- Miałbym oddać go tej suce i pozwolić, żeby wyrósł na jeszcze większego gada, niż jest? Prędzej pošlę go do Robartesa, niech i jego powiesi.

- Przecież Dick ją kocha. To jego matka.

- Szczeniak też garnie się do suczego cycka, ale kiedy go odstawią szybko zapomina znajomego zapachu. Mam już tylko jednego syna Honor. Jeśli nie dopilnuję, żebym mógł być kiedyś z niego dumny, to nic mi po nim.

I zmienił temat rozmowy. Upomniałam się w duchu, że mam, czego chciałam. Sama postanowiłam być



powierniczką i przyjaciółką, a ni żoną czy kochanką, więc nie powinnam mu dyktować, jak ma postępować z własnym synem. Niebawem Dick przyjechał do Radford, żeby się ze mną pożegnać. Zarzucił mi ręce na szyję i powiedział, że bardzo mnie kocha.

- Szkoda - westchnął - że nie jedziesz ze mną do Normandii.

- Może niedługo wrócisz - pocieszałam go. - A poza tym będzie to miła odmiana. Poznasz nowe miejsca, nowych przyjaciół i poczujesz się szczęśliwy.

- Ojciec nie pozwala mi mieć przyjaciół. Słyszałem, jak mówił o tym panu Ashleyowi. Podobno w Caen jest teraz mało Anglików i właśnie, dlatego jadę tam, a nie do Rouen. Mam z nikim nie rozmawiać i nigdzie nie chodzić bez wiedzy i zgody mego opiekuna. Wiem, o co mu chodzi. Boi się, żebym nie poznał kogoś zaprzyjaźnionego z matką.

Na to zabrakło mi argumentu, bo czułam, że to prawda.

- Nie poznam cię pewnie po powrocie - powiedziałam z wymuszonym uśmiechem. - Dobrze wiem, jak chłopcy w twoim wieku potrafią rosnać. Widziałam, jak to było z moim bratem Percym. Za sześć miesięcy cy zmienisz się w młodzieńca z lokami do ramion. Może będziesz pisał wiersze...

- O tak, wiersze! - burknął z goryczą. - Szczególnie jeśli po całych dniach będę gadał po francusku z panem Ashleyem...

Gdybym była jego prawdziwą macochą, może bym do tego nie dopuściła, ale wtedy pewnie by mnie znienawidził. Cóż, nie ma wyjścia z tej matni. Dick musi stawić czoło przyszłości, tak samo jak jego ojciec. I tak ostatniego dnia grudnia mój niedoszły pasierb odplynał ze swym lękliwym

guwernerem do Normandii, uwożąc ze sobą banknot dwudziestofuntowy, czyli wszystko, co generał Jego Królewskiej Mości na Zachodzie zdołał zaoszczędzić, a także moją miłość i błogosławieństwo, które i tak nie mogły mu pomóc. Kiedy statek kołysał się na wodach Kanału pomiędzy Falmouth a St Mało, Richard przypuścił atak na Plymouth i tym razem miał to być szturm ostateczny. Widzę go teraz, jak w swym północnym pokoju w Radford pochyła się nad mapą umocnień miasta. Kiedy poprosiłam, by dał mi spojrzeć, rzucił mi ją ze śmiechem i powiedział, że żadna kobieta nie połapie się w jego znaczkach i krzyżykach.

I miał rację, bo nigdy jeszcze nie widziałam mapy tak upstrzonej różnymi kropkami i kreskami. Ale nawet moje niewprawne oko zauważyło, że rozplanowanie środków obrony robi potężne wrażenie. Zanim atakujący dotrą do środka miasta, będą musieli pokonać cały łańcuch zewnętrznych fortów, czyli „dzieł”, jak je określał Richard. Podszedł do mnie z piórem w rękę i pokazywał mi czerwone punkciki na mapie.

- Tu, na północy mamy cztery dzieła w jednej linii: Pennycomequick, Maudlyn, Holiwell i Lipson. Zamierzam zdobyć je wszystkie, a gdy raz się tam ulokujemy, zwrócimy działa przeciw załodze za murami. Główna siła natarcia pójdzie na Maudlyn, bo pozostałe mają właściwie na celu zmylenie przeciwnika. - Był w świetnym humorze, jak zwykle przed ważnym posunięciem, i nagle, zwinąwszy mapę, zapytał:

- Nigdy jeszcze nie widziałaś moich zuchów w pełnym wojennym rynsztunku, co? Chciałabyś na nich popatrzeć?

Uśmiechnęłam się lekko.

- Zamierzasz zrobić ze mnie swego adiutanta?

- Nie, zamierzam oprowadzić cię po posterunkach.

Była trzecia po południu mroźnego, styczniowego dnia. Jeden z wozów posłużył mi za lektykę i wraz z Richardem, który konno jechał u mego boku, wyruszyliśmy na przegląd wojsk.

To, co wtedy zobaczyłam, do dziś wspominam z podziwem i dumą, chociaż oblężenie Plymouth dawno odeszło w niepamięć, a jedyny po nim ślad stanowią dokumenty ukryte w miejskich archiwach. Główna część armii rozłożyła się na polach za niewielką osadą Egg Buckland (nie mylić z Buckland Monachorum, główną kwaterą Richarda). Ponieważ nie uprzedziliśmy o naszym przybyciu, nie odbyło się żadne uroczyste powitanie. Żołnierze zajmowali się własnymi sprawami, przygotowując się do jutrzejszego szturmu.

Na pierwszy sygnał, że nadjeżdża sam generał, straż obozowa poderwała się na baczność.

Ze środka odezwał się bęben, zawtórował mu z oddali drugi, a potem trzeci i czwarty. Przez chwilę wszystko drżało od głuchego łoskotu, gdyż w każdej kompanii bito na alarm. Zaraz też z głowicy masztu załopotał dumnie w przejrzystym, mroźnym powietrzu szkarłatny proporzec z trzema złotymi tulejami.

Podeszło dwóch oficerów i zasalutowało szpadami, co Richard skwitował nieznacznym gestem. Wyniesiono mnie z wozu i wraz z młodym, rosnącym kapralem, który popychał mój fotel, ruszyliśmy na obchód obozu.

Jeszcze teraz mam w nozdrzach zapach dymu z ognisk, wznoszącego się w górę błękitnymi pierścieniami, a w oczach widok mężczyzn pochylonych nad cebrzykami albo kłęczących przy kociołkach. Wszyscy na nasz widok przeżyli się na baczność. Piechota i konnica zajmowała odrębne kwatery; nasz przegląd zaczęliśmy od piechoty. Służyły tam

rosłe chłopiska, gdyż Richard gardził niskimi mężczyznami i nie brał ich do swego wojska. Mieli ogorzałe twarze i wyglądali dość czysto - zdaniem Richarda, wskutek obozowania na świeżym powietrzu.

- Wojsku Grenville'a nie wolno kwaterować po chałupach. To zawsze kończy się tak samo: gnuśnością i rozprężeniem.

Miałam świeżo w pamięci regiment rebeliantów, który zajął Menbilly. Chociaż na pierwszy rzut oka wyglądali niezwykle groźnie w swych przylegających ciasno hełmach i mundurach, po paru tygodniach stracili cały wigor, poczęli zarastać brudem, aż wreszcie w obliczu klęski, kiedy zmykali w panicznej ucieczce, przypominali już tylko miejski motłoch, nie wojsko.

Richard wyciskał na swych żołnierzach szczególnie piętno. Choć w większości wywodzili się z małych wiosek położonych na wrzosowiskach Kornwalii i Devonu, chociaż wyrażali się z chłopiska, w ciągu paru miesięcy pod jego komendą zmieniali się nie do poznania, stając się regularnym wojskiem, żwawym w ruchach i bystrym. Podziwiali też wodza, co przejawiało się wyprężoną sylwetką i błyskiem dumy w oczach ilekroć się do nich zwracał. Dziwnie wyglądał ten obchód: ja w fotelu z opończą na ramionach, Richard u mego boku, wokół płoną ogniska, na niskiej murawie błyszczą białe szrony, każda kompania wita nas biciem w bębny...

Koniom wyznaczono dalsze pole. Patrzyliśmy, jak żołnierze czyszczą i poją te piękne, smukłe zwierzęta, których wiele zabrano z posiadłości rebeliantów. Przytupywały na twardym gruncie, pobrzękuje uprzężą, z ich pysków w mroźne powietrze biły w górę kłęby pary.

Krwistoczerwone słońce zapadało właśnie za wzgórze

nad Tamar po stronie Kornwalii, rzucając na forty Plymouth ostatnie gniewne błyski.

Z obozu widzieliśmy tylko małe figurki wartowników, podobne do ciemnych punkcików na wysuniętych fortach. Zastanawiałam się, ilu z tych dzielnych ludzi padnie jutro ofiarą ognia rebelianckich dział. Na koniec, już po zapadnięciu ciemności, odwiedziliśmy najdalej wysunięte posterunki. Tam nikt już nie czyścił ekwipunku ani nie doglądał koni. Zobaczyliśmy gotowych do walki mężczyzn, milczących i nieruchomych. Rozmawialiśmy szeptem, gdyż od pozycji nieprzyjaciela dzieliło nas zaledwie dwieście jardów.

Ta cisza była posepna, niesamowita. W gęstniejących ciemnościach majaczyły niewyraźne sylwetki żołnierzy. Dla lepszego kamuflażu poczernili sobie twarze, więc właściwie widziałam tylko połyskliwe białka oczu i wyszczerzone w uśmiechu białe zęby. Do nocnego ataku pozdejmowali pancerze, a w rękach dzierżyli wyostrzone piki. Dotknęłam mimo woli czubka jednej z nich i ciarki przeszły mi po plecach.

Na ostatnim posterunku ludzie nie byli tacy skorzy do podejmowania nas, jak gdzie indziej. Usłyszałam, jak Richard zwrócił ostro uwagę młodemu oficerowi. Wtedy wystąpił pułkownik regimentu piechoty, dowódca owej placówki, i okazało się, że jest to mój dawny konkurent, szwagier Joego, Edward Champernowne. Ukłonił mi się trochę sztywno, po czym zwrócił się do Richarda i zaczął się dość mętnie tłumaczyć, przy czym obaj odeszli nieco dalej. Po powrocie Richard był dziwnie milczący i natychmiast ruszyliśmy w stronę mojego wozu. Wiedziałam, że to już koniec przeglądu.

- Musisz wracać sama do Radford - powiedział

wreszcie. - Dam ci eskortę, nic ci się nie stanie.

- A co z bitwą? Czy wszystko idzie po twojej myśli?

Zawahał się na chwilę.

- Tak... tak, mam taką nadzieję. Plan jest klarowny, chłopakom też niczego nie można zarzucić. Żebym tak jeszcze mógł w pełni polegać na mych zastępcach... - Kiwnął głową w stronę dopiero, co opuszczonego posterunku. - Twój stary kochaś, Edward Champernowne... Niekiedy wydaje mi się, że lepiej dowodziłby stadkiem kaczek. Zdradza czasem przebłąski rozsądku, gdy siedzi z tym długim nochalem w mapie, dziesięć mil od nieprzyjaciela, ale wystarczy posłać go w pole, sto jardów dalej - i jest kompletnie zgubiony.

- Nie możesz go kimś zastąpić?

- Nie w tym stanie rzeczy. Muszę zaryzykować.

Ucałował mą dłoń, błysnął uśmiechem, a potem odwrócił się i niebawem zniknął mi z oczu. Dopiero wtedy uprzytomniłam sobie, że nawet go nie spytałam, czy wysyła mnie samą do Radford, gdyż zdecydował się poprowadzić atak osobiście.

Telepałam się, więc po wybojach do domu mego brata, czując, że coraz bardziej tracę ducha. Krótco przed świtem zaczął się szturm. Najpierw usłyszeliśmy echo palby, niosące się przez Cattwater, ale trudni było powiedzieć, czy strzały pochodzą z za murów miasta, czy z zewnętrznych fortów. Dopiero koło południa nadeszła wiadomość, że trzy „dzieła” padły i są już w rękach rojalistów, a atakiem na najgroźniejsze z nich - Maudlyn - dowodzi sam generał. Działa odwrócona w przeciwną stronę i mieszkańcy Plymouth po raz pierwszy zobaczą jak na mury miasta kieruje się ogień z ich własnych armat. Z mego okna nie widziałam nic oprócz chmury dymu, zwieszającej się z nieba niczym kurtyna. Niekiedy zdawało mi się, że w podmuchach

północnego wiatru słyszę krzyki obleganych.

O trzeciej, kiedy zostały już tylko trzy godziny dziennego światła, nowiny nie były już takie pomyślne. Rebelianci przystąpili do kontrataku i odbili dwa forty. Los Plymouth zależał teraz od tego, czy uda im się odzyskać utracone pozycje, a zwłaszcza fort Maudlyn, i zepchnąć rojalistów poza linię umocnień. Patrzyłam na zachodzące słońce tak samo jak wczoraj i myślałam o tych wszystkich żołnierzach, rojalistach i rebeliantach, którym odebrano życie w ciągu minionej doby. O wpół do szóstej zasiedliśmy do obiadu przy wspólnym stole. Jo jak zwykle zajął miejsce u szczytu, po prawej ręce miał Philhpę, a po lewej osieroconego przez matkę synka Johna. Jedliśmy w ciszy, nikt jakoś nie miał ochoty do rozmowy, skoro zaledwie kilka mil dalej ważyły się losy bitwy. Już prawie kończyliśmy, kiedy do sali wpadł Percy, który jeździł do Plymstock zasięgnąć języka:

- Zwycięstwo rebeliantów! - obwieścił ponuro. - Odparli Grenvile'a i ubili mu trzystu ludzi. Szturmowali fort ze wszystkich stron i ostatecznie przed niecałą godziną go odzyskali. Zdaje się, że posiłki, na które czekał Grenvile, a które miały zdecydować o zwycięstwie, wcale doń nie dotarły. Ktoś popełnił straszliwy błąd.

- Niewątpliwie zawinił sam generał - rzekł sucho Jo. - Był stanowczo zbyt zadufany w sobie.

- W Plymstock mówią, że Grenvile osobiście zastrzelił oficera, który nie wykonał rozkazów. Ten oficer podobno wciąż leży w namiocie z kulą w głowie. Nie wiedzieli, kto to taki, ale pewnie usłyszymy o tym za chwilę.

Nie mogłam przestać myśleć o trzech setkach mężczyzn, leżących w świetle gwiazd twarzami do ziemi. Przepęniało mnie obrzydzenie do wojny i zapiekła nienawiść

do muszkietów, pik, krwi i wojennych okrzyków. Dzielni chłopcy, którzy wczoraj się do mnie uśmiechali, tacy młodzi i ufni, byli już tylko łupem mew krążących nad cieśniną Plymouth i to Richard, mój Richard posłał ich na śmierć. Nie winię go, wiem, że tylko poprzez atak mógł wykonać swe zadanie. Był żołnierzem...

Kiedy odwróciłam się, żeby zawołać służącego, wszedł młody sekretarz, zatrudniony przez mego brata w komisji Devonu. Był bardzo wzburzony i poprosił Joego o chwilę rozmowy.

- Co tam znowu? - spytał mój brat gderliwie. - Nie ma tu nikogo poza rodziną.

- Pułkownik Champernowne leży w Egg Buckland, śmiertelnie raniony. Nie stało się to w bitwie, zastrzelił go sam generał Grenvile, gdy tylko wrócił na kwatere.

Zapadła głucha cisza. Jo podniósł się wolno z krzesła, mocno poblady i wstrząśnięty. Obrócił się w moją stronę, podobnie jak Percy. W mgnieniu oka wiedziałam, co myślą. Szwagier Joego, Edward Champernowne, siedemnaście lat temu ubiegał się o moją rękę. Obaj bracia uważali, że ta awantura po bitwie nie wybuchła z przyczyn militarnych, tylko z czysto osobistej zazdrości i chęci zemsty.

- To - wycedził przez zęby Jo - jest początek końca Richarda Grenvile'a.

Słowa te raziły moje uszy niczym zimna stal. Przywołałam służącego i kazałam się odwieźć do mego pokoju.

Następnego dnia wyjechałam do Mothercombe, do Cecylii. Nie mogłam dłużej pozostawać z braćmi pod tym samym dachem. Zaczęła się wendeta.

Mój najstarszy brat, wspierany przez potężną rodzinę Champernowne'ów i czołowe rody Devonu, z których



większość należała do komisji, domagał się usunięcia sir Richarda Grenville'a ze stanowiska szeryfa i dowódcy sił królewskich na Zachodzie. Richard się zrewanżował, usuwając go z Radford i zajmując dom oraz całą posiadłość na bazę wyjściową do następnego ataku na Plymouth.

Przebywając z Polexefenami w zasypanym śniegiem Mothercombe, miałam słabe pojęcie o bieżących wypadkach, tym bardziej, że Cecylia z właściwym sobie taktem unikała drażliwego tematu. Richard nie napisał do mnie ani słowa od owego wieczoru, kiedy pożegnałam go przed bitwą, ja zaś uznałam, że teraz, kiedy uwikłał się w walkę zarówno z wrogiem, jak i dawnymi przyjaciółmi, najlepiej będzie milczeć. Wiedział przecież, gdzie mnie szukać, bo zawiadomiłam go o wyjeździe, więc gdyby zechciał, mógł mnie odwiedzić.

Z końcem marca nastąpiły gwałtowne roztopy i po raz pierwszy od wielu tygodni dotarły do nas wiadomości ze świata.

Pertraktacje pokojowe między królem a parlamentem spełzły na niczym wraz z traktatem z Uxbridge i wydawało się, że grozi nam nowa wojna, jeszcze bardziej okrutna niż poprzednia.

Podobno parlament tworzył Armię Nowego Wzoru, mającą w opinii znawców zakasować wszystkie dotychczasowe osiągnięcia na tym polu. Król wysłał do rebeliantów edykt, w którym groził, że jeśli nie okażą skruchy, czeka ich potępienie, zagłada i infamia. Tytuł głównego wodza wszystkich sił na Zachodzie należał teraz do młodego księcia Walii. Udał się on wprawdzie do Bristolu, ale ponieważ liczył sobie ledwie piętnaście lat, prawdziwa władza skupiła się w rękach Rady, której przewodził kanclerz skarbu Hyde.

Pamiętam, jak John Pollexfen kręcił głową, usłyszawszy te nowiny.

- Dopieroż Rada i generałowie skoczą sobie do gardeł! Zacznie się wydawanie sprzecznych rozkazów, bo prawnicy nigdy nie pogodzą się z wojskowymi. Oni będą się żarli, a ucierpi na tym sprawa króla. Wcale mi się to nic podoba.

Pomyślałam o Richardzie, bo kiedyś i on wyrażał taką opinię.

- Co się teraz dzieje w Plymouth? - spytała moja siostra.

- Wszystko utknęło w martwym punkcie - odparł John.  
- Przy blokadzie miasta zostawiono około tysiąca żołnierzy, a resztę Grenvile poprowadził do Somerset, gdzie się połączył z Goringiem i razem rozpoczęli oblężenie Taunton. Zaczęła się wiosenna kampania.

Wkrótce miał minąć rok, odkąd wyjechałam z Lanrest do Menabilly. W dolinie Devonu, gdzie mieszkała Cecylia, zakwitły pierwsze krokusy i żonkile. Nie robiłam żadnych planów - po prostu czekałam. Ktoś przyniósł plotkę, że w dowództwie wybuchły niesnaski i że Grenvile, Goring i Berkeley wzięli się za łby.

Nastał kwiecień i złocisty janowiec był w pełnym rozkwicie. W samą Wielkanoc w dolinie pojawił się jeździec w barwach Grenvile'ów. Zapytawszy o pannę Harris, zasalutował z powagą i wręczył mi list.

- Co to ma znaczyć? - spytałam, zanim odważyłam się złamać pieczęć. - Coś się stało, tak?

Gardło miałam zupełnie suche i ręce mi się trzęsły.

- Generał jest ciężko ranny - odparł posłaniec. - Stało się to w bitwie pod Wellington House w Taunton. Obawiają się o jego życie.

Rozerwałam list.

*Droga Honor - pisał Richard drżącą ręką - diabli nadali, zdaje się, że stracę nogę, a może i życie. Mam w udzie wielką dziurę, i to pod samą pachwiną. Teraz wiem, co musisz znosić. Przyjedź i naucz mnie cierpliwości. Kocham cię.*

Złożyłam list i zapytałam żołnierza, gdzie znajduje się generał.

- Kiedy wyjeżdżałam, zabierali go z Taunton do Exeter. Jego Królewska Mość przysłał mu własnego chirurga. Pan generał jest bardzo słaby i kazał mi bezzwłocznie jechać z tym pismem.

Spojrzałam na stojącą przy oknie Cecylię.

- Powiedz, proszę, Matty, żeby spakowała moje rzeczy. I czy możesz poprosić Johna o lektykę i konie? Jadę do Exeter.

Do Exeter jechaliśmy południowym gościńcem i na każdym postoju spodziewałam się wiadomości o śmierci Richarda. Totoes, Newton Abbot, Ashburton - każdy popas wydawał się dłuższy od poprzedniego. Kiedy wreszcie dotarłam do stolicy Devonu i ujrzałam wieżę katedry, sterczącą wysoko nad miastem i rzeką, wydało mi się, iż całe tygodnie spędziłam w drodze.

Richard wciąż żył - o to dopytywałam się przede wszystkim, bo też tylko to się liczyło. Natychmiast udałam się do zajazdu przy placu katedralnym, gdzie znalazł schronienie. Zajął dla siebie cały budynek i roztawił strażę u wejścia.

Kiedy podałam swoje nazwisko, natychmiast z wnętrza domu wyszedł młody oficer. Było coś znajomego w jego rumianej twarzy, a także w samej sylwetce. Zastanawiałam się przez chwilę, jak się do niego zwrócić, ale gdy się uśmiechnął, od razu go rozpoznałam.

- Czy mam przyjemność z Jackiem Grenville'em? Synem Benvila? - zapytałam, a on mi przypomniał, że jeszcze przed wojną odwiedził mnie w Lanrest.

Pamiętałam też, jak kąpałam go, kiedy był jeszcze niemowlęciem podczas pamiętnej wizyty w Stowe w roku 1628, ale nie powiedziałam tego głośno.

- Stryj będzie niezmiernie rad z waszego przybycia, pani - oznajmił, gdy wynoszono mnie z lektyki. - Odkąd wysłał ten list, nie mówi o niczym innym. Przepędził już z dziesięć kobiet, wymyślał im, że są gruboskórne, nie znają się na swej robocie i nie potrafią opatrzeć mu rany.

„Matty to robi, krzyczał, tylko Matty, a Honor będzie mnie

zabawiać rozmową”.

Widziałam, że moja opiekunka pokraśniała na te słowa, zaraz też przybrała władcą minę wobec kaprała, który dźwigał nasze kufry.

- Jak on się czuje? - zapytałam, kiedy już usadowiono mnie w obszernej sali zajazdu. Sądząc z ustawionego pośrodku długiego stołu, sztab generała urządził tam sobie kasyno.

- W ciągu ostatnich trzech dni trochę mu się polepszyło - odrzekł bratanek Richarda - ale z początku myśleliśmy, że nie przeżyje. Zaraz gdy został ranny, zwróciłem się do księcia Walii z prośbą, by pozwolił mi pielęgnować stryja, co też robiłem przez całą drogę z Taunton. Teraz stryj nie chce mnie puścić z powrotem, ja też zresztą nie myślę go zostawiać.

- Wasz stryj lubi mieć przy sobie Grenvile'a - zauważyłam.

- Grenvile'a czy nie, jedno wiem na pewno znacznie lepiej czuje się w kompanii ludzi młodych niż swych rówieśnych, co wielce sobie cenię.

W tym momencie zszedł z góry służący Richarda i oświadczył, że pan generał chce natychmiast widzieć pannę Harris. Ja jednak najpierw udałam się do swego pokoju, gdzie Matty umyła mnie i przebrała w świeżą suknię. Dopiero po tych przygotowaniach Jack Grenvile zawiózł mnie długim korytarzem do Richarda.

Pokój wychodził na brukowany plac, gdzie katedralny dzwon wybił właśnie godzinę czwartą.

Niech diabli porwą ten przekłety dzwon! - usłyszałam z kąta, zza zasłony łóżka znajomy głos. Brzmiał znacznie silniej, niż się spodziewałam. - Chyba z dziesięć razy prosiłem burmistrza tego sakramenckiego miasta, żeby go

uciszył i nie! Harry, na miłość boską, zapisz to sobie!

- Tak jest, panie generale - odpowiedział pośpiesznie wysoki młodzieniec w nogach łóżka, gryzmołąc coś na tabliczce.

- I zrób coś wreszcie z tymi poduszkami! Nie tak, gamoniu! Za głową... o! Gdzie, u diabła, podziewa się Jack? Tylko on jeden wie, jak je ułożyć!

- Jestem tu, stryju - odezwał się jego bratanek - ale odtąd nie będę i wam chyba potrzebny. Przyprowaździłem kogoś, kto ma znacznie delikatniejsze dłonie.

I popchnął mój fotel w stronę łóżka. Zza zasłony wysunęła się ręka i zaczęła ściągać ją na bok.

- Ach! - odetchnął głęboko. - Nareszcie jesteście!

Był śmiertelnie blady. Oczy wydawały się znacznie większe, może przez kontrast z białością twarzy. Rude kędziory ostrzyżono mu na krótko, przez co wyglądał dziwnie młodo. Po raz pierwszy też dostrzegłam, że on i Dick są do siebie podobni. Wzięłam Richarda za rękę i już jej nie puściłam.

- Nie zwlekałam ani chwili. Wyjechałam zaraz po przeczytaniu twego listu.

Odwrócił się do młodzieńców stojących w nogach łóżka.

- Wynoście się stąd obaj - powiedział - a jeśli zjawi się ten przeklęty konował, to niech idzie do diabła!

- Tak jest!

Trzasnęli obcasami i mogłabym przysiąc, że Jack Grenville mrugnął na odchodnym do swego towarzysza, a Richard podniósł mą rękę do ust, a potem przyłożył ją do policzka.

- Najwyższy przednio sobie z nas zakpił - zauważył. - Oboje oberwaliśmy w uda.

- Bardzo cię boli?

- Boli? Mój Boże, odłamki kuli armatniej w pachwinie palą trochę mocniej niż pocałunki.

Pewnie, że mnie boli!

- Kto widział twoją ranę?

- Wszyscy chirurdzy po kolei i każdy rozbabrał ją bardziej od swa go poprzednika.

Zawołałam Matty, która czekała za drzwiami z miską ciepłej wody bandażami i ręcznikami.

- Witaj, owczy pyszczku - powitał ją Richard. - Z iloma kapralami kładłaś się po drodze?

- Nie było czasu na żadnego. Panience Honor tak się śpieszyło, że ledwie udało się złapać parę godzin snu. A teraz jeszcze nas obrażają.

- Nie będę cię obrażał, chyba, że za ciasno zawiążesz mi bandaż.

- No to do roboty. Zaraz zobaczymy, co wam zrobili.

Wprawnymi palcami rozwiązała bandażę i odsłoniła ranę. Była naprawdę głęboka; odłamki dotarły do kości i zagnieździły się tam na dobre. Za każdym dotknięciem Richard wiercił się i jęczał, miotając najstraszniejsze przekleństwa, co na mej opiekunce w ogóle nie robiło wrażenia.

- Rana jest czysta, to najważniejsze - oznajmiła. - A już spodziewałam się gangreny. Ale tych odłamków nie pozbędziecie się, panie do końca swoich dni, chyba, że pozwolicie uciąć sobie kulasa.

- Nie ma mowy. Wolę, żeby tam zostały, najwyżej pocierpię.

- Przynajmniej będziecie mieli dobre wytłumaczenie dla złego humoru.

Przemyła ranę i opatrzyła ją na nowo. Richard przez

cały czas trzymał mnie za rękę, jak kiedyś Dick, a kiedy po skończonym zabiegu Matty wychodziła, zagrał jej na nosie.

- Ponad trzy miesiące minęły od naszego ostatniego spotkania. Czy Pollexefenowie są tak samo nieprzyjemni jak reszta twojej rodziny?

- Kiedyś moja rodzina była całkiem sympatyczna. Jeśli się zmienili, to przez ciebie!

- Nie znosili mnie od pierwszego wejrzenia, a teraz roznoszą na ozorach po całym hrabstwie. Wiesz, że komisarze Devonu siedzą właśnie w Exeter nad milową listą skarg na moją skromną osobę?

- Nie, tego nie wiedziałam.

- To nic innego jak spisek uknuty przez twego brata. Z Bristolu ma przyjechać trzech panów z rady księcia na rozmowy z komisarzami. Gdy tylko dojdę do siebie, muszę się przed nimi stawić. John Berkeley, tutejszy dowódca, tkwi po szyję w tej intrydze.

- A na czym ona polega?

- To oczywiste. Chcą mnie pozbawić dowództwa i powierzyć je Berkeleyowi.

- Tak bardzo się tym przejmujesz? W końcu z blokadą Plymouth niezbyt ci się powiodło.

- Proszę bardzo, niech John Berkeley idzie pod Plymouth. Ale nie mam zamiaru płaszczyć się przed nikim ani zadowalać się jakimś podrzędnym stanowiskiem, przyznanym łaskawie przez książęcą radę, skoro otrzymałem nominację od samego króla!

- Król, jak się zdaje, ma teraz własne kłopoty. Kim jest ów generał Cromwell, o którym tyle się ostatnio słyszy?

- To jeszcze jeden przeklęty przez Boga purytanin z poczuciem misji. Powiadają, że każdego wieczora gada z Najwyższym, ale moim zdaniem raczej pije. Mimo to jest



dobrym żołnierzem, podobnie jak Fairfax. Ta ich Armia Nowego Wzoru robi siekany kotlet z naszej hołoty.

- A ty, wiedząc o tym, postanowiłeś pokłócić się z przyjaciółmi.

- To nie są przyjaciele, tylko banda podłych, podstępnych łajdaków. I powiedziałem im to prosto w oczy!

Nie sposób było z nim dyskutować, tym bardziej, że rana uczyniła go bardziej drażliwym pod każdym względem. Zapytałam, czy ma jakieś wieści od Dicka. Pokazał mi pompatyczny list od gubernera oraz kopie swych wskazówek dotyczących chłopca. W stosunku ojca do syna nie wyczuwało się ani krztyny życzliwej zachęty. Wpadł mi w oko następujący fragment:

*Co się tyczy jego edukacji, niech stale i pilnie uczy się francuskiego; poza tym czytania, pisania, arytmetyki oraz jazdy konnej, fechtunku i tańca. Tych wszystkich umiejętności winien nabrać dla swego własnego dobra i jeśli zastosuje się do moich żądań, nie będzie mu zbywać na niczym.. jeśli się dowiem, iż lekce sobie waży to, co niniejszym przykazuję, nie otrzyma ani pensa więcej i przestanę go uważać za syna.*

Złożyłam papier i wsunęłam go na powrót do kasetki przy łóżku.

- Myślisz, że w ten sposób pozyskasz jego uczucia?

- Nie potrzebuję jego uczuć. Żądam posłuszeństwa, i tyle.

- Josepha nie traktowałeś tak surowo. Dla swego bratanka też masz więcej zrozumienia.

- Taki jak Joe trafia się jeden na milion, a Jack w pewnym stopniu go przypomina. Pod Lansdown, kiedy poległ Bevil, chłopak walczył jak lew, a przecież miał wtedy

zaledwie piętnaście lat, tyle, co Dick teraz. Dla tych wszystkich zuchów mam dużo serca, bo sprawiają się, jak przystało na mężczyzn, natomiast Dick, mój jedyny syn i dziedzic, drży kiedy do niego mówię, i mdleje na widok krwi. I jak ojciec ma być zeń dumny?

Kłótnia. Cios. Płacz dziecka. A potem piętnaście lat zatruwania krwi chłopca jadłem nienawiści. Nic potrafiłabym wymyślić leku na tak zapiekłą niechęć. Czas i odległość mogły najwyżej nieco złagodzić to, co przy bliskim kontakcie tylko jątrzyło ranę.

Richard znów ucałował mnie dłoń.

- Nie martw się o Dicka - powiedział. - W końcu to nie on ma tuzin odłamków w udzie.

Chyba na całym świecie nie było gorszego pacjenta niż Richard, ale nie było też pielęgniarki bardziej głuchej na jego groźby i jęki niż Matty. Natomiast moja rola wymagała nie tyle siły i umiejętności, ile spokoju i równowagi charakteru. Byłam kobietą, więc nie kłuł mnie ostrogami w głowę jak swych niefortunnych oficerów, ale za to musiałam znosić gorzkie wyrzuty, gdyż nosiłam nazwisko Harris. Szydził też ze mnie nieustannie, ponieważ urodziłam się i wychowałam w południowo-wschodniej Kornwalii. Wiadomo przecież, że wszystkie tamtejsze kobiety to jędze i sekutnice, a mężczyźni - tchórze i dezerterzy.

- Z Kornwalii nie wyszło, jak dotąd, nic dobrego. No, chyba i z północnego wybrzeża - mawiał.

Widząc, że nie robi to na mnie wrażenia, sięgał po inne środki i wychodził wprost ze skóry, aby mnie rozszłościć. Dziwna to i bezsensowna rozrywka dla chorego, chociaż doskonale go rozumiałam. Siedemnaście lat temu też miewałam takie pokusy, ale nigdy nie ośmieliłam się wyładowywać swych humorów na bliskich osobach.

Przez pięć tygodni leżał kamieniem w łóżku i dopiero w końcu maja wydobrzył na, tyle, że mógł chodzić po pokoju o lasce. Nie przestawał przy tym wymyślać swym udręczonym ludziom od skończonych leni.

Pierze zaczęło jednak fruwać na dobre, kiedy po raz pierwszy zszedł na dół. Przypominało to walkę indorów i nigdy jeszcze nie widziałam wysokich rangą oficerów o tak czerwonych uszach jak panowie pułkownicy i majorzy, na których Richard wydzierał się w tamten majowy poranek. Wszyscy rzucali tęskne spojrzenia w stronę drzwi jak niegrzeczni chłopcy, a w głowach mieli tylko jedno: uciekać gdzie pieprz rośnie przed tym chlaszczącym językiem. Tak przynajmniej wywnioskowałam z ich twarzy, ale kiedy rozmawiałam z nimi później, ledwie powstrzymując wyrazy współczucia, wszyscy wyrażali radość, że generał tak szybko odzyskuje zdrowie i nie upada na duchu.

- Zaraz mi lepiej, kiedy widzę pana generała takim jak dawniej - wyznał pewien pułkownik piechoty. - Jeszcze miesiąc temu nie śmiałem nawet mieć nadziei, że mu się poprawi.

- Więc nie żywicie urazy o te dzisiejsze awantury?

- Urazy? - zdumiał się pułkownik.

- O co miałbym się obrażać? Toż pan generał musiał trochę poćwiczyć.

Zwyczajne zawodowych żołnierzy stanowczo przerastały moją zdolność pojmowania.

- To wprost znakomicie - zauważył bratanek Richarda - że stryj się wścieka i miota przekleństwami. Przeważnie tak objawia swe zadowolenie. Ale niech no tylko zacznie się uśmiechać i prawić uprzejmości, to można być pewnym, że ich adresat jest już w połowie drogi na odwach. Kiedyś widziałem, jak miesząc z błotem pewnego oficera, kłął

przez piętnaście minut bez chwili przerwy, a wieczorem awansował go do stopnia kapitana. Następnego dnia podejmował jeńca - jakiegoś dziedzica, chyba z Bamstaple, który był mu winien pieniądze. Stryj poił go winem, uśmiechał się mile, świadczył grzeczności, a w dwie godziny później ów gość dyndał na gałęzi w Buckland.

Przypominam sobie, że później zapytałam Richarda, czy w tych historiach jest coś z prawdy. Roześmiał się tylko.

- Moi ludzie lubią opowiadać o mnie legendy.

Ale nie zaprzeczył.

Tymczasem do Exeter zjechała książęca rada, aby przeprowadzić rozmowy z devońskimi komisarzami i wysłuchać skarg przeciwko Richardowi Grenville'owi. Tak się niefortunnie złożyło, że przewodził im ten sam sir Edward Hyde, którego Richard opisał mi w Radford jako karierowicza. Przypuszczalnie ktoś ową uwagę powtórzył zainteresowanemu, bo kiedy pojawił się u Richarda w towarzystwie lordów Culpeppera i Capela, zachowywał się wobec niego bardzo chłodno i oficjalnie. Opuściłam izbę zaraz po prezentacji, ale zdążyłam zauważyć jak sir Hyde traktuje generała, który z taką pogardą wyraził się o jego pochodzeniu. Co sobie przybysze pomysleli na mój temat, wcale mnie nie obeszło.

Najwyżej rozpuszczą potem jeszcze jedną skandaliczną plotkę - że sir Richard Grenville ma kaleką metresę.

Co naprawdę rozegrało się za zamkniętymi drzwiami, tego nie udało mi się dowiedzieć. Musiałam zadowolić się tym, co opowiedział sam Richard. Gdy tylko trzech członków rady spróbowali przemówi Richard wybuchnął tyradą oskarżeń przeciw namiestnikowi miasta, sir Johnowi Berkeleyowi, który ponoć od dziewięciu miesięcy tylko mu rzucał kłody pod nogi. Co się tyczy komisarzy devońskich, to

wszyscy jak jeden mąż są zdrajcami, gdyż próbują zatrzymać pieniądze w kieszeniach, zamiast płacić żołd swym obrońcom.

- Niech Berkeley bierze Plymouth, skoro tak mu na tym zależy - oświadczył. - Bóg świadkiem, jak ciężko oblegać jedno głupie miasto, kiedy człowieka potrzebują w polu. Pozwólcie mi bez skrupułów brać rekruta w Kornwalii i Devonie, a postawię do dyspozycji księcia armię, która z pewnością stawi czoło purytanom Cromwella.

Po czym złożył formalną rezygnację ze stanowiska dowódcy oblężenia i odesłał lordów do Bristolu, by w tę pędy uzyskali podpis księcia na nowej nominacji.

- Obchodziłem się z nimi jak z jajkiem. Niech John Berkeley kisi się pod Plymouth, krzyżyk na drogę.

Do wieczery wypił półtorej butelki burgunda, co następnego rana odbiło się na jego ranie.

Zapomniałam, ile dni czekał na nadejście królewskiego dokumentu z potwierdzeniem dawnych pełnomocnictw, ale musiało to trwać, co najmniej dziesięć dni. Wreszcie oznajmił, że nie zamierza się obijać, czekając na świstek papieru, gdyż i tak mało, kto go przeczyta, i zabrał się do rekrutowania żołnierzy do nowej armii. Rozesłał oficerów po okolicznych wioskach i polecił im wyłapać wszystkich maruderów i dezertersów, którzy na wieść o jego zranieniu puciekali do domów. Wszystkim obiecano wypłatę żołdu i umundurowanie. A jako szeryf Devonu (nie zrezygnował, bowiem z owej funkcji) nakazał swym starym wrogom komisarzom zdobyć na ten cel pieniądze. Wiedziałam, że ściągnie sobie burzę na głowę, ale cóż, byłam tylko kobietą i nie miałam prawa się wtrącać.

Pewnego dnia, kiedy siedziałam przy oknie z widokiem na katedrę, zobaczyłam, że sir John Berkeley

odjeżdża spod zajazdu z miną jak chmura gradowa. Podobno - tak mi opowiadał młody Jack - zakończyło się właśnie burzliwe zebranie, na którym właśnie sir Johnowi dostało się najbardziej.

- Nikomu nie ustępuję w podziwie dla mego stryja - mówił. - Za każdym razem bije na głowę swych oponentów, ale wolałbym, żeby czasem ugryzł się w język.

- A o co im teraz poszło? - spytałam słabym głosem.

- Jak zwykle o to samo. Stryj twierdzi, że jako szeryf hrabstwa może zmusić komisarzy do opłacania swych żołnierzy. Sir John jest przeciwnego zdania i uważa, iż to jemu jako namiestnikowi miasta i dowódcy oddziałów oblegających Plymouth należą się pieniądze. Czuję, że skończy się to pojedynkiem.

Wkrótce potem wpadł do mnie Richard. Był blady ze złości.

- Na Boga - krzyczał - nie zniosę tego bagna ani chwili dłużej! Natychmiast jadę do Bristolu rozmówić się z księciem, W razie wątpliwości zawsze najlepiej uderzać do najwyższej władzy, to moja zasada. Jeśli nic nie wskóram u Jego Wysokości, rzucę wszystko do diabła!

- Nie powinieneś jeszcze dosiadać konia.

- Nic na to nie poradzę. Nie będę tu siedział i pozwalał, żeby ten dureń Berkeley krępował każdy mój ruch. Niestety, on idzie ręką w rękę z twoim przeklętym bratem, w tym cały kłopot.

- Sam jesteś winien, że masz wroga w moim bracie. Wszystko przez to, żeś zastrzelił Edwarda Champernowne'a.

- A co miałem robić? - huknął. - Może jeszcze awansować tamto ściervo? Toż przez tego szczerzego wypierdka zginęły trzy setki moich najlepszych chłopaków! Biedaczek miał za słaby brzuch, by stawić czoło rebelianckim

muszkietom i przyjść mi z pomocą! Kulka w łeb to i tak dobra śmierć, sto lat temu rozdarto by go na strzępy!

Następnego dnia wyjechał do Bamstaple, gdzie księżę Walii schronił się przed zarazą, która wybuchła w Bristolu. Dziękowałam Bogu, że Richard zabrał ze sobą Jacka jako adiutanta. Wciąż jeszcze wyglądał fatalnie i trzech chłopów musiało go podsadzać na konia. Uśmiechnął się do mnie, gdy wychyliłam się z okna, i zasalutował szpadą.

- Nie obawiaj się! - zawołał. - Wrócę za dwa tygodnie. Bądź zdrowa i szczęśliwa!

Ale nie wrócił w ogóle i na tym skończyła się moja rola pielęgniarki i pocieszycielki w Exeter. Osiemnastego czerwca pod Naseby Cromwell zadał ciężką klęskę wojskom króla i księcia Ruperta, po czym armia rebeliancka pod dowództwem generała Fairfaxa znów wyruszyła na zachód. Aby stawić czoło temu nowemu zagrożeniu, rojaliści musie zmienić całą strategię. Rozeszła się pogłoska, że Fairfax zbliża się do Taunton, ja zaś otrzymałam od Richarda liścik, w którym donosił, rozkazem księcia został odkomenderowany do oblegania Lyme, a nominację na feldmarszałka ma już niemal w kieszeni.

*Jak tylko urządzę sobie kwaterę, poślę po Ciebie, a tymczasem zostań tam, gdzie jesteś. Jest wielce prawdopodobne, że nim minie lato, zaczniemy znów wszyscy zmiatać, aż się będzie kurzyło.*

Trudno to było nazwać dobrą nowiną. Znów przypomniał mi się uporczywy tupot żołnierskich nóg i wszystko, co przeżyłam rok temu w Menabilly. Czy raz jeszcze czekał nas koszmar inwazji? Zrobiłam jednak, co mi

kazał, pozostałam w Exeter. Nie miałam domu i każdy dach nad głową był dla mnie tak samo dobry. Jeśli brakowało mi pokory, to także i dumy. Bo przecież kimże wtedy byłam, jeśli nie markietanką, ciągnącą za dźwiękiem bębnow?

Ostatniego dnia czerwca przyjechał po mnie Jack Grenville razem z końmi, które miały nieść mą lektykę. Matty i ja byłyśmy już spakowane i gotowe do drogi. Od dwóch tygodni, kiedy to nadszedł list, wyczekiwałyśmy każdego dnia, że ktoś nas stąd zabierze.

- Dokąd jedziemy? - spytałam wesoło. - Do Lyme czy do Londynu?

- Ani do Lyme, ani do Londynu - odparł ponuro Jack. - Do jakiejś zrujnowanej rezydencji w Ottery St Mary. Generał porzucił służbę.

Niewiele miał mi do powiedzenia o niedawnych wydarzeniach, poza tym, że znaczną część wojska, dopiero, co powołanego pod komendę Richarda i zdążającego na punkt zborny w Tiverton, rozkazem rady wycofano nagle, bez słowa wyjaśnienia, do obrony Barnstaple.

W Ottery St Mary, małej, sennej wiosce w Devonie, mieszkańcy gapili się ze zdumieniem na dziwny ekwipaż, który zatrzymał się przed dworem. Chyba wydawało im się, że cały świat zwariował, do czego zresztą mieli pełne prawo. Na łąkach za wioską rozłożyły się konne i piesze oddziały Richarda, wierne mu od samego początku. Sam Richard siedział w jadalni z ranną nogą opartą na krześle.

- Kaleka wita kalekę - odezwał się złośliwie. - Chodźmy do łóżka, zobaczymy, kto będzie miał więcej inwencji.

- Zaraz to przedyskutujemy, jeśli wola, ale tymczasem jestem zmęczona, głodna i spragniona. I może łaskawie wyjaśnisz mi najpierw, co, u diabła, robisz w tej przeklętej



dziurze?

- Odzyskałem wolność. Nie przynależę już ani do człowieka, ani do zwierzęcia. Niech sobie walczą z Armią Nowego Wzoru, jak im się podoba. Skoro nie dali mi wojska, nie zamierzam rzucać się na dwadzieścia tysięcy żołnierzy Fairfaxa z samym Jackiem.

- Myślałam, że masz zostać feldmarszałkiem.

- To papierowy tytuł, który nic nie znaczy. Właśnie odesłałem Jego Wysokości nominację, z serdecznym życzeniem, by ją sobie wsadził w pewną część ciała. Czego się napijemy do wieczery: reńskiego czy burgunda?

Myślę, że były to najniezwyklejsze dwa tygodnie w moim życiu. Richard bez żadnego wojskowego przydziału, pozbawiony władzy, żył sobie w wiosce Ottery St Mary jak udzielny książę, a okoliczna ludność zносиła mu, co mogła: ziarno, bydło i tak dalej, w mocnym przekonaniu, że jest on najwyższym wodzem w całym królewskim wojsku od Lyme po Lands End. Po zapłatę kierował ich łaskawie do komisarzy Devonu. W pierwszą niedzielę po przybyciu kazał odczytać w miejscowym i sąsiednich kościołach swoje zarządzeń że osoby poszkodowane na mieniu przez namiestnika Exeter, sir Johna Berkeleya, podczas stacjonowania jego wojska, mają wykaz swych strat dostarczyć generałowi Jego Królewskiej Mości na Zachodzie, sir Richardowi Grenville'owi, który dopilnuje, by zostały wyrównane.

Naiwny, wiejski ludek uwierzył, że oto zesłano mu zbawcę, i ruszył, co prędzej w drogę, pokonując piechotą nawet i dwadzieścia mil. Każdy przybysz dzierżył długą listę zbrodni i wybryków popełnionych rzekomo przez oddziały lorda Goringa i sir Johna Berkeleya. Richard przyjmował ich na placu kościelnym i z książeczą hojnością wypłacał okrągłe sumki z pieniędzy, które znalazł za boazerią w swej kwatery. Dom ów należał do pewnego niefortunnego dziedzica, sympatyzującego z parlamentem, za co Richard natychmiast go aresztował. W środę przy pięknej pogodzie, urządził przegląd swych oddziałów i pozwolił wieśniakom przypatrywać się paradzie. Dudniły bębny, biły kościelne dzwony, wieczorem zaś rozpalono ogniska, a w głównej kwaterze wydano wielką ucztę, na której zajmowałam honorowe miejsce.

- Póki starczy pieniędzy, możemy się weselić - powiedział Richard.

Ja jednak myślałam o liście do księcia Walii, który musiał już trafić w ręce rady, i wyobrażałam sobie minę kanclerza skarbu Edwarda Hyde'a, kiedy otworzył kopertę w obecności prześwietnego zgromadzenia.

Myślałam też o sir Johnie Berkeleyu i o tym, co powie, kiedy usłyszy o dekrete ogłoszonym w kościołach. Wydało mi się, że mój nieostrożny ukochany postąpiłby mądrze, gdyby zechciał zwinąć swój obóz i skryć się w mgłach Dartmoor, bo jak długo można mydląć oczy pospólstwu Ottery St Mary?

Na razie jednak zabawa była przednia. Ponieważ wywłaszczony stronnik parlamentu miał świetnie zaopatrzoną piwnicę, szybko wypróbowaliśmy zawartość każdej butelki, a Richard pił na umór za wieczne potępienie zarówno rebeliantów, jak rojalistów.

- Co zrobisz, jeśli rada po ciebie przyśle?

- Absolutnie nic. Chyba że dostanę list od samego księcia Walii, pisany jego własną ręką.

I z uśmiechem, który jego bratanek określiłby jako złowieszczy, otworzył następną butelkę.

- Jak tak dalej pójdzie - zauważyłam, stawiając swój kielich do góry dnem - staniesz się takim samym opojem jak Goring.

- On nie może ustać na nogach po pięciu kielichach, a ja po dwunastu wymuszuję całą dywizję. - I wstawszy od stołu, przywołał ordynansa stojącego przy drzwiach. - Wezwij tu zaraz sir Johna Grenville'a!

Po chwili zjawił się Jack, nieco zaczerwieniony i z iskierkami wesołości w oczach.

- Z całym uznaniem dla pułkowników Roscarrocka i

Arundella - polecił Richard - niech ich oddziały zbiorą się na błoni. Będę je musztrował.

Jack nawet nie mrugnął okiem, ale zauważyłam, że wargi mu lekko drgnęły.

- Jest już po ósmej, stryju. Ludzie rozeszli się do swych kwater.

- Wiem, która godzina - odparł Richard. - Dlatego, żeby ich zwołać, należy uderzyć w bębny. Po to wprowadzono je kiedyś do armii. Z całym szacunkiem dla panów pułkowników...

Jack trzasnął obcasami i opuścił pokój. Richard wolno, z namaszczonej miną podszedł do krzesła, na którym leżały jego rapcie i szpada. Zaczął je sobie przypinać u pasa.

- Założyłeś rapcie do góry nogami - zwróciłam mu cicho uwagę.

Skłonił się na znak podziękowania i dokonał niezbędnych poprawek. Za oknem w gęstniejącym zmierzchu rozległ się donośny huk bębnow.

Muszę wyznać, że byłam tylko trochę mniej zamroczona niż owego pamiętnego wieczora, kiedy to przesadziłam z burgundem i łabędziem. Tym razem jednak siedziałam bezpiecznie w fotelu i to mnie uratowało. Pamiętam jak przez mgłę, że wieziono mnie na błonia, w uszach huczały mi bębny, a ze wszystkich stron biegli żołnierze, którzy natychmiast ustawiali się w szeregi. Mieszkańcy wioski wychylali się z okien a jakiś starszynek w szlafmocy darł się, iż nadciąga Fairfax i wszystkich zaraz wymorduje.

Mogłabym przysiąc, że w annałach królewskiej armii ze świecą szukać drugiego takiego przypadku. Dwa regimenty zerwane o zmierzchu na równe nogi przez samego generała, który będąc pod dobrą datą, postanowił zabrać się

do musztry...

- Mój Boże - odezwał się za mną Jack głosem stłumionym czy to ze śmiechu, czy ze wzruszenia. - Toż to niesamowite! Pamięć o tej historii przetrwa całe pokolenia!

A gdy umilkły bębny, usłyszałam głos Richarda - głośny, wyraźnie niosący się przez całe błonia.

W sam raz odpowiednie przypieczętowanie owych szalonych czternastu dni...

Następnego dnia, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu, przyjechał na spienionym koniu posłaniec z nowinami: Bridgewater nie wytrzyma oblężenia Fairfaksa i zostało zdobyte przez rebeliantów, rada uciekła z Launceston, a sam książę Walii wzywa sir Richarda Grenvile'a, żeby natychmiast ruszał ze swym wojskiem do Kornwalii, gdzie osobiście go oczekuje.

- Prośba to czy rozkaz? - spytał mój generał.

- Rozkaz, panie generale - odparł oficer, wręczając mu dokument - i to nie rady, tylko samego księcia.

I znów zagrzmiały bębny, ale tym razem na znak wymarszu. Patrząc na długi szereg żołnierzy sunących przez wieś w stronę gościńca do Okehampton, zastanawiałam się, ile lat minie, zanim tutejsi mieszkańcy zapomną sir Richarda Grenvile'a i jego ludzi. Po paru dniach Matty i ja, wyruszyliśmy wraz z eskortą do Werrington Park koło Launceston, jeszcze jednej posiadłości, którą Richard bez skrupułów odebrał właścicielowi Buckland Monachorum, Francisowi Drake'owi. Oczekiwał, tam na nas w znakomitym nastroju, ciesząc się na powrót łaską księcia po dość trudnych trzygodzinnych rozmowach z radą. Rozmowy te mogłyby być znacznie trudniejsze, gdyby pilnie nie potrzebowano jego usług.

- I co w końcu postanowiono? - spytałam.

- Goring idzie na północ, żeby odciąć drogę rebeliantom, a ja zostaję w Kornwalii, gdzie postaram się zebrać około trzech tysięcy piechoty. Szkoda, że mnie nie posłali na Fairfaksa, bo Goring jak nic pokpi sprawę.

- Ale tylko ty potrafisz ściągnąć ludzi do wojska w Kornwalii. Pójdą tylko za Grenville'em, za nikim innym. Powinieneś być wdzięczny radzie, że po ciebie posłała, mimo twego zuchwalstwa.

- Bo beze mnie dreptaliby w miejscu. Dla mnie i tak nie są warci funta kłaków, razem z tym spryciarzem Hyde'em. Robię to tylko przez wzgląd na księcia, bo to chłopak, jakich lubię. Ale jeśli król nadal będzie postępował tak głupio, bez żadnego planu strategicznego, to może najlepiej będzie okopać się z księciem w Kornwalii jak w fortocy, a reszta Anglii niech sobie idzie do diabła.

- Ubierz tę myśl w nieco inne słowa, a ktoś, kto ci źle życzy, nazwie ją zdradą.

- Jaka tam zdrada, to kwestia zdrowego rozsądku. Jestem najbardziej lojalnym poddanym Jego Królewskiej Mości, ale on sam więcej szkodzi własnej sprawie niż ci, którzy mu służą.

Matty i ja siedziałyśmy w Werrnington, a tymczasem Richard przemierzał wzdłuż i wszerz całą Kornwalię, ściągając ludzi do księżęcej armii. Nie było to łatwe. Ostatnia inwazja mocno nadszarpnęła siły Kornwalijszyków. Teraz pragnęli tylko uprawiać w spokoju ziemię i zajmować się własnymi sprawami. Z pieniędzmi było wszędzie tak samo krucho, jak w Devonie, toteż z przykrością zauważyłam, że z tutejszymi komisarzami Richard poczyna sobie równie bezwzględnie. Ci, którzy, być może, nie oparliby się łagodnym namowom, wobec gróźb i nacisków buntowali się i obrażali. W ciągu lata i wczesnej jesieni 1645 roku Richard

zyskał wśród kornwalijskiej szlachty tyleż wrogów, co przedtem wśród devońskiej.

Na północnym wybrzeżu ludzie chętnie się zaciągali ze względu na związki generała ze Stowe. Samo nazwisko „Grenvile” brzmiało w ich uszach niczym zew trąbki bojowej. Schodzili się do jego armii nawet spoza granicy Kornwalii - z Appledore i Bideford, z całego miotanego sztormami wybrzeża Atlantyku od przylądka Hartland po Padstowe. Ci okazali się najlepsi: bystrookie, długonogie chłopcy z Bude, Stratton, Tintagel, Boscastle i Camelford z dumą nosiły na ramionach szkarłatne tarcze z trzema złotymi tulejami. Richard bardzo chytrze przedstawił księcia jako diuka Kornwalii, który przybył na Zachód, by uratować swój lud przed dzikimi hordami zza Tamar.

Na południu jednak natknął się na trudności. Ludziom z terenów położonych na zachód od Truro zagrożenie wydawało się dość odległe i nawet gdy dziesiątego września spadła na nas jak grom z jasnego nieba wieść o zdobyciu przez wojsko Fairfaxa Bristolu, tamci nie dali się wyrwać z letargu.

- Truro, Helston i St Ives to trzy najparszywsze miasta w Kornwalii - narzekał Richard.

Jak pamiętam, wyjechał wtedy z sześcioma setkami konnych, żeby zdusić powstanie mieszczan, którzy protestowali przeciw przymusowemu poborowi, ogłoszonemu tydzień wcześniej. Ostatecznie powiesili trzech, a resztę albo ukarał grzywną, albo uwięził. Przy okazji przeprowadził wizytację zamku St Mawes i udzielił surowej reprymendy jego dowódcy, majorowi Bonythonowi, za to, że nie wypłacał załodze żołdu.

- Każdy, kogo przyłapię na nie dość gorliwej służbie księciu, będzie musiał zmienić ton albo ponieść karę

dyscyplinarną - oświadczył generał. - Kto nie będzie płacił żołnierzom, wyłoży pieniądze z własnej szkatuły, a za najmniejszą nielojalność wobec mnie jako dowódcy albo księcia, mego pana, będę karał na gardle.

Słyszałam na własne uszy, jak to ogłaszał ostatniego dnia września tłumom zebranych na placu targowym w Launceston. A chociaż żołnierze wiwatowali tak gromko, że ich wrzaski odbijały się echem od murów, uśmiechy na twarzach mieszczuchów mogłam policzyć na palcach jednej ręki.

- Zapominasz - powiedziałam mu tegoż wieczora w Werrington - że Kornwalijszczyki nade wszystko cenią niezależność, a wolność kochają bardziej niż swych współziomków.

- Pamiętam jedno - odparł z tak dobrze mi znanym gorzkim uśmieszkiem - że Kornwalijszczyki to tchórze, którzy bardziej niż swego króla kochają wygodne życie.

W miarę jak nadciągała jesień, zaczynałam się zastanawiać, czy w końcu roku będziemy się jeszcze cieszyć wolnością i wygodnym życiem.

Chard, Crediton, Lyme, wreszcie Tiverton ugięły się przed Fairfaxem w październiku, a lord Goring nie uczynił nic, aby temu zapobiec. Wielu jego żołnierzy zdezerterowało do armii Richarda, gdyż bardziej mu ufali jako dowódcy. Budziło to zawiść i dalsze wzajemne oskarżenia.

Zanosilo się na to, że Goring stanie się równie zaciekłym wrogiem Richarda jak przedtem Berkeley. Rada książęca w Launceston ciągle dopatrywała się jakichś błędów i niemal nie było dnia, żeby kanclerz Edward Hyde nie szukał dziury w całym.

- Czemu nie zostawiać mnie w spokoju? - grzmiał Richard. - Czemu nie mogę zająć się poborem i musztrą,



zamiast ciągle użerać się z prawnikami, którzy zasypują mnie bzdurnymi listami, chociaż sami nawet nie powąchaliby prochu? Wtedy na pewno lepiej przywitałbym Fairfaxa, gdyby się tu zjawił.

Z pieniędzmi znowu było krucho, a wyposażenie armii na zimę to sprawa, która spędzała sen z powiek mojemu generałowi. Buty i pończochy się pozdzierały i nie nadawały się do naprawy. Co gorsza, kończyła się też amunicja, a to z tej przyczyny, że składy sił rojalistycznych na Zachodzie wpadły w ręce rebeliantów jeszcze we wrześniu, kiedy zajęli oni Bristol. Do dyspozycji Richarda zostały niewielkie rezerwy w Bodmin i Truro.

Nagle, nie uprzedzając nikogo, lord Goring wypowiedział dowództwo i wyjechał do Francji. Jako powód podał zły stan zdrowia, który nie pozwala mu dźwigać tak wielkiej odpowiedzialności.

- Szczury - syknął, dowiedziawszy się o tym, Richard - zaczynają już odwrót z tonącego okrętu.

Goring zabrał ze sobą kilku najlepszych oficerów, a dowództwo wojsk w Devonie powierzono lordowi Wentworthowi, oficerowi z niewielkim doświadczeniem. Ten miał jeszcze gorsze pojęcie o dyscyplinie niż poprzednik. Udał się natychmiast na zimową kwaterę w Bowey Tracy i oświadczył, że do wiosny nie da się podjąć żadnych kroków przeciw nieprzyjacielowi. Myślę, że w tym właśnie momencie rada straciła do reszty ducha i zdała sobie sprawę z grozy sytuacji. Stało się jasne, że walczą o przegraną sprawę. Czyniono przygotowania do wymarszu z Launceston do Truro, a to, zdaniem Richarda, mogło oznaczać tylko jedno: chcieli przybliżyć się do Falmouth, aby w razie czego książę Walii z radą mogli uciec do Francji. Zapytałam wtedy Richarda wprost, co sam zamierza robić.

- Utrzymać linię od Kanału Bristolskiego do Tamar i zachować Kornwalię dla księcia. To jest zupełnie możliwe i innego wyjścia nie ma.

- A król?

Przez chwilę nie odpowiadał. Zapamiętałam, jak stał plecami do buzującego ognia, z założonymi do tyłu rękami. W ciągu ostatnich kilku miesięcy przybyło mu zmarszczek, a srebrne pasmo w rudych włosach poszerzyło się znacznie. Wszystko to zawdzięczał nieustannym naciskom, jakie na niego wywierano. Listopadowe chłody kąsały chorą nogę; doświadczenie mi podpowiadało, że Richard bardzo cierpi.

- Nie ma już nadziei dla Jego Królewskiej Mości - rzekł w końcu. - Chyba, że zgodzi się na układ ze Szkotami i u nich zbierze armię. Jeśli mu się nie uda, jego los jest przesądzony.

Rok czterdziesty trzeci, czwarty, piąty - i ten szósty, który zbliżał się wielkimi krokami. Przez ponad trzy lata żołnierze walczyli, cierpieli i ginęli za owego dumnego, nadętego człowieczka i jego sztywne zasady. Stał mi przed oczami portret z jadalni w Menabilly, podarty potem i zdeptany przez rebeliantów. Czyżby króla czekał podobnie niechlubny koniec jak jego wizerunek? Nagle wszystko wydało mi niepewne, ponure, beznadziejne.

- Richardzie... - wykrztusiłam, a on, wyczuwszy w moim głosie rozpacz, podszedł natychmiast. - Czy i ty opuszczasz tonący okręt?

- Nie, nie opuszczam. Jeśli tylko uda mi się zachować Kornwalię dla księcia.

- Ale jeżeli on także odpłynie do Francji i cała Kornwalia wpadnie w ręce rebeliantów? Co wtedy?

- Popłynę także - brzmiała stanowcza odpowiedź. -

Zbiorę we Francji pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i wyląduję z nimi w Kornwalii.

Ukląkł przy mnie, ja zaś ujęłam jego twarz w dłonie.

- A jednak byliśmy na swój sposób szczęśliwi - szepnęłam.

- Moja obozowa ptaszyna, co ciągnie za głosem bębnow...  
- Wiesz, że wszyscy porządni ludzie dawno uznali mnie za potępioną? Rodzina się mnie wyrzekła, nawet mój drogi Robin wstydzi się siostry. Dziś dostałam od niego list. Razem z sir Johnem Digbym służy pod Plymouth. Błaga mnie, żebym cię porzuciła i wróciła do Rashleighów, do Menabilly.

- A ty byś chciała?

- Nie. Jeśli wciąż jestem ci potrzebna, to nie.

- Zawsze będę cię potrzebował. Za nic nie chcę się z tobą rozstawać; ale jeśli nadciągnie Fairfax, w Menabilly będziesz bezpieczniejsza niż w Launceston.

- To właśnie powiedziano mi poprzednim razem i wiesz, na czym się skończyło.

- Owszem, cierpiałś przez cztery tygodnie i dzięki temu wydorósłłaś.

Patrzył na mnie z góry w swój zwykły, kpiący sposób, a ja przypominałam sobie, że nawet mi nie podziękował za uratowanie syna.

- Następnym razem może to trwać cztery lata - zauważyłam - a gdy się skończy, będę zupełnie siwa.

- Zbiorę cię, jeśli przegram bitwę. Kiedy przyjdzie do najgorszego i Fairfax przekroczy Tamar. Ale najpierw pojedziesz z Matty do Menabilly. Jeśli wygramy, to i dobrze, ale jeśli nas pobiją, natychmiast cię zaborę, wynajmiemy rybacką łódź i popłyniemy przez Kanał do St Malo, gdzie

odnajdziemy Dicka.

- Obiecujesz?

- Tak, moja najśłodsza. Obiecuje.

Kiedy tak się zaklinał, trzymając mnie mocno w ramionach, poczułam się nieco lepiej, ale w głowie wciąż kołatała mi myśl, że jestem nie tylko kobietą, ale i kaleką. Ciężkie to brzemię dla uchodźcy...

Następnego dnia rada wezwała Richarda do Truro. W obecności całego zgromadzenia zadano mu pytanie, jak wyobraża sobie obronę Kornwalii i w jaki sposób można zapewnić bezpieczeństwo księciu Walii.

Nie odpowiedział od razu. Dopiero następnego dnia napisał ze swej kwatery list do ministra wojny, podając wszystkie szczegóły planu, który uznał za absolutnie konieczny, a o którym ledwie zdążył mi dotąd napomknąć. Z głównymi założeniami zapoznał mnie po powrocie i muszę przyznać, że napełniły mnie one obawą - nie tyle ze względu na nierealność, ile na to, że tak łatwo było wypaczyć ich istotę. Krótko mówiąc, proponował zawrzeć z parlamentem traktat, który ustanawiałby Kornwalię udzielnym księstwem, rządzonym przez obecnego księcia Walii. Posiadałoby ono własną armię, fortyfikacje oraz flotę. W zamian za to Kornwalijszczyki zobowiązaliby się nie atakować sił parlamentu. Zyskawszy w ten sposób na czasie, ludność Kornwalii, a zwłaszcza armia zachodnia, wzmocniłaby się na tyle, że za rok mogłaby służyć Jego Królewskiej Mości bardziej skuteczną pomocą. Oczywiście traktat nie obejmowałby tego ostatniego ustępu. Gdyby jednak układ nie doszedł do skutku, Richard radził obsadzić wojskiem linię od Barnstaple do Kanalu, a od północnego wybrzeża do Tamar wykopać rowy, przekształcając tym sposobem Kornwalię w sztuczną wyspę. Pierwsza linia obrony biegłaby wzdłuż

brzegu Tamar, przy czym wszystkie mosty zostałyby zburzone. Linii owej - dowodził - można by bronić w nieskończoność i każda próba inwazji musiałaby spełznąć na niczym.

Kiedy skończył swój raport i wysłał go do rady, wrócił do Werrington i czekał na odpowiedź. Minęło pięć dni, tydzień... Wreszcie nadeszła sucha notatka podpisana przez kanclerza skarbu i ministra wojny. Rozpatrzyli projekt, ale nie zyskał on aprobaty. Rada książęca zastanowi się nad innymi środkami i zawiadomi sir Richarda Grenville'a, kiedy będzie chciała skorzystać z jego usług.

- I tak - rzekł Richard, rzucając mi pismo na kolana - Grenville'owi dano kopniaka okraszonego przestroga, by się nie wysuwał przed innych. Rada woli przegrać wojnę na swój własny sposób. Niech więc robią, co chcą! Czasu jest coraz mniej i moim zdaniem ani śnieg, ani mróz nie zatrzymają Fairfaxesa w Devonie. Byłoby mądrze, moja Honor, gdybyś napisała do Mary Rashleigh z ostrzeżeniem i zawiadomiła ją, że wybierasz się na święta do Menabilly.

Traciliśmy grunt pod nogami. Poznałam to wyraźnie po lekkim tonie głosu i wzruszeniu ramion Richarda.

- A ty? - spytałam, pełna jak najgorszych przeczuć, od których ścisnęło mi się serce.

- Przyjadę później - obiecał. - Spędzimy razem Nowy Rok w twojej komnatce nad bramą.

I tak trzeciego grudnia, po osiemnastu wspólnych miesiącach, wyruszyłam znów do Menabilly.

Tym razem moja podróż wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, na wiosnę, kiedy janowce obsypane były złocistym kwieciami, a młody John Rashleigh wyjechał mi na spotkanie aż na gościniec. Wówczas wojna nie dotknęła jeszcze okolicy, w parku pasło się bydło i owce z jagniętami, a z owocowych drzew w sadzie ledwie zdążyły opaść ostatnie płatki. Teraz mieliśmy grudzień, od wzgórz i dolin dął ostry, przenikliwy wiatr i nie witał mnie żaden roześmiany młody galant. Gdy tylko skręciliśmy w bramę, zobaczyłam, że mur nadal jest zburzony i nikt nie zabrał się jeszcze do naprawy. Tam, gdzie grunt opadał ku morzu, ponad Polkerris, jakiś wieśniak orał parą wołów niewielkie pole, ale dalej, na wschód i zachód, ziemia leżała odłogiem. Brunatna, żyzna gleba zarosła ostami, w parku sнуło się kilka wychudzonych krów. Jeszcze teraz, po upływie roku z okładem, widać było łyse spłachetki ziemi po rebelianckich namiotach oraz poczerniałe korzenie drzew zrąbanych na opał. Pięliśmy się już na wzgórze, ku domowi. Patrząc na dym z kominów i słuchając szczekania stajennych psów, zastanawiałam się z dziwnym skurczem w sercu, czy i teraz przyjmą mnie tu z otwartymi ramionami. Moja lektyka znowu stanęła przed bramą. Zerknąwszy w górę, zauważyłam, że moje dawne okno jest szczelnie zamknięte i pokój wygląda na tak samo niezamieszany, jak i ów przyległy. Zresztą całe zachodnie skrzydło robiło wrażenie opustoszałego. Mary ostrzegła mnie w liście, że tylko wschodnia część domu została jako tako wyporzadzona i cała rodzina ma do dyspozycji zaledwie sześć pokoi, do których znalazły się zasłony i najpotrzebniejsze sprzęty. Tak, a teraz jazda dalej, na

wewnętrzny dziedziniec. Rzut oka na wieżę z zegarem i chorągiewką, wskazującą kierunek wiatru - i oto tak jak poprzednim razem, na stopniach staje Mary. Ze zgrozą patrzy na jej zupełnie białe włosy... A jednak powitała mnie tym samym spokojnym uśmiechem i delikatnym pocałunkiem, zaraz też zaniesiono mnie do galerii, gdzie czekała moja kochana Alice, w otoczeniu wianuszka dzieci, z których najmłodsze, zaledwie roczne, próbowało u jej kolan pierwszych kroków. Nikt więcej już tu nie mieszkał. Sawle'owie wrócili do Penrice, Sparke'owie do Devonu, a moja chrześniaczka Joan pozostała z Johnem i dziećmi w domu Rashleighów w Fowey. Mąż Mary, jak się zdaje, był zajęty przy gospodarstwie. Gdy tylko pokrzepiłam się trochę po podróży, musiałam wysłuchać wieści z minionego roku; Otóż Jonathan nie otrzymał dotąd z kasy królestwa ani pensa na odbudowę dworu, a to, co mimo wszystko zostało zrobione, jest dziełem jego własnych rąk, dokonany przy pomocy służby i dzierżawców.

- Okropna bieda spadła na Kornwalię - mówiła ze smutkiem moja siostra. - Wszyscy są niezadowoleni. Tegoroczne plony nie wynagrodzą nam poniesionych strat, tak uważa każdy, kto ma kawałek ziemi. Jeśli wojna szybko się nie skończy, będziemy zrujnowani.

- Może się i skończy - odrzekłam. - Ale niezupełnie po naszej myśli

Mary zerknęła na Alice, ta zaś chyba chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Zauważyłam też, że jak dotąd nie padło ani jedno słowo na temat Richarda. Widać Rashleighowie pochowali głowy w piasek i tak, naprawdę woleli nie wiedzieć co nas łączy. Nie zapytano mnie ani razu, co się ze mną działo przez ostatni rok.

- Ludzie mówią, że król jest dobrej myśli i że

niebawem przyśle na Zachód wielką armię, która pomoże nam wyprzeć Fairfaxa z Devonu

- Król ma dość roboty z utrzymaniem w ryzach swych oddziałów w Środkowej Anglii - odparłam. - Nie w głowie mu teraz Zachód.

- Chyba nie sądzisz, że Kornwalii znów grozi inwazja?  
- przestraszyła się Alice.

- Nie wiem, jak moglibyśmy jej uniknąć.

- Ale... mamy przecież mnóstwo wojska, czyż nie? - spytała Mary nadal unikając wzmianki o jego generale. - Nałożono na nas olbrzymie podatki na utrzymanie armii.

- Wojsko bez butów i pończoch nie nadaje się do walki. A tym bardziej bez prochu do muszkietów.

- Jonathan powiada, że to wina złej organizacji. Na Zachodzie brakuje naczelnego wodza, przy którym skupiłaby się władza. Rada mówi jedno, dowódcy - drugie. Ja, ze swej strony, nic z tego nie rozumiem, marzę tylko, żeby wszystko wreszcie się skończyło.

Widziałam po ich twarzach, że i Mary, i nawet Alice, tak zawsze sprawiedliwa i wyrozumiała, potępiają bezwzględne metody i liczne nietakty generała Grenville'a, który w Menabilly, tak jak i gdzie indziej, zyskał jak najgorszą sławę. Jeżeli nie oczyszczę jego imienia zaraz, w tej chwili, to przez cały czas mego pobytu temat ten będzie pokrywała niezręczna cisza. Żadna z nich nie uczyni pierwszego kroku i na zawsze wyrośnie między nami niewidzialny mur.

- Mieszkałam z Richardem Grenville'em, odkąd został ranny, a więc przez osiem miesięcy, i być może jestem nieco zaślepią. Wiem, że ma wiele wad, ale z pewnością jest najlepszym żołnierzem w całej królewskiej armii. Rada książęca powinna go słuchać, przynajmniej w sprawach



dotyczących wojska, jeśli nie innych.

Przez chwilę panowało milczenie. Potem Alice, czerwieniąc się lekko, powiedziała:

- Jak wiesz, Peter jest pod Plymouth, służy razem z Robinem pod sir Johnem Digbym. Kiedy był tu ostatnio, opowiadał, że sir Richard ciągle zasypuje ich dowódcę rozkazami, do czego nie ma żadnego prawa.

- Jakimi rozkazami? Mądrymi czy głupimi?

- Nie chodzi o same rozkazy, może nawet okazały się przydatne, ale o fakt, że je wydawał sir Johnowi, który mu nie podlega. Narobiło to dużo złej krwi.

W tym momencie do galerii wszedł mój szwagier i dyskusja się urwała. Zastanawiałam się potem z ciężkim sercem, ilu właściwie przyjaciół zostało Richardowi spośród tych, którzy na początku przysięgali mu wierność jako swemu dowódcy. Po paru dniach Jonathan postawił sprawę jasno. Wcale nie unikał imienia Richarda, spytał mnie wprost, czy generał Grenville wyleczył już rany, bo on, Jonathan, słyszał w Truro, że sir Richard wygląda marnie i jest bardzo wycieńczony.

- Owszem, jest zmęczony - przyznałam - i nie czuje się dobrze. W obecnej sytuacji trudno, by wierzył w siebie i był dobrej myśli.

- Wyrządził sobie tu, w Kornwalii, niepowetowaną szkodę, przez to, że domagał się wsparcia, zamiast o nie prosić.

- Ciężkie czasy wymagają srogich środków. Kiedy nieprzyjaciel czyha u granic, nie można z czapką w rękę błagać o czyjaś łaskę. Chodzi o pieniądze na opłacenie żołnierzy.

- Zyskałby znacznie więcej, gdyby zabrał się do tego z taktem i współczuciem wobec naszej powszechnej biedy.

Cała Kornwalia stanęłaby u jego boku, gdyby rozumiał choćby połowę tego, co Bevil. Na to zabrakło mi odpowiedzi, gdyż w duchu przyznawałam mu rację... Nastąpiły chłody i deszcze, toteż większość czasu spędzałam w moim pokoju - tym, który kiedyś zajmowała Gartred. Chyba tylko dzięki niej owa komnatka uniknęła większych zniszczeń. Z trzech okien jedno wychodziło na ogrody, wciąż jeszcze odarte ze swego dawnego piękna. Nowo posiana trawa zaledwie weszła i wyglądała dość marnie. Z dwóch południowych okien rozciągał się widok na biegnącą do wzgórza groblę oraz na zatokę. Czułam się dość zadowolona, ale pusta w środku - z trudem znosiłam samotność, przywykłszy przez osiem miesięcy do towarzystwa ukochanego człowieka. Dzieliłam z nim kłopoty i niepowodzenia, ale i chwile szaleństwa. Przyzwyczaiałam się do jego nastrojów,, rozumiałam je i kochałam. Okrutny żart, cięta, złośliwa replika - a potem nagły wybuch czułości, tak zaskakującej i serdecznej, że w mgnieniu oka zniknął srogi żołnierz, a zostawał delikatny kochanek.

Przy nim dni mijały jak jedna chwila. Teraz każdy nosił piętno zimnego, monotonnego grudnia. Śniadania jadłam przy świecy, a na krótkie przejażdżki po grobli ubierano mnie w grubą opończę i okrywano kocem. Schyłek roku, pora, w której zawsze jest mi smutno i źle, niósł z sobą same troski i niedobre przecucia.

Na Boże Narodzenie zjechali z Fowey John i Joan. Peter Courtney także otrzymał od sir Johna Digbyego kilka dni przepustki, więc ze względu na dzieci (a może i nas samych) staraliśmy się cieszyć. Wszyscy zapomnieli o Fairfaksie i Cromwellu - dzielnym zastępcy wodza, który podobno wiódł żołnierzy do boju z modlitwą na ustach. W dwóch kominkach galerii piekliśmy kasztany i parząc sobie

palce, wyciągaliśmy z ognia karmelki; pamiętam też, że w noc wigilijną przybłąkał się do nas ślepy grajek i grał nam na harfie w blasku świec. Wojny sprawiły, że wiele takiej biedoty błądziło po gościńcach. Nie mając własnego kąta, wędrowali po miasteczkach i wioskach, otrzymując często więcej przekleństw niż sztuk srebra. Może to pora roku zmiękczyła serce Jonathana, w każdym razie nie zawrócił staruszka od progę. Mam go teraz przed oczami - w wytartym kubraku i podartych pończochach siedzi w końcu galerii i przebiera palcami po strunach harfy, przyśpiewując drżącym, ale dziwnie melodyjnym głosem. Zapytałam Jonathana, czy w tych ciężkich czasach nie obawia się złodziei, on jednak pokręcił głową i wskazał ręką sfatygowane obicia i zniszczone krzesła.

- Nie zostało mi nic cennego - odrzekł. - Widziałaś na własne oczy, że wszystko zniszczyli. - A potem, uśmiechając się leciutko, dodał ściszym głosem: - Nawet w sekretnej izdebce i tunelu zostały tylko szczury i pajęczyny.

Zadrzałam, bo nagle przypomniało mi się wszystko, przez co przeszłam, gdy Dick się tam ukrywał. Ulżyło mi dopiero, kiedy odwróciwszy się, zobaczyłam, jak Peter Courtney bawi się z dziećmi w żabki, a wybuchy ich śmiechu głuszą nawet melancholijne lamenty harfy. Służący przyszli pozamykać okiennice, ale zanim to nastąpiło, mój szwagier stanął na chwilę przy oknie, na tle ołowianego nieba. Ściemniało się już i razem patrzyliśmy na pierwsze płatki śniegu.

- Mewy ciągną w głąb łądu - zauważył. - Czeka nas ciężka zima.

Było coś złowieszczego w tych skądinąd niewinnych słowach, jakieś przeczucie rychłej katastrofy. Już, kiedy je wymawiał, wiatr zaczął się wzmaczać. Wirując nad ogrodami,

porywał krzyczące mewy, które tak rzadko przylatywały ze swych gniazd na klifach, a także rozproszone stada drozdów z północy, przelotnych ptaków szukających u nas schronienia.

Rano zrobiło się zupełnie białe i sądząc z zachmurzonego nieba, zanosilo się na dalsze śnieżyce. Wśród panującej wokół głuchej ciszy, rozbrzmiewał czysty donośny głos dzwonów kościoła w Tywardreath, oznajmiających Boże Narodzenie.

Myślałam o Richardzie, siedzącym ze swymi oficerami w Werrington. Bałam się, że nie dotrzyma obietnicy, bo przy takiej pogodzie zasy na wrzosowiskach Bodmin mogą mieć i dziesięć stóp głębokości.

A jednak przyjechał. Zjawił się dziewiątego stycznia, kiedy gwałtowna odwilż zmieniła zmrożony śnieg w rzadką breję i gościńcem z Launceston do Bodmin mógł się przedostać tylko naprawdę nieustraszony jeździec. Przywiózł ze sobą Jacka Grenville'a i jego młodszego brata Bunny'ego, młodzieńca w wieku Dicka, o zawadiacko zarysowanej szczęce i wesołych oczach. Ten ostatni spędził ze swym stryjem święta i odtąd go nie odstępował, zaklinając się, że nie wróci już do Stowe pod opiekę matki i guwernera, tylko wstąpi do wojska i wybije rebeliantów do nogi. Patrzyłam, jak Richard ciągnie go za ucho, jak śmieją się razem i żartują, i serce ścisnęło mi się na myśl o Dicku, samotnym, niekochanym, siedzącym w dalekiej Normandii z tym koszmarnym Herbertem Ashleyem. Czy Richard już zawsze będzie taki troskliwy i dobry dla innych chłopców, zjednując sobie ich serca, a dla własnego syna pozostanie obcym?

Jonathan, który znał dobrze Bevila, powitał serdecznie jego synów, a po pierwszej niezręcznej chwili (wizyta nie była zapowiedziana) znalazł kilka uprzejmych słów także dla

Richarda. Ten ostatni wyglądał nieco lepiej - sędzę, że służyła mu zimowa pogoda - i już po pięciu minutach tylko jego tubalny głos rozbrzmiewał w galerii - rodzina Rashleighów jakoś dziwnie przycichła. Przeczucie podpowiadało mi, że wraz z tą wizytą świąteczne uciechy dobiegły końca. Peter Courtney, zawsze skory do żartów, w jednej chwili zamilkł i widziałam, jak ze zmarszczonymi brwiami daje znaki Alice, by zabrała córeczkę, która ciągnęła Richarda za szarfę.

Nikt już nie zachowywał się swobodnie. Na czole Mary pojawiła się tak dobrze mi znana zmarszczka. Pewnie biedaczka zastanawiała się, co podać do jedzenia i w którym pokoju umieścić gościa, skoro wszyscy tłoczyliśmy się w jednym skrzydle.

- Pewnie udajecie się do Truro, panie generale? - spytała w nadziei, że rano się go pozbędzie.

- Nie - odparł. - Przy tak złej pogodzie mogę zabawić tydzień w Menabilly i dla odmiany postrzelać trochę do kaczek zamiast do rebeliantów.

Zauważyłam spłoszone spojrzenie, jakie posłała Jonathanowi. Nastąpiła cisza, w której Richard nie dostrzegł niczego osobliwego, gdyż nie zwykł słuchać innego głosu poza własnym. Z wielkim oburzeniem miotał gromy na opieszałość Kornwalijczyków.

- Na północnym wybrzeżu, gdzie ja i ci młodzieńcy urodzili się i wychowali, odzew nastąpił błyskawicznie, tak jak powinien. Ale na południe od Bodmin wszystko się sypie, a ludzie są powolni jak ślmaki.

Fakt, że Rashleighowie pochodzą właśnie z południa, zupełnie go nie obchodził.

- Nigdy nie mogłem długo usiedzieć w Killigarth. Wydasz w Boże Narodzenie rozkaz takiej ofermie z Polperro

albo Loose, to przy odrobinie szczęścia wykona go w środku lata.

Jonathan Rashleigh, który miał dobra w obu tych miejscach, patrzył uparcie przed siebie.

- Ale - ciągnął Richard - gwizdniesz w nocy na człowieka ze Stratton, Morwenstowe czy Bude i rano staje u twego boku. Powiem szczerze, że gdybym miał w swej armii samych zuchów znad Atlantyku mógłbym jutro zmierzyć się z Fairfaxem. Za to szczury z Truro i okolic wieją, gdzie pieprz rośnie, na sam widok żelaza.

- Myślę, że nie doceniacie naszych wspólnych ziomków.

- Bo znam ich jak zły szeląg.

Bałam się, że jeśli rozmowy dalej się tak potoczą, atmosfera w Menabilly mocno się zageści. Ale Jack Grenville, z taktem nabytym przez lata praktyki, dotknął ramienia Richarda.

- Spójrzcie no, stryju! Oto i kaczki!

Na tle szarych, śniegowych chmur ciągnął ku Gribben klucz ptaków. W Richardzie natychmiast obudził się chłopiec: śmiał się, żartował, klepał bratanka po plecach i na moment wszyscy domownicy płci męskiej ulegli jego urokowi. John, Peter, nawet Jonathan ruszyli na wybrzeże. My, kobiety, owinąwszy się opończami, wyszłyśmy na groble, by przyrzeć się polowaniu. Nagle wydało mi się, że czas cofnął się o całe lata, bo oto Richard obejrzał się na mnie z uśmiechem; na jego przegubie siedział sokół Petera... Chłopcy biegli przez porośnięty ostami park ku długiej łące w dolinie Pridmouth. Darli się jak opętani, a za nimi gnały z ujadaniem psy.

Śnieg wciąż leżał na polach, głodne bydło w zagrodzie węszyło w poszukiwaniu paszy. Stada coraz śmielszych

czajek krążyły z krzykiem nad naszymi głowami. Na chwilę wyjrzało słońce i zalało świat oślepiającym blaskiem. To tylko interidium, myślałam. Mam swego Richarda, Alice ma Petera, a Joan - Johna. Dziś nic złego nas nie spotka. Nie ma wojny, żaden nieprzyjaciel nie ruszy na nas z Devonu.

Kiedy wówczas oglądałam się wstecz, wypadki roku 1644 wydały mi się tylko koszmarnym snem, który nigdy nie może się powtórzyć. Patrząc na majaczące za doliną wzgórze, na drogę wijącą się wydłuż wybrzeża przez pola Tregares i Culver Close ku plaży w Pridmouth, widziałam tamtych żołnierzy, jak owego fatalnego sierpniowego dnia wynurzyli się zza linii horyzontu. Richard musi się mylić! Oni nie mogą tu wejść po raz drugi!

W dolinie rozległy się krzyki. Z bagien poderwała się kaczka, a tuż nad nią krążyły nieustępliwie sokoły. Nagle, bez żadnego powodu przeszył mnie dreszcz. Słońce straciło blask, na morzu pojawiły się drobne zmarszczki i wielki cień zasnuł wzgórze Gribben. Coś spadło mi na po liczek... coś miękkiego, wilgotnego, białego. Znow zaczął sypać śnieg.

Tego wieczoru zasiedliśmy kołem przy kominku w galerii i tylko Jonathan z Mary wcześniej udali się na spoczynek.

Ślepy harfiarz odszedł w Nowy Rok, więc nikt nam nie przygrywał oprócz brząkającej na lutni Alice. Peter wtórował jej śpiewem, a młodzi Grenville'owie pogwizdywali z cicha. Nauczyli się tego przed laty od swego ojca, Bevila, gdy cały wielki dom w Stowe rozbrzmiewał muzyką i śpiewem. John dorzucił polan do ognia i zdmuchnął świece. Długie płomienie rozświetliły całą salę, odbijając się ciepłym blaskiem na ścianach i twarzach nas wszystkich, siedzących w kręgu.

Widziałam, jak Alice, przebierając palcami po

strunach, spogląda z uwielbieniem na swego Petera, który niestety okazał się w następnych latach taki niewierny. On zaś, wyzbywszy się widać w blasku ognia skrepowania wobec generała, odrzucił w tył głowę i śpiewał:

*A więc chcesz mnie porzucić?*

*Ach, powiedz nie, ach nie!*

*Ja wcale cię nie winię,*

*Choć żal tak pali mnie,*

*A ty chcesz mnie porzucić?*

*Ach nie!*

*Ach nie!*

Widziałam, jak Joan i John wymieniali uśmiechy, trzymając się za, ręce... John, zawsze dobry i uczciwy, nigdy nie zdradził ani nie opuścił swej żony, tak jak Peter, a mimo to po niespełna sześciu latach zostawił ją samą na świecie, udając się do krainy, skąd nie ma powrotu.

*A więc chcesz mnie porzucić?*

*Czyż nie ma zmiłowania*

*Dla tego, kto cię kocha?*

*Niestety, ty się wzbraniasz!*

*A więc chcesz mnie porzucić?*

*Ach, powiedz nie!*

*Ach, nie!*

[Thomas Wyatt (1503-1542), „An Appeal”]

Łagodnie zawodziły struny lutni pod palcami Alice, Jack z Bunnym, osłaniając rękami usta, cicho pogwizdywali do wtóru. Zerknęłam ukradkiem na Richarda. Siedział zapatrzony w ogień, z chorą nogą wyciągniętą przed siebie i



wspartą na stołeczku. W blasku migotliwych płomyków jego twarz wydała mi się jakby wykrzywiona i nie potrafiłam rozpoznać, czy śmieje się, czy płacze.

- Śpiewałeś mi to kiedyś, pamiętasz? - szepnęłam, ale jeśli nawet usłyszał, to tego nie okazał.

Zaczekał do końca pieśni, po czym odłożył fajkę, wydmuchując długą smugę dymu, i sięgnął po lutnię.

- Wszyscy jesteśmy kochankami, co? Każdy na swój sposób, z wyjątkiem tych żółtodziobów.

Uśmiechnął się złośliwie i uderzył w struny.

*Panna nadobna w kwietnej koronie na głowie,*

*Której gładkości żaden język nie wypowie,*

*Która każdym spojrzeniem swe podboje szerzy*

*I tylko same gwiazdy*

*Mogą się z nią mierzyć,*

*Chociaż słodka jest teraz i piękna jak kwiat,*

*Lecz zgnije uroda, gdy minie sto lat!*

Urwał i puścił do nich oko. Alice aż się skurczyła i zerknęła niepewnie na Petera. Joan skubała nerwowo suknię, zagryzając wargi. O Boże, myślałam, czy musiał wszystko popsuć? Czemu ich tak rani? Toż to prawie dzieci!

*Po cóż mamy się smucić, lać ślęzy i wzdychać?*

*Lepiej jedzmy i pijmy, niech zabrzmi muzyka!*

*Bawmy się, nim żarłoczny robak ciało stoczy,*

*Po śmierci nie zaznamy*

*Nijakiej rozkoszy!*

*Dziś jesteś bogaty, zdrów, wesół i chwat,*

*Lecz wszystko to furda, gdy minie sto lat!*

Przejechał po strunach w ostatnim akordzie, wstał i z ukłonem podał lutnię Alice.

- Wasza kolej, lady Courtney. A może wolicie zagrać w bierki?

Ktoś - chyba Peter - zaśmiał się z przymusem, a John wstał i zapalił świece. Joan rozgrzebała płonące polana i ogień nie buzował już tak mocno, tylko żarzył się przez jakiś czas, póki nie zagaśł zupełnie. Czar prysnął.

- Śnieg ciągle sypie - rzekł Jack Grenvile, uchylając okiennicy. - Może napada ze dwadzieścia stóp jak w Devonie i Fairfax ze swym wojskiem ugrzęźnie w zaspach.

- Raczej Wentworth ugrzęźnie, jeśli nie ruszy zadka z Bovey Tracey - odburknął Richard.

- Czemu wszyscy powstawali? - zapytał Bunny. - Nie będzie już więcej muzyki?

Nie doczekał się odpowiedzi. Znów zawisło nad nami widmo wojny, a wraz z nim pojawiły się strach, niepewność, poczucie zagrożenia. Spokój miłego wieczoru gdzieś się ulotnił.

Złe spałam tamtej nocy, koszmarne sny nawiedzały mnie jeden za drugim. Przez chwilę wydało mi się, że słyszę stukot końskich kopyt w parku. Moje okna wychodziły na wschód, toteż mówiłam sobie, iż to tylko złudzenie, po prostu wiatr tłucze ośnieżonymi gałęziami. Ale rano Matty przyniosła mi razem ze śniadaniem liścik Richarda. Okazało się, że to, co brałam za złudzenie, było jednak prawda. Wyjechał o świcie, zabierając obydwóch bratanków i Petera Courtneya.

Podobno nocą przybył jeździec z wieściami. Cromwell zaatakował lorda Wentwortha w Bovey Tracey, a zaskoczywszy wojsko we śnie wziął czterystu jeńców z końmi. Żołnierze piechoty, którym udało wywinąć się z matni, uciekli w kompletnym pomieszaniu do Tavistock.

*Zaskoczyli Wentwortha we śnie, tak jak się obawiałem - pisał Richard na zmiętym świstku. - Ta głupia porażka może okazać się katastrofą, jeśli padnie ogólny rozkaz odwrotu. Zamierzam natychmiast udać się do rady i zaproponować swoje usługi. Muszą zaraz wyznaczyć naczelnego wodza, który by ujął w karby hałastrę Wentwortha, bo inaczej Cromwell i Fairfax lada chwila przekroczą Tamar.*

Więc Mary mimo wszystko mogła spać spokojnie. Sir Richard Grenville spędził pod jej dachem zaledwie jedną noc, a nie cały tydzień jak się obawiała... Z ciężkim sercem podniosłam się z łóżka, a gdy zniesiono mnie do galerii, zastałam tam Alice, całą we łzach. Wiedziała, w razie, czego Peter pierwszy ruszy do boju. Jonathan wyglądał jak chmura

gradowa. Koło południa wyjechał do Launceston, żeby się dowiedzieć, w jaki sposób właściciele ziemscy i szlachta mają pomóc krajowi w wypadku inwazji. John z Frankiem Penrose'em postanowili ostrzec dzierżawców, iż znowu mogą być potrzebni. Dzień kubek w kubek przypominał tamten sierpniowy, sprzed osiemnastu miesięcy, tyle, że wówczas był środek lata, a teraz zimy. I nie istniała żadna silna armia, która zwabiłaby nieprzyjaciela w zasadzkę, ani druga, oczekująca na tyłach...

Nasi zostali sami; wojsko króla znajdowało się, co najmniej trzysta mil dalej, a generał Fairfax stanowił przeciwieństwo hrabiego Essexu. On nie da się wciągnąć w pułapkę, a jeśli zdecyduje się przekroczyć Ta mar, to będzie wiedział, co robi.

Po południu przyjechała z Coombe Elizabeth, której mąż także się zaciągnął. Podobno w Fowey rozeszła się pogłoska, że wojsko rojalistów odstąpiło od oblężenia Plymouth i Digby razem z Wentworthem uciekają co sił w koniach w stronę mostów na Tamar.

Siedziałyśmy w galerii przy ledwie tłącym się ogniu, zgębnione i wystraszone. Gałąź, która wczoraj, przy naszych mężczyznach, strzelała jasnym płomieniem, teraz była tylko kawałkiem zwęglonego drewna w popiele.

Przeżyłyśmy już jedną inwazję, przetrwałyśmy krótki okres grozy, gdy nieprzyjaciel zajął dom, ale nigdy nie zaznałyśmy smaku ostatecznej klęski. Alice i Mary rozmawiały o dzieciach i konieczności ukrycia zapasów pod deskami podłóg, jak gdyby czekało nas najwyżej oblężenie. Ja się nie odzywałam. Patrząc w ogień, zastanawiałam się, kto bardziej ucierpi: żołnierze, którzy poniosą szybką śmierć na polu bitwy, czy też jeńcy zagrożeni niewolą i torturami. Co do mnie, to wołałam, żeby Richard raczej padł w walce,

niż dostał się w łapy rebeliantów. Łatwo się domyślić, co by uczynili ze Skellumem Grenvile'em, gdyby udało im się go pojmać.

- Król oczywiście ruszy na Zachód - mówiła Elizabeth.

- Nie zostawi przecież Kornwalii na pastwę losu. Podobno właśnie zbiera wielką armię w Oxfordshire. Gdy tylko nastanie odwilż...

- Nasze fortyfikacje potrafią oprzeć się rebeliantom - przerwała jej Joan. - John rozmawiał z kimś z Tywardreath i powiada, że mamy duże osiągnięcia. Jest jakiś nowy rodzaj muszkietu, z długą lufą... dokładnie nie wiem, ale podobno rebelianci nie dadzą mu rady... przynajmniej John tak uważa.

- Brakuje im pieniędzy - dodała Mary. - Jonathan mówił, że parlament ma zupełnie pustą kiesę. W Londynie ludzie mrą z głodu, brakuje chleba. Rebelianci muszą szukać porozumienia z królem, bo nie stać ich na dalszą wojnę. Kiedy nadejdzie wiosna...

Miałam chęć zatkać sobie uszy, żeby nie musieć ich słuchać. W kółko te same kłamliwe bajeczki, którymi tak często nas karmiono: tak dłużej być nie może, muszą się poddać, są w gorszej sytuacji niż my..... Gdy nastanie odwilż... wiosna... Nagle poczułam na sobie wzrok Elizabeth. Była bardziej bezpośrednia w obejściu, niż Alice, poza tym nie znałyśmy się tak dobrze.

- A co mówi sir Richard? - zapytała bez ogródek. - Kto jak kto, i ty najlepiej wiesz, co się dzieje. Będzie atakował? Przepędzi rebeliantowi do Dorset?

Ignorancja tych kobiet była tak bezbrzeżna, że nie miałam serca wyprowadzać ich z błędu.

- Atak? A skąd ma wziąć wojsko, żeby go przeprowadzić?

- Noo... przecież ma jakieś siły pod swą komendą. W

Kornwalii dość jest mężczyzn zdatnych do służby.

Porównałam w myśli osowiałych maruderów snujących się bez celu po Launceston z garstką tęgich zuchów z tarczami Grenville'ów na polach pod Werrington.

- Ma ruszać z ludźmi z przymusowego poboru i ochotnikami na pięćdziesiąt tysięcy wyćwiczonych żołnierzy?

- Ale w walce mamy przewagę - upierała się Elizabeth.

- Wszyscy tak mówią. Rebelianci są na pewno lepiej wyposażeni, lecz gdy staną oko w oko z naszymi, w uczciwej walce, na otwartym polu...

- Czy nigdy nie słyszałaś o Cromwellu i jego Armii Nowego Wzoru - spytałam łagodnie. - Nie rozumiesz, że nigdy dotąd nie stworzono w Anglii takiej potęgi?

Zmieszane i zaskoczone, wlepiły we mnie oczy. Elizabeth wzruszyła ramionami. Zauważyła, że bardzo się zmieniłam od zeszłego roku i wyraźnie stałam się defetystką.

- Gdybyśmy wszyscy tak mówili, dawno byłoby po nas. Pewnie to wpływ sir Richarda, nic dziwnego, że go tak nie lubią.

Alice zrobiła zakłopotaną minę, a Mary szturchnęła Elizabeth łokciem.

- Bez urazy - odparłam. - Znam jego wady jak zły szeląg, ale gdyby rada posłuchała go przynajmniej tym razem, Kornwalia mogłaby uniknąć inwazji.

Udając się na spoczynek, wyjrzałam przez okno i zauważyłam, że niebo się przejaśniło i świecą gwiazdy. Nie zanosilo się na śnieg, przynajmniej na razie. Zawołałam Matty i powiedziałam jej, co postanowiłam: gdy tylko uda się załatwić w Tywardreath konie, wracamy do Werrington, do Richarda. Wyruszymy jutro koło południa, przenocujemy w Bodmin i pojutrze będziemy na miejscu. Wprawdzie

postąpimy wbrew jego ostatnim poleceniom, ale w głębi serca czułam, że jeśli teraz się nie spotkamy, to już nigdy go nie zobaczę. Czego bałam się naprawdę? Tego nie potrafię powiedzieć, ale przemknęła mi przez głowę myśl, że jeśli ma paść w bitwie, to przynajmniej będę przy nim do końca.

Tak jak się spodziewałam, rano była ładna pogoda. Wstałam wcześniej i przy śniadaniu zawiadomiłam rodzinę o swych planach. Wszyscy razem i każdy z osobna błagali mnie, abym została - to szaleństwo puszczać się w podróż o tej porze roku. Nie ustąpiłam jednak i wreszcie poczciwy John Rashleigh zgodził się zająć przygotowaniami. Towarzyszył mi aż do Bodmin.

Na wrzosowiskach panował przejmujący chłód, toteż opuszczając o świcie zajazd w Bodmin z wierną Matty u boku, niezbyt paliłam się do dalszej podróży. Przed nami ciągnął się długi, pusty gościniec do Launceston z wielkimi zaspami po obu stronach. Strach pomyśleć, co by się stało z naszą lektyką, gdyby któryś koń źle stąpnął. Byłyśmy wprowadzie owinięte kocami, ale ostry wiatr wciskał się pod zasłonki, mroząc nam twarze. Kiedy wreszcie stanęłyśmy w Five Lanes, żeby rozgrzać się zupą i winem, chciałam zrezygnować z dalszej jazdy i poszukać noclegu w Altamun. Dopiero oberżysta mnie przekonał:

- Przez ostatnie dwa dni przechodziło tędy sporo żołnierzy, przeważnie dezertarów spod Plymouth, od sir Johna Digbyego. Chcieli się dostać do swych domów w zachodniej Kornwalii. Mówili, że nie pójdą nad Tamar jak barany na rzeź.

- I co jeszcze mówili?

- Nic pocieszającego. Wszędzie straszny bałagan. Jeden rozkaz przeczy drugiemu. Sir Richard Grenville jeździł nad Tamar na inspekcję mostów i kazał w razie potrzeby

wysadzić je w powietrze, ale pułkownik piechoty odmówił wykonania rozkazu. Nie będzie słuchał nikogo oprócz generała Digbyego. Co się z nami stanie, skoro nasi wodzowie biorą się za łby?

Zrobiło mi się słabo, więc odwróciłam głowę. Nie, nie ma mowy o noclegu w Altamun, muszę przed nocą dotrzeć do Werrington.

Dalej, więc w drogę, przez pustkowia okrytych śniegiem i omiatanych wiatrem wrzosowisk. Od czasu do czasu mijały nas brnące przez zasy py postacie, sądząc z wyglądu - dawni królewscy żołnierze, teraz zaś tylko dezernerzy. Twarze mieli sine z zimna i głodu, a mimo to naznaczone pewnym cynizmem i zaciętością, jak gdyby było im wszystko jedno, co dalej. Niektórzy wykrzykiwali: „Do diabła z wojną! Wracamy do domu!”. Inni, wygrażając pięścią w stronę naszej lektyki, drwili: „Tak wam spieszo do piekła?”.

Krótki, zimowy dzień szybko się kończył. Zanim dotarliśmy do Launceston i skręciłyśmy do miasteczka St Stephens, zapadła ciemność i znów zaczął sypać śnieg. Jeszcze godzina takiej jazdy, a zniknęłybyśmy pod zaspami wśród bezkresu wrzosowisk, rozciągających się po obu stronach drogi. Jednak w końcu dowlokłyśmy się jakoś do Werrington, którego nie spodziewałam się już zobaczyć. Kiedy zaskoczony wartownik, rozpoznawszy mnie, otwierał bramę, zauważyłam, że nawet on, człowiek Grenvil'ea, utracił swą dawną buńczuczną minę, a w razie niepowodzenia, zapewne nie różniłby się wyglądem od tamtych dezernerów.

Wjechałyśmy na brukowany dziedziniec. Na nasze spotkanie wyszedł jakiś nieznany mi oficer. Nie drgnął nawet, kiedy podałam swoje nazwisko. Generał jest na



naradzie i nie wolno mu przeszkadzać. Pomyślałam, że Jack mógłby mi pomóc, więc spytałam, czy sir John Grenvile albo jego brat zechcą przyjąć pannę Honor Harris w pilnej sprawie.

- Sir John nie jest już przy generale - brzmiała odpowiedź. - Księżę Walii powołał go wczoraj do swego orszaku, a pan Bernard Grenvile wrócił do Stowe. Teraz ja jestem adiutantem pana generała.

Nie wyglądało to pocieszająco. Obserwowałam żołnierzy wchodzących i wychodzących z hallu, słuchałam dalekiego warkotu bębnow... Chyba miałam źle w głowie, puszczając się w tę podróż. Cóż oni poczną z kaleką kobietą w tak gorączkowym i pełnym napięć czasie?

Za drzwiami narastał szmer głosów.

- Wychodzą- poinformował mnie oficer. - Narada skończona.

Dostrzegłam pułkownika Roscarrocka, którego dobrze znałam jako oddanego przyjaciela Richarda, i doprowadzona do ostateczności, zawołałam go z lektyki. Natychmiast do mnie podszedł i pokrywając zdumienie prawdziwą kurtuazją, kazał mnie zanieść do domu.

- Proszę o nic nie pyt ać - powiedziałam. - Wiem, że przybywam nie w porę, łatwo się tego domyślić. Mogę się z nim widzieć?

Zawahał się na ułamek sekundy.

- Ależ oczywiście! Będzie wam bardzo rad, tylko ostrzegam: kiepsko z nim. Wszyscy się martwimy... - Urwał, bardzo zmieszany i wyraźnie nieszczęśliwy.

- Proszę... - mówiłam, unikając jego wzroku - proszę go zawiadomić, że tu jestem.

Nie zwlekając dłużej, wszedł do pokoju, który Richard zajął na własny użytek, a w którym przesiadywaliśmy

wieczorami, dzień w dzień, przez całych siedem miesięcy. Pułkownik zabawił tam przez chwilę, po czym wrócił, wniósł mnie do środka i zamknął drzwi. Richard stał przy stole, miał stężałą twarz, pooraną bruzdami, które tak dobrze znałam. Ale w tej chwili ze wszystkich osób i rzeczy ja najmniej zaprzętałam je go myśli.

- Skąd się tu wzięłaś, u diabła? - spytał słabym głosem.

Nie takiego powitania pragnęłam, ale też na nic innego nie zasłużyłam.

- Przepraszam. Nie miałam chwili spokoju, odkąd wyjechałeś. Jeśli coś ma się stać, a wiem, że się stanie, to chcę to z tobą dzielić. Niebezpieczeństwo i tak dalej.

Parsknął śmiechem i rzucił mi na kolana jakiś papier.

- Nie ma niebezpieczeństwa! Ani dla ciebie, ani dla mnie. Może to i dobrze, że przyjechałaś, bo teraz wyruszymy razem.

- Co masz na myśli?

- Czytaj! To kopia listu, który przed chwilą wysłałem do rady, moja rezygnacja ze służby w wojsku Jego Królewskiej Mości. Dostaną to za godzinę.

Nie odpowiadałam przez chwilę; siedziałam zupełnie zmartwiała.

- Jak to? - wyjąkałam wreszcie. - Co się stało?

Podszedł do kominka i stał przez chwilę z założonymi do tyłu rękami.

- Pojechałem do nich, gdy tylko wróciłem z Menabilly. Powiedziałem, że jeśli chcą uratować Kornwalię i księcia, muszą wyznaczyć naczelnego wodza. Ludzie dezertują całymi setkami, dyscyplina przestała istnieć. To jedyna nadzieja, ostatnia deska ratunku. Podziękowali mi uprzejmie za radę i oznajmili, że ją rozważą. Wyszedłem. Następnego dnia udałem się do Gunnislake i Callington na inspekcję

umocnień. Pewnemu pułkownikowi piechoty poleciłem w razie potrzeby wysadzić most. On podał w wątpliwość moje uprawnienia i oświadczył, że ma inne rozkazy. Chcesz wiedzieć, kto to taki?

Nie odezwałam się, choć intuicja podpowiedziała mi prawdę.

- Twój brat, Robin Harris. Ośmielił się nawet wmieszać twoje imię do spraw wojskowych! „Nie przyjmuję rozkazów od człowieka, który zrujnował życie i reputację mojej siostry. Moim dowódcą jest sir John Digby, a on rozkazał mi most zachować” - Patrzył na mnie przez chwilę, a potem zaczął chodzić tam i z powrotem po dywaniku przed kominkiem. - Nie uwierzyłybyś, co za głupota, co za brak kompetencji! Nie chodzi o twego brata ani o to, że robi z prywatnej waśni argument w królewskiej sprawie, ale zostawić mosty Fairfaxowi? I jeszcze miał czelność powiedzieć mnie, Grenville’owi, że John Digby lepiej się zna na sprawach wojskowych!

Wyobraziłam sobie Robina z poczerwieniałym karkiem i sercem bijącym jak młotem, kipiącego gniewem. Pomyśleć, że ten kochany wariat chciał bronić honoru siostry, buntując się przeciw swemu dowódcy, bo widział w nim tylko ohydny uwodziciela!

- I co dalej? - spytałam. - Widziałeś się z Digbym?

- Nie! Co by mi z tego przyszło, gdyby i on zwrócił się przeciwko mnie? Wróciłem do Launceston, żeby odebrać od rady nominację naczelnego wodza. Wtedy pokazałbym całą armii, co potrafię i do diabła z tymi zgniłkami!

- I masz tę nominację?

Wziął ze stołu kawałek pergaminu i podsunął mi go pod oczy.

- "Rada Jego Wysokości Księcia Walii mianuje

niniejszym lorda Hoptona naczelnym wodzem wojsk Jego Królewskiej Mości na Zachodzie i wyraża życzenie, aby sir Richard Grenville służył pod jego rozkazami jako generał lejtnant piechoty". - Odczytał to z ponurą, wzgardy emfazą, po czym podarł dokument na drobne kawałki i wrzucił je w ogień. - Oto moja odpowiedź! Niech sobie robią, co chcą. Jutro wracamy do Menabilly strzelać do kaczek. - Szarpnął dzwonek i zaraz zjawił się adiutant. - Każ służbie podawać wieczerzę. Panna Harris musi się pokrzepić po długiej podróży.

Oficer wyszedł, a ja wyciągnęłam rękę do Richarda.

- Nie wolno ci tego robić. Musisz się podporządkować ich rozkazom.

Obrócił się do mnie, bladej ze złości.

- Muszę? Nie ma żadnego "muszę"! Mam się płaszczyć przed tym przeklętym kauzyperdą? To jego robota, on jest wszystkiemu winien! Już widzę, jak przemawia do członków rady tym swoim lisim językiem. „Ten Grenville jest niebezpieczny. Jeśli powierzemy mu dowództwo, będzie nas miał za nic i każe nam siedzieć cicho. Lepiej postawmy na Hoptona, który nie zdobędzie się na nieposłuszeństwo. A gdy rebelianci przekroczą Tamar, zatrzyma ich dostatecznie długo, żebyśmy zdążyli wymknąć się z księciem na Guernsey”. Taka jest mowa prawnika, tylko o to chodzi temu przekłętemu zdrajcy i tchórzowi!

- Richardzie... Mój miły, czyż nie rozumiesz, że teraz ciebie okrzykną zdrajcą? Odmawiasz służby pod rozkazami człowieka, który został mianowany naczelnym wodzem, kiedy w Devonie czyha nieprzyjaciel? To ty będziesz napiętnowany i wyklęty, ty, a nie ten Hyde!

Równie dobrze mogłam mówić do ściany.

- Tu nie chodzi o moją ambicję, tylko o honor. Nie

ufają mi, więc rezygnuję. Teraz zjedźmy coś, na miłość boską, i nie wracajmy do sprawy. Czy w Menabilly nadal pada śnieg?

Zawiodłam Richarda tego ostatniego wieczora, straszliwie go zawiodłam. Nie próbowałam dopasować się do jego nastroju, nawet, gdy gniew ustąpił wesołości. Pragnęłam porozmawiać o jego planach na przyszłość, ale nie podjął tematu. Pytałam, co sądzą jego oficerowie, pułkownicy Roscarrock, Arundell i Fortiscue. Czy popierają tę okropną, sprzeczną z prawem decyzję? Nie chciał o tym mówić. Kazał służącym otworzyć nową butelkę wina i z uśmiechem na ustach wypił ją duszkiem, jak siedem miesięcy wcześniej w Ottery St Mary. Dochodziła północ, kiedy do drzwi zapukał adiutant z listem w rękę.

Richard przebiegł go wzrokiem, zaśmiał się i wrzucił w ogień.

- Wezwanie od rady. Jutro o dziesiątej mam się stawić na zamku w Launceston. Kto wie, może zamierzają mianować mnie hrabią? Tak zwykle nagradza się u nas niewydarzonych wojskowych.

- Pojedziesz?

- Owszem. A potem ruszamy do Menabilly.

- Nie ustąpisz, więc? Nie schowasz dumy czy honoru do kieszeni i nie zgodzisz się na ich żądania?

Spojrzał na mnie bez uśmiechu.

- Nie. Nie ustąpię.

Udałam się na spoczynek w moim dawnym pokoju, przylegającym do sypialni Richarda. Drzwi między nimi zostawiłam otwarte, na wypadek gdyby nie mógł zasnąć i chciał do mnie przyjść. O trzeciej nad ranem usłyszałam na schodach jego kroki, ale nie odezwał się ani nie wszedł.

Spałam najwyżej dwie godziny, zresztą nie pamiętam

dokładnie. Kiedy się obudziłam, wciąż padał śnieg, było szaro i ponuro. Zawołałam Matty i kazałam się co rychlej ubierać, a potem zapytać Richarda, czy chce mnie widzieć.

Najpierw jednak on sam się pojawił i z wielką delikatnością namawiał mnie do pozostania w łóżku przynajmniej do jego powrotu.

- Będę za godzinę, może dwie. Tylko powiem tym panom, co o nich myślę, a potem zjemy razem śniadanie. Gniew już mi przeszedł, dziś czuję się lekki i wolny jak ptak. Dziwnie mi trochę na duszy - pierwszy raz za nic nie odpowiadam...

Ucałował mi ręce i odjechał. Słyszałam stukot kopyt w parku, a potem pojedyncze uderzenie w bęben - i cisza, tylko miarowe kroki wartowników przed domem. Usiadłam przy oknie z pledem na kolanach. Śnieg sypał bez ustanku, na błoniach przed zamkiem w Launceston pewnie leży już gruby dywan. Tutaj, w Werrington, świat jakby opustoszał. Pod drzewami, nad rzeką kulił się jelen. W południe Matty przyniosła mi kawałek mięsa, ale nie miałam apetytu. Dalej wysiadywałam przy oknie, zapatrzona w park. Niebawem śnieg zasypał ślady kopyt, a miękkie, białe płatki oblepiły szyby, zasłaniając cały widok. Chyba dopiero koło trzeciej straż sprezentowała broń i rozległ się stłumiony warkot bębna. Jacyś jeźdźcy zbliżali się od północnej bramy, ale z mojego okna nie było ich widać. Czekałam. Richard mógł nie przyjść od razu, pewnie ważne sprawy zatrzymały go na dole. Za kwadrans czwarta ktoś zapukał do drzwi. Służący ściszym głosem zapytał, czy panna Harris przyjmie pułkownika Roscarrocka.

- Oczywiście - odpowiedziałam i zastygłam w oczekiwaniu z rękami na kolanach i aż za dobrze znanym lękiem w sercu.

Zatrzymał się tuż za drzwiami; na twarzy miał wypisane nieszczęście.

- Proszę mówić - przynagliłam go. - Wolę od razu znać prawdę, choćby najgorszą.

- Aresztowali go! Pod zarzutem zdrady księcia Walii i Jego Królewskiej Mości. Zabrali go na naszych - wszystkich jego oficerów - oczach!

- I gdzie go trzymają?

- Na zamku Launceston. Namiestnik wraz z eskortą już na niego czekali. Błagałem go, by podjął walkę. Na jego jedno słowo stanie cała armia, nie mówiąc o jego własnym sztabie, tak mu tłumaczyłem, ale się nie zgodził. Powiedział, że rozkaz księcia musi być wykonany. Uśmiechnął się, kazał nam być dobrej myśli, a potem wręczył namiestnikowi szpadę i zaraz go zabrali.

- I to już wszystko? Ani słowa więcej, żadnego pożegnania?

- Nic więcej, poza tym, że kazał mi zaopiekować się wami i odwieźć bezpiecznie do Menabilly.

Siedziałam nieruchomo, nie czując już nic, nawet gniewu.

- To już koniec - dodał pułkownik. - Nie ma w całej armii drugiego takiego dowódcy jak Richard Grenvile. Kiedy Fairfax zdecyduje się uderzyć, nie natrafi na żaden opór. To koniec.

Tak, koniec. Tylu ludzi walczyło, tylu poległo - i wszystko na nic. Nikt nie wysadzi mostów, nikt nie będzie strzegł dróg ani pilnował umocnień. Na jedno słowo Fairfaxa wojsko runie przez Tamar i zajmie Kornwalię. Możemy pożegnać się z wolnością na wiele miesięcy, lat, na całe pokolenia. A Richard Grenvile, który mógłby uratować kraj, siedzi w lochu zamku Launceston, uwięziony przez własnych

stronników.

- Gdybyśmy mieli więcej czasu - ciągnął pułkownik - można by złożyć petycję o jego uwolnienie. Podpisałby ją każdy mężczyzna i każda kobieta w Kornwalii. Rozesłalibyśmy gońców, dotarlibyśmy nawet do samego króla, błagalibyśmy o łaskę, przekonywalibyśmy, jak niesprawiedliwy jest wyrok rady. Gdyby tylko był czas...

Czas... Kiedy nastanie odwilż, gdy przyjdzie wiosna... Ale był dziewiętnasty dzień stycznia i wciąż padał śnieg.



Przed wszystkim powzięłam decyzję o natychmiastowym wyjeździe z Werrington, co też uczyniłam tegoż wieczora, zanim sir Charles Trevannion ze sztabu lorda Hoptona zajął dom w imieniu swego dowódcy. Nie miałam żadnego powodu przebywać tam dłużej, zresztą chciałam oszczędzić zakłopotania Charlesowi Trevannionowi, dobremu znajomemu mego ojca. Przeniosłam się do Launceston i zamieszkałam w zajeździe przy Broad Street, nieopodal zamku.

Umieściwszy mnie tam, pułkownik Roscarrock zabrał mój list do namiestnika z prośbą o widzenie z Richardem następnego dnia. Wrócił o dziewiątej z grzeczną, acz stanowczą odmową.

Z rozkazu rady nikomu nie wolno odwiedzać sir Richarda Grenvile'a.

- Zamierzamy - rzekł pułkownik - wysłać deputację do samego księcia, do Truro. Na pewno Jack Grenvile zechce wstawić się za stryjem, podobnie jak wielu innych. Wiadomość o aresztowaniu już się rozeszła i żołnierze zaczęli szemrać, za co ukarano ich jednodniowym zakazem opuszczania kwater. Z tego, co mówił namiestnik, wnioskuję, że obawiają się buntu. Nie miałam dalszych pytań, zresztą i tak zajęłam pułkownikowi dość czasu, więc życzyłam mu dobrej nocy i sama też się położyłam. Spędziłam koszmarną noc, zastanawiając się, w jakim lochu umieszczono mego ukochanego. A może zakwaterowano go stosownie do rangi?

Następnego dnia, czyli dwudziestego stycznia, do śniegu przyłączył się deszcz i zrobiło się tak paskudnie, że do

końca życia znienawidziłam Launceston, które i tak kojarzyło mi się z nieszczęściem. Już sama nazwa wydawała się równoznaczna z więzieniem. Tuż przed południem pułkownik Roscarrock przyniósł najświeższe wieści. W całym mieście ogłoszono, że sir Richard Grenville pozbawiony został dowództwa wszystkimi regimentami, które dotąd mu podlegały, oraz wydalony z armii Jego Królewskiej Mości - a wszystko bez wyroku sądu wojennego.

- To się wprost w głowie nie mieści! - grzmiał pułkownik. - Żaden kodeks wojskowy, żadna tradycja nie dopuszcza takiego postępowania! Będzie wielki bunt w całym wojsku! Dziś zwołujemy wiec protestacyjny i natychmiast dam wam znać, co postanowiono.

Wiece, narady... Jakoś nie miałam do nich zaufania. Ach, jakże przeklinałam swe niedołęstwo, ale cóż mi pozostało? Siedzieć w wynajętej izbie i gapić się na bruki Launceston!

Matty także faszerowała mnie pocieszającymi bajeczkami.

- Całe miasto nie mówi o niczym innym! Ci, co przedtem burczeli na surowość sir Richarda, teraz domagają się jego uwolnienia. Przed zamkiem zebrał się wielki tłum i wszyscy żądają, żeby wyszedł namiestnik. Musi go wypuścić, bo inaczej ludzie puszczą zamek z dymem.

- Namiestnik tylko wykonuje rozkazy, sam nic nie może zrobić. Trzeba się zwrócić do rady i sir Edwarda Hyde'a.

- W mieście gadają, że rada uciekła do Truro ze strachu przed rozruchami.

Już po zapadnięciu ciemności usłyszałam tupot wielu nóg na placu targowym. Z daleka dobiegały krzyki, w niebo strzelały race, błyskały pochodnie. Kilka trafiło w okna

ratusza, więc właściciel zajazdu kazał pozamykać okiennice i zaryglować drzwi.

- Na zamku wystawiono podwójne straże - powiedziała Matty - a żołnierzom nadal nie wolno wychodzić.

Jakie to typowe, myślałam z goryczą, że teraz, kiedy karta losu się odwróciła, mój Richard od razu odzyskał popularność. Strach to bicz, który napędza ludzi. Nie wierzą ani lordowi Hoptonowi, ani nikomu innemu. Według nich tylko Grenville potrafi utrzymać nieprzyjaciela na drugim brzegu Tamar.

Kiedy wreszcie dotarł do mnie pułkownik Roscarrock, od razu po jego minie poznałam, że niczego nie udało się osiągnąć.

- Generał przysłał nam wiadomość, że nie życzy sobie, byśmy go uwalniali siłą. Prosił o sąd wojenny i o to, by książę zechciał wysłuchać, co ma do powiedzenia. Nam, to jest swym żołnierzom, kazał iść pod komendę lorda Hoptona.

Czemu, u licha, sam tego nie uczynił dwanaście godzin temu?

- Więc nie będzie żadnego buntu? - spytałam. - Ani szturm na zamek?

- W każdym razie nie armia tego dokona - odparł zniechęcony pułkownik. - Złożyliśmy przysięgę na wierność lordowi Hoptonowi. Dotarły już do was ostatnie nowiny?

-Nie.

- Dartmouth padło. Namiestnik, sir Hugh Pollard, wraz z tysiącem ludzi dostali się do niewoli. Farfaix ustanowił nową linię frontu przez Devon - z północy na południe.

Skoro tak, to nie ma czasu na zwoływanie sądu wojennego.

- Jakie są rozkazy nowego dowódcy? - spytałam słabo.

- Jak dotąd, żadne. Przebywa teraz w Stratton i przejmuje dowództwo. W ciągu najbliższych dwóch dni nie spodziewamy się żadnych wiadomości, więc jestem do waszej dyspozycji. Myślę - proszę mi wybaczyć - że nie na wiele się zda siedzieć tu dłużej,

Biedny pułkownik! Wiedział, że będzie miał ze mną same kłopoty, i trudno go o to winić.

Ale nie mogłam pogodzić się z myślą, żeby wyjechać i zostawić Richarda w lochu.

- Może sama porozmawiam z namiestnikiem? - zaproponowałam.

Ale nie dał mi żadnej nadziei.

- Namiestnik nie należy do ludzi, którzy zmiękliby wobec kobiecych prośb. Jutro pójdę do niego jeszcze raz i przynajmniej dowiem się, czy generał jest zdrow i czy niczego mu nie brakuje.

I z tym zapewnieniem oddalił się, zostawiając mnie na kolejną koszmarną noc. Rano obudził mnie daleki warkot bębnow, potem zaś pod moimi oknami przeciągnął oddział jeźdźców.

Zastanawiałam się, czy w nocy nie nadeszły jednak jakieś rozkazy od lorda Hoptona i czy wojsko nie szykuje się do wymarszu. Posłałam Matty na dół po nowiny. Gospodarz powiedział jej, że żołnierze są na nogach od świtu, a cała konnica ruszyła już w drogę na północ.

Ledwie skończyłam śniadanie, kiedy goniec przyniósł mi kilka słów od pułkownika, skreślonych w wielkim pośpiechu. Bardzo przeprasza, ale otrzymał rozkaz, by bezzwłocznie udać się do Stratton, ponieważ lord Hopton zamierza iść na północ, do Torrington. Jeśli w okolicy przebywa ktoś z moich krewnych lub przyjaciół, najlepiej zrobię, udając się bez zwłoki pod ich opiekę. Nikogo takiego

nie miałam ani nie zamierzałam szukać. Wezwałam gospodarza i kazałam się nieść na zamek, gdyż chciałam się widzieć z namiestnikiem. Wyruszyłam, więc w lektyce dźwiganej przez czterech ludzi, opatulona w koce przed wiatrem. Matty towarzyszyła mi pieszo. Przybywszy na miejsce, zażądałam widzenia z kapitanem gwardii. Wyszedł do mnie nieogolony, przypinając po drodze szpadę. Ha! Gdyby go tak Richard zobaczył, dopieroż by mu pokazał!

- Byłabym wdzięczna, gdybyście, panie, zechcieli zaanonsować mnie namiestnikowi.

- Namiestnik nikogo nie przyjmuje bez pisemnego uzgodnienia.

- Tu mam list. Może zechcecie go doręczyć.

Obracał list na wszystkie strony z niepewną miną, po czym znów na mnie spojrział.

- Jaką właściwie macie sprawę, pani?

Mimo niechlujnego wyglądu był dość uprzejmy, więc postanowiłam brnąć dalej.

- Pragnę się wstawić za sir Richardem Grenville'em.

Na te słowa oddał mi list.

- Przykro mi, pani, ale na próżno się trudzicie. Sir Richarda tu nie ma.

Ogarnęła mnie panika. Wyobraziłam sobie nagłą, sekretną egzekucję.

- Jak to? Dlaczego?

- Dziś rano wywieziono go pod eskortą na St Michael's Mount. Kilku jego ludzi wyrwało się w nocy ze swych kwater i urządziło demonstrację przed zamkiem. Namiestnik uznał, że należy usunąć go z Launceston.

W jednej chwili kapitan gwardii razem z zamkowymi murami, groźnymi fortyfikacjami przestał dla mnie istnieć. Richarda tam nie było.

- Dziękuję - powiedziałam. - Do widzenia.

Oficer patrzył za mną przez jakiś czas, po czym wrócił na odwach.

St Michael's Mount. Wysepka przy zachodnim cyplu Kornwalii, oddalonym o dobre siedemdziesiąt mil. Przynajmniej daleko od Fairfaxesa, ale jak, u licha, mam się tam dostać? Kiedy wróciłam do zajazdu, miałam w głowie tylko jedno: jak najprędzej wyjechać z Launceston.

W progu stał gospodarz. Pytał o mnie pewien oficer, który dotąd czeka. Pomyślałam, że to pewnie pułkownik Roscarrock, i od razu kazałam się nieść do sali, ale zamiast niego zobaczyłam Robina.

- Dzięki Bogu! - powitał mnie mój brat. - Nareszcie cię widzę. Gdy tylko usłyszałem o aresztowaniu sir Richarda, uzyskałem od sir Johna przepustkę i wyruszyłem do Werrington. Powiedziano mi tam, że wyjechałaś dwa dni temu.

Wcale nie byłam pewna, czy cieszy mnie jego widok. W tej chwili wydawało mi się, że moimi przyjaciółmi mogą być tylko przyjaciele Richarda.

- Właściwie po co przyjechałaś? - spytałam chłodno.

- Żeby cię zabrać z powrotem do Mary. Przecież nie możesz tu zostać.

- A może ja nie chcę jechać?

- Nie masz wyboru. Armia przechodzi reorganizację i nie możesz pozostawać w Launceston bez opieki. Ja sam otrzymałem rozkaz, że by przyłączyć się do sir Johna Digby'ego w Truro, dokąd udał się ze swym wojskiem dla ochrony księcia przed inwazją. Mógłbym po drodze, odwiedzić cię do Menabilly.

Zaczęłam intensywnie myśleć. Truro to główna kwatery rady. Gdybym się tam udała, kto wie? Może

uzyskałabym audiencję u samego księcia?

- Doskonale - rzekłam, wruszając ramionami. - Pojadę z tobą, ale pod jednym warunkiem. Nie zostawisz mnie w Menabilly, ale zabierzesz aż do Truro.

Popatrzył na mnie niepewnie.

- I co chcesz zyskać w ten sposób?

- Nic. Ale przez pamięć dla dawnych czasów, zrób, o co cię proszę.

Podszedł blisko i ujął mnie za rękę.

- Honor powiedział, utkwivszy niebieskie oczy w mojej twarzy - chcę, żebyś mi uwierzyła. Nie mam nic wspólnego z jego aresztowaniem. Cała armia jest wstrząśnięta, nawet sir John, który tak ostro spierał się z Richardem Grenville'em, napisał do rady prośbę o jego natychmiastowe uwolnienie. Kornwalia potrzebuje go bardziej niż kogokolwiek innego.

- Więc czemu nie pomyślałeś o tym wcześniej? - spytałam z goryczą. - Czemu odmówiłeś wykonania jego rozkazu w sprawie mostu?

Spłoszył się na chwilę, a potem odrzekł z zakłopotaniem:

- Bo się zezłościłem. Tego dnia wszyscy byliśmy poirytowani, a sir John, najlepszy człowiek pod słońcem, wydał mi przedtem inne rozkazy. Ty nie rozumiesz, Honor, co to znaczy dla mnie i całej rodziny, że stałaś się pośmiewiskiem całej Kornwalii. Odkąd ostatniej wiosny wyjechałaś z Radfrbd do Exeter, ludzie robią różne aluzje, szepczą po kątach, a nawet głośno wygadują najgorsze rzeczy.

- Czy to naprawdę takie okropne, że jeśli ukochany człowiek leży ranny, to się do niego jedzie?

- Więc czemu go nie poślubiłaś? Gdybyście należeli

do siebie zgodnie z boskim prawem, miałybyś prawo dzielić z nim niełaskę. Ale włączyć się z obozu do obozu jak ladacznica... Powiem ci, co gadają w Devonie: że dobrze sobie zasłużył na przydomek „Skellum”, skoro zbałamucił nawet kalekę.

O, tak, pomyślałam. To do Devończyków podobne.

- Nie nazywam się lady Grenville tylko, dlatego, że sobie tego nie życzę.

- Więc nie masz ani trochę godności? Nie zależy ci na dobrym imieniu?

- Moje imię brzmi Honor i niczym go nie splamiłam.

- To już koniec, wiesz o tym? - zapytał po chwili milczenia. - Nie sądzę, by rada zgodziła się go uwolnić, chociaż wszyscy podpisaliśmy petycję. Tu mógłby pomóc tylko rozkaz samego króla.

- Król zaś ma, co innego na głowie. Tak, Robinie, rozumiem. Więc czego się mamy spodziewać?

- Że zatrzymają go w więzieniu, a po zakończeniu wojny król może skorzysta z prawa łaski.

- A jeśli wojna nie potoczy się po naszej myśli? Jeśli rebelianci zajmą Kornwalię? - Robin zawahał się, więc sama dopowiedziałam: - Wtedy sir Richard zostanie wydany generałowi Fairfaxowi i skazany na śmierć jako zbrodniarz wojenny.

Po czym, wymówiwszy się zmęczeniem, udałam się do swego pokoju i po raz pierwszy od wielu nocy zasnęłam bez trudu. Stało się tak dlatego, że Robin zgodził się zawieźć mnie do Truro, oddalonego od St Michael's Mount zaledwie o trzydzieści mil. W ciągu ostatnich dni śnieg tak zasypał wrzosowiska, że musieliśmy wybrać drogę wzdłuż wybrzeża. Po licznych postojach i opóźnieniach stanęliśmy na miejscu dopiero po tygodniu. Niestety, rada zdążyła się przenieść do



zamku Pendennis u ujścia rzeki Fal. Również sir John Digby ze swym wojskiem znajdo wał się w obrębie murów.

Robin znalazł dla mnie i Matty kwaterę w Penryn, sam zaś wyruszył do swego dowódcy. Dałam mu list do Jacka Grenville'a, ten zaś, jak wiedziałam, należał do najbliższego otoczenia księcia. Zjawił się też u mnie zaraz następnego dnia, ja zaś powitałam go niemal ze łzami w oczach. Zupełnie, jakbym od wieków nie widziała żadnego Grenville'a, a przecież minęły zaledwie trzy tygodnie, odkąd Jack i Bunny przyjechali z Richardem do Menabilly.

- Bez obawy - odezwał się od progu. - Stryj jest dobrej myśli i cieszy się tegim zdrowiem.

Przesłał mi z Mount wiadomość i kazał ci napisać, żebyś się nie martwiła. To raczej on ma powody do niepokoju, bo myśli, że jesteś u pani Rashleigh w Menabilly.

Nie pozostało mi nic innego, jak zaufać Jackowi.

- Powiedz no, co się mówi o wojnie?

Skrzywił się i wzruszył ramionami.

- No cóż, siedzimy w Pendennis, a już to samo nie wróży nic dobrego. Na kotwicy stoi fregata, dobrze uzbrojona i zaopatrzona w żywność. Na dany sygnał kapitan ma wziąć kurs na wyspy Scilly. Sam książę nigdy nie da takiego sygnału, chce, bowiem walczyć do ostatka, ale radzie brakuje jego odwagi. Ostatnie słowo będzie miał sir Edward Hyde, nie książę Walii.

- A ile mamy czasu?

- Hopton na czele armii maszeruje na Torrington i jest pewna nadzieją, chociaż słaba, że zaatakuje pierwszy. Wtedy przejąłby inicjatywę i wymusił decyzję. To dzielny człowiek, ale brak mu autorytetu mego stryja i żołnierze nic sobie zeń nie robią. Jeśli Fairfax wygra pod Torrington, można się będzie spodziewać, że fregata jednak wyruszy.

- A twój stryj?

- Obawiam się, że zostanie w Mount. Nie ma innego wyjścia. Ale Fairfax to żołnierz i dżentelmen. Na pewno sprawiedliwie go potraktuje.

Dla mnie to nic nie znaczyło. Żołnierz, dżentelmen... Zgoda, ale służy parlamentowi, a parlament w czterdziestym trzecim roku ogłosił Richarda Grenville'a zdrajcą.

- Słuchaj, Jack. Zrobisz coś dla mnie? Tu chodzi o twego stryja.

- W ogień skoczę za was oboje.

Kochany chłopak! Prawdziwy syn Bevila!

- Wyjednaj mi audiencję u księcia Walii.

Gwizdnął cicho i poskrobał się w policzek. Cały Grenville!

- Zrobię, co w mojej mocy, ale tu trzeba czasu i cierpliwości. Poza tym nie mogę ręczyć za skutek. Rada nie odstępuje go na krok, on zaś nie zrobi nic bez wiedzy i zgody sir Edwarda Hyde'a. Mówię ci, Honor, co to za psi los! Najpierw siedziała mu na głowie matka, teraz rada. Ale niech no tylko dojdzie do lat i będzie mógł działać sam, podpali cały świat.

- Wymyśl jakąś bajeczkę - nalegałam. - Jesteś jego rówieśnikiem i bliskim towarzyszem. Na pewno wiesz, czym go wzruszyć, daję ci wolną rękę.

Uśmiechnął się uśmiechem swego ojca.

- Skoro tak, to wystarczy, że usłyszysz waszą historię. Opowiem mu, jak pojechałaś za stryjem do Exeter, a nie będzie mógł się doczekać, że by cię zobaczyć. Uwielbia romantyczne historie, ale sir Edward Hyde... O, to niebezpieczny człowiek!

Zostawił mnie, obiecawszy solennie, że zrobi, co tylko może. Mu siałam się tym zadowolić. Potem zaczęło się

czekanie, które naprawdę trwało dwa tygodnie, ale mnie się wydawało, że cały wiek. W tym czasie Robin przyjeżdżał kilka razy i błagał, żebym zgodziła się wrócić do Menabilly. Na jedno moje słowo Jonathan Rashleigh osobiście przyjedzie, żeby mnie zabrać.

- Muszę cię ostrzec w zaufaniu, że rada nie bardzo wierzy, aby Hopton powstrzymał Fairfaxa. Książę ze swym dworem popłynie na wyspy Scilly, a my zamkniemy się w Pendennis i będziemy tam siedzieć, póki nas nie wykurzą. Niech nadciągnie choćby cała potęga rebeliantów, nie poddamy się!

Kochany Robinie! Choćby za ów zapal, płonący w twych błękitnych oczach, za te zaciśnięte szczęki wybaczyłam ci wrogość wobec Richarda i ową głupią, bezsensowną szkodę, jaką wyrządziłeś, sprzeciwiając się jego rozkazom.

Śmierć albo zwycięstwo! Oto droga, którą wybrałby i mój Richard. A tymczasem ja knuję spisek, mający na celu tylko jedno: żeby wykradł się z więzienia nocą, jak złodziej.

- Wrócę do Menabilly - powiedziałam wolno - jak książę Walii odpłynie na Scilly.

- Ale wtedy nie będę mógł ci towarzyszyć. Będę siedział za murami Pendennis z działami wycelowanymi ku wschodowi, na Penryn.

- Co mi tam wasze działa! Tyle się ich boję, co konnicy Fairfaxa, która runie zza Tamar na wrzosowiska. Jak to pięknie będzie wyglądało w kronikach rodziny Harrisów: „Honor, poległa na ostatnim posterunku w roku 1646”.

Śmiałe, zuchwałe słowa, a tak mało przekonujące...

Czternastego lutego, w sam dzień świętego Walentego, patrona zakochanych, otrzymałam wiadomość od Jacka Grenville'a. W oględnych słowach, nie wymieniając nazwisk,

piisał:

*Waż udał się do Truro. Mój przyjaciel i ja przyjmujemy  
Cię na krótko dziś po południu.  
Przyślę ci eskortę. Nie mów nic swemu bratu.*

Dotrzymał obietnicy w sprawie eskorty; pojechałam sama, nawet bez Matty, uważając, że w tak delikatnych sprawach nikomu nie wolno ufać. Przy wejściu do zamku czekał na mnie sam Jack. Tym razem obeszło się bez targów z kapitanem, wystarczyło krótkie hasło podane strażnikowi i nim ktokolwiek się spostrzegł, byliśmy za murami.

Przyszło mi na myśl, że może to nie pierwszy raz Jack Grenville przemyca kobietę do fortecy. Taka błyskawiczna akcja wynika zwykle z długiego doświadczenia. Dwóch służących w liberiach księcia podeszło, żeby mnie zanieść, i po przebyciu jakichś schodów (pewnie tylnych, w sam raz odpowiednich dla takich jak ja) znalazłam się w pokoiku na wieży, gdzie umieszczono mnie na sofie. Rozkoszowałamby się zapewne ową przygodą, gdyby nie śmiertelnie poważny temat audyencji. Tuż przy łokciu miałam wino, owoce i świeże kwiaty wazonie. A jednak Jego Wysokości przydała się ta odrobina francuskiej krwi, cokolwiek by mowie o jego matce.

Zostawiono mnie na chwilę samą, żebym się mogła pokrzepić, po czym drzwi się otworzyły i stanął w nich Jack, który odstaąpił na bok, by przepuścić młodzieńca w swoim wieku. Daleko mu było do przystojności - z czarnymi puklami i smagłą karnacją przypominał raczej Cygana niż księcia, ale wystarczyło, by się uśmiechnął, a przypadł mi do serca znacznie bardziej niż jego ojciec ze sławnych, znanych od dzieciństwa portretów.

- Czy moi słudzy zadbali o was należycie? Czy na niczym wam nie zbywa? Niestety, jesteśmy na żołnierskim wickie, proszę więc o wyrozumiałość.

Kiedy mówił, czułam na sobie jego wzrok; mierzył mnie z góry na dół chłodnym okiem znawcy, jak gdybym miała lat piętnaście, a nie dwa razy więcej niż on.

- Podejź tu, Jack - polecił - i przedstaw mnie swej krewniaczce.

Ciekawe, jaką to szatańską historię opowiedział mu ten wariat? Zaczęliśmy jeść i pić, ale przez cały czas rozmowy książę nie spuszczał ze mnie wzroku. Zastanawiałam się, czy w młodzieńczej wyobraźni nie wzdragał się przed myślą, że osławiony, nieposłuszny generał darzył miłością kalekę.

- Nie chciałabym nadużywać czasu waszej wysokości - powiedziała w końcu. - Sir Richard, stryj Jacka, jest mi od lat drogim przyjacielem. Popułnił wiele błędów, ale nie przybyłam tu, by o nich rozmawiać. Natomiast pragnę przypomnieć, że jego lojalność w stosunku do waszej wysokości nigdy nie budziła zastrzeżeń.

- Ja też wcale w nią nie zwątpiłem, ale sami wiecie, jak to jest. Wystąpił przeciw radzie, a sir Edward to szczególnie człowiek. Bardzo lubię sir Richarda, ale osobiste uczucia tu się nie liczą. Nie miałem wyboru, musiałem podpisać nakaz aresztowania.

- Sir Richard postąpił bardzo niewłaściwie, odmawiając służby pod lordem Hoptonem. Porywczość to jego najgorsza wada, a tamtego dnia wydarzyło się wiele rzeczy, które go zirytowały. Gdyby miał czas się zastanowić, na pewno by się zgodził.

- Nawet nie próbował się opierać, kiedy go brali - wtrącił Jack. - Ręczę, że cały jego sztab pośpieszyłby na

pomoc, gdyby wyrzekł, choć słowo. Ale on zapowiedział wszystkim, iż pragnie być posłuszny rozkazowi waszej wysokości.

Książę wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- To paskudna sprawa - odezwał się w końcu. - Tylko Grenville mógł uratować Kornwalię, a tymczasem Hopton bezskutecznie walczy pod Torrington. Niestety, nie mogę nic na to poradzić i w tym cała bieda. Wywiozą mnie, zanim się czegoś dowiem.

- Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale jest coś, co wasza wysokość mógłby zrobić.

- Co takiego?

- Przesłać do St Michael's Mount rozkaz, że w chwili, gdy wasza wysokość odpłynie z radą na Scilly, sir Richardowi wolno będzie uciec do Francji i zarekwirować w tym celu łódź rybacką.

Książę Walii wytrzeszczył na mnie oczy i nagle jego brzydkie oblicze rozjaśnił ten sam uśmiech, który zauważyłam poprzednio.

- Sir Richard ma wiele szczęścia, że posiada tak wiernego sprzymierzeńca. Gdybym kiedyś znalazł się w jego sytuacji i musiał ratować się ucieczką, chciałbym mieć przy sobie kogoś, choć w połowie tak oddane go jak wy, pani. - Spojrzał na Jacka. - Zorganizujesz to, dobrze? Pojedziesz z moim listem do sir Arthura Bassetta w Mount i przy okazji zobaczysz się ze stryjem. Nie sądzę, żebyśmy mogli zaprosić go na naszą fregatę, gdyż okręt raczej nie udźwignąłby sir Edwarda Hyde'a i sir Richarda razem.

Młodzieńcy wybuchnęli śmiechem, zupełnie jak para uczniów przyłapana na psotach. Potem książę podszedł do sofy, skłonił się nisko i ucałował moją dłoń.

- Proszę się nie obawiać - rzekł. - Wszystko

załatwimy, sir Richard będzie wolny w tej samej chwili, gdy my wyruszymy na Scilly. A kiedy wrócę, bo z pewnością nadejdzie taki dzień, mam nadzieję ujrzeć was razem w Whitehall.

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł. Głowę dam, że od razu o mnie zapomniał, ale zostawił mi po sobie wspomnienie czarnych oczu i cygańskich rysów, którego nie pozbyłam się po dziś dzień...

Jack odprowadził mnie do wyjścia.

- Będzie pamiętał o obietnicy, mogę na to przysiąc - zapewniał. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek cofnął słowo. Jutro pojedę z listem do St Michael's Mount.

Kompletnie wyczerpana, wróciłam do Penryn w poczuciu wypełnionej misji. Teraz pragnęłam jedynie łóżka i ciszy. Matty powitała mnie zasznurowanymi ustami i kwaśnym spojrzeniem.

- Od tygodni prosicie się o chorobę - gderwała. - Żeby w obcym miejscu, bez żadnych wygód wyprawiać takie historie! Ale dobrze, ja tam za nic nie odpowiadam.

- I nikt cię o to nie prosi - odparłam, odwracając się do ściany. - Na litość boską, daj mi spać albo i umrzeć, skoro tak mi się podoba.

Dwa dni później lord Hopton poniósł sromotną porażkę pod Torrington i cała zachodnia armia rzuciła się do ucieczki za Tamar. Mało mnie to obeszło, bo leżałam w Penryn z wysoką gorączką. Dwudzieste go piątego lutego Fairfax zajął Launceston, a drugiego marca, przebywszy wrzosowiska, wkroczył do Bodmin.

Tej samej nocy książę Walii ze swą radą wsiadł na fregatę „Feniks” i odpłynął na wyspy Scilly. Wojna na Zachodzie dobiegła końca...

W dniu, w którym lord Hopton podpisał z generałem

Fairfaxem traktat w Truro, przyjechał po mnie do Penryn mój szwagier Jonathan, uzyskawszy w tym celu przepustkę od parlamentu, jechaliśmy przez ulice obstawione wojskiem - nie naszym, tylko nieprzyjacielskim - i przez całą drogę z Truro do St Austell patrzyliśmy na ślady klęski. Siedziałam w lektyce jak skamieniała, wyglądając przez zasłonki, Jonathan zaś cwałował obok z opuszczonymi ramionami i pooraną brudami, ponurą twarzą.

Nie rozmawialiśmy, po prostu nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Przy moście St Blazey Jonathan wręczył wartownikowi przepustkę. Ten obrzucił nas pogardliwym spojrzeniem i ruchem głowy dał znak, że możemy jechać. Byli dosłownie wszędzie. Na drodze, przy chałupach w Tywardreath, przy rogatkach, u stóp wzgórza Polmear. Tak miała teraz wyglądać nasza przyszłość: musieliśmy pokornie prosić, by pozwolono nam jeździć po naszych własnych drogach. To jednak nie było już moje zmartwienie, gdyż nie czekały mnie dalsze podróże. Wracałam do Menabilly. Koniec z włączeniem się po obozach w ślad za warkotem bębnow. Teraz miałam być zwykłą Honor Harris, kaleką przykutą do łóżka, ale wszystko to nic mnie już nie obchodziło.

A to, dlatego, że Richard Grenvile uciekł bezpiecznie do Francji.



Klęska i następstwa wojny... Niezbyt przyjemne dla przegranej strony. Bóg świadkiem, że znosimy je po dziś dzień (piszę to jesienią 1653 roku), ale w czterdziestym szóstym byliśmy jeszcze nowicjuszami i dopiero zaczynaliśmy się uczyć. Myślę, że nas, Kornwalijszczyków, najbardziej dotknęła utrata swobód. Od pokoleń przywykliśmy stanowić sami o sobie, każdy żył, jak mu się podobało. Dziedzice byli uczciwi, przeważnie cieszyli się sympatią, dzierżawcy i chłopci żyli w przyjaźni. Owszem, wybuchały lokalne niesnaski, zatargi między sąsiadami czy poszczególnymi rodami, ale jak dotąd, nikt obcy się do tego nie wtrącał ani niczego nam nie narzucał. Teraz wszystko się zmieniło. Rozkazy przysyłano nam z Whitehall, a o wszystkim przesądzał Komitet Hrabstwa Kornwalii z siedzibą aż w Londynie. Nie mogliśmy już robić nic na własną rękę ani decydować we własnym kręgu o tym, co dotyczy ło naszych wsi i miast. Wszelkie decyzje podejmował rzeczony komitet.

Przed wszystkim zażądano od ludu Kornwalii cotygodniowej, bardzo wysokiej opłaty na rzecz skarbu państwa. Przy kolosalnych zniszczeniach wojennych nie sposób było się z tego wywiązać. Potem nastąpił kolejny krok: sekwestracja wszystkich majątków, których właściciele walczyli po stronie króla. Ponieważ komitet nie miał czasu ani ludzi do zarządzania owymi majątkami, dziedzicom pozwolono mieszkać we dworach, ale w ciągu miesiąca musieli opłacić to prawo sumą równą pełnej wartości swych dóbr. Ów wyniszczający nakaz stał się tym cięższy do zniesienia, że posiadłości wyceniano według ich wartości

sprzed wojny, a tymczasem wiele z nich popadło w ruinę i trzeba było wielu pokoleń, zanim wreszcie zaczęłyby przynosić jakiś zysk.

Do egzekwowania owych sum nastano na nas z Whitehall horde drobnych urzędników. Ponieważ parlament wypłacał im stałe pensje, tylko kieszenie owych gryzipiórków nie świeciły wówczas pustkami. Wszędzie też było pełno tych wysłanników, łączyli się ze sobą w nowe komitety i podkomitety, tak że z czasem człowiek nie mógł nawet chleba kupić bez czapkowania panom agentom i uzyskania ich podpisów na jakimś świstku. Oprócz służb cywilnych spadły nam na kark jeszcze wojskowe. Teraz każdy, kto chciał wybrać się choćby do sąsiedniej wioski, musiał prosić oficera o przepustkę, a przy okazji odpowiedzieć na liczne pytania dotyczące celu podróży. Od słowa do słowa zagłębiano się w historię rodziny i różne szczegóły, po czym zamiast wydać żądany dokument, oficer wydawał w końcu nakaz aresztowania za pierwsze lepsze przestępstwo.

Święcie wierzę, iż w lecie czterdziestego szóstego roku Kornwalia była najbardziej zrujnowanym hrabstwem w całym królestwie. Plony okazały się marne - jeszcze jeden cios dla właścicieli ziemskich i chłopów - a ceny zboża skoczyły pod samo niebo. Jednocześnie ceny cyny gwałtownie spadły i z tego powodu zamknięto wiele kopalń. Jesienią razem z biedą pojawiły się choroby: nasza stara nieprzyjaciółka zaraza skosiła olbrzymie żniwo w St Ives i na zachodzie. Kolejne brzemie to ranni żołnierze i inwalidzi, wygłodzeni i obdarci, którzy włóczyli się po dworach, żebrząc i błagając o litość. W całym kraju nie znalazłby się nikt - mężczyzna, kobieta czy dziecko - kto skorzystałby w jakikolwiek sposób na nowych rządach. Tylko agenci

Whitehall, którzy wścibiali nosy w nasze sprawy od świtu do zmierzchu, porastali w piórka, podobnie jak ich bogaci protektorzy - wielcy magnaci, stronnicy parlamentu. Dawnymi czasy utyskiwaliśmy na wysokie podatki na rzecz króla, ale nakładano je od czasu do czasu, teraz zaś musieliśmy płacić stale. Sól, mięso, krochmal, ołów, żelazo - wszystko to znajdowało się pod kontrolą parlamentu, a biedni ludzie nie mogli nastarczyć pieniędzy.

Co działo się poza Kornwalią - trudno powiedzieć. Nie dochodziły do nas żadne nowiny spoza Tamar. Przy i tak ciężkim życiu nawet odpoczynek obłożono restrykcjami, gdyż poczuliśmy na sobie twardą rękę purytanów. W niedziele nikt nie miał prawa wychodzić z domu, chyba, że do kościoła. Zakazano tańców - wprawdzie i tak mało, kto miał chęć na tego rodzaju uciechy, ale młodzież zawsze odznaczała się płocnością i lekkimi nogami. Wszelkie gry hazardowe i wiejskie festyny były, co najmniej źle widziane. Wesołość to folgowanie sobie, a taki grzech ściąga na nas gniew Pana. Często myślałam, jak Temperance Sawle, mimo swych rojalistycznych sympatii, cieszyłaby się z tych nowych wspaniałych praw, ale niestety biedna Temperance jako jedna z pierwszych padła ofiarą zarazy.

Jedynym powodem do chwały w ciągu tego okropnego roku była bohaterska, choć niestety bezsensowna obrona zamku Pendennis przez całych pięć miesięcy oblężenia. Podczas gdy reszta kraju, podbita i zniewolona, dawno wpadła w sieci Whitehall, Pendennis wciąż stawiał opór nieprzyjacielowi. Załogą zamku dowodził Jack Arundell, krewniak, a za dawnych czasów bliski przyjaciel Grenville'ów, z sir Johnem Digbym jako zastępcą. Robin służył pod jego rozkazami jako generał major. Dało nam to, jak sądzę, ostatni posmak dumy. Oto garstka straceńców, bez

żadnej nadziei na ratunek i żyjąc resztkami zapasów, utrzymała na wieży królewską flagę od drugiego marca do siedemnastego sierpnia. Pewnie woleliby wysadzić się w powietrze wraz z całym garnizonem, niż poddać zamek, ale głód i choroby tak bardzo osłabiły ducha u żołnierzy, że tylko ze względu na nich Jack Arundell zdecydował się w końcu ściągnąć chorągiew. Trzeba przyznać, że nawet nieprzyjaciel uszanował ich bohaterstwo, bo - jak opowiadał Robin - garnizon otrzymał pozwolenie na wymarsz z pełnymi honorami wojskowymi - z biciem w bębny, fanfarami i sztandarami. Tak, tak, mieliśmy swoje dni chwały, my, Kornwalijszczyki... Ale kiedy i ten ostatni bastion padł, znikły nasze nadzieje i pozostało nam tylko wzdychać i patrzeć w czarną studnię przyszłości...

Także mój szwagier Jonathan Rashleigh, jak inni stronnicy króla, utracił swe dobra na rzecz komitetu. Kiedy przyjechał w czerwcu do Truro, powiedziano mu, że aby je odzyskać, musi zapłacić grzywnę w wysokości tysiąca osiemdziesięciu funtów. Chociaż po kampanii roku czterdziestego czwartego jego straty przekroczyły osiem tysięcy, nie pozostało mu nic innego, jak pochylić głowę przed zwycięzcami i zgodzić się na spłatę haraczu w ciągu następnych lat. Mógłby wprawdzie wyjechać do Francji, jak wielu naszych sąsiadów, ale zbyt mocne więzy łączyły go z ojczyzną. W lipcu, załamany i zgnębiony, przystąpił do Narodowej Ugody i poprzysiągł, że nigdy więcej nie podniesie oręża przeciw parlamentowi. Ten ciężki cios, jaki Jonathan zadał własną ręką swej dumie, nie zadowolił jednak komitetu. Niebawem mego szwagra wezwano do Londynu, gdzie miał pozostać, póki nie spłaci całej grzywny. I tak rozbito kolejne ognisko domowe, a my, w Menabilly, znów zaznaliśmy smaku klęski. Jonathan wyjechał pewnego

wrześniowego dnia, kiedy resztki ubogich plonów trafiły do stodoł. Wyglądał nie na swe pięćdziesiąt pięć lat, ale co najmniej na dziesięć więcej. Patrząc w jego zgaszone oczy, zrozumiałam, że utrata wolności może do tego stopnia zniszczyć ducha w człowieku, iż jest mu już wszystko jedno, czy żyje, czy też nie.

Zarządzanie posiadłością spadło teraz na barki mojej biednej siostry Mary i jej pasierba Johna. Musieli nieźle się nagłować, żeby spłacać miesięczne raty, co mogło przeciągnąć się na wiele lat, a nawet końca życia Jonathana. Tuż przed wyjazdem szwagier powiedział mi kilka serdecznych słów:

- Menabilly jest twoim domem, możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz. Wszystkich nas jednakowo dotknęło nieszczęście. Strzeż swej siostry, dźwigaj z nią wszystkie kłopoty. I proszę, pomagaj Jonowi, masz w tym domu najtęższą głowę.

Najtęższa głowa... Miałam, co do tego wątpliwości. Żeby przechytrzyć komitet i płatnych agentów parlamentu, trzeba było mieć w małym palcu wszystkie prawnicze kruczki. Nie mogliśmy liczyć na niczyją pomoc. Robin po upadku Pendennis wyjechał do Radford, gdzie razem z Jo także cienko przedli. Peter Courtney, który nie cierpiał bezczynności, opuścił Zachodni Kraj na dobre. Dowiedzieliśmy się później, że jest za granicą, przy księciu Walii. Wielu młodych ludzi poszło za jego przykładem - na francuskim dworze żyło się całkiem wygodnie. Kto wie, może gdyby bardziej kochali ojczystą ziemię, zostaliby tutaj i dźwigali brzemień kłęski na równi z kobietami.

Alice nie wypowiedziała nigdy ani słowa skargi, ale myślę, że odjazd męża złamał jej serce. Z początku dziwnie czuliśmy się, patrząc jak John z Frankiem Penrose'em harują

w polu wraz z dzierzawa. Ale teraz liczyła się każda para rąk, cała ziemia musiała być należycie uprawiona i wydawać plony. Nawet kobiety wyszły do żniw - Mary, Alice i Elizabeth. Dzieci, które uważały to za świetną zabawę i pomagały nosić snopki. Gdyby zostawiono nas w spokoju, znalazłybyśmy szybko pociechę i zadowolenie w pracy, ale ciągle nachodzili agenci parlamentu. Wypytywali o różne sprawy, liczyli owce i bydło, niemalże każdy kłos. Niczego nie wolno było ukryć, rozdzielić między siebie, wszystko trafiało do Fowey, przed zadowolone z siebie oblicze urzędnika, który uzyskał koncesję od parlamentu. Parlament... Parlament... - to słowo jak dzień długi rozbrzmiewało w naszych uszach. Dekretem parlamentu produkty wolno zwozić na targ tylko we wtorki. Parlament wydał zakaz urządzania dorocznych jarmarków. Parlament ostrzega, że w godzinę po zachodzie słońca nie wolno nikomu wychodzić z domu bez specjalnej przepustki. Parlament przypomina wszystkim właścicielom domów, że od dziś każde mieszkanie będzie, co tydzień poddane rewizji. Każdy, kto przechowuje broń i amunicję, zostanie natychmiast aresztowany.

- Parlament ogłasza - rzekł zmęczonym głosem John Rashleigh - że nikomu nie wolno oddychać bożym powietrzem bez specjalnego zezwolenia, a i wtedy najwyżej przez godzinę dziennie. Ach, Honor, to nie do zniesienia!

- Zapominasz, że Kornwalia to tylko część królestwa. Wkrótce ten sam los spotka całą Anglię.

- O, nie! To wykluczone!

- A co na to poradzić? Król właściwie jest więźniem, krajem zaś rządzi stronnictwo, które ma w bród pieniędzy i dysponuje najsilniejszą armią. Tym, którzy dzielają ich poglądy, powodzi się całkiem nieźle.

- Nikt nie może dzielić ich poglądów. Nie wolno zaprzedać własnej duszy.

- I tu się mylisz. To tylko kwestia przystosowania się do okoliczności i ściskania odpowiednich rąk. Lord Robartes żyje sobie komfortowo w Lanhydrock. Treffrysowie z Place - jako krewni Hugh'a Petersa i Jacka Trefusisa - też nie mają powodów do narzekań. Gdybyś, idąc za ich przykładem, płaszczył się przed parlamentem, życie w Menabilly stałoby się o wiele łatwiejsze.

Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Mam się do nich przymilać, kiedy mój ojciec w Londynie żyje jak nędzarz, śledzony dniem i nocą? Prędzej umrę!

Wiedziałam, że prędzej umrze, i za to go kochałam. Drogi Johnie, mogłeś przeżyć znacznie więcej lat u boku swej Joan i pewnie żyłbyś do dzisiaj, gdybyś oszczędzał swe słabe zdrowie w owych pierwszych miesiącach po wojnie... Patrzyłam na jego trud i na wysiłki kobiet, ale w ni czym nie mogłam im pomóc. Prowadziłam tylko skrupulatnie rachunki i plamiąc palce atramentem niczym jakiś skryba, obliczałam, co kwartał, ile jeszcze pozostało do spłacenia. Sama nie przeżywałam tak kich cierpień jak Rashleighowie, gdyż duma od dawna była dla mnie pustym słowem, ale dzieliłam ich smutek. Widok Alice wyglądającej tęsknie przez okno ścisłał mi serce, a kiedy Mary z podkrążonymi oczami czytała list od Jonathana, nienawidziłam parlamentu z taką samą siłą jak one.

Ten pierwszy powojenny rok dziwnym trafem przyniósł mi wiele spokoju. Nie dźwigałam już żadnego brzemienia, nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Żołnierze wrócili do domów, napięcia wojny ustąpiły, zaś człowiek, którego kochałam, siedział bezpiecznie za morzem

- we Francji, a potem we Włoszech - razem ze swym synem. Od czasu do czasu pisywał do mnie z jakiegoś zagranicznego miasta. Był w dobrym zdrowiu i nastroju, chyba też wcale za mną nie tęsknił. Rozpisywał się z wielkim entuzjazmem, że wybiera się walczyć z Turkami, jak gdyby, myślałam, wzruszając ramionami, brakowało mu wojny po tych trzech ciężkich latach. „Niewątpliwie dni w Kornwalii płyną ci dość monotonnie”. Niewątpliwie miał rację. Ale kobietom, które poznały z bliska oblężenie i niedostatki wojny, taka monotonia mogła się wydać całkiem przyjemna. A ktoś, kto od dawna tuła się po obcych kątach, wdzięcznym sercem wita możliwość spokojnego odpoczynku wśród bliskich ludzi, nawet i współtowarzyszy klęski. Niech Bóg błogosławi Rashleighów za że pozwolili mi spędzić owe miesiące w Menabilly. Dom był splądrowany i odarty z dawnej świetności, ale przecież miałam pokój, który mogłam nazwać własnym. Parlament ogołocił wprawdzie posiadłość do cna, zabrał owce i bydło, zagarnął plony z pola, ale nie potrafił ani mnie, ani Rashleighom odebrać piękna, którym syciliśmy oczy każdego dnia. Kiedy w ogrodach pojawiły się pierwiosnki, a pączki na drzewach zaczęły się zielenić, zapominało się o spustoszeniach. Chociaż zwyciężenia słuchaliśmy ptasich koncertów w majowe poranki i śledziliśmy wzrokiem kukułkę, podążającą ku laskowi przy wzgórzu Gribben. Wzgórze Gribben... Ze swego fotela na grobli obserwowałam je przez wszystkie pory roku - od zimy po środek lata. Widziałam, jak w jesienne popołudnia cień z głębokiej doliny Pridmouth pełźnie na sam wierzchołek, po czym zatrzymuje się na chwilę jakby w oczekiwaniu na zachód słońca. Widziałam, jak białe, morskie mgły wczesnego lata zmieniają wzgórze w zjawiskową, zaccarowaną krainę. Nie dobiegał z niej żaden dźwięk poza



szumem fal rozbijających się na niewidocznej plaży, gdzie w samo południe dzieci zbierały muszelki. I ponure nastroje listopada, kiedy kurtyna deszczu przesłaniała cały południowy zachód. I wreszcie owe najcięższe wieczory późnego lata, gdy choć słońce już zaszło, księżyc jeszcze się nie pokazał, a długie żółta trawy uginały się pod ciężarem rosy.

Morze jest bardzo białe i gładkie, bez jednej zmarszczki, tylko pojedyncza smuga piany znaczy miejsce, gdzie ukrywa się podwodna skała Cannis. Kawki ciągną ku swym gniazdom w królikarni. Owce skubią niską murawę, potem pewnie zalegną pod kamiennym murem nieopodal stodoły. Nad Gribben z wolna zapada zmierzch, las czernieje i nagle spośród drzew w zarośniętym ostem parku wypada chyłkiem lis. Staje jak wryty i patrzy na mnie z nastawionymi uszami... ale zaraz znika, machnąwszy kitą, gdyż po grobli człapie już Matty, żeby zabrać mnie do domu; jeszcze jeden dzień minął. O, tak, Richardzie, monotonia to prawdziwy luksus...

Wracam do Menabilly, gdzie wszyscy rozeszli się już do łóżek, a w galerii pogaszono świece. Matty zanosz mi na górę, a kiedy szcztokuje mi włosy i zakręca je na papiloty, czuję się niemal szczęśliwa. Minął rok i chociaż ponieśliśmy klęskę, żyjemy, przetrwaliśmy. Jestem samotna, no tak, ale taki już mój los, odkąd skończyłam osiemnaście lat. Zresztą nawet samotność ma swoje dobre strony. Lepiej żyć w duchowym osamotnieniu niż w ustawicznym strachu o bliską osobę. I kiedy tak sobie rozmyślam z papilotem w rękę, widzę w lustrze okrągłą twarz Matty.

- Dziwne plotki słyssałam dziś w Fowey - odzywa się moja wierna opiekunka.

- Jakie znów plotki, Matty? Ludzie ciągle plotkują.

Zwilża szmatkę językiem i nawija kosmyk włosów.

- Nasi wracają - szepcze. - Najpierw jeden, potem dwóch, trzech... Ci, co to uciekli do Francji.

Nacieram ręce i twarz wodą toaletową.

- Po cóż mieliby wracać? Nic tu już nie zwojują.

- Sami nie, ale jeśli zbiorą się do kupy, w sekrecie...

Siedzę spokojnie z rękami na kolanach i nagle przypomniało mi się zdanie z ostatniego listu z Włoch:

„Być może usłyszysz o mnie jeszcze przed końcem lata, inną drogą...” Myślałam wtedy, że chodzi mu o wyprawę na Turków.

- Wymieniali jakieś nazwiska? - pytam i po raz pierwszy od wielu miesięcy kielkuje we mnie ziarenko niepokoju.

Przez chwilę nie odpowiada, nakręcając mi pracowicie loki. Wreszcie odzywa się ściszym głosem:

- Mówi się o jakimś wielkim wodzu, który ponoć przyplął z kontynentu i w sekrecie wylądował w Plymouth. Nosi ciemną perukę, żeby ukryć prawdziwy kolor włosów. Ale nazwisk nie wymieniano...

Gdzieś blisko domu huka ostrzegawczo sowa, o szybę tłucze się zabłąkany nietoperz. Przez chwilę widzę w nim nie tyle zwykłą latającą mysz, ile symbol wszystkich ściganych stworzeń.

Plotki. Wciąż tylko plotki i nigdy nic pewnego - oto nasza dola w zimie z czterdziestego siódmego na czterdziesty ósmy rok. Parlament nie dopuszczał do nas żadnych nowin poza oficjalnymi komunikatami, które w ogóle nie miały wartości, gdyż było w nich tylko tyle, ile w Whitehall uznano za stosowne nam przekazać.

Zaczęły się, więc szept, podawane z ust do ust, i kiedy wreszcie docierały do nas z kolejnego źródła, musieliśmy odsiewać ziarno od plew. Rojaliści się zbroją - oto fundament, z którego wysnuwano wszystkie dalsze przypuszczenia. Broń przemycano do kraju z Francji i przechowywano w różnych skrytkach. Panowie spotykali się po dworach, chłopci zmawiali się w polu. Na rogu ulicy jeden przechodzień kiwał na drugiego, jak się zdawało, żeby omówić ceny na targu. Krótkie pytanie, po nim błyskawiczna odpowiedź. Następnie każdy szedł w swoją stronę, ale informacja trafiała, gdzie należy, i tak zamykało się kolejne ogniwo łańcucha.

Przed kościołem w Tywardreath wystawał żołnierz parlamentu, wsparty na muszkiecie. Wszędobylski agent z rulonem dokumentów pod pachą z opisem osobistych spraw każdego mieszkańca) pozdrawiał go, a jednocześnie za jego plecami stary zakrystianin kopał nowy grób - jednak tym razem w trumnie nie spoczywał nieboszczyk, tylko broń. Cmentarze Kornwalii miałyby, o czym opowiadać... Zimna stał pod zieloną darnią ze stokrotkami, muszkiety w ciemnych rodzinnych grobowcach. Niech tylko jakiś wieśniak wylezie na dach chałupy, niby to gwoli dokonania napraw, zanim nastaną chłody... Nagle patrzcie! Przerzywa

pracę, ogląda się trwożnie przez ramię, a potem dłoń jego wędruje pod strzechę, gdzie trafia na ostrze miecza. Oto opowieści Malty. Mary przychodziła do mnie z kolejnym listem od Jonathana:

*Walki rozpoczną się lada chwila - pisał oględnie mój szwagier. - Niezadowolenie z rządów naszych panów rośnie nawet tutaj. Wielu londyńczyków, opowiadających się dawniej przeciw królowi, chętnie przysięgło by mu teraz wierność. Nic więcej nie mogę napisać. Niech John uważa, z kim się spotyka i dokąd chodzi. Pamiętaj, że jestem związany przysięgą. Gdybyśmy się wplątali w tamte sprawy, i on, i ja odpowiemy głowami.*

Mary składała nerwowo list i chowała go w fałdach sukni.

- Co to ma znaczyć? - pytała. - Co to za aluzje?

Odpowiedź była tylko jedna: rojaliści szykują powstanie.

Nazwiska, których nie wymawiało się od dwóch lat, znów pojawiły się w szeptanych rozmowach. Trelawney... Trevannion... Arundell... Bassett... Grenvile... Tak, przede wszystkim Grenvile. Ponoć widziano go w Stowe, mówił ktoś. Nie, nieprawda, nie w Stowe, tylko u siostry koło Bideford. A nie, bo na wyspie Wight. Rudy Lis pojechał do Carrisbrooke na sekretną naradę u króla. Skąd, w ogóle nie pokazał się w Zachodnim Kraju, widziano go w Szkocji. Ktoś z nim rozmawiał w Irlandii. Sir Richard Grenvile powrócił! Jest już w Kornwalii...

Starałam się być głucha na takie opowieści, jako że zbyt często w moim życiu karmiono mnie plotkami. A jednak to dziwne, że nie nadszedł już żaden list - ani z Włoch, ani z

Francji...

John Rashleigh trzymał język za zębami. Ojciec zabronił mu mieszać się do polityki. Miał tylko pracować, pracować dniem i nocą, żeby wygospodarować pieniądze na spłatę długu dla parlamentu. Ale odgadywałam jego myśli. Gdyby naprawdę wybuchło powstanie, gdyby książe wrócił i Kornwalia odzyskałaby wolność, nie byłoby żadnego długu. A jeśli do spisku przyłączyliby się wszyscy, którzy kiedyś przysięgli wierność królowi - Trelawneyowie, Trevannionowie i inni - to czy Rashleighowie mieliby stać z boku? Czy to nie tchórzostwo, czy nie okryliby się hańbą? Biedny John. W tych pierwszych tygodniach wiosny, po zakończeniu orki, tak często bywał niespokojny i tak łatwo tracił cierpliwość. A Joan nie mogła dodawać mu otuchy, gdyż razem z chorowitymi rocznymi bliźniętami i resztą dzieci przebywała w Mothercombe w Devonie. Potem Jonathan się rozchorował, a ponieważ odmówiono mu zgody na powrót do Kornwalii, pojechała do niego Mary. Alice także szykowała się do wyjazdu. Peter napisał do niej z Francji, żeby przeniosła się z dziećmi do jego domu w Trethurfe, bo podobno jest w opłakanym stanie. Teraz, gdy wiosna już blisko, Alice mogłaby zobaczyć, co się da uratować. Wyruszyła, więc pierwszego marca i nagle w Menabilly zapanowała nieznośna cisza. Zabrakło dziecięcego gwaru, do którego przywykłam od tak dawna, zabrakło głosu Alice zwołującej swą gromadkę, szelestu sukni Mary... Poczułam się jeszcze bardziej osamotniona, a nawet trochę smutna. Nie miałam już żadnego towarzystwa oprócz Johna i zastanawiałam się, jak też będziemy ze sobą spędzać długie wieczory.

- Jestem prawie zdecydowany - powiedział mi na trzeci dzień - zostawić Menabilly na twojej opiece i pojechać

do Mothercombe.

- Nie bój się, nie wydam cię przed nikim - obiecałam.

- Nie chcę postępować wbrew woli ojca, ale od pół roku nie widziałem Joan i dzieci. I w ogóle nie docierają tu żadne wieści o tym, co się dzieje w kraju. Wiemy tylko tyle, że znów wybuchła wojna. Walki toczą się aż w Walii i wschodnich hrabstwach. Powiadam ci. Honor, ta bezczynność mnie dobija. Jeszcze trochę, a wskoczę na konia i pogalopuję do Walii.

- Nie ma potrzeby tam jechać - odpowiedziałam ze spokojem - skoro i u nas może wybuchnąć powstanie.

Zerknął szybko na uchylone drzwi galerii. Dziwny odruch, zupełnie zbyteczny przy zaufanej służbie. A jednak, odkąd nastąpiły rządy parlamentu, takie zachowanie weszło nam w nawyk.

- Słyszałaś coś? - spytał ostrożnie. To znaczy, coś pewnego, a nie jakieś plotki.

- Nie. Nic poza tym, co i ty wiesz.

- Myślałem, że może sir Richard... - zaczął, ale ja tylko pokręciłam głową.

- Od zeszłego roku ludzie plotkują, że ukrywa się w kraju. Ale nie miałam od niego wiadomości.

Westchnął i raz jeszcze zerknął na drzwi.

- Gdybym tylko wiedział na pewno, co mam robić! Jeśli naprawdę wybuchłoby powstanie, a ja siedziałbym spokojnie w Menabilly, okazałbym się nielojalny wobec króla i okryłbym hańbą nazwisko Rashleighów.

- A gdyby powstanie zostało stłumione? Pomyśl o ociekających wilgocią lochach i o tym, jak niepewnie trzymałaby ci się głowa na karku.

Uśmiechnął się mimo wszystko.

- Kobieta zawsze ma w pogotowiu kubek zimnej wody.

- Kobieta zrobi wszystko, żeby ochronić swój dom przed wojną.

- Więc mam tu siedzieć w nieskończoność i cierpliwie znosić rządy parlamentu?

- Wcale nie. Ale gdy pluniesz im w gębę, zanim przyjdzie pora, wszystkich nas wezmą pod obcas.

Znów westchnął i z niepewną miną zmierzwił sobie włosy.

- Postaraj się o przepustkę - poradziłam - i jedź do Mothercombe, To żona cię potrzebuje, a nie jakieś powstanie. Uważaj jednak: kiedy raz znajdziesz się w Devonie, możesz mieć kłopoty z powrotem.

Takie ostrzeżenia powtarzano dość często w ciągu ostatnich tygodni. Ktokolwiek udawał się do Devonu czy Somerset w legalnych interesach z przepustką od lokalnych urzędników parlamentu, napotykał wielkie trudności w drodze powrotnej - poddawano go przesłuchaniom, rewizjom, szukano dokumentów i broni, a często kończyło się to nocą w areszcie. Nie tylko do nas, zwyciężonych, docierały plotki.

Szeryfem Kornwalii był w tym czasie jeden z naszych sąsiadów - sir Thomas Herle z Prideaux koło St Blazey, stronnik parlamentu, ale uczciwy człowiek. Przez szacunek dla mego szwagra robił, co w jego mocy, by obniżyć surową grzywnę nałożoną na Rashleighów, ale ci z Whitehall okazali się mocniejsi. To dzięki uprzejmości sir Thomasa John otrzymał pozwolenie na podróż do Mothercombe. Wyjechał, więc niebawem, i tak owej fatalnej wiosny zostałam w Menabilly sama. Kobieta, w dodatku kaleka... czy taka osoba mogła w samotności knuć poważny spisek? Rashleighowie złożyli przysięgę i Menabilly było wolne od podejrzeń. Załogi w Fowey i innych portach zostały wzmocnione, w miasteczkach i wioskach kwaterowało teraz więcej wojska, a

jednak życie na naszym małym skrawku ładu płynęło bez niepokojów. Na Gribben pasły się owce, w zagrodzie porykiwało bydło, osiemnaście akrów ziemi obsiano pszenicą. Z kominów Menabilly unosiła się pojedyncza smuga dymu - widomy znak mojej obecności. Nawet domek rządcy świecił pustkami; stary John Langdon odszedł do swych przodków, a wobec wielkich obciążeń posiadłości nikogo na jego miejsce nie przyjęto. Klucze - dawniej tak dla nas ważne i niedostępne - znajdowały się teraz u mnie, a letni pawilon, uświęcony azył mego szwagra, służył mi jako ochrona przed chłodem w wietrzne popołudnia. W owym czasie nie pociągało mnie już szperanie w papierach Rashleighów. Wiele ksiąg zniknęło; część przechowywano w domu, resztę odesłano do Londynu. Biurko było puste, ze ścian zwieszały się pajęczyny, na suficie pokazały się zielone plamy pleśni, ale podarta mata na podłodze wciąż zakrywała kamienną płytę z żelaznym kółkiem... Raz z kąta wyjrzał sznur i patrzył na mnie przez chwilę nieruchomymi paciorkami oczu. Wielki pajak snuł swą sieć we wschodnim oknie ze stłuczoną szybą, bluszcz pełznący od ziemi sięgał już wąsem do parapetu. Jeszcze kilka lat, a natura zrobi swoje. Kamienne ściany zaczną kruszeć, w szpary podłogi wcisną się pokrzywy i nikt już nie będzie pamiętał o płycie z żelaznym kółkiem, ukrytych schodach i zatechłym tunelu. No cóż, jego rola skończona, tamte dni już nigdy nie wrócą.

Pewnego marcowego dnia patrzyłam na morze, obserwując grę cieni na bladej, pomarszczonej toni za Pridmouth. Zegar na wieży wybił czwartą. Matty pojechała do Fowey i lada chwila powinna być z powrotem. Nagle na ścieżce poniżej grobli rozległy się kroki. Pomyślałam, że to któryś z parobków wraca do siebie, więc zawołałam, żeby wysłać go do domu z poleceniem. Kroki natychmiast ucichły



i nikt się nie odezwał.

Zawołałam ponownie i tym razem w zaroślach coś zaszeleściło. Pewnie mój przyjaciel lis wyszedł na polowanie. Wtem na parapecie pojawiła się ręka, szukająca na oślep punktu oparcia. Nie znalazła, bo ściany pawilonu były zbyt gładkie, więc zaraz się ześliznęła i znikła.

Ktoś mnie szpiegował... No! Jeśli jakiś długonosy agent parlamentu, który spędza całe dni na straszaniu wiejskich prostaczków, próbuje na mnie swych sztuczek, to ciężko się przeliczył.

- Czy ktoś pragnie widzieć się z panem Rashleighem?  
- zapytałam głośno. - Nie ma go w domu, a Menabilly jest pod moim zarządem. Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Honor Harris, do usług.

Odczekałam chwilę, nie spuszczać oka z okna.

Cień, który padł nagle na moje prawe ramię, podpowiedział mi, że ktoś stoi pod drzwiami. W jednej chwili obróciłam fotel dookoła i ujrzałam drobną męską postać w zwykłym czarnym odzieniu londyńskiego urzędnika, z kapeluszem nasuniętym na twarz. Obcy stał i patrzył na mnie z ręką na framudze drzwi.

- Kim jesteście, panie? - zapytałam. - Czego tu chcecie?

Coś w jego zachowaniu poruszyło w mej pamięci dawno zapomnianą strunę... Sposób, w jaki ów obcy wyrażał niepewność, przestępując z nogi na nogę i obgryzając paznokcie kciuka... Z bijącym sercem szukałam odpowiedzi. Przybysz zerwał z głowy kapelusz, odsłaniając gęste, czarne pukle i uśmiechnął się - z początku niepewnie, póki nie zobaczył mych wyciągniętych ramion.

- Dick...

Podszedł natychmiast i przyklęknął przy mnie,

okrywając dłoń pocałunkami.

W jednej chwili zapomniałam o minionych latach. Znowu trzymałam w ramionach przerażonego chłopczyka, który ogryzając kość, zaklinał się, że jest psem, a ja jego panią. Ale gdy podniosłam wzrok, przekonałam się, iż mam przed sobą już nie chłopca, tylko młodzieńca z wąsikiem nad wargą. Włosy, dawniej zawsze w nieładzie, miał porządnie przygładzone, głos niski, jak na mężczyznę przystało.

- Cztery lata! - westchnęłam. - Przez te cztery krótkie lata tak bardzo wyrosłeś!

- Za dwa miesiące kończę osiemnaście lat - odrzekł z uśmiechem. - Czyżbyś o mnie zapomniała? Dostałem od ciebie list na pierwsze urodziny po wyjeździe, ale potem już ani jednego.

- Przez ostatnie dwa lata, Dicku, pisanie nie było możliwe.

Nie mogłam oderwać od niego oczu. Tak bardzo wyrósł, tak bardzo się zmienił, a jednak czujne, podejrzliwe spojrzenie ciemnych oczu pozostało takie samo, podobnie jak odruch obgryzania palców.

- Powiedz prędko, zanim przyjdą po mnie z domu, skąd się tu wzięłeś i po co?

Popatrzył na mnie z wahaniem.

- Więc jestem pierwszy? Ojca jeszcze nie ma?

Serce skoczyło mi do gardła, ale ze strachu czy z podniecenia - nie umiem powiedzieć. Nagle w przebłysku intuicji wszystko zrozumiałam. Koniec wyczekiwania. Zaczynamy od nowa... O tak, oto znów się zacznie...

- Nikogo tu nie ma prócz ciebie. Nawet Rashleighowie opuścili dom.

- Tak, wiedzieliśmy o tym. Właśnie dlatego wybrali Menabilly.

- Wybrali? Do czego?

Nie odpowiedział i znów zaczął gryźć palce.

- Dowiesz się - odrzekł, mrugając oczami - kiedy się tu zjawia.

- Kto ma się zjawić?

- Przede wszystkim mój ojciec. - Nie spuszczał oczu z drzwi. - A poza tym Peter Courtney, Ambrose Manaton z Trecarrel, twój brat Robin, no i oczywiście ciotka Gartred.

Gartred... Na dźwięk tego imienia poczułam się jak ktoś, kto długo chorował czy też zniknął na pewien czas ze świata, prowadząc zupełnie inne życie. Bóg jeden wie, że dość było samych plotek z południowo-wschodniej Kornwalii, by człowiek odchodził od zmysłów, ale żadna nie zabrzmiała w moich uszach tak złowieszczo jak to, co przed chwilą usłyszałam.

- Chyba najlepiej będzie - odezwałam się z wysiłkiem - jak opowiesz mi o wszystkim, co się wydarzyło od waszego powrotu do Anglii.

Podniósł się z kolan i otrzepawszy ubranie, stał kurczak przy parapetu, żeby na nim usiąść.

- Z Wioch wyruszyliśmy jesienią i najpierw udaliśmy się do Londynu. Ojciec przebrał się za holenderskiego kupca, a ja udawałam jego sekretarza. Od tej pory przemierzyliśmy z południa na północ całą Anglię, niby to jako cudzoziemcy podróżujący w interesach, a naprawdę jako agenci księcia. W Boże Narodzenie przeprawiliśmy się przez Tamar do Kornwalii i najpierw zatrzymaliśmy się w Stowe. Stryjna już nie żyła, jak zapewne wiecie, toteż w domu zastaliśmy tylko rządcę i kuzyna Bunny'ego z innymi domownikami. Ojciec ujawnił się przed rządcą i od tego czasu w całym hrabstwie odbyło się wiele tajnych zebrań. Ze Stowe jest tylko krok do Bideford i Orley Court. Tam odnaleźliśmy ciotkę Gartred,

która poróżniwszy się ze swymi przyjaciółmi z parlamentu, koniecznie chciała się do nas przyłączyć, podobnie jak twój brat Robin.

Najwyraźniej nurt życia podążał własną drogą, zostawiając Menabilly z boku. Parlament miał przynajmniej tę zasługę, że wstrzymując dopływ wiadomości, nie dopuszczał też plotek.

- Wcale nie wiedziałam, że Robin mieszka teraz w Bideford.

Dick wzruszył ramionami.

- Jest z ciotką w bardzo zażyłych stosunkach. Chyba zarządza w jej imieniu majątkiem. Czyż nie do niej należą dobra, które dawniej były własnością waszego najstarszego brata?

No tak, to rzeczywiście dobry powód do odnowienia znajomości. Ziemia, na której stał nasz dom w Lanrest, pola poniżej młyna w Lometton... Czemu miałabym obwiniać Robina o słabość i rozleniwienie w obliczu kłeski?

- I co dalej?

- Plany dojrzały, rody zaczęły się jednoczyć. Wszyscy w tym tkwią po uszy - jak Kornwalia długa i szeroka. Trelawneyowie, Trevannionowie, Bassettowie, Arundellowie. Nasz czas się zbliża. Ładujemy już muszkiety i ostrzymy miecze. A pierwszym widzem tej jatki będziesz ty.

Dziwnie gorzka nuta wkradła się do jego melodyjnego głosu. Mówiąc, Dick zaciskał z całej siły palce na krawędzi parapetu.

- A co z tobą? - spytałam. - Nie podnieca cię ta perspektywa? Nie cieszysz się, że jesteś z nimi?

Znów przez chwilę nie odpowiadał. Kiedy w końcu przemówił, zaskoczył mnie widok jego wielkich czarnych oczu na tle bladej twarzy. Wyglądały tak samo jak cztery lata

temu.

- Powiem ci jedno. Honor. Oddałbym wszystko, co posiadam, choć niewiele tego, żeby móc trzymać się z daleka od tych planów.

Pasja, z jaką wyrzucił to z siebie, zaszokowała mnie z początku, ale nie dałam nic po sobie poznać.

- Dlaczego? Czy nie masz ani trochę wiary w zwycięstwo?

- Wiary? Ja w nic już nie wierzę. Błagałem go, żeby pozwolił mi zostać we Włoszech, ach, jak mi tam było dobrze! Wiesz, odkryłem, że mógłbym malować. Chciałbym w ten sposób zarabiać na życie. I znalazłem tam przyjaciół, rówieśników, bardzo się z nimi zżyłem. Ale nie i nie! Malowanie jest dobre dla bab lub dla cudzoziemców, a moi przyjaciele to banda zniewieściałych gamoniów, którzy mają na mnie zły wpływ. Jeśli chcę żyć, jeśli mam w przyszłości odziedziczyć choć pensa, muszę iść w ślady mojego ojca, wiernie naśladować jego sposób bycia, upodobnić się do mych kuzynów Grenvile'ów. Boże, jak ja nie cierpię nazwiska Grenvile!

Osiemnaście lat - a nic się nie zmienił. Osiemnaście, ale tak naprawdę nadal tylko czternaście. Mały chłopiec, który wypłakuje swą nienawiść do ojca.

- A co z matką? - spytałam łagodnie.

Wzruszył ramionami.

- Owszem, widziałem się z nią, lecz teraz już za późno, żeby coś naprawić w naszych stosunkach. Ja nic jej nie obchodzę, ma inne zainteresowania. Cztery lata temu jeszcze by mnie kochała, ale teraz już nie. To jego wina. Jak zawsze, ze wszystkim.

- Może, kiedy spełnią się wasze zamiary, uwolnisz się od niego. Sama za tobą przemówię.

Poproszę, żeby pozwolił ci wrócić do Włoch, do malarstwa i przyjaciół.

Skubał brzeg płaszcza długimi, szczupłymi palcami. Zbyt długimi, zbyt delikatnymi, jak na Grenville'a.

- Rozpoczną się walki - mówił z namysłem. - Ludzie będą zabijać się nawzajem bez żadnego powodu, tylko dla samego przelewu krwi. Zawsze ta krew...

Zaczęło się już ściemniać, a ja nadal nie usłyszałam nic więcej na temat ich planów. Strach, który widziałam w oczach Dicka, przeniknął do mego serca i znów poczułam dawny niepokój.

- Kiedy wyjechałeś z Bideford?

- Dwa dni temu. Takie dostałem rozkazy. Mieliśmy jechać oddzielnie, każdy inną drogą.

Lady Courtney przebywa w Trethurfe, tak?

- Wyjechała na początku miesiąca.

- Właśnie o to chodziło Peterowi, żeby dom był pusty. Chytrze to wymyślił. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem wrócił do Kornwalii.

Kolejna ofiara Gartred? Jeszcze jeden „rządca” Orley Court? A tym czasem Alice, z pobladłymi policzkami i brodą wspartą na dłoniach, wypatrywała sobie oczy przez okno... Cóż, Richard, dobierając towarzyszy, nie patrzył, czy mają czułe serca.

- Panią Rashleigh ściągnięto do Londynu z tego samego powodu. Wszystko zostało starannie obmyślane, jak zresztą wszelkie plany mego ojca. A na końcu postanowił wywabić z domu Johna - to naprawdę mistrzowskie posunięcie.

- John wyjechał z własnej woli. Chciał odwiedzić żonę w Mothercombe.

- Tak, tak, ale przedtem odebrał wiadomość. Przysłano

mu z Fowey taki mały świstek, w którym ktoś donosił, że jego żona robi słodkie oczy do jednego z sąsiadów, przebywających w domu jej ojca. Wiem, bo sam widziałem, jak ojciec to pisał, śmiejąc się w kułak razem z ciotką Gartred.

Zamilkłam. A niechże z piekła nie wyjrzą za takie okrucieństwo! Ale kiedy w myślach oskarżałam Richarda, dobrze wiedziałam, co by od rzekł: „Każdy środek jest dobry, żeby rzecz bezpiecznie doprowadzić do końca”.

Cóż, nie miałam prawa się wtrącać. Dom świecił pustkami. Niechaj tu urządzą sobie punkt zborny, i tak nie mogłam im przeszkodzić. Niech Menabilly przynajmniej na godzinę stanie się główną kwaterą powstańców wiernych królowi. Uda się czy nie - nie moja to sprawa.

- Czy twój ojciec napisał do mnie, choć słowo? Czy wie, że tu jestem?

Dick spojrział na mnie jak na osobę niespełna rozumu. Może nią zresztą i byłam.

- No oczywiście, że wiedział. Właśnie, dlatego wybrał Menabilly, a nie Caerhayes. Tam nie ma nikogo, kto mógłby go pocieszać.

- Czy po dwóch latach we Włoszech nadal potrzebuje pociechy?

- To zależy, co kto rozumie przez pociechę. Nigdy nie widziałem, żeby ojciec zagłębiał się w rozmowy z Włoszkami. Kto wie, może gdy by spróbował, miałby lepszy humor.

Już to widziałam: pióro w ręku, na stole mapa Kornwalii. A wzdłuż wybrzeża zaznaczone punkcikami domy, w których można się schronić. Trelawne... zbyt głęboko w lesie. Penrice... za daleko od morza. Caerhayes... tak, dobry brzeg do lądowania, ale panien Trevannion ani na

lekarstwo. Menabilly... wygodna plaża, tajemny schowek, a na dodatek dawna kochanka, która przedtem dzieliła z nim życie, a i teraz pewnie nie poskąpi uśmiechu po kolacji. I pióro zakreśla kółko wokół Menabilly. Klęska nauczyła mnie cynizmu, tę lekcję także zawdzięczam rządcom parlamentu. Ale kiedy tak siedziałam, obserwując Dicka i myśląc, jak mało przypomina swego ojca, wiedziałam doskonale, że cały mój gniew niewart jest funta kłaków. Nikogo nie oszukam, nawet tej twardszej połowy mej istoty. Przecież niczego więcej nie pragnę, jak tylko móc znowu odgrywać przy Richardzie rolę pani domu, przesiadywać z nim przy świecach. Dzielić z nim niespokojne życie, pełne szaleństwa, bólu i upojenia.



Przypadło mi zadanie uprzedzenia służby. Wszystkich po kolei s zywalaam do swego pokoju.

- Czekaaja nas niebezpieczne czasy - tłumaczyłam. - Tego, co niebawem zacznie się dzieć w Menabilly, macie nie widzieć ani nie słyszeć. Przez dom będą się przewijać różni goście. Nie wolno wam zadawać żadnych pytań ani doszukiwać się odpowiedzi. Wierzę, że wszyscy jesteście wiernymi poddanymi Jego Królewskiej Mości.

Kazałam im położyć ręce na książce do nabożeństwa i przysięć, że dotrzymają tajemnicy.

- Jedno nieostrożne słowo, a wasz pan w Londynie zapłaci głową, a nasze też pewnie się nie uchwaja. To wszystko, co mam do powiedzenia. Dopilnujcie, żeby znalazła się świeża pościel, a w spiżarni dość, jedzenia dla gości. Pamiętajcie: macie być ślepi i głusi.

To Matty mi poradziła, żeby dopuścić ludzi do sekretu.

- Każdy jest godzien zaufania, ale wasze słowo dodatkowo ich zwiąże, a wtedy nie pomoga wszyscy szpiedzy parlamentu razem wzięci; nikt nie puści pary z gęby.

Służba od czasów oblężenia mieszkała w rozproszeniu, więc nasi przyszli goście nie mogli liczyć na wygody. Ze ścian zniknęły obicia a z podłóg w górnych pokojach dywany. Zamiast łózek czekały na nich sienniki. Trudno, musieli być wdzięczni i za to.

Pierwszy zjawił się Peter Courtney. Nie robił żadnych sekretów, a przy obiedzie u Treffrysów w Place, gdzie stanął po drodze, jawnie się przechwalał swym pozorowanym powrotem z Francji. Teraz musi zobaczyć się z dziećmi.

Wyjechały do Trethurfe? Ale Alice ma wszystkiej swoje rzeczy w Menabilly. Pewnie źle zrozumiała jego list.

Wcale nie wyglądał blade ani mizernie. Miał na sobie aksamitny, płaszcz, który musiał kosztować majątek. Biedna Alice, to pewnie z jej posagu...

- Mogłeś przysłać, choć słówko, że szczęśliwie wróciłeś - upomniałam go. - Przecież dotrzymałaby tajemnicy.

Wzruszył beztrosko ramionami.

- Żona w takich czasach to tylko kula u nogi. Człowiek dziś żyje z dnia na dzień i nie w głowie mu rodzina. Prawdę mówiąc, Honor, tkwię po uszy w takich długach, że jej pełen wyrzutu wzrok doprowadziłby mnie do szału.

- Mimo to wyglądasz niczego sobie. Wątpię, czy sumienie zbytnio ci dokucza.

Mrugnął do mnie okiem - pomyślałam, że to już nie jest ów dawny Peter, którego tak podziwiałam. Folgując sobie nadmiernie i żyjąc ponad stan, utracił szlachetność rysów i zrobił się wręcz pospolity. Za dużo francuskiego wina, za mało ruchu na świeżym powietrzu...

- A co zamierzasz robić, kiedy już zwyciężycie parlament? - zapytałam.

Znowu wzruszył ramionami.

- Na pewno nie osiądę w Trethurfe. Alice może sobie tam mieszkać, jeśli ma ochotę, ale we mnie wojna obudziła niespokojnego ducha.

Pogwizdując z cicha, podszedł wolno do okna. Ot, następstwa wojny, żniwo klęski. Jeszcze jedno małżeństwo wrzucone do tygła narodowej sprawy...

Jako następny przyjechał Bunny Grenvile. W wieku siedemnastu lat o głowę przewyższał swego kuzyna Dicka. Bunny - z zadartym nosem, piegowaty, o bystrym,

dociekliwym spojrzeniu - trzymał mapę wybrzeża pod pachą.

- Którędy do morza? Gdzie najlepiej lądować? Nie, niczego nie przekazuję, mam robotę. Muszę zrobić rozpoznanie terenu.

I ruszył w stronę Gribben jak pies za tropem, jeszcze jeden obiecujący młody człowiek z zadatkami na świetnego żołnierza, jak i jego brat.

- Widzisz? - odezwał się cynicznie Dick, utkwivszy we mnie czarne oczy. - Widzisz, jak wszystkich Grenville'ów oprócz mnie jednego nęci zapach krwi? Pewnie mną gardzisz, że z nim nie poszedłem?

- Nie, Dicku.

- Ach, ale w swoim czasie zaczniesz. Bunny zdobędzie twoje serce tak jak i mój ojciec. Bunny jest odważny, Bunny to chłopak z charakterem. A biedny, zniewieściały Dick nadaje się tylko do pędzla.

Rzucił się na sofę i zapatrzył w sufit. Więc jeszcze z tym musi się zmagać? Demon zazdrości wysysał z niego siły. Fatalna chęć wybicia się, zabyśnięcia w oczach ojca. Ojca, którego niby to nienawidził.

Trzecim z kolei gościem był pan Ambrose Manaton. Dobrze znałam to nazwisko, gdyż nasza rodzina procesowała się z Manatonami od kilku pokoleń o majątek Trecarrel. O co w tym wszystkim chodziło, nie umiałabym wyjaśnić, dość że mój ojciec nawet z nimi nie rozmawiał. Jakiś Ambrose Manaton stał po stronie parlamentu przed wojną w Launceston, przybysz zaś był jego synem. Chyba trochę starszy od Petera, wyglądał na mniej więcej trzydzieści cztery lata. Gładki i wymuskany, odznaczał się nawet pewnym wdziękiem. Złote włosy opadały mu w puklach do ramion. Uznałam, że najlepiej będzie jasno postawić sprawę, żeby już do niej nie wracać i zaraz po przywitaniu oznajmiłam bez

ogródek:

- Nasze rodziny od pokoleń ze sobą wojują o jakiś majątek. Jako najmłodsza córka nie mogłabym mieć żadnych roszczeń, więc nic wam z mej strony nie grozi.

- Nawet gdyby było inaczej, nie mógłbym odmówić tak pięknemu adwersarzowi - brzmiała dwoma odpowiedzi.

Przyglądałam mu się z namysłem, kiedy całował mą dłoń. Zbyt skory do komplementów, zbyt łatwo się uśmiecha. Jaką właściwie rolę odgrywa w tej kampanii? Nigdy nie słyszałam o nim jako o żołnierzu. Pieniądze? ... Majątek? ... Może te dobra w Trecarrel i Southill, o które mój ojciec nie mógł już się upomnieć? Richard bez wątpienia znał ich wartość. Powstanie nie mogło się obejść bez funduszy. Czy to właśnie Ambrose Manaton trzymał sakiewkę? Ciekawe, co go skłoniło do postawienia na jedną kartę życia i majątku. Chwilę później sam popchnął mnie na trop.

- Pani Denys jeszcze nie przybyła?

- Nie. Dobrze ją znacie, panie?

- Sąsiadowaliśmy ze sobą w północnej Kornwalii i Devonie - mówił to lekkim tonem, z konfidencjonalnym uśmiechem.

Och, Richardzie, mój pozbawiony skrupułów Richardzie! Więc to Gartred była przynętą na tego drapieżnika!

Co, do pioruna, działo się w Bidefbrd przez owe wszystkie zimowe miesiące? Skoro Gartred grała rolę gospodyni, łatwo sobie to wyobrazić. Cóż, po piernatach Oriey Court nasze sienniki nie zapewnią takich uciech.

- Jak rozumiem, mój brat, generał Harris, jest zarządcą u pani Desny

- Tak, tak, kimś w tym rodzaju - odrzekł Ambrose Manaton, wpatrując się w czubek buta.

Ton jego głosu wydał mi się przesadnie obojętny. - Czy widzieliście się ostatnio z bratem?

- Nie, nie widziałam go od upadku Pendennis, czyli od dwóch lat.

- Więc zobaczycie, jak bardzo się zmienił. Nerwy ma po prostu w strzępach. Oczywiście to skutki obłączenia.

Nerwy? Robin nigdy czegoś takiego nie miał! Ruszał do boju z sokołem na pięści... Jeśli się zmienił, to na pewno nie z powodu pięciu miesięcy obłączenia.

Przyjechali razem tuż przed zapadnięciem ciemności. Kiedy weszli do galerii, siedziałam tam sama. Rządy parlamentu niewiele dotknęły Gartred. Może nabrała trochę ciała, ale dobrze jej to zrobiło. Prowokując los, dała naturze wolną rękę, co fatalnie odbiło się na wyglądzie jej włosów. Nie połyskiwały już złotem, ale srebrnymi pasemkami siwizny, dzięki czemu ich właścicielka robiła wrażenie kruchej, delikatnej istoty.

Tuż za progiem rzuciła Robinowi swój płaszcz - potwierdzając tym poufałym gestem wszystkie moje podejrzenia na temat ich stosunków. Czas cofnął się w mgnieniu oka i znów zobaczyłam mężatkę tuż po ślubie, a jednak już znudzoną Kitem, swym niewolnikiem i sługą, który nigdy nie miał dość siły woli, by zostać panem i władcą. A może to znowu Kit stał w galerii z wyrazem psiego uwielbienia w oczach?

Ambrose Manaton miał rację. W oczach Robina była nie tylko niema adoracja, ale także napięcie, niepewność, niepokój. Obrzmiałe policzki zdradzały skłonność do nadużywania trunków. Porażka rojalistów i Gartred mocno podkopały zdrowie mego brata.

- Zdaje się, że los wyznacza nam spotkania w przełomowych chwilach - zauważyłam. - Czy nadal grywasz

w pikietę?

Robin spoglądał to na nią, to na mnie, wyraźnie nic nie rozumiejąc, ale Gartred uśmiechnęła się tylko i zaczęła ze spokojem ściągać koronkowe rękawiczki.

- Pikieta wyszła z mody, teraz wszyscy szaleją na punkcie kości. To jednak wymaga dyskrecji, bo parlament krzywo patrzy na wszelkie gry hazardowe.

- Skoro tak, nie masz, co na mnie liczyć. Musi ci wystarczyć Robin albo Ambrose Manaton.

Błysk w jej oku nie zrobił na mnie wrażenia.

- Cała moja pociecha w tym, że przynajmniej raz nie gramy po przeciwnych stronach - odrzekła. - Jak rozumiem, wszyscy jesteśmy w jednej drużynie i mamy wolę zwycięstwa?

- Czyżby?

Pomyśleć, że zaledwie cztery lata temu występowała w roli szpiega lorda Robartesa!

- Jeśli wątpisz w moją lojalność, będziesz musiała powiedzieć o tym Richardowi, kiedy się tu zjawi. Ale teraz już za późno na zmianę planów, a ja znam wszystkie sekrety.

Znów się uśmiechnęła. Patrząc na nią, czułam się jak rycerz z dawnej epoki, pozdrawiający przeciwnika przed walką.

- Ulokowałam cię w tym długim pokoju, który dawniej zajmowała Alice z dziećmi.

- Dziękuję.

- Robin zamieszka na lewo od ciebie, a Ambrose Manaton na prawo, w małej sypialni koło schodów. Z dwoma silnymi mężczyznami po bokach będziesz mogła spać bez obaw.

Nawet nie mrugnęła okiem. Odwróciła się do Robina i

wydała kilka dyspozycji co do kufrów. Odszedł natychmiast, niczym posłuszny sługa.

- Jak to szczęśliwie się składa, że męska część naszej rodziny wciąż jeszcze ci się przydaje.

- Byłoby jeszcze szczęśliwiej, gdyby okazywali przy tym nieco mniej zaborczości.

- To rodzinna wada, z której wywodzi się dewiza Harrisów: „Trzymać w garści to, co posiadamy”.

Przyjrzała mi się z namysłem.

- Jakże dziwna to siła, ów magnetyzm, którym przyciągasz Richarda. W pełni cię doceniam.

Skłoniłam się, na ile pozwalał mi mój fotel.

- Niepotrzebnie. Menabilly to tylko miejsce na mapie, tak samo dobre jak każde inne. Pusty dom, blisko do brzegu...

- I sekretny schowek na dodatek - dodała chytrze.

Teraz ja się uśmiechnęłam.

- Srebro od dawna jest w mennicy, a tym, co zostało, napchał sobie kieszeń pan kanclerz.

Gartred, o co ty grasz tym razem?

Nie odpowiedziała od razu, ale widziałam, jak jej kocie oczy śledzą cień Robina, przesuający się po hallu.

- Moje córki dorosły - powiedziała wreszcie. - Orley Court to tylko ciężkie brzemię. Może znów wyjdę za mąż? Chcę się jakoś zabezpieczyć.

Mój brat się do tego nie nadaje, myślałam, prędzej ktoś młodszy o piętnaście lat, ze stosownym majątkiem. Pani Harris... Pani Denys... Pani Manaton?

- Wykończyłaś już jednego mężczyznę z naszej rodziny. Uważaj, żebyś i drugiego nie doprowadziła do rozpacz.

- Myślisz, że mnie powstrzymasz?

- Ja? Nie. Rób, co chcesz, to tylko przestroga.

- Przestroga?

- Robin nie da ci się tak wodzić za nos jak Kit. On jest zdolny do zabójstwa.

Wlepiała we mnie zdumione oczy. W tym momencie do galerii wszedł mój brat.

Nocą myślałam o rojalistycznym powstaniu, które miało ogarnąć Kornwalię od wschodu po zachód. Ale pod dachem Menabilly zebrano tyle materiału wybuchowego, że można by wysadzić w powietrze cały kraj.

Dziwną grupę tworzyliśmy przy obiedzie. U szczytu stołu Gartred w diademie na siwiejących włosach, po obu jej stronach mężczyźni: Robin, który, nie spuszczać z niej oka, wciąż sięgał po karafkę, i spokojny, opanowany Ambrose Manaton, który podtrzymywał rozmowę. Nie zważając na Robina, sączył w ucho Gartred coraz to nowe historie o przekupstwach w parlamencie. Przytaczał tyle szczegółów, że obudziło to we mnie pewne podejrzenia. Czyżby sam brał w owych sprawach udział? Po mojej lewej stronie siedział Peter Courtney; od czasu do czasu wymieniał z Gartred spojrzenia i uśmiechał się porozumiewawczo. Ale cóż... tak samo zachowywał się wobec dziewczki służebnej, która zmieniała nam talerze, a także wobec mnie, gdy tylko niechcący uchwyciłam jego wzrok. A więc to po prostu nawyk, nie żadna konspiracja - nie od dziś znałam przecież mego Petera. W środku stołu nastroszony Dick łąpał od czasu do czasu na siedzącego na przeciwko kuzyna. Ten rozwodził się szeroko na temat listów, jakie otrzymał od swego brata. Jack ponoć cieszył się we Francji wielkimi łaskami księcia Walii i prawie się z nim nie rozstawał. Patrzyłam to na jednego, to na drugiego, doglądając, aby mieli pełne talerze i kielichy. Kiedy tak czyniłam honory w cudzym domu, co zapewne mocno kłuło w oczy ducha starego Johna Rashleigha,



myślałam przekornie, że choćby Richard nie wiem jak się starał, nie znalazłby w całym hrabstwie innych sześciorga ludzi tak źle do niego nastawionych i skorych do kłótni.

Gartred - rodzona siostra - nigdy dobrze mu nie życzyła. Robin odmówił kiedyś wykonania jego rozkazu. Peter Courtney należał do tych, którzy szemrali przeciw powierzeniu mu dowództwa. Dick bał się go i nienawidził. Co do Ambrosea Manatona, to niewiele o nim wiedziałam, a Bunny na razie nadawał się do czytania map. I to mieli być wodzowie powstania? Skoro tak, to niech Bóg ma w opiece Kornwalię i księcia Walii.

- Stryj - mówił Bunny, układając na stole fort z solniczek - nigdy nie zapomina urazy. Powiedział kiedyś, że wyrządzone mu zło zawsze oddaje z nawiązką.

Potem zaczął opisywać jakąś dawną bitwę, czego nikt już nie słuchał, z wyjątkiem chyba Petera, który robił to z dobrego serca. Ale słowa, które Bunny rzucił tak lekko i właściwie mimochodem, w moich uszach zabrzmiały nieco złowrogo: „Stryj nigdy nie zapomina urazy”...

Każdy z obecnych przy stole zranił kiedyś Richarda na swój sposób. Jakąż to porę wybierze na spłatę starych porachunków mój złośliwy kochanek? Oto mamy wigilię powstania, a tych sześcioro ludzi tkwi po uszy w spisku.

Puste krzesło koło mnie miało w sobie coś symbolicznego.

Nagle zrobiło się cicho, gdyż otworzyły się drzwi i stanął w nich on sam - w kapeluszu na głowie i długim płaszczu zarzuconym na ramiona. Zniknęły rude włosy, które tak kochałam, a czarna peruka z pukłami opadającymi za uszy harmonizowała z satanicznym uśmiechem.

- Proszę, proszę - powiedział. - Gdyby tak szeryf zechciał tu wpaść, dopieroż by się obłowił! Sami zdrajcy!

Patrzyli na niego zaskoczeni - nawet Gartred nie nadażała tym razem za byстрыm dowcipem brata. Dick znów zaczął gryźć palce. Richard rzucił płaszcz służącemu i podszedł do pustego krzesła po mej prawej stronie.

- Długo czekałaś? - spytał.

- Dwa lata i trzy miesiące.

Nalał sobie wina z karafki.

- W styczniu czterdziestego szóstego złamałem obietnicę daną naszej gospodyni. Pewnego ranka zostawiłem ją w Werrington, mówiąc, że wrócę na wspólne śniadanie. Niestety, książę Walii zdecydował inaczej i musiałem jeść samotnie w zamku Launceston. Obym jutro mógł jej to wynagrodzić!

Podniósł kielich i wychylił go duszkiem, a potem położył rękę na mej dłoni.

- Dzięki ci, Boże - dodał - za kobietę, która ma w nosie punktualność!

I znów było tak jak w Werrington. Wszystko po staremu - chwytanie każdej okazji, by spędzić razem dzień lub noc. Wpadał do mnie, kiedy jadłam śniadanie, nie zrobiwszy jeszcze toalety, z włosami zakręconymi na papiloty. Chodził po pokoju, nie przestając mówić, dotykał to szczotek, to grzebienia, to bransoletek na stole i kłął siarczyście, gdy jego plany musiały z jakiegoś powodu ulec zwłóce. Trevannion był zbyt powolny, starszy Trelawney zbyt ostrożny. Ci, którzy mieli kierować powstaniem w zachodnich rejonach, to drobne płotki o mało znaczących nazwiskach i bez zdolności przywódczych.

- Grose z St Buryan, Maddern z Penzance, Keigwin z Mousehole - wyliczał. - Żaden z nich nie dosłużył się w czterdziestym szóstym stopnia wyższego niż kapitan i nigdy nie prowadzili oddziałów do akcji. Ale teraz musimy ich wykorzystać, to przypadek *faute de mieux*. [*Faute de mieux* (fr.) - z braku innej możliwości.] Niestety nie mogę być w pięćdziesięciu miejscach naraz.

Znowu jak w Werrington. W jadalni na kominku płoną polana. Papiery rozrzucone na stole, na środku wielka mapa. Richard siedzi na krześle, u jego boku zamiast Jacka jest Bunny. Czerwone krzyżyki znaczą miejsca lądowania. Crinnis... Pentevan... Veryan... Na przyładkach latarnie morskie - znaki dla okrętów. Gribben... Dodman... Nare... Przy drzwiach, na miejscu pułkownika Roscarrocka, stoi Robin. Właśnie wjeżdża na dziedziniec Peter Courtney z wieściami od Jonathana Trelawneya.

- Co sływać w Talland?

- Wszystko w porządku. Będą czekać na nasz sygnał.

Looe da się łatwo utrzymać. Nie napotkamy oporu.

Wiadomości nadchodziły jedna po drugiej. Jak zwykle w takich wypadkach, ci, którzy pierwsi rozproszyli się w czterdziestym szóstym, teraz z największym zapałem rwali się do walki. Helston...Penzance... St Ives...Absolutne, najwyższe zaufanie. Grenville naczelnym wodzem, wystarczy, by kiwnął palcem.

Siedziałam w swym fotelu przy kominku i przysłuchiwałam się te mu wszystkiemu. Ale dla mnie nie była to już jadalnia w Menabilly, tylko Werrington, Ottery St Mary, Exeter... Te same problemy, te same argumenty, te same wątpliwości dowódców, te same błyskawiczne decyzje. Pióro Richarda wskazuje wyspy Scilly.

- Oto główna baza dla armii księcia. Wyspy opanujemy bez trudu. Wystarczy do tego twój brat Jack z dwoma żołnierzami i chłopakiem.

I Bunny, uśmiechając się szeroko, kiwa ruda głową.

- Ładować będą w najsilniej obsadzonych miejscach. Linia stąd aż do Falmouth, z St Mawes jako głównym celem. Hopton śle mi z Guemsey listy, w których rozdziera moje propozycje na strzępy. Jak dla mnie, może je sobie wepchnąć do gardła. On najchętniej posłałby paru ludzi tu, paru tam, żeby wylądowali w jakich dwudziestu zakichanych dziurach rozrzuconych po całej Kornwalii, rzekomo po to, by zaskoczyć nieprzyjaciela. Diabła tam ich zaskoczy! Ale jeśli zdecydujemy się uderzyć w jedno wyznaczone miejsce i obsadzić je ze wszystkich stron. Hopton mógłby wylądować z całą armią w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Wielkie narady odbywały się nocami. Łatwiej było wtedy poruszać się po drogach, ciągnęli więc do Menabilly Trelawneyowie z Trelawne, sir Charles Trevannion z

Caerhayes, Arundellowie z Trerice, sir Arthur Bassett z Tehidy. Leżąc w swym pokoju na górze, słyszałam szmer ich rozmów z wybijającym się ponad wszystkie, donośnym, wyraźnym głosem Richarda. Czy na pewno Francuzi wezmą udział w grze? Zebrani mocno w to wątpili, ale Richard miał własne zdanie:

- Niech idą do diabła. Co to ma za znaczenie? Poradzimy sobie bez żabojadów, na nich nie można liczyć.

- Ale - mruknął sir Charles Trevannion - gdybyśmy uzyskali chociaż obietnicę ich wsparcia i jakiś symboliczny oddział jako asystę przy lądowaniu księcia, moralny efekt dorównałby wystawieniu dziesięciu dywizji.

- Nie wiercie w to! Francuzi nie cierpią walczyć na innej ziemi niż ich własna. Pokazać żabojadowi angielską pikę, to poda tyły. Dajmy sobie spokój. Jeśli utrzymamy wyspy Scilly i kornwalijskie forty, to na nikogo nie musimy się oglądać. St Michael's Mount... Pendennis... St Mawes... Bunny, gdzie te kartki z rozkładem sił nieprzyjaciela? A więc, moi panowie...

I tak się to ciągnęło. Godzina dwunasta, pierwsza, druga, trzecia. O której wreszcie się rozejdą, kiedy on się położy? Tego nie wiedziałam, bo na długo przedtem dopadało mnie zmęczenie.

Robin, który podczas pięciu tygodni w Pendennis pokazał, co jest wart, dźwigał na swych barkach wielką odpowiedzialność. Incydent na moście dawno poszedł w zapomnienie. A może i nie? Czasem w to wątpiałam, widząc, jakim okiem Richard spogląda na mego brata. Jak uśmiecha się do siebie bez powodu, jak skrobie się piórem po brodzie...

- Są jakieś meldunki z Helston?

- Tutaj, panie generale. Są pod ręką.

- Chcę, żebyś jutro pojechał w moim imieniu do

Penrose. Zabawisz tam dwie noce, nie więcej. Muszę znać dokładną liczbę żołnierzy, którymi obsadzą drogi między Helston a Penryn.

- Tak jest, panie generale.

Robin przez chwilę się waha, jego wzrok wędruje ku drzwiom galerii, skąd dobiega perlisty śmiech Gartred. Zaczerwieniona twarz mego brata i nabiegłe krwią oczy mówią same za siebie.

- Chodź, Robinie - pada rozkaz po kolacji. - Znów musimy nocą przysiedzieć fałdów. Peter przywiózł z Penzance zaszyfowaną wiadomość, a ty jesteś specjalistą od szyfrów. Skoro ja się obywam czterema godzinami snu, to i innym tyle wystarczy.

Richard, Robin, Peter i Bunny pochylają się nad stołem w jadalni, Dick trzyma straż przy drzwiach, obserwując ich znużonym, niechętnym wzrokiem. Przy kominku Ambrose Manaton sprawdza coś w długich szeregach cyfr.

- W porządku, Ambrose - mówi Richard. - Na razie nie jesteś mi potrzebny. Możesz iść do galerii i tam tokować o finansach.

Ambrose Manaton kłania się z wdzięcznością. Wychodząc z pokoju, nuci coś pod nosem, aż nazbyt z siebie zadowolony.

- Długo będziesz siedział? - pytam Richarda.

- Hm... Hm... - mruczy z roztargnieniem. - Bunny, podaj mi tam ten plik. - Nagle przenosi wzrok na Dicka. - Stój prosto! Nawet tego nie potrafisz? Nie podpieraj się!

Chłopiec mruga oczami, zaciskając szczupłe palce na brzegu płaszcza. Otwiera przede mną drzwi, a ja uśmiecham się i pocieszająco ściskam go za rękę. To wszystko, co mogę zrobić. Nie wybieram się do galerii - troje to kiepska

kompania - tylko do siebie, na górę, chociaż wiem, że gwar na dole będzie jeszcze trwał, przez co najmniej cztery godziny. Mija może godzina, kiedy na podeście słychać szelest sukni. To Gartred idzie do swego pokoju. Cisza. Nagle skrzypią schody... Ktoś ostrożnie zamyka drzwi. Głosy na dole milkną dopiero po północy.

Pewnego wieczora, kiedy narada skończyła się dość wcześnie i Richard przed udaniem się na spoczynek usiadł przy mnie na chwilę, powiedziałam mu otwarcie, co wtedy słyszałam.

Zaśmiał się i dalej przycinał paznokcie przy otwartym oknie.

- Czyżby moja najśłodsza w dojrzałym wieku stała się skromnisią?

- Idź do diabła! Nie rozumiesz, że mój brat chce ją poślubić? Domyśliłam się tego z różnych napomknień i nieśmiałych aluzji na temat odbudowy Lanrest.

- No to się zawiedzie. Gartred nigdy w życiu nie poślubi wojaka bez pensa w kieszeni. Inną rybkę ma na widoku i wcale jej za to nie winię.

- Chcesz powiedzieć, że rybka połknęła już haczyk?

- Tak sądzę - odparł, wzruszając ramionami. - Ambrose odziedziczył piękną spuściznę po swej matce z domu Trefusis, nie mówiąc o tym, co dostanie po śmierci ojca. Gartred byłaby głupia, gdyby pozwoliła mu się wymknąć.

Z jakim spokojem Grenvile'owie sięgają po cudze fortuny!

- Właściwie, na czym polega jego udział w waszym przedsięwzięciu?

Spojrzał na mnie z ukosa.

- Nie wtykaj swego perkatego noska w moje sprawy,

dobrze? Wiem, co robię. Ale mogę ci powiedzieć jedno: bez niego mielibyśmy spore kłopoty finansowe.

- Tak myślałam.

- Biorąc wszystko pod uwagę, niezły ze mnie spryciarz.

- Skoro sprytem nazywasz judzenie jednego żołnierza przeciwko drugiemu... Ja bym to raczej nazwała nikczemnością.

- To sztuka dowodzenia.

- Tanie chwytły.

- Ruse de guerre. [Ruse de guerre - fortel wojenny.]

- Brudna polityka.

- Och, dajmy temu spokój. Skoro taki manewr służy moim celom, nie będę pytał, ilu ludziom zmaruję po drodze życie.

- Uważaj, więc, żeby stało się to po, a nie przed osiągnięciem celu.

Usiadł przy mnie na łóżku.

- Zdaje się, że odkąd mam czarne włosy, przestałaś mnie lubić.

- To tylko zmiana wyglądu, nie charakteru.

- Czarne lisy nie zostawiają tropów.

- Za to rude łatwiej kochać.

- Kiedy cała przyszłość kraju wisi na włosku, uczucia wyrzuca się za burzę.

- Uczucia, ale nie honor.

- Czy to aluzja do twojego imienia?

- Skoro tak to przyjmujesz...

Wziął moje dłonie i uśmiechając się, przycisnął je grzbietami do poduszki.

- Jako osiemnastolatka bardziej się opierałaś - zauważył.



- Wtedy obchodziłeś się ze mną delikatniej.

- Możliwe, to przez tę sakramencką jabłoń.

Położył mi głowę na ramieniu i obrócił ku sobie moją twarz.

- Umieję teraz kłaść po włosku tak samo jak po hiszpańsku.

- Może jeszcze po turecku?

- Znam parę słów, tych absolutnie niezbędnych.

Leżał koło mnie, bardzo zadowolony. Jedno oko przymknął, drugim zerkał na mnie złośliwie.

- Poznałem w Neapolu pewną kobietkę...

- Z którą spędziłeś godzinę?

- Ściśle rzecz biorąc, trzy.

- Pochwal się Peterowi - odparłam, ziewając. - Mnie to nic nie obchodzi.

Sięgnął do mych włosów i zaczął mi ściągać papiloty.

- Gdybyś nosiła te szmatki w dzień, byłoby korzystniej i dla ciebie, i dla mnie. O czym to ja mówiłem? Aha, o tej Włoszce.

- Daj jej spać, Richardzie. I mnie także.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, co usłyszałem od niej na pożegnanie: „A więc prawdą jest to, co zawsze słyszałam o Kornwalijskich. Że tak naprawdę lubią tylko zapasy” A ja na to: „Signorina, w Kornwalii zostawiłem damę, która ceni mnie także za coś więcej”.

Przeciągnął się, ziewnął i podniósłszy się na łokciu, zdmuchnął świecę.

- A jednak te południowe kobiety są nudne jak flaki z olejem. Nie umieją się poznać na mych lisich fortelach.

Tak oto mijały noce - dnie opisałam wcześniej. Krok po kroku plany zaczęły układać się w całość. Nadeszła wiadomość z Francji od księcia, że francuska flota czeka na

nasze rozkazy. Armia pod wodzą lorda Hoptona wylądował w Kornwalii, a jednocześnie książę z sir Johnem Grenville'em opanują wyspy Scilly. Lądowanie zbiegło się z wybuchem powstania rojalistów pod wodzą sir Richarda Grenville'a, który zajmie wszystkie główne punkty.

Datę wybuchu powstania wyznaczono na trzynasty dzień maja. Żonkile już przekwitły, wszystkie płatki opadły i wraz z początkiem maja nieoczekiwanie zaczęły się prawdziwie letnie upały. Morze u przylądka Gribben przypominało tafłę szkła pod bezchmurnym, błękitnym niebem. Wieśniacy wyszli w pole, rybacy od Gorran do Polperro wypłynęli na połów. W Fowey panował absolutny spokój. Mieszkańcy załatwiali swoje sprawy, agenci parlamentu gryzmoлили całe zwoje niepotrzebnych papierów, które potem obrastały kurzem w archiwach Whitehall, stráže zamkowe, ziewając z nudów, gapiły się na morze. Siedziałam na grobli, obserwując jagniątko, gorące promienie słońca prażyły mą odsłoniętą głowę. I pomyśleć, że już za tydzień ta cicha, sielska okolica stanie w ogniu nowej wojny... Wrzaski żołnierzy, walki, śmierć... Owce się rozproszą, bydło ucieknie z pastwisk, na drogi wylegną ludzie pozbawieni domów. Huk dział, grzechotanie muszkietów, galop koni, tupot maszerującej piechoty. Ranni żołnierze, którzy dowloką się w cień żywopłotów, będą marli bez pomocy. Wojsko strąca młode zboże, spali chłopskie chałupy. Powrócą stare obawy, nerwowość, strach. Nieprzyjaciel nadciąga. Nieprzyjaciel się cofa. Hopton wylądował w wielkiej sile. Hopton w odwrocie. Kornwalijszczyki triumfują. Kornwalijszczyki pobici. Plotki takie i inne. Krwawy odór wojny...

Faza projektów dobiegła końca, pozostawało tylko czekać. Tydzień z oczami utkwionymi w zegar, z nerwami napiętymi jak postronki. Richard w świetnym humorze, jak

zwykle przed bitwą, grał z Bunnym w kule na skrawku ogrodzonego trawnika przy pustym domku rządcy. Peter, który nagle się zorientował, że mu sflaczały mięśnie brzucha, jeździł z furią tam i z powrotem po plażach Par, żeby stracić na wadze. Robin był bardzo milczący. Chodził do lasu na długie, samotne spacerki, a po powrocie pierwsze kroki kierował do jadalni, gdzie natychmiast sięgał po karafkę. Zastawałam go tam czasem, jak ze szklanką w ręku siedział pogrążony w zadumie. Kiedy go wypytywałam, udzielał mętnych odpowiedzi, a w jego oczach pojawiał się błysk czujności, jak u psa, który usłyszał obce kroki. Gartred, zwykle taka spokojna i obojętna, gdy była górą w aferze miłosnej, po raz pierwszy zdradzała objawy niepewności. Czy działo się tak, dlatego, że Ambrose Manaton, młodszy od niej o piętnaście lat, nie palił się do małżeństwa? Tego nie wiem, w każdym razie ogarnęła ją kompletna beztroska, co według mnie wskazywało na przegraną. To, że na Orley Court ciążyło ogromne zadłużenie, wiedziałam od samego Richarda. Młodość Gartred minęła; przyszłość, bez wsparcia ze strony trzeciego męża, rysowała się smętnie, gdy zabrakło urody. Wdowa spędzająca resztę życia u zamężnych córek, na łaskawym chlebie ich mężów? Cóż za upadek dla Gartred Grenvile! Dlatego przestała się pilnować. Zbyt otwarcie uśmiechała się do Ambrosea Manatona. Kładła rękę na jego dłoni przy stole. Obserwowała go znad brzegu szklanki z tą samą pożądlivością, którą zauważyłam u niej już wtedy, kiedy zaglądając przez dziurkę od klucza, widziałam, jak zgarnia klejnoty do kieszeni. A Ambrose Manaton, mile półechtany, puszył się jak paw, podnosząc ku niej kielich w niemym toaście.

- Odeślij ją stąd - prosiłam Richarda. - Dość już krwi napsuła. Na cóż jeszcze może ci się przydać?

- Jeśli Gartred wyjedzie, Ambrose podąży za nią. Nie mogę ryzykować utraty skarbnika. Nie znasz tego człowieka tak dobrze jak ja. Jest śliski niczym węgorz i do tego ma węża w kieszeni. Wróci z nią do Bideford, a wtedy gotów w ogóle się wycofać.

- No to odpraw Robina. Jeśli nie przestanie pić, i tak nie będziesz miał z niego żadnego pożytku.

- Bzdura! Picie go pobudza, dodaje mu bodźca. Kiedy nadejdzie wielki dzień, wpompuję w niego tyle brandy, że w pojedynkę zdobędzie zamek St Mawes.

- Nie jest mi przyjemnie patrzeć, jak mój brat się stacza.

- On nie przyjechał tu dla twojej przyjemności. Trzymam go, bo to jeden z nielicznych oficerów, który nie traci głowy podczas bitwy. Im bardziej jest rozdygotany teraz, tym lepiej będzie walczył.

Obserwował mnie spod oka, wydmuchując kłęby dymu.

- Mój Boże! Richardzie, czy ty w ogóle nie masz litości?

- Nie. Gdy chodzi o wojsko, nie mam.

- I możesz tak spokojnie tu siedzieć, wiedząc, że twoja siostra na górze zachowuje się jak ladacznica? Razem ciągniecie za sznurki sakiewki Manatona, ona za jeden, ty za drugi, a tymczasem mój biedny zakochany brat zapija się na śmierć, bo ma złamane serce!

- Do diabła z jego sercem! Dla mnie liczy się tylko to, jak macha szpadą.

I wychyliwszy się z okna galerii, gwizdnął na Bunny'ego, po czym obaj poszli grać w kule. Widziałam, jak rzucili płaszcze na trawę - wyglądali niczym dwóch beztroskich, rozbrykanych uczniów.

- Niech diabli porwą wszystkich Grenvile'ów! -  
powiedziałam do siebie, czując, że mam nerwy w strzępach.

Ledwie wypowiedziałam te słowa, przekonana, że  
jestem sama, gdy mego ramienia dotknęła czyjaś ręka, a  
młodzieńczy głos szepnął mi w ucho:

- To samo osiemnaście lat temu mówiła moja matka.

Za moimi plecami stał Dick. Czarne oczy żarzyły mu  
się jak węgle, On też patrzył w stronę trawnika, na swego  
ojca i Bunny'ego.

Czwartek jedenastego maja wstał tak samo gorący i parny jak dni poprzednie. Za czterdzieści osiem godzin wojenna żagiew znów zapłonęła nad Kornwalią. Tego ranka nawet Richard popadł w irytację z powodu wiadomości, którą przywiózł mu goniec. Otóż szpiedzy donieśli, że parę dni temu odbyło się w Saltash spotkanie kilku panów z parlamentu z ich dowódcą na Zachodzie, sir Haddressem Wallerem. Postanowiono podwoić strażę we wszystkich głównych miastach. Kilku członków Komitetu Hrabstwa Kornwalii udało się osobiście do Helston, żeby sprawdzić, czy wszędzie panuje spokój.

- Teraz wystarczy jeden fałszywy krok i cała sprawa legnie w gruzach - martwił się Richard.

Siedzieliśmy, pamiętam, w jadalni - wszyscy oprócz Gartred, która była w swoim pokoju. Jeszcze teraz mam przed oczami napięte twarze mężczyzn, spoglądających w milczeniu na swego wodza: Robin - ociążały, pogrążony w zadumie, Peter klepiący się bezwiednie po kolanie, Bunny ze zmarszczonymi brwiami i Dick jak zwykle gryzący palce.

- Jest coś, czego od dawna się obawiam - mówił Richard. - Ci ludzie z Zachodu nie potrafią trzymać języka za zębami. Niczym źle wytresowane sokoły, za bardzo rwą się do łupu. Ostrzegalem Keigwina i Grose'a, żeby przez ostatni tydzień nie ruszali się z domów, tak jak my, i nie urządzali żadnych narad. Ale pewnie mnie nie usłuchali, ktoś ich widział na drodze, a potem wieści rozniosły się lotem błyskawicy.

Stał przy oknie z założonymi do tyłu rękami. Chyba wszyscy mieliśmy mdłości ze zdenerwowania. Ambrose

Manaton zacierał nerwowo ręce i wyraźnie utracił swój zwykły chłód i opanowanie.

- Gdyby coś źle poszło - odezwał się z wahaniem - jakie kroki podejmiemy, by zapewnić sobie bezpieczeństwo?

Richard rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

- Żadne. - Wrócił do stołu i zgarnął papiery. - Wydałem już rozkazy. Wszystkim razem i każdemu z osobna. Wiecie, co macie robić. Pozbądźmy się więc tych śmieci, bo gdy zacznie się walka, nie będą nam już potrzebne.

Zaczął wrzucać mapy i dokumenty w ogień. Oficerowie nie odrywali niepewnych oczu od swego generała.

- Co z wami? - wściekł się Richard. - Wyglądacie jak stado kruków przed pogrzebem! W sobotę stawiamy na wolność! Jeśli ktoś się boi, niech powie, a zaraz pójdzie na stryczek za zdradę księcia Walii!

Nikt się nie odezwał. Richard zwrócił się do Robina:

- Pojedziesz do Trelawne. Powiesz Trelawneyom, ojcu i synowi, że nasze plany na trzynastego uległy pewnej zmianie. Razem z sir Arthurem Bassettem mają przyłączyć się do sir Chariesa Trevanniona w Caerhayes. Muszą wyruszyć jeszcze tej nocy, omijając główne drogi, a ty będziesz im towarzyszył.

- Tak jest - odrzekł wolno Robin, podnosząc się z miejsca.

Myślę, że tylko ja jedna dostrzegłam błysk w spojrzeniu, którym obrzucił Ambrosea Manatona. Co do mnie, to kamień spadł mi z serca. Bez Robina w domu mogłam znów spać spokojnie. Niech sobie Gartred i jej nowy kochanek robią, co chcą, w ciągu tych paru godzin, jakie jeszcze zostały. Póki Robin ich nie widzi, nic mnie to nie

obchodzi.

- Bunny - spytał Richard. - Masz w Pridmouth łódź gotową do drogi?

- Tak jest! - wykrzyknął Bunny z iskierkami zapału w szarych oczach. Zdaje się, że tylko on jeden traktował to jak zabawę w wojsko.

- Więc i my zjawimy się w Caerhayes. Trzynastego o świcie. Możesz jutro popłynąć do Gorran i przekazać moje ostatnie wskazówki, co do latarni w Dodman. Parę godzin na słonej wodzie w tym upale to dobre ćwiczenie dla twego żołądka.

Uśmiechnął się do młodzieńca, który odwzajemnił mu się spojrzeniem pełnym uwielbienia. Zauważyłam, że Dick pochylił głowę i kreślił drżącą ręką jakieś linie po stole.

- Peter!

Mąż Alice zerwał się na nogi, wyrwany z błogich marzeń o francuskim winie i tamtejszych kobietkach i przeniesiony do brutalnej rzeczywistości otaczającego go świata.

- Moje rozkazy, panie generale?

- Pojedziesz do Caerhayes i zawiadomisz Trevannionów o zmianie planów. Powiesz, że Trelawneyowie i Bassett są już w drodze. Rano wrócisz do Menabilly, tylko ostrzegam cię, Peter...

- Tak, panie generale?

- Nie zabłądź gdzieś po drodze na swój courtneyowski sposób. Od Tywardreath do Dodman nie ma ani jednej spódniczki wartej grzechu.

Mimo całej brawury Peter poczerwieniał. Zmusił się jednak, by bez opóźnienia wykrztusić:

- Rozkaz, panie generale.

Opuścił pokój razem z Robinem, a wkrótce wyszli też



Bunny i Ambrose Manaton. Richard ziewnął i przeciągając się, założył ręce za głowę. Potem podszedł chwiejnym krokiem do kominka i zaczął rozgrzebywać zwęglone papiery.

- A ja? Nie dostanę żadnych rozkazów? - spytał nieśmiało Dick.

- Czemu nie? Córeczki lady Courtney na pewno zostawiły jakieś lalki. Poszukaj na strychu i uszyj im nowe sukienki.

Chłopak nie odpowiedział. Przybladł tylko bardziej i odwróciwszy się na pięcie, wyszedł.

- Pewnego dnia - powiedziałam - posuniesz się o krok za daleko.

- Taki mam zamiar.

- Więc to ci sprawia przyjemność? Lubisz patrzeć, jak cierpi?

- Mam nadzieję, że kiedyś rzuci się na mnie z pięściami i wreszcie przestanie chować ogon pod siebie.

- Czasem mi się zdaje, że po dwudziestu latach znam cię jeszcze mniej niż na początku.

- Bardzo możliwe.

- Żaden ojciec pod słońcem nie traktuje syna tak szorstko jak ty biednego Dicka.

- Muszę mu jakoś przeczyścić tę kurewską krew po matce.

- W ten sposób tylko ją wzbudzysz.

Wzruszył ramionami i na chwilę zapadło milczenie. Z parku dobiegł stukot końskich kopyt; to Robin i Peter jechali na spotkanie każdy ze swym losem.

- Kiedy ukrywałem się w Londynie, widziałem moją córkę - odezwał się nagle.

Bezsensowne ukłucie zazdrości przeszło mi serce i

odpowiedziałam zła jak osa:

- Piegowata, zarozumiała pannica, czyż nie?

- Niece... Raczej spokojna, skupiona. I uległa. Przypomina trochę moją matkę. Zapytałem ją: „Bess, czy będziesz się mną opiekować na stare lata?”. A ona na to: „Oczywiście, ojczu, wystarczy, że po mnie pošlesz”. Chyba tyle dba o tę sukę co i ja.

- Córki nigdy nie są faworytkami matek. Zwłaszcza, gdy dojdą do pewnego wieku. Ileż ona ma lat?

- Prawie siedemnaście... I ma w sobie mnóstwo naturalnego wdzięku, jak to młoda panienka.

Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Ta chwila, pomyślałam z wielką jasnością i spokojem, który zagłuszał nawet ból, to pożegnanie. Tu rozchodzą się nasze drogi, chociaż on jeszcze o tym nie wie. Teraz, gdy jego córka dorosła, nie będzie już mnie potrzebował.

- Hej, ho! - usłyszałam nagle. - Chyba zaczynam odczuwać moje czterdzieści osiem lat. Noga rwie mnie dziś jak sto diabłów i nawet nie mogę zwalić tego na pogodę przy tak pięknym dniu.

- To przez tę ciągłą niepewność.

- Po skończonej kampanii, kiedy cała Kornwalia będzie w rękach księcia Walii, pożegnam się z wojaczką. Wybuduję sobie pałac na północnym wybrzeżu, niedaleko Stowe i będę dożywał swych lat jak panisko.

- To niemożliwe. Natychmiast pokłócisz się ze wszystkimi sąsiadami!

- Nie będę miał żadnych sąsiadów poza Grenville'ami. Mój Boże, moglibyśmy z Jackiem i Bunnym zawojować całe księstwo! Nie sądzisz że księżę mianuje mnie hrabią Launceston?

Położył mi na chwilę dłoń na głowie, ale zaraz

odszedł, gwizdnawszy na Bunny'ego. Zostałam w pustym pokoju, ogarnięta zwątpieniem, z dziwnym smutkiem w sercu.

Tej nocy wszyscy położyliśmy się wcześniej, przytłoczeni ciężarem wiszącej w powietrzu burzy. Richard zajął sypialnię Jonathana Rashleigha, Dick i Bunny spali w przyległych gotowalniach.

Teraz, kiedy Peter i Robin wyjechali, myślałam cynicznie, Ambros Manaton i Gartred mogą wykorzystywać swe wyjątkowe talenty choćby i do rana, jeśli im starczy ochoty.

Mieli połączone drzwiami pokoje i tylko mnie za sąsiadkę u szczytów schodów. Słyszałam, jak Gartred weszła pierwsza, a potem wśliznął się on - i na podeście zapadła cisza. No i dobrze, myślałam, owijając się szalem. Dzięki Bogu, potrafię się starzeć w pogodzie ducha. Nie zamierzam się martwić ani siwizną, ani zmarszczkami. Nie muszę też walczyć o trzeciego męża, skoro nie miałam pierwszego. I tak jednak nie mogłam zasnąć, bo księżyc w pełni zaglądał mi w okna.

Do mej obecnej sypialni nie docierało bicie zegara, ale musiała zbliżać się północ, kiedy z lekkiego snu, w który zapadłam chyba parę minut wcześniej, wyrwał mnie odgłos kroków na dole. Tak, teraz słyszałam wyraźnie. Ktoś chodził po omacku, potykając się to o stół, to o krzesło. Podniosłam się na łóżku i nasłuchiwałam. Znowu panowała cisza, ale ja nadal czułam niepokój. Przysunęłam sobie fotel i cała zamieniłam się w słuch. Nagle skrzypnęły schody... Tak, nie myliłam się: ktoś skradał się na górę. Jakiś błysk przeczucia, które tkwiło we mnie chyba od rana, uprzedzał, że nadciąga katastrofa. Przesiadłam się na fotel i nie tracąc czasu na zapalanie świecy (bo i nie było takiej potrzeby, skoro na

dywan padała smuga księżycowego światła), podjechałam do drzwi i nacisnęłam klamkę.

- Kto tam? - spytałam szeptem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrzałam w dół. Na schodach, oparta o ścianę, kulila się jakaś postać. W blasku księżyca lśniła obnażona szpada. W samych pończochach, z podwiniętymi za łokcie rękawami stał mój brat Robin z żądzą mordu w oczach. Nie odzywał się do mnie, czekając, co zrobię.

- Dwa lata temu odmówiłeś wykonania rozkazu z powodu prywatnych powodów - przypomniałam mu ze spokojem. - Czy w maju czterdziestego ósmego zamierzasz powtórzyć styczeń czterdziestego szóstego?

Podsunał się bliżej i stanął teraz przy mnie na najwyższym stopniu. W jego oddechu wyczułam wyraźną woń brandy.

- Nie ma mowy o żadnym nieposłuszeństwie - odparł.

- Przekazałem wiadomość. Rozstałem się z Trelawneyami na szczycie wzgórza Polmear.

- Richard kazał ci ich odprowadzić do Caerhayes.

- Nie było takiej potrzeby. Trelawneyowie powiedzieli, że we dwóch będzie im łatwiej niż we trzech. Przepuść mnie. Honor.

- Nie, Robinie. Jeszcze nie. Najpierw oddasz mi szpadę.

Patrzył na mnie w milczeniu. Z potarganymi włosami i udręką w oczach tak bardzo przypominał Kita, że zadrżałam. Ściskające szpadę ręce drżały także.

- Nie oszukacie mnie! - wybuchnął. - Ani ty, ani Richard Grenville. Ten rozkaz to tylko pretekst. Grenville wysłał mnie z domu, żeby oni mogli się gzić.

Zerknął na podest i zamknięte drzwi pokoju za

schodami.

- Idź spać, Robinie. Albo chodź do mnie i porozmawiajmy.

- Nie! Na tę chwilę czekałem. Oni są tam razem. Nie powstrzymuj mnie, bo i tobie stanie się krzywda.

Odsunął mój fotel i ruszył na palcach w stronę drzwi. Pijany czy szalony? Nie umiem powiedzieć, w każdym razie cel wypisany miał w oczach.

- Na miłość boską, Robinie, nie wchodź tam! Rozmówisz się z nimi rano, skoro musisz, ale nie teraz!

Za całą odpowiedź poruszył tylko klamkę. Na ustach błąkał mu się dziwny, a zarazem straszny uśmiech. Łkając cicho, wróciłam do siebie i załomotałam do gotowni, gdzie spali Dick i Bunny.

- Wezwijcie Richarda! - krzyczałam. - Niech natychmiast tu przyjdzie! I wy dwaj także!

Nie ma czasu do stracenia!

Odpowiedział mi zdumiony głos - chyba Bunny'ego - i usłyszałam, że chłopak wstaje. Nie czekając, wyjechałam z powrotem w stronę podestu, ale panował tam spokój i tylko księżyc świecił prosto we wschodnie okna. A potem nastąpiło to, czego się spodziewałam: nocną ciszę rozdarł przeraźliwy kobiecy krzyk. Żadnych przekleństw, żadnych męskich gniewnych głosów, tylko ów straszny krzyk.

Przeciąć podest... potem pusty pokój Ambrose'a Manatona, a dalej już sypialnia Gartred.

Że też te koła nie chcą się szybciej toczyć! Głos - mój, ale zmieniony nie do rozpoznania - woła bez przerwy: „Richardzie...Richardzie!”.

Ach, Boże... Ta straszna walka przy bladym, zimnym świetle księżycy, wlewającym się przez odsłonięte okna! Gartred z rozciętą twarzą, uczepona zasłony łóżka... Ambrose Manaton w splamionej krwią jedwabnej koszuli gołymi rękami odpierał szaleńcze ciosy Robina, póki wreszcie z okrzykiem rozpaczy nie dosięgnął szpady leżącej na stosie ubrań. Bose stopy dudniły o deski podłogi, oddechy stawały się coraz szybsze, urywane. Miotali się obaj, to tu, to tam, raz w świetle, raz w cieniu, niczym jakieś upiorne zjawy, a wszystko to bez jednego słowa.”Richardzie!” - wołałam znowu, gdyż oto na moich oczach dokonywało się morderstwo. Dwaj mężczyźni zmagali się między mną a łóżkiem, na którym kuliła się Gartred, osłaniając rękami twarz, z której krew ściekała jej między palcami.

Zjawił się wreszcie, na pół odziany, ze szpadą w ręku. Dick i Bunny nieśli za nim świece.

- Dość tego, przekłęci dumie! - ryknął, wdzierając się między walczących i odpierając własną szpadą ich ciosy. Prawe ramię Robina zwisło bezwładnie w uścisku Richarda, Ambrose Manaton uderzył plecami o ścianę i Bunny ruszył mu na pomoc.

Przeciwnicy patrzyli na siebie jak walczące zwierzęta. Obaj dyszeli ciężko, oczy nabiegły im krwią. W pewnym momencie Robin spojrział na Gartred i dopiero wtedy pojął,

co zrobił. Otworzył usta, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Nie mógł się poruszyć, tylko drżał na całym ciele. Richard pchnął go na krzesło i przytrzymał.

- Wołaj Matty - zwrócił się do mnie. - Niech przyniesie wodę i bandażę.

Zawróciłam na podest, ale domownicy byli już na nogach. Prerażeni służący zebrali się w hallu na dole i pozapalali świece.

- Do łóżek! - rozkazał im Richard. - Nic tu po was, zostaje tylko pokojowa panny Honor. To drobny wypadek, nikomu nic się nie stało.

Słyszałam ich szepty i szuranie nogami, ale w końcu rozeszli się do swych izdebek, a ja miałam przy sobie Matty - wierną, gotową do pomocy. W mgnieniu oka zrozumiała, co zaszło.

Przyniosła wody, przygotowała czyste pasy płótna. Pokój rozświetlało teraz pół tuzina świec. Znikła upiorna sceneria, jednak ponura rzeczywistość wciąż trwała.

Skłębiona odzież na podłodze - jego i Gartred. Manaton wsparty na ramieniu Bunny'ego tamuje sobie krew, jasne pukle zwisają mu w strąkach, wilgotne od potu. Robin na krześle z głową ukrytą w dłoniach; złość już mu minęła. Przy nim Richard, ponury i skupiony. Wszyscy jak jeden mąż zapatrzeni w Gartred i to straszne cięcie od prawej brwi do podbródka. Dopiero wtedy zauważyłam Dicka.

Miał szarą twarz i rozszerzone strachem oczy. Kiedy krew przeciekła przez białe płótno, plamiąc palce Matty, zachwiał się i upadł.

Richard nawet nie drgnął. Odwrócił oczy od syna i wycedził przez zaciśnięte zęby do Bunny'ego:

Zanieś to ścierwo do łóżka i zostaw.

Chłopak usłuchał. Patrząc, jak wychodzi z zemdłym

kuzynem w ramionach, pomyślałam na zimno, ze śmiertelnym znużeniem: „To już koniec”.

Ktoś się postarał o brandy, chyba Bunny, i wszyscy dostali porządną porcję. Robinowi drżały ręce zaciśnięte na kieliszku; pił powoli, długimi haustami. Ambrose Manaton przełknął trunek szybko i nerwowo, zaraz też odzyskał utracone kolory. Gartred piła, pojękując z cicha, z głową na ramieniu Matty. Siwe jej włosy wyglądały koszmarnie, zbryzgane krwią.

- Wolałbym nie wszczynać teraz śledztwa - odezwał się wolno Richard. - Co się stało, to się nie odstanie. Znajdujemy się w przededniu wydarzeń wyjątkowej wagi, a stawką jest przyszłość całego królestwa. Teraz nikt nie powinien szukać prywatnej pomsty. Od ludzi, którzy na moje ręce złożyli przysięgę wojskową, wymagam posłuszeństwa.

Nikt się nie odezwał. Robin, drżący i opadły z sił, patrzył tępo w ziemię.

- Do rana pozostało jeszcze tylko kilka godzin - ciągnął Richard. - Postarajmy się wykorzystać je na sen. Zostanę z Ambroseem w tym pokoju, Bunny będzie czuwał przy Robinie. Rano wszyscy wyruszycie do Caerhayes, tam się z wami spotkam. Matty, czy mogłabyś zaopiekować się panią Denys?

- Oczywiście, sir Richardzie.

- Co z jej pulsem? Czy straciła dużo krwi?

- Teraz czuje się nieźle, sir Richardzie. Bandaże mocno trzymają. Sen i spokój do rana mogą zdziałać cuda.

- Więc jej życie nie jest zagrożone?

- Nie, sir Richardzie. Rana jest poszarpana, ale niezbyt głęboka. Ucierpi tylko uroda pani Denys.

Usta Matty zadrgały w dobrze mi znany sposób. Ciekawe, ile odgadła z tego, co się wydarzyło.



Ambrose Manaton nie patrzył w stronę łóżka, jakby leżąca tam kobieta była mu całkiem obca. Dla nich to także już koniec, pomyślałam. Pani Denys nigdy nie zostanie panią Manaton i nie zamieszka w Trecarrel.

Odwróciłam wzrok od bladej i cichej Gartred, bo poczułam ręce Richarda na oparciu fotela.

- Dość już przeszłaś jak na jedną noc. Zawiózł mnie do pokoju, ułożył na łóżku i sam usiadł obok.

- Zaśniesz? - spytał.

- Nie sędzę.

- To chociaż wypocznij dobrze. Niedługo ruszamy. Za parę godzin może być już po wszystkim. Wojna to świetna namiastka prywatnych waśni.

- Czyżby?

Zostawił mnie i wrócił do Ambrose'a Manatona. Nie, wcale nie chodziło mu o sen. Chciał dopilnować, żeby w ciągu tych kilku godzin do wymarszu skarbnik mu się nie wymknął. Również wyznaczenie Bunny'ego do czuwania przy Robinie to nic innego, jak środek ostrożności. Wyrzuty sumienia w połączeniu z brandy silniejszych mężczyzn doprowadzały do samobójstwa.

Czy ktokolwiek z nas mógł myśleć o śnie? Księżyc w pełni stał wysoko na niebie. Ty także, mój zimny, bladolicy - mówiłam doń w duchu - niejedno widziałeś dziś w Menabilly, gdy rozświetlałeś mroki uśpionych ogrodów... Doprawdy, i Harrisowie, i Grenville'owie źle się odwdzięczyli Rashleighom za gościnę.

Mijały godziny. Nagle przypomniałam sobie o Dicku, który sypiał sam w przyległej gotowalni. Biedny chłopak, nadal mdlał na widok krwi. Czy leży tam bezsennie jak ja, na dodatek dręczony poczuciem hańby? Zdawało mi się, że słyszę, jak się wierci. Czyżby i jego nawiedzały koszmary?

Może pragnie towarzystwa?

- Dick... - zawołałam cicho. - Dick!

Żadnej odpowiedzi. Później lekka bryza znad morza wdarła się przez otwarte okno i poruszywszy kilka razy drzwiami, pchnęła je tak, że zaczęły się kiwać i trzaskać, co chwila jak niedomknięta okiennica.

Musiał głęboko spać, skoro nawet ten hałas go nie obudził.

Księżyc zaszedł i do pokoju wkradło się światło świtu. Drzwi między naszymi pokojami nadal skrzypiały, zamykały się, otwierały, tworząc nieznośny akompaniament do mych niespokojnych snów. Wreszcie doprowadzona do ostateczności, przeniosłam się na fotel, żeby zrobić z tym porządek. Kiedy położyłam rękę na klamce, zauważyłam przez szparę, że łóżko Dicka jest puste. Chłopaka nie było w pokoju...

Odrętwiała i wyczerpana, położyłam się znowu. Pewnie poszedł do Bunny'ego i Robina, myślałam. Ale wciąż stała mi przed oczami jego blada, przepełniona bólem twarz i sen, który wreszcie mnie zmorzył, nic na to nie pomógł.

Rano obudziłam się w zalanym słońcem pokoju, a wczorajsze nocne sceny wydały mi się tylko sennym koszmarem. Chciałam, żeby jak najprędzej się rozproszyły, jak to bywa ze złymi snami, ale gdy tylko weszła Matty ze śniadaniem, wiedziałam, że to nie żadne zwidy, tylko ponura rzeczywistość.

- Tak, pani Denys przespała się nieco - odpowiedziała na moje pytanie, prychnąwszy gniewnie. - Ale chyba odejdzie ją ochota do przygód, póki nie zdejmie bandażu.

Widać było, że wcale nie żałuje Gartred.

- Ale w swoim czasie rana się zagoi?

- O tak, rana się zagoi, lecz blizna zostanie do końca

życia i teraz trudniej będzie kupczyć urodą. - Mówiła to z pewnym zadowoleniem, jakby wypadki wczorajszej nocy stanowiły splątę starych długów. - Pani Denys dostała to, na co sobie zasłużyła.

Naprawdę? Miałby to być tylko ruch na szachownicy, długo planowany przez Najwyższego? A może wszyscy pozwalamy losowi drwić z siebie? Jedno wiedziałam na pewno: w chwili gdy zobaczyłam cię na twarzy Gartred, przestałam jej nienawidzić.

- Czy wszyscy panowie jedli już śniadanie? - spytałam.

- Tak sądzę.

- I pan Dick także?

- Tak. Zszedł nieco później od innych, ale godzinę temu widziałam go w jadalni.

Nie wiadomo, czemu ogarnęła mnie fala ulgi. Może po prostu, dlatego, że nic mu nie groziło; był w domu.

- Pomóż mi się ubrać.

Piątek, dwunasty maja... Rzecz przypadku, że nie trzynasty. Poczucie delikatności trzymało mnie z dala od pokoju Gartred. Teraz, kiedy miała oszpeconą twarz, stałyśmy na tym samym gruncie i nie chciałam kłuć jej owym faktem w oczy. Inne na moim miejscu może udawałyby współczucie, w sercu święćąc triumfy, ale Honor Harris do nich nie należała. Posłałam Matty, by wypytała, czego jej trzeba, i zostawiłam dawną nieprzyjaciółkę z jej myślami. Robina zastałam w galerii. Stał, markotny, przy oknie z prawym ramieniem na temblaku. Kiedy weszłam, spojrzał w moją stronę, ale zaraz odwrócił wzrok.

- Myślałam, że pojechałeś z Bunnym do Caerhayes?

- Czekamy na Petera Courtneya - odrzekł drewnianym głosem. - Jeszcze nie wrócił.

- Boli cię ręka?

Potrząsnął głową i dalej patrzył w okno.

- Kiedy cała ta wrzawa ucichnie i w kraju nastanie spokój, znów zamieszkamy razem, jak kiedyś w Lanrest.

Nie odpowiedział, ale zauważyłam, że ma w oczach łzy.

- Dostatecznie długo kochaliśmy Grenville'ów, każde na swój sposób. Teraz będą musieli nauczyć się żyć bez nas.

- Robią to od niemal trzydziestu lat. To my nie umiemy się bez nich obejść.

To była nasza ostatnia rozmowa na ten temat. Od tamtej chwili po dziś dzień nie poruszyliśmy go ani razu. Chociaż już od pięciu lat mieszkamy pod jednym dachem, powściągliwość zamyka nam usta.

Drzwi się otworzyły i wszedł Richard, a za nim jego cień - Bunny.

- Nie mogę tego pojąć - wybuchnął, chodząc tam i z powrotem wielkimi krokami. - Już prawie południe, a jego ani śladu! Gdyby wy jechał z Caerhayes o świcie, dawno byłby na miejscu. Zdaje się, że jak wszyscy inni durnie, po prostu zlekceważył mój rozkaz!

Pił oczywiście do Robina, ale ten, pogrążony w myślach, nie zwrócił na to uwagi.

- Jeśli wolno, panie generale, pojedę go poszukać. Może zajechał na śniadanie do Sawle'ów, do Prentice.

- Raczej gzi się z jakąś dziewczką w stogu siana! Następnym razem wezmę do sztabu samych eunuchów. Jedź, jeśli chcesz, ale uważaj na drogach! Podobno przez St Blazey ciągną jakieś oddziały. Może to tylko plotka, ale zawsze... - Urwał w środku zdania i znów zaczął chodzić.

Niebawem usłyszeliśmy, jak Robin wsiada na konia i odjeżdża. Zegar na wieży wybił dwunastą... pierwszą... Służący wnieśli zimne mięso i piwo, nałożyliśmy sobie

jedzenie na talerze, ale jakoś nie mieliśmy apetytu. Wyteżaliśmy słuch, zwracając uwagę na każdy szmer. O wpół do drugiej na schodach rozległy się kroki - powolne, stawiane z dużym wysiłkiem. Ambrose Manaton zerknął bezwiednie w górę, po czym cofnął się pod okno. Klamka się poruszyła i w drzwiach stanęła Gartred. W podróżnym stroju, z jedną stroną twarzy osłoniętą woalem, w płaszczu zarzuconym na ramiona wyglądała jak widmo. Nikt się nie odezwał.

- Wracam do Oriey Court - powiedziała wreszcie. - Musicie mi znaleźć konie.

- Prosisz o rzecz niemożliwą - odparł Richard - sama wiesz najlepiej. Za parę godzin wszystkie drogi będą nieprzejezdne.

- Zaryzykuję. Nawet jeśli padnę w jakiejś potyczce, nikt się tym nie przejmie. Zrobiłam, o co mnie prosiłeś, moja rola skończona.

Przez cały czas nie spuszczała oczu z Richarda. Ani razu nie zerknęła w stronę Manatona.

Richard i Gartred... Robin i ja... Która siostra miała więcej do wybaczenia, która zapłaciła większą cenę? Bóg mi świadkiem, że nie umiałam dać odpowiedzi.

- Przykro mi - rzekł krótko Richard. - Nie mogę ci pomóc. Musisz zostać tutaj, póki sytuacja się nie zmieni. Mamy teraz poważniejsze sprawy na głowie niż konie dla rannej wdowy.

Bunny pierwszy usłyszał tętent kopyt w parku. Podeszedł do małego okienka, wychodzącego na park, i otworzył je na oścież. Wszyscy zastygliśmy w oczekiwaniu. Tętent się nasilał, aż wreszcie spod bramy na dziedziniec wypadł jeździec na spienionym koniu. Był to Peter Courtney, okryty kurzem i nieogolony, bez kapelusza, z czarnymi

puklami rozrzuconymi na ramiona. Cisnął wodze zaskoczonemu stajennemu i ruszył prosto do galerii.

- Na miłość boską, ratuj się, kto może! Zdrada!

Łudziłam się nadzieją, że nie mam wypisanej na twarzy tej straszliwej zgrozy, jaka malowała się w oczach pozostałych. Bo chociaż serce ścięło mi się lodem, miałam absolutną pewność, że tego właśnie spodziewałam się przez cały dzień. Peter, dysząc ciężko, wodził wzrokiem od jednego do drugiego spiskowca.

- Wzięli wszystkich! Jonathana Trelawneya z synem, Charlesa Trevanniona, Arthura Bassetta i resztę! O dziesiątej rano przyjechał szeryf sir Thomas Herle z całą kompanią wojska. Walczyliśmy, ale było ich ponad trzydziestu. Wyskoczyłem z okna na piętrze i z bożą pomocą udało mi się uciec ze skreconą tylko nogą. Potem wsiadłem na pierwszego lepszego konia i kłusem go bez litości ostrogami przez całą drogę. Gdybym nie znał wszystkich bocznych ścieżek jak własnych pięciu palców, pewnie nie dotarłbym tutaj tak szybko. Wszędzie roi się od żołnierzy. Most St Blazey jest zablokowany i strzeżony. Na Polmear Hill stoją wartownicy.

- Rozejrzał się po galerii, jakby kogoś szukał. - Robina nie ma? Tak myślałem. Więc to jego widziałem, kiedy okrążałem plażę. Bił się chyba z pięcioma przeciwnikami. Nie odważyłem się skoczyć mu na pomoc, bo przede wszystkim musiałem was ostrzec. Co teraz? Możemy się uratować?

Wszystkie oczy zwróciły się na dowódcę. Stał przed nami, chłodny, opanowany, nie zdradzając niczym, że wszystkie jego plany legły w gruzach.

- Widziałeś ich barwy? - spytał. - Co to za żołnierze? Spod czyjej komendy?

- Część z Bodmin. Reszta to przednia straż sir Hardressa Wallersa. Rozciągnięci na całej drodze do St

Austell, szereg za szeregiem... Nie mamy szans, panie generale. Nieprzyjaciel jest w wielkiej sile.

Richard kiwnął głową i szybko odwrócił się do Bunny'ego.

- Do Pridmouth! I natychmiast odbijać. Kurs na południe, póki nie nawiądziesz kontaktu z okrętem francuskiej floty. Powinni teraz właśnie płynąć na wschód od wysp Scilly. Zapytasz o okręt lorda Hoptona i od dasz to pismo.

Nabazgrał coś szybko na kawałku papieru.

- Zamierzasz ich tu ściągnąć? Czy aby zdążą na czas? - spytał Ambrose Manaton zbielełymi wargami, zaciskając kurczowo ręce.

- Skądże znowu! - odparł Richard, składając papier. - Piszę, żeby zmienili kurs i uciekali raz jeszcze do Francji. Nie będzie żadnego powstania. Księżę Walii nie wylądaje na naszym wybrzeżu. - Wręczył list bratankowi. - Szczęśliwej drogi, Bunny! Pozdrów ode mnie brata. Przy odrobinie szczęścia wyspy Scilly upadną ci do nóg jak dojrziała śliwka, ale dopiero w lecie. Księżę musi na razie pożegnać się z Kornwalią.

- A wy, stryju? Nie pojedziecie ze mną? Toż to szaleństwo, zostawać tutaj, skoro dom lada chwila będzie okrążony!

- Dojadę do ciebie w stosownym czasie. Teraz proszę, żebyś spełnił moje rozkazy.

Bunny popatrzył na niego przez chwilę, po czym odwrócił się i wyszedł z wysoko podniesioną głową, nie żegnając się z nikiem.

- Ale co z nami? Dokąd mamy iść? - dopytywał się Ambrose Manaton. - Boże, co za głupiec ze mnie, czemuż dałem się w to wciągnąć! Czy wszystkie drogi są obstawione? - zwrócił się do Petera, który wzruszył tylko

ramionami, nie odrywając wzroku od swego dowódcy. - Czyja to wina? Kto jest zdrajcą? - Manaton utracił zupełnie dawne opanowanie, a w jego głosie pojawiła się nuta podejrzliwości. - Nikt prócz nas nie wiedział o zmianie miejsca spotkania. Skąd szeryf miałby takie diabelskie wyczucie chwili, że mógł wyłapać wszystkich godnych uwagi przywódców?

- Czy to ważne, kto zdradził, skoro zło już się stało? - spytał spokojnie Richard.

- Jak to: czy ważne? Dobry Boże, mówisz to tak spokojnie! Treyannion, Trelawneyowie, Arundellowie, Bassettowie... wszyscy w łapach szeryfa, a ty pytasz, czy to ważne, kto ich zdradził? I nas też, nieszczęsnych straceńców, aresztują w ciągu godziny, a ty sobie po prostu stoisz z tym lisim uśmiechem...

- Tylko moi wrogowie nazywają mnie lisem; przyjaciele nigdy. - Richard odwrócił się do Petera. - Każ osiodłać konia dla pana Manatona. I dla siebie także. Nie gwarantuję, że przejedziecie bezpiecznie, ale przynajmniej dam wam szansę zajęty wobec sfory psów.

- Wy z nami nie pojedziecie, generale?

- Nie. Nie pojedę.

Peter zawahał się, zerknął najpierw na niego, potem na mnie.

- Kiepsko z wami będzie, jeśli was tu zastaną.

- Wiem.

- Szeryf podejrzewa, że jesteście w Kornwalii. Gdy tylko stanął u bram Caerhayes i wywołał Trevanniona, zapytał: „Czy ukrywacie tu sir Richarda Grenvillea? Wydajcie go, a będziecie wolni”.

- Więc żałuję, że mnie tam nie było.

- Podobno tuż przed świtem posłaniec zostawił mu w



Prideaux wiadomość, że wszyscy dowódcy, razem z wami, mają się później zebrać w Caerhayes. Jakiś łajdak was wysledził i z godną szatana intuicją odgadł wasze plany.

- Istotnie łajdak - przyznał Richard, wciąż się uśmiechając. - Chciał się zabawić w Judasza. Dajmy temu spokój,

Czy to czasem nie Jack powiedział mi kiedyś w Exeter: „Strzeż się mego stryja, kiedy się uśmiecha”? Nagle Ambrose Manaton wystąpił naprzód z palcem oskarżycielsko wycelowanym w Richarda.

- To ty sam! Ty jesteś zdrajcą, ty wydałeś nasze plany! Od samego początku wiedziałeś, że tak się to skończy! Francuska flota nigdy nie zamierzała ruszyć nam na pomoc, nie miało być żadnego powstania! To twój odwet za tamto aresztowanie w Launceston przed laty! Boże, co za perfidia!

Stał przed nim drżący i wykrzykiwał owe zarzuty piskliwym, histerycznym głosem. Zauważyłam, że Peter pobleadł mocno i cofnął się o krok, bardziej oszołomiony niż przerażony dramatem rozgrywającym się na naszych oczach.

Richard patrzył na obu, nie ruszając się z miejsca. Potem spokojnie pokazał im drzwi. Na dziedziniec sprowadzono już konie, słyszeliśmy pobrzękiwanie uprzęży.

- Cofnijcie wskazówki zegara - szeptałam do siebie jak oszalała. - Niechaj powróci tamten czas sprzed czterech lat, kiedy Gartred była szpiegiem lorda Robartesa. Niech na nią spadnie wina. Niech ją obciąży ta zbrodnia. Tylko ona jedna wyszła z tego wszystkiego bez szwanku, chociaż oszpecona.

Spojrzałam na nią i ku swemu zdumieniu zobaczyłam, że i ona na mnie patrzy. Woal opadł, odkrywając świeżą ranę na jej policzku. Wi dok ten oraz pamięć wczorajszej nocy napełniły mnie nie gniewem czy litością, ale rozpaczą. Nie spuszczała ze mnie wzroku i widziałam, że się uśmiecha.

- Nic z tego - powiedziała. - Wiem, co ci chodzi po głowie. Biedna Honor, znów cię oszukałam. Gartred Denys ma doskonałe alibi.

Konie ruszyły galopem. Ambrose Manaton jechał pierwszy, w kapeluszu naciśniętym na oczy i wydętym na wietrze płaszczu. Peter na odjezdnym zerknął w górę.

Zegar wybił drugą. Na dziedzińcu trzepotał się gołąb, oślepiająco biały na tle nieba. Gartred leżała na sofie. Uśmiech na jej ustach dziwnie kontrastował z wielką szramą. Richard stał przy oknie z założony mi rękami. Natomiast Dick, który od pół godziny nie poruszył się ani razu, tkwił w kącie jak kłoda drewna.

- Czyżby troje Grenvile'ów - spytałam wolno - chciało się naradzić bez świadków?

Richard wciąż stał przy oknie. Teraz, kiedy tamci dwaj odjechali i umilkł tętent koni, w domu zrobiło się dziwnie cicho. Słońce prażyło ogrody, gołębie wydziobywały nasiona z trawników. W tej najgorętszej godzinie dnia nawet ptaki przestały śpiewać i tylko pszczoły brzęczały w gęstwinie lip. Richard przemówił, nie odwracając się do nas, cichym i łagodnym głosem.

- Mój dziad także miał na imię Richard. Pochodził z długiej linii Grenvile'ów, którzy ze wszystkich sił służyli swemu krajowi i królowi. Wrogów miał, co niemiara, ale także mnóstwo przyjaciół. Taki już mój pech, że nie zdążyłem go poznać - zmarł, bowiem dziewięć lat przed, mym urodzeniem. Ale pamiętam, jak dopominałem się jako chłopak, by mi o nim opowiadano, i jak zadzierałem głowę do jego dużego portretu, wiszącego na ścianie w Stowe. Podobno był surowy i twardy, rzadko się uśmiechał, ale oczy, które spoglądały na mnie z portretu, przypominały oczy sokoła - tak samo nieustraszone i dalekowzroczne. Nie brakowało w tamtych czasach sławnych nazwisk: Drake, Raleigh, Sydney, a także i Grenvile należał do ich kompanii. Jak może pamiętacie, został śmiertelnie raniony na pokładzie swego okrętu „Zemsta”. Walczył sam jeden, otoczony przez hiszpańskie okręty, a kiedy proponowano mu, by się poddał, nie chciał słuchać, tylko dalej się bił na po łamanym pokładzie, bez masztów i żagli. Tamten Grenvile miał dość męstwa, by raczej zginąć na roztrzaskanym okręcie, niż sprzedać życie za srebro pirackim hordom Hiszpanów. - Umilkł i przez chwilę przyglądał się gołębiom na trawniku. Potem założył do tyłu ręce i mówił dalej: - Mój stryj John

wybrał się z sir Francisem Drakiem na wyprawę do Indii. On także wyróżniał się odwagą. Wśród tamtych młodych wilków, które zmagaly się z zimowymi sztormami na Atlantyku, w poszukiwaniu nowych lądów, nie było miejsca dla słabeuszy. Wypływali na kruchych łupinach, zdani na łaskę wiatrów i oceanów, ale widać owa szczypta morskiej soli, jaką musieli mieć w żyłach, dodawała im śmiałości i męstwa. Stryja zabito właśnie w Indiach, a mój ojciec, który go bardzo kochał, uczcił pamięć brata, budując w Stowe kaplicę.

Nikt z nas nie odezwał się ani słowem. Gartred leżała na sofie z rękami pod głową, Dick nadal tkwił nieruchomo w swym kącie.

- To z tamtych czasów pochodzi powiedzenie, że Grenville'owie zawsze są wierni swemu królowi. Tak nas wychowano, mych braci i mnie, a myślę, że i Gartred dobrze zapamiętała te wieczory w gabinecie ojca w Stowe. Nasz ojciec, chociaż nie parał się żołnierką, bo wypadło mu żyć w czasach pokoju, czytał nam często z wielkiej księgi z żelaznymi okuciami historie dawnych wojen i opisy walecznych czynów przodków.

Nad ogrodem ukazała się samotna mewa. Białe skrzydła połyskiwały na tle głębokiego błękitu nieba, a ja nagle przypomniałam sobie trójpalczaste mewy ze Stowe, unoszone na falach wzburzonego Atlantyku tuż pod dworem Grenville'ów.

- Mój brat Bevil - ciągnął Richard - ogromnie kochał swą rodzinę i dom. Nie miał pociągu do wojaczki. Przez całe swe krótkie życie nie pragnął niczego poza spokojnym gospodarowaniem na wsi u boku żony i dzieci, w otoczeniu zaprzyjaźnionych sąsiadów. Ale kiedy wybuchła wojna, zrozumiał, co dlań oznacza, i nie schował głowy w piasek.

Owszem, nienawidził walki i rozlewu krwi, lecz nosił nazwisko Grenvile i w 1642 roku wiedział, jaki jest jego obowiązek. Napisał wówczas list do swego przyjaciela i sąsiada Johna Trelawneya, którego dziś aresztowano. Uważam, że ów list to najpiękniejsza rzecz, jaka wyszła spod pióra mego brata, toteż poprosiłem Trelawneya o jego odpis. Mam go przy sobie i zaraz wam przeczytam.

Milczeliśmy. Richard sięgnął do kieszeni i wyciągnawszy kartkę papieru, zaczął czytać:

- „*Nie wolno mi zamykać się w domu, kiedy sztandar Króla Anglii powiewa nad polem bitwy w tak słusznej sprawie. Sprawa ta jest tak wielkiej wagi, że każdy, kto za nią zginie, zasłuży sobie na miano męczennika. Co się tyczy mojej osoby, to nie pragnę niczego więcej, jak tylko okryć sławą nasze nazwisko lub zginąć z honorem. Nigdy nie cenilem życia ani jego uroków tak bardzo, żeby z tego powodu unikać wojny. Gdybym to uczynił, nie byłbym godzien swej pozycji i sprzeniewierzyłbym się pamięci przodków, którzy przez całe stulecia tak licznie ofiarowywali życie za ojczyznę*”. - Złożył list i schował go do kieszeni.

- Bevil zginął pod Lansdowne, prowadząc swych ludzi do boju, a wtedy jego syn Jack, wówczas zaledwie piętnastoletni, wsiadł na ojcowego konia i ruszył na wroga. Ten młodzieniec, który właśnie nas opuścił, Bunny, uciekł jesienią swemu wychowawcy, żeby oddać się na moje rozkazy i szpadą przysłużyć się sprawie, która jest nam wszystkim droga. O sobie nie mam nic do powiedzenia. Jestem żołnierzem, mam wiele wad i zaledwie kilka zalet. Ale żadne waśnie, żadne spory, żadne głupie akty zemsty nigdy mnie nie odwiodły i nie odwiodą od lojalności wobec mego kraju i mego króla. W długiej i często krwawej historii rodu Grenvile'ów nikt, jak dotąd, nie okazał się zdrajcą. -

Głos mu zamierał i stawał się coraz cichszy, rzekłbyś - śmiertelnie cichy. Gołębie od leciały z trawnika, w zdziaczalym parku niestrudzenie brzęczały pszczoły.

- Miejmy nadzieję, że pewnego dnia Jego Królewska Mość odzyska swój tron, a nawet, jeśli nie, to jego miejsce zajmie książę Walii. Gdy nastanie ów dzień chwały i jeśli go dożyjemy, imię Grenville'ów okryje się sławą nie tylko w Kornwalii, ale w całej Anglii. Mimo mych licznych wad znam się nieźle na ludzkich charakterach i wiem, że mój bratanek Jack okaże się tak samo wielkim mężem w czasie pokoju, jak teraz, w czasie wojny, a i młody Bunny nie pozostanie daleko w tyle. Po latach będą mogli powiedzieć swym synom: „My, Grenville'owie, walczyliśmy do ostatka, by przywrócić tron naszemu królowi”, a ich imiona zostaną wpisane do owej wielkiej księgi w Stowe, obok imienia mego dziada Richarda, który walczył na „Zemście”.

- Umilkł na chwilę, po czym ciągnął jeszcze ciszej: - Nie obchodzi mnie, że moje własne imię będzie tam zapisane małymi literami. Wystarczy krótka notatka: „Żołnierz, generał Jego Królewskiej Mości na Zachodzie”. Niech to będzie moje epitafium. Ale następny Richard Grenville nie pojawi się już w rodzinnej księdze. Ponieważ generał Jego Królewskiej Mości zmarł, nie pozostawiając po sobie syna.

Zapadła długa cisza. Richard nie ruszył się od okna, ja zastygłam w fotelu z rękami splecionymi na kolanach. Zaraz się zaczęło, myślałam. Wybuch gniewu, trwożne okrzyki, może rozpaczliwy płacz. Przez osiemnaście lat burza wisiała na włosku, ale teraz fala emocji tak wezbrała, że nie dało się jej dłużej utrzymać. To nasza wina, nasza, nie jego. Gdyby Richard był bardziej pobłażliwy, a ja mniej dumna... Gdyby nasze serca przepełniała miłość, nie nienawiść... Gdyby niebiosa dały nam więcej zrozumienia... Za późno. Za późno

o całe dwadzieścia lat. Kozioł ofiarny płacący za nasze winy nie umknie już swemu przeznaczeniu...

Ale krzyk, którego oczekiwałam, wcale się nie rozległ, nie popłynęły też łzy. Dick wyszedł ze swego kąta i zatrzymał się na chwilę w samym środku galerii. W jego ciemnych oczach nie było widać strachu, szczupłe ręce przestały drżeć. Wyglądał teraz na starszego niż dotąd, dojrzalszego i mądrzejszego, zupełnie jakby w czasie przemówienia jego ojca minęły całe lata.

- Co mam teraz zrobić? - odezwał się głosem, który mimo wszystko nadal miał młodzieńcze brzmienie. - Sami zadacie mi cios czy muszę zrobić to sam?

Pierwsza poruszyła się Gartred. Gartred, mój wróg niemal od zarania życia. Podniosła się z sofy, naciągnęła woal na twarz i podeszła do mego fotela. Nie mówiąc ani słowa, wywiozła mnie z pokoju do ogrodu, na słońce. Odwrócone tyłem do domu, milczyliśmy nadal, ponieważ nie było nic do powiedzenia. I ani ona, ani ja, ani też żadna inna żywa istota nie dowiedziała się nigdy, o czym Richard Grenville rozmawiał ze swym synem w długiej galerii dworu Menabilly.

Tegoż wieczora na zachodzie wybuchło powstanie. Nie było sposobu, aby ostrzec rojalistów z Helston i Penzance, że wodzowie ze wschodu zostali aresztowani i cała operacja spełzała na niczym. O wyznaczonej godzinie spiskowcy ruszyli do boju i stanęli oko w oko nie z zaskoczonym oddziałem, jak tego oczekiwali, ale z wojskiem w pełni przygotowanym i uzbrojonym, ściągniętym do Kornwalii specjalnie w tym celu. Francuska flota nie wypłynęła z przelotu z wysp Scilly, nie wysadziła w Lands End i Lizard posiłków. Pod Dodman i Nare nie wylądowało

dwadzieścia tysięcy żołnierzy. A wodzowie, którzy mieli przyjechać na zachód, siedzieli przykuci do siebie kajdanami, ręka w rękę, w garnizonie w Plymouth. Zabrakło Trelawneyów, Arundellów, Trevanniona, Bassetta. To, co miało stać się zarzewiem dla całej Anglii, okazało się tylko nikłym płomyczkiem, który zabłysnął w wilgotnym powietrzu Kornwalii na jedną, jedyną chwilę i w dodatku na próżno. Kilka sklepów splądrowanych w Penzance... Parę domów w Mullion... Jedna bezładna, szalona szarża na Goonhilly Down, gdzie nikt nie wiedział, dokąd gna i o co walczy... Wreszcie ostatni, beznadziejny opór przy Mawgan Creek; oddziały parlamentu zepchnęły tam źle dowodzonych rojalistów w najeżoną głazami przepaść do głębokiej rzeki Helford.

Rebelia 1648 roku. Boże, daj, żeby to już ostatnia na kornwalijskiej ziemi... Trwała raptem tydzień, ale dla tych, którzy cierpieli i umierali, przeciągnęła się na całą wieczność. Bitwy toczyły się na zachód od Truro, więc my, w Menabilly, nawet nie powąchaliliśmy prochu. Ale wszystkie drogi i boczne ścieżki były pilnie strzeżone i nawet nikt ze służby nie odważył się wymknąć na zewnątrz. Zaraz pierwszego wieczora pojawił się pułkownik Robert Bennett (nasz dawny sąsiad z okolic Looe) na czele kompanii żołnierzy i kazał dokładnie przeszukać cały dom. Nie zna leżli nikogo poza mną i Gartred. Pułkownik nie miał pojęcia, że jeszcze dziesięć minut wcześniej miał szansę na zdobycie wyznaczonej nagrody.

Mam teraz przed oczami Richarda, jak siedzi z założonymi rękami w jadalni, sam jeden wśród pustych krzesel, głuchy na me błagania.

- Niech mnie biorą - oświadczył. - Ja jestem



wszystkiemu winien, to przeze mnie cierpią teraz moi przyjaciele. No i bardzo dobrze. Niech się nade mną pastwią, nawet w najgorszy sposób, może dzięki temu zdołam jeszcze uratować Kornwalię od zagłady.

Gartred, znowu opanowana i spokojna, wzruszyła z pogardą ramionami.

- Czy już nie za późno na odgrywanie męczennika? Co ci to teraz da? Pochlebiasz sobie, braciszku, jeśli sądzisz, że jeden Grenvile wystarczy, aby uratować tamtych od więzienia i śmierci. Nie znoszę tych wszystkich wielkich gestów, owych pożegnań na zawsze. Bądź mężczyzną, uciekaj, obaj uciekajcie, tak jak Bunny.

- Ładnie będziemy wyglądali na szafocie, Dick i ja. Mam szyję cokolwiek grubszą od niego, więc trzeba będzie rąbnąć ze dwa razy, bo raz nie wystarczy.

- Nie masz, co liczyć na przyjemność publicznego widowiska - osadziła go Gartred, tłumiąc ziewnięcie. - Nie będzie żadnej męczeńskiej śmierci, tylko ciemny loch i strycek na szyję. Raczej niezwykły koniec jak dla Grenvilea.

- Rzeczywiście byłoby lepiej, gdyby akurat ci Grenvile'owie zgineli po cichu.

Nikt się na to nie odezwał. Dopiero po dłuższej chwili przemówili Dick - po raz pierwszy od tamtej pamiętnej sceny w galerii.

- A co będzie z Rashleighami? Jeśli nieprzyjaciel znajdzie tu ojca i mnie, jak udowodnimy, że są niewinni?

Uczepiłam się tych słów jak tonący, który chwyta się nawet słomki.

- Widzisz? Nie pomyślałeś o tym! Nie zastanowiłeś się ani przez chwilę, co się z nimi stanie. Kto uwierzy, że Jonathan i John nie należeli do spisku? Ich nieobecność w Menabilly to żaden dowód. Będą wciągnięci do sprawy i oni,

i Mary, Biedna Alice, biedna Joan i ta gromadka dzieci! Wszyscy, począwszy od Jonathana w Londynie, a skończywszy na maleństwie Joan, pójda do więzienia, a może i na śmierć!

W tym momencie do jadalni wpadł przerażony służący.

- Lepiej, żeby państwo wiedzieli - wołał, załamując ręce. - Właśnie przybiegł chłopak z parku, na wzgórzu Polmear zbiera się wojsko! Część schodzi do Polkerris, reszta maszeruje na Tregaminion i w stronę bramy!

- Dziękuję - rzekł Richard. - Jestem ci bardzo zobowiązany.

Sługa wypadł za drzwi, zapewne pobiegł do swej izdebki udawać chorego.

Richard wolno podniósł się z miejsca i spojrzał mi w twarz.

- Więc obawiasz się o swych Rashleighów, tak? I właśnie, dlatego nie zyczysz sobie widzieć, jak rzucam się wilkom na pożarcie? Dobrze, niech tak będzie. Tym razem pójde ci na rękę. Gdzież jest owa słynna kryjówka, która cztery lata temu okazała się tak zbawienna?

Dick drgnął i odwróciwszy się ode mnie, spojrzał na ojca.

- Dick wie - odrzekłam. - Czy zechcesz udać się tam razem z nim?

- Ścigany szczur nie ma wyboru, musi się zgodzić na każde towarzystwo, jakie mu narzucają.

Jak obecnie wyglądała owa celka, nie miałam pojęcia. Pewnie zarosła pajęczynami, pewnie czuć tam stęchlizną i pleśnią... Mniejsza o to. Najważniejsze, że znajdą tam schronienie, zanim pojawią się prześladowcy. I nikt, nawet Gartred, nie zna sekretu.

- Pamiętasz - zwróciłam się do Dicka - dokąd prowadzi ten tunel? Tylko ostrzegam cię, od czterech lat nikt tamtędy nie wchodził.

Skinał głową, śmiertelnie blady. Zastanawiałam się, co za giez strachu go ukąsił, skoro jeszcze godzinę temu sam gotów był iść na rzeź niczym jagnię.

- Idź, więc i pokaż ojcu drogę. Ale natychmiast, póki jeszcze jest czas.

Podszedł wtedy do mnie, wyraźnie zachwiany w swej nowo nabytej odwadze, tak bardzo podobny do tamtego chłopca, który niegdyś mnie kochał, że aż serce mi się do niego rwało.

- A sznur? - zapytał. - Ten sznur, którym odsuwało się kamień. Co będzie, jeśli zbutwiał ze starości albo, jeśli zawias zardzewiał?

- To teraz nie ma znaczenia, nie będziecie go potrzebowali. Tym ra zem nie będę na was czekała w pokoju na górze.

Spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc, zaskoczony i otepiały. Myślę, że w tym ułamku sekundy znów poczuł się dzieckiem. Ale Richard zaraz przerwał ów czar swym szorstkim, tubalnym głosem:

- No? Jak iść, to zaraz. Nie ma innej ucieczki.

Dick wciąż nie odrywał ode mnie wzroku, w którym pojawił się teraz jakiś nowy, nieznan mi wyraz. Dlaczego tak na mnie patrzył? A może widział nie mnie, tylko kogoś innego, może to jakaś zjawą z zamierzchłej przeszłości dotknęła jego ramienia?

- Tak. Jak iść, to zaraz... - powtórzył z wolna. Obrócił się do Richarda i otworzył drzwi. - Pozwólcie za mną, ojcze.

Ten zatrzymał się na chwilę w progu. Spojrzał najpierw na Gartred, potem zaś na mnie.

- Kiedy nadciąga sfera, a jamy są obstawione, rudy lis chowa się pod ziemią.

Uśmiechnął się, wytrzymując przez chwilę mój wzrok, po czym odszedł za Dickiem ku grobli. Gartred patrzyła za nimi, póki nie zniknęli jej z oczu, i nagle wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że ta kryjówka jest w domu? Koło twej dawnej komnatki nad bramą?

- Naprawdę?

- Ileż godzin zmarnowałam cztery lata temu, myszkując po korytarzach i czając się pod twymi drzwiami!

Przy oknie wisiało lustro. Gartred podeszła do niego i zsunęła woal. Głęboka czerwona szrama o poszarpanych brzegach biegła od łuku brwiowego do podbródka, niszcząca na zawsze gładki zarys twarzy. Śledziłam jej wzrok i ona to widziała, mimo niewyraźnego odbicia w niewielkiej tafli zwierciadła.

- Mogłam cię wtedy zatrzymać, wiesz? Mam na myśli twój upadek z konia. Zawsze o tym wiedziałas, prawda?

- Tak.

- Wołałaś do mnie, pytałaś o drogę, a ja ci nie odpowiedziałam.

- Nie odpowiedziałas.

- Dużo wody upłynęło... Teraz można powiedzieć, że jesteśmy kwita. - Odeszła od lustra i wyjęta z woreczka talię małych kart, które tak dobrze pamiętałam. Usiadła przy stole, tuż obok mego fotela, i rozłożyła je obrazkami do dołu. - Póki nie przyjdą żołnierze, postawimy sobie? pasjansa.

Nawet gdyby pułkownik Bennett przeszukał całą Kornwalię, nie znalazłby dwóch innych tak spokojnych kobiet jak te, które grały wówczas w karty w sali jadalnej dworu Menabilly. Jedna miała wielką bliznę na twarzy i srebrne włosy, druga była bezradną kaleką. O tak, aż do dzisiaj miałyśmy gości - odwiedził nas pasierb pana domu, sir Peter Courtney, a także mój brat Robin Harris. Nie, nic nie wiemy o ich poczynaniach. Przyjechali i odjechali, kiedy im przyszła ochota. Owszem, podobno pan Trelawney wpadł raz z wizytą, ale nie widziałyśmy się z nim. Czemu Rashleighowie zostawili mnie samą w Menabilly? Stało się tak nie z ich wyboru, tylko z konieczności. Może nie pamiętacie, pułkowniku, że mój dom w Lanrest został spalony cztery lata temu, i to, jak słyszałam, z pańskiego rozkazu. Dziwna to przysługa jak na sąsiada. Dlaczego pani Denys z Orley Court gości u mnie teraz? No cóż, kiedyś była moją bratową, przyjaźnimy się od dawna... Owszem, niegdyś łączono moje imię z sir Richardem Grenville'em. Plotkowano o tym w całym Zachodnim Kraju, a nawet w Whitehall... Nie, pani Denys nigdy nie żyła w przyjaźni ze swym bratem. Nie, nie mamy pojęcia, co się z nim dzieje. Mówiono nam, że przebywa w Neapolu. Proszę bardzo, możecie przeszukać dom od strychu do piwnic i przyległe tereny także. Oto klucze. Proszę robić, co wam się podoba, przecież nie mamy siły, by się sprzeciwiać. Menabilly nie do nas należy, jesteśmy tylko gośćmi państwa Rashleighów pod ich nieobecność...

- Cóż, panno Harris, chyba mówicie prawdę - powiedział na zakończenie wizyty pułkownik (dawno temu,

jako nasz sąsiad, zwracał się do mnie po imieniu). - Ale wasz brat razem z Peterem Courtneyem są zamieszani w bunt, które właśnie rozgorzał w Helston i w Penzance, więc nic dziwnego, że podejrzenie padło i na ten dom. Zostawię tu teraz strażę, a kiedy przyjedzie sir Hardress Waller, z pewnością przeszuka posiadłość dokładniej, ja mam za mato czasu. A teraz... - Urwał nagle i wrócił wzrokiem do Gartred, jakby wiedziony ciekawością. - Wybaczcie, pani, moją niedelikatność, ale czy to świeża rana?

- To był wypadek. Jeden niezręczny ruch, stłuczone szkło...

- Ale chyba... nie własną ręką?

- Co jeszcze zasugerujecie?

- Bo... wybaczcie zuchwałość, wygląda to raczej na cięcie szpady. Gdyby chodziło o mężczyznę, powiedziałbym, że to cios zadany w pojedynku.

- Nie jestem mężczyzną, pułkownika Bennett, czyżbyście w to wątpili? Możemy zaraz pójść na górę, gdzie postaram się was ostatecznie przekonać.

Robert Bennett był purytaninem. Cofnął się o krok, czerwony po same uszy.

- Dziękuję - odrzekł sztywno. - Wystarczy mi to, co widzę.

- Gdyby awanse przyznawano za galanterię, bylibyście jeszcze szeregowcem. W całej Kornwalii i Devonie nie ma drugiego oficera, który odmówiłby udania się do sypialni z Gartred Denys.

Wzięła karty do rąk, jakby chciała je rozdać na nowo, lecz pułkownik ją powstrzymał.

- Przykro mi, ale dziś nie obchodzi nas, czy nosicie nazwisko Denys czy Harris. Ważne, że jesteście dawną panną Grenville.

- Tak? I co z tego? - rzuciła Gartred, tasując karty.

- To, że muszę was prosić, abyście pojechali ze mną do Truro i pozostali tam, dopóki nie zakończymy dochodzenia. Potem, kiedy na drogach będzie spokojniej, wróćcie do Orley Court.

Gartred wrzuciła karty do woreczka i wolno podniosła się z krzesła.

- Jak sobie życzycie - rzekła, wruszając ramionami. - Znajdzie się chyba dla mnie jakiś pojazd, gdyż nie mam tu stroju do konnej jazdy?

- Zapewnimy wam wszelkie wygody. - Następnie zwrócił się do mnie: - Wy, pani, możecie tu zostać, póki nie otrzymam dalszych rozkazów od sir Hardressa Wallera. Powinny nadejść już rano. Muszę jednak prosić, abyście byli w każdej chwili gotowi do wyjazdu, rozumiecie? To doskonale. Zostawię strażę przed domem. W razie jakichkolwiek podejrzeń mają rozkaz strzelać. Do widzenia. Możemy iść, pani Denys?

- Tak, jestem gotowa. - Dotknęła lekko mego ramienia. - Przykro mi, że muszę skrócić wizytę. Pozdrów ode mnie Rashleighów, kiedy wrócą. I powtórz Jonathanowi, co mówiłam o ogrodach. Jeśli chce mieć ładne kwiaty, musi najpierw wytepić lisy.

- To nie takie proste - odrzekłam. - Trudno je wyłapać, zwłaszcza gdy się kryją pod ziemią.

- Więc trzeba je wykurzyć. To jedyny sposób na lisa. Zróbcie to w nocy, wtedy tak nie śmierzają. Do widzenia. Honor.

- Do widzenia.

Odrzuciła z twarzy woal, ukazując szramę w całej okazałości, po czym wyszła. Więcej jej nie widziałam.

Słyszałam, jak wyjeżdżali z dziedzińca i ruszyli

galopem przez park. Wartownicy z muszkietami u boku stali przy obu wejściach, a także przy głównej bramie i stopniach prowadzących na groblę. Przyglądałam im się przez czas jakiś, po czym pociągnęłam za sznur dzwonka, że by przywołać Matty.

- Spytaj ich, czy pułkownik Bennett pozwolił mi zażywać przejażdżki po parku?

Wróciła po chwili z wiadomością, której się obawiałam.

- Przykro im, ale pułkownik wydał ścisłe rozkazy. Nie wolno wam opuszczać domu.

Popatrzyłyśmy po sobie. W głowie miałam istny mętlik - jedna myśl goniła za drugą.

- Która godzina? - spytałam.

- Prawie piąta.

- Cztery godziny dziennego światła.

- Właśnie.

Z okna jadalni widziałam wartownika, odmierzającego równe kroki przed bramą południowego ogrodu. Niekiedy przystawał, aby się rozejrzeć albo zamienić kilka słów ze swym kompanem przy grobli. Słońce wciąż jeszcze stało wysoko, odbijając się w lufach muszkietów.

- Zabierz mnie na górę, Matty.

- Do waszej sypialni, panienko?

- Nie. Do izdebki nad bramą.

Nie byłam tam przez całe dwa lata mego pobytu w Menabilly. Zachodnie skrzydło nadal stało puste, nietknięte od czasu, gdy splądrowali je rebelianci. Na ścianach ani śladu obić, w pokoju ani łóżka, ani krzesła czy stołu. Przez oblużowaną okiennicę wpadała nikła smuga światła. Pokój cuchnął trupią zgnilizną, w kącie leżał biały szkielet szczura. W całym skrzydle panowała śmiertelna cisza, z



opustoszałych pomieszczeń kuchennych na dole także nie dobiegał żaden dźwięk.

- Podejdź do kamienia - szepnęłam do Matty. - Spróbuj go po pchnąć.

Matty posłusznie przyklękła na podłodze, ale choć pchała z całej siły, kamień ani drgnął.

- Nic z tego - mruknęła. - Mocno siedzi. Zapomnieliście panienko, że to się otwiera tylko z jednej strony?

Czy zapomniałam? To jedno pamiętałam najlepiej... Wykurzyć, powiedziała Gartred. To jedyny sposób. Tak, ale ona nie wiedziała, o co tu chodzi. Myślała, że kryjówka znajduje się gdzieś w lesie, a nie za grubym na trzy stopy murem...

- Przynieś drewno i papier. Rozpal ogień. Nie w kominku, tylko tu taj, pod ścianą.

To była szansa - słaba, ale zawsze... Dym mógł przeniknąć do środka przez szpary, dać sygnał. Ale mogli też siedzieć w drugim końcu tunelu, pod letnim pawilonem.

Jak ona się guzdrze, ta Matty, poczciwa, zawsze wierna Matty. Jak starannie układa siano i suche gałązki, jak ostrożnie dmucha w żar, jak skrupulatnie dodaje szczapkę po szczapce.

- Pośpiesz się! - krzyczę. - Daj więcej drewna, niech porządnie buzuje!

- Cierpliwości - szepcze ona. - Wszystko w swoim czasie.

W swoim czasie. Nie w moim ani Richarda...

Pokój wypełnia się dymem. Szczypie nas w oczy, snuje się koło okien, ale czy wciska się między kamienie? Trudno powiedzieć. Mat ty podchodzi do okna, poszerza szparę o dwa cale. Ja szturcham bezradnie ogień długim

kijem, popycham drewnienka pod ścianę z przyporą.

- Czterech konnych jedzie przez park - mówi nagle Matty. - Żołnierze, tacy sami jak ci, co już tu są.

Ręce miałam mokre od potu. Odrzuciłam mój bezużyteczny kij i otarłam piekące i zaczerwienione oczy. Myślę, że przez całych trzydzieści osiem lat życia nie byłam bliższa paniki bardziej niż w tym właśnie momencie.

- O Boże! - szepnęłam. - Co robić?

Matty zamknęła cicho okno i zdeptała resztki żaru.

- Wracamy do waszego pokoju. Później, nocą, spróbuję jeszcze raz, ale teraz nie mogą nas tu znaleźć.

Wyniosła mnie w swych szerokich ramionach z ciemnej, zatechłej izby, a potem przez moją dawną sypialnię nad bramą, korytarz i schody dotarłyśmy na dół, do wschodniego skrzydła, gdzie teraz mieszkalam. Ułożyła mnie na łóżku i przyniosła wodę, bym mogła umyć ręce i twarz.

Jeźdźcy wjechali już na dziedziniec i niebawem usłyszałyśmy ich kroki. Obojętny wobec ludzi i zdarzeń zegar wybił szóstą, podkreślając każdą idiotyczną nutę z mechaniczną precyzją. Matty wyszczotkowała mi włosy, usuwając przy okazji resztki sadzy, zmieniła mi też suknię. Ledwie skończyła, rozległo się pukanie. Przerażony służący wykrztusił, że panna Harris proszona jest na dół. Wsadzili mnie razem na fotel i znieśli. Matty mówiła przedtem o czterech jeźdźcach, ale w bocznym hallu stało tylko trzech. Patrzyli przez okno na ogród, rzucając od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w moją stronę, gdy Matty ze służącym wwozili mnie do jadalni. Tam, przy kominku, stał, wsparty na lasce, czwarty przybysz. Ale to nie był żaden rebeliancki żołnierz, tylko mój szwagier Jonathan Rashleigh.

Na chwilę zaparło mi dech ze zdumienia. Potem przyszło uczucie ulgi, oszołomienie, aż wreszcie ogarnęła

mnie taka słabość, że zaczęłam płakać. Jonathan ujął mnie za rękę i trzymał ją bez słowa. Po paru mi nutach udało mi się opanować i dopiero wtedy, patrząc mu w twarz, zobaczyłam, co te wszystkie lata zeń zrobiły. Czy naprawdę minęły tylko dwa, a nie dwadzieścia? Liczył sobie wówczas, jak sędzę, około pięćdziesięciu ośmiu lat, a wyglądał na siedemdziesiąt. Włosy zbieleły mu zupełnie, ramiona, niegdyś szerokie, skurczyły się i przygarbiły, oczy wydawały się znacznie głębiej osadzone niż dawniej.

- Co się stało? - spytałam. - Dlaczego wróciłeś?

- Spłaciłem dług. - Głos także mu się zmienił.

Jonathan mówił teraz powoli, z wysiłkiem, niczym znużony starzec.

- Jestem czysty, nie mam żadnych zobowiązań, więc mogłem wrócić do Komwalii.

- Wybrałeś sobie zły moment.

- Wiem, ostrzegano mnie.

Ze spojrzenia, jakie mi rzucił, zrozumiałam, że również należy do spisku.

Że wszyscy ci, którzy niczym rabusie zakradali się do tego do mu, robili to za jego przyzwoleniem, on sam zaś, choć więzień, ryzyko wał dla nich życie.

- Przyjechałeś łodem?

- Nie, morzem. Na moim własnym statku „France”, który, jak może pamiętasz, kursuje między Fowey a kontynentem.

- Owszem, pamiętam.

- Dzięki zyskom za towary, jakie przewoził, spłaciłem długi. Tydzień temu, gdy tylko Komitet Hrabstwa pozwolił mi wrócić do Fowey, „France” zabrała mnie z Gravesend. Przybiliśmy do portu przed paroma godzinami.

- Mary jest z tobą?

- Nie, wysiadła w Plymouth, żeby zobaczyć się z Joan w Mothercombe. Tamtejsza straż powiedziała nam, iż obawiają się wybuchu powstania i wojsko ciągnie w wielkiej sile, by je stłumić. Bałem się o wasze bezpieczeństwo, więc co prędzej ruszyliśmy do Fowey.

- Ale wiesz, że Johna tu nie ma? Że jestem... sama?

- Owszem, wiedziałem, że jesteś... sama.

Oboje utkwiliśmy wzrok w podłodze.

- Aresztowali Robina - odezwałam się po chwili. - I obawiam się, że Petera także.

- Wiem, strażnicy mi powiedzieli.

- A ciebie o nic nie podejrzewają?

- Jeszcze nie - odparł dziwnym tonem.

Zauważyłam, że patrzy w okno, ale widok zasłaniały mu szerokie bary wartownika. Potem wolnym ruchem wyciągnął z kieszeni złożony papier. Po rozwinięciu okazało się, że jest to list gończy, taki, który wieszają na murach, kiedy szukają zbiegłego zbrodniarza. Jonathan mi go przeczytał:

- „Każdy, kto kiedykolwiek udzielił lub udzieli w przyszłości schronienia złoczyńcy znanemu jako Richard Grenville, zostanie aresztowany pod zarzutem zdrady stanu, dobra jego ulegną konfiskacie na zawsze, a rodzina trafi do więzienia”. - Składając z powrotem papier, dodał: - Porozwieszano to na murach wszystkich kornwalijskich miast.

Na chwilę zabrakło mi słów.

- Przecież nie dalej jak dwie godziny wcześniej przeszukiwali ten dom. Nikogo nie znaleźli.

- Na pewno wróca tu rano - odrzekł Jonathan.

Wrócił na swoje miejsce przy kominku i stał tam, wsparty na lasce, przez dłuższy czas, pogrążony w myślach.

- „France” - odezwał się wreszcie - zostanie w Fowey tylko przez noc. Rano, gdy zacznie się przyptyw, wyrusza do Holandii.

- Do Holandii?

- Zabiera lżejszy ładunek aż do Flushing. Kapitan to uczciwy człowiek, mogę na nim polegać w każdej sprawie. Przyjął już na pokład młodą pannę, którą mógłbym nazwać moją krewniaczką. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, wysiadłaby razem ze mną w Fowey, ale los i okoliczności zdecydowały inaczej. Dlatego popłynię do Flushing wraz z tym ładunkiem.

- Nie rozumiem - zauważyłam po namyśle - co ta młoda dama ma wspólnego ze mną. Niech sobie płynie do Holandii, czemu nie?

- Byłaby spokojniejsza, gdyby miała przy sobie ojca.

Nadal nie docierało do mnie znaczenie jego słów. Ależ byłam ślepa... Jonathan sięgnął do kieszeni i wręczył mi list. Otworzywszy go, przeczytałam kilka zdań napisanych niewprawną ręką młodej osoby.

*Jeśli nadal potrzebujecie córki na osłodę podeszłego wieku, to znajdziecie ją na pokładzie statku „France”. Powiadają, że w Holandii powietrze jest zdrowsze niż w Anglii. Czy zechcecie się o tym przekonać w moim towarzystwie? Matka data mi na chrzcie imię „Elizabeth”, ale wolę podpisać się po prostu*

*Wasza córka Bess.*

Milczałam przez chwilę, ale nie wypuszczałam z rąk listu. Mogła bym zadać setki pytań, gdybym miała po temu czas... i ochotę. Zwykle babskie pytania, takie, na które moja siostra Mary chętnie by odpowiedziała i które by zrozumiała.

Czy jest ładna? Miła? Czy ma jego oczy, usta, rude włosy? Czy potrafi zrozumieć zły humor samotnego człowieka? Albo śmiać się razem z nim, gdy będzie mu wesoło? Ale żadne z tych pytań nie wydało mi się w tamtym momencie stosowne. Przecież nigdy jej nie zobaczę, więc to nie moja sprawa.

- Dałeś mi ten liścik - powiedziałam do Jonathana - w nadziei, że oddam go jej ojcu.

- Owszem - przyznał i znów zerknął na plecy strażnika. - Mówiłem ci już, że „France” wypływa o świcie. Na wysokości Pridmouth spuścimy łódź po kociołki z homarami zatopione między brzegiem a Cannis Rock. O tej porze można z łatwością zabrać i pasażera...

- Tak, gdyby tam był.

- To już twoja sprawa.

Odgadł, więc, że Richard ukrywa się w izdebce wbudowanej w przyporę. Tyle przynajmniej mogłam wyczytać z jego oczu.

- Wartownicy pilnują grobli.

- Ale tylko z jednej strony.

- To wielkie ryzyko. Nawet nocą, nawet o szarym świcie.

- Owszem, wielkie. Ale sądzę, że osoba, o której mówimy, jest tego warta. - Znów wyciągnął z kieszeni list gończy. - Przy okazji może pokażesz mu i to. Wzięłam w milczeniu papier i schowałam w fałdach sukni.

- Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.

- Jaką mianowicie?

- Żebyś zatarła wszelkie ślady. Ci, którzy przyjdą tu jutro, będą sprytniejsi od ludzi pułkownika Bennetta. To prawdziwe psy gończe, specjalnie wytresowane do tego typu zadań.

- W domu niczego nie znajdują, sam o tym wiesz

najlepiej. Twój ojciec wykazał się wielkim sprytem, kiedy budował ten dwór.

- Ale od zewnątrz nasz sekret nie jest już taki bezpieczny. Daję ci wolną rękę, możesz dokończyć tego, co rebelianci zaczęli w czterdziestym czwartym roku. Letni pawilon nie będzie mi więcej potrzebny.

Tak, teraz zrozumiałam jego znaczące spojrzenie.

- Drewno przy suchej pogodzie pali się błyskawicznie - ciągnął. - Zostanie kupa kamieni, a w lecie osty i pokrzywy pienią się bujnie na każdym wolnym skrawku. Niech sobie rosną spokojnie choćby do końca mego życia, a może nawet i życia Johna.

- Czemu nie zostaniesz i sam tego nie zrobisz?

Ledwie zdążyłam to powiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i wszedł dowódca trzech żołnierzy, którzy czekali dotąd w hallu.

- Przepraszam - odezwał się od progu - ale rozmawiacie już piętnaście minut, a mieliście pozwolenie na dziesięć. Otrzymałem rozkaz i muszę go wykonać. Czas się żegnać, wracamy do Fowey.

Patrzyłam na niego tępym wzrokiem, czując, iż znów zamiera mi serce.

- Myślałam, że pan Rashleigh jest wolny?

- Żyjemy w kłopotliwych czasach, droga Honor - powiedział cicho Jonathan. - Panowie sprawujący władzę uznali, iż powinienem przebywać pod nadzorem, jeśli nawet nie nazywa się to aresztem. Mam wrócić na noc do mego domu w Fowey. Żałuję, że nie wyraziłem się dość jasno. - Odwrócił się do żołnierza. - Winienem wam wdzięczność, iż mogłem porozmawiać ze szwagierką. Jest delikatnego zdrowia i bardzo się o nią martwimy.

I nie mówiąc już ani słowa, wyszedł. Zostałam z

kartką w rękę i listem gończym w fałdach sukni. Teraz od sprytu i mądrości Honor Harris zależało życie nie tylko Richarda i jego syna, ale całej rodziny Rashleighów.

Czekałam na Matty, lecz nie przychodziła. Wreszcie straciłam cierpliwość i szarpnęłam za sznur dzwonka. Wystraszony służący przybiegł w te pędy i powiedział, że szukali Matty w kuchni i izdebce, ale nigdzie jej nie ma.

- Mniejsza o to - westchnęłam i zaczęłam przewracać kartki w książce, udając, że czytam.

- Czy mam przynieść obiad, proszę pani? Jest prawie siódma, dawno minęła wasza zwykła pora.

- Owszem, proszę podawać - zgodziłam się łaskawie. Wpatrywałam się pilnie w książkę, ale tak naprawdę liczyłam godziny do zapadnięcia ciemności i z bijącym sercem myślałam, co też się dzieje z Matty. Zjadłam kawałek mięsa, napiłam się wina, nie czując w ogóle ich smaku. Siedziałam sama jak palec w wyłożonej ciemną boazerią sali, ze ścian patrzyli na mnie surowym wzrokiem stary John Rashleigh i jego żona. Zapadał zmierzch. Cienie się wydłużały, po niebie sunęły grube zwały chmur.

Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie skrzypnęły drzwi. Obróciłam się w fotelu i znalazłam się oko w oko z Matty. Suknię miała zabrudzoną ziemią i zielskiem. Przyłożyła palec do ust i nic nie mówiąc, przeszła przez pokój, żeby pozamykać okiennice. Dopiero gdy uporała się z ostatnią, rzuciła cicho przez ramię:

- Całkiem niczego sobie ten wartownik przy grobli!

- Naprawdę?

- Zna żonę mego kuzyna z Liskeard.

- Niejedną znajomość oparto na bardziej wątpliwych podstawach. Umocowała haczyk okiennicy i zaciągnęła ciężkie zasłony.



- W parku było trochę wilgotno...

- Zauważyłam.

- ...ale on znalazł osłonięte miejsce pod krzakiem, gdzie mogliśmy spokojnie... pomówić o żonie mego kuzyna. A kiedy zajmował się szukaniem, ja czekałam w letnim pawilonie.

- To zrozumiałe.

Po zaciągnięciu zasłon jadalnia pogrążyła się w mroku. Matty podeszła do mego fotela.

- Podniosłam kamień - powiedziała - i zostawiłam na schodach list. Napisałam, że jeśli sznur jest na swoim miejscu, mogą dziś o północy otworzyć przejście, i że będziemy czekały.

Przywarłyśmy do siebie w ciemności i usłyszałam spokojne, miarowe bicie jej serca.

Leżałam w łóżku na górze od wpół do dziesiątej do kwadrans po pół nocy. Kiedy Matty po mnie przysłała, w domu panowała głucha cisza. Służba spała w swych izdebkach na strychu, a straż tkwiła na posterunkach przed drzwiami i w parku. Słyszałam jak jeden z wartowników chodzi pod mym oknem. Zdrajca księżyc, który nigdy nie stał po stronie ściganych, wznosił się z wolna nad parkowe drzewa. Nie zapaliłyśmy ani jednej świecy. Matty nasłuchiwała chwilę pod drzwiami, a potem wzięła mnie na rękę i poniosła przez długie, kręte korytarze aż na miejsce. Jakże puste wydawały się mijane przez nas splądrowane pokoje, jak oskarżycielsko ciche... Tu, w zachodnim skrzydle nie przyświecał już księżyc, na podłodze nie było widać nawet jednej smugi światła.

W pomieszczeniu, do którego zmierzałyśmy, wciąż jeszcze snuł się dym, a w popiele tliły się iskierki po rozpalonym wczoraj słabym ogieńku. Usiadłyśmy w najdalszym kącie pod ścianą i zamieniłyśmy się w słuch. Cisza aż dzwoniła w uszach - martwa, niesamowita cisza miejsca, w którym od lat nie powstała ludzka noga i nie zabrzmiał ludzki głos. Spokój zapomnianego więziennego lochu, gdzie nie przenika ani jeden promień słońca, a wszystkie pory roku wydają się jednakowe.

Zima, lato, wiosna, jesień - nadejdą i miną, ale nigdy tu, w tej izbie. Tutaj panowała wieczna noc. I kiedy siedząc pod zimnym murem skarpy, myślałam o tym wszystkim, zrozumiałam, że właśnie ciemność najbardziej przerażała biednego, obłąkanego stryja Johna. Może leżał w tym samym miejscu, gdzie teraz siedzę, wyciągając po omacku rękę,

próbując przeniknąć mrok szeroko otwartymi oczami...

Nagle poczułam, że na ramieniu zaciskają mi się palce Matty. Kamień, o który się opierałam, drgnął. Na plecach poczułam znajomy prąd zimnego powietrza, a gdy się obróciłam, ujrzałam ziejącą czeluść i wąskie schodki. Na zardzewiałym zawiasie zaszurał sznur.

Choć z największym utęsknieniem wyczekiwałam owego dźwięku, zabrzmiał w mych uszach złowieszczym niczym wezwanie zza grobu. Matty zapaliła świecę. W smudze nikłego światła na schodach zobaczyłam go wreszcie. Miał twarz zabrudzoną ziemią, a jego ręce, ramiona - cała postać - przypominały trupa, który dopiero co wstał z grobu. Nawet uśmiech wydawał się ponury i upiorny.

- Balem się, że nie przyjdziecie - rzekł Richard. - Jeszcze parę godzin i byłoby za późno.

- Jak to? Dlaczego za późno?

- Tam nie ma powietrza. W tunelu jest tylko tyle miejsca, co dla czołgającego się psa. Nie mam dobrego zdania o budowniczym tego waszego Rashleigha.

Wychyliłam się do przodu, aby zajrzeć dalej. Na samym dole się dział skulony Dick. Wyglądał tak samo upiornie, jak jego ojciec.

- Cztery lata temu było zupełnie inaczej...

- Chodź. - Richard wziął mnie za rękę. - Pokażę ci to. Dozorca musi wiedzieć, dokąd pakuje więźniów.

Wziął mnie na rękę i przeciągnął bokiem przez otwór, a potem zniósł na dół. Wreszcie po raz pierwszy ujrzałam na własne oczy ową sekretną celkę wbudowaną w przyporę. Nie większa od dużej szafy, mogła mieć sześć stóp wysokości i cztery stopy kwadratowe - skrawek przestrzeni ukryty przez całe lata w wilgotnych, lodowatych murach. W kącie stał mały stołeczek, obok niego leżała drewniana miska i łyżka,

pokryte pleśnią oraz grubą warstwą pajęczyn. Pomyślałam o ostatnim posiłku, jaki przed półwieczem jadł tu nieszczęsny szaleniec. Nad stołkiem wisiał zbutwiałym zawiasie, dalej zaś było wejście do tunelu - okrągły czarny otwór o najwyżej osiemnastu calach średnicy, przez który człowiek musiał się precyzyjnie i pełznąć z największym wysiłkiem aż do drugiego wyjścia.

- Nic nie rozumiem - wykrztusiłam, dygocząc. - Dawniej to na pewno tak nie wyglądało. Jonathan nie mógłby tędy przechodzić.

- Musiała osunąć się ziemia. Z fundamentów domu poleciały kamienie i zablokowały tunel, zostawiając tylko niewielki otwór. Myślę, że dawniej, gdy często korzystano z tego przejścia, czyszczono je regularnie i poszerzano kilofem i łopatą. Ale od paru lat nikt tu nie zaglądał i natura upomniła się o swoje. Moi wrogowie mogą nadać mi teraz nowe przezwisko: odtąd będę borsukiem, a nie lisem.

Dick obserwował mnie z pobladłą twarzą. Co chciał mi przekazać tymi czarnymi oczami?

- Zanieś mnie z powrotem - poleciłam Richardowi. - Mam ci coś do powiedzenia.

Na górze, kiedy siedziałam w swym fotelu, oddychając głęboko, wydawało mi się, że nagie deski podłogi i zadymiony sufit to istny raj w porównaniu z ową ciemną norą. Czy naprawdę zmuszałam Dicka, żeby spędzał tam długie godziny? Może dlatego patrzył teraz na mnie tak oskarżycielskim wzrokiem? Boże, przebaczone, ale przecież chodziło mi tylko o jego życie...

Siedzieliśmy we trójkę przy jednej świeczce; Malty trzymała straż przy drzwiach.

- Jonathan Rashleigh wrócił - oznajmiłam.

Dick rzucił mi pytające spojrzenie.

Richard milczał.

- Grzywna została spłacona - wyjaśniłam. - Komitet Hrabstwa pozwolił mu przyjechać do domu. Może znów mieszkać w Konwalii jako wolny człowiek, jeśli nie zrobi nic, co wzbudziłoby podejrzenia parlamentu.

- To dobrze dla niego - odrzekł Richard. - Życzę mu dużo szczęścia.

- Jonathan Rashleigh jest człowiekiem pokoju. Kocha swego króla, ale jeszcze bardziej dom i rodzinę. Przettrzymał już dwa lata cierpienia i niedostatku. Zasłużył teraz na odpoczynek, a wiem, że chciałby tylko jednego: żyć spokojnie z rodziną we własnym domu.

- Tego pragnie prawie każdy człowiek.

- To życzenie nie zostanie spełnione, jeśli Jonathanowi udowodnią udział w powstaniu.

Richard zerknął na mnie i wzruszył ramionami.

- Trudno będzie parlamentowi postawić mu taki zarzut. Przecież Rashleigh siedział dwa lata w Londynie.

Zamiast odpowiedzi wyciągnęłam list gończy, rozłożyłam go na podłodze i przysunęłam bliżej świecę. Potem odczytałam głośno to, co przedtem odczytał mi mój szwagier:

- „Każdy, kto kiedykolwiek udzielił lub udzieli w przyszłości schronienia złoczyńcy znanemu jako Richard Grenville, zostanie aresztowany pod zarzutem zdrady stanu, dobra jego ulegną konfiskacie, a rodzina trafi do więzienia”. - Odczekałam chwilę i dodałam: - Jonathan mówił, że rano przyjdą znowu i przeszukają dom jeszcze raz.

Kropła łoju ze świecy spadła na papier i brzegi się podwinęły. Richard przysunął list do płomienia i trzymał, aż papier w jego dłoni zmienił się w zwęglony strzępek i spadł

na podłogę.

- Widzisz? - zwrócił się do syna. - To właśnie jest życie. Błysk, iskra - i nagle koniec. Nie zostaje żaden ślad.

Dick patrzył na niego wzrokiem niemego psa. Powiedz, mówiły je go oczy, czego ode mnie żadasz?

- No cóż - rzekł Richard z westchnieniem. - Nie pozostaje nam nic innego, jak położyć głowy pod zimne ostrze topora. Okropna śmierć! Krótkie starcie na gościńcu - z pół tuzina żołnierzy przeciw nam dwóm, potem kajdanki, powróż, wreszcie marsz przez ulice Londynu na oczach szyderczej gawiedzi. Jesteś gotów, Dicku? To twoja mistrzowska ręka wepchnęła nas w tę pułapkę, więc teraz się ciesz. - Wstał i przeciągnął się, unosząc ramiona nad głowę. - Przynajmniej - ciągnął - w Whitehall mają ostre topory. Kiedyś widziałem, jak kat wymierza sprawiedliwość. To taki maty pokurcz, ale bicepsy ma niczym kule armatnie. Wystarczy jedno zamachnięcie. - Urwał i zamyślił się przez chwilę. - Ale ta krew na słomie... straszny widok.

Widząc, że Dick zaciska z całej siły palce wokół kostek nóg, odwróciłam się z furią do człowieka, którego kochałam.

- Bądźże wreszcie cicho! Mało wycierpiał przez tych osiemnaście lat?

Popatrzył na mnie z góry, unosząc jedną brew.

- Co słyszę? Więc i ty przeciwko mnie?

Zamiast odpowiedzi rzuciłam mu bilecik, który dotąd ścisiskałam w dłoni. Był mocno zabrudzony i trudny do odczytania.

- Nie musisz kłaść pod topór swego lisiego łba. Przeczytaj i zmień ton.

Pochylił się nisko nad świecą. W miarę jak czytał, zmieniał mu się wyraz oczu. Zamiast złościwości malował się

w nich teraz czysty podziw.

- Więc mimo wszystko spłodziłem prawdziwego Grenville'a! - szepnął.

- „France” wyrusza z Fowey o świcie, gdy tylko zacznie się przyptyw. Płynie do Flushing i ma miejsce dla pasażerów. Kapitan jest godzien zaufania. To krótka podróż.

- A jak pasażerowie dostaną się na pokład?

- Łódka, która wybiera z łowisk homary, a nie lisy, zawinie do Pridmouth, gdy tylko statek wypłynie z portu. Pasażerowie będą na nią czekać. Najlepiej jeśli resztę nocy przeczekają na plaży koło Gribben. Kiedy łódź o pierwszym brzasku dotrze do miejsca przeznaczenia, odbiorą sygnał.

- Można by pomyśleć, że nic łatwiejszego - zauważył Richard.

- Więc zgadzasz się na ucieczkę? Powiesz adieu swym bohaterskim marzeniom o poddaniu?

Chyba już się z nimi pożegnał, bo błądził wzrokiem gdzieś daleko, a w głowie wyraźnie mu się roily nowe projekty, w których nie miałam już uczestniczyć.

- Z Holandii do Francji... - mruczał pod nosem. - A tam od razu do księcia. Nowy plan kampanii, lepszy od ostatniego. Lądowanie może w Irlandii... Z Irlandii do Szkocji... - Wzrok opadł mu na bilecik. „Mat ka dała mi na chrzcie imię Elizabeth, ale wolę się podpisać po prostu - Wasza córka Bess”.

Pogwizdując z cicha, rzucił bilecik Dickowi. Ten przeczytał go i oddał ojcu w milczeniu.

- I co? - spytał Richard. - Polubię twoją siostrę?

- Myślę, że nawet bardzo - odrzekł z wysiłkiem chłopak.

- Trzeba dużej odwagi, żeby opuścić dom, znaleźć sobie statek i być gotową do rozpoczęcia nowego życia w

obcym kraju bez majątku i przyjaciół, prawda?

- Owszem - wtrąciłam. - Trzeba odwagi i czegoś jeszcze.

- Czego, mianowicie?

- Zaufania do człowieka. Dumy, że się jest jego córką. Wiary w to, że ów człowiek jej nie opuści, gdyby okazała się nic niewarta.

Patrzyli teraz na siebie - ojciec i syn - zamyśleni, ale czujni, jakby łączył ich jakiś mroczny sekret, do którego nie miałam dostępu. Wreszcie Richard włożył bilecik do kieszeni i po chwili wahania odwrócił się w stronę otworu.

- Czy mamy iść tą samą drogą?

- Dom jest strzeżony - odrzekłam. - To wasza jedyna szansa.

- A kiedy jutro zjawią się psy parlamentu i zaczną tu węszyć, jak sobie z nimi poradzisz?

- Tak jak mówił Jonathan. Suche drewno pali się łatwo i szybko. Nie sądzę, żeby rodzina Rashleighów miała jeszcze pożytek z letniego pawilonu.

- A co z wejściem stąd?

- Kamienia od naszej strony nie da się ruszyć. Spójrz tylko na sznur i zawias.

Zajrzeliśmy wszyscy w mroczną czeluść. Nagle Dick złapał sznur i zaczął go ciągnąć. Po trzech szarpnięciach urwał linę razem z zawiasem na dobre.

- Proszę! - rzekł z dziwnym uśmiechem. - Teraz wystarczy zatrzaskać i już nigdy nikt tam nie wejdzie. Przynajmniej od tej strony.

- Pewnego dnia Rashleighowie zburzą tę przyporę. Co im zostawimy w spadku? - spytał Richard, zerkając na kupkę kości w kącie. - Szkielet szczura! - odpowiedział sam sobie i cisnął kości na dół. - Idź pierwszy, Dicku.



Chłopak wyciągnął do mnie dłoń. Przytrzymałam ją przez chwilę.

- Bądź dzielny. Podróż szybko minie. Gdy już bezpiecznie wylądujecie w Holandii, na pewno się zaprzyjaźnicie.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko we mnie ciemnymi oczami, a potem odwrócił się i zniknął na schodach.

Zostałam sama z Richardem. Przeżyliśmy już kilka rozstań i zawsze mówiłam sobie, że to już ostatni raz. Lecz jakoś zawsze potem odnajdywaliśmy się na nowo.

- Na jak długo tym razem? - zapytałam.

- Może na dwa lata, a może na całą wieczność. Ujął w dłonie moją twarz i długo całował.

- Kiedy wrócę, odbudujemy dom w Stowe, a ty schowasz dumę do kieszeni i wreszcie zostaniesz lady Grenville.

Uśmiechnęłam się, lecz pokręciłam przecząco głową.

- Bądź szczęśliwy przy córce!

Już przy schodach obejrzał się ostatni raz.

- Coś ci powiem. Gdy tylko wyląduję w Holandii, wezmę się do pióra i napiszę całą prawdę o wojnie domowej. Boże! Ależ dobiorę się do skóry tym wszystkim generałom! Niech cały świat się dowie, jaka to banda łajdaków. A potem może książę Walii pójdzie za ciosem i mianu je mnie wreszcie naczelnym wodzem.

- Prędzej zdegraduje cię do szeregowca.

Przeszedł przez otwór i ukląkł na schodkach, gdzie czekał nań Dick.

- Sam dokonam dzieła zniszczenia. Patrz przez okno swego pokoju we wschodnim skrzydle, a zobaczysz, jak letni pawilon Rashleighów składa pożegnalny ukłon Kornwalii i

Grenvile'om.

- Tylko uważaj na wartownika, stoi przy wejściu na grobę.

- Kochasz mnie jeszcze?

- To kara za moje grzechy.

- Tyle ich masz?

- Znasz je, co do jednego.

A kiedy stał już z ręką na kamieniu, zdobyłam się na ostatnią prośbę.

- Wiesz, dlaczego Dick wydał cię nieprzyjacielowi?

- Chyba wiem.

- Nie z niechęci ani z zemsty. Zrobił to, ponieważ zobaczył krew na policzku Gartred.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem, a ja szepnęłam:

- Wybacz mu, chociaż przez wzgląd na mnie, jeśli nie na siebie.

- Ja... już mu wybaczyłem - odezwał się powoli - ale my, Grenvile'owie, jesteśmy ulepieni z osobliwej gliny. Przekonasz się niebawem, że on sam sobie nie potrafi wybaczyć.

Widziałam ich jeszcze przez chwilę - ojca i syna, stojących obok siebie na schodkach do celki na dole. Potem Richard pchnął kamień i zatrzasnął otwór na zawsze. Odczekałam chwilę i przywołałam Matty.

- Już po wszystkim. To koniec - powiedziałam.

Przeszła przez pokój i wzięła mnie na ręce.

- Nikt nigdy nie ukryje się już w tej celce... - Przyłożyłam dłoń do policzka. Był mokry.

Nie wiedziałam nawet, że z oczu płyną mi łzy. - Zanieś mnie do mego pokoju.

Znalazłszy się na miejscu, usiadłam przy oknie wychodzącym na ogród. Księżyc stał wysoko na niebie, ale

nie taki biały jak poprzedniego dnia, tylko z żółtawą otoczką. Chmury, które zaczęły się zbierać wieczorem, kłębiły się i piętrzyły, odcinając się czernią na tle jaśniejszego nieba. Wartownik opuścił swój posterunek przy grobli i oparty o drzwi stodoły, obserwował okna domu. Nie widział mnie, gdyż siedziałam po ciemku, podpierając ręką podbródek.

Wydawało mi się, że czekam już długie godziny, zapatrzona na wschód, razem ze skuloną obok Matty. Wreszcie między drzewami ukazał się płomyk. Wiatr dał od zachodu, rozwiewając dym, więc wartownik pod stodołą niczego nie zauważył.

Teraz, pomyślałam, będzie się paliło równo aż do rana, a kiedy nadejdzie dzień, powiedzą, że zapewnię kłusownicy palili w nocy ognisko, od którego zajął się pawilon. Ktoś zatem będzie musiał udać się do Fowey i pokornie przeprosić Jonathana Rashleigha za swą bezmyślność. Ale przynajmniej wiedziałam, że właśnie teraz dwie postacie pod osłoną klifu czekają na sygnał z łodzi. Są razem i nic im nie zagraża. Ja zaś mogę się spokojnie położyć i zapomnieć o wszystkim. A jednak nadal tkwiłam przy oknie, zapatrzona w park, chociaż nie widziałam ani księżyca, ani drzew, ani cienkiej smugi dymu, tylko oczy Dicka, utkwione we mnie po raz ostatni, gdy Richard zasuwiał kamień.

O dziewiątej rano w parku pojawił się oddział konnicy. Wjechali na dziedziniec, gdzie posiadali z koni, a ich dowódca, pułkownik ze sztabu sir Hardressa Wallera z Saltash, przysłał do mnie żołnierza. Muszę się natychmiast ubrać i zejść, mają bowiem rozkaz zabrać mnie do Fowey. Byłam już ubrana, więc bez dalszej zwłoki słudzy znieśli mnie na dół. Po drodze zauważyłam, że w galerii żołnierze zdzierają już boazerię. Psy podjęły trop...

- Ten dom już raz splądrowano - powiedziałam do oficera. - Mój szwagier przez cztery lata zdołał dokonać tylko drobnych napraw. Czy koniecznie musicie to robić po raz drugi?

- Przykro mi - odparł - ale gdy chodzi o człowieka pokroju Richarda Grenville'a, nie wolno nam ryzykować.

- Myślicie, że go tu znajdziecie?

- W Kornwalii jest ze dwadzieścia dworów, w których może się ukrywać. Jeden z nich to Menabilly. Zamierzam więc przeprowadzić nadzwyczaj dokładną rewizję, nawet kosztem wygody tutejszych mieszkańców. Nie sądzę, by dom nadawał się później do zamieszkania, przy najmniej przez jakiś czas, toteż muszę was prosić, pani, o towarzyszenie mi do Fowey.

Rozejrzałam się po miejscu, które przez dwa lata było mi domem. Już raz widziałam, jak je plądrują, i wołałam sobie zaoszczędzić przykrego widoku.

- Jestem gotowa - odpowiedziałam.

Kiedy wsadzali mnie do lektyki razem z Matty, słyszałam znajomy odgłos uderzeń toporów, rąbiących podłogę, oraz trzask zrywanej boazerii. Znów, jak w

pamiętnym roku czterdziestym czwartym, jakiś żartowniś wspiał się na wieżę i uczepiwszy się sznura, rozkołysał dzwon, który zaczął bić w chwili, gdy wyjeżdżałyśmy spod łuku bramy na zewnętrzny dziedziniec. Pomyślałam wtedy, wiedzona dziwnym przeczuciem, że to moje pożegnanie z Menabilly. Już nigdy nie miałam tu wrócić.

- Pojedziemy drogą wzdłuż wybrzeża - oznajmił oficer, zaglądając przez okienko lektyki.

- Gościniec po Helston i Pejzance jest zapchany wojskiem.

- Czy potrzebujecie aż tylu żołnierzy, żeby stłumić tak niewielki bunt?

- Walki skończą się lada dzień - odrzekł - ale wojsko zostanie. Od dziś koniec z powstaniami w Kornwalii, obojętne, na wschodzie czy zachodzie.

Dzwon wciąż kołysał się w przód i w tył, akcentując żalobnymi to nami te złowieszcze słowa.

Jadąc ścieżką u podnóża grobli, spojrzałam mimo woli w górę. Letni pawilon, wieżyczka z wysokimi oknami, był już tylko pogorzelskiem, kupą wypalonych desek i kamieni.

- Z czyjego rozkazu podłożono tu ogień? - zawołał oficer.

Naradzał się przez chwilę ze swymi ludźmi, po czym wspięli się na groblę, żeby zbadać sprawę. Matty i ja czekałyśmy w lektyce. Po paru minutach oficer był z powrotem.

- Co za budynek tam stał? - zwrócił się do mnie z pytaniem. - Trudno się rozeznąć, ale ogień wybuchł niedawno, bo wciąż jeszcze się dymi.

- To był letni pawilon. Moja siostra, pani Rashleigh, bardzo go lubiła. Przesiadywałyśmy tam często i pewnie zmartwi ją ta strata. Przypuszczam, że to pułkownik Bennett rozkazał spalić ów domek.

- Pułkownik Bennett nie miał prawa wydać takiego rozkazu bez upoważnienia szeryfa, sir Thomasa Herie'a.

Wzruszyłam ramionami.

- Może i miał takie upoważnienie, skąd mogę wiedzieć. Jest przecież członkiem Komitetu Hrabstwa, więc robi, co mu się podoba.

- Ludzie z Komitetu Hrabstwa za dużo sobie pozwalają. Nasza armia kiedyś utrzyma im nosa.

Wskoczył na konia, mocno rozeźlony, i dał komendę do odjazdu. Jedna wojna domowa w drugiej... Czy żadne stronnictwo nie potrafi utrzymać porządku w swych szeregach? Proszę bardzo, niech wojsko kłóci się z parlamentem do woli, na dłuższą metę to tylko pomoże naszej sprawie. Obejrzałam się po raz ostatni na zgliszcza pawilonu, na wysokie drzewa w parku i przypomniały mi się słowa, które szeptało sobie na ucho w roku czterdziestym szóstym: „Kiedy śniegi stopnieją, kiedy mrozy zelżeją, kiedy nadejdzie wiosna...”.

Po wąskiej ścieżce schodziliśmy ku Pridmouth. Był akurat odpływ. Cannis Rock sterczała w oddali ponad lustrem wody, daleko, na horyzoncie widniała ciemna smuga żagla. Młyński potok pędził z bulgotem przez kamienie do plaży, na końcu mokradła łabędź wzbijał się nagle w górę i zatoczywszy kilka kręgów, podążył w swoją drogę ku otwartemu morzu. Pięliśmy się teraz na następne wzgórze, za dworem Coombe, gdzie mieszkali kuzyni Rashleighów. Potem czekał nas zjazd w dół, do domu Jonathana koło przystani w Fowey. Wypatrywałam przede wszystkim statku Rashleighów, ale go nie zobaczyłam. Woda w basenie portowym była szara i spokojna; tylko w Polruan stało na kotwicy kilka łodzi rybackich. Na bulwarze nadbrzeżnym przechodnie

przyglądali się ciekawie, jak żołnierze przenoszą mnie z lektyki do domu. W salonie - wyłożonym ciemną boazerią podobnie jak w Menabilly - czekał mój szwagier. Na parapecie stał model okrętu „France”, tego samego, który czterdzieści lat temu zbudował i uzbroił jego ojciec, aby walczyć wraz z Drakiem przeciwko Niezwyciężonej Armadzie.

- Przykro mi - rzekł oficer - ale póki nie ucichną niepokoje na Zachodzie, przed domem musi stać wartownik. I proszę, aby oboje państwo nigdzie nie wychodzili.

- Rozumiem - odparł Jonathan. - Przyzwyczyłem się już do ciągłego nadzoru, kilka dni więcej nie zrobi mi różnicy.

Oficer wyszedł, zostawiając przed oknem swego towarzysza, tak samo jak uczynił to wczoraj pułkownik w Menabilly.

- Mam wieści o Robinie - powiedział mój szwagier. - Trzymają go w Plymouth, ale nie sądzę, by mieli się czego ucześcić. Kiedy to wszystko się skończy, zapewne uwolnią go pod warunkiem, że złoży przysięgę na wierność parlamentowi. Mnie także do tego zmuszono.

- A potem? - zapytałam.

- Potem? Będzie panem swej woli. Pewnie osiedli się gdzieś i będzie żył w spokoju. Mam domek w Tywardreath, który może mu się spodoba, a i ty mogłabyś tam zamieszkać. To znaczy...

jeżeli nie masz innych planów.

- Nie. Nie mam innych planów.

Wstał i podszedł powoli do okna wychodzącego na nabrzeże - stary, siwy człowiek, opierający się ciężko na lasce. Z zewnątrz dobiegał krzyk mew, które uparcie krążyły w górze, co pewien czas nurkując w wodach portu.

- „France” dziś rano wyszła w morze - odezwał się cicho.

Milczałam.

- Miody rybak, który miał podnieść z dna kociołki z homarami, najpierw przybił do Pridmouth po pasażera. Ten, zgodnie z umową, czekał już na plaży. Podobno wyglądał na mocno wycieńczonego, ale to i tak nic w porównaniu z tym, co przeszedł.

- Był, więc tylko jeden pasażer?

- Ależ tak, jeden - rzekł Jonathan, patrząc na mnie ze zdziwieniem. - O co ci chodzi? Czemu masz taką minę?

Nadal wsłuchiwałam się w krzyki mew, do których teraz dołączyły się głosy dzieci. Śmiały się i nawoływały, pogrążone w zabawie na schodkach bulwaru.

- O nic mi nie chodzi. Co jeszcze masz do powiedzenia?

Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady sznur z zardzewiałym zawiasem.

- Kiedy pasażer dotarł na pokład statku, oddał rybakowi ten kawałek sznura z prośbą o przekazanie go panu Rashleighowi. Otrzymałem go dzisiaj przy śniadaniu. Lina zawinięta była w papier, na którym na pisano: „Powiedzcie Honor, że ostatni z Grenville’ów wybrał własną drogę ucieczki”. Co to miało znaczyć? - spytał, wręczając mi ów świstek. - Rozumiesz coś z tego?

- Tak, Jonathanie. Rozumiem.

Przyjrzał mi się bacznie, po czym schował sznur z zawiasem z powrotem do szuflady.

- No dobrze - rzekł z ulgą. - Dzięki Bogu, mamy to już za sobą. Koniec z niepokojem, już nic nam nie grozi. Nic więcej nie może my zrobić.

- Rzeczywiście nic nie da się zrobić.



Wyjął z kredensu dwa kielichy i napełnił je winem z karafki. Jeden wręczył mnie.

- Wypij - powiedział łagodnie i dotknął mego ramienia. - Wiele ostatnio przeszłaś. - Podniósł swój kielich i spojrzał na model okrętu, którym jego ojciec wyruszył na podbój Armady.- Za drugą „France”! I za generała Jego Królewskiej Mości na Zachodzie! Niech znajdzie w Holandii bezpieczny azyl i szczęście!

Spełniłam toast w milczeniu i odstawiłam kielich na stół.

- Nie dokończyłaś - oburzył się Jonathan. - To może przynieść pecha temu, kogo dotyczył toast.

Wzięłam, więc kielich znowu i przyjrzałam mu się pod światło. Wino zaśniło rubinową barwą.

- Czy znasz list, który Bevil Grenville napisał przed śmiercią do Jonathana Trelawneya?

Znów byliśmy wszyscy razem w galerii dworu Menabilly: Richard przy oknie, Gartred na sofie, Dick w ciemnym kącie, z oczami utkwionymi w ojcu.

- „Co się tyczy mojej osoby - zacytowałam z pamięci - to nie pragnę niczego więcej, jak tylko okryć sławą nasze nazwisko lub zginąć z honorem. Nigdy nie ceniłem życia i jego uroków tak bardzo, żeby z tego powodu unikać wojny. Gdybym to uczynił, nie byłbym godzien swej pozycji i sprzeniewierzyłbym się pamięci przodków, którzy przez całe stulecia tak licznie ofiarowywali życie za ojczyznę”.

Wypiłam wino do dna i oddałam kielich Jonathanowi.

- Wielkie słowa - zauważył mój szwagier. - To prawda, że Grenville’owie byli wielkimi ludźmi. Kornwalia zawsze będzie się nimi chlubić. Ale największy z nich to Bevil. Ten okazał męstwo aż do końca.

- Ostatni także miał wiele odwagi - szepnęłam.

- Który mianowicie?

- To tylko chłopiec, którego imię nigdy nie trafi do wielkiej księgi w Stowe. I próżno by szukać jego grobu na cmentarzyku w Kilkhampton.

- Honor, ty płaczesz! Zbyt długo żyłaś w napięciu. Na górze czeka na ciebie łóżko, niech Matty ci pomoże. Najlepsze dni dopiero nadejdą. Pewnego dnia król odzyska tron. Pewnego dnia twój Richard powróci.

Zerknęłam na okręcik na parapecie, a potem obróciłam wzrok ku błękitnym wodom za portem. Łodzie rybackie wypływały na połów, mewy krążyły nad nimi z krzykiem, na tle nieba lśniły białe skrzydła.

- Pewnego dnia... - szepnęłam. - Kiedy śniegi stopnieją, kiedy mrozy zelżeją, kiedy nadejdzie wiosna.

## DALSZE LOSY BOHATERÓW

**SIR RICHARD GRENVILE:** Generał Jego Królewskiej Mości już nigdy nie wrócił do Anglii. Kupił w Holandii dom, w którym mieszkał z córką Elizabeth aż do swej śmierci w roku 1659, zaledwie rok przed Restauracją. Ofiarował wprawdzie swe usługi księciu Walii (późniejsze mu Karolowi II), ale ten ich nie przyjął, wskutek intryg sir Edwarda Hyde'a, późniejszego hrabiego Clarendon. Dokładna data śmierci Richarda Grenvile'a nie jest znana, ale podobno zmarł w Ghent, samotny i rozgoryczony. Na grobie kazał sobie wyryć tylko te słowa: "Sir Richard Grenvile, generał Jego Królewskiej Mości na Zachodzie".

**SIR JOHN GRENVILE (JACK), BERNARD GRENVILE (BUNNY):** Obaj bracia wnieśli znaczny wkład w dzieło przywrócenia na tron Karola II w roku 1660. Obaj ożenili się i żyli szczęśliwie, ciesząc się łaskami króla. John otrzymał tytuł hrabiego Bath.

**GARTRED DENYS;** Nie wyszła za mąż, ale opuściła Oriey Court i zamieszkała przy jednej z zameźnych córek, lady Hampson, w Taplow, gdzie zmarła, dożywszy sędziwego wieku osiemdziesięciu pięciu lat.

**JONATHAN RASHLEIGH:** Po raz kolejny uwięziony za długi przez parlament, dożył mimo wszystko Restauracji. Zmarł w roku 1675, w rok po swej żonie Mary.

**JOHN RASHLEIGH:** Zmarł w Devonie w roku 1651 w wieku zaledwie trzydziestu lat, w drodze do swego domu w

Menabilly, dokąd wracał z podróży do Londynu w interesach ojca. Wdowa po nim, Joan, mieszkała w Fowey, gdzie zmarła w roku 1668, dożywszy lat czterdziestu ośmiu.

SIR PETER COURTNEY: Opuścił żonę, popadł w straszliwe długi, ożenił się powtórnie i zmarł w roku 1670.

ALICE COURTNEY: Resztę życia spędziła w Menabilly. Zmarła w wieku lat czterdziestu w roku 1659. W kościele w Tywardreath znajduje się tablica poświęcona jej pamięci.

AMBROSE MANATON: Niewiele o nim wiemy, poza tym, że w roku 1668 został posłem do parlamentu z okręgu Camelford, a jego posiadłość Trecarrel popadła w ruinę.

ROBIN HARRIS, HONOR HARRIS: Brat i siostra zamieszkali razem w Tywardreath, w domku, który oddał im do dyspozycji Jonathan Rashleigh. Honor zmarła 17 listopada 1653 roku, Robin w czerwcu 1655, a więc żadne z nich nie doczekało się Restauracji. Tablica w tamtejszym kościele głosi:

„Pamięci Roberta Harrisa, dawnego generała majora wojsk Jego Królewskiej Mości pod Plymouth, pochowanego w tym miejscu w dniu 29 czerwca roku 1655, a także Jego Siostry Honor Harris, która spoczęła tu 17 listopada Roku Pańskiego 1653.

Wierność, niezłomność, męstwo - oto zbrodnia cała;  
Honor Twoim imieniem, wieczna Twoja chwała".

## POSŁOWIE

W roku 1824 William Rashleigh, pan na Menabilly, posiadłości należącej do parafii Tywardreath, postanowił dokonać w swym domu pewnych przeróbek, a mianowicie zlikwidować zewnętrzny dziedziniec, na jego miejscu zaś wybudować pomieszczenia kuchenne i spiżarnię. Architekt, któremu zlecono ów projekt, zauważył, że skarpa przy północno-zachodnim krańcu budynku nie jest do niczego potrzebna i należałoby ją zburzyć. Kiedy murarze usunęli kamienie, natrafili na schodki, prowadzące do małej izdebki u podnóża przypory. Znalaziono tam szkielet młodego mężczyzny w stroju z okresu wojny domowej, siedzącego za stołem, z drewnianą miską u stóp. Kiedy pan Rashleigh dowiedział się o znalezisku, rozkazał zabrać szczątki ze skarpy i z najgłębszą czcią pochować je na cmentarzu w Tywardreath. A ponieważ owa historia mocno wstrząsnęła zarówno nim samym, jak wszystkimi domownikami, polecił całkowicie zamurować ową sekretną izdebkę, aby w przyszłości już nikt nie miał do niej dostępu. Prace przy przebudowie domu kontynuowano zgodnie z projektem; pod skarpią stanęła nowa; spiżarnia, a miejsce, w którym dawniej znajdowała się celka, pozostało na zawsze tajemnicą znaną tylko dziedzicowi oraz jego architektowi. Z przejrzanych następnie rodzinnych dokumentów pan Rashleigh dowiedział się, że podczas powstania roku 1648 ukrywało się w Menabilly kilku członków rodu Grenville'ów. Doszedł więc do wniosku, że jeden ze spiskowców znalazł schronienie w owej kryjówce, a reszta pewnie o nim zapomniała. Wersja ta powtarzana jest po dziś dzień.